

Tłumaczył
Włodzimierz Słobodnik

Tytuł oryginału
„Osuzdzenie Paganini”



F. 28	87.968
-------	--------

Rozdział pierwszy

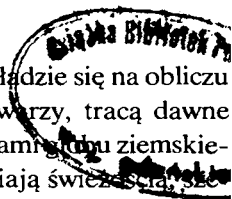
Miasto boga o dwóch obliczach

Gdy czas toruje nową drogę, gdy nowa bruzda kładzie się na obliczu ziemi, wtedy stare drogi, jak stare zmarszczki na twarzy, tracą dawne zarysy. Drogi, uitorowane przez historię pomiędzy krajami góru ziemskiego, ulegają fantastycznym przemianom. Jedne zadziwiają świeżością, pełnią dźwięków i ruchem, inne znów, długo jeszcze zachowując swoją majestatyczność, zamierają i pogrążają się w ciszy. Trawa kiełkuje wśród płyt kamiennych i wreszcie drzewa potężnym potokiem żywej tkanki przebijają kamienie. Na tych szlakach ptaki i zwierzęta zapominają o tym, że ongi toczyły się tu rydwany i stąpała noga ludzka. Drogi, obliczone na wieki, są tak trwałe jak w dalekiej przeszłości, lecz zostały opuszczone przez człowieka.

Miasta leżące na wielkich szlakach historycznych noszą na sobie ślady wszystkich owych przemian. Jedne zamierają, inne napelniają się niesłychanym i niebywałym gwarem. Jedne wchłaniają swoje przedmieścia, wyrzucają arterie daleko poza granice starych rogatek i dzielnic, inne obsiewają zrujnowane bruki nasionami sąsiednich gajów i pól. Porzucone na przedmieściach kościoły obrastają drzewami, dzwony okrywają się kurzem i od serca do ściany dzwonu snuje się lśniąca w słońcu pajęczyna.

Nazwy miast nie są dziełem przypadku. A więc i miasto, w którym przyszedł na świat Paganini, skazany na genialność i wyklęty za talent, nieprzypadkowo nazywa się Genuą.

To miasto w średniowieczu nazywało się Janua. Łacińskie słowo *janua* oznacza drzwi. Nie tylko zwykłe podwójne drzwi, które obracają się na zawiasach, lecz drzwi oznaczające również próg i wyjście, dzielące cały



otwarty, podniebny świat od zamkniętego mieszkania człowieka, Janua – to zresztą nie tylko drzwi, to wyjście w nowy dzień, to próg wiodący z dnia wczorajszego w jutro, to wzrok wbity w przyszłość i wpatrzony w przeszłość. Janus – to rzymski bóg strzegący progów domostw i miejskich bram, jakiegoś wcielenie geometrycznej chimery, zakreślającej granice między przeszłością a przyszłością, tam gdzie terażniejszość staje się cieńsza od cienia pamięczyny.

Rzymski ten bóg wcielił się w istotę o dwóch obliczach. Jedna twarz patrzy przed siebie, druga – wstecz, mimo że są częściami tej samej głowy.

Pierwszy miesiąc roku nazywał się January. Zamykał on ostatnie chwile starego roku, gdy skroś chłód zimowy, wiatr i zamieć dolatywały już głosy nadchodzącej wiosny.

Obszar śródziemnomorski, zamknięty w olbrzymiej elipsie, był uwieńczony ongi koroną drogocennych miast. Na dalekim zachodzie, za słupami Heraklesa, odślaniał się Ocean Atlantycki. Starożytne mity Greków opowiadają o podróży Fenicjan poza słupy Heraklesa i o wyprawie Jazona po złote runo. Platon w *Tymeuszu* i *Krytiaszu* opowiada o tym, że za słupami Heraklesa wiodła niegdyś droga do Atlantydy. Łąd ten pochłonęło morze. Niedobitki starożytnych narodów można jeszcze spotkać na obliczu dzisiejszej ziemi. Jak Archimedes o ziarenkach piasku, tak Platon mówi o starożytnych światach, o ich zagładzie i o narodzinach nowych światów. U słupów Heraklesa kończyły się osiągnięcia zamierzchłej ludzkości. Odważni żeglarze, torujący drogi na wschód, tam skąd wynurza się słońce, na Lewant, cieszyli się o wiele większym powodzeniem niż wędrowcy udający się na zachód. Na wschód kierowały się serca poszukiwaczy złota indyjskiego i dążenia tych, w których płonęło pragnienie, aby ujrzeć nigdy nie gasnące kagańce Jerozolimy. I oto wieńcem w owym wieńcu miast śródziemnomorskich i kluczem do wrót ziemi była w tych wiekach Genua.

Z Genui wyszedł człowiek, który zapragnął zamknąć drzwi starego świata i otworzyć wyjście na nowy świat. W Genui urodził się Kolumb.

Gdy złoto amerykańskie załało Europę i Nowe Indie wyparły stare Indie Lewantu, zamarły szerokie drogi prowadzące Europę przez drzwi genueńskie na starożytny Wschód.

W XIV stuleciu Genua straciła Cypr. Po czterech wiekach straciła Korsykę. Korsyka to wyspa genueńska. Zagarnęli ją Francuzi. I oto teraz oficer korsykański z północy szedł na Italię. Bonaparte i Massena ruszyli na podbój Genui. Miasto usiłowało zachować swoją wolność. Republika

genueńska za czasów Bonapartego obierała jeszcze dożę, przy którym istniało dwanaście gubernatoriów i osiem prefektur. Arystokracja genueńska, zasiadająca w Małej Radzie, rządziła miastem. Trzystu bogatych mieszczan i szlachty stanowiło Wielką Radę Miejską.

Rozdział drugi

Legenda o narodzinach

Trzy brudne, obsuwające się stopnie przechodniego korytarza – z ulicy na ulicę poprzez zabudowania – wiodły do szarego domu w Passo di Gatta Mora. Na stopniach tych, według legendy, pośliznęła się babka położna. Potknąwszy się starucha zaklęła: „Do diabła!” I w tejże chwili otworzyły się drzwi i rozległ się ochryply, miaukliwy płacz nowo narodzonego Paganiego.

Dziecko krzyczało całą noc, dziecko krzyczało z rana. Płakało, jak gdyby skarżąc się na samowolę rodziców, którzy powołali je do życia w tę deszczową i burzliwą noc, kiedy fale przyływu biły w dwa genueńskie mola jak wystrzały armatnie.

Paganini urodził się w nocy 27 października 1782 roku.

Rozdział trzeci

Nędza

W pobliżu Passo di Gatta Mora stało w owych czasach podłużne zabudowanie, które zwracało na siebie uwagę czarnymi ramami okiennymi, plamami wilgoci i dziurami w starym, zzieleniałym otynkowaniu. Było to schronisko dla biednych – „Albergo dei poveri”.

W gromadce obdartych dzieciaków, które wysypywały się z tego gmachu, by puszczać papierowe i drewniane okręcki w kałużach, albo też z krzykiem i zgiełkiem wszczynają bójkę uliczne, można było zauważyć małą małą małą z wystającą szczęką, szerokim czołem, czarnymi kędzierzawymi włosami i z bardzo długim nosem. W szpetnej twarzy dziwnie wyodrębniały się wielkie agatowe oczy. Niezwykle piękne, zadziwiająco kontrastowały one z całą postacią długorękiego, krzywonożnego dziecka, z ogromnymi stopami i długimi palcami długich rąk. Kiedy w oczach tych zapalała się ciekawość, twarz wygładzała się i zatracala swoją szpetotę. Lecz przelotny ten obłok topniał natychmiast i szczerząc zęby mały człowieczek wrzeszczał, miotał dzikie przekleństwa, napadał z kolegami na sąsiadów i odbierał im okręcki i lódeczki szybko płynące po ulicznych potokach.

W wąskich i ciemnych korytarzach schroniska dzieci bawiły się w chowanego. Co niedziela przyglądały się, jak stary inwalida, upiwszy się po południu, bił kulami swoją staruchę. Dzieciaki wbiegały na górne piętra: oszklone drzwi pozwalały rozkoszować się scenami rodzinnymi. Dzieci ostrożnie skradały się do drzwi komórki, w której żebracy grali w kości, i cierpliwie wyczekiwały chwili, kiedy ci, którzy przegrali, pobiją się z tymi, którzy wygrali.

Jeden z pierwszych wstrząsów – to długa i ciężka choroba. Trzy tygodnie Nicolo majaczył zrywając się z łóżka; krępowano mu ręce i nogi i kładziono na głowę ręcznik umoczony w zimnej wodzie. Choroba wyczerpała go zupełnie. Dłuższy czas był odseparowany od swych rówieśników. Całymi godzinami grał na lutni, podczas gdy matka szyła, prała, prasowała i pitrasiała skromny obiad. Grał już na ojcowskiej gitarze.

Nicolo rósł pod opieką matki. Starszego brata, Francesca, prawie nigdy nie było w domu. Stale prowadził jakieś tajemnicze pertraktacje ze starcami, którzy przychodzili do signora Antonia. Dla Nicolo brat był obcym i nawet przykrym człowiekiem. Signor Antonio również coraz częściej wychodził z domu.

Pewnego razu, obudziwszy się w nocy, Nicolo ujrzał matkę przed krucyfiksem. Żarliwie modliła się. Ojca nie było w domu. Spojrzawszy na syna, podeszła do łóżka i rzekła:

– Śpij, śpij, on jeszcze wróci, jest niedaleko. On gra i przegrywa: ma nadzieję, że przyniesie nam szczęście, a przynosi – zmartwienie...

Antonio Paganini wrócił następnego dnia w południe. Chłopiec grał na lutni. Tak był pochłonięty grą, że nie zauważył, kiedy wszedł ojciec.

Antonio Paganini zatrzymał się z uśmiechem na twarzy i słuchał. Za nim, w drzwiach, stała matka. Kiedy dziecko przestało grać, ojciec klasnął w dłonie, zbliżył się do syna i położył, być może, po raz pierwszy w życiu, wielką dłoń na jego czarnej, kędzierzawej głowie. Mała małpka szeroko rozwarła szczęki z żółtymi ząbkami i przypochlebnie, i tchórzliwie spojrzała w górę na surową twarz ojca.

– Tfu, jaka z ciebie poczwara! – rzekł nagle signor Antonio. Łagodny wyraz znikł z jego twarzy i Antonio obrócił się ku żonie.

– Tereso, idź i kup wszystko, co potrzeba do obiadu. Jestem głodny. Dziś musimy się trochę zabawić.

Wziął gitarę, usiadł na wprost syna i skinął głową:

– *Karmaniole!*

Ojciec grał dobrze. Syn usiłował wtórować mu nieśmiało. Potem, uderzywszy nagle w struny, Antonio Paganini odłożył gitarę i szerokim, gwałtownym krokiem wyszedł do sąsiedniego pokoju. Przyniósł stamtąd stare skrzypce i oświadczył:

– Nicolo, będziesz uczył się grać na skrzypcach. Zrobię z ciebie znakomitość, będziesz zarabiał pieniądze. Czy wiesz, co to jest? Skrzypce te należały do naszego przodka, pochowanego w Capui w kościele Świętej Anny. To, co ja przegrałem na giełdzie, ty musisz wygrać na skrzypcach. Dziś jest dobry dzień. Widzisz tę maszynę? – Ojciec wskazał tablice tekturowe leżące na biurku. – To jest mój wynalazek, moje odkrycie. Mam w rękach tajemnicę powodzenia. Zwykle krążki tekturowe toczą się i odkrywają mi tajemnice wygranej.

W tej chwili weszła signora Paganini z koszykiem.

– Więc cóż, Antonio, mam iść?

– Idź, idź! – Wyjął z surduta plik banknotów, wyciągnął asygnatę najmniejszej wartości i dał żonie. – Widzisz, Tereso – rzekł Antonio – moje interesy polepszyły się, maszyna loteryjna nie tłuże i teraz wiem z całą pewnością, które numery loterii kupować, by wygrać!

– No, no! – przerwała żona. – Nie oszukuj mnie, wiem, że grywasz w karty.

– Nie kłam! – zawołał starzec. – Idź stąd, idź sobie! Idź, dokąd należy.

Rozpoczęła się pierwsza lekcja gry na skrzypcach. Mały człowieczek z trudem rozumiał ojca. Ojciec denerwował się i po każdej omyłce syna racyły go szturchać. Potem wziął ze stołu długą drewnianą linię i zaczął

posługiwać się nią w wypadku, kiedy syn się mylił. Krótkimi i prawie niedostrzegalnymi uderzeniami bił go w dłoń, tak że występowały na niej sińce. Kiedy Teresa Paganini wróciła z zakupami, wściekłość signora Antonia nie miała już granic. Zamknął chłopca w komórcie i kazał mu grać pierwsze ćwiczenie.

Dziki dźwięki, rozdzierające uszy, przez całą godzinę dolatywały z komórki, póki Antonio Paganini siedział z żoną przy butelce wina. Chętnie opowiadał o swoich wygranych, przeklinał signora Law, który zrujnował francuskie banki i zasypał Francję banknotami zamiast solidnej brzęczącej monety. Przeklinał akcjonariuszy włoskich, którzy zawarli umowy z francuskimi kupcami. W owe dni, kiedy „ci przekłęci Francuzi zajęli główną fortecę Paryża, uwięzili króla, skasowali Boga i święty Kościół” – po morzach przeszły huragany zupełnie niepodobne do dawnych burz... Ale żadna burza nie przysporzyła tylu strat handlowi morskiemu, ile bunt francuskiego motłochu. Anglicy zagarniali francuskie okręty handlowe. Kupcy francuscy przestali spłacać Włochom długi. Giełda zamarła. Za jakież grzechy uczciwy, stary makler giełdowy Antonio Paganini musi cierpieć, kiedy francuskie pospólstwo buntuje się?

– I przeklęty ten motłoch śpiewa naszą genueńską *Karmaniołę*, kiedy idzie po ulicach w czerwonych kołpakach i z ludzkimi głowami na pikach! Jak im nie wstyd kalać nasze dobre pieśni genueńskie!

Coraz bardziej plątał się język staremu Paganiniemu. Antonio coraz częściej używał mocnych wyrazów. Kłął wszystkich, opowiadając o nieuczciwej szlachcie i o ruinie kupiectwa. Zaczynał nagle chwalić swoją maszynę loteryjną. Nie zwracał już uwagi na to, że jego rozmówczyni milczy. Nie widział już wyrazu jej twarzy, pełnej cierpienia. W zapale wałnął pięścią w stół.

– Do tysiąca diabłów! Słyszysz, jak gra ten szczeniak? Będą z niego ludzie!...

Wtedy Teresa ośmieliła się wspomnieć o tym, że chłopiec niedawno chorował, że to niebezpieczne, by tak długo i mocno się wysilał, że powinien już zjeść obiad. Signor ostro jej przerwał:

– Nie będzie jadł, dopóki bez omyłki nie zagra pierwszego ćwiczenia.

Wojna

W schronisku opowiadało dziwne rzeczy. W Paryżu Francuzi ustawili na wielkim placu platformę, na platformie – słupy, między słupami umocowali w wydrążeniach wielki stalowy trójkąt, który się po tych wydrążeniach opuszczał i spadał ostrym zakończeniem w dół. Słowem, Francuzi zbudowali maszynę mediolańską, która starym rzeźnikom Mediolanu służyła do zabijania byków w rzeźni. Tym razem zbudowali maszynę do ścinania ludzkich głów. Wywiedli króla z wieży, w której go więzili, położyli pod tę maszynę i opuścili ciężki stalowy trójkąt, a potem podnieśli za włosy głowę oddzieloną od ciała i pokazali zebranemu ludowi paryskiemu ze słowami: „Oto prawdziwy król Francji”

Nicolo ze zdumieniem słuchał tych wiadomości, które podawano sobie z ust do ust. Mówiono, że król był łotrem i zdrajcą narodu, że egzekucja jest sprawiedliwym odwetem za zbrodnie popełnione przez niego wobec całego kraju. Mówiono, że wezwał obce wojska po to, by zniszczyć Francję ogniem i mieczem. Mówiono o strasznych pożarach wsi francuskich, o głodzie ludu francuskiego, o tym, że sąsiednie monarchie zjednoczyły się dla uratowania Ludwika XVI i że wiodą one obecnie wojnę z ludem Francji, który powstał.

– A czyście słyszeli? Francuzi śpiewają naszą *Karmaniołę*.

Mały Paganini grał już dobrze. Nauczył się grać z nut. A gdy starzec odchodził, zaczynał sam komponować krótkie utwory muzyczne. Wyobrażał sobie, jak Francuzi ze sztandarami, w czerwonych czapkach, idą na fortecę paryską. *Bastia, Bastillo* – usiłował przypomnieć sobie mały Paganini i dźwięki nagle w nim zrodzone powierzał swym starym, nieproporcjonalnie wielkim skrzypcom. *Karmanioła* stawała się żywa i dźwięczna. Lecz była to już inna *Karmanioła*, inna pieśń. Z pieśnią tą, korzystając z nieobecności ojca, mały Paganini po raz pierwszy wyszedł z domu i z pieśnią tą, jak ze swoją zdobyczą, wszedł w na wpół mroczny korytarz schroniska. Po raz pierwszy grał przed większym zbiorowiskiem. Doznawał uczucia szczególnej dumy, gdy do dźwięków jego skrzypiec przyłączyły się nagle głosy śpiewających dorosłych ludzi. Kobiety i mężczyźni, którzy go otoczyli w schronisku, śpiewali *Karmaniołę* na nowy sposób, z owym bogactwem odcieni nadanych jej przez skrzypce Nicola.

Nad Genuą, jak dawniej, jarzyło się słońce. Jak dawniej łagodnie śpiewała, wpadając na molo w Darsena Reale, fala morska, jak dawniej miarowo kołysały się kwitnące drzewa w miejskim ogrodzie, a olbrzymie pomniki marmurowe bieleły na cmentarzu pod promieniami słońca, wiecznie spokojne i majestatyczne, strzegąc starożytnych mogił możnowładców genueńskich.

Prócz rady miejskiej nikt nie wiedział, że huragan zrywający dachy pałaców leci z północy na południe, z zachodu na wschód i że nie dziś, to jutro jasne niebo Genui okryje się chmurami. Krążyły ciemne wieści o tym, że gdzieś w górach, w Alpach Zachodnich, na górskich przełęczach ukazały się czerwono-niebiesko-białe mundury, trójkolorowe sztandary powiewały przed konnicą idącą na Castel Franco i na fortecę Bard. Lecz były to tylko wieści. Wymieniano nazwisko włoskie, mówiące o pomyślnym i szczęśliwym losie tego, któremu było na imię Bonaparte – szczęśliwy los. Tak nazywano człowieka idącego z całą armią buntowników z północy na południe.

– Któż to jest? – zastanawiał się stary Paganini przy stole. – To syn zwykłego syndyka korsykańskiego. Jak śmie ten łajdak nosić mundur generalski, kiedy nie jest nawet francuskim szlachcicem! Czyż potrafi oprzeć się regularnemu wojsku cesarza austriackiego?

– Zbliża się koniec świata – mówił dopijając czwartą butelkę. – Wkrótce nie będzie dokąd uciekać.

Dwa razy otwierała się giełda genueńska. Dwa razy signor Paganini otrzymał ogromne wygrane. Miał powodzenie w grze karcianej i w ciemnych kombinacjach loterii. Sąsiedzi szeptali między sobą, że sprawa z numerami loterii nie jest czysta, że koła maszyny loteryjnej są posmarowane złotą oliwą... Staremu powodziło się bajecznie.

Kiedy powiało zimą, na ulicach Genui zrodziła się trwoga. Mówiono otwarcie o ruchu francuskich wojsk z zachodu, od strony Nicei. Zdawało się, że Paganini nie słyszał i nie widział, co się dokoła niego dzieje. Pograżył się cały w najbardziej skomplikowanych kombinacjach gry loteryjnej. Maszyna loteryjna, z tekturowymi krążkami, drewnianymi deszczułkami, stalowymi igłami, wskazówkami i strzałką, nie przykuwała już, jak dawniej, jego uwagi. Zakurzona stała w kącie i kot obchodził się z nią bez żadnego szacunku. Teraz nie trzeba już było uciekać się do tych obłądnych nocnych wyliczeń. Mysi szurgot stalowych wskazówek na tekturze ustał. Wskazówki zegara obracały się dla signora Paganiniego – czas pracował na niego.

Paganini płynął z prądem. Niosła go rzeka czasu. Fale rzeki tej zmełniały, a w mętnej wodzie były pośrednik giełdowy miasta Genui łowił grube ryby.

Na północy sprawy szły niepomyślnie. Zachwiały się solidne i trwałe przedsiębiorstwa w miastach. Statki nie wypływały na morze. Angielscy „piraci wojenni” stali się panami obszaru śródziemnomorskiego. Romanelli i Spiro, właściciele jednego z domów bankowych w Genui, wezwali wczesnym rankiem maklera Antonia Paganiniego do siebie. Przeczytali mu proklamację generała Bonaparte.

„Żołnierze, byliście źle odżywiani, jesteście prawie nędzy. Rząd Republiki wszystko wam zawdzięcza, lecz nic nie może dla was zrobić. Możecie się szczyścić waszą cierpliwością i heroicznym męstwem, ale te cnoty nie przynoszą wam ani sławy, ani zysków. Dlatego też powziąłem decyzję, aby wyprowadzić was z gór w najurodzajniejszą dolinę świata. Przed wami rozścielą się szerokie drogi z wielkimi miastami. Ujrzycie przepiękną prowincję, nowy kraj. Czekają was tam zaszczyty, sława i bogactwo.”

– I cóż! – wołał bankier Spiro wymachując przed nosem Paganiniego arkuszem niebieskiego papieru. – I cóż, czy ten ordynarny żołnierz spełnia wszystkie swoje obietnice, jakie dał tej armii rozbójników, którą wiedzie z Nicei? – I sam odpowiadał: – Tak! Grabi doszczętnie miasta i nakłada na ludność kontrybucję, która jest gorsza niż śmierć!

– Postanowiliśmy zamknąć bank – kontynuował wspólnik zwracając się do Antonia Paganiniego. – A dla ciebie, naszego wiernego pomocnika, mamy zaszczytną propozycję: pojedziesz na północ i odwieziesz pewien bagaż. To są worki z naszymi papierami, listami zastawnymi, weksłami, pokwitowaniami, akcjami i obligacjami. Gotówki nie będziemy wywozić. Zamkniemy bank i na pewien czas wyjedziemy z Genui jak najdalej. A ty zawieziesz do Cremony duszę i serce naszego przedsiębiorstwa.

Antonio długo milczał. Twarz jego stawała się coraz smutniejsza i smutniejsza. Nie podnosząc powiek obserwował w lustrze wyraz twarzy swoich rozmówców i wreszcie znów podniósł oczy. Były pełne udanego strachu. Na twarzach bankierów zjawiał się wyraz zakłopotania.

– Powierzaliśmy ci wielkie transakcje, byłeś naszym pośrednikiem we wszystkich morskich interesach banku. Powiedz, w jaki sposób moglibyśmy cię z góry wynagrodzić.

Romanelli powiedział zbyt wiele. Spiro nagle spochmurniał i oświadczył:

– Jeśli trudno ci to uczynić, signor Paganini, mógłbym porozumieć się z moim bratem – zamierza wyjechać na północ.

Wtedy stary makler zdecydował się zadać cios. Wiedział, jakie stosunki

panują między braćmi. Znana mu była ciemna sprawa, wskutek której bracia się rozeszli. Wiedział, że signor Spiro bynajmniej nie z powodu uczuć rodzinnych wyrzekł się ingerencji policji austriackiej w swoje stosunki z bratem i szybko zatuszował sprawę.

Paganini spojrział na nich, na twarzy jego zjawił się jeszcze boleśniejszy wyraz i powiedział:

– Wielce szanowni signorowie, mam żonę i dzieci. Nie mogę ich porzucić na pastwę losu. Opuszczając rodzinne miasto, muszę zabrać żonę i dzieci. Muszę kupić dobry powóz, będę musiał płacić drożej niż inni podróżni, żeby bez przeszkód otrzymywać konie, a jednocześnie powinienem robić wszystko, aby uważano mnie za podróżującego biedaka. Przyznacie mi chyba rację, że wasze polecenie równa się rozkazowi skoczenia w paszczę smoka.

Nastąpiło milczenie.

Trzy razy powtarzała się ta scena, po czym signor Spiro z ciężkim sercem wymienił sumę pięciu tysięcy lirów. Paganini wstał trzymając czapkę w rękach i powiedział:

– Signorowie, czeka na mnie rodzina, pozwólcie mi odejść i chciejcie mi wierzyć, że całym sercem...

Lecz wtedy Romanelli zatrzymał go gwałtownym gestem.

– Co się właściwie z tobą dzieje? Wymień więc taką sumę, która w zupełności byłaby korzystna dla twojej rodziny. Po co masz zabierać żonę i dzieci?

– Nie, signorowie, proszę mnie zwolnić...

Paganini skierował się ku wyjściu. Signor Spiro zastąpił mu szybko drogę i podszedł do półki z księgami bankowymi. Zdjąwszy grubą księgę, stanął z rozstawionymi nogami w drzwiach i rzekł:

– Spójrz, uparty człowieku! Co możemy zrobić, jeśli jesteśmy prawie zrujnowani.

– Nie chcę rujnować was jeszcze bardziej, signorowie – rzekł Paganini – sam utrzymuję się z nieszczęsnych groszy, zarobionych w ostatnich czasach pracą ponad siły.

– Powiedz zatem, co mamy dla ciebie zrobić.

Wówczas Paganini opuścił głowę i rzekł:

– Procenty od morskich operacji bankowych z chwilą, gdy szanowni signorowie wznowią te operacje. Do dokumentów, które mam zawieźć do Cremony, szlachetni signorowie raczą dołączyć zobowiązanie, na mocy którego stałbym się uczestnikiem dochodów bankowych, poza tym dwadzieścia tysięcy lirów gotówką w dniu wyjazdu.

Rozdział piąty

Droga po ziemi

W Cremonie, w północnych Włoszech, mieszkał signor Paolo Stradivarius. W owych dniach, w których toczy się akcja naszego opowiadania, pisał on prawie codziennie swój pamiętnik, w którym notował:

„Sabaudia i Nicea, fortece Alessandria i Coni, fortyfikacje Susy, Busetty i Ecsilia – zdobyto i zburzono. Jakiś nieznany generał francuski, obieżyświat i łotr, obległ ze wszystkich stron Mantuę, jedną z potężniejszych fortec... Mediolan zajęty przez wojska francuskie. Na bramie miejskiej widnieje napis: «Chwała świętemu orężowi francuskiemu!» Kobiety w barwnych sukniach i mężczyźni w odświętnych kamizelach witają Francuzów okrzykami i pieśniami. Oficerów obrzucają kwiatami, armaty wieńczą kwiatami i liśćmi winogrodu. Żandarmi cesarstwa austriackiego uciekli na północ, duchowieństwo w strachu opuszcza miasta, a wszystko to pod brutalnym naciskiem bandyty korsykańskiego, który prześladowuje religię katolicką i zamyka klasztory. Książę Parmy za samo zawieszenie broni zapłacił dwa miliony. Dał dwadzieścia najcenniejszych obrazów ze swej galerii, najpiękniejsze konie ze stajni parmeńskiej i pozostawił Parmę bez żywności. Książę Modeny dał dziesięć milionów, wszystkie obrazy i posągi ze swego pałacu. Król Neapolu ze strachu odwołał swoje wojsko, a nawet arcykapłan rzymski zapłacił dwadzieścia jeden milionów temu bandycie. Dał mu sto najpiękniejszych obrazów Watykanu, wyjechał z Bolonii do Ferrary, z Ferrary pojechał dalej, małodusznie udzieliwszy błogosławieństwa Ankonie na przyjęcie francuskiego garnizonu. Nawet nasza Lombardia zapłaciła tytułem kontrybucji dwadzieścia milionów. Co będzie dalej? Kto towarzyszy temu straszalnemu zbójowi? Jakiś Murat, syn szynkarza, jakiś nieznany Massena i jakiś tam Augerau. Ani jednego utytułowanego nazwiska, ani jednego szlachcica. Zresztą jest zbój z tytułem barona, pułkownik Marbot.”

27 grudnia 1797 roku generał francuski Dupont wmieszał się w uliczną bójkę między mieszkańcami Rzymu a żołnierzami i został śmiertelnie ranny. 10 lutego 1798 roku pod murami Rzymu zjawił się Berthier z osiemnastotysięczną armią. W pięć dni potem Wieczne Miasto, stolica świata, w której przebywał namiestnik Chrystusa, zostało nagle ogłoszone Republiką Rzymską i armia francuska z muzyką i sztandarami wkroczyła do

Rzymu. Zwłoki francuskiego generała Duponta zostały pochowane na Kapitolu, gdzie chowano największych mężów w historii świata, a arcykapłan rzymski, papież Pius VI, wywieziony został jako jeńiec do Valence w zwykłej karecie, pod konwojem oficerów francuskich, Miollisa i Radeta.

Genua głodowała. Generał Massena i wierny jego pomocnik Marbot karmili żołnierzy kleistym ciastem z owsa. Krochmal i groch wydawano co niedziela jako smakołyki. Zupełnie przyprawiano kawałkami skóry ze starych tornistrów. Tak żyli dzień po dniu i tak mijały miesiące. Francuzi głodowali. Żywność z północy dostarczana była nieregularnie. Francuskie transporty wysłane z Marsylii zostały przechwycone. A na horyzoncie zjawiały się wciąż nowe i nowe białe punkciki. Ogromne żagle potężnych okrętów białeły o zachodzie słońca. Okręty zarzucały kotwice i długa zapora, zamykając cały widnokrąg, opasywała morską dal. Patrole francuskie chodziły po wybrzeżu, skrząc czakami i kaskami. Ulicznicy pokpiwali sobie patrząc, jak na wychudłych i zbiedzonych ciałach kotyszą się podarte mundury – zbieranina odzieży, w której obok mnisich sutann, przerobionych na płaszcze wojskowe, widniały mundury gwardii narodowej, milicji paryskiej i konwentu.

Patrole francuskie nie puszczały mieszkańców na brzeg. Na końcu mola stały warty. Zarekwirowane statki kupców genueńskich dostosowano do wymogów francuskiej służby wojskowej. Dowództwo francuskie z trwogą obserwowało horyzont. Lekkie i patrolowe statki, tworzące las okrętowych masztów, zostały zastąpione przez wielkie okręty liniowe. To gromadziła się wielka potęga, eskadra admirała angielskiego Keysa. Na granitowym nabrzeżu ustawiono baterie; długie miedziane działa, zdjęte z kół, i przewrócone lawety leżały obok siebie. Pociski, bombardy, moździerz i jaszczce z prochem – wszystko to w wielkim nieładzie zalegało wybrzeże.

Generał Massena dawno już powinien był odejść na północ, lecz obawa przed desantem angielskim zmuszała go do pozostawiania w mieście, gdzie głodująca ludność zjadła już ostatnie gołębie i wrony, gdzie psy i koty od dawna już nie mogły bezpiecznie ukazywać się na ulicy, a żołnierze francuscy musieli przedzierzgać się w rybaków, odbierać sieci okolicznym chłopom i o zmierzchu płynąć na łodziach w głąb morza poza molo.

W owe dni, kiedy z dala dobiegał huk kanonady, kiedy rwały się żagle na morzu u wybrzeża liguryjskiego, kiedy płonęły pokłady, padały rozszczerzone maszty, gdy daleko na śniegach górskich płonęły ogniska, a po zboczach przebiegały grupy krzyczących ludzi ze wzniesionymi karabinami

– w owe dni przez Como, Bergamo, Peschiera toczyła się stara, zniszczona karetą z odrapanymi drzwiczkami i wybitymi szybami. Opatuleni przed wiatrem, siedzieli w niej mężczyzna, kobieta i chłopiec. Ogromne tłumoki były umocowane na dachu. Forys i stangreci pogwizdywali i strzelali z bata, poganiając chude szkapy. Karetą co chwila zatrzymywała się, napotykając ludzi, którzy szli pieszo. Podróżni dowiedzieli się od nich, że droga na Pawię i Piacenzę zajęta jest przez oddziały francuskie. Wobec tego zawrócili na południe. Droga do Cremony była ciężka, musieli więc kluczyć bocznymi traktami. Działa armii francuskiej zniszczyły drogi. Wszędzie, gdziekolwiek przetoczyły się baterie francuskie, pozostały głębokie koleiny.

Podróżni nikomu nie przedstawiali się jako signorowie Paganini. Podawali się za rodzinę biednego nastraszonego wojną fryzjera, który przesiedlał się z wybrzeża do rodzinnego miasta w północnej Italii. Nocowali w małych, brudnych hotelach. Spali nie rozbierając się i stary Paganini wciąż gderał wymawiając żonie, że nalegała, by uciekać z Ligurii. Z początku czynił to jak aktor, żeby ukryć istotny cel podróży. Potem rozsmakował się w tym.

Wciąż wyżej i wyżej biegła droga. Przepych cienistych, gęstych, zielonych parków, niskie latorośle winogrodu, których złocista zieleń okrywała zbocza, oświetlone słońcem pomarańczowe i cytrynowe drzewa coraz częściej ustępowały miejsca tulipanowym polom, szarym i odludnym gajom oliwnym. Na ogromnej przestrzeni rozlewało się zielone światło przejrzystego, przesyconego słońcem listowia. Gdy wjechali do miasta, złamała się os karety. Wypadło zatrzymać się tu na całe trzy dni w oczekiwaniu na reperację powozu. Był to pierwszy długi postój. Wyczerpany trudami podróży i ociążony po wypiciu flaszki wina, signor Paganini zasnął i spał nieprzerwanym snem dwadzieścia osiem godzin.

Mały Paganini wszedł do gołębnika i wyjął skrzypce z futerału. Wziął smyczek i zaczął grać bez nut. Matka pilnowała rzeczy, pijany ojciec spał. U podnóża góry kował rozdmuchiwał palenisko. Jeszcze minutę temu, strojąc przed lustrem najdziksze grymasy i pokazując sobie samemu język, Nicolo wcale nie myślał o skrzypcach. A tu nagle zachciało mu się za pomocą dźwięków opowiedzieć o wszystkich wrażeniach podróży, oddać swoje dziecięce odczucie całego tego zielonego, bujnie kwitającego świata.

Rybacki, którzy wracali z jeziora, zatrzymali się i słuchali skrzypiec.

Minęła godzina. Chłopiec wciąż grał, dopóki nie ujrzał w oknie tłumu mieszczan, rybaków z sieciami i myśliwego z dubeltówką. Przerwał grę, odłożył skrzypce i ostrożnie zszedł po schodach.

Droga pięła się coraz wyżej i wyżej. Wciąż trudniej było o zmianę koni. Szkapę ledwo ciągnęły duża, szeroka karetę. Nieraz trzeba było zatrzymać się w pierwszym lepszym osiedlu, by dać odpocząć koniom nie wyprzegając ich. Postoje te były wielkim nieszczęściem dla Nicola. Stary Paganini, jakby ogarnięty nagłym szaleństwem, zaczął żądać, by syn grał na każdym postoju. Budził go po nocach i zmuszał do gry całymi godzinami. Gdy zmęczony, osłabły chłopiec wypuszczał smyczek z ręki, ojciec kopniakiem przywoływał go do porządku.

Tak minęły cztery tygodnie drogi. Chłopiec ledwo trzymał się na nogach. W deszcz i na wietrze, przesywającym na wskroś, zaziębił się, zaczął kasłać i płuć krwią. Nie bacząc na to, ojciec nie skąpił mu razów. Omyłka w pasażu, źle zagrany takt, ospałość gry – wszystko było powodem do kary. Winogrona z gotowanym ryżem odsuwano w najdalszy kąt stołu. Chłopiec mógł tylko z daleka patrzeć na te smakołyki. Przeciągał smyczkiem po strunach aż do całkowitego wyczerpania. Talerz gotowanego ryżu przemieniał się w wysoką górę śniegową, kolana uginaty się, podbródek ciężiej opadał na skrzypce; chłopiec trząsał się jak w febrze, palce biegły szybciej po gryfie. Jak tu jest inaczej niż w ciepłej, jasno oświetlonej słońcem dolinie Lombardii! Tam ciepłe dźwięki basowe opowiadały o wrażeniach, którymi obdarzała go ciepła i potężna zieleń, a tu – śnieżne polany, wysoka góra i blade plamy lasów na wiecznych śniegach. I oto śnieg, chłodne iskry błękitnego firnu zlatywały się ku delikatnej, dzwoniącej srebrem kwincie. Kwinta śpiewała czystym wysokim głosem, wygrywając melodię śnieżnych szczytów.

Ojciec wychodził i mały Paganini ostrożnie rozwiązywał rzemień, którym był przewiązany koszyk z jądłem. Po czym ukradkiem wybiegał z domu. Biegł po górskich zboczach wyprasając u staruszek kawałek sera owczego albo filiżankę mleka. Zmęczony i podrapany przez ostre kamienie, zaszywał się w najgłuchsze kąty, gdzie ojciec nie mógł go znaleźć. Zasypiał na gałęziach drzew, ogrzany promieniami słońca, i przeklinał skrzypce, które stały się dla niego narzędziem tortury.

W Genui, w starożytnej katowni, chłopiec nieraz miał okazję widzieć drewniane cholewy i dyby, przypominające z kształtu dekę skrzypiec. Były to części tak zwanego buta hiszpańskiego, którym obciskano nogę przestęp-

cý podczas tortur. Skrzypce stały się takim samym narzędziem tortury dla rąk, serca i mózgu dziecka. Łokcie i ramiona bolały, palce nie mogły utrzymać smyczka, lewa ręka wypuszczała gryf i skrzypce padały na matę. Prócz tego całymi tygodniami nie schodziły sińce, skutek umiejętnych uszczypnięć rodzonej ojcowskiej ręki. Ręce, nogi, twarz, szyja – wszystko było w sińcach. Matka przypadała do stóp ojca, błagając, by oszczędził dziecko, lecz wstawiennictwo jej jeszcze bardziej go drażniło. Nic nie mogło złagodzić uporczywości starego Paganiniego.

– Zrobę z ciebie znakomitość, przeklęta małpo! I tak jesteś sprzedany diabłu – a więc albo zginiesz, albo też zapewnisz mi dostatnią starość. Ja cię, szczeniaku, pokażę wielkiemu tłumowi świetnych i bogatych panów, gdy świat znów stanie na swoim miejscu po odejściu przeklętych francuskich włóczęgów. Będziesz zachwycał i wzruszał bogatych ludzi, wzbudzisz w nich rozczulenie, które każe im zapomnieć o skapstwie.

Nastały niespokojne dni. Uciekinierzy z południowych wikariatów opuszczali z pośpiechem Lombardię. Mówiono, że całe północne Włochy są opanowane przez Francuzów. Starzec postanowił uciec do Szwajcarii. Rozpoczęła się tułaczka wzdłuż brzegów Ticino. Od samego Prato, poprzez Dacę, Grande i Chioto – krętymi drogami na Bruniasco, Altanę i Ronno: Przyjechali w okolice jeziora Ritom i tam zatrzymali się.

Znów droga zamigotała śnieżnymi zboczami, sosnami i jodłami śpiewającymi pod wiatr. Kostniały ręce, marzły nogi, twarz owiewał surowy wiatr. Powóz podskakiwał na wybojach. Grząski śnieg ustępował miejsca kamienistemu gruntowi, tętent dwudziestu czterech podków budził nagle starego Paganiniego, który jak nastroszony ptak siedział w kącie karety i strącał rękawem krople zamarzające na końcu czerwonego nosa.

Rozdział szósty

Cremona

Po okropnym tygodniu w górach – znów zieleni, znów droga, gdzie zbocza i doliny biegną na przemian, ustępując niekiedy miejsca lodowym obszarom jezior górskich i niezmiernym pastwiskom. Dźwięki pastusze-

go rogu przesywają powietrze, dolatuje głos dzwonów, cała natura napętnia się niezliczoną mnogością dźwięków.

Wreszcie ukazały się stare mury forteczne Cremony. Dwie rzeczki i jedna rzeka. Mała Adda, mała Oglio i wielki, rozlewisty Pad. Forteca z zamkiem o niezwykłej piękności. Oto rogatki. Signor Antonio musi wyprostować zdrętwiałe nogi, garbiąc się wysiąść z karety, wejść do małego domu z szarego kamienia i okazać czepiającemu się byle czego wachmistrzowi dokumenty uprawniające signora Antonia Paganiniego do odbycia podróży – teraz nie był to już nikomu nie znany fryzjer, wracający do rodzinnego miasta, ale człowiek czcigodny i szanowany, były makler, jadący z małżonką Teresą i synem Nicolo.

Potem znów smagnięcie biczem, konie mkną na prawo w zaulek, gdzie stoi dwór messagera, zwykle miejsce postoju. Kilka gwałtownych szarpnięć lejcam i okrzyków, kilka uderzeń biczem i, przestępując z nogi na nogę, zmęczone szkapy skręcają w przeciwnym kierunku.

Oto już plac miejski. Starożytne germańsko-lombardzkie domy XII stulecia. Czerwony i różowy marmur, wysoka wieża katedry. Oto dom z ostrym dachem z czerwonej dachówki. Niskie, ale szerokie drzwi otwierają się gościnnie przed podróżnymi. Starszy brać ojca, Vittorio Paganini, stoi na progu. Siwa peruka z własnych włosów, czerwony nos, ołowiane oczy, z gruba ciosany, suchy, pokryty cienkimi zmarszczkami podbródek z czarnym dołkiem w środku, podobnym do wetkniętego gwoździa, małe, szare uszy, jak gdyby dawno już nie myte.

Oczy wywierają na chłopcu przykre wrażenie. Po wzajemnych słowach powitania stryj odrzuca połę surduta, wyjmując z kieszeni tabakierkę, wacha tabakę i kicha. Łzy mu płyną z oczu. Stryj ociera łzy chusteczką z zielonego jedwabiu, wyszywaną w wielkie krzyżujące się klucze. Takie chusteczki miały tylko osoby duchowne albo ci, którzy obdarzyli Kościół hojnym datkiem.

Minął ranek. Nicolo z matką udają się do kościoła. Matka modli się żarliwie pod freskiem, który przedstawia anioła grającego na skrzypcach.

W nocy matka dostała ataku febry. W drodze trzymała się dobrze. Wieczny niepokój o Nicola, obawa, że razy ojca doprowadzą dziecko do mogiły, stała troska o zachowanie lepszego kąska dla syna – wszystko to zmuszało ją do zwalczania słabości i ukrywania cierpień. A tu, w Cremonie, już pierwszego dnia poszła do spowiedzi. Nagłe omdlenie złamało jej siły.

Nad ranem, miotając się w gorączce, zawołała syna. Długo patrzyła na niego w milczeniu, po czym rzekła słabym głosem:

– Chłopcze, dziś w nocy anioł, ten sam, którego widzieliśmy na świętym obrazie w katedrze, powiedział mi, że będziesz pierwszym skrzypkiem świata. Nie na próżno przyjechalіśmy do tego miasta. Żyli tu najlepsi mistrzowie lutnicy – Amati, Guarneri i Stradivarius. Czuję, że pochowasz tu swoją matkę. Przyrzeknij mi, że nigdy nie rozstanieś się ze skrzypcami.

Chłopiec przestraszył się, uklęknął i zapłakał. Twarz jego stała się jeszcze brzydsza, gdy po wystających kościach policzkowych i trójkątnym podbródku pociekły łzy. Nicolo obiecał matce, że spełni wszystko, co mu rozkaże. Obiecałby tysiące razy więcej, byleby nie słyseć skarg i nie przeżywać uczucia lęku na myśl, że matka może odejść od niego na wieki.

Mijały dni. Niepokój minął. Matka wyzdrowiała.

Stryj stawał się z dnia na dzień coraz weselszy i bardziej czuły. Coraz częściej wszczynał rozmowy z Nicolo i mgliste podejrzenie wkrađło się w serce chłopca, który nabrał pierwszego doświadczenia życiowego w schronisku. Mały Paganini miał się na bacności, jak dorosły. Poczłł, że ojciec coś ukrywa w rozmowach ze stryjem, a stryj usiłuje dowiedzieć się od Nicola, co tak zazdrośnie ukrywa ojciec. Lecz chłopiec o niczym nie wiedział i po raz pierwszy żałował, że nie zna interesów ojca. Na wszelki wypadek udawał jednak, że coś niecoś wie, lecz musi milczeć. Manewr udał się. Od tego dnia miał już stryjka prawie że w swych rękach.

– Szarpiesz mi uszy swoją grą, masz okropne skrzypce! – rzekł pewnego dnia stryj.

Mały Paganini czuł, że jest to tylko początek poważnej rozmowy i przygotował się do niej. Znów zrobił minę człowieka, który zataił jakiś sekret – i przeszedł do kontrofensywy. Zapytał, czy nie są zmyślone wszystkie te opowieści o skrzypcach kremańskich, o mistrzach wyrabiających skrzypce, którzy rozslawili rodzinne miasto, i wreszcie o Paolo Stradivariusie, który mieszka przy placu katedralnym. Stryj patrzył na niego uważnie, jak gdyby nic nie pojmując. Wreszcie odparł:

– Głuptasku, nasze miasto słynie na całym świecie z fabryk jedwabiu. Co prawda przyjechał tu w zeszłym roku jakiś zwariowany lord angielski, rozpytywał wciąż i notował wiadomości o signorach Stradivariusach. Signorowie Stradivariusowie to czcigodna szlachta naszego miasta. Byli senatorami i nigdy nie zajmowali się rzemiosłem. Daleki ich przodek robił wprawdzie skrzypce, lecz był to także szlachcic, wyrabiał je z amatorstwa i nigdy nie handlował swoimi wyrobami.

Chłopiec słuchał go nieufnie.

– Powiedz mi – starzec usiłował przejść na interesujący go temat – podobno przed wyjazdem z Genui żyliście w biedzie?

– Nie, strytku – odparł lakonicznie chłopiec.

– Ach, tak! A więc żyliście w nędzy?

– Nie, strytku – tymże tonem odparł Nicolo.

– A więc byliście nędzarzami?

– Nie, stryju.

Wtedy stryj postanowił zmienić temat rozmowy.

– Wiesz co – rzekł – signor Paolo Stradivarius żyje dotychczas. Opowiadał mi, jak ów zwariowany lord angielski zasypywał go pytaniami o przodków signora Paola, którzy wyrabiali ongiś skrzypce. A więc chcę ci powiedzieć: jeśli interesy ojca poprawiły się i ma teraz pieniądze, to poproś go, żeby kupił ci skrzypce lepiej u hrabiego Cosio. Dziwak ten skolekcjonował sześćset skrzypiec. Signor Paolo zawsze posyła ludzi do niego, gdy ktokolwiek, jak ów zwariowany lord, zaczyna go zanudzać. Sam signor Paolo nienawidzi skrzypiec.

Wiadomości te nie uspokoiły chłopca.

I oto pewnego razu signor Paolo Stradivarius bardzo się przestraszył ujrawszy, jak z drzewa przez okno zeskokczył do jego pokoju czarnowłosy obwieś, podobny do małpy.

– Signor, na Boga, proszę mi wybaczyć! – zawołał chłopiec. – Pukam już trzy godziny, lecz nikt mi nie otwiera bramy.

Signor Paolo kulejąc podbiegł do okna i chwycił laskę. Zamierzał uderzyć chłopca sądząc, że to złodziej. Wówczas mały Paganini ukłękła.

– Błagam was, signor, proszę mnie nie bić! Wystarczy, że bije mnie ojciec! Chciałem się tylko dowiedzieć, jak robią skrzypce signorowie Stradivariusowie.

Signor Paolo nachmurzył się.

– Skąd przyszedłeś, szalona małpko, i kto opowiadał ci bajdy o skrzypcach? Przodkowie moi byli senatorami, mieli purpurowe płaszcze i czapki. Nic nie obchodzi mnie plotki, które krążą o naszym sławnym rodzie... Zaczekaj. – I nagle signor Stradivarius złapał chłopca za kołnierz. – Jesteś po prostu złodziejem! Po raz setny powtórzyłeś pytanie, które zadawali mi zbzikowani Anglicy. Kiedy byłem młody, ani jeden dureń nie interesował się starymi rupieciami skrzypcowymi. A teraz ci angielscy obłąkańcy nie dają mi spokoju. Kto cię przysłał? – zapytał ostro Stradivarius.

– Nikt, signor! Nikt mnie nie przysłał. Przyszedłem sam, z własnej chęci. Gram na skrzypcach, które...

– W tym mieście całe powietrze jest zatrute! – zawołał signor Paolo. – To jest jakiś szal! O skrzypcach Stradivariusa krążą plotki po całym mieście. Wynikałoby z tego, że jestem potomkiem rzemieślników. – Po czym signor Paolo nieco zmiękł. – A coś ty za jeden? – zapytał chłopca. – Ile masz lat? Łżesz, że w tak młodym wieku umiesz grać na skrzypcach.

– Pochodzę z Genui – odparł chłopiec. – Jestem synem signora Antonia Paganiniego. Ojciec uczył mnie grać na skrzypcach. Kocham skrzypce, chociaż ojciec czyni wszystko, żebym przestał je kochać.

– A ja myślałem, że jesteś złodziejaszkiem – rzekł signor Paolo. – Mieszkam w Cremonie i piszę kronikę naszych czasów. Okropna burza nadciąga nad naszą Italię... – starzec mówił jak gdyby do samego siebie. – W ciągu roku zaszyły na świecie takie wypadki, jakich nie było w ciągu całego stulecia. A więc sądziłeś, że nie ma nikogo w domu – zwrócił się do chłopca – i zamierzałeś coś ukraść?

Znów podniósł laskę i znów ją opuścił. W tej chwili chłopiec zauważył, że signor Paolo jest zupełnie zgrzybiałym starcem. Chwilami staremu Stradivariusowi opadała szczęka. Jakieś dziwne ordery, źle przytwierdzone do surduta, kotływały się na jego zapadłej piersi...

– Cała Europa jest zarażona szaleństwem! To detronizują królów, to znowu zaczynają rupiecie skrzypcowe cenić bardziej niż nowoczesne dobre skrzypce. Należałoby wpierw dowieść, że stare skrzypce są lepsze od nowych... Należałoby dowieść, że nowa polityka jest lepsza od starej – dodał. Nagle starczą jego twarz zeszpecił wściekły grymas. – Należałoby jeszcze dowieść – zawołał – że republika francuska jest więcej warta niż dobre stare monarchie!

Starzec przymknął powieki, po czym, jak gdyby usiłując je otworzyć, zwrócił się do Nicola:

– A zatem, chłopcze, idź do hrabiego Cosio. Dureń ten dostał obłędu na runcie skrzypiec. To on rozpuszcza plotki o tym, że w domu Stradivariusa uprawiano rzemiosło. Nie dawaj wiary temu, co hrabia Cosio rozpowiada o naszej rodzinie, gdyż to stary maniak i łgarz, ale skrzypiec ma wiele i jest niezłym człowiekiem.

Signor Paolo wziął ze stołu dzwoneczek i zadzwonił. Weszła czterdziestoletnia kobieta, rumiana, zdrowa i krzepka. Z niezadowolaniem spojrzała na starego signora, zerknęła z oburzeniem na małego Paganiniego i zwracając się do signora Paolo zapytała gniewnie:

– Co to za hałas?

– Katarzyna – odrzekł Stradivarius – odprowadź chłopca do drzwi i przygotuj śniadanie.

– Nie ma wina – odparła Katarzyna. – W jaki sposób ten mały nicpoń tu trafił?

Mówiła opryskliwie, z taką miną, jak gdyby chciała podkreślić, że to ona jest gospodynią domu, a signor Stradivarius – jej podwładnym.

– Ty masz klucze, Katarzyna – odparł z rozdrażnieniem Stradivarius.

– A pan przecież ma pieniądze – ordynarnie odcięła się Katarzyna.

– Ty masz pieniądze – usiłował zaprotestować starzec.

– Wydałam wszystkie.

Signor Stradivarius poruszył wargami, chciał jakoś zaoponować, zrobił nieokreślony gest i zaczął szperać w kieszeni surduta, usiłując wyjąć klucze. Długo szukał pieniędzy w ściennej szafie. Wreszcie Katarzyna wyrwała mu z rąk mieszki ze srebrnymi monetami i obróciwszy się szybko ku małemu Paganiniemu, zawołała:

– Chodź!

– Idź na plac Świętego Dominika! – zawołał w ślad za nim Stradivarius.

– Kto cię wpuścił do domu, diabłu? – surowo zapytała Katarzyna otwierając przed Nicolo drzwi.

Żeby nie komplikować sytuacji, chłopiec pośpiesznie czmychnął w otwarte drzwi i pobiegł po jezdni.

Zbliżał się już do dwupiętrowego domu hrabiego Cosio, gdy nagle omal nie upadł od uderzenia w ucho. Ktoś chwycił go za ramiona i zaczął bezlitośnie nim potrząsać. Podniósłszy oczy chłopiec ujrzał wściekłą twarz signora Antonia.

– Toś ty tutaj, bękarcie! Toś ty tutaj, złodzieju rodzinnego szczęścia! Jaki diabeł nosi cię po ulicach, gdy ja, troszcząc się o ciebie, dwa dni już staram się o widzenie z hrabią Cosio? Zgodził się dziś słuchać twojej gry, a ciebie, jak na złość, poniosło, diabli wiedzą dokąd. Jeżeli będziesz się włóczył bez pozwolenia po ulicach...

– Ależ puśćcie mnie, ojcze! – zawołał chłopiec. – Idę do hrabiego Cosio, wiem już o wszystkim!

Signor Antonio puścił go, spojrział ze zdumieniem na rękę, która przed chwilą trzymała syna za kołnierz, i rzekł:

– Co takiego? Co? Coś powiedział?

– No tak, ojcze – szybko zaczął mówić Nicolo improwizując pośpiesznie

wykrętne zdanie – no tak, idę do hrabiego Cosio, ponieważ... ponieważ...
zawiadomiono, mnie, że...

- Łżesz! – wrzasnął starzec. – Płacze ci się język.
- To dlatego, że ścisnęliśmy mi gardło – tłumaczył się chłopiec.
- Nie, to wcale nie z tego powodu, ale dlatego, że łżesz!

Chłopiec wygrał na czasie. Stanęli przed sztachetami ogrodzenia. Signor Antonio zastukał. Odźwierny otworzył drzwi. Stary Paganini, podskakując nieco i tańcząc, uklonił się odźwiernemu z takim szacunkiem, jak gdyby od tego człowieka bardzo wiele zależało, i poprosił, by zaanonsował panu hrabiemu o przybyciu jego uniżonego sługi Paganiniego z chłopcem, cudownym skrzypkiem.

Nicolo drgnął i jak zwierzątko błysnął oczami, spoglądając spode łba na ojca. Cudowny skrzypek! Nagle wydało mu się, że poszły w zapomnienie szturchańce ojcowskie i krzywdy, zapragnął podbiec do ojca i powiedzieć mu, że nie trzeba go wcale bić, że sam zrobi wszystko, co należy, bo bardzo kocha muzykę i skrzypce, a po chłości, przeciwnie, za każdym razem zupełnie już nie może grać... Ale ujrawszy służalczy i nędzny uśmiech starca, chłopiec zrozumiał, że dla tego człowieka nie istnieją cierpienia Nicola, że stary traktuje syna jak rzecz, jak instrument, który ma przynieść mu zysk, jak maszynę, która musi zapewnić murowaną wygraną. Serce małego Paganiniego ścisnęło się. Nigdy dawniej nie widział tak przebiegłego i podłego uśmiechu na twarzy ojca.

Ojciec nie krępował się obecnością syna. Starzec nie zauważył nawet bacznego spojrzenia małego człowieka, który stał obok. Nicolo mniej znaczył dla ojca niż papuga dla kataryniarza lub małpa dla Sabaudczyka. Papuga ta powinna wkrótce wyciągnąć kataryniarzowi najszcześniejszy los.

Po chwili ojciec z synem weszli do wielkiego i pustego salonu, gdzie przy niedużym stole siedział starzec z orlim nosem i okrągłymi, żywymi oczami drapieżnego ptaka. Miał na sobie białą perukę z lokami, ciemnoamarantowy surdut i bardzo brudny koronkowy żabot. Pożółkłe mankiety, przytwierdzone do rękawów surduta i obciskające szczupłe, suche ręce, były podobne do starych szmat. Uważne oko mogło dostrzec, że są to najmisterniejsze i najtrwalsze koronki wyrabiane w północnych Włoszech. Nie były zniszczone, chociaż całymi latami nie zdejmowano ich z rękawów surduta. Wytarte i wyblakłe, wciąż jeszcze zachowywały piękność swoich deseni. Stanowiły harmonijną całość z właścicielem. Czas wyrzył zmarszczki na jego obliczu, którego defekty przyrodzone pogłębiły się pod wpływem lat, rysy

stały się bardziej ostre i jak trwały, nie ulegający zniszczeniu zamsz zakonserwowała się skóra starczej twarzy. Wszystko wytarło się, wszystko wypłowiło, ale ani trochę nie zmniejszyła się trwałość tej istoty, na której widok można było zadać sobie pytanie, ileż stuleci pod deszczem i słońcem włoskiej pogody istnieje ten człowiek.

Hrabia Cosio obejrzał swoich gości od stóp do głów, powoli ogarniając spojrzeniem to jednego, to drugiego. Po czym roześmiał się głośno. Jego ochrypty śmiech wypełnił cały duży, wysoki salon.

– Tak, o tym szczeniaku mówił mi znakomity Menegetti. Ale on jest mniejszy niż jakiegokolwiek najmniejsze skrzypce Amatiego! – Rozłożył ręce. – Dziecinne „Ponchon” w zeszłym tygodniu sprzedałem zwiariowanemu Anglikowi. Były to jedyne znane mi skrzypce Stradivariusu zrobione dla dziecka. Na czym więc będzie grał pański syn, signor Paganini?

– Na tym, na czym rozkaże pan hrabia – odparł chłopiec nie spojrzawszy nawet na ojca.

Cosio podszedł do ściany i pociągnął za sznurek. Poruszyła się duża, amarantowa kotara i w promieniach słońca w oszklonych szafach zaiskrzyły się dziesiątki żółtych, zielonkawych, złocistych, czekoladowych i ciemnowiśniowych skrzypiec ze smyczkami, prostymi i surowymi, wytwornymi i ozdobnymi, inkrustowanymi perłami i masą perłową. Wisiały tu grube, pękate wiolonczele, potężne, pełnokrwiste altówki, skrzypce z krótkimi i długimi smyczkami, z gryfami, które mistrze lutnicy ozdobili fantastycznymi główkami i lwimi paszczami. I wreszcie Paganini ujrzał dziwaczne, brzydkie skrzypce, krótkie i grube, z głową buldoga na gryfie.

Mały skrzypek nie mógł oderwać oczu od szaf stojących wzdłuż dużej ściany salonu jak *panneau* wysokości półtora człowieka. A stary Cosio oczami fanatyka i zakochanego patrzył na fantastyczny zbiór skrzypiec, na ulubioną swoją kolekcję przez złociste potoki promieni słonecznych, oświetlających smugę migocących iskierok drobno pyłu pokojowego.

Cosio podszedł do Paganiniego. Odgarnął mu włosy z czoła, spojrzął uważnie na brwi, na czoło, na oczy i rzekł:

– Mam dziewięćdziesiąt siedem lat. Osiemdziesiąt lat poświęciłem na zbieranie tych skarbów. Według moich obliczeń i według przepowiedni moich astrologów pozostały mi jeszcze dwa lata życia. Dom, w którym się znajduję, zawiera najpiękniejszą na świecie kolekcję instrumentów muzycznych. Dzięki nim istnieje ziemia, dzięki nim Stwórca Wszechświata tchnął

w człowieka obłądną pasję przekształcania nędznego życia w piękne dźwięki.

Wypowiedziawszy patetyczne te zdania starzec podszedł do jednej z szaf. Wyjął pęk najdrobniejszych kluczyków i zaczął otwierać szereg ozdobnych zameczków. Gdy włożył kluczyk w ostatni zamek, podwójne drzwiczki z cichym śpiewem otworzyły się same, jesionowa rama poruszyła się na zawiasach i starzec zdjął ze ściany stare złociste skrzypce. Ostrożnie, trzymając je lewą ręką za gryf i nie ścierając z nich kurzu, wręczył skrzypce chłopcu, po czym tak samo ostrożnie, prawie że uroczyście dał mu smyczek. Mały skrzypek zagrał.

Rozdział siódmy

Hrabia Cosio

Signor Paganini poinformował Teresę:

– Otrzymałem od hrabiego Cosio zapomogę w sumie dziesięciu luidorów.

– Czy nie mamy już własnych pieniędzy? – zapytała ze zdenerwowaniem Teresa.

– Ach, znów dziwaczysz! – gniewnie odparł starzec. – Nie mogę przecież wydawać na szczeniaka pieniędzy, które mi powierzyli moi szefowie. Nieprędko jeszcze wydusisz z niego chociażby centesimo. Trzeba go uczyć i uczyć. Hrabia Cosio twierdzi, że chłopiec się zmarnuje, jeśli natychmiast nie będzie pobierał lekcji u signora Rolli. Ale wiem przecie, jak drogo każe sobie płacić Rolla. Sądzę, że lepiej wcale nie kształcić chłopca za pieniądze, lecz po prostu wyruszyć z nim w podróż po Lombardii, gdy nareszcie pójdą sobie precz przekłęci Francuzi. A oni pójdą sobie, wierzaj mi, że pójdą. Wczoraj zebrali się tu księża, przyjechał żandarm z Wiednia, przebrany za kanonika, i przywiózł dobre wiadomości. Francuzów wszędzie biją, wkrótce ich nie będzie.

Z tymi słowami starzec wyjął gruby zielony pugilares i wyciągnął stamtąd plik jakichś dokumentów.

– Otóż – rzekł – papiery te od roku 1789 wyszły z obiegu na całym świecie. Po śmierci króla francuskiego znaleźli się królowie, którzy zaczęli całymi workami niszczyć akcje francuskie, wypuszczone za jego panowania. I oto teraz wykupiłem je w całej Cremonie. Nie minie nawet miesiąc, gdy będę najbogatszym człowiekiem Lombardii.

– A jeżeli Francuzi nie odejdą?

– Odejdą. Tutejszy astrolog przepowiada całkowitą ich porażkę. Gwiazdy i planety wróżą im zagładę. Mars wszedł w konstelację Astrei, a Astrea – to Austria, austriacka monarchia Habsburgów. Czy wiesz, że po wygranej ofiarowałem pieniądze na Kościół? Opat Saganelli mówił mi: „Niech pan kupuje te akcje, niech pan kupuje.” Kupiłem je u niego na sumę dwóch tysięcy lirów.

Stary Cosio opowiadał małemu Paganiniemu historię skrzypiec.

– Słyszysz, chłopcze – mówił starzec przechadzając się po ogromnej, pustej sali swego pałacu – tu jest ojczyzna najświetniejszych skrzypiec na świecie. Stało się tak dlatego, że rośnie tu asarol, nam tylko znany rodzaj drzewa, i natura czyni tu człowieka tak bardzo czułym na dźwięki i tak rozkochanym w wielkiej sztuce. Trzy wieki temu w naszym mieście żył niejaki Giovanni Marco del Bussetto. Przyjął on do swej rodziny niejakiego Andrea Amatego. Bussetto był uczciwym rzemieślnikiem. Andrea Amati był możnym signorem. I dzięki wspólnemu zamiłowaniu zaprzyjaźnili się. Stary i młody rozumieli się nawzajem równie dobrze, jak dziś ja z tobą. Andrea Amati nie wrócił już do moźnej swej rodziny. Rodzina uważała, że zhańbił on rodowy tytuł tym, iż stał się rzemieślnikiem. Do tej pory wielu nie rozumie, że szlachetnej sztuki wyrobu skrzypiec nie można zaliczyć do rodzaju pospolitych rzemiosł. Poszedłbyś, dajmy na to, do signora Paola Stradivariusa; on będzie się starał zataić, że jest potomkiem skrzypka i mistrzów lutników, choć kupiony jego tytuł gorszy jest niż talent przyrodzony mistrza lutnika. Lecz nie będę mówił o signorze Paolo. Jest to człowiek dobry, pisze pamiętniki i kroniki dla dalekich potomków, nie żyje naszym życiem... Czemu Amati porzucił swoją rodzinę? Powód godny śmiechu. Mały Andrea Amati bawił się z dziećmi Bussetta. Dzieciom rzemieślnika pozwalano bawić się w ogrodzie Amatego. Amati bywał w pracowni Bussetta. Andrea Amati zaczął od zabawy. Wyrabiał skrzypce – zabawki. Bussetto mu pomagał. Pod nieobecność ojca mały Amati ściał grusze w ojcowskim sadzie i podarował je Bussettiemu. Wiesz, że z drzewa gruszy wyrabia się deki do skrzypiec Amatego. Gdy stary Amati wrócił do domu i zobaczył, co się dzieje w ogrodzie, nie bacząc na perswazje star-

ców, nie mógł nic innego wymyślić, jak wtrącić swe dziecko do więzienia. I tak to się zaczęło. Gdy chłopca zwolniono z więzienia, pozostał w rodzinie Bussetta i żadne namowy nie mogły go skłonić, by powrócił do domu.

Stary podszedł do szafy i pokazał cienkie deszczułki zrobione z drobno-słoistego, złocistego drzewa:

– Oto drzewo gruszy, której owoce okazały się tak gorzkie dla małego Amatego, a tak słodkie dla nas... Starzy umierają wcześniej od młodych. Ojciec prawie zawsze umiera wcześniej od syna. Andrea Amati odziedziczył wielki majątek. Lecz oto masz przykład szlachetnego zapалу: Amati już nie mógł wyrzec się swego rzemiosła i stał się lutnikiem. Być może, prawdę mówią, że w więzieniu zastał na umyśle. Pracował jakby w jakimś gorączkowym podnieceniu. Tak śpieszył się i tak wyteżał resztę sił, że ani w dzień, ani w nocy nie zaznawał spokoju. Niczym się nie zajmował oprócz wyrobu skrzypiec, a jeśli żona zapominała mu przynieść obiad do pracowni, mógł, nie czując głodu, przesiedzieć dwie, trzy doby, dopóki nie skończył roboty. Przepowiadano mu, że uzyska nieśmiertelność po zrobieniu czterystu skrzypiec. Śpieszył się, aczkolwiek doskonale wiedział, że ta nieśmiertelność nie będzie nieśmiertelnością jego powłoki cielesnej. Każde następne skrzypce były lepsze od poprzednich. Toteż wiedział, o jakiej nieśmiertelności mowa. Ręce Amatego były pokaleczone, z dwóch palców miał zdarte paznokcie, ale szpetne te ręce, całe w odciskach, skaleczeniach i sińcach, odznaczały się taką giętkością jak twe dziecinne palce.

Stary Cosio ujął Paganiniego za rękę i wysoko podniósłszy ją, zbliżył do swych słabych oczu.

– Każdy twój palec podobny jest do kaczego dzioba. Co za brzydota! Ale i ty sam nie jesteś ładny. Lecz takie palce najlepiej nadają się do gry.

Wkrótce mały Paganini nauczył się odróżniać rodzaje skrzypiec. Podziwiał wysokie sklepienia, wyrzeźbione, pełne gracji, pochylone ku sobie jak anioły na obrazach mnicha z Fiesole.

– To nie są mocne skrzypce. Książęta i hercogowie lubili słuchać skrzypków w małych pokoikach, pragnęli słodkich, delikatnych i cichych tonów. Nie graj przeto nigdy na skrzypcach Amatego w wielkich salach. Gdybyś grał w tej sali w tamtym kącie, gdzie stoi moje biurko, dźwięki z trudem dochodziłyby do środka pokoju. Miękkie i przyjemne dźwięki – to nieźlia rzecz. Lecz gdy nasza republika walczyła z zaborcami, gdy zgraja Habsburgów rzucała się na północne Włochy, niektórym ludziom potrzebne

były inne dźwięki. Byłem w Mediolanie, gdy urządzono koncert dla wielkiego zgromadzenia panów oficerów. Z twarzy tych ludzi dało się wyczytać, że nowi kondotierzy pragną znaleźć w dźwiękach odgłosy bojowej swej potęgi. Rycerze nowych wojen nie rozumieli łagodnej i delikatnej gry na skrzypcach Amatiego i dopiero gdy Servetto, skrzypek z naszej Genui, wyszedł na estradę z wielkimi skrzypcami Stradivariusa i zaczął rozcinać powietrze dźwiękami, które mogły zabić całe stada przelotnych ptaków, wtedy wyprostowały się nagle postacie tych ludzi, podniosły się ramiona, wypięły piersi i rozgorzały oczy... – Cosio przerwał, lecz po chwili jakby w zamyśleniu ciągnął dalej: – W Wersalu pod Paryżem znajdowała się najlepsza w świecie kolekcja instrumentów muzycznych Amatiego. Znikła bez śladu w roku 1790. Składała się z sześciu altówek, dwóch wiolonczeli i osiemnastu skrzypiec. Kolekcja ta była zamówiona dla orkiestry smyczkowej francuskiego króla Karola IX. Obecnie powiadają, że resztki tej kolekcji za badońskie sumy wykupili Anglicy w różnych miastach Europy.

Paganini słuchał bojąc się przerwać opowiadanie. Cosio przechodził z tematu na temat:

– Andrea Amati miał dwóch synów, którzy kontynuowali jego dzieło – Hieronima i Antonia. Bracia zakochali się w tej samej dziewczynie. Do chwili kiedy się to nieszczęście zdarzyło, pracowali razem w przyjaźni. Dziewczyna wyszła za mąż za Hieronima i bracia się rozeszli. Zaczęli pracować oddzielnie. Antonio odwiedzał rodzinę brata. Odwiedziny stawały się coraz rzadsze. Aż wreszcie pewnego dnia znaleziono martwego Antonia przed wejściem do pracowni. Powiesił się. Hieronimo kontynuował dzieło rodziny. W jego ślad poszedł też i syn Nicolo, najbardziej utalentowany z rodziny Amatic. Nicolo przyjmował do swej pracowni i obcych uczniów. I w ten sposób znaleźli się u niego Andrea Guarneri i Antonio Stradivarius. Obaj stali się znakomitymi lutnikami. Wszak byłęś u signora Paola. On zmyśla, że Stradivarius jest wielkiego rodu, to nonsens i kłamstwo. Ich wielkość – to skrzypce.

Cosio pokazał małemu Paganiniemu staroświecki portret Stradivariusa z trzema synami i córką. Obraz przedstawiał Stradivariusa w pracowni. Stał w białym zamszowym fartuchu i w czerwonym safianowym kołpaku, a w rękach trzymał kawałek drzewa i instrumenty.

– Sam dodałem kolorów temu sztychowi – powiedział Cosio – i według mnie barwy są dobrze dobrane. Pokazuje ci ten portret, abyś zobaczył, że ten zwykły rzemieślnik nie jest senatorem ani też patrycjuszem. Lecz

wierzaj mi, chłopcze, że gotów byłbym zamienić swój stary hrabiowski tytuł na umiejętność zrobienia choćby jednego takiego skrzypiec, jakie wykonał ten oto Stradivarius, gdy miał już pełne sto sześć lat!

Stary hrabia pokazał chłopcu inną szafę.

– Spójrz oto: złocisty lak nie przesłania ani jednej kreski w rysunku warstwy drzewnej. Patrz, drzewo podobne jest do cętkowanej skóry leoparda, a górna deka, bez najmniejszego sęka lub plamki, pokryta jest włoskowatymi liniami. Drzewo to liczy sobie nie mniej niż trzysta pięćdziesiąt lat. Opowiadają, że w czasie wojny Wenecji z Turkami Stradivarius zakupił wielką ilość drzewa przeznaczonego na budowę tureckich okrętów. Drzewo to suszono dziesiątkami lat. Następnie, gdy wschodni brzeg Adriatyku stał się niedostępny, nikt już nie mógł kupować tego drzewa. Drobnosłostą jodłę można spotkać tu i ówdzie w naszych górach, lecz należy ją długo i umiejętnie przechowywać, aż nada się do tej delikatnej i skomplikowanej roboty. A po tamtej stronie granicy, za brzegami Adriatyku, na niedostępnej wysokości rośnie jodła bałkańska, jakby umyślnie przez Stwórcę przeznaczona dla lutników...

Cosio pokazywał chłopcu skrzypce za skrzypcami.

– Popatrz, jeden i ten sam mistrz nigdy nie robił skrzypiec o tym samym kształcie. Wszystkie one różnią się, spójrz. Jeśli weźmiesz cyrkiel i zmierzysz przestrzeń pomiędzy efami, to zauważysz, że na każdym skrzypcach umieszczone są one inaczej. A pochylenie ich ku osi skrzypiec jest również niejednakowe. Cóż to znaczy? Znaczący to, że wszyscy lutnicy posiadali tajemnicę drzewa. Wiedzieli, że różne rodzaje drzew wydają odmienny dźwięk, i oto według tego, jak wycinali efy, możesz stwierdzić, jak głęboko poznali tajemnicę swego rzemiosła. Efy w każdym wypadku dają wyjątkowo wysoką jakość dźwięku. – Wyjął ostrożnie jeszcze jedno skrzypce. – Skrzypce te wyjmuję bardzo rzadko. To – „Łabędzia pieśń”. Nazywają się tak dlatego, że są to ostatnie skrzypce zrobione przez Stradivariusa przed śmiercią. W sto siódmym roku życia starzec pracował lepiej niż za młodu.

Stary hrabia nazywał skrzypce Stradivariusa srebrnymi, dźwięki altówek porównywał do złota, wiolonczela, jego zdaniem, wydawała spiżowy ton, a kontrabas dźwięczał miedzią.

Pewnego razu w chwili szczerości Cosio przyznał się chłopcu, że rozbił cztery skrzypce Stradivariusa. Stąpając na palcach i mówiąc szeptem, jak gdyby w obawie, że usłyszą go obcy ludzie, hrabia zaprowadził chłopca do niziutkich drzwi. Zapalił światło w na wpół ciemnym pokoju i z miną

człowieka popełniającego przestępstwo, którego się nie da uniknąć, pokazał mu cztery deszczułki przyśrubowane do stołu. Strzepnąwszy kurz ze starego kamertonu, Cosio uderzył nim w ścianę.

– Słyszysz? – zapytał szeptem starzec.

Chłopiec odparł:

– Tak.

– A czy to podobne?

– Tak.

– Ale czy rozumiesz? Śpiewa kamerton i tak samo śpiewa deszczułka wycięta ze skrzypiec Stradivariusa. Dźwięk ten daje pięćset dwanaście drgań... No, a to? – starzec dotknął drugiej deszczułki.

Chłopiec skinął głową.

Wypróbowali wszystkie deszczułki i za każdym razem mały Paganini potakiwał:

– To też! I to też!

Dźwięki były jednakowej wysokości i częstotliwości.

– Widzisz – rzekł starzec – wszystkie mają pięćset dwanaście drgań na sekundę. Masz dobry słuch, chłopcze! Popatrz więc: to – deszczułka ze skrzypiec Stradivariusa zrobionych przez niego w roku 1708, a obok obudziłem dźwięk w kawałku drzewa ze skrzypiec zrobionych przez tego samego mistrza w roku 1717. To falisty klon. A oto obok – deszczułka z jodły. Skrzypce były zrobione w roku 1690. A tu oto – ostatnią deszczułka – też z jodły. Skrzypce zrobione w roku 1730. Zaraz przystąpimy do doświadczenia.

Oczy starca zapłonęły żywym ogniem. Pod lekkimi, ledwo dostrzegalnymi uderzeniami deszczułka zaśpiewała. Chłopiec powiedział.

– *La dies!*

– Dobrze! – rzekł Cosio.

Druga deszczułka wydała ten sam dźwięk. Trzecia i czwarta również. Pod uderzeniami wprawnej ręki zaśpiewały jednocześnie wszystkie cztery deszczułki.

Chłopiec stał w milczeniu i słuchał z szeroko otwartymi oczyma, nie odrywając ich od kawałków drzewa. Na twarzy nauczyciela zastąpił uśmiech maniaka.

Starzec kontynuował:

– Po to, by otrzymać taki srebrny dźwięk, należy połączyć wrodzone właściwości klonu i jodły. Dźwięki zawsze żyją w naturze, lecz dźwięk trzeba złapać, trzeba go oswoić jak ptaka skaczącego w milczeniu po

drzewach. Trzeba go tak oswoić, by zaśpiewał. Zauważ, chłopcze, że górną dekę skrzypiec zawsze wyrabia się z jodły, dolną – zawsze z klonu. I obliczyłem jeszcze, że jodła odznacza się tą właściwością, że szesnacie razy prędzej rodzi dźwięk niż powietrze. Dźwięk zrodzony w skrzypcach, powstający z połączenia małej częstotliwości drgań klonu i wielkiej – jodły, daje stosunek dwunastu do szesnastu. Lecz wielu sądzi, że w górnej i dolnej dece rodzi się jeden dźwięk. Są to dwa rozmaite dźwięki. Śpiewność natury polega na tym, że zlewają się one w jednolity, doskonały i niepodzielny dźwięk. Pewnego razu obstalowałem skrzypce całe z klonu, z dekami o jednakowej grubości. Skrzypiec tych nie można było słuchać. Miały wstrętny, głuchy ton. Natura nie znosi jednostajności, chłopcze. Górna i dolna deka powinna dźwięczeć rozmaicie, a różnica musi dawać pełny ton. Zrodzony z tego czysty i niepodzielny dźwięk zupełnie jest podobny do stopu dwóch szlachetnych metali, z których każdy z oddzielną jest słaby i miękki, a w połączeniu z innymi zyskuje twardość i moc. Z dwóch słabości rodzi się siła. Pamiętaj, że rozmiaru skrzypiec nie można ani powiększać, ani zmniejszać. Skoro tylko ilość powietrza w pudle skrzypiec powiększy się, natychmiast kwinta zacznie skowyczeć jak pies, któremu nastąpiono na ogon, a dźwięk basowych nut stanie się słaby, głuchy i niewyraźny jak bełkot pijanego człowieka. Jeśli zmniejszyć pudło, skutek będzie odwrotny. Zamrze czwarta struna, a bas zakrzyczy ochryple. Lecz nie sądz, że wszystko to jest niezmiennie. Ulega przemianom natura i ulegają ludzie. Każde pokolenie ma nowe uszy. Kamerton dzisiejszego wieku dźwięczy inaczej niż kamerton zeszłych stuleci. Gdy będziesz grał przed wielkim zbiorowiskiem ludzi, musisz skrzypce inaczej nastroić niż przed rodziną składającą się z pięciu osób. Twój dziad i pradziad inaczej słyszeli dźwięki natury. Lubili słuchać jednych tonów i zamykać uszy na inne, a czynili to bezwiednie. W tych sprawach człowiek nie może się oszukiwać. Nie można wpływać na dzisiejsze pokolenie, by nastrojało instrumenty muzyczne według kamertonu zeszłego stulecia. Oto stary Tartini sześćdziesiąt lat temu obliczył napór naciągniętych strun na pudło skrzypiec. Wtedy otrzymał cyfrę: sześćdziesiąt trzy funty. Ale pamiętaj, że ówczesne struny były cieńsze, a podstawka podtrzymująca je była niższa, struny ciaśniej przylegały do górnej deki. Pokolenie współczesnych ludzi wysuwa nowe żądania. Nie słyszą starych skrzypiec i oto trzeba było nadać kamertonowi wyższy ton. Drganie strun również spotęgowało się i podstawka pod strunami stała się wyższa. Struny naciągnęły się tworząc występ na górnej dece. Podstawka tak podtrzymuje struny, że mysz może przebiec między kwintą a górną

deką. Wiedz, chłopcze, że diapazon w porównaniu z zeszłym wiekiem jest wyższy o pół tonu, a napór strun na dekę stanowi dziś nie sześćdziesiąt funtów, lecz osiemdziesiąt. Człowiek zaczął napinać struny mocniej i nerwy ludzkie są również bardziej napięte. Czas szybko płynie, mijają dni za dniami i stale zmieniają się ludzie. Co będzie dalej, na czym zatrzyma się przekształcanie człowieka? Teraz już widzę, że świat zmienia swoje barwy, ucho chwytą inne dźwięki i gotów jestem przypuścić, że blednie światło słoneczne.

Cosio usiadł na małej kanapie. Wyjąwszy chusteczkę, gwałtownym ruchem otarł łzy. Po czym wstał i ujawszy Paganiniego za rękę, wyprowadził go z pokoju.

– Chodź, chłopcze – rzekł. – Nikomu nie opowiadaj o tym, co ci mówiłem. Natura nie lubi zdradzać swoich tajemnic i mści się na zbyt ciekawych.

Rozdział ósmy

Droga wśród gwiazd

Do Genui rodzina wróciła w nowym składzie.

W Cremonie signor Antonio nieoczekiwanie pogodził się z córkami, Lukrecją i Małgorzatą, o których istnieniu Nicolo nawet nic dotychczas nie wiedział, ponieważ w rodzinie starano się o nich nie mówić. Rodzina Paganinich powiększyła się od razu w dwójnasób, gdyż córki signora Antonia były już zamężne.

Mąż starszej, Lukrecji, okazał się bardzo niespokojnym człowiekiem. Już w pierwszych dniach znajomości zdążył tak pokłócić się z signorem Antoniem, że omal z nim się nie pobił, a po przyjeździe do Genui całe dni spędzał na grze w karty z nieznanymi. Wiele przegrywał, a gdy mu się wiodło, przychodzili do domu ludzie ograni przez niego i wszczynali piekielny harmider, niepokojący całą okolice.

A jeszcze na dodatek mocno zachwiał się interesy signora Antonia.

Z maniackim uporem, upodabniając się do astrologa średniowiecznego,

patrzył w wieczorne niebo, obserwując bieg planet, i bąkał pod nosem skomplikowane formuły astrologiczne; mówił o wpływie gwiazd na obieg ludzkiej krwi, o wpływie planet na los jego rodziny. W słowach jego dziwacznie mieszały się przepowiednie horoskopu z obliczaniem przyszłych zysków. W rękach tego maklera maszyna do liczenia Pascala i Leibniza przekształcała się w instrument do buchalteryjnych obliczeń. Logiczna maszyna Rajmunda Lullusa, poszukująca prawdy filozoficznej, stawała się kołem loteryjnym, które miało zapewnić kupno wygrywających numerów. Astrologiczne i alchemiczne poszukiwania eliksiru życia i kamienia filozoficznego, które obłąkańcy średniowieczni łączyli z marzeniem o ludzkim szczęściu, o zorganizowaniu społeczności ludzkiej – w myślach starego Paganiniego przemieniały się w poszukiwanie środków do giełdziarskiego oszukiwania natury i do malarskich machinacji z ciemnymi mocami.

Lecz wszystko było nadaremne.

Nie wywiązał się ze swych zobowiązań wobec bankierów. Stary Paganini powoływał się na kradzież w drodze, na kradzież w Cremonie, na niepowodzenia wskutek przeszkód wojennych i na wiele innych przyczyn, lecz signorowie dyrektorzy, starzy bankierzy, z niejednego już pieca jedli chleb. Rozpoczęła się długa sprawa sądowa.

Starzy przyjaciele zaczęli unikać signora Antonia. Jeżeli dawniej zasiadał wyniośle przy swoim stole maklerskim, to obecnie sam latał w poszukiwaniu marynarzy i dowiadywał się, jakie towary przybyły do portu. Lecz gdy zjawiał się, by dobić interesu, spotykał niezadowolonych, milknących na jego widok kupców; transakcje odbywały się bez niego. Każdy dzień niepowodzenia giełdowego kładł się podwójnym ciężarem na rodzinę.

Po dłuższej nieobecności wrócił starszy brat. Przeraził się, gdy ujrzał małego skrzypka.

– Co to wszystkoaczy? W jaki sposób trzyma się dusza w tym szczeniaku? – szorstkim, ochryplym głosem zapytał ojca. Szczupły chłopiec, kaszlący i plujący krwią, ledwo trzymał się na nogach.

Po okropnej scenie pomiędzy Francesco a signorem Antonio, gdy Francesco o mało co nie uderzył ojca, matka całą noc płakała klęcząc przed małym łóżeczkiem Nicola. Mówiła, że cała przyszłość rodziny jest zależna od jego pilności – musi za wszelką cenę zdobyć powodzenie.

Ojciec nie dał ani jednego bajocca, by zapłacić Giovanniemu Servetto, u którego Nicolo z polecenia Cosio pobierał lekcje po powrocie do Genui.

– Signor Servetto dał już mu najlepsze wskazówki, jakie można otrzymać na tym padole smutku i też – rzekł signor Antonio.

Servetto obraził się i lekcje trzeba było przerwać. Co prawda do tego czasu zasadnicze trudności opanowania instrumentu zostały już pokonane. A *vista* chłopiec grał już lepiej niż sam Servetto – ale czekało go jeszcze wiele pracy.

Sąsiadki kumoszki coraz częściej zaczęły szeptać sobie do ucha z signorą Teresą. Signora Teresa skądś tam dostała pieniędzy. Korzystając z dnia, kiedy signor Antonio musiał zatrzymać się w sądzie, zaprowadziła syna do signora Giacomina Costa. Signor Giacomo Costa był nauczycielem kapeli genueńskiej i pierwszym skrzypkiem wszystkich kościelnych orkiestr Genui.

Signor Costà wysłuchał gry małego Paganiniego.

Nazajutrz Paganini grał w katedrze. Po nabożeństwie Costa zawołał chłopca i kazał mu przychodzić pięć razy na miesiąc do siebie do domu.

Po pierwszych już lekcjach signor Costa był olśniony wyrazistością dźwięku, niezwykłą chłonnością swego ucznia i szybkością jego postępów. A w pół roku potem Teresa Paganini w tajemnicy przed mężem przyniosła pieniądze za trzydzieści lekcji. Signor Costa z uśmiechem pełnym zadowolenia obliczał, w jakim stosunku pozostają te pieniądze do jego wpływów z koncertów kościelnych, w których brał udział Paganini.

Wyższe duchowieństwo obdarzyło signorę Teresę swoją życzliwością; ta zaś zmianę, która zaszła w interesach rodziny, przypisywała Opatrzności boskiej.

Signor Antonio przestał pić. Patrząc na syna, czule uśmiechał się. Szczególnie uradowany był, gdy spotkawszy signora Costa dowiedział się, że nauczyciel ten nie chce brać od niego pieniędzy. Obydwaj byli zadowoleni: signor Giacomo ze swego ucznia i dochodów, które mu ten przynosił, signor Antonio Paganini – z wspaniałomyślności, która bardzo dodatnio wpływała na budżet rodziny Paganiniego.

Lecz wkrótce wyszła na jaw chciwość signora Costa i signor Antonio poczuł się obrażony i oszukany. Wypiwszy odpowiednią porcję wina dla kurażu, udał się na pertraktacje. Wymyślenia słyhać było daleko poza granicami skromnego mieszkania mistrza kapeli kościelnej. Nastąpiło całkowite zerwanie. Chłopiec nie pobierał już lekcji u signora Costa. Signor Costa nie zgodził się na finansowanie występów koncertowych swego ucznia i nie dał ani jednego bajocca rozwścieczonemu signorowi Antonio. Sprawa wzięła zły obrót.

Signor Costa zebrał wiadomości dotyczące chrzcin i dziecięcych lat swego ucznia i doszedł do wniosku, że talent muzyczny chłopca, niezwykle jego

uzdolnienie muzyczne, niesłychana u takiego chłopca technika nie dadzą się wytłumaczyć ingerencją boską. Tu jest niewątpliwie ingerencja nieczystej siły i wpływ demonów. Przekleństwo wypowiedziane przez położną było przyczyną niezwykłych sukcesów małego Paganiniego.

W dniu, kiedy nastąpiło zerwanie, Nicolò Paganini nic jeszcze nie wiedział o rozmowie swego ojca z signorem Costa. Nic nie przeczuwając wziął skrzypce i udał się do nauczyciela. Cicho i skromnie zapukał do drzwi. Wtem otrzymał potężny policzek i stoczył się ze schodów.

Nicolò o mało nie przewrócił wysokiego czarnoookiego człowieka, udającego się do signora Giacomà.

Nieznajomy zatrzymał chłopca obrzucając go stekiem obelg.

– Skąd jesteś, co się z tobą dzieje i dokąd lecisz, szczeniaku?

Paganini machnął ręką, usiłując coś powiedzieć – łyzy ścisnęły mu gardło.

– Co ci jest? O co chodzi? – pytał natarczywie nieznajomy.

– Zaczekaj tu – rzekł, kiedy Paganini opowiedział mu o swoim nie-szczęściu.

Paganini czekał na dole, dopóki signor Costa na górnym podejściu rozmawiał z gościem. Słyszał, jak signor Costa zwracając się do nieznajomego nazywał go „miłym Gnecco”. Z rozmowy można było wywnioskować, że nieznajomy jest znakomitym kompozytorem, którego opery grano we wszystkich teatrach północnej Italii, w Neapolu, Wenecji, Mediolanie, Padwie i Livorno. Paganini słyszał fragmenty utworów Gnecco w Genui. Wiedział, że jego opery grane są nawet w Wiecznym Mieście.

Słodkie i dręczące przecucie ogarnęło chłopca, gdy usłyszał, że rozmowa skończyła się i że signor Gnecco schodzi na dół.

Signor Gnecco przeszedł obok chłopca bez słowa. Paganini udał się w milczeniu za nim. Przy drzwiach starego domu na ulicy Archimedesà signor Gnecco przemówił:

– Słyszałem już twoją grę, diabelku ze skrzypcami. Nie wierzę, oczywiście, wszystkim tym brechtom o wpływie nieczystej siły na twój los: zbyt wielki honor dla ciebie. Lecz rzeczywiście jesteś jakimś małym cudem. A ojciec cię bije? – zapytał nagle obcesowo.

– Mocno – odparł dobitnie Paganini.

– I widocznie to ci służy? – mrużąc ironicznie oczy zapytał signor Gnecco i otworzył przed chłopcem drzwi dużego, ładnie urządzonego pokoju.

Nuty, napisane złotym atramentem na czerwonych liniach, zadziwiły małego Paganiniego. Wszystkie rzeczy w tym pokoju odznaczały się wytwornością i wymyślnością. Klawesyn, harfa, piękne srebrne trąby, flet,

fagot, obój i komplet drobnych dzwoneczków z kolorowego metalu, czerwonych, białych, niebieskawych i żółtych; pulpity, pałeczki z kości słoniowej ze złotym okuciem; krzesła obite wyflaczaną skórą hiszpańską, etażerka z książkami i partyturami w oprawach skórzanych, kielichy z jasnopurpurowego szkła weneckiego; srebrna szklanka z czerwonym winem i duże naczynie wschodnie z jakiegoś białego metalu na stole zdobnym w mozaikę florencką. Wydało się Paganiniemu, że wszystko to jest snem.

Signor Gnecco otworzył futerał, uważnie obejrzał skrzypce małego Paganiego, odłożył je na bok, podszedł do oszklonej ozdobionej rzeźbami szafy, wyjął duże skrzypce wiśniowego koloru wraz ze smyczkiem i dał je Paganiniemu. Po czym przysunął do niego pulpity i otworzył mały zeszyt, drobno zapisany nutami.

– A więc cóż – mówił Gnecco, gdy Paganini przestał grać – w tym miesiącu nigdzie nie wyjadę i zostanę tu. Przychodź codziennie. Jeżeli nie zastaniesz mnie, posiedź, zaczekaj, graj sam. Zresztą o tej porze zawsze jestem w domu.

Mińęło wszystkiego cztery dni. Signor Francesco Gnecco nie opuścił żadnej lekcji. I za każdym razem, zbliżając się z drzeniem w sercu do ulicy Archimedesza, chłopiec czuł gorącą wdzięczność dla losu, który przywiódł go do pałacu signora Gnecco.

Gęsie pióra, złoty atrament, czerwone linie na grubym żółtawym papierze, ironicznie zmrużone oczy, dobry głos...

– Muszę ci powinszować – mówił Gnecco – nigdy nie spotkałem ludzi z takim słuchem. – Jak gdyby podkreślając znaczenie tych słów signor Gnecco skinął głową. – Ale muszę ci powiedzieć, że gdyś zeszyłem razem fantazjował, słuchałem cię z większą przyjemnością, niż kiedy grałeś moje własne utwory. Ty przerabiasz moje utwory i nie grasz ich tak, jak zagrałbym je sam. Przez całe swoje życie wszystko będziesz przerabiał. Nigdy nie będziesz zadowolony z utworu, dopóki nie przerobisz go po swojemu. I radzę ci: gdy będziesz występował przed publicznością, nie graj utworów współczesnych kompozytorów; urazisz ich swoim wykonaniem, choć, być może, to, co przydasz cudzemu dziełu, będzie bogatsze niż pomysł jego twórcy. Dobrze się stało, żeś natrafił na kompozytora z moim charakterem – inny dałby ci dobrze po łapach za twoje fantazje, za jakąś dziwną jak na twój wiek namiętność, którą przelewasz w dźwięki cudzej muzyki. A więc do roboty. Nie obawiaj się, że przestraszysz mnie improwizacją: powinieneś grać nie tylko cudze utwory, lecz tworzyć również

i własne... Czemu rumienisz się, mała małpo? – zasepiwszy się nagle, przerwał Gnecco. – Nie powiedziałem ci nic nadzwyczajnego, nie waż mi się zadzierać nosa.

Wtedy Paganini nieśmiało i niepewnie przyznał się signorowi Gnecco, że w żaden sposób nie mógł pogodzić się z wymaganiami signora Costa.

– Nie miałem najmniejszej chęci – mówił chłopiec przyciskając ręce do piersi – naśladować sposobu prowadzenia smyczka przez signora Costa. Uważałem, że używa jakiejś przemocy udzielając mi lekcji. Wykonywałem zawsze jego rozkazy wbrew własnej woli. Jestem nawet zadowolony, że przeszedłem od niego do pana...

– Dobrze, dobrze – odparł signor Francesco – nie lubię pochlebstwa. Kiedy będziesz miał następnego nauczyciela, za jakiś miesiąc, to na pewno będziesz mówił mu to samo o mnie.

– Nigdy w życiu! – zarumieniwszy się zawołał Paganini.

– Cóż robi twój ojciec? – zapytał signor Francesco.

– Zmusza mnie, bym grał w kościele.

Signor Gnecco zakaszłał.

– Pobożni Włosi są dziś opętani przez obłęd skrzypcowy. Chłopcze ze skrzypcami, jak cię nazywają, przyciągasz do kościoła wiele ludzi, to powiększa dochody świętych ojców. Strzeż się, bo zrobią z ciebie świętoszka.

– Nie – rzekł Paganini. – Nie lubię przeciągłej muzyki.

– Sądzę, że gra w kapeli może tylko zepsuć muzyka – powiedział Gnecco powoli i z naciskiem.

Między kompozytorem operowym a „diabełkiem ze skrzypcami”, jak przeważa Nicola signor Gnecco, zadzierzgnęła się dziwna przyjaźń.

Pewnego razu podczas rozmowy o podróży do Cremony, gdy mały Paganini starał się wykazać swoją wiedzę w dziedzinie historii instrumentów, Gnecco, ze szczególną uwagą słuchający opowiadań chłopca o woj-skach francuskich, przeszedł nagle z rozmowy o muzyce na temat polityczny i po raz pierwszy zapoznał małego Paganiniego z historią uciemnienia Lombardii przez Austriaków. Mówił o znaczeniu najazdu francuskiego na Włochy, mówił szybko, jakby przerywając samemu sobie. Oświadczył chłopcu, że pochodzi z Mediolanu. W Mediolanie, starym, wolnym mieście Lombardii, najdotkliwiej odczuwa się niezadowolnienie z powodu austriackiego ucisku. Wszystkie środki, które pomagają uwolnić Italię od barbarzyńców, jak mówił Petrarca, wszystkie te środki uświęcają cel. Wojska francuskie wypędzają austriackich żandarmów i klechów niemieckich,

którzy przyjechali z Wiednia, a proklamacje Bonapartego niosą oswobodzenie od religijnego i politycznego ucisku, a więc – „niech żyje oręż francuski...”

Po rozmowie tej Paganini jeszcze bardziej przywiązał się do signora Francesca. Ufność, z jaką nauczyciel odnosił się do małego ucznia, została wynagrodzona.

Czuł to signor Gnecco i często pokazywał chłopcu na jasno oświetlonym bruku smagłych ludzi, poganiających osiołki zaprzężone do wózka, na którym piętrzyły się góry worków z węglem drzewnym, i ostrożnie skinąwszy głową w ich stronę mówił:

– Poczekaj, diabełku, nastanie czas, a powiem ci o innych węglarzach, którzy dźwigają o wiele cięższy ładunek.

Włoskie słowo „karbonariusze” – „węglarze” – Paganini słyszał już nieraz w schronisku. Pewnego razu dzieci z jakimiś tajemniczymi minami powiedziały mu o aresztowaniu dwóch karbonariuszy, którzy mieszkali w schronisku. Paganini znał tych ludzi. Mieli blade twarze i długie, chude ręce. Na odzieży nie mieli żadnych śladów pyłu węglowego. I kiedy mały Paganini zapytał, czemu nazywają ich węglarzami, dzieciaki odpowiedziały: „Nie wiemy”.

Uchylając przed chłopcem rąbka tajemnicy Gnecco opowiedział o tym, że są bracia leśni, którzy dobywają węgiel spalając stare drzewa. Ci bracia leśni wychodzą z lasu na rynek. W ten sposób *foresta*, *baracca* i *venta* stopniowo stawały się dla Nicola zrozumiałymi i zwykłymi pojęciami. Ale gdy tylko chłopiec prosił o wytłumaczenie tego lub owego wyrazu – signor Gnecco przykładął palec do ust.

Mały Paganini skomponował nową wariację włoskiej *Karmanioli* i ułożył własny temat muzyczny, ową ognistą pieśń francuską, którą przypadkowo słyszał w wykonaniu francuskich marynarzy na brzegu ...orza. Pieśń tę śpiewali młodzi, ładni marsylczycy wspinając się na wysoki brzeg. Pieśń ta nawoływała wszystkie dzieci ojczyzny do powstania, mówiła o tym, że wzniesiono już sztandar, purpurowy od krwi ludu, i że nastały dni chwały. Każda zwrotka kończyła się słowami: „Do broni, obywatele!”

Gdy Paganini bezpośrednio po *Karmanioli* zagrał pieśń marynarzy marsylskich – tak ją nazywał – Gnecco w podnieceniu zerwał się z krzesła i zaczął krążyć wielkimi krokami po pokoju. Nicolo po raz pierwszy widział go w takim stanie. Signor Gnecco wyjął ze ściennego schowka skrawki proklamacji francuskich generała Bonaparte, rozrzuconych po północnej Italii, i pokazał je chłopcu. Odsłoniła się tajemnica braci leśnych. Mały

Paganini pojął, czym jest ten ciężki ładunek węgla, w którym czai się płomień.

Robota bractwa karbonariuszy rozpałała wyobraźnię chłopca, a powiew tajemnicy wiejącej od wszystkich rozmów z nauczycielem miał w sobie szczególnie urok. Zaczęło się dla Paganiniego własne, już nie chłopięce życie. Lżej nawet znosił szturchańce i wymówki ojca. Spokojnie asystował przy długich kłótniach pomiędzy siostrami, starszym bratem, ojcem i matką. Zaczął żyć własnym życiem, miał własne plany życiowe.

Chusteczka do nosa Paganiniego poplamiona krwią wzbudziła w signorze Gnecco pierwsze obawy o stan zdrowia ucznia. Za pośrednictwem przyjaciół signor Gnecco zasięgnął informacji o rodzinie Nicola. Ostrożnie, by nie urazić swego ucznia, zapraszał go na śniadania i zatrzymywał na godzinkę u siebie. Wkrótce jednak mały Paganini stanowczo zaczął się wymawiać od tych śniadań. Signor Gnecco przekonał się, że Nicolo ma rację, gdy ujrzał sińce na twarzy ucznia: ojciec nie pozwalał przedłużać lekcji.

Przeczuwając rychły wyjazd przyjaciela, uczeń chciał znaleźć sposób, aby jakoś przedłużyć wizyty u signora Gnecco. Lecz w tym wypadku należałoby oszukiwać ojca, który bacznie go śledził.

Jako uczestnik konspiracyjnej roboty karbonariuszy, Gnecco był uważnym i baczным obserwatorem. W tych latach był on jedynym człowiekiem, który dokładnie zdawał sobie sprawę ze znaczenia, jakie miało burzliwe wtargnięcie legendy w życie małego skrzypka. W tym czasie, gdy signor Antonio Paganini z całym tłumem swych handlowych przyjaciół i wrogów – i małżonka jego, signora Teresa, z całą sforą krewnych i powinowatych z rodziny Bocardi – gubili się w domysłach, skąd wzięło się u Nicola tak wczesne uzdolnienie, i snuli przypuszczenia o nadprzyrodzonej ingerencji, widząc w niej to straszną, demoniczną moc, to znów anielską potęgę, Gnecco bał się o los chłopca, którego wąty wygląd napawał poważnym niepokojem. Gnecco obawiał się, że potęga tego przytłaczającego wszystko talentu przemieni się w ogień, który spopieli ognisko domowe i dom.

Niekiedy zaś zdawało mu się, że chłopiec pomimo całej swojej wątłości odznacza się żelaznym zdrowiem, jeśli może wytrzymać kolosalny ciężar, którym obarczył jego ramiona signor Antonio.

Wesołemu, ironicznemu Gnecco oczy zachodziły mgłą, kiedy Paganini, uniósłszy brwi, bez najmniejszej afektacji opowiadał o długich ćwiczeniach w siódmym roku życia, gdy nie będąc w stanie utrzymać skrzypiec w zwykłej pozycji, uczył się grać na instrumencie, stawiając go, jak wiolonczelę,

między małymi kanciastymi kolanami. Słuchając go Gnecco nie mógł patrzeć chłopcu w oczy. Wydawało mu się, że rozwiera się przed nim jakaś czarna otchłań nieszczęść ludzkich.

Signor Gnecco drżał czytając stronicę kroniki mediolańskiej, w której stary kronikarz opowiadał o chłopach lombardzkich, celowo szpecących swe dzieci, żeby sprzedawać je potem jako błaznów nadwornych księcia Sforza.

„Nowe ptaki, nowe pieśni – myślał Gnecco. – Dziwne to stworzenie jest w rękach potwora, który może zniekształcić jego talent i zrobić z chłopca taniego zonglera jarmarcznego”.

Poza tym był jeszcze jeden powód do rozmyślań signora Gnecco o losie Nicola. Przekonał się, że muzyka kościelna jest całkowicie obca młodemu uczniowi. Jasno dostrzegał, że zagłuszając chorały katedralne potężnymi dźwiękami skrzypiec mały Paganini pozostawał wciąż niewzruszony i wszystkie natrętne i przypochlebne zakusy kliki katolickiej nie budziły zapału w duszy dziecięcia nowego wieku. Gdy zaś signor Gnecco mówił z nim o wolności Włoch, o żywej i barwnej pracy karbonariuszy, policzki chłopca okrywały się rumieńcem podniecenia.

Obojętność dla muzyki kościelnej była podświadoma, mały Paganini nie żywił wrogich uczuć ani niechęci do Kościoła. Jednakże signor Gnecco myślał o niedogodnościach, jakie wynikają z późnej komunii katolickiej. Spowiedź Nicola w owe dni u księdza mogłaby przysporzyć wiele przykrości signorowi Gnecco. Miejscowy kardynał legat żądał surowo od księży, by na spowiedzi wnikliwie badali myśli synów i córek Kościoła. Sam codziennie udzielał informacji przedstawicielowi rzymskiej kurii apostolskiej w Genui. Stamtąd informacje te przesyłano do Rzymu, a niekiedy i do Wiednia, gdzie minister policji jego apostolskiej mości króla i cesarza wysnuwał odpowiednie wnioski i zaznaczał na mapie przypuszczalne ogniska przyszłych powstań.

Skrytość i milczenie chłopca oraz jego spokój – wszystko to wzbudziło podejrzenie w signorze Antonio. Narodził się w tej sprawie ze swoją małżonką, ta zaś pomówiła z księdzem. Lecz ksiądz tutejszego kościoła odniósł się życzliwie do małego Paganiniego. Pocięszył signorę Teresę i orzekł, że chłopiec jest na dobrej drodze, gdyż trzy razy na tydzień występuje na koncertach kościelnych. Występy jego przyciągają tłumy modlących się ludzi, którzy chętnie składają datki do puszek – w ten sposób można uważać Nicola Paganiniego z jego skrzypcami za zjawisko potrzebne Bogu.

Po tym oświadczeniu signor Paganini uspokoił się. Nie oponował, gdy z inicjatywy signora Gnecco mały skrzypek został zaproszony do wzięcia udziału w koncercie muzyki świeckiej.

Ówczesne Włochy bardzo jeszcze interesowały się występami sopranistów. Znakomity kastrat Marchesi, koncertując w dniu swego benefisu, po raz tysięczny zadziwiał i zachwycał naiwną publiczność genueńską srebrzystą czystością swego delikatnego dyszkantu.

Paganini z ciekawością małego zwierzątka patrzył ukradkiem na Marchesiego, gdy tamten wywodził dyszkantowe rulady przed upojoną salą. Kunszt mężczyzny śpiewającego kobiecym głosem nie wzbudzał w nim zachwyty ani podziwu.

Mały Paganini grał po koncercie Marchesiego i po występie znakomitej śpiewaczki Albertinetta. Część publiczności, siedząca na górnych piętrach, wiele już słyszała o występach małego skrzypka w kościele, ale większość ludzi, którzy tego dnia zebrałi się w teatrze, nic nie wiedziała o cudownym dziecku.

Solidni mieszczenie, oficerowie, kapłani, żony giełdjarzy, kupcy, notariusze, maklerzy, marynarze ze starożytnych rodów z nic już nie znaczącymi tytułami, zrujnowani szlachcice i hrabiowie – wszystko zaszemrało i zakotyłało się, gdy na proscenium ukazał się chłopiec ze skrzypcami. Nieśmiałym krokiem i z miną, jak gdyby miał na nogach drewniane obuwie, wyszedł mizerny chłopiec z zapadniętą piersią, kanciastymi ramionami i rękami zwisającymi prawie do kolan. Cichy szmer rozczarowania przeszedł po sali, na twarzach pojawiły się uśmiechy. Nicolo grał po raz pierwszy przed tak wielkim audytorium. I jeśli dzika legenda o małym skrzypku nie przekraczała dotychczas obrębów rodzinnego zaułka, teraz legenda ta rozwarła skrzydła i poleciała po mieście, po całej błękitnej Zatoce Liguryjskiej.

Ciekawość przeszła w podziw. Chłopiec dobywał ze zbyt wielkich jak na jego wzrost skrzypiec dźwięki pełne niezwykłej siły i piękności. Oto odzywa się orkiestra, oto fale chorału okrywają dźwiękami setki instrumentów, lecz nad wszystkimi tymi dźwiękami rozpryskują się dzwoneczki i wydaje się, że zaśpiewały nie jedne, lecz dziesięć skrzypiec. Szeroka fala kantyleny zatopiła chór i orkiestrę i oto kończąc ostatnie takty, śpiewna, bezkresnie długa nuta zawisła w powietrzu. Dwie minuty wisi w powietrzu i nie upada... Publiczność zrywa się, szmer przechodzi po sali, głowy kołyszą się jak kłosa. Zebrani na widowni nie mogą oderwać oczu od chłopca. Zdumienie ustępuje miejsca zachwytowi, a na wielu twarzach można dostrzec wyraz graniczący z zabobonnym strachem.

Młody, bład seminarzysta Novi, z płonącymi, pełnymi nienawiści oczami, szepcze coś do sąsiada w drugim rzędzie krzesel. Szepł ten, podobny do syczenia żmii, słyszy signor Gnecco. Novi mówi, że przejawia się w tym nieczysta siła, albowiem bez pomocy diabła nie może człowiek, a tym bardziej prawie że dziecko, odnieść takiego zwycięstwa nad kawałkiem martwego drzewa.

Burza okłasków nie zagłusza oddzielnych głosów.

– Nawet ja – woła ksiądz – zapatrzony zawsze w niebo, nawet ja poczułem dreszcz wzruszenia we krwi i cały urok tego grzesznego życia ziemskiego, gdy m słuchał, jak to opętane dziecko wydobywa smyczkiem dźwięki ze skrzypiec.

Jezuita spogląda znacząco na przedstawiciela świętej inkwizycji, odzianego w świecką odzież. Tamten odpowiada obojętnym spojrzeniem. Patrzy rybimi oczami na estradę, kiwa głową i podszedłszy do księdza mówi:

– Ojciec i matka są wiernymi sługami Kościoła, chłopiec gra w kościele. Muzyka ta jest darem Boga.

W nocy mały Paganini dostał gorączki. Z rana w żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie, czy mu się śniło, czy też istotnie miała miejsce kłótnia między ojcem a matką. Urywki przypadkowych zdań, dolatujących do chłopca, dręczyły go. Ojciec mówił o konieczności „dobrego odżywiania przed daleką podróżą”. Matka często powtarzała słowa „za wcześnie”, ojciec kłął i mówił „już czas”. Łącząc urywki zdań Nicolo zrozumiał, że była mowa o zamiarze ojca wyruszenia z nim w podróż objazdową z koncertami po miastach wybrzeża liguryjskiego.

Zaledwie ojciec wyszedł, by udać się na giełdę, chłopiec zerwał się z miejsca, szybko ubrał się i pobiegł do signora Gnecco. W tym samym momencie, gdy zamierzał nacisnąć klamkę, ujrzał, jak signor Gnecco otwiera drzwi i jak w promieniach słońca, padających przez okna klatki schodowej, z drzwi signora Francesca z dźwięcznym śmiechem wychodzi dziewczyna... Kiedy ujrzała małego Paganiniego, uśmiechnięta jej twarz spoważniała.

– Oto pański mały skrzypek – rzekła zwracając się do signora Gnecco – a zatem czekam na pana.

Postukując obcasami biegła po schodach i szybko okręcała woal dookoła szyi. Nie wiedząc czemu, Paganini poczuł, jak lodowata igła przeszła mu serce, złamała się i utkwiała w nim.

Signor Gnecco uniósł małego Paganiniego w powietrze, zakrzył z nim po pokoju, pocałował go w czoło i z rozmachem opuścił na podłogę.

– Winszuję! – rzekł. – Jaka szkoda, że nie mogę cię zabrać ze sobą. Jutro wyjeżdżam.

Paganini opadł na fotel, łączy strumieniem popłynęły mu z oczu. Cały sukces wczorajszego koncertu, cała radość chłopięcej ambicji – wszystko znikło w obliczu wielkiego, nieoczekiwanego nieszczęścia.

Rozdział dziewiąty

Chłopięstwo

Antonio Paganini był nieco zaniepokojony owym szumem, który wywołał koncert małego skrzypka.

Pewnego ranka, gdy Teresa Paganini spokojnie spała, gdy promienie słońca zaczęły dopiero co wyłączać szczyty pomników na genueńskim cmentarzu, a piasek na brzegu morskim był jeszcze okryty cienką warstwą mgły szybko ulatniającej się pod powiewami porannego wiatru, kiedy tylko świergot ptaków wypełniał samotne ulice Genui, mały Paganini z laską na ramieniu i z węzłkiem na plecach dreptał usiłując dotrzymać kroku szybko idącemu ojcu. Stary nerwowo przekładał z kieszeni do kieszeni pugilares, sakiewkę i bilety „Włoskiego Messagera”. W ciągu godziny byli już w Foce, potem w Nervi, następnie ujrzeli na otwartym brzegu morskim Riecco, po czym jechali pod górę i gdy słońce stało już wysoko, wjechali do lasu drogą wysmaganą deszczem. W ten sposób dojechali do Chiavari. W Chiavari zatrzymali się przed tanią traktiernią. Tu dopiero mały skrzypek dowiedział się, że matka nie będzie zaniepokojona, ponieważ zostawiono jej list. Signor Antonio odnosił się do Nicola z nadspodziewaną czułością. Poklepał nawet Nicola po policzku i rzekł:

– Czy wiesz, że jestem zupełnie zrujnowany, teraz od ciebie zależy ratunek rodziny. Graj, graj wszędzie. Uciujemy pieniądze, a wtedy będziemy żyli w dostatku.

Z Chiavari, gdzie Nicola po raz pierwszy miał okazję grać w traktierni, wyjechali na południe. Dwa razy Nicola grał w Spezii. Potem następował koncert za koncertem – w kościołach, traktierniach i hotelach. Chęć zysku

gnała starego z miasta do miasta. Antonio Paganini czuł jak gdyby nawrót młodzieńczych sił i rzeźkości; nie dawał synowi ani chwili spokoju i nie szczędził również siebie samego. Nie wiadomo, skąd się u niego wziął spryt prawdziwego impresaria. Impresario osiągnął nagle to, co nie udawało się maklerowi.

W małej drukarni miasta Massy, korzystając z taniej robocizny, obstałował afisze. Kryjąc się pod maską dalekiego krewnego, Antonio Paganini gwałtownie reklamował syna. Najwięcej nadziei budziła w nim Lukka, Piza i Florencja, następnie zamierzał udać się do Bolonii, Modeny, Reggio, Parmy, Piacenzy, Pawii i Aleksandrii, potem znów na południe, urządzić koncert w Novi i drogą górską wrócić do Genui. W ten sposób całe wybrzeże Riwieri di Levante stało się areną działań tego starego pirata.

W przerwach między występami w wielkich miastach stary nie gardził niczym, zmuszając chłopca do gry w zajadach, zbierając bajocci, centesimi i soldi u poganiaczy mułów, wędrownych aktorów i seminarzystów siedzących przy lampce wina i pochłaniających *frutti di mare*.

W ten sposób dotarli do Livorna. Przed pierwszym koncertem w tym mieście starzec rozwinął najcięższe zawiniątko. Leżała tam szara kurtka, spodnie, nowe pończochy, pantofle i duży szary kapelusz z piórami. Wszystko to było niezgrabne, nie dostosowane do wzrostu, ale zrobione z drogiego materiału. Biały koronkowy kołnierz kosztował kilka lirów i mały skrzypek jeszcze raz poczuł, że dla signora Antonia jego istnienie posiada nową, nie znaną dawniej chłopcu wartość.

Różnorodność publiczności liwornijskiej nie przeszkodziła sukcesowi. Ojciec sam pilnował wpływów kasowych i tak się urządził, by nie oszukano go ani o jednego bajocco. A wieczorem po bardzo sutej kolacji stary pozwolił sobie na wielki luksus. Postawił luidora w liwornijskim *ridotto* i tegoż wieczora wygrał tysiąc franków. Wygrana uderzyła mu do głowy jak alkohol. Stary podszedł do lady, jednym haustem wychylił kielich jałowcówki i znów zaczął grać, ani na sekundę nie rozstając się z synem, jakby w obawie, że chłopiec może zdradzić jakąś tajemnicę, skoro zostanie sam. Być może, niejasno zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężko i boleśnie przeżywa Nicolo tęsknotę za domem, o której chłopiec napomknął ojcu po koncercie uwieńczonym sukcesem.

Po trzech godzinach cały wpływ z koncertu i cała wygrana tego szczęśliwego wieczora – wszystko było przegrane, a ostatni banknot dwudziestopięćciofrankowy stary wydał w morskiej spelunce na wybrzeżu.

Nad ranem wrócili do hotelu. Stary Paganini zrzedził i kłął. Idąc spać oświadczył, że jutro nastąpi powtórzenie koncertu.

Obudziwszy się z rana mały skrzypek zauważył, że rękaw jego nowej szarej kurtki jest podarty. Nie pamiętał, jak to się stało, lecz wiedział, że nie uniknie chłosty, a oprócz tego nie będzie miał w czym wystąpić wieczorem.

Ojciec spał. Chłopiec patrzył na podartą kurtkę z takim uczuciem, jak gdyby to była rana, która rozdarła własne jego ciało. Trzymając kurtkę w rękach, wyszedł ostrożnie z pokoju. W drzwiach spotkał służącą i posługacza. Służąca łokciem odpychała zaczepiającego ją wąsatego posługacza, ale gdy tamten zauważył, że otworzyły się drzwi, natychmiast sam odskoczył na bok. Pokojówka chciała uciec. Chłopiec zatrzymał ją, prosząc o igłę z nitką. Zalewając się łzami, za radą służącej poszedł na strych. Na strychu hulał wiatr. Było zimno, przeciąg zwiewał z drewnianych belek i krokwi drobny, gryzący pył. Mały Paganini kłął siebie za to, że nie starczyło mu odwagi poprosić służącą o zacerowanie kurtki. Lecz gdy na trzeźwo rozważył, że za to trzeba by zapłacić, uspokoił się.

W tej chwili Paganini usłyszał głośny śpiew sprzedawcy warzyw. Jasny i dźwięczny głos przeciął powietrze ulicy. Chłopiec przechylił się, oparł o parapet i wyjrzał przez okno. Gwałtowny wiatr wydarł mu kurtkę z rąk i zanim chłopiec zbiegł po schodach, ktoś zdążył już ją zabrać. Wybiegłszy na ulicę Paganini natknął się tylko na zdziwione spojrzenia. Zalewając się łzami stanął w drzwiach. Kilka razy kładł rękę na ryglu i za każdym razem doznawał uczucia, jakby dotykał ognia. Otarliśmy wreszcie łzy, wszedł. Ojciec jeszcze spał. Paganini, starając się nie hałasować, zamknął ostrożnie drzwi na haczyk i położył się do łóżka. Chciał zdjąć pantofle i udawać, że jeszcze nie wstawał, lecz nagle spostrzegł, że spod kołdry jedno oko ojca ogląda go uważnie od stóp do głowy. „Widział czy nie widział?” – pomyślał chłopiec, po czym z nagłą stanowczością rzekł:

– Ojcze, pozwól, że się przyznam: skradziono mi kurtkę.

Stary Paganini zerwał się. Minęły natychmiast ostatnie wrażenia snu.

– Rujnujesz mnie! – wrzasnął i zaczął miotać się po pokoju, na próżno szukając kurtki.

„Chwała Madonnie – pomyślał Nicolò – ojciec nie zauważył”. I z udaną gorliwością zaczął pomagać ojcu. Poszukiwanie nie sprawiało trudności – w pokoju prócz ubogiego dobytku Paganiniego nie znajdowało się nic. Pokój był nędznie umeblowany, kurtka nie mogła się nigdzie zapodziać. Po kilku minutach stary Paganini krzyczał już na korytarzu, iż nie zapłaci ani

grosza i natychmiast zawiadomi władzę, że w tym hotelu grabią i mordują. Mały Paganini zaczął się w numerze. Ktoś, przypuszczając widocznie, że mowa tu o odzieży starego, zaczął uspokajać signora Antonia. Wtedy stary wpadł w ostateczną wściekłość i nie chcąc o niczym słyszeć krzyczał:

– Mój syn, mój znakomity syn dziś koncertuje, a skradziono mu ubranie!

– Jaki pański syn? – zapytał głos kobiecy.

Signor Antonio otworzył drzwi i Nicolo ujrzał tę samą pokojówkę, która dała mu igłę z nitką. Kłamstwo natychmiast zostało zdemaskowane.

– Signor, nazywa go pan znakomitym skrzypkiem, a taki łgarz nie może być znakomitym skrzypkiem.

Wtedy ojciec rzucił się na syna z pięściami:

– Ty darmozjadzie, zapominasz, że przykazanie boskie nakazuje szanować rodziców. Żeby zrobić z ciebie człowieka, nie szczędzę starych kości i tułam się po kamienistych drogach... Gdzie jest kurtka?

Mały Paganini, klęcząc i wyciągając ręce do ojca, zawile i bezładnie opowiadał o swej przygodzie.

– Kłamiesz! – krzyczał ojciec. – Sprzedałeś ją! Mój Boże, mój Boże, taki koncert i ani jednego bajocca. Sprzedałeś ją! – znów zawołał rzucając się na syna. – Żeby dziś wieczorem była mi kurtka!

Mały Paganini wdział starą, podarowaną mu przez matkę kurtkę i wyszedł na ulicę. Z początku szedł powoli, sądząc, że ojciec go zawoła, lecz oburzenie starego było widocznie tak wielkie, że nie myślał wołać Nicola.

Wyszedszy za miasto, Nicolo usiadł na przydrożnym kamieniu, następnie, czując zmęczenie, zdjął kurtkę, podsunął ją pod głowę i położył się na trawie. Jednakże nie udało mu się zasnąć. Pod policzkiem wyczuł twardy krążek. Paganini zerwał się radośnie. Była to pięciofrankowa moneta. Teresa Paganini – kobieta zabobonna – do każdego nowego ubrania dzieci zaszywała pieniądze.

Pierwsze, co przyszło Paganiniemu do głowy, to myśl o powrocie, lecz w tejże chwili zmienił decyzję. Wałęsał się do wieczora po peryferiach Livorno. Kiedy zapadł zmierzch, wszedł zgłodniały do spelunki morskiej obok przystani, do tej samej, gdzie wczoraj ojca spotkała kłeska. Idąc w ślady starego Antonia Paganiniego, chłopiec po raz drugi w życiu wszedł do domu gry.

Zszedłszy do na wpół ciemnego korytarza i odliczywszy akurat osiem stopni, Paganini namacał drzwi, które znał od wczoraj, otworzył je i nie

zwracając uwagę na to, że marynarze i prostytutki zagradzali drogę, przemknął się wzdłuż ściany do pokoju.

Byli tu pechowi kapitanowie, niezmiernie sprytni bosmani, nieznanymi ludźmi w wytartych kaftanach i w długopółnych surdutach, jakiś staruszek o niepokojąco czułym spojrzeniu, a dalej, w na wpół ciemnym pokoju, pokotem spali na ławach tragarze portowi i marynarze, zupełnie już spici jałowcówką. Tam pijany Murzyn wściekle kłął i kłócił się z jegomościem, który werbował robotników na okręty odbywające dalekie rejsy. Ołowiany kubek uderzał miarowo o drewnianą ładę i za każdym razem na ręce werbownika przyskały krople żółtawego płynu. Murzyn pluł, charczał i kłął we wszystkich znanych mu językach. Przy stole grano. Stawki były małe. Mały Paganini podszedł do stołu i postawił na kartę pięciofrankówkę – błogosławione pieniądze, które podarowała mu matka.

Setki oczu skierowały się na chłopca. Ktoś chciał coś powiedzieć, lecz urwał. Gra szła dalej. Ktoś inny zapytał:

– Czy więcej stawek nie ma?

Do chłopca podszedł staruszek.

– No? – szorstko zapytał Nicola.

Marynarz złapał Paganiniego z tyłu za kołnierz. Chłopiec wyszczerzył zęby jak piesek złapany za obrozę, nadaremnie usiłujący ugryźć rękę, która go chwyciła.

– Czego chcesz? Puść! – zawołał.

– Ja ci zaraz pokażę grę – rzekł opalony bosman. – Komu ukradłeś pieniądze?

– To są moje własne – odparł chłopiec. – Muszę kupić ubranie. Bez ubrania nie mogę wrócić do ojca.

I pokazał podartą koszulę, narzekając na pstrokaciznę swego odzienia.

– Uważaj, diable, żebyś się nie przeliczył.

Lecz kierujący grą miał w tej sprawie inne zdanie. Rzucił tylko spojrzenie na chłopca i kontynuował grę.

Późną nocą wychodząc ze spelunki z małym Paganinim bosman rzekł:

– Masz szczęście, mała małpo! Zresztą, mówiąc szczerze, to mnie również nigdy nie powodziło się tak jak dziś. Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą. Lecz wiesz, co ci powiem? Widziałem, żeś wygrał osiemdziesiąt luidorów. Jesteś bogaty. Masz tyle pieniędzy, ile ja nie miałem w ciągu całego roku. Daj pięć luidorów, a doprowadzę cię do domu, bo jeszcze mogą cię zarżnąć w jakimś zaułku.

Istotnie, szli za nimi jacyś dwaj osobnicy. Bosman podciągnął ramię, wyjął z zanadru ciężki pistolet z wyrytym na nim rysunkiem wyobrażającym okręt i poprawił na sobie pas, na którym w pochwie wisiał krótki kordelas. Wszystko to było zrobione tak sugestywnie, jak gdyby bosman szykował się do walki z tuzinem bandytów. Lecz nikt nikogo nie usiłował ograbić. Chłopiec doszedł szczęśliwie do domu. Bosman otrzymał pięć luidorów.

Ojciec spał. Wielka, stłuczona *fiasca* leżała przy łóżku. Kałuża wina czerwieniła się na podłodze. Buty starego pływały w winie.

Mały Paganini całą noc nie mógł zmrużyć oka. Szczękał zębami i wściekle kołotało w nim serce. Stary nie obudził się. Wczesnym rankiem po cichutku, by nie obudzić ojca, chłopiec, przez nikogo nie zauważony, wyszedł z hotelu trzymając pod pachą skrzypce, a w ręce węzełek zawierający cały jego dobytek: książkę do nabożeństwa – prezent matki – i kokardkę z czerwonych, zielonych i czarnych wstążek, którą podarował mu niegdyś signor Gnecco.

Nigdy jeszcze w okresie swego dzieciństwa Nicolo Paganini nie odczuwał tyle pogody i spokoju. Chciało mu się jeść. Nie jadł dwa dni. Wzdłuż wielkiego kamiennego ogrodzenia, za którym widniała zieleń i szczebiotały ptaki, przeszedł całe wybrzeże. Dziewczyna, ubierając się po kąpieli, dźwięcznie śpiewała na brzegu. Powoli budziło się miasto. Nadmorska kawiarnia była pierwszym miejscem, dokąd wszedł skrzypek obdartus. Człowiek, który stał w drzwiach i wycierał szyby, spojrzał podejrzliwie na małego Paganiniego.

– Masz czym zapłacić? – zapytał, gdy Paganini obstałował sobie śniadanie zbyt suto jak na jego wiek.

Zapomniawszy o ostrożności Paganini wytrząsnął na dłoń garść pięciofrankowych monet i spojrzał zezem na pończochy, w których miał schowaną resztę pieniędzy. Popijając gęstą, gorącą kawę i chciwie jedząc gotowane jaja, chłopiec przypomniał sobie nagle nocną grę. Ostatecznie uczucie hazardu przewyciężyło strach, który budziła w nim spelunka. Doznał zawrotu głowy i z jakąś mdłą słodyczą myślał o chwili niesłychanego sukcesu, kiedy złoto chlusnęło potokiem.

Nagle ogarnął go zwierzęcy strach przed złodziejami. Wyszedłszy pośpiesznie z kawiarni, chłopiec szedł po spokojnych, porannych ulicach. Na placu znalazł się akurat w momencie, gdy otworzono sklep z ładnym szyldem: „Odzież wiedeńska”, i człowiek wysokiego wzrostu zaczął znosić z powozu tobołki i paczki.

Chłopiec kupił sobie od razu dwa ubrania. Nie poznał siebie w wytwornisium, którego ujrzał w lustrze. Nie bał się już chodzić sam po sklepach w obcym, nieznanym mieście. Wyszedłszy ze sklepu stanął na rogu i zapominając, gdzie się znajduje, wyjął skrzypce z pokrowca. Wziął kilka akordów i dźwięki popłynęły same. Ogarniające go uczucia, wszystko, co przeżył w tym roku, wyrwało się z niego huraganem dźwięków zmiatającym wszystko na swej drodze, wszystko zatapiającym i zrywającym nici, które wiązały go z domem i rodziną. Chwiał się, płonął i dygotał, grał jak opętany i nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje i jak długo gra. Nie zauważył zebranego wokół siebie tłumu, nie widział, jak przechodzień zdjął mu z głowy kapelusz i położył u stóp i jak do tego kapelusza ze wszystkich stron posypały się pieniądze. Nie czuł, że oczy ma zamglone od łez, i dopiero wtedy, gdy zachwiał się – opuścił smyczek. Trzęsły mu się kolana, zdawało mu się, że ramiona ma obarczone ołowianym ciężarem. Nagle ujrzał ludzi i usłyszał oklaski tłumu, który zebrał się na placu. Dorożkarz wstał z kozła, krzyczał i wywijał kapeluszem, subiekci sklepowi porzucili lady, kupujący zatrzymali się przed drzwiami, poznano go i mówiono o nim.

Paganini ze zdumieniem spojrzął na pieniądze, podniósł kapelusz, niezgrabnie napełnił kieszenie monetami i banknotami, schował skrzypce do pokrowca i poszedł, sam nie wiedząc, dokąd iść. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Powoli topniał za nim tłum gapiów i przechodniów. Nikt nie ważył się rozpytywać go widząc znużoną twarz, zapłakane oczy i długie, mokre rzęsy. Chłopiec przez cały czas czuł, że powinien coś zrobić, ale nie mógł odpowiedzieć na pytanie, co właściwie ma zrobić. Wreszcie zrozumiał. Kiedy się ma pieniądze, można wynająć dorożkę. Gdy wsiadł do powozu, poczuł, że nie ma już sił walczyć ze snem. Trzymając pod pachą skrzypce uwolnił prawą rękę i uszczypnął się w ucho. Dorożka zajechała przed stację pocztową. Tam Nicolo dowiedział się, że za godzinę wyjeżdża późny dylizans, i kupił bilet do Mediolanu. Przy dźwiękach trąbki późną nocą wyjechał z Livorno wielką starożytną drogą na północ. Tędy szły ongi wojska rzymskie. Na jezdni kamienie, starte kołami wozów rzymskich, ustępowały miejsca nowo budowanej drodze.

Dawne życie skończyło się. Pierwsza gra w spelunce okazała się o wiele ciekawsza niż gra na skrzypcach. „Sądzę zresztą – myślał Paganini zasypiając i kiwając głową przy każdym wstrząsie dylizansu – że jeszcze jedna taka gra na placu, a znów będę bogaty. Po co mam wracać do ojca, który wysysa ze mnie krew?”

Ze starożytnej bramy pizańskiej wyjechali na drogę północną.

„Dobrze jest siedzieć w karecie pocztowej podczas ładnej pogody – piszą starzy podróżni i dodają: – dobrze jest siedzieć w karecie pocztowej podczas deszczu grudniowego, ukrywając się głęboko wewnątrz karety, oczywiście, jeśli nie ma szpar w podłodze i oknach, jeśli ma się dobrą odzież na zmianę i pełny żołądek i jeśli obok w zawiniątku sterczy srebrna flaszka z mocnym, gęstym złocistym napojem”

Lecz samotnemu chłopcu źle podróżowało się w karecie pocztowej po północnych drogach włoskich.

Jak tylko karetka pocztowa wjechała we wrota messagera w Lukce, dwaj żandarmi aresztowali małego Paganiniego. Stary Antonio pożyczyciel pieniędzy i nie licząc się z wydatkami ani nie skąpiąc obietnic podniósł na nogi całą policję liwornijską, która heliogramem uprzedziła o przyjeździe chłopca do Lukki.

Dwie doby przesiedział Paganini w prefekturze. Nie zaprowadzono go ani do więzienia, ani do zakratowanej celi, korzystał z całkowitej niemal swobody. Zabroniono mu tylko wychodzić poza obręb gmachu prefektury. Urzędnicy policji pokpiwali z niego i nie przesłuchiwali go prawie, przypuszczając, że to syn bogatego człowieka, że wszystko się jakoś ułoży, tylko nie trzeba się śpieszyć i zaostrić sytuacji. Ponieważ urzędnicy policji nie wiedzieli, jak postępować z chłopcem, który nie jest przestępcą, lecz, być może, pochodzi nawet z dobrej rodziny, pobyt więc w prefekturze miasta Lukki nie był dla Paganiniego zbyt uciążliwy. Wyspał się i był najedzony.

Kilka razy pytał, kiedy przyjedzie z południa karetka pocztowa, i za każdym razem zapominał godzinę, którą mu wymieniano. Wreszcie, gdy otworzył drzwi i, zwróciwszy się do stojącego na dole policjanta, znów zapytał o pocztową karetkę, która miała nadjechać z południa, usłyszał głos ojca:

– Już jesteśmy, już!

Ani szturchańców, ani jednego ostrego słowa przez całą drogę do domu. Przeciwnie, ojciec okazał nawet niezwykłą tkliwość. Chłopiec ukradkiem patrzył na ojca, który zasypiał w karecie pocztowej: ostrożność nie opuszczała Nicola ani na chwilę. Lecz wbrew oczekiwaniom stary Antonio zachowywał się powściągliwie i spokojnie, mało mówił i był zamyślony. Im dalej posuwali się na północ, im bliżej byli Riwieri Lewantyńskiej, tym szybciej pracował mózg małego Paganiniego. Nicolo poczuł nagle, jak wielkie znaczenie w dzieciennym jego życiu miała ta ucieczka od ojca. Poczuł się oderwany od rodziny. Nawet ostry ból rozstania z matką zniknął, w miarę jak dylizans zbliżał się do rodzinnego miasta. Gdyby Paganini był starszy,

umiałby sformułować swój stosunek do ojca jako uczucie satysfakcji dobrego pedagoga, który mądrze wpłynął na lepsze sprawowanie się swego wychowanka. Role zmieniły się. Paganini czuł, że ma nad ojcem przewagę. I jednocześnie bał się go jeszcze.

W myśl milczącej umowy ojciec i syn wrócili do domu jako bogaci i szczęśliwi podróżni. O smutnym wypadku już nie wspominali.

W Genui panowała radość.

Ktoś przywiózł wiadomość o sukcesach małego Paganiniego i markiz di Negro przysłał list, w którym prosił, by Paganini wystąpił na wieczorze ze znakomitą śpiewaczką Teresą Bertinotti. Na tymże koncercie Kreutzer senior grał na klawesynie własne kompozycje. Paganini odniósł sukces. Grał z owym spokojem i pewnością siebie, którą dało mu pierwsze wielkie doświadczenie życiowe.

Paganini szybko przywykł do swej nowej sytuacji. Nie bacząc na obraźliwe przezwiska, którymi obdarzały go siostry, na zazdrosne i prawie że nienawistne spojrzenia brata, czuł się główną osobą w rodzinie.

Zdwoiła się chętność starego Paganiniego: cudowne dziecko, wypias-towane przez kochającego ojca i pełną poświęcenia matkę, przez rodziców, którzy wszystko zrobili, żeby rozwinąć talent syna – oto nową śpiewka starego Paganiniego.

Matka Nicola rada była tej przemianie, biorąc wszystko za dobrą monetę. Uwielbiała syna za jego dodatni wpływ na ojca.

Pewnego razu pan Kreutzer zatrzymał swoją karetę przed ponurymi drzwiami domu w Passo di Gatta Mora. Bogaty muzyk, artysta o manierach arystokraty i powierzchowności francuskiego markiza, Kreutzer zatkał nos jedwabną chusteczką, gdy szedł po schodach.

Kreutzer długo przekonywał signora Antonia, powołując się na zdanie markiza di Negro, że chłopca należałoby wysłać do Parmy, ponieważ w Parmie mieszka jedyny skrzypek, który może uzupełnić wykształcenie muzyczne małego Paganiniego. Chłopiec znał to nazwisko. Di Negro i Kreutzer namawiali ojca, by pojechał do Aleksandra Rolli.

Minął tydzień. Znów delikatny zapach kwiatów górskich wpływa przez otwarte okienka karety. Stary Paganini i chłopiec ze skrzypcami jadą w karecie pocztowej drogą wiodącą do Parmy.

Przyjechali w południe.

Wprowadzono ich do pokoju noszącego na sobie piętno majestatu i opuszczenia. Był to pokój odludka chorującego na ciężką i nieuleczalną chorobę.

Przy oknie, w promieniach południowego słońca bieli się na stole wielki zeszyt nut. Ołówkiem zapisano tu czterdzieści osiem linii nowej kompozycji muzycznej.

Rolla jest chory. Stary Paganini prosi jego żonę, by zezwoliła zaprezentować syna wielkiemu Rolli „choćby na jedną sekundę”.

W tym czasie, gdy signora Rolla w głębi mieszkania pyta męża, czy może przyjąć małego skrzypka, chłopiec wyjmuje skrzypce i wprawnie zaczyna grać a *vista* pierwsze takty nowej kompozycji Rolli. Jest to koncert skrzypcowy, nigdzie jeszcze i przez nikogo, nawet przez samego autora nie wykonywany. Nic o tym nie wiedząc Paganini gra, porwany pierwszymi dźwiękami koncertu.

Oto skończył już dwadzieścia siedem linii, oto gra *adagio*; w tej chwili otwierają się drzwi i na progu staje żółty, wycieńczony człowiek w błękitnym szlafroku rozpiętym na piersi. Siwe włosy na głowie i piersi, głębokie zmarszczki, chore oczy. Bez słowa, skinąwszy długim żółtym palcem, Rolla władczym gestem każe kontynuować grę. Ledwo powłócząc nogami podchodzi do krzesła, siada, chowa twarz w dłoniach i oparłszy łokcie o kolana, z zamkniętymi oczami słucha własnej kompozycji.

Oto kończy się kantylena. Lotne jak iskry *pizzicato*, potem *fermata* i chłopiec odkłada skrzypce. Nie odejmując rąk od twarzy Rolla odrzuca głowę na oparcie fotela. Ramiona starca drżą, lecz łez nie widać i chłopiec nie pojmuje, czy jest to stłumione łkanie starego kompozytora, czy też atak kaszlu, który chce on przemóc wysiłkiem woli.

Skrzypek jest zażenowany. Przenosi spojrzenie z ojca na starego Rolle i z kompozytora na jego żonę. Klasnąwszy w dłonie kobieta ta stoi z wyrazem ni to przerażenia, ni to zachwytu na twarzy. Stary Paganini w roztargnieniu gniecie w rękach kapelusz. Pragnąc przerwać kłopotliwe milczenie Nicolo podchodzi do signora Rolli.

– *Maestro...*

Lecz Rolla mu przerywa:

– Nigdy nie będę twoim nauczycielem, chłopcze. Jak szybko płynie życie, skoro dzieci osiągają dziś to, do czego myśmy dochodzili wyczerpując swoje siły. Co stało się ze światem, jak szybko ucieka życie!

Uważnie, od stóp do głów, stary skrzypek ogląda małego Paganiniego. Wyraz coraz większego zadowolenia rozlewa się na twarzy starca, zmarszczki wygładziły się, minęło podniecenie i Rolla mówi stanowczym głosem:

– Jestem stary i niczego nie mogę ci nauczyć. Lecz jest w Parmie człowiek młody i pełen sił. On może ci pomóc. Wyjdź na Viale Mentana,

tam jest brama z szarego kamienia, przejdziesz przez nią, a ujrzysz szerokie podwórze z kwiatami i kolumnadą – znajduje się tam szkoła muzyczna. Dyrektorem jej jest signor Paer. Zwróć się do niego i niech cię Bóg błogosławi.

Starzec podniósł poły szlafroka, szybko wstał, ramiona jego drgnęły, jak gdyby miał dreszcze; nie pożegnawszy się wyszedł do swego pokoju.

Rozdział dziesiąty

Karty, kości i skrzypce

Półroczny pobyt w Parmie zleciał jak jeden dzień. Paer osobiście objął kierownictwo nad studiami muzycznymi małego signora Nicola Paganiniego. Chłopiec łatwo opanował teorię muzyki.

Postać Paera kojarzyła się chłopcu z rtęcią. Signor Paer odznaczał się tak ciężkim krokiem, jak gdyby w żyłach jego rzeczywiście płynęła rtęć. Lecz ociężałość ta łączyła się z jego dziwną żywością, z bystrością i błyskotliwością. I jednocześnie Paganini wyczuwał zawsze chłód tej krwi. Rtęć, choć podobna do roztopionego metalu, jest zimna. Chłopca zdumiewał ten dziwny człowiek, zdumiewał chłód i martwy ciężar jego żrenic, jak gdyby nic nie widzących oczu o jakimś fiołkowym odcieniu. Ta fiołkowa barwa oczu, delikatny liliowy kolor ubrania, krawata i rękawiczek Paera – wszystko to działało na Paganiniego w specjalny sposób. Chłopiec dziwił się, że tak często widywał go we śnie. Signor dyrektor konserwatorium, wyniosły Paer, występował zawsze w tych snach jak jakiś cudowny geniusz w todzie koloru lila: wywijał ręką przed orkiestrą składającą się z takich samych jak on ludzi koloru lila – z fioletowych geniuszów – i z każdego palca strącał ni to srebrne krople, ni to soplek rtęci, które dzwoniąc i przyskajac padały na szyby okienne, a to dzwonienie przemieniało się w dźwięki miliona dzwoneczków. Leciąco stłuczone szkło i dzwoniło, przekształcając się w kryształki, iskry, gwiazdki, ziarenka gradu i płatki śniegu, które opadły z drzew. Robiło się nagle mroźno, zima okrywała świat jak w wysokich górach za Cremoną, tam gdzie w lipcu na jeziorach górskich dzieciaki,

jeżdżą na łyżwach, a w dole pasą się stada i złoty dźwięk pastuszego rogu zwołuje owce i pędzi je w wąskie wąwozy pomiędzy wysokimi, przezrzystymi ogrodzeniami z latorośli winnych, oblanych blaskiem słońca. Oto krople ręki padają na drzewa i natychmiast rozbłyskują tysiącem białych ogni w nocnych alejach parku. A potem noc przemienia się w dzień i parmeńskie pola fiołkowe płoną jeszcze jaskrawiej pod magicznym wpływem kolorów fiołkowego i lila, w które jest przystrojony dyrektor konserwatorium miasta Parmy.

Mijały dni. Gardi i Novi, uczniowie konserwatorium parmeńskiego, byli rywalami Paganiniego. Nie udało im się prześcignąć go ani w grze na skrzypcach, ani w nauce teorii, lecz w dziedzinie kompozycji mogli z nim współzawodniczyć o miejsce w sercu nauczyciela. Gardi i Novi nienawidzili się wzajemnie. Z początku każdy z tych seminarzystów konserwatorium usiłował zjednać Paganiniego dla siebie. Lecz Paganini nie skorzystał z tych propozycji, nie chcąc zaprzyjaźnić się z jednym po to, by szkodzić drugiemu. Wtedy obaj wrogowie zjednoczyli się we wspólnej nienawiści do Paganiniego.

Novi był bratem kanonika starożytnego kościoła genueńskiego. Bracia Novi pisali do siebie listy pełne słodyczy i wzajemnych zapewnień o wierności dla spraw Kościoła. Starszy przesyłał młodszemu informacje o rodzinie i dziecięcych latach Paganiniego. Młodszy polecał starszemu, by rozsiewał plotki o młodym skrzypku. I kiedy Paganini, pochłonięty pracą, nie szczczędając sił i zdrowia, ćwiczył po czternaście godzin na dobę, w innym mieście czekało go wielkie i surowe doświadczenie.

Paganini mieszkał w małym pokoiku u signory Augustyny. Pokoik źle się zamykał. Paganini nie dziwił się, gdy wracając z konserwatorium znajdował ślady pobytu obcych ludzi w swym pokoju. Wszystkie jego rzeczy, nie wyłączając bielizny, były przetrząśnięte, poduszka rozpruta i niedbale zaszyta, a listy od matki i siostr ułożone i związane byle jak. Niejednokrotnie, otwierając drzwi, Paganini na domiar złego widział, jak wielki szczur, który był stałym gościem w jego pokoju, siedzi na biurku i gryzie pozostawoną przez kogoś skórkę chleba. Paganini wdrygał się i przystawał. I za każdym razem, pogardliwie patrząc na muzyka, szczur bez pośpiechu zeskakiwał ze stołu i czmychał pod podłogę.

Prawowierne katolickie gazety komunikowały o wielkich wydarzeniach. Lecz odgłosy te nie wzburzały atmosfery Parmy. W Parmie cicho dzwoniły dzwony i opaśli, nalani tłuszczem księża ckliwie śpiewali mszę. Młodzi skrzypkowie bywali w kościele z obowiązku. Pełnoletni Gardi spowiadał się

i przyjmował sakrament. Za każdym razem po spowiedzi na długo zamykał się z Novim dla jakichś wyjątkowych narad. Chełpił się przed kolegami, że polecono im śledzić studentów konserwatorium, czy są prawomyślni.

Paganini całymi godzinami męczył się nad niewykonalnymi prawie pasażami skrzypcowymi, po czym znużony pracą, która coraz bardziej wyczerpywała go fizycznie, szedł na drugi kraniec miasta, gdzie mieszkał Ghiretti. Stary neapolitański dyrygent Ghiretti był nauczycielem Paera. Jemu właśnie signor Paer polecił, by udzielał Paganiniemu lekcji teorii. Ghiretti traktował uczniów bardzo surowo i Paganini wiedział, że najmniejsza omyłka, najmniejsze osłabienie uwagi wpłynie natychmiast ujemnie na stosunek do niego signora Ghirettiego i signora Paera. Ghiretti był zwykłym pedagogiem konserwatorium. Signor Paer był uczniem Ghirettiego i jego szefem. Lecz jak to się często zdarza w świecie wzniosłej i wielkiej sztuki, faktyczny stan był taki, że signor Paer ulegał signorowi Ghirettiemu we wszelkich teoretycznych kwestiach z dziedziny muzyki. W sprawach administracyjnych signor Paer był całkowitym panem. Signor Ghiretti bowiem negował po prostu istnienie jakichkolwiek bądź administracyjnych zadań i prac signora Paera. Można było sądzić, że dla Ghirettiego nie istnieje wcale życie od strony praktycznej. W przeciwieństwie do signora Gnecco ten wysoki szczupły starzec, o ładnej twarzy w aureoli siwych włosów, nie był jak gdyby związany ze zjawiskami codziennego życia. Nic go nie obchodziło urządzenie pokoju. Wszędzie królował nieład – i na półkach, i na otomanie, która zastępowała signorowi Ghirettiemu łóżko. Obydwu zupełnie niepodobnych do siebie dyrygentów łączyła tylko wierność jednako czczonemu przez nich emblematowi. Wśród rzeczy rozrzuconych na biurku w pokoju, do którego Ghiretti nie wpuszczał nikogo prócz Nicola i signora Paera, Paganini zauważył małą czarno-czerwono-zieloną kokardkę, taką samą, jaką pewnego razu otrzymał od signora Gnecco. Był to znaczek leśnych braci. W na wpół dziecinnej świadomości Nicola te trzy kolory oznaczały lasy, w których ludzie wśród zieleni rozdmuchują czerwone płomienie ognisk podziemnych i całymi górami spalają czarny węgiel. Oto skąd pochodzi owo skojarzenie kolorów czerwonego, czarnego i zielonego. O politycznym znaczeniu słów *foresta*, *baracca* i *venta* Paganini prawie że zapomniał. Cały ten system symbolów był zakazany.

Pracami teoretycznymi Paganiniego kierował Ghiretti; wszystkie praktyczne ćwiczenia i nauka kompozycji odbywały się pod bezpośrednim kierownictwem Paera. Inni nauczyciele patrzyli na małego Paganiniego raczej jak na młodszego kolegę. Paganini wiedział, jak odnoszą się do niego pedago-

dzy konserwatorium. Budziło to w nim chłopięcą dumę. Lecz niestety nie stał się z tego powodu bardziej ostrożny w stosunku do studentów. Pochłonięty pracą, żył nadal w samotności. Wracając od Ghirettiego, zamiast spędzać wieczory na zabawie z dziewczętami Parmy, jak to czynili jego koledzy z konserwatorium, zamykał się w pokoju i znów grał. Doprowadził się do takiego wyczerpania, że skrzypce niekiedy wypadały mu z rąk. Lecz osiągnął już taki stopień fanatycznego napięcia, że nie dostrzegał, jak topnieją jego siły, nie odczuwał nic prócz dążenia do wytyczonego celu. Tylko okropne ataki kaszlu na całe godziny czyniły go niezdolnym do pracy. Podczas takich przerw Paganini porzucał skrzypce i siadał przy stole. Najdrobniejszymi znakami muzycznymi zapisywał stronice liniowanego papieru do nut. Były to ćwiczenia, które zadawał mu Paer. I w końcu szóstego miesiąca pobytu w Parmie miał gotowe dwadzieścia cztery fugi na cztery ręce, napisane bez instrumentu. Paer grał je z Paganinim. Był to jedyny uczeń, któremu pozwolono grać z dyrektorem konserwatorium. Niesłychanie trudna forma muzyczna, którą mały kompozytor nadał swoim utworom, wykluczała możliwość wykonania jego kompozycji przez któregośkolwiek z sześciu uczniów dopuszczonych do zajęć z signorem Paerem.

Po upływie czterech miesięcy współpracy z Paerem Paganini otrzymał polecenie napisania duetu na skrzypce i cały pogrążył się w rozwiązywaniu tego zadania.

Dopóki obmyślał tę skomplikowaną i trudną kompozycję, grał utwory innych uczniów. Miał dobre zamiary, ale rezultat był opłakany. Wykonanie jego mimo woli gniewało rywali, ponieważ nieoczekiwanie w trakcie wykonywania poprawiał smyczkiem defekty ich utworów. Nieudolna rzecz nabierała w jego wykonaniu takich walorów, że nie budziła już oburzenia Paera. Lecz drobna ta pomoc udzielana rywalom, zamiast uznania, powodowała jeszcze większą ich wściekłość. Koledzy Paganiniego milczeli w obecności Paera wiedząc, że Paganini pomógł im, poprawiając ich utwory, lecz napadali na niego, gdy tylko nauczyciel wychodził. Gardi gniewnie zarzucał Paganiniemu, że samowolnie przerobił jego utwór; dwaj inni grozili mu bezlitosnym laniem za to, że jakoby kradnie całe melodie z ich utworów i włącza je do swych fug.

Paganini doskonale rozumiał, o co chodzi. Grając kompozycje swych kolegów, ubierał je w formę, w której wiele taktów było owocem jego natchnienia. Rzecz naturalna, że poszczególne elementy powtarzały się w jego własnych utworach. I kiedy pierwsza fuga została odegrana w sali

konserwatorium, sześciu studentów rzuciło się na Paganiniego z okrzykiem: „Złodziej!”

Pewnego wieczora, gdy Paganini wyszedł ze swego pokoju i usiadł obok zamku parmeńskiego, by odpocząć, nagle uwagę jego przykuł leżący na dróźce kawałek papieru zapisany nutami. Paganini podniósł go. Były to nuty z francuskim tekstem, z długim górnolotnym tytułem i winietami po bokach – wojenna pieśń armii reńskiej, wykonywana na scenach różnych teatrów, skomponowana przez oficera wojsk saperskich Rougeta de Lisle’a.

Paganini wrócił do domu, zapalił świecę i znów odczytał nuty. Potem słuchał, jak w ciszy nadciągającego zmierzchu w oddalonym kościele bije dzwon na Anioł Pański i podczas gdy ostatnie jego dźwięki drgały jeszcze w powietrzu, przeciągał smyczkiem po strunach. Skrzypce zaśpiewały trzy pierwsze takty *Marsylianki*. Do wtóru dzwonu bijącego w zwolnionym tempie pieśń ta brzmiała dziwnie.

Szeroki, spokojny potok chorału kościelnego przemienił się w całe morze dźwięków organowych, które tylko Paganini umiał odtworzyć na skrzypcach. Potem rozległ się szmer, jak gdyby po kamieniach pobiegła wartka rzeczka. Prąd jej, z początku łagodny, stawał się coraz bardziej rwący, coraz potężniejszy i wreszcie szum wody zlał się z szumem huczącego, burzliwego przypływu, wielogłosowej mowy tłumy, który zbliża się poszczególnymi ulicami i wylewa na plac. Tętent kopyt, szcęk broni – i właśnie w tej chwili Paganini wypuścił *Marsyliankę* jak ptaka na wolność. Francuska pieśń bojowa – namiętne wezwanie do walki tak mocno porwało również i samego skrzypka, że nie zauważył, iż obok domu zebrał się tłum, nie rozumiał, czemu rozlegają się oklaski i krzyki, i dopiero gdy skończył grę i odłożył skrzypce, ujrzał przez małe okienko, że ulica jest pełna ludzi.

Z rana Paganini obudził się pod stosem odzieży, którą w nocy narzucił na siebie usiłując się ogrzać. Trzęsła go febra.

Dziesięć dni Paganini przeleżał w łóżku. Nie schodził ze swego poddasza. Stara odźwierna konserwatorium odwiedziła go, oddała pozdrowienia od signora Paera i przyniosła liścik:

„Ściągnąłeś na siebie gniew. Nie wiesz, obląkańcze, jak niebezpiecznie mieszać hymny kościelne z bezbożnymi pieśniami Francuzów. Przypadkowo dowiedziałem się o twojej chorobie. Novi przyszedł do mnie z wiadomością, że objawił ci się anioł i leżysz teraz ze strzaskaną ręką, nosząc na sobie piętno gniewu Bożego. Nie wierzę tym bzdurom, lecz bądź ostrożny. Spal ten liścik, drogi chłopcze. Barbara postara się o to, byś prędzej wrócił do

zdrowia i żeby cię odżywiano, jak należy. Nie mam możliwości cię odwiedzać. Przyjdź, a powiem ci o zaproszeniu, które otrzymałem od weneccjan, ponieważ nie w Parmie, a właśnie w Wenecji została przyjęta i będzie wystawiona moja opera. Nie zapominaj wieczorem dobrze zamykać okien. Rozpoczęły się zimne noce i wiele ludzi choruje na febrę”

List był bez podpisu. Stara służąca w milczeniu czekała, aż Paganini przeczyta list. Potem zapaliła świecę i w płomieniu jej spaliła list Paera. Surowe spojrzenie starej i wyraz jej twarzy mówił, że wie o młodym skrzypku o wiele więcej niż on sam o sobie.

Nazajutrz Paganini udał się do konserwatorium, żeby oddać nauczycielowi dopisany duet. Wychodząc, ze złością spostrzegł, że drzwi nie są zamknięte: widocznie po wyjściu służącej pozostały otwarte przez całą noc.

Kiedy zagrał pierwsze takty, piekący ból w lewym oku i skroni o mało nie przyprawił go o utratę przytomności. Pękła struna basowa. Koniec jej uderzył skrzypka w lewą powiekę. Osiągnięty hart ducha pozwolił mu nie zdradzić się przed nauczycielem, że szaleje z bólu. Całym wysiłkiem woli postanowił kontynuować grę na trzech strunach. Ręce mu drżały, doznał zawrotu głowy; ręce i ramiona przytłaczał jakiś ciężar.

„Znow gorączka” – pomyślał Paganini bojąc się spojrzeć na Paera. Rumieniec oblał mu policzki, miał wrażenie, że oczy jego zaprószone są piaskiem. I nagle nauczyciel położył mu rękę na ramieniu.

– Skąd to wzięłeś? – szorstko zapytał Paer. – Przecież to nie twoje skrzypce, Paganini!

Istotnie, były to ordynarne wiejskie skrzypki, stały gość weselisk wsiowych i tanecznych wieczorków. A na domiar złego do wewnętrznej strony gryfu przywiązane były kawałki ołowiu. Paer zapalił kandelabr i ze wszystkich stron zaczął oglądać prostacki wyrób złego majstra. Pociągnawszy Paganiniego za łokieć, w milczeniu pokazał mu cienką pincetką, że wszystkie struny są nadcięte. Rzucił skrzypce na stół. Z żalonym dźwiękiem popękały pozostałe struny. Paer wielkimi krokami zaczął chodzić po pokoju.

Paganini roześmiał się, z początku cicho, potem śmiech ten przemienił się w głośny chichot. Chłopiec upadł na otomanę i tarzał się ze śmiechu. Przygnębiające go uczucie niepewności, obawa, że choroba zabiła w nim skrzypka, ustąpiły miejsca namiętnej, niezwykłej świadomości, że niczym nie zawinił wobec wielkiej sztuki i że winowajcy dzisiejszego niepowodzenia należy szukać nie w nim, lecz w innych. Po chorobie nie

zostało śladu. Owa nieśmiałość, która ogarnęła Paganiniego w obecności Paera, nagle znikła.

– A gdzie są twoje skrzypce? – zapytał Paer.

Paganini umilkł.

– Wiem, kto to zrobił – rzekł w zamyśleniu Paer, jak gdyby mówiąc do samego siebie. Po czym machinalnie przewrócił stronę zeszytu i zawołał:

– Aha! Duet już gotów. To dobrze.

Wyjął z szafy skrzypce dla Paganiniego i wziął swój instrument.

Po wykonaniu duetu Paer powiedział powściągliwie, z uśmiechem wielkiego zadowolenia:

– Ani jednego błędu w utworze wymagającym czystego i surowego stylu. Cóż. Uważam, żeś zdał egzamin. Teraz pomówimy o naszym rozstaniu.

Rozdział jedenasty

Szczury

Policja parmeńska odmówiła przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków dla odnalezienia zaginionych skrzypiec.

Po dwóch płatnych koncertach, wykonanych na skrzypcach należących do Paera, Paganini opłacił koszty nowego instrumentu. Resztę pieniędzy przekazał ojcu.

Dziwnie układało mu się życie. Na rozmyślaniach o nim spędził wiele godzin, siedząc przy oknie swego pokoju, z którego widać było całą południowo-zachodnią część miasta.

Pewnego razu rozmyślania jego zostały przerwane pojawieniem się w zaułku dwóch dziwnych ludzi. Oto stoją pod oknami poddasza, na rogu, na wprost wejścia do wielkiego gmachu. Milkną, gdy obok nich ktoś przechodzi, i wznawiają rozmowę, trwożnie patrząc w ślad za przechodniem. Potem jeden szybkim krokiem idzie w stronę zaułka. Paganini patrzy na nich z poddasza i mimo że pokój jego znajduje się nad trzema piętrami starego domu parmeńskiego, słyszy całą rozmowę słowo w słowo.

Tak było zawsze. Często wśród ciszy nocnej Paganini chwycił ledwo dostyszalne dźwięki: głos oddalonego dzwonu z osiedli, płynący między wzgórzami, skrzywienie kabrioletów i krzyki poganiaczy za wałem miejskim na starożytnej drodze albo głosy przechodniów idących placem położonym o kilka ulic od domu, krzyki i płacz chorych dzieci dobiegające z suterren sąsiednich zaułków i nawet głosy gospodyń klócących się wieczorem przy studni na dalekiej uliczce obok muru miejskiego. Ta niezwykła ostrość słuchu wydawała się Paganiniemu naturalna.

Człowiek, który został w zaułku, poszedł szybkim krokiem w kierunku schodów. Minęło kilka sekund, rozległy się kroki i pukanie do drzwi. Wszedł nauczyciel.

– No cóż – rzekł Paer – przyszedłem pożegnać się tylko z jednym uczniem.

Paganini podał mu krzesło. Podniecony i rozstrojony, patrzył na signora Paera. Z twarzy nauczyciela ustąpiły trwoga i smutek, zakwitł na niej uśmiech.

– Chcę cię uprzedzić – rzekł Paer – byś nie chodził do konserwatorium, ale jak najrychlej wyjechał z Parmy. Żałuję, że muszę opuścić miasto, w którym spędziłem tyle lat, lecz weneccjanie są uparci. Warunki, które mi proponują, są lepsze od warunków innych miast.

Paer jak gdyby utknął na tym zdaniu, przyglądał ręką włosy, spojrzał na Paganiniego i zapytał:

– Jesteś zmartwiony? Wydajesz się z jakiegoś powodu zdenerwowany...

Ująwszy Paganiniego za ramiona, obrócił go twarzą do okna. Paganini odwrócił oczy, na żółtych jego policzkach ukazały się ceglaste plamy. Po czym spojrzał Paerowi prosto w oczy i rzekł:

– Bardzo wobec pana zawiniłem. Słyszałem wszystko, o czym mówił pan ze swoim kompanem. Ja wiem, że pan jest karbonariuszem, i znam tego człowieka – to Ugo Foscolo.

Paer drgnął i odskoczył.

– Za to cię właśnie nie lubię – rzekł szybko Paer i odwrócił się.

– A ja nie podzielam pańskiej niechęci – odparł Paganini. – Czy jestem temu winien, że mnie nie lubią? Odnoszę się do wszystkich jak do przyjaciół i nikomu nie wytykam wad, podczas gdy mnie łąją za moje zalety.

– Cóżś słyszał z naszej rozmowy? – zapytał Paer.

– Rozstając się z signorem Foscolo, mówił pan, zdaje się, o życiu weneckim. Signor Foscolo opowiadał panu o wystawieniu swej tragedii

Tieste, o swej sprzeczce z Bonapartem i o tym, że po upadku Republiki Cisalpińskiej nigdy już nie zobaczy rodzinnej Wenecji. A pan, pan obiecywał postarać się o to, aby Foscolo nawiązał znów stosunki z Wenecją. Mówił pan, że zamieszka w Wenecji na wyspie Murano i że tam wystawi pan swoją operę. Łącznikiem między panem a Foscolo ma być poeta Buratti. Profesorze, profesorze, czemu pan tak głośno mówi na ulicach? Jeśli wszystko to...

Paganini zamilkł. Paer krztusił się z oburzenia i śmiechu.

– Niechże cię diabli wezmą z twoim słuchem! Można pomyśleć, żeś stał na rogu. Lecz nie wątpię o szlachetności twego serca. Żegnaj więc, nie mam czasu. Postaraj się dziś jeszcze wyjechać z Parmy. W Genui będziesz bezpieczniejszy. Gdy grasz na skrzypcach, nie wtrącaj się do polityki.

Paer odszedł. W nocy wyjechał drogą wiodącą przez Guastallę, Mantuę, Legnano i Padwę. Po przyjeździe do Wenecji w ciągu jednego tygodnia zapomniał o swym uczniu. Paer pozostał wierny sobie. Oziębłość, którą zauważył Paganini w sercu swego nauczyciela, pozwoliła mu – potem, gdy już spełnił wobec człowieka to, co nakazywało mu poczucie obowiązku – całkowicie o nim zapomnieć.

W ciągu ostatnich trzech dni przed wyjazdem do Wenecji Paer rozesłał do miast i ośrodków muzycznych Italii poważne rekomendacje, w których z zachwytem i jednocześnie z powagą zawiadamiał o zjawieniu się Paganiniego jak o cudzie w historii sztuki muzycznej. Paer rzeczowo i spokojnie oświadczał, że w świecie cudów muzycznych Paganini osobą swoją rozpoczyna nową kartę, historia ludzkości bowiem nie знаła talentu o podobnej wielkości i mocy.

Lecz po cichu pracowały już inne siły. Oszczerstwa, jak strumienie podziemne, płynęły ciemnymi kanałami we wszystkie strony i przede wszystkim do rodzinnego miasta Paganiniego, do którego wracał młody muzyk. Paganini nie wiedział jeszcze o tym, a Paer już zapomniał. Przeniósłszy się do Wenecji, zupełnie wyrzucił z głowy i serca myśli i wspomnienia o swym uczniu.

Znużony górską drogą, Paganini siedział w małym pokoju przy stole. Podczas przywitania nie zaszło nic przykrego, lecz Paganini czuł się tak, jak gdyby znalazł się w obcej rodzinie. W ciągu całego pierwszego dnia rodzina

przyglądała się mu z ukrywaną uwagą, jak gdyby oczekiwała jakiegoś wybuchu. Ale wybuch nie nastąpił.

W duszy młodego skrzypka panowała zupełna cisza i znużenie. Trzy dni nie brał skrzypiec do rąk i jak nierób włóczył się po wybrzeżu. Stąpił po wilgotnych kamieniach mola, łódką dopływał do mola Duca i słuchał tam śpiewu morskich fal. Całymi godzinami siedział na kamieniu albo stał ze skrzyżowanymi rękoma i patrzył, jak wiatr wyrывa z niebieskich fal białe puch i pióra piany.

Noc nie dawała zapomnienia. Nie rozmawiał z nikim z rodziny. Nic nie znaczące pytania, urywane odpowiedzi, nudne dni.

Pewnego wieczora, wróciwszy później niż zwykle, spotkał tak smutne spojrzenie zapłakanych oczu i taki wyraz zgrzyzoty na twarzy matczynej, że go to przeraziło. Zapytał ją o przyczynę łez. Matka w milczeniu pokiwała głową i chciała odejść. Ostrożnie ujął ją za rękę. Usiadła i wskazała mu miejsce obok siebie.

– Czemuś się zmarnował? Czy sądzisz, że nie wiemy, jakie życie wiodłeś w Parmie? Ojciec wie, kto cię zdeprawował, kto zabrał cię rodzinie, Bogu i świętemu Kościołowi...

Nicolo chciał jej przerwać, ale matka machnęła ręką i kontynuowała:

– Przyjaciele twoi, którzy kochają cię ponad życie, pisali nam o tobie listy pełne smutku. Czytając je o mało co nie umarłam. Ja i ojciec pisaliśmy do ciebie błagalne listy, lecz byłeś tak okrutny, że na żaden list nie odpowiadałeś. Nagle przyjechałeś do rodzinnego domu jak człowiek, który ma prawo pohańbić jego progi, a wróciwszy nie tylko nie okazałeś skruchy, lecz nie prosiłeś nawet o przebaczenie za to, żeś zlekceważył swoje obowiązki.

Nicolo zerwał się.

– A więc to jest powodem dziwnego przyjęcia, jakiego tu doznałem! – zawołał.

W sąsiednim pokoju rozległ się hałas. Ojciec obudził się i szurając pantoflami zjawił się na progu. Mrużył oczy od światła kandelabru, który drżał w jego ręce. Posępny uśmiech zeszcpił i tak nieładną jego twarz. Starcze usta jakby coś żuły.

– Czy warto mówić z nicponiem? – zwrócił się do żony. – W zatwardziałym tym sercu nie znajdziemy ani kropli jasnego i czystego uczucia. Pozwólmy temu psu zdychać w samotności.

Stary ciężko dyszał. Nicolo milczał i nie mógł wyjść z osłupienia. Uważając milczenie za wyzwanie, ojciec zawołał z oburzeniem:

Wiemy o wszystkim! Wiemy również i o tym, jak sromotnie roztrwoniłeś zdrowie na hulankach, wiemy, jak ściałeś się na egzaminie i jak pękły ci struny, a skrzypce wypadły z twych rąk. Pamiętaj, że jest to kara za to, że nie spełniasz przykazań boskich! Z pokorą przyjęliśmy ten dopust boży, lecz nie dobijaj swej matki uporem, nikczemniku, który nie odczuwasz skruchy! Opuść naszą rodzinę, a jeśli nie chcesz, to opamiętaj się i ruszemy w podróż po Lombardii.

Nicolo pokiwał przecząco głową.

– Póki mi nie powiecie, kto jest oszczercą, kto rozpuścił te potworne plotki i kto oczernił mnie w waszych oczach, póty będę odpowiadał milezeniem na wszystkie wasze zarzuty. Muszę wyjaśnić, kto tak nałgał! Mówicie, że nie otrzymywaliście moich listów, ale przecież ja również nie otrzymałem ani jednego listu od was.

Wspominał o wszystkim, co się zdarzyło miesiąc temu. Listy oddawał zawsze odźwiernemu konserwatorium; listy, które otrzymywał, również były kierowane na adres konserwatorium. Lecz nawet przy całej potworności stosunku żandarmerii austriackiej do korespondencji obywateli włoskich nie było wypadku, by ginęły wszystkie listy wysyłane w obydwie strony. Widocznie oprócz policyjnego urzędu śledczego był jeszcze jakiś samowolny łowca listów.

Paganini uklęknął przed matką i całując ją po rękach, rzekł:

– Powiedz mi, mateczko, jakież to człowiek pisał do was o mnie. Przysięgam na życie, że nie otrzymałem ani jednego waszego listu. Pisałem do was bardzo regularnie co niedziela. Reszta dni tygodnia upływała mi na wyczerpanej pracy i straciłem przy tym wiele sił. Lecz jestem przekonany, że siły te wrócą i zapewnię wam spokojną starość.

Signor Antonio zakasał, chrząknął, potem splunął, roztarł plwocinę wzgardliwie pantoflem i trzasnąwszy drzwiami wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wtedy signora Teresa przyniosła paczkę listów i położyła na stole przed synem. Paganini zaczął czytać. Charakter pisma był mu zupełnie nie znany. Listy były pisane na różowym papierze. Rozpoczynały się od zapewnień o miłości żywionej do Nicola Paganiniego. Rozpoczynały się od słów pełnych niepohamowanego zachwytu i uwielbienia dla geniusza muzyki i skrzypka, jakiego świat dotychczas nie widział. Zaczynały się od oświadczeń o najgłębszym i pełnym szacunku przywiązaniu i stopniowo przechodziły w lamentację i smutne ubolewanie, że znakomity skrzypek grzęźnie w brudnej kałuży rozpusty, że spędza noce w spelunkach na grach

hazardowych i upija się z wesołymi dziewczętami i chłopcami. Że zerwawszy ze świętym Kościołem, nie chodzi na msze i choć nastal już czas, ani razu się nie spowiadał, a usta jego ani razu nie przyjęły świętego opłatka. W ciele tym, którego nie nawiedził ogień świętej komunii, płomienie demonicznych chuci i wstrętnych żądz spalają nie tylko wielki talent muzyczny dany od Boga, ale i resztki prostych, naturalnych uczuć ludzkich.

Nieznajomy przyjaciel pisał:

„Najlepszy mój przyjaciel, ukochany przeze mnie człowiek, Nicolo, spędza całe dni z bandą złodziei i karbonariuszy, którzy mają wyraźny zamiar zatruć studnię promiennej prawdy i działają wspólnie z frankmasonami oraz jakobinami przybyłymi z Północy”

Wszystkie listy, co do jednego, kończyły się wezwaniem do miłosierdzia bożego, które powinno spłynąć na głowę zatwardziałego grzesznika. I oto nareszcie ostatni list, przedstawiający w jaskrawy sposób smutny obraz ostatecznego upadku Nicola Paganiniego. Osłabiony z rozpusty, skrzypek nie jest w stanie utrzymać instrumentu w rękach. Drżą mu ręce, drży smyczek, a usiłując oddać chorobliwe natężenie sił swego ducha, nieszczęsny skrzypek przepiłowuje smyczkiem struny jedną po drugiej.

„Najdroższa i bogobojna signoro, całe konserwatorium płakało gorzkimi łzami, nawet signor Paer, szanowny nasz dyrektor, nie mógł powstrzymać łez widząc, jak syn wasz barbarzyńskim pociągnięciem smyczka usiłuje dobyć głuche i ochryple dźwięki z zaniedbanych, zalanych winem i zwilgotniałych w piwnicach skrzypiec. Signor dyrektor wyjeżdżając do Wenecji, jedyne miejsce, dokąd nie przesączył się jeszcze podły ateizm bonapartowski, oświadczył pedagogom, seminarzystom i studentom na pożegnalnej kolacji w konserwatorium, że pokładał wiele nadziei w panu Nicolo Paganinim, teraz jednak ostatecznie się rozczarował i jest zmuszony rzucić na niego swoją profesorską klątwę”

Paganini nie mógł się uspokoić. Przerzucał i odczytywał listy, wpatrując się w poszczególne zdania. Przypominał sobie, jak grał po dwanaście godzin z rzędu namydlonym smyczkiem, by przeciągając nim po strunach drugich swych skrzypiec, skazanych na tę czarną robotę, i nie dobywając z nich dźwięku, przezwyciężać trudności, które, zdawałoby się, są nie do pokonania. Namydlony smyczek pobudzał go do natężenia sił, którego wymagały ćwiczenia zadane mu przez Paera. Od gry tej obrzmiewały mu nogi, a łokcie i ramiona stawały się jakby drewniane.

Chciał opowiedzieć o tym ojcu i otworzył drzwi, lecz powitał go okrzyk:

Milcz, nic cię nie może usprawiedliwić. Gdzie są pieniądze, które zarobiłeś na pięćdziesięciu koncertach? Gdzie sukcesy, którymi winien byłbyś się pochwalić po półrocznym zjedaniu ojcowskiego chleba w Parmie? Czy sądziłem wydając cię na świat, że w mojej rodzinie, bogobojnej, wypróbowanej i wiernej, urodzi się bezbożnik, rozpustnik, karbonariusz, który chce obalić legalną władzę daną od Boga i namiestnika Chrystusowego w Rzymie! Jesteś niegodziwym, godnym pogardy nikczemnikiem. Los zesłał ci przyjaciela, który troszcząc się o ciebie stale miał pieczę nad podłgą twoją duszą... i wszystko okazało się daremne! Mając nawet takiego przyjaciela i opiekuna, pozostałeś brudnym bydlęciem.

Stary zatrzasnął drzwi. Nicolo ledwie zdążył cofnąć głowę. Mimo to znów zaczął opowiadać matce o warunkach życia w Parmie i o wyczerpanej pracy w konserwatorium. Ale za każdym razem, gdy tylko zaczynał mówić, że nadawca tych listów jest oszczercą i łotrem, który umyślnie udaje przyjazny ton, by pozyskać jej zaufanie, kiwała głową i mówiła:

– Dobrze pojmuję twoje rozżalenie. Każdy człowiek, który mówi o tobie prawdę, wydaje ci się nędznikiem.

Rozmawiali całą noc. Nastąpił ranek. Nicolo w podnieceniu chodził po pokoju. Signora Teresa nie odrywała od niego oczu, jak gdyby usiłując przelać całą siłę, wszystek ogień matczynej miłości i łkliwości w niecnego syna.

Ciężkie chrapanie za drzwiami ustało. Signor Antonio obudził się. Matka natychmiast zgasła świecę i podniosła rolety. Jasny i piękny ranek genueński zaglądał w okna.

Zastukano do drzwi.

– Czy tu mieszka skrzypek Nicolo Paganini?

– Jestem, signor.

– Nienadaremnie jednak siedział pan pod skrzydełkiem takiego orła jak signor Paer!

Do pokoju wszedł nie znany Paganiniemu starzec. Nagle wyrzała ogolona twarz signora Antonia.

– Proszę spocząć, signor, proszę spocząć – rzekł służalczo i znów zniknął za drzwiami.

Gościem okazał się impresario wielkiego teatru genueńskiego. Przyszedł z propozycją, aby Paganini wystąpił na wieczorze w domu signora Brasco oraz na wielkim koncercie skrzypcowym w Genui. Gdy przyodziawszy się signor Antonio wszedł do pokoju, Nicolo rzekł umyślnie podniesionym głosem:

- A więc signor Fernando Paer pisał do pana o mnie?
 - Oczywiście! – odparł impresario. – Pisał dwa razy. On uważa, że pan jest jednym z najlepszych jego uczniów.
 - Co, co? – wypytywał signor Antonio.
- Nicolo triumfował.

Rozdział dwunasty

Lwia łapa odwróciła kartę

Pierwsze proklamacje generała Bonaparte w Italii głosiły równość stanów, zjednoczenie ludzi mówiących tym samym językiem, oswobodzenie od austriackiego ucisku, od samowoli żandarmów i właścicieli ziemskich. Młodzież włoska z gorącym zachwytem przyjęła te słowa i pod sztandary legionów napoleońskich szły tysiące młodych obywateli włoskich.

Rok po roku woła Bonapartego wydzieriała Italii tysiące młodych istnień. Woła ta nie od razu stała się zrozumiała dla tych, którzy poświęcili jej życie.

Z początku ukazały się francuskie armaty, potem oficerowie i żołnierze, potem kupcy z taborami pełnymi towarów, potem audytorzy rady państwowej, wreszcie komisarz i intendent nakładający niesłychane kontrybucje i okradający pałace sztuki. Do Francji wywożono najcenniejsze obrazy, rękopisy i książki, które wzbogacały Paryż.

Można by to jeszcze znieść, ale niepodobna było pogodzić się z tym, że wyniszczywszy Italię, wydawano ją następnie w ręce dawnych ciemńców.

Do tych, którzy najbardziej oburzeni byli postępowaniem Bonapartego, należeli przedstawiciele karbonaryzmu włoskiego. W lombardzko-weneckiej organizacji wybitną rolę grał Ugo Foscolo. Był to ogromny rudowłosy człowiek z lwią głową, autor dźwięcznych i pięknych wierszy włoskich. Wenecjanin, oficer napoleońskiej armii, namiętny czciciel rewolucji francuskiej, bez namysłu podążył za wodzem wojsk francuskich. Razem z Bonapartem poszedł przeciw rodzinnemu miastu, całą duszą popierając dążenie Napoleona: „Wskrzесиć starożytną dzielność wenecjan” Lecz ujrzawszy Wenecję zdradzoną i sprzedaną, znenawidził swego bożka.

Na placu, obok wysokiej dzwonnicy, z której roztaczał się widok omal że nie na obydwu brzegi Morza Adriatyckiego, stoi różowa kolumna, a na niej rzeźbiarz fantasta umieścił na płaskim podeście symbol patrona Republiki Weneckiej, Marka Ewangelisty. Na wysokiej tej kolumnie skrzydlaty lew opazurzoną kosmatą łapą przytrzymuje stronicę księgi z brązu.

Bonaparte oświadczył w Modenie 18 kwietnia 1797 roku:

„Podstarzały lew świętego Marka nie może oczekiwać pardonu od moich rewolucyjnych żołnierzy. Niech Wenecja uważa mnie za Attyłę, lecz ja wszędzie będę niszczył podłość inkwizycji. Nie życzę sobie waszych senatorskich tajemnic i jeżeli przynoszę wolność przyjaciółom ludu, to będę umiał skruszyć i te kajdany, które senat wenecki wykuł dla swego ludu, a obecnie kuje w sojuszu z innymi państwami i dla ludu francuskiego”

12 maja po raz ostatni zebrała się Wielka Rada Wenecka, by rozpatrzyć zaproponowaną kapitulację stolicy. W dali na brzegu cwałowali francuscy kawalerzyści. Mały generał o brązowej twarzy i długich włosach, w trójgraniastym kapeluszu, przygotowywał swoje wojska do przeprawy. Senatorowie wstrzymali się od głosowania i rozeszli się w milczeniu. Doża starożytnej Wenecji wrócił do domu, wszedł na pokoje, zdjął czapczkę doży i dał ją lokajowi ze słowami: „Zabierz ją, nie będzie mi już potrzebna”

Po upływie czterech dni Francuzi wkroczyli do Wenecji. Rozbijając stare płyty na wyspach i na placu kowale weneccy, krawcy, fryzjerzy i rybacy zasadzili młodzietkie drzewka migdałowe i cytrynowe. Były to drzewka wolności. Przed jednym z tych drzewek spalili złotą księgę arystokracji weneckiej i czapczkę doży, a na księdze z brązu, na której opierała się łapa lwa świętego Marka, zamiast napisu: „Wieczne tobie odpoczywanie, Marku, mój dobry zwiastunie”, wyryli nowe słowa, którymi rozpoczynała się *Deklaracja praw człowieka i obywatela*. Piękny, dźwięczny paragraf pierwszy *Deklaracji praw* wyrażał najszlachetniejsze marzenia wielu stuleci, tchnęło od niego powiewem gór fernejskich¹, ogrodów Montmorency i Ermenonville². Mądrość Woltera i Rousseau stworzyła tę wspaniałą pierwszą stronicę nowej historii Francji.

Pijany marzeniami o szczęściu ludzkim i wolności Republiki Weneckiej, karbonariusz Ugo Foscolo zawołał: „Nareszcie lew odwrócił kartę księgi z brązu!”

Ferney – miejscowość we Francji, gdzie przebywał Wolter. (Przyp: aut.)

² Montmorency i Ermenonville – miejscowości we Francji, gdzie przebywał Rousseau. (Przyp: aut.)

Po krótkim czasie Foscolo zrozumiał wielkie kłamstwo Bonapartego. Karta została odwrócona nie naprzód, ale wstecz. 18 stycznia 1798 roku Napoleon zaprzedał wolność wenecką Austriakom. Białe mundury Austriaków ukazały się na placu Świętego Marka i znów stary napis kościelny znalazł się na księdze z brązu pod łapami ewangelicznego lwa skrzydlatego.

Foscolo uciekł do Parmy. Wkrótce w prasie pojawiły się jego oracje – zuchwały zbiór proklamacji i mów przeciw Bonapartemu. Foscolo obrócił przeciwko niemu cały karbonaryzm Italii.

Ferdynand Paer, który przyjechał do Wenecji, nie mógł już w ciągu tych wszystkich burzliwych miesięcy wydostać się stamtąd, a przyjaciel jego, Ugo Foscolo, rozpoczął tułaczę życie i wszystkie dni poświęcał walce z Bonapartem.

Witając zorzę poranną dźwiękami skrzypiec, Nicolo odkładał smyczek dopiero późnym wieczorem.

Ojciec z natarczywą brutalnością żądał pieniędzy. Z taką samą prośbą zwracała się matka, gdyż mąż Lukrecji przegrywał zbyt wiele pieniędzy w karty.

Żeby wykupić się, Paganini wieczorem oddawał wszystkie pieniądze, jakie tylko miał, ojcu i matce. Z rana zamykał się w pokoju, który wywalczył dla siebie – i nikogo nie wpuszczał. Ale im więcej pieniędzy zarabiał na koncertach, tym szybciej pieniądze te topniały w rękach rodziny.

Z początku panował nad sobą i nie kłócił się z nikim z domowników; nie dlatego, by miał spokojny i łagodny charakter, ale dlatego, że nigdy przedtem nie pochłaniała go tak praca, nigdy się tak nie pasjonował namiętnym poszukiwaniem nowych dróg w technice gry na skrzypcach. To, co dawniej zaledwie przeczuwał, to, co ongi, błędząc po omacku, dostrzegał jako coś możliwego, dziś już z żarliwością i nie znanym mu dotąd zapałem uważał za osiągalne. Doszedł do tego stanu upajającej zuchwałości poszukiwań, do tego dreszczu wewnętrznego, który zwiastuje zawsze uczonemu, twórcy, malarzowi i artyście chwilę narodzin nowego odkrycia. W dni, gdy nowe stulecie władczo stuknęło do drzwi starej Europy, Paganini czuł na sobie odświeżające powiewy burzliwych wiatrów i cały poświęcał się poszukiwaniom nowego świata muzycznego.

Czuł, że może mu się objawić niesłychany i nigdy nie widziany świat. Chciwie grzebał w księgarniach i czytał stopy starych i nowych książek. Gorliwie studiował sztukę gry na skrzypcach i prawo dźwięku, a jednocześnie-

nie z gorączkowym podnieceniem wglębiał się w ducha staroświeckiej muzyki włoskiej, która ożywiała przed nim elegijne utwory Corellego, epikę Vivaldiego, pełną słodyczy lirykę Pugnaniiego i Viottiego, wreszcie czarującą, fantastyczną muzykę awanturnika i mnicha, tułacza i obłąkańca, Tartiniego. Wszystko to odżywało pod jego smyczkiem i nabierało innego sensu i znaczenia, będąc jak gdyby dowodem, że nigdy nie umierająca wielka sztuka niesie każdemu pokoleniu nowe, jedynie tego pokolenia godne, objawienie.

Pewnego razu naciągnięta przez Paganiniego struna pękła. Wtedy skrzypek w pośpiechu naciągnął przez roztargnienie struny altowe i wiolonczelowe. Spostrzegłszy omyłkę, zamiast ją naprawić, uśmiechnął się nagle owym tajemniczym i zagadkowym uśmiechem, który pojawia się na ustach obłąkańców, alchemików i uczonych, gdy po długich poszukiwaniach odkryją nowe połączenie właściwości starych, dawno znanych substancji. Paganini postanowił wypróbować nowe struny i skrzypce zagrały bardziej barwnymi i bogatymi tonami.

Odtąd doświadczenia ze skrzypcami trwały bez końca.

Musiał jednak te forsowne ćwiczenia nagle przerwać.

Ojciec z matką zaczęli prowadzić życie na zbyt szerokiej stopie, licząc na zarobki syna.

Urządzać wielkie koncerty! Nie do tego dążył Paganini. Opłacanie przegranych szwagra i giełdowych spekulacji ojca pieniędzmi, które otrzymywał za występy, nagle wydało mu się do tego stopnia poniżające i niebezpieczne, że zaczął szukać powodu do zerwania. Powód się znalazł.

Rozeszła się pogłoska, że Lukka szykuje się do uroczystego powitania nowego stulecia. Uroczystości rozpoczną się w dniu świętego Marcina i będą trwały do pierwszego stycznia.

Oto świetny pretekst! Od tego dnia zaczęły się w rodzinie Paganiniego rozmowy o Lukce. Jak gdyby od niechcienia przyjaciele zawiadomili, że do tego miasta zjadą się muzycy z całego świata, że odbędzie się kiermasz, nastąpi otwarcie wielkich targów i że w tym czasie Nicolo może bardzo wiele zarobić koncertami właśnie w Lukce.

Ojciec trwożnie przysłuchiwał się tym rozmowom, Nicolo bowiem mówił uparcie tylko o swoim wyjeździe.

– Będziecie ze mnie zadowoleni – mówił syn do ojca.

Ojciec wstawał od stołu strącając na podłogę talerze i kielichy z winem.

Lecz syn był nieprzejednany i następne dni nie przynosiły staremu nic nowego. Listopad zbliżał się szybko. Nicola marzył o dniu świętego Marcina. Skrzypek postanowił porozumieć się po cichu ze starszym bratem. Plan udał się znakomicie. Ojciec zgodził się puścić Nicola do Lukki na uroczyste powitanie nowego stulecia pod warunkiem, że wszystkie pieniądze będzie oddawał starszemu bratu, który powinien wystąpić jako impresario.

Rozdział trzynasty

Carmen saeculare

Biała kamienna droga roiała się od powozów i przechodniów. Lombardzcy pielgrzymi, turyści-brukotłuki, amatorzy rozrywek i niezliczeni przedstawiciele rozmaitych jarmarcznych profesji, legalnych i nielegalnych – pieszo, na osle, w obszernym powozie – wszyscy dążyli w stronę Lukki.

Jeśli dla jednych był to jarmark świętego Marcina, a dla innych uroczystość powitania nowego stulecia, to dla Paganiniego do tych dwóch uroczystych świąt dołączyło się święto własnej wolności, zupełnego wyzwolenia od ucisku ojca. Miał zawrót głowy i bicie serca. Aczkolwiek nic o tym nie powiedział ojcu, to poprzysiął sobie, że w żadnym wypadku nie wróci już do domu. Postanowienie ucieczki było nieodwołalne, a konieczność zerwania z rodziną w pełni uświadomiona.

Z jednej strony przeżywał chwile niepokoju młodego jeszcze, niedojrzałego chłopca, garnącego się płomiennie do życia – z drugiej zaś, ogarnięty pragnieniem wielkiego, dojrzałego artysty, dążył do uwolnienia się od merkantylnego stosunku do sztuki, który narzucał mu wyrachowany ojciec. Paganini czuł coraz wyraźniej, że pod dachem rodzinnym nie będzie mógł rozszerzyć swych widnokręgów muzycznych. I jeśli dawniej mały Paganini cierpiał od ciągów i pracy ponad siły, to teraz przeżywał wszystko znacznie ostrzej, ponieważ profanowano jego stosunek do muzyki i jego smak artystyczny.

Od dawna już brakowało mu powietrza i gdyby nie podróż do Lukki,

uciekłby w świat jako chłopiec okrętowy albo poszedł na kuchcika do angielskiej restauracji: gdziekolwiek bądź – ponieważ wszystko byłoby lepsze niż dotychczasowe życie w rodzinie. W chwilach konfliktu z sobą samym i z ojcem, w chwilach wahań co do wyboru drogi życiowej Paganini często rzucał skrzypce i grał na gitarze. W grze na tym instrumencie doszedł do mistrzostwa. Był to cud wirtuozerii. Lecz o ile w grze na skrzypcach uszlachetniał technikę i zmuszał, by mu służyła i umożliwiała ukazanie całej pełni przeżyć wielkiego artysty, to gitara spełniała inną rolę: tu wyładowywał nie znany mu dawniej gniew. Dlatego banalny taniec, zagrany na gitarze, przemieniał się w parodię satyryczną, celowo zwulgaryzowaną pod palcami Paganiniego. Im mniej ludzie widzieli parodii w grze młodego gitarzysty, tym bardziej naigrawał się Paganini. Gitara coraz częściej stawała się dla niego środkiem służącym do wykpienia własnego stanu duchowego, z którego nie znajdował wyjścia, i środkiem do wykpienia ludzi, na których mścił się za budzący się w nim chwilami brak zaufania do heroizmu swego ducha.

Skrzypce i mały worek podróżny. Wiatr, słońce i kurz. Co może być lepszego niż uczucie absolutnej swobody, kiedy całe życie ma się przed sobą.

Uroczystości świąteczne we włoskich miastach to chyba najbardziej czarujące widowisko na świecie. Cała ludność bierze w nich udział. Co niedziela włoskie ulice jednoczą się we wspólnej wesołości. Tworzą się procesje, przeciągają tłumy z orkiestrą przypadkowo i nagle zebraną spośród sąsiadów, którzy umieją grać na różnych instrumentach. Idą mężczyźni, kobiety i dzieci, przystrojeni we wstążki i kwiaty. Jedni – ze spokojnym śpiewem, inni – z pukawkami i fajerwerkami. Im bardziej na południe wysunięte jest miasto, tym głośniej brzmią okrzyki. W Neapolu setki pukawek zawiesza się na dużej metalowej ramie; znużony podróżny, który tego dnia przybył do miasta i zasnął w hotelu, budzi się od huku i strzelaniny. Podróżny zrywa się i ze zdziwieniem otwiera żaluzję, sądząc, że w mieście wybuchło powstanie, a kanonada obala przedstawicieli starej władzy. W Wenecji – serenady na kanałach, łodzie z kolorowymi lampionami, śpiewacy i śpiewaczki, tańce na brzegu i wycieczki morskie. Wszystko to połączone jest zawsze z nieodstępną towarzyszką włoskiej radości – muzyką.

Dyrektor kapeli lukkańskiej został uprzedzony listem Paera i Lukka przyjęła Paganiniego dobrze. Pierwszy występ wyznaczono na noc, kiedy przez miasto miała przeciągnąć procesja świąteczna. Wieczorem następn-

go dnia znów wystąpił na koncercie. Był to wielki sukces młodego skrzypka. Po koncercie urządzono wieczór w magistracie i Paganini wypił tyle wina z nieoczekiwanymi i nieznanymi przyjaciółmi, że nie pamiętał, jak trafił do hotelu. Nie był to co prawda hotel, w którym się zatrzymał, lecz taka drobnostka nie martwiła muzyka: to nie miało znaczenia.

Wieczorem – nowy koncert. Po raz pierwszy Paganini nie przygotował się do występu. Wyszedł na estradę z niepojętym uczuciem zwycięskiej pewności siebie i uczucie to było podobne do ognia płonącego w żyłach rekruta, który po pierwszym wahaniu ruszył nagle do ataku.

Pod obstrzałem setek oczu Paganini podniósł smyczek. Melodie zeszłego stulecia, melodie Lully'ego i Rameau, czarujące takty menuetów i gawota ustępowały miejsca dźwiękom rogu myśliwskiego. Uroczyste głosy dzwonek kościelnych, pieśni pogrzebowe i gniewne słowa psalmów stopniowo milkły, wypierane przez wpadające od niechcienia szklane tony dzwoneczków. Rozbrzmiewała muzyka owego dziwnego dziesięciolecia, gdy do chorałów kościelnych wlewały się dźwięki wesółych i nieprzystojnych tańców. Bicie dzwonów udzielających błogosławieństwa przeistaczało się w alarm – alarm przemieniał się w proste żołnierskie i chłopskie pieśni Francji. Znów *Dies irae* i jak z otchłani dobiegają głuche uderzenia, tętent konnicy i wycie burzy wdziera się na salę wypełnioną odświętnie wystrojonym tłumem. Zwiększając wciąż tempo następujących po sobie akordów Paganini maluje dźwiękami wichurę muzyczną, gigantyczny obraz wydarzeń, które wstrząsają Europą. W końcowych taktach rozlegają się dźwięki *Karmanioli* i *Marsylianki*. Była to *Pieśń jubileuszowa*.

Gdy minął tydzień świętego Marcina, minęły uroczystości świąteczne, uprzątnięto zdeptane bukiety, confetti, serpentyny i skrawki wstążek – po tygodniu upojenia wolnością nastąpiło wytrzeźwienie. Paganini zapragnął uświadomić sobie drogę, którą przebył. Lecz pragnienie to nie zostało uwieńczone powodzeniem. Harmonia, ład i rytm w muzyce i w życiu – wszystko to, zdawało się, podlega jakiemuś celowemu, wielkiemu prawu, rządzącemu wszystkimi zjawiskami świata. Paganini do przekonania tego dochodził naiwnie, z ostrożnością neofity i zażenowaniem niedoświadczonego myśliciela. Zupełnie wyraźnie, prawie namacalnie wyczuwał własne znaczenie jako istoty ucieleśniającej muzykę. Czuł się dzieckiem nowego wieku.

Przyjmował muzykę kościelną jak coś wrogiego tym dźwiękom, których forma brzmiała w *Karmanioli* i *Marsyliance*. Ogień nowej epoki, pożary powstań, ich niszczące płomienie, które wichurą spadły na obrazy sta-

rego świata – wszystko to było wrogie spokojnym pieśniom kościelnym, hymnom Kościoła katolickiego, muzyce nawołującej do pokory i uległości, co przypominało poskramianie zwierzyńca ludzkiego melodiami Orfeusza.

Paganini lubił wsypywać do szklanki z gorącą wodą pełne łyżki soli. Następnie patrzył, jak mały, suchy kryształek soli, wrzucony do nasyconego roztworu, powoduje nagle burzliwą krystalizację w ciężkiej, nie mającej samodzielnej formy masie.

Paganini dostrzegał w tym procesie, przekształcającym martwą substancję, to samo zjawisko, które obserwował na sali koncertowej, gdy rozdrobnione, bezkształtne cząsteczki ludzkiej świadomości i woli nagle pod wpływem muzyki krystalizują się i stają niezwykle harmonijne. Pojmował wzburzenie powstające pod wpływem śmiałego połączenia niezwykle akordów i dźwięków, gdy człowiek stara się uwolnić od nagłego przyływu uczuć i nie może, ponieważ śmiałe skojarzenie dźwięków i uczuć ujęte jest w tak harmonijną formę, że musi przeniknąć i trwać w świadomości ludzkiej. Ktokolwiek usłyszy to skojarzenie dźwięków, staje się jego niewolnikiem, choć wie, że jest ono niedopuszczalne.

Po koncertach w nocy Paganini budził się nagle jak gdyby w malignie lub febrze. Zdawało mu się, że muzyka powinna przebudować cały świat rzeczywisty i układ stosunków ludzkich. Lecz jaka to musi być muzyka? W poszukiwaniu jej czuł się coraz bardziej znużony, a wrażenia, doznane przez niego w Lukce, potęgowały to znużenie.

Paganini zabrał się do innej gry. Zielone stoły, kawałki kredy, tabliczki z kości słoniowej, gryfel, łopatkę krupiera i garści dukatów – wszystko to zdecydowało, że na długo porzucił skrzypce. Wszystko to zmieniło dni i noce, godziny i minuty, myśli i uczucia Paganiniego.

Ze spuchniętymi powiekami, z poźółkłą twarzą i wielkimi niebieskimi obwódkami pod oczami młodzieniec wychodził z domu gry nad ranem. Zmęczony, zaspany lokaj podawał mu kapelusze i laskę. Wilgotna mgła witała go na pustych ulicach Lukki. Sprzedawca warzyw patrzył na niego pogardliwie, dziewczyny nocnej profesji przywoływały go ironicznymi głosami i proponowały, by przeszedł szkołę rozkoszy. Paganini zmęczony był zarówno przegraną, jak i forsownymi studiami na kursach tej właśnie szkoły. Odczuł obecnie wstręt do życia, dawniej nie znany chłopcu, znużonemu jedynie ciężką pracą, jedynie utratą sił, która nastąpiła przecież nie z jego winy

Paganini nie pamiętał, jak to się stało. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie zapomni tego i że to już nigdy się nie powtórzy. Leżał w liwornijskim szpitalu. Czy dawno był w Livorno? W jaki sposób znalazł się w Livorno?

Otoczają go ludzie w szpitalnych fartuchach, podchodzi doktor w czerwonej czapeczce z młoteczkami i stetoskopem.

Paganini słyszy: „...majaczył”

„Być może, wszystko to jest tylko strasznym snem – przychodzi mu nagle na myśl. – Lepiej nikomu o tym nie mówić”

Cóż przypomniał sobie? Krzyk kobiety i zarzylanego dziecka!... Idioty-czną gadaninę pijanych ludzi przy ognisku. Ciemny wąwóz, a gdzieś bardzo wysoko wielkie drzewa. Widzi siebie jak gdyby na dnie studni. Przy ognisku, za krzakami, ludzie. Straszliwe twarze, grymasy pijanego chichotu. I oto człowiek z ogromną brodą, sinym nosem i zaczerwienionymi powiekami trzyma w rękach jego skrzypce i piłuje je smyczką. Potworne, wstrętne, nędzne dźwięki. Potem znów utrata przytomności.

– Tak, przypomniałem sobie! – rzekł nagle głośno Paganini. Zrzucił kołdrę i usiadł na łóżku.

Koncertował ostatnio w Livorno.

Jak gdyby nawiązując do jego myśli, doktor powiedział:

– Tak, byłem na pańskim koncercie. A następnego dnia po koncercie znaleziono pana w pobliżu południowej liwornijskiej bramy. Okradziono pana doszczętnie: nie miał pan nawet skrzypiec. Miotał się pan w silnej gorączce, a teraz, żeby wyzdrowieć, potrzebny panu jest zupełny spokój.

– Jak długo jestem tu, w Livorno? – zapytał z niepokojem Paganini.

– Nie mogę panu powiedzieć. Pod moją opieką znajduje się pan trzy dni.

W ciągu tego czasu dwukrotnie do pana przychodził pan Livron.

– Nie znam go – rzekł Paganini.

– Co pan mówi? To wielce czcigodny obywatel naszego miasta, członek naszego magistratu.

– Po co jestem mu potrzebny?

Prawdopodobnie będzie pan miał możliwość dowiedzieć się o tym od niego osobiście – dodał doktor patrząc nieufnie na Paganiniego.

Rzeczywiście, wieczorem przyszedł wysoki, bardzo solidnie wyglądający człowiek i poprosił o chwilę rozmowy z signorem Paganinim. Ostrożnie i w bardzo delikatnej formie Livron prosił signora Paganiniego, aby raczył wypróbować jakość posiadanych przez niego skrzypiec Guarneriego, co będzie dla Livrona „wielkim zaszczytem”. Paganini nie wiedział, co odpo-

wiedzieć, ale szybko zorientował się, podziękował Livronowi i rzekł, że ma nadzieję wypróbowania tych skrzypiec na pierwszym koncercie, na którym wystąpi po rekonwalescencji.

Zawarłszy bliższą znajomość z panem Livronem, Paganini przeprowadził się do niego. Członek lukkańskiego magistratu okazał się bardzo gościnnym gospodarzem. Dał mu do całkowitej dyspozycji spokojne i wygodne do pracy pokoje i sam tak mało przypominał gościowi o swoim istnieniu, że Paganini czuł ogromną wdzięczność dla tego człowieka. Lecz wszystkie te dni były dla Paganiniego wypełnione trwogą, zatrute przez niepojęte zetknięcie się z tą straszną stroną życia, która istnieje tuż obok zwykłych i jasnych dni świadomości ludzkiej. Teraz podczas gry Paganini odczuwał konieczność zerwania błękitnej zasłony z czarnego, nawisłego nad światem nieba. Mówił sobie, że koszmar istniejący za bramą miejską odkrył mu nie znaną dotąd potworność.

Uzucie to wybuchało w potoku demonicznych, rozdartych, niweczających się wzajemnie melodii. Widział, jak dreszcz przebiega po sali koncertowej, gdy boleśnie melancholijne i straszne dźwięki wdzierają się do kantyleny. Widział na twarzach ludzkich cierpienie, słyszał błaganie o kres tych cierpień. Obserwował to nieświadome uczucie instynktu samozachowawczego, które nagle zmusza człowieka, by w mgnieniu oka narzucił zasłonę na tajemnicę śmierci, tajemnicę nieszczęścia, zniszczenia i męki. I Paganini czuł, że znajduje się na ogromnej wyżynie, gdy udawało mu się na tyle dotknąć tej zasłony, że mógł nadać tej zasłonie, temu mirażowi szczęścia zbawienne znaczenie czegoś o wiele bardziej realnego niż realność ludzkich mąk i cierpień. Życie triumfowało nad tym przypadkowo odkrytym, strasznym i bliskim światem.

Skrzypce Guarneriego były tak dźwięcznym, tak posłusznym instrumentem, że w zupełności zastępowały mu dawne skrzypce. Pamiętał je z litomografii, którą widział u hrabiego Cosio. Były oznaczone numerem trzechsetnym i nazywały się Guarneri del Gesù.

Po koncercie, rozplywając się w pochwałach nad instrumentem, Paganini ostrożnie oddał skrzypce Livronowi, który przyszedł za kulisy. Livron potrząsnął głową.

– Nie osmielę się dotknąć instrumentu, na którym grał boski Paganini – wypowiedział Livron widocznie dawno już przygotowane słowa.

Marzenie Paganiniego zrealizowało się: Del Gesù należały do niego.

Szerokie, z efami lekko wyszczerbionymi przez czas, z zaciekami na wół startego lakieru, z kwadratowym nacięciem na górnej dece, nad lewym

efem, skrzypce te nosiły na sobie ślady używania przez wielu poprzednich właścicieli. Lecz dzięki instrumentu zdumiewały Paganiniego.

– To są dźwięki samej natury, to są żywe głosy! – zachwycił się.

Na trzeci dzień po pierwszym koncercie Paganini zrobił doświadczenie. Naciągnął na skrzypce wiolonczelowe struny i polecił pracowni Rodianiego, by z dwóch smyczków Tourte'a zrobiono smyczek niezwyklej długości.

– Cosio – mówił Paganini – patrzy z przerażeniem na nadchodzące czasy, a ja witam je radośnie. Mnie przeraża raczej owa przeszłość, która wdziera się do dzisiejszego dnia, lecz mam słusność, gdy naciągam nowe struny na staroświeckie skrzypce i bezkarnie wydłużam smyczek wielkiego mistrza Tourte'a. We Francji nowi ludzie odkrywają nowe prawa zorganizowania ludzkiego społeczeństwa. Któż może zabronić człowiekowi odkrywać nowe właściwości w świecie dźwięków? Oto struny wiolonczelowe naciągnięte na skrzypce otwierają niezliczone możliwości i rozszerzają diapazon, a wydłużone smyczki to taka prosta rzecz – najlepszy środek do wydobycia dźwięków o niezbędnej rozciągłości.

Stało się jakoś tak, że nikt nie spostrzegł zmian zewnętrznych w instrumencie signora Paganiniego. Cztery koncerty udały się świetnie. Był to sukces, jakiego Paganini nie mógł się spodziewać. Fanatyczna owacja wielkich tłumów.

Lecz pomimo to Paganini oczekiwał nieszczęścia. Powodzenie osiągnięte na koncertach samo przez się było już przezwyżeniem owego sprzeciwu i wrogiego nastroju, które coraz częściej odczuwał muzyk. Wiele plotek krążyło po mieście. Dochodziły one do uszu Paganiniego.

„Paganini przegrał skrzypce w karty i dlatego nie koncertuje”. „Paganini zaraził się brzydką chorobą i dlatego leży w szpitalu” Opasły kanonik kościoła katedralnego mówił do kupców przybyłych na chrzciny nowo narodzonego syna liwornijskiego maklera portowego:

– Znam tego skrzypka. To są diabelskie skrzypce, dźwięki przekłete przez Boga, to nieczysta muzyka, której nie powinni słuchać wierni synowie Kościoła.

Na siódmy koncert zjechali się muzycy ze wszystkich krańców północnej Italii. Jedni słuchali Paganiniego z nienawiścią i zawiścią, drudzy – z nabożeństwem i entuzjazmem. Wszystkie te głosy przysparzały mu coraz większej sławy.

W tym czasie Paganiniemu po raz pierwszy wypadło zetknąć się z listem anonimowym.

Otrzymał pocztą paszkwil, w którym nazywano go diabelskim nasieniem, grożono mu wieczystą męką, sztydzo z niego twierdząc, że na skrzypce skradzione u kupca Livrona naciągnął wołowe żyły i że to wstydy, aby włoski skrzypek w szacownej sali koncertowej czcigodnego miasta po szarlatańsku kpił sobie z publiczności grając smyczkiem tak długim jak most na rzece Arno.

W jednym anonimowym liście autor gorąco wychwalał swoją rogaciznę jako najbardziej żylastą i proponował Paganiniemu kupno całego stada wołów dla wyrobu strun.

Na zakończenie listu wyrażano pewność, że najbardziej rogatym i największym bydlęciem jest sam skrzypek Paganini.

W drugim liście, prawdopodobnie uzgodnionym z pierwszym, proponowano dla wyrobu smyczków najwyższe drzewa liwornijskiego parku. Do listu dołączono rysunek przedstawiający zespół Paganiniego. Paganini za pomocą rąk i nóg naciska struny, gdy równocześnie dziesięciu zdrowych chłopów za oba końce ciągnie ten niezwyklej długości smyczek jak piłę w tartaku.

Pierwsze uszczypliwe zaczepki i ukąszenia nie wywarły na Paganinim żadnego wrażenia.

– Staję się sławny – mówił do Livrona – a jeśli tak jest, to psy będą deptać mi po piętach i kąsać mnie.

Livron, któremu Paganini pokazał te listy, kiwał tylko głową z wyrazem żalu i zdumienia.

Wenecję oddano Austrii, a w roku 1798 okazało się, że papież pozabawiony jest świeckiej władzy. Ze starej Romanii wykrojono Rzymską Republikę. 15 grudnia 1798 roku Francuzi zajęli Rzym. Nie występując oficjalnie przeciwko Francji, setki tysięcy księży reprezentujących Kościół zaczęło działać tajnie, nadając temu działaniu charakter ruchu narodowego o szerokim zasięgu. Jak tylko księża spostrzegli, że francuska armia rości sobie pretensje do majątków kościelnych, od razu we wszystkich kościołach figury i wizerunki świętych, Matki Boskiej i Chrystusa zaczęły ronić łzy. W Rzymie Chrystusowi leżącemu w całunie w ciągu nocy otworzyły się oczy i patrzył rozszerzonymi źrenicami na bezeceństwa francuskiej armii. Przez miasto ciągnęły procesje bosych ludzi umyślnie poubieranych w łachmany. Jak iskry latały w tłumie wieści, że jakaś figura dwukrotnie otworzyła oczy, a oblicze jej wykrzywił gniew. Na placu del Popolo z wizerunku Madonny degli Saponari zaczęło się „saczyć mleko”

Mleko to nalano do dwustu kagańców, które „same się zapaliły”. Kapłani w szatach liturgicznych, w ornatach i stułach, za małą opłatą zanużali przynoszone przez prostaczków różańce w tej oleistej białawej cieczy.

Znalazła się jednak młodzież, która wstępowała do francuskiej gwardii narodowej, i w dniu święta federacji było niemało ludzi odzianych w antyczne stroje, z wiankami na głowach, którzy szli w republikańskim pochodzie, aby potem na placu Świętego Piotra wziąć udział w wielkim uroczystym obiedzie, na którym mieszkańcy Rzymu bratali się z francuską gwardią. Rozpuszczano wieści o tym, że to „święto zważyło tysiące demonów, które zemszą się na bezbożnym Rzymie za udział w święcie federacji”

I oto gdy rzymskiej kurii zdawało się, że nowe stulecie przyniesie Kościołowi niezliczone klęski, wszystko uległo zmianie.

Bonaparte czuł, że pogodzenie się z papieżem jest niezbędne. Lecz w tym czasie umarł Pius VI. Rzym został zajęty, ale nie było z kim zawierać jakiegokolwiek ugody. Przedostawszy się tajemnie północnymi drogami, kardynałowie rzymskiej kurii apostolskiej zebrawszy się w San-Giorgio, niedaleko Wenecji, pod opiekuńczymi skrzydłami austriackich żandarmów i trzynastego dnia trzeciego miesiąca nowego stulecia zwołali tajne konklawe, aby wybrać nowego papieża. I tak zrodził się Pius VII, początkowo w roli aktywnego wroga Francji.

Jednakże Pius VII zdecydował się na wszystko, byle tylko zachować potęgę Kościoła. Utrata Francji znacznie zmniejszyła dochody Kościoła. Uznał on wywłaszczenie majątków duchowieństwa. Kosztowało go to czterysta milionów franków. Zgodził się na nową organizację francuskiego duchowieństwa z tym, że rząd miał prawo nominacji i płacenia pensji; zastrzeżł sobie tylko jedno ustępstwo – papież, jak i poprzednio, miał prawo sankcji kanonicznej.

Wyrachowanie było słuszne: decydujące znaczenie w większości zagadnic miał skład personalny katolickiej armii papieskiej. Kościół mógł poszczycić się zwycięstwem w tym sensie, że we Francji uważano go za kościół państwowy. I w r. 1802 bez żadnej uroczystości nocą wyjechał do Paryża kardynał, który wiozł ze sobą podpisany przez papieża Piusa VII konkordat. Na mocy tego porozumienia między francuskim generałem republikańskim a rzymskim arcykapłanem wychowanie ogromnych mas francuskiego narodu znów powierzono Kościołowi katolickiemu, który z wroga, miotającego przekleństwa na głowy francuskiego dowództwa, przedzierzgnął się w przyjaciela i sojusznika.

W ten sposób, proklamując z początku zniesienie religii, równość i braterstwo w całej Italii, Napoleon skończył na oddaniu Francji w ręce Kościoła. Obaj przyjaciele mimo woli, Pius VII i generał Bonaparte, czuli się trochę nieswojo.

Słyszac posepny dzwitek dzwonów Notre-Dame de Paris, wspólnojownicy Bonapartego pytali, czy warto było wieszac tyłu księży na paryskich latarniach tylko po to, aby znów wpuscic wilka do obory. Byly rewolucyjny generał, marzacy teraz o dniu, w którym glowa Kościoła uwieńczy go korona, odpowiedzial im drwiaco, ze przywrócenie Paryżowi oraz francuskim wsiom i siolom katolickich księży nie oznacza, ze kult Kościoła katolickiego obowiazuje Bonapartego i jego generałów.

Następnym posunięciem Bonapartego bylo zaproponowanie papieżowi, aby jako stolicę katolickiego swiata uznal Paryż albo Avignon.

Na to papież Pius VII odpowiedzial, ze w mieście Palermo przygotowano juz edykt o zrzeczeniu sie papiestwa i edykt anuluje wszystkie umowy z Francją, jesli papież Pius VII zostanie zatrzymany przez Francuzów w drodze do Rzymu. Tegoz wieczora papież przyjal admirała angielskiej eskadry, który obiecal mu wszelką pomoc, jesli zajdzie potrzeba ucieczki.

Kościół katolicki stal się narzędziem w rękach byłych wrogów. Anglicy chcieli wykorzystac wrogość istniejącą pomiędzy papieżem a Francją, nienawidzac Bonapartego i dazac wszelkimi sposobami do sparalizowania jego poczynań na terytorium Półwyspu Apenińskiego.

Kościół znów czul się władzą panującą w Italii.

Livron, u którego mieszkal Paganini, byl Francuzem i francuskie sympatie Paganiniego zbližyly gościa do gospodarza. Lecz Paganini zrobil nieostrożny krok. Nie poradziwszy się przyjaciela, przyjal zaproszenie angielskiego konsula w Livorno i spędzil u niego cały wieczór. Grał na skrzypcach podarowanych mu przez Livrona i korzystajac z propozycji konsula oraz dowódtwa angielskiej eskadry zgodzil się na zorganizowanie wielkiego koncertu w Livorno i przygotowal w tym celu obszerny program. Oczywiście rozdźwięk z Livronem byl nieunikniony. Livron dal Paganiniemu do zrozumienia, ze jego obecność jest dla niego uciążliwa. Skrzypek tegoz dnia przeniósł się do hotelu „Pod Czarnym Koniem”.

Nastapil dzien koncertu. Licznie zebrana publiczność zapełnila sale i korytarze liwornijskiego teatru. Warta honorowa angielskich marynarzy stal przy wejściu, powstrzymujac napór tłumu.

Jednakże pomimo tak licznego zgromadzenia ludzi, niecierpliwie oczekujących początku, signor Paganini się nie ukazał.

Na krótko przed rozpoczęciem koncertu Paganini stwierdził, że buty jego, wystawione za drzwi numeru, znikły. Na dzwonek ani na wołanie nikt się nie odezwał. Pijani odźwierni i lokaj spali na ławce przed wejściem do hotelu. W rannych pantoflach poszedł Paganini przez ulicę do sklepu z obuwem i nagle zauważył, że jest śledzony. Dwaj ludzie nie spuszczały z niego oka.

Chłopcy, biegnący ulicą, głośno wykrzykiwali jego nazwisko. Wokół Paganiniego szybko zebrał się tłum. Poznano go, patrzono nań ze zdziwieniem. Oglądano jego miękkie pantofle, getry i pończochy. Rozległo się gwizdanie, rzucono weń kamieniem. Na szczęście Paganini dotarł już do sklepu.

Subiekt zaproponował, aby Paganini zmierzył buty. Uciskały go bardzo. Do rozpoczęcia koncertu zostało dziesięć minut. Paganini poprosił o drugą parę. Subiekt zrobił przeczący ruch głową. Była to jedyna para, którą mógł zaproponować signorowi Paganiniemu. Nazwisko to wymówił ni to z drwiną, ni to z niezręcznym wyrazem uniżoności.

Rzuciwszy pieniądze na ladę, Paganini z butami w ręku wyszedł ze sklepu. Znow zaczęły się katusze prześladowań. Przy wejściu do sklepu czekał tłum. Gapie zaglądający prosto w oczy, chłopcy napastujący go i pociągający za buty – cała ta hałastrą towarzyszyła mu do hotelu.

Na sali koncertowej publiczność głośno wyrażała zniecierpliwienie. Nigdy Paganini tak się nie spóźniał.

Gwizdanie i oklaski dały się słyszeć w tej samej chwili, gdy Paganini, odprawivszy *vetturino*, zeskoczył ze stopnia i szybko pobiegł po schodach. Oto Paganini wszedł na górne piętro i nagle poczuł w lewym bucie ostry gwóźdź. Czyżby uśmiech subiekta świadczył o tym, że obuwie było przygotowane z rozmysłem?

Czując, jak pończocha nasiąka krwią, Paganini wyszedł na rześcicie oświetloną estradę. Idąc ku proscenium Paganini drgnął: odłamki szkła i gwoździe wbiły mu się w nogę.

Rozpoczął koncert.

Pierwszym numerem programu były wariacje na temat *Karmanioli*.

Następnie Paganini miał grać z towarzyszeniem orkiestry. Siedząc w pojoju dla artystów słuchał gwaru na sali. Członków orkiestry jakoś nie było widać. Lecz oto przeszedł obok niego wysoki człowiek z bębniem, a za nim

blady młodzieniec z fagotem. Obaj, zmieszani, rozglądali się dokoła i ujrawszy Paganiniego, podszli do niego:

– *Maestro insuperato*, czyżbyśmy tylko my jedni przyszli z całej orkiestry?

Krew uderzyła Paganiniemu do głowy: istotnie, korytarz i pokój dla artystów oraz miejsce, gdzie zazwyczaj zbierali się członkowie orkiestry, były puste. Tak, rzeczywiście, na miejscu był tylko fagot i bęben. A publiczność denerwowała się i czekała. Spoza kotary ukazała się pełna szyderczego wyrazu lisia mordka jakiejś kobiety i znikła, z korytarza dał się słyszeć chichot. Paganini głośno zawołał:

– *Impresario!*

Odpowiedziało mu milczenie. Po raz drugi zawołał już z większym respektem:

– *Signor impresario!*

Żadnej odpowiedzi.

Paganini biegał po korytarzu, z pokoju do pokoju. Słyszał, jak na palcach umykają jacyś ludzie, ktoś chował się na jego widok, a wszędzie spotykała go cisza i pustka.

Paganini dotknął dłońmi czoła. Nie, to nie sen.

Za kulisami zjawił się signor angielski konsul z małżonką i admirałem Keysem. Przywitali się. Wymienili między sobą kilka uwag. Konsul wyszedł z pokoju. Żona jego, uderzając wachlarzem w dłoń, w podnieceniu przekonywała Paganiniego, że należy wystąpić nie zważając na brak orkiestry, zmieniawszy tylko program. Uzbroiwszy się szybko w ołówek, poprosiła Paganiniego, aby wymienił utwory muzyczne, które mógłby zagrać bez towarzyszenia orkiestry. Podniósłszy do góry wskazujący palec mówiła:

– W zupełności rozumiem, o co tu chodzi, i wiem, kto to zrobił. To miejscowi amatorzy.

Wymówiła to słowo z wyrazem lekkiej pogardy, która jednakże nie zacierała uśmiechu zwróconego do Paganiniego.

I nagle, odsunawszy kotarę, wszedł człowiek. Stąpając ociężale i ostrożnie, uśmiechając się spode łba, skinął głową skrzypkowi i wyciągnął do niego obie ręce. Był to kanonik Novi. Objął Paganiniego i wylał cały potok czułych i łaskawych słów.

– Tak, spotkało cię dziś niepowodzenie, lecz Bóg jest miłosierny. Ale jak mogłeś zostawić rodzinę! Czy wiesz, że ojciec twój jest chory? Czy

wiesz, że Bóg karze złych synów! Czy ci wiadomo, że rodzina twoja żyje w nędzy! Tak, jesteś sławnym skrzypkiem, tak, brat mój mówił...

– A więc, program gotów – rzekła Angielka. – Będę cały czas tutaj, będę panu pomagać.

– Co... nie przyszła orkiestra? – zapytał Novi. – Tak, tak, obraziłeś wielu. Tak nie można! Oni mają swoje koło muzyczne w Livorno. To są dobrzy skrzypkowie, a tyś nikogo z nich nie zaprosił. Teraz musisz za to odpokutować. Nie godzi się być tak okrutnym w stosunku do bliźniego. Chrystus i Kościół...

– Zaczekaj! – przerwał mu Paganini. – A więc to świadome świństwo, więc to umyślnie namówiono orkiestrę, by zerwała koncert?!

Nie dosłuchawszy Noviego do końca skinął głową Angielce i, przewyciężając silny ból stóp, wybiegł na estradę.

Sala natychmiast ucichła. Po czym nastąpiła burza oklasków. Była to głośna i groźna odpowiedź publiczności na demonstrację orkiestry. Paganini czuł, że zwycięstwo jest już po jego stronie. Lecz przy pierwszych taktach sonaty Tartiniego pękła mu struna: przez ten czas, gdy skrzypek szukał impresaria, ktoś zdążył naciąć struny. Wtedy Paganini nieoczekiwanie przeszedł do wariacji na tematy Tartiniego. Zdecydował się na krok rozpaczliwy. Pękła druga struna! Nie drgnąwszy ani nie gubiąc tempa, Paganini na dwóch zaledwie strunach skończył niesłychanie trudną, niedawno napisaną przez siebie kompozycję.

Kareta konsula angielskiego późną nocą zatrzymała się przed hotelem „Pod Czarnym Koniem”. A nazajutrz z rana zjawił się Harris, urzędnik angielskiego konsulatu. Szef oddał go do całkowitej dyspozycji signora Paganiniego. Harris miał ze wszelkich miar pomagać signorowi w organizowaniu koncertów nie tylko w Livorno, lecz i w całej Italii. Był to niziutki człowiek o spiczastej bródcie, wykwintnie ubrany, o pomarszczonej, bardzo napudrowanej twarzy, z niezwykle pstrą fryzurą: czarne i białe kosmyki włosów przeplatały się w dziwnej kolejności jak u zebry. Uśmiezek, odnoszący się raczej do wewnętrznych refleksji samego Harrisa niż do słów rozmówcy, spodobał się Paganiniemu.

Tegoż dnia odwiedziło Paganiniego ośmiu liwornijskich skrzypków. Zaczęli od zawitych usprawiedliwień, zapewnili, że wprowadzono ich w błąd całym szeregiem listów, w których „członkowie liwornijskiej teatralnej orkiestry zwracali się do nich po radę”. Mówili szybko, przerywali sobie nawzajem, ale w końcu nie zdołali dać żadnego namacalnego dowodu świadczącego o ich niewinności. Tylko jeden z nich ponuro

oświadczył, że przywykli szanować stare tradycje sztuki gry na skrzypcach i bali się, by tak młody człowiek, jak Paganini, nie skompromitował tej sztuki i nie zepsuł gustu tutejszej publiczności.

Paganini poczuł, że nigdy nie będzie w stanie przezwyciężyć tępego i utajonego, pełnego wrogości sprzeciwu tych swoich „liwornijskich przyjaciół”

Wreszcie zakomunikowano mu o zbiorowym oświadczeniu orkiestry, że tylko pod warunkiem ściśle określonego – i jak się przekonał Paganini, zupełnie ponad jego możliwości – wynagrodzenia orkiestra liwornijska podejmie się urządzenia następnych koncertów. Oświadczone także, że orkiestra w Livorno zazwyczaj składa się ze stu dwudziestu ludzi, lecz na jego następnym występie ma być zwiększona o czterdzieści siedem osób. Tu jednakże przerwał im Paganini mówiąc, że przed udzieleniem swej zgody musi się jeszcze namyślić, ale w każdym razie należy pozostawić jego osądowi, z ilu osób winna składać się orkiestra na następnych koncertach.

Po kilku grzecznych frazesach i przyjemnych uśmiechach skrzypkowie pożegnali się.

Paganini ich nie rewizytował. Nie chciał paktować z życiem. Gnecco, Paer i Ghiretti zawsze wpajali mu uwielbienie dla wysokiego autorytetu sztuki wolnej od wyrachowania. Pomagała mu w tym młodość.

I oto ludzie, którzy nigdy specjalnie nie interesowali się sprawami Kościoła, stali się wyjątkowo pobożni.

Paganini nic o tym nie wiedział. Nie słyszał szurgotu dwunogich szczurów w sąsiednich numerach hotelu „Pod Czarnym Koniem”, nie czuł, że powietrze jest zatrute oszczerstwem i zawiścią, nie widział, że dziesiątki oczu śledzą każdy jego krok spoza kotar, firanek i przez szyby okienne.

Harris złożył sprawozdanie swemu szefowi o losie Paganiniego. Afisze zaanonsowały trzy kolejno po sobie następujące koncerty.

Lecz pierwszy koncert nie mógł się odbyć z powodu wyznaczonego na ten dzień pogrzebu małżonki liwornijskiego prefekta.

Następnego dnia, gdy Paganini razem z Harrisem podjechali pod teatr, drzwi okazały się zamknięte. Ogromny afisz zawiadamiał publiczność, że koncerty wyznaczone na dni następne, są odwołane.

– Kto to zrobił? – zawołał Paganini.

Harris wzruszył ramionami.

Nie dowiedziawszy się niczego, Paganini wrócił do hotelu. Po godzinie przyjechał Harris. Zdziwienie jego nie miało granic. Rozkładając ręce

wbiegł po schodach i w milczeniu wręczył Paganiniemu list. List był wysłany w imieniu Paganiniego, który zawiadamiał, że z powodu choroby odwołuje koncerty i zamierza wyjechać z Livorno. List był adresowany do kapelmistrza liwornijskiego teatru, signora Baldiego, a po wyszukanych zwrotach następował podpis samego signora Nicola Paganiniego.

– Gubię się w domysłach – rzekł wreszcie Harris – z kim się pan pokłócił?

– Czy nie mógłby pan konsul... – zaczął Paganini, lecz przerwał widząc, że Harris potrząsa głową.

– Pan konsul postanowił więcej się do tego nie wtrącać, zajęty jest bowiem obecnie sprawą rzymskiej rzezi.

– Co takiego? – zapytał Paganini.

– Widzi pan – zaczął Harris oględnie – w czasie pobytu generała Masseny w zeszłym roku w Rzymie, gdy Francuzi zachowywali się jak zbóje, uwłaczano honorowi nie tylko papieża, któremu adiutant francuski zdarł pierścień, nie tylko skrzywdzono okręg, z którego ściągnięto piętnaście milionów w złocie tytułem kontrybucji, ale żołnierze i oficerowie francuscy wysiedlali z całych ulic mieszkańców, wyganiaли w bieliznie kobiety z mieszkań, grabili i mordowali. Czy zna pan przyczynę śmierci papieża Piusa VI?

Paganini opuścił głowę.

– Czy wiadomo panu również o tym, że sławny nasz admirał Nelson rozbił flotę francuską, i czy wie pan, że kardynał Fabrizio Ruffo ze swą armią wiernych umiał zmusić ludność, by zapomniała o okrucieństwach żołnierzy francuskich, i czy wie pan, że obecnie działa inkwizycja rzymska? Wczoraj właśnie do Livorno przybyli obywatele angielscy, których inkwizycja wzięła za Francuzów, i pan konsul ma roboty po uszy. Będziemy musieli zaczekać kilka dni.

Wkrótce Harris miał możliwość znów zwrócić uwagę konsula na sprawy Paganiniego. Opowiedział o wszystkim, nie wyłączając ostatniego zdarzenia z listem. Harris opisał dokładnie, w jakim stanie znajduje się Paganini. W pokoju nieład. Kiedy Paganini wychodzi na miasto, skrzypce, a nawet cenne skrzypce Guarneriego pozostają w nie zamkniętym numerze. Zegarek, pierścionki, złote łańcuszki – wszystko to pozostawia bez opieki. Młodzieniec żyje w jakimś gorączkowym podnieceniu, zapisuje wielkie arkusze papieru nutami i widocznie nie zdaje sobie sprawy z tego, co go otacza: wydaje się, że nie widzi tych chmur, które zbierają się nad jego głową.

Esquire Sidney ziewnął wysłuchawszy tego opowiadania, wziął ze stołu rękawiczki i wychodząc, bez słowa, wręczył Harrisowi krótki raport jednego ze swych agentów.

Tajny gabinet króla angielskiego bardzo interesował się wszystkim, co działo się w miastach włoskich, i konsulowie oprócz zwykłego obowiązku obrony obywateli brytyjskich wykonywali tysiące bardzo skomplikowanych poruczeń, których rezultaty omawiane były potem przy wielkim stole gabinetu w St. James. Z oddzielnych fragmentów sporządzono całą polityczną mapę Italii, na której specjalnie były zaznaczone „ogniska zarażone francuskim jakobinizmem i jadem wpływu Bonapartego”

Harris przeczytał krótki komunikat, zawiadamiający, że w ciągu najbliższego tygodnia nie będą wydawane świece dla żadnej wielkiej sali w mieście Livorno, jeżeli na tych salach będzie występował skrzypek Paganini.

Harris drgnął. Widocznie Paganini rozdrażnił jakiegoś bardzo potężnego wroga.

Mijały dni za dniami. W hotelu „Pod Czarnym Koniem” całe nowe zeszyty były zapisane nutami. Powstały trzy nowe utwory. Były to trzy nowe *capriccia*. W ciągu tego czasu trzeba było sprzedać zegarek, łańcuszki i pierścionki. Gospodarz hotelu otrzymał całą należność. Pewna suma została przekazana przez liwornijski bank do miasta Genui signorze Teresie Paganini. Skrzypek beztrząsliwie liczył na to, że następne koncerty poprawią jego sprawy materialne. Lecz czas mijał, a signor Harris nie mógł załatwić nic konkretnego. Paganiniemu pozostało już zaledwie trzydzieści franków.

Rozdział czternasty

Za trzy franki

Tego dnia, kiedy okazało się, że został naruszony żelazny kapitał w sumie trzydziestu franków, Paganini po raz pierwszy znalazł się w ciężkiej sytuacji. Bez koncertu w Livorno nie mógł nigdzie wyjechać. Karetą pocztowa do najbliższego miasta kosztowała dwadzieścia siedem lirów. Nie mógł przecież iść pieszo przez drogi górskie dźwigając instrumenty, nuty

i cały bagaż. Pieniądzy pozostało mu najwyżej na dwa dni. A poza tym – rachunki w hotelu, rachunki w restauracji, rachunki za pranie. Uczucie ogromnego zażenowania, które ogarnęło go na myśl o rozmowie z Harrisem na ten temat, odbierało mu jakąkolwiek możliwość zwrócenia się po zapomogę do konsula. Na domiar złego Harris zniknął. Zwrócić się wprost do konsula albo do Livrona i zacząć rozmowę o dwustu frankach – było to absolutnie niemożliwe. Ułożywszy w kupki *centesimi* i *soldi* Paganini ściśle obliczył, ile trzeba wydać na obiad, na kawę i kolację.

Pozostały mu w końcu trzy franki.

U szczytu sławy Paganini czuł się ogromnie nieszczęśliwy i zazdrościł nędzarzom, którzy mogą żebrać. On, zwycięzca muzyków liwornijskich, nie mógł poprosić o pięciofrankową monetę nie wywołując pogardliwego uśmiechu na twarzy człowieka, który oklaskiwał go w gorączkowym zachwycie na koncercie.

I jakby umyślnie – podczas jednej z tych godzin, kiedy Paganini rozmyślając o niewesołej swej sytuacji chodził z kąta w kąt po nie sprząniętym pokoju – przyszedł do niego człowiek przysłany przez księcia Borghese. Siostrzeniec kardynała pragnął kupić znakomite skrzypce del Gesú.

Młodzieniec gorzko się uśmiechnął.

– Proszę powiedzieć księciu, że nie jestem handlarzem skrzypiec.

– Ach, signor Paganini, co pan mówi! – podniósłszy ręce zawołał sekretarz. Lecz potem, chytrze się uśmiechając, znów uparcie ruszył do ataku. – Ale signor, przecież będzie pan miał możliwość żyć wiele lat nie troszcząc się o zarobek.

– A więc sądzi pan – ostro przerwał mu Paganini – że pański książę da mi pół miliona franków?

– Pół miliona? – dziwiąc się zapytał cichym głosem sekretarz. – Eccellenza daje panu dwa tysiące franków.

Następnego ranka konsul, marszcząc się z niezadowolenia, pokazał Harrisowi liwornijską gazetę. Na pierwszej stronie w żałobnej obwódce umieszczona była notatka donosząca, że signor Paganini sprzedaje swoje skrzypce, lecz kupujący, który zgłosił się na skutek ogłoszenia, był bardzo zaskoczony jego chciwością: widocznie interesy signora Paganiniego są bardzo kiepskie.

Nie tracąc czasu, już następnego dnia, Harris, wesoly, uśmiechający się wszystkimi zmarszczkami swej przedwcześnie postarzałej twarzy, zaprosił

Paganiniego, by towarzyszył mu w podróży do Lukki. Paganini, rozłożywszy komicznie ręce, odparł:

– Drogi Harrisie, mam w Livorno długi.

– O, niech się pan nie martwi! – rzekł Harris. – Proszę tylko, by pan przychylił się do przyjacielskiej prośby i pojechał ze mną do Lukki. A po upływie dwóch dni wrócimy z powrotem.

– Nie, tylko nie z powrotem! – zawołał Paganini. – Co będę robił w Livorno?

– Będzie pan zwyciężał – odparł Harris tak spokojnym i pewnym głosem, że Paganini przyjaźnie wyciągnął do niego obydwie ręce.

Lukka natychmiast poprawiła interesy Paganiniego.

Koncerty odbywały się co trzy dni.

Podczas jednego z tych koncertów za kulisy wszedł Gnecco z młodą żoną. Paganini od razu poznał w niej dziewczynę, którą spotkał niegdyś u signora Gnecco. Był to dzień Świętego Krzyża i korzystając ze święta, Gnecco i przyjaciel jego Pasini wespół z orkiestrą i lukkańską kapelą zgotowali Paganiniemu uroczyste powitanie. Sam Paganini mówił, że był to jednocześnie egzamin i triumf. Signor Gnecco wystąpił przed publicznością z krótkim przemówieniem. Powiedział, że Paganini jest posiadaczem sekretu muzycznego, który muzycy całkowicie pochwalają (istotnie, muzycy Lukki chwalili zmiany wprowadzone z taką śmiałością przez signora Paganiniego: nowe struny wiolonczelowe i długi smyczek – wszystko było zaaprobowane), i posługuje się tym sekretem z mistrzostwem prawdziwego artysty.

W Lukce zaczęło się jak gdyby spokojne i szczęśliwe życie. Codzienne spotkania z Gnecco zapewniły Paganiniemu to szczęśliwe wypełnienie czasu, które konieczne jest dla każdego artysty w godzinach wolnych od twórczego napięcia.

Gnecco opowiadał Paganiniemu o wydarzeniach w Wenecji, o spotkaniu z Paerem, o tym ogromnym wstrząsie, który przeszedł po całym kraju. Dzień po dniu Gnecco wprowadzał go w krąg spraw karbonariuszy.

Paganini chętnie przyjął propozycję przystąpienia do północnowłoskiego związku i zgodził się zostać szeregowym uczestnikiem podziemnej działalności wenty lukkańskiej.

Od Gnecco oprócz wielu innych nowości Paganini dowiedział się, że Paer skomponował operę *Kamilla*, że wybiera się na północ z żoną, śpiewaczką

Riccardi, że Rolla przeniósł się do Mediolanu i nie dziś, to jutro zostanie dyrygentem teatru mediolańskiego „La Scala”

Harris wrócił do Lukki. Trudno było pojąć Paganiniemu, co robi jego przyjaciel, lecz Harris świetnie wiedział, co robi Paganini. Gnecco dowiedział się od Harrisa o życiu Paganiniego w Livorno. Harris poinformował go o tym, jak usiłowano Paganiniemu wyrwać z rąk cenne skrzypce Guarneriego. Zakomunikował mu również o innej bardzo tajemniczej propozycji, która nie doszła do Paganiniego i w samą porę była przechwycona przez jego przyjaciela. W ostatnich dniach pobytu Paganiniego w Livorno Mr. Harris zorientował się, że pewnemu niezmiernie wpływowemu człowiekowi zależało na tym, by signor Paganini jak najprędzej wyjechał z Livorno, a nawet z Italii, i, jak wydawało się Harrisowi, by znikł nawet z powierzchni ziemi.

– Książę Borghese – mówił Harris – kusił z początku signora Paganiniego propozycją sprzedaży skrzypiec, a następnie zamierzał zaproponować Paganiniemu korzystne zaangażowanie go do Petersburga. Tam, na dworze rosyjskiego cara, niejaki hrabia Joseph de Maistre zająłby się jego sprawami.

Gnecco dobrze wiedział, o jakim Borghese mowa. Dobroduszny ten książę był zaciętym wrogiem Francuzów i polityki francuskiej. Gnecco wiele słyszał o tym człowieku. Odłamki wielkiego naczynia, zawierającego najrozmaitsze trucizny i noszącego miano Towarzystwa Jezusowego, były rozrzucone po Italii i oto jednym z bardzo wielkich odłamków zakonu jezuitów, skasowanego przez papieża Klemensa XIV, był książę Borghese, otyły, krzywonogi, wesoły i dobroduszny człowiek. Gnecco znał tego starca z jego czarującą dobroduszną wyrozumiałością, z niezwykłym pobłażaniem dla grzechów ludzkich, z namiętnością do nadmiernego nadużywania zielonych, liliowych i czerwonych likierów i z kazaniem, w których głosił przebaczenie słabostek ludzkich. Książę Borghese lubił mówić zwracając się w pierwszym rzędzie do seminarzystów, że człowiek, który uprawia kult Bachusa i Wenery, zawsze zdolny jest do skruchy i miłosierdzie boże zawsze może na niego spłynąć. Lecz człowiek, który ugrzązł w pysze rozsądku, cnotliwości i porządności, jest bardzo niebezpieczny dla Kościoła, ponieważ jest skłonny do swobody myśli, do wolnomyślicielstwa i do wszystkich niebezpiecznych pokus rozumu. Od nich wywodzą się wszystkie nieszczęścia dzisiejszego wieku.

Gnecco wiedział, że pod maską pokory i dobroduszości książę Borghese, który nigdy nie nosił habitu, kryje w sobie niebezpiecznego jezuitę

i niezwykle okrutnego inkwizytora, że jest jednym z tych psów gończych świętej kurii apostolskiej, którzy wszędzie przenikną i wszystko wywęszą. Z pozoru spokojny uprzejmy grubas, pobłażliwy stary grzesznik, a w istocie – godny przedstawiciel owego strasznego zakonu, którego członkowie nazywali się dominikanami, gdyż patronem ich był święty Dominik, a podpisywali się dwoma słowami: *Domini canes* – psy Pańskie. Te psy Pana Boga węszyły ślady nowych synów włoskiej wolności, karbonariuszy, którzy kończyli życie w podziemnych studniach Mantui, pod ołowianym dachem weneckiego Pałacu Dożów, pod ociekającymi wilgocią sufitami więzień weneckich, położonych o wiele niżej od poziomu dna lagun i kanałów, w okrągłych kotłach, gdzie ledwo mógł się zmieścić siedzący człowiek, w straszliwych głuchych jamach kamiennych, które i dziś jeszcze pokazują na zamku Świętego Anioła. I ten właśnie książe Borghese interesował się bardzo signorem Paganinim.

Pewnego razu Paganini, zaniepokojony, przybiegł do signora Gnecco i zakomunikował mu, że miejscowy komisarz policji przed chwilą był w hotelu i dowiadywał się, kiedy signor Paganini ma zamiar pojechać do Genui na wezwanie ojca.

– Niedawno posłałem staremu pieniądze. Nie minął jeszcze miesiąc od czasu, jak rodzina moja je otrzymała. I właśnie za te pieniądze zorganizowano poszukiwanie mnie przez policję. Co mam robić?

Gnecco zamyślił się.

– Nie chcesz wracać do Genui?

– Za nic w świecie!

Paganini pokazał signorowi Gnecco list, nadesłany do lukkańskiej policji, a pozostawiony dla niego w hotelu.

Signor Antonio Paganini kategorycznie żądał, by syn niezwłocznie udał się do Genui i wrócił do ojcowskiego domu pod groźbą, że będzie przez ojca wyklęty i oddany pod sąd świętej inkwizycji.

– Trzeba uciekać – rzekł Paganini. – Ale dokąd?

Signor Gnecco powiedział z miną doświadczonego człowieka:

– Przed policją ukrywać się należy tam, gdzie nie będzie szukała.

Tegoż wieczora signor Paganini był już w niewielkim górskim klasztorze. Miał przy sobie dokumenty stwierdzające, że jest seminarzystą, wykładowcą łaciny w Turynie, i że nazywa się Giuseppe Pasiello. Paganini zorientował się wkrótce, że postąpił nieostrożnie: nie znając wcale łaciny ryzykował, że lada chwila może być zdemaskowany. Lecz bractwo klasztorne składało

się z takich nieuków, że na nieokrzesanego seminarzystę, któremu polecono, by jakiś czas pomieszkał w klasztorze i uporządkował swe sumienie nieznacznie obciążone grzeszkami w związku z nadmiernym umiłowaniem Bachusa i Wenery, nie zwrócono najmniejszej uwagi. Niedobrze było, że Paganini prawie zupełnie zapomniał reguły pokuty. Ale najgorsze spotkało go następnego dnia, gdy wszedł do ogrodu. Usiadłszy na ławce wśród drzewek oliwnych, zauważył, jak otworzyła się furtka i wysunęła kosmata głowa człowieka z czerwonymi powiekami i sinym nosem. Paganini zaszczykał zębami i krew zlodowaciała mu w żyłach na wspomnienie owej chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał tego człowieka. Był to włóczęga, który grał na jego skrzypcach w wąwozie za murami Livorno. Człowiek ten otworzył furtkę i wszedł do ogrodu klasztornego. Furtian skinął mu ręką i obydwaj skryli się w piwnicy.

Paganini całą noc nie zmrużył oka w swym małym pokoiku, którego jedyne okienko – tuż nad powierzchnią ziemi – wychodziło na ścieżkę klasztornego ogrodu. Przewracał się z boku na bok i nie spał. Nad ranem młodość jednak zwyciężyła. Ciężki sen skleił nagle Paganiniemu powieki. Naraz obudził się, cały obłany zimnym potem. Szczekał zębami: na korytarzu wyraźnie rozległy się ciche, niepewne kroki i przed drzwiami ktoś przystanął.

Nie mogąc złapać tchu Paganini chwycił się za kołnierz koszuli. Chciał krzyknąć i jednocześnie czuł, że skuwa go zupełne odrętwienie. W tym stanie obudził się. Był to sen we śnie. Jasne słońce zaglądało do pokoju. Wziąć skrzypce i przelać smyczkiem w dźwięki okropność tego snu – była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, lecz uprzytomnił sobie, że nie ma skrzypiec, że cały swój majątek zostawił w małym domku u signora Gnecco przed wyjazdem z Lukki na południe.

Widocznie było jeszcze bardzo wcześnie. Drzewa pokrywała rosa; a gdy Paganini szedł myć się do studni ogrodowej, na miękkiej trawie zostały ślady jego kroków: wielkie, jaskrawozielone, podłużne smugi. W końcu ogrodu pomiędzy owocowymi drzewami widać było małą, niską furtkę. Tędy wszedł wczoraj człowiek, który przestraszył Paganiniego. Furtka znów była otwarta. Nieprzewyciężona chęć ucieczki z klasztoru opanowała nagle Paganiniego i ryzykując spotkanie z furtianem lub też, co byłoby stokroć gorsze – z tym strasznym człowiekiem, ostrożnie zbliżył się do furtki. Wahał się kilka sekund. Gnecco uprzedził widocznie swoich ludzi za klasztornym murem i pobyt Paganiniego w klasztorze nie nastęcał obaw. Czy wiedział jednak Gnecco wszystko o furtianie klasztoru?

Przestąpiwszy próg Paganini trwożnie obejrzał się na wszystkie strony i z radością stwierdził, że znajduje się na samotnej ścieżce wiodącej w góry. Postanowił pójść tą ścieżką, a następnie skrócić na bezdroża w kierunku wschodnim, aby wyjść na wielki, szeroki trakt, prowadzący do Lukki. Wkrótce ujrzał z góry białawą, kamienistą drogę. Po niej wolno posuwały się objuczone osiołki. Karetą pocztowa, wzbijając tumany kurzu, znikła na zakręcie, przesywając powietrze dźwiękami rogu.

Wyglądniały i zmęczony, ledwo powłócząc nogami, Paganini przyszedł do Lukki. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, ponieważ zakurzona odzież, okryte pyłem włosy, zaczerwienione powieki – wszystko to do takiego stopnia czyniło go podobnym do wędrownego mnicha-żebraka, niczym nie wyróżniającego się spośród dwustu tysięcy tego rodzaju włóczęgów w północnej Italii, że Paganiniego szczerze zadziwiło mistrzostwo, z jakim signor Gnecco umiał maskować ludzi zmuszonych do ukrywania się przed policją.

Paganini zastukał. Otworzyła mu starucha. Gderając i klnąc odpędziła go od drzwi. Paganini usilnie nalegał, by zawołała signora Gnecco, uspokajając ją, że nie potrzeba mu jałmużny. Rozległy się znajome kroki. Gnecco szedł uśmiechając się do swoich myśli. Ze zdziwieniem spojrzął na żebraka. Twarz jego przybrała wyraz zatroskania, wziął Paganiniego za rękę i poprowadził go przez korytarz. Gdy znaleźli się w małym pokoiku, najwidoczniej przeznaczonym dla służącej, rzekł:

– Więc mów, o co chodzi?

Paganini, znużony, usiadł na ławce. Uwagę jego przyciągał kubek koziego mleka i pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, łapczywie zaczął pić.

– Mój Boże, co się stało?

– Absolutnie nic. Gdzie są moje skrzypce? – zapytał Paganini.

– Jedno z dwojga – rzekł Gnecco – albo musisz naprawdę ukryć się, albo udać się do Genui. A zresztą... – i Gnecco potarł czoło dłonią. – Mam jeszcze jeden plan. Zostań u mnie. Ale musisz natychmiast się przebrać.

Tulipany i gitara

Tego dnia, w którym policja poleciła Paganiniemu wrócić do ojca, Gnecco nie zdecydował się na doręczenie swemu młodemu przyjacielowi listu przysłanego na imię Paganiego, w którym zapraszano go do spędzenia wieczoru poza obrębem Lukki. Wesoły, przenikliwy umysł signora Francesco przewidywał, że gotuje się tu jakaś niezwykła intryga miłosna. Charakter pisma był mu znany. Gnecco uważał za stosowne zapoznać się z treścią listu. O tym właśnie liście przypomniał sobie, gdy przekonał się, że Paganini nie mógł wytrzymać w klasztorze nawet dwóch dni.

Gnecco odnalazł posłańca w umówionym miejscu i zakomunikował mu, że o każdej porze można przysłać konie po jego przyjaciela. Nazajutrz o zmierzchu przed dom signora Gnecco zajechała para pięknych karych koni. Paganini, wystrojony i uśmiechnięty, machając ręką, żegnał się z przyjacielem.

Wspaniałe konie, czarny lakierowany powóz, piękna droga, wijąca się po górskim zboczach, potem las, potem znów zbocza górskie, a na następnym wzniesieniu – stary, wspaniałe położony dom. Dwóch służących, grzecznych i usłużnych, kandelabry, na stole trzy nakrycia. Jakież było zdziwienie Paganiego, gdy zamiast czcigodnego swego właściciela zamku, jakiego się spodziewał zobaczyć, zjawiła się czarnooka osiemnastoletnia dziewczyna, która skierowała kroki w jego stronę. Po chwili weszła kobieta może czterdziestoletnia, bynajmniej nie wyglądająca na matkę ani też na krewną dziewczyny. Młoda gospodyni przywitała Paganiego z dużą swobodą osoby przywykłej rozporządzać sobą – swobodą, jaka cechowała w tych latach przedstawicielki możnych rodzin włoskich; pozostawione samym sobie, nauczyły się one w tych burzliwych czasach cenić urok wczesnej samodzielności.

Ta młoda czarnooka kobieta lekkim krokiem zbliżyła się do Paganiego, śmiało na niego spojrzała i nie wyzywająco, ale jakby z lekką kpina wyciągnęła rękę do ucałowania.

– Słuchałam pana już trzy razy – rzekła. – I chciałam panu podziękować.

Następnie, nie przedstawivszy gościowi swej towarzyszkii, poprosiła, by usiedli. Była lekka kolacja, było wesołe, łagodne, musujące wino i owa szczęśliwa, beztroska pogawędka, którą starzy Włosi nazywali *desinvoltura*

– niewymuszonością, nie przekraczającą granic przyzwoitości. Lecz Paganini czuł się nieswojo, chował ręce, uśmiechał się z zażenowaniem i był podniecony.

Młoda, wcześniej osierocona pani domu prowadziła widać życie swobodne i nieskrępowane. Gdy sprzątnięto ze stołu, usiadła na szerokiej kanapie i wzięła do rąk gitarę. Ładnie śpiewała. Głos miała miękki, lecz nieduży. Dobrze grała na gitarze, ale Paganini odczuł, że nie ma dobrego smaku ani też należytego zrozumienia muzyki.

Najdziwniejsze zaś w tym wieczorze wydało się Paganiniemu to, że dziewczyna – czy też młoda kobieta – ani razu nie zapytała o niego samego. Bardzo wiele mówiła o sobie i o swojej rozległej posiadłości. Gdy kierowała wzrok na Paganiniego, oczy jej płonęły, a na twarzy wykwitał nagle żywy rumieniec, świadczący o gotowości bezwzględnego poddania się uczuciu, które ją ogarnęło. Ta łatwość, z jaką opanowała uwagę podnieconego Paganiniego, ta prostota, z jaką nawet o tym nie myśląc, jak gdyby to było zupełnie naturalne, zawładnęła jego czasem, ten sposób zwracania się do niego, który zdaniem Paganiniego był możliwy jedynie po dłuższej znajomości – wszystko to budziło w Paganinim z początku wielkie zdziwienie, lecz zdziwienie bynajmniej nie przykre – przeciwnie, on sam chętnie, nawet nie bez pewnego porywu uczucia poddawał się życzeniom gospodyni. Udawał, że ani trochę nie onieśmiela go ten bezceremonialny sposób bycia, do którego nie był przyzwyczajony.

Paganini przywykł do zaproszeń jakiejś możnej i znanej rodziny na koncerty w niewielkim gronie przyjaciół. Tu nie o to chodziło, nie było żadnej aluzji do zapraszania za jakąś opłatą, w niczym nie przypominało to „wynajmu” znakomitego skrzypka przez bogacza na cały wieczór. Paganini snuł domysły, jakiego rodzaju jest afekt tej kobiety: jednocześnie ta lukkańska arystokratka nie robiła wrażenia kobiety szukającej lekkiej przygody.

Asystująca młodej, pięknej dziewczynie kobieta bezgłośnie i niepostrzeżenie znikła z pokoju. Pani domu wstała, wzięła z etażerki czerwone safianowe pudełeczko, wyjęła z niego liścik i po uważnym przeczytaniu odłożyła go z powrotem. Następnie zwracając się nagle do Paganiniego i przerywając rozpoczętą z nim rozmowę, rzekła jak gdyby w roztargnieniu:

– Już późno. Signor Gnecco pisze, że pobyt w Lukce jest połączony dla pana z niebezpieczeństwem. Nie pytałam pana o nic, bo nie jestem ciekawa. A zresztą – o cóż pana pytać, gdy los pański jest już przesądzony.

Zmarszczyła brwi, na twarzy jej zjawiał się wyraz gniewu, jak gdyby wymawiając te słowa, kobieta chciała przezwyciężyć bezradność. Paganini patrzył na nią i słuchał z coraz bardziej wzrastającym zdumieniem. Zarówno wyraz jej twarzy, jak i sposób mówienia świadczyły o tym, że rozmówczyni ani na chwilę nie traci przytomności umysłu, a spokój, z jakim wymawiała najbardziej niepokojące słowa, i pewność siebie, z którą zwracała się do Paganiniego – wszystko to wydawało się młodemu muzykowi bardzo tajemnicze i jak gdyby świadczyło o jakimś dziwnym przeznaczeniu tej kobiety. Przez chwilę zdawało mu się, że wszystko jest istotnie od dawna postanowione i że ta kobieta jest wykonawczynią jakiejś obcej i nieznaney woli. Wydało mu się, że ten stan oczarowania, że to somnambuliczne sugerowanie sobie jakiegoś uczucia musi się skończyć, i bał się już owej chwili.

Po każdym uśmiechu i po każdym nowym zdaniu urok jej stawał się coraz bardziej nieodparty.

– Sądziłam, że zatrzyma się pan u mnie na trzy dni, ale ponieważ nie wolno panu wracać do Lukki... – kobieta umilkła, przy czym nic nie wskazywało na to, że chce dokończyć zdanie, lecz nie może znaleźć odpowiednich słów. Nie dokończyła go też. Patrząc gdzieś w bok powiedziała: – Najbardziej lubię swoje ogrody i grzędy z tulipanami. Uważam, że postąpi pan rozsądnie, gdy pokochawszy mnie, pokocha pan również to wszystko.

Po czym przerywając sobie dzwięcznym śmiechem i jak gdyby budząc Paganiniego ze snu, powiedziała:

– Jak dobrze się stało, że zapomniał pan swoich skrzypiec! Znajdzie pan tu spokój i odpoczynek. Lecz nie chcę pana widzieć z pańskimi skrzypcami.

W ciągu całego roku nikt nie rozpytywał signory hrabiny o długowłosego, opalonego i czarnookiego ogrodnika w brązowej kamizeli, w czarnych pończochach i pantoflach, podlewającego tulipany na zamku. Każdego ranka po kawie signor Paganini, ogrodnik i sadownik, uzbrojony w nożyce, piłę lub ogrodowy nóż, walczył z uschniętymi gałęziami, ze schorzeniami drzew owocowych i z gąsienicami atakującymi tulipany.

Skrzypce dawno były już zapomniane i nikt nie poznałby w tym wysokim okrzepłym człowieku znakomitego skrzypka, który w tak młodym wieku do szaleństwa umiał doprowadzać kapryśne tłumy w miastach północnej Italii. Paganini zasypiał w objęciach swej przyjaciółki, grał na gitarze i komponował drobne utwory muzyczne na jej cześć. Starał się zapomnieć o przeszłości i nie wracać do niej. Czy zaważyły tu pierwsze ciosy życiowe, czy też dawało

się we znaki nieszczęśliwe dzieciństwo, lecz sen, który opanował jego duszę, stawał się coraz mocniejszy. W miarę jak krzepło zdrowie Paganiniego, ruchy jego stawały się powolniejsze i bardziej powściągliwe, a dni stały się podobne jeden do drugiego.

Cztery razy do roku ścinał kwiaty, dwa razy, jesienią i na wiosnę, zbierał wczesne owoce.

Tymczasem bez przerwy poszukiwano Paganiniego w całej Lombardii. Kiedy Lukka została zajęta przez Francuzów, rozeszła się pogłoska, że Paganini wyjechał do Ameryki. Mówiono też, że został przemitykiem i stanął na czele bandy rozbójników w Kalabrii. I oto pewnego razu w małej gazecie włoskiej ukazał się długo oczekiwany komunikat. Gazeta donosiła, że strapiiony nieszczęściem ojciec przyznaje, iż wiadomości te są wiarygodne. Genueńscy fryzjerzy, subiektci, buchalterzy, rachmistrze, biuraliści, przepisywacze, sprzedawcy perfum, właściciele małych spelunek i właściciele hotelów dla gości przychodzących z dziewczynami na dwie godziny mówili gwarnie i wesoło przy kawiarnianych stolikach o ostatniej nowości, przerywając sobie nawzajem, dzwoniąc łyżkami o talerze.

W konkluzji notatka głosiła, że na stacji pocztowej w Ferrarze został aresztowany signor Nicolo Paganini, oskarżony o zabójstwo kochanki, że podczas aresztowania stawiał opór i strzaskał skrzypce, uderzywszy nimi żandarma w kask, a potem osadzono go na szczęście w więzieniu, w którym i teraz się jeszcze znajduje. Litościwy dozorca więzienny dał mu skrzypce. Paganini grał całymi dniami. Ponieważ jednak grał na skrzypcach, na które naciągnięto struny z wołowych żył, powziął zamiar użyć ich do czego innego: skręciwszy te struny zapragnął się powiesić. Pan Bóg bowiem rzucił nieszczęśliwą tę duszę na pastwę szatańskiej złości. Po tym wypadku litościwy dozorca więzienny nie daje już Paganiniemu czterech strun. Gra on obecnie na jednej dyszkantowej strunie, lecz okazuje się, że nie gorzej niż zwykły skrzypek na czterech.

Gazetkę przywiózł francuski oficer. Dał ją owemu ogrodnikowi, którego spotkał po przyjeździe do majątku. Gospodyni pozwoliła panom oficerom francuskim spędzić jeden dzień na zamku. Paganini naciął kwiatów, młoda kobieta przyjęła gości jak dobra gospodyni. Paganini czuł na sobie jej szlachetne i dobre spojrzenie. Śmiała się, słuchając dowcipnych żartów francuskiego generała, a młodzi oficerowie ze zdumieniem śledzili wyraz twarzy tej kobiety, której każdy uśmiech pełen był spontanicznego szczęścia.

Tego dnia Paganini czytał *Jerozolimę wyzwoloną* Torquata Tassa i wi-

dząc tych „krzyżowców wolności”, przedstawiciele gwardii francuskiej, których mowa nacechowana była taką powagą i tak niepodobna do tego, co dotąd mówili mu inni ludzie, wyobrażał sobie, iż jest krzyżowcem, który zasnął w altanie czarodziejki Armidy na drodze wiodącej do obleżonej Jerozolimy. Tego wieczora, trącając się kieliszkami z oficerami francuskimi i zamieniając spojrzenia z przyjaciółką, nie czuł ku własnemu zdumieniu najmniejszej skruchy na myśl, że zdradził sztukę. Tak bywa we śnie, gdy doznajemy silnego, a jednocześnie przyjemnego uczucia, wynikającego ze świadomości, że to sen, bardzo mocny sen. Już sama ta świadomość jest zapowiedzią przebudzenia.

Po raz pierwszy po ucieczce Paganini przybył ze swą Armidą do Lukki odświętnie udekorowanej na cześć Francuzów. Ożywiona, wesoła rozmowa przy stole, kpiny z religii i gawęda filozoficzna ze starym, znużonym francuskim generałem odkryły nagle Paganinemu jakiś inny, niewłóski świat, świat ludzi wolnej myśli, o wesołym usposobieniu, nie krępowanych ani przez Kościół, ani przez żandarmów austriackich. Paganini był oczarowany prostotą stosunków pomiędzy oficerami, tak niepodobną do powściągliwości starych świętoszków zajmujących wysokie stanowiska w miastach włoskich. Zjadliwe uwagi na temat historii dogmatów, drwiny z papieża i z surowości kobiet włoskich, opowiadania o polewaniu ogrodów wodą święconą i urządzaniu wodopojów w świętych studniach – wszystko to zachwycało Paganiniego. Opowiadania o rewolucyjnym Paryżu jeszcze bardziej rozpały jego wyobraźnię.

Nazajutrz Paganini dostał w prezencie oprawny w skórę tomik antyreligijnych pamfletów Holbacha. Po wyjeździe Francuzów odczytał kilka stron swej przyjaciółce. Rozmowa o ateizmie w nocy we wspólnym łożu rozgniewała signorę.

– Kara i grzechy muszą istnieć na świecie – powiedziała ściągając lekko brwi. – Religia jest niezbędna – szepnęła mu na ucho znacznie już łagodniejszym tonem. A potem błysnęła oczami i przywarłszy twarzą do jego ramienia dodała: – Jeśli bowiem to, co czynimy z panem, nie jest grzechem, to cały czar mego życia pierzchnie.

Paganini roześmiał się przyjmując słowa te za żart. Lecz natychmiast przekonał się, że w słowach jego przyjaciółki nie było ani krzty żartu. Młoda kobieta przyznała mu się otwarcie, że kocha go za jego nienasyconą namiętność, a gdyby towarzysz nocnych jej zabaw był choć nieco ładniejszy, nie odczuwałaby wtedy całej upojnej słodczy miłości.

– Pan jest potwornie brzydki, panie Nicolo – mówiła – dlatego tak pana

pożądał, jak w upalny wieczór pragnę dużej czarki lodów lub gorącego wina w listopadzie, po polowaniu w górach.

Na zamku lukkańskim Paganini czynił jedno odkrycie po drugim. Zaczęła go pociągać muzyka kościelna. Obrazy piekła, rajy i czyśćca opanowały jego myśli i uczucia. Nieodstępną wizją zaczął prześladować Paganiniego we śnie Fridello grający na skrzypcach, z głową przechyloną na bok, z na wpół przymkniętymi oczami, i obraz anioła ze skrzypcami, który był przedstawiony na fresku kremoańskim z XIII stulecia. Wizji tej zaczęła towarzyszyć zuchwała i nieodparta chęć: wprowadzić magiczne i pełne demonizmu dźwięki w odchodzące już w przeszłość skostnienie i bogobojność melodii kościelnych – sycić się przy tym słodyczą grzechu dwojakiego rodzaju – zakazanym, niedostępnym szczęściem i sarkastycznym uśmieszkiem człowieka wyzwolonego, który obala władzę religii.

Melancholijne i delikatne skrzypce Corellego, demoniczne pasaże Tartiniego – wszystko to po starciu się z sobą dziwnym jakimś pojednaniem łączyło się w duszy Paganiniego. Było to pojednanie gdzieś na wyżynach sztuki i wypełniało całą duchową organizację skrzypka. W ten sposób dwie wrogie armie zdobywają to samo osiedle i dolinę, by rozegrać tam decydującą bitwę, której towarzyszą potoki krwi, krzyki, wzajemne tępienie się, ogłuszający huk dział i gwizd kul. W duszy Paganiniego coraz mniej było miejsca na spokojne promienie owej zorzy wieczornej, która powitała pierwszy tydzień jego szczęśliwej miłości na zamku lukkańskim.

Interesowała go zwłaszcza biografia Tartiniego. Wiele legend krążyło o Tartinim – skrzypku, fechtmistru, mnichu, prawniku, człowieku mówiącym o sobie, że jest kuszonym Józefem, i porównującym muzykę do pełnej pokus Putyfary. Paganini dawno już z ogromnym zaciekawieniem oglądał skrzypce należące do tego artysty. Instrumenty, na których grał Tartini, całe były zapisane wierszami Petrarki i wulgarnymi przysłowiami ludowymi. Wymysły motłochu mieszały się w tych napisach z boskimi strofami Nowego życia Dantego.

Tartini porwał siostrzenicę kardynała Cornara. Rzymska policja dogoniła ich na drodze. By uratować swą żonę, Tartini musiał ją porzucić. Nieszczęśliwy małżonek, ryzykując życie, widywał się z nią potajemnie. Widywali się tylko raz lub dwa razy do roku. Mieszkał w Asyżu, w klasztorze, pod przybranym nazwiskiem, wypełniając czas grą na skrzypcach pod kierunkiem naiwnego i prostodusznego mnicha. Tartini miał dwadzieścia cztery lata, gdy stał się – odważny fechtmistrz, szczęśliwy kochanek i mąż – najznakomitszym skrzypkiem Italii XVIII stulecia. Pod obcym nazwiskiem

zjawił się w rodzinnym mieście i zdobył sławę. Dzięki tej sławie odzyskał żonę. Przyznał się do swego prawdziwego nazwiska, uzyskał przebaczenie i rozpoczęło się długie, pełne uznania życie skrzypka, otoczonego wielbicielami i uczniami z ubogich rodzin. Tułaczce życie wśród ludu włoskiego zadziwiająco wpłynęło na Tartiniego. Stał się głosicielem wielkiej sztuki skrzypcowej wśród liwornijskich prostych ludzi. Całe tygodnie spędzał w dzielnicach tragarzy portowych, grał w warsztatach okrętowych, chętnie odwiedzał więzienia i koncertował w nich, a szedł wszędzie z ulubionym swym uczniem Nardinim. Umarł na rękach Nardiniego dożywszy późnej starości.

Oto rękopis Tartiniego, który ma przed sobą nowy skrzypek nowego stulecia. Tartini pisał:

„Sny korygują rzeczywistość. Pewnej nocy, a było to w roku 1713, śniło mi się, że zawierałem pakt i sprzedawałem swoją duszę czarnemu aniołowi, który miał uśmiech równy czarem uśmiechowi Egipcjanki. Zapytałem go: «W jaki sposób wszedłeś do klasztoru Świętego Franciszka?» Na to odparł mi Egipcjanin: «Uspokój się, mój przyjacielu, jestem przecież złym duchem! Pij ze mną z tego kielicha tak, jakbyś pił wino, a wtedy będziesz rozkoszował się złudnym widokiem rzeczy i wszystkie przedmioty, barwy i kolory widzialnego świata nauczysz się przemieniać w dźwięki». «Dobrze – zgodziłem się – lecz musisz zostać moim sługą». Umowy nie spisaliśmy, lecz doskonale pamiętam, że została zawarta.

Dał mi on poznanie rzeczy i obudził mnie, a ja za całą tę moc i zagładę kochałem go coraz bardziej, zdając sobie sprawę, że wszystko to jest nie do naprawienia: nie mogłem i nie pragnąłem żyć, w zagładzie tej bowiem więcej było żywota niż w życiu bez zagłady. I oto nastąpiła godzina najbardziej błędnego snu, kiedym rozkazał słudze mojemu – Egipcjaninowi, wziąć skrzypce i zagrać. A grał on tak pięknie, z tak niezapomnianym urokiem i mądrym czarem, że zostałem na zawsze przykuty do szczęścia ziemskiego, do jego wdzięków i pokus, zapominając o poszukiwaniu rajy niebieskiego i o zbawieniu duszy. Do tego stopnia zapaliłem się i popadłem w taki zachwyty, że wyobraźnia moja zagrała jak tysiące brylantów w słońcu, odbijając w sobie piękno i urok przeszłości, cały czar teraźniejszości i całą kuszącą grę przyszłości. Duch mój rozradował się od tego uczucia i obudziłem się. Natychmiast chwyciłem skrzypce i smyczek, obudziłem śpiącego w celi mnicha; wraz ze mną wpadł on w zachwyty i również zapragnął utrwalić w pamięci cudowne dźwięki, które usłyszałem we śnie. I oto najlepszym utworem «skomponowanym przeze mnie w życiu jest sonata

owej nocy, choć wiem, że jest to tylko księżycowe odbicie prawdziwego słońca, które rozpromieniło moją duszę; a teraz strzaskałbym skrzypce, gdybym mógł się wyrzec słodyczy tych dźwięków. Ale zawsze będę miał uczucie, że istnieje wielka różnica pomiędzy tym, co słyszałem w grze demona, a tym, com zdołał zapisać”

Rozdział szesnasty

W krainie ojców

Jak to się stało, że cienka, cieńsza od włosa kraweźdz oddzieliła sen od przebudzenia? Zaledwie skrzypce Guarneriego zostały wyjęte z pokrowca i smyczek dotknął strun, zarówno Paganini, jak i jego przyjaciółka pojęli, że dni niewoli skończyły się. Każdy następny dzień przynosił nowe oznaki przebudzenia i wszystko wskazywało na to, że jest to przebudzenie nie tylko Paganiniego. Przy nowych dźwiękach skrzypiec budziła się również Armida, która oczarowała Tankreda. Paganini stawał się jej obcy. Stawał się tylko ciekawym skrzypkiem, tylko geniuszem. Traciła brzydkiego, gorąco-krwistego kochanka i nawet nie starała się go zatrzymać. Pewnego razu zdarzyło się, że Paganini spędził cały dzień w Lukce i przenocował tam w małym domku, w którym Gnecco zostawił swe książki.

W ciągu miesiąca Paganini wystąpił w Lukce z szeregiem świetnych koncertów i wyjechał stamtąd na północ. Znow zasmakowało mu tułaczne życie, a ponieważ nie miał żadnych powodów do zatrzymania się w Lukce, więc przez Pistoję, Bolonię, Modenę, Parmę, Piacenzę i Pawię udał się w dalszą drogę. Koncerty jego cieszyły się wszędzie wielkim powodzeniem. Przybył wreszcie do Mediolanu.

Skrzypek dowiedział się z gazet, że człowiek zaaresztowany w Ferrarze i zmarły w więzieniu uważany był za Paganiniego. Był to polski skrzypek Duranowski. Lecz pogłoska o śmierci Paganiniego krążyła już po całej północnej Italii. Paganini wiedział, że rodzina dawno uważała go za zmarłego. Na wspomnienie owego czasu, gdy usunięto go poza nawias ogółu, zbudziło się w nim dziwne uczucie, zrodzone z połączenia nowego,

niezwykle odważnego sposobu odczuwania życia z gorącą wdzięcznością dla owej czarodziejki, która zatrzymała go w Lukce.

Paganini czuł się niezależny i wolny. Teraz nie mogła już powtórzyć się awantura z liwornijską orkiestrą. Obecnie zbyt cenna była protekcja angielskiego konsula.

Przypadkowe spotkanie w Mediolanie ze śpiewaczką z Livorno zbudziło w nim nieoczekiwane pragnienie lekkiego i wesołego romansu z tą dziewczyną. Oto podaje mu ona chętnie swój adres i gdy zapadł wieczór, Paganini idzie do niej w odwiedzin, lecz myli nazwisko właściciela domu. Na szerokich, na w pół ciemnych schodach znajduje po omacku klamkę i naciska ją. Wielki przedpokój, ogromne lustro, okrągły stół. Nikogo nie ma. Otwiera następne drzwi. Młoda kobieta, leżąca w wielkim łóżku pod różową kołdrą, z przerażeniem patrzy na otwierające się drzwi. Potem wyciąga ręce i mówi z uśmiechem:

– Ach, to pan, doktorze! Myślałam, że przyjdzie pan później.

Paganini nie wiedział sam, co go do tego skłoniło, ale z powagą lekarza usiadł przy łóżku chorej. Zdecydowanie podobała mu się. Szaleńcze myśli z niesłychaną szybkością zaroiły się w jego głowie. Drzemiące w nim wesołość i żywość charakteru obudziły się z nieoczekiwaną dla niego siłą. Ujął chorą za rękę, uważnie spojrzął jej w oczy i oświadczył:

– Widocznie pani dziś lepiej czuje się niż wczoraj.

– Tak – odparła młoda kobieta.

Uważnie zbadał jej puls, lecz przy tym tkliwie uściśnął jej rękę.

Nagle Paganini roześmiał się niepohamowanym śmiechem. Nigdy nie był w tak zabawnej sytuacji. Wszystkie wysiłki, by przydać twarzy więcej powagi, spełzły na niczym. Kobieta patrzyła nań ze zdumieniem, jak gdyby coś sobie przypominała, i wyrwawszy nagle rękę rzekła z oburzeniem:

– Proszę pana, pan przecież jest skrzypkiem, signorem Paganinim, pan wcale nie jest doktorem.

Paganini wybuchnął śmiechem. Im więcej śmiał się i im bardziej usiłował pohamować śmiech, tym bardziej gniewała się chora. W tej chwili za drzwiami rozległy się kroki. Wszedł starzec. Wyraz twarzy chorej nagle się zmienił. Z żywością zwracając się do starca, rzekła:

– Otóż, ojczu, doktor uważa, że stan mego zdrowia...

– Tak, tak – z powagą potwierdził Paganini – jeszcze kilka dni, a chora będzie mogła wstać.

Starzec z wdzięcznością spojrzął na Paganiniego i rozpoczął z nim długą uczoną rozmowę na tematy medyczne. Mówił o nieuctwie dzisiejszych

lekarzy, o tym, że nastąpiła nowa epoka, że signor Volta robi doświadczenia z zastosowaniem nowych sił przyrody, a signor Galvani odkrył potęgę, która prawdopodobnie za kilka lat będzie w stanie wskrzeszać martwych, ponieważ wystarczy przeciągnąć drut metalowy od kwasu siarczanego i cynku do odciętej od tułowia łapki żabiej, by łapka ta zaczęła się ruszać jak żywa.

Paganini kiwał głową z miną człowieka bardzo uczonego. Rozmowa przeciągnęła się. Paganini nie wiedział, co robić. Wreszcie przyszła mu z pomocą młoda kobieta przerywając rozmowę w niebezpiecznym momencie.

– Napisze mi pan receptę, doktorze? – zapytała.

Paganiniemu podano gęsie pióro, kałamarz z brązu i kartkę papieru ze złożonymi brzegami. Z poważną miną Paganini umaczał pióro w atramencie i zamyślił się.

– Wie pan co – rzekł – choroba nie jest tak poważna, by trzeba było stosować lacińską kuchnię. Obejdziemy się bez lekarstw. Natura jest tak hojna i bogata, że signora pańska córka może na niej polegać. Zobaczmy, co będzie dalej.

– Tak, tak, doktorze – wtrąciła nagle młoda kobieta usiłując uprzejmością zamaskować filuterny uśmiech. – Mam nadzieję, że jutro pan przyjdzie i przekona się, że jest mi o wiele lepiej.

– Jak to, chce pani, żebym jutro przyszedł? – zapytał Paganini, o mało nie zdradziwszy się przez niestosowne zdziwienie.

– Tak, koniecznie, doktorze, bo w przeciwnym razie będzie mi gorzej.

– Ach, tak! – zawołał stary ojciec.

W błękitnej kopercie z herbem mediolańskiego szlachcica Romagnesi Paganini otrzymał banknot dziesięciolirowy. Było to jego pierwsze honorarium lekarskie.

Wdychając pełną piersią powietrze na ulicy, Paganini zastanawiał się nad tym, co się stało. Niespodziewana ta przygoda zaczęła budzić w nim obawy. Zdziwił się, że w Mediolanie znają jego twarz z portretów. Świadczyło to o tym, że jest sławny i że koncerty jego będą miały powodzenie, lecz jednocześnie obawiał się, że na koncercie może być obecny signor Romagnesi.

Najbliższy koncert został odwołany.

Nazajutrz Paganini znów wdział na siebie maskę eskulapa. Dwie godziny spędził na rozmowie z uprzejmym starcem, rzucając płomienne spojrzenia na dziewczynę. Chora dobrze grała swoją rolę, aczkolwiek przychodziło jej

to z trudem. Gdy Paganini wstał, by się pożegnać, nalegała, by koniecznie odwiedził ją nazajutrz. Ojciec rozłożył ręce i rzekł:

– Teresa otworzy drzwi doktorowi, ponieważ jutro będę zajęty w magistracie.

Nie tak nie dogadzało Paganiniemu, jak te zajęcia starca w magistracie.

Wizyty trwały dość długo i zawsze wypadały pod nieobecność czcigodnego Romagnesiego. Skończyło się na tym, że w dniu wznowienia koncertów na wielkiej sali mediolańskiego konserwatorium Paganini musiał przyjechać po signorę Romagnesi, oczywiście znów pod nieobecność ojca.

Romans nie zaszedł zbyt daleko. Pewnego dnia Paganini poczuł, że musi wrócić do domu. Sam nie zdawał sobie sprawy, co spowodowało to pragnienie, lecz było ono tak nieodparte, że jeszcze tego samego wieczora skrzypek wyjechał pocztową kareta z Mediolanu na południe.

W kieszeni kamizelki leżała książeczka czekowa genueńskiego banku: na imię ojca złożył dwadzieścia tysięcy franków. Myśl o tym, że nie przestał grać jedynie dzięki okrutnemu naleganiu ojca, które przekształciło dlań skrzypce w instrument przez samą naturę z nim zespolony, budziła w nim teraz zachwyty. Wybaczał ojcu, wybaczał matce katolicką jej pobożność i nieumiejętność panowania nad sobą, którą zdradzała pod wpływem natarczywej ciekawości pierwszego lepszego księdza. Wszystkie ostre rysy i kontury dzieciństwa zmiękły nabierając łagodnych, różowych odcieni. „Jest to oznaka przedwczesnej dojrzałości charakteru” – myślał Paganini.

Jakieś myśli, które przyszły mu nagle do głowy, zmusiły go do śmiechu. Nie znany Paganiniemu młodzieniec, czarnowłosy i błękitnooki, uważnie na niego spozjrzał. Paganini odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

– Czemu pan się śmieje? – zapytał młodzieniec.

– Pan jest zbyt ciekawy. Śmieję się do własnych myśli, którymi trudno mi się z panem podzielić.

– Gdyby pan wiedział, co się stało godzinę temu, nie śmiałby się pan tak beztrosko.

Ton był złowieszczy.

– Cóż się takiego stało? – zapytał dość niegrzecznie Paganini.

– Generał Bonaparte został cesarzem Francuzów.

– Jak to, i już w ciągu godziny wiadomość ta dotarła do pana? Kimże pan jest?

– Jestem mediolańczykiem, hrabią Federigo Confalonieri. A pan może nie wymieniać swego nazwiska, ponieważ od razu poznałem powszechnie

wielbionego skrzypka. Przyznam się, sądziłem, iż zmiana francuskiej polityki przeraża pana i zmusza go do wyjazdu z Mediolanu.

– O, nie – rzekł Paganini. – Między polityką a skrzypcami istnieje wielki przedział.

Confalonieri współczująco się uśmiechnął.

– Tak pan sądzi? – zapytał głosem pełnym powątpiewania.

Paganini nagle ożywił się; to, o czym poprzednio myślał, znów przyszło mu do głowy.

– Tak, w rzeczy samej i ja czasem myślę inaczej. Lecz w naszej epoce... Tam gdzie głos mają armaty, sztuka musi milczeć.

Confalonieri pokiwał głową.

– Pan sam dobrze wie, jaką kolosalną rolę odgrywa muzyka w kształtowaniu się ducha.

– Słusznie – rzekł Paganini – lecz nie znam takiego wypadku, aby ludzie z pustym żołądkiem chodzili na koncerty.

Rozmowa wyczerpała się.

Na małej, ohydnej stacyjce *vetturino* obudził go okrzykiem: „*Si cambia!*” – przesiadka. Paganini ocknął się i nagle przypomniał sobie straszny sen. Przyśniły mu się wielkie białe schody nad czarną otchłanią. Jakiś głos mówił mu, że należy wejść po tych schodach na górę, lecz po drodze natknie się na trzy stopnie zrobione z płóciennych pasów, pomalowanych pod kolor kamienia i zaledwie stąpnie na jeden z tych płóciennych pasów, spadnie w przepaść, i z taką siłą runie na ostre kamienie dna, że ciało jego zamieni się w kupę rozszarpanego mięsa i pogruchotanych kości. I śniło mu się, że nie można już się cofnąć, a ze strachu zapierało mu dech. Wokół pustkowicie i przerażająca cisza. Góry przytłaczają świadomość. Lecz oto siła woli jak stalowa sprężyna zmusza go, by wbiegł na schody i gdy jest już całkowicie we władzy tego gwałtownego porywu i biegnie w górę, przesadzając po trzy stopnie na raz, nagle czuje, że zwykła myśl potrafi go zatrzymać. Co będzie, jeśli przeskakując po trzy stopnie na raz, zmęczy się i ze znużenia runie w dół ze schodów? A co będzie, jeśli przeliczy się i nie wiedząc, gdzie czeka nań pułapka, trafi nogą na płócienny pas? Wtedy czeka go niechybna zagłada. I tak, nie wiedząc, czy te trzy zdradzieckie pasy z płótna zamiast kamienia są na początku czy też na końcu drogi, dociera do dwóchsetnego, trzechsetnego stopnia i czuje się nieodwołalnie skazany na straszliwą śmierć i mękę nie do zniesienia. I nagle, nieomal że na samym szczycie, czuje, że noga jego ześlizguje się i że zawisa w próżni uczepiwszy się kamiennego stopnia, tego twardego, niezawodnego i pewnego oparcia. Jest uratowany.

Jednym kolanem oparł się o kamienny stopień, ramionami i głową o drugi, oto jeszcze chwila zawieszenia nad przepaścią i znów stanowczym, pewnym krokiem wchodzi po stopniach na górę, zdając sobie sprawę, że ominął już niebezpieczeństwo. A nad głową rozjarza się jasny dzień, słońce wschodzi na ciemnoniebieskim, prawie czarnym niebie, oddech staje się lekki, a życie – radosne. Gorące strugi ciepłego niebieskiego powietrza oblewają mu twarz i słychać podobny do koguciego piania krzyk: „*Si cambia*” To krzyczy nad uchem *vetturino*.

Podczas gdy podróżni jedli śniadanie i odpoczywali po wstrząsach i chybotaniach pocztowej karety, dopóki francuski gwardzista sprawdzał paszporty, a szynkarz nalewał czerwone kwaśne wino, Paganini obliczał dzielące go od Genui godziny i minuty.

Lecz oto nareszcie Genua.

Odczuwał wielkie wzruszenie, sądził, że obecnie nastąpi wreszcie moment całkowitego pogodzenia się z rodziną. Był pewien, że matka za nim tęskni. Wiedział, że ojciec przestanie się na niego gniewać za daremne poszukiwania i że, być może, będzie miał nawet wyrzuty sumienia, iż korzystał z usług policji, gdy szeleszczący papierek, w prosty i jasny sposób świadczący o tym, że stary Antonio Paganini jest posiadaczem dwudziestu tysięcy franków, ukaże się jego oczom.

Dobierał słów, które należało powiedzieć. Trzeba było tylko rzec, że dla dobra rodziny i dla uzyskania powodzenia w dalszej karierze muzycznej musiał wydstać się na szerszą drogę, choć zrobił to może w niezupełnie dopuszczalny sposób, odrywając się od rodziny. I to, co nie przychodziło mu na myśl w czasie podróży, co wydawało się naturalne i proste, teraz na progu rodzinnego domu nabrało jakiejś niepokojącej doniosłości i Paganini, znakomity skrzypek, którego imię sławne już było we wszystkich miastach północnej Italii, poczuł się nagle godnym politowania uczniakiem, który nabroił, poczuł się po prostu synem Teresy Paganini, zwyczajnym chłopcem ze schroniska, z powalanymi rękami i z łatami na spodenkach. Dobierał słów, które od razu winny były dobrze usposobić do niego serca rodziców.

Na stukanie nikt nie otwierał drzwi. Wszystkie słowa, które przygotował Paganini, nagle wyleciały mu z głowy. Niepojęta trwoga wkradła się do serca i nie panując nad niepokojem, z wściekłością człowieka doprowadzonego do rozpaczy, jął bić w drzwi pięściami.

W odpowiedzi na stukanie rozległ się gniewny i ostry okrzyk. Poznał głos matki. Jakże ten głos jest niepodobny do dawnego. Czemu tak się

oburzyła? Nie wie, że to stuka jej rodzony syn, jej mały Nik, jak nazywała go w dzieciństwie.

– Cóż to za nicpoń rozbija drzwi? – powtórzył głos tuż nad uchem Paganiniego.

W na wpół ciemnym korytarzu ujrzał twarz starszej siostry: to ona mówiła głosem tak bardzo przypominającym głos matki. A w głębi pokoju, przy wejściu do jadalni, zobaczył starą kobietę, przebierającą paciorki różańca i trzymającą w ręku książeczkę do nabożeństwa.

Siostra natychmiast poznała Paganiniego; matce na widok wchodzącego syna wyleciał z rąk modlitewnik. Wstając, cofnęła się nieco i przewróciła przy tym fotel. Siostra milczała. Paganini podbiegł do matki, ale odsunęła się od niego jak od widma. Na hałas zjawili się pozostali członkowie rodziny. Przyszedł brat z nieznaną kobietą. Przywitał się hałaśliwie i gorąco z Nicolem przerywając dziwne milczenie. Kobieta, która towarzyszyła bratu, przesywała Paganiniego przenikliwym i złym spojrzeniem. Matka wciąż jeszcze milczała utkwivszy w nim smutne błękitne oczy. Paganini ledwo nadszedł odpowiadać na szybko po sobie następujące pytania brata, które sypały się jak groch z dziurawego worka. Wreszcie Paganini przerwał mu i rzekł, jakby tylko po to, by położyć kres milczeniu matki:

– Mateczko, czy mógłbym u was zatrzymać się na pewien czas?

Pierwsze słowa matki poraziły go jak piorun:

– Produkty bardzo podrożały. Gdzieżbyś się u nas mógł zatrzymać? Zamieszkała u nas Caetana z dzieckiem, Celestyna też urodziła dziecko, a Fabricio nie dziś, to jutro będzie miał nową żonę. Gdzież cię umieścimy? Może zatrzymasz się w hotelu? Produkty bardzo podrożały, trzeba się liczyć z każdym bajocco, a oprócz tego...

Nagle przerwała i duże łzy popłynęły po jej policzkach.

W tej chwili wszedł stary Antonio spluwając do zielonej chustki, utykając i kichając. Zdawało się, że widok Nicola wcale go nie zdziwił. Patrzył na niego nie starając się ukryć wyrazu pogardy.

– Opinię masz jak najgorszą. Jeśli nie pragniesz ściągnąć nieszczęścia na dom, to lepiej byłoby, abyś zamieszkał oddzielnie. Rodzina to najlepszy przyjaciel człowieka, a ty co zrobiłeś dla rodziny?

Paganini pomyślał: „Ewangelia, którą oni tak kochają, mówi, że wrogiem człowieka są jego domownicy. Ja dodam do tego, że nie masz większego szczęścia na świecie niż utrata najlepszego przyjaciela”.

Stłumiwszy w sobie uczucie oburzenia, stał z pokorną miną, podszedł do

ojca i rozpiąwszy surduty nagłym pośpiesznym ruchem wyciągnął pugilares, pochylił się nad stołem i położył przed starym czek na dwadzieścia tysięcy franków. Twarz starego Paganiniego nagle rozpogodziła się.

– No cóż – powiedział. – Uczcijmy twój powrót. Tereso, czemu siedzisz? Celestyno, Fabricio, dlaczego stoicie? On wrócił: wrócił Nicolo. Zamieszkaj z nami.

Zdawało się, że nagle roztopiła się jakaś ściana z lodu. Wszyscy zaczęli ścisnąć Paganiniego i serce jego nie wytrzymało. Człowiek ten, który wyrósł nie do poznania, nabrał sił i zmęźniał, rzucił się matce na szyję i gorzko załkał jak w dzieciństwie po bolesnych razach. Płakał długo i zdawało się, że nigdy nie będzie w stanie się pocieszyć. Sam nie rozumiał sensu tego impulsu. Lecz każdy z członków rodziny na swój sposób tłumaczył sobie ten przejaw niezwyklej słabości.

Podczas gdy Nicolo opłakiwał smutny obraz zupełnego zaniku macierzyńskiego uczucia w tej zniszczonej, lecz niestarej jeszcze kobiecie, która straciła widocznie jasność umysłu – ona, patrząc na syna, doznawała uczucia zupełnie innego. Myślała, że oto on, żałując, iż tak wiele w życiu zgrzeszył, wykazuje teraz skruchę i że jest to jej najbardziej nieudane dziecko. Gdy Paganini, łkając na jej ramieniu, opłakiwał swoje dzieciństwo i swoje obecne osierocenie, gdy stali przed nim ludzie nie mający w gruncie rzeczy nic z nim wspólnego, starzec myślał, że jeśli Nicolo, jak marnotrawny syn ze Starego Testamentu, wrócił do ojcowskiego domu, to płonne są jego nadzieje na wykupienie się za ciele, które ojczulek kazał podać do stołu. „Nie obawiaj się, synku – myślał stary makler patrząc na płaczącego Paganiniego – moje ciele więcej kosztuje niż dwadzieścia tysięcy franków. A jeśli już przyjąłem pod swój dach marnotrawnego syna, to zmuszę go, by potrząsnął kiesą”

Ale syn marnotrawny jakoś nie mógł się uspokoić. Wtedy do duszy Paganiniego seniora zakradło się męczące zwątpienie. „W rzeczy samej, diabli go wiedzą, widać spotkało go już bardzo wielkie niepowodzenie życiowe: albo zwichnął rękę i nie może więcej grać na skrzypcach, albo też przytrafiło mu się coś złego ze strony policji. Wraca do nas, płacząc i lamentując, jakby nie miał gdzie się podziać”

Starszy brat cieszył się zupełnie szczerze, że będzie miał możliwość poprawienia swoich spraw finansowych, jeśli zadzierzgnie przyjazne stosunki z Nicolem. Lukrecja obmyślała, w jaki sposób z pieniędzy tych coś niecoś uszczknąć na pokrycie karcianego długu męża.

Paganini opłakiwał samego siebie, swoje dziecięce wyobrażenia o życiu,

ale stopniowo egoistyczne rozczulanie się nad sobą samym ustąpiło miejsca uczuciom i myślom cechującym wielkie dusze.

Przestał myśleć o swym osieroceniu, ludzie ci ze skoślawionymi duszami i wypaczonymi uczuciami wydawali mu się godni pożałowania.

Lata wstrząsów przeżytych w północnej Italii, stałe zmiany pogody na giełdzie, od której zależał dobrobyt rodziny i humor ojca – wszystko to widocznie zламаło starych. W życiu ich też zaszło wiele zmian jednocześnie z tymi ogromnymi przeobrażeniami, które dokonały się w samym Nicolo. Czuł, że stoi na pewnym gruncie, wiedział z pewnością, że ta wysoka doskonałość techniki gry na skrzypcach, którą opanował, teraz jest już jego nieodłączną właściwością, że gdyby nawet chciał z tego coś zapomnieć, nie mógłby; stracić talent skrzypka mógł tylko w wypadku utraty ręki. Był uosobieniem geniuszu skrzypiec. Lecz przed nim stał jego ojciec, matka oraz brat i siostry – ludzie mniej niż przeciętni, i Paganini czuł, że kontrast pomiędzy jego światem wewnętrznym a światem tej pospolitej włoskiej rodziny zrodzi natychmiast uczucia i nastroje, które zatrują otaczających go ludzi zawiścią przechodzącą w nienawiść. I mimo to pod wpływem jakiegoś instynktu nie mógł pozbyć się ani uczucia ostrego bólu, ani uczucia litości, ani też uczucia bezinteresownej miłości.

Bankier, u którego został zrealizowany czek na imię Antonia Paganiniego, zdziwiony był niedyskrecją starego, który blednąc i czerwieniąc się, rozpytywał go, ile pieniędzy ma jego syn i gdzie je ulokował. Tradycja tajemnicy bankowej po raz pierwszy wydała się doświadczonemu giełdowemu maklerowi przykrą i niepotrzebną zawadą.

W rozmowach z synem stary zapewniał o spędzonych przez matkę bezsensownych nocach, o tym, że on, człowiek stary, cierpiał nędzę, aby dać synowi muzyczne wykształcenie. Starał się dowieść całej wielkości swego ojcowskiego zamierzenia, dać mu odczuć cały ciężar swych troskliwych zabiegów, zmierzających do tego, by za pomocą bicia wymóc na opornym chłopcu pilność, a ziarna muzycznego uzdolnienia przemienić w prawdziwy i doskonały talent skrzypka. Dziwnym zbiegiem okoliczności Paganini jakoś nie dostrzegał wszystkich tych podstępów starego. We wszystkim zgadzał się z nim, chętnie szedł na rękę matce i uciulane pieniądze, przekazane do genueńskiego banku, chętnie oddawał do dyspozycji rodziny. Lecz uległość ta jeszcze bardziej podniecała ojca.

Stosunki w rodzinie stały się grą dwóch wrogich sobie obozów. Matka, ojciec, brat i siostry pod nieobecność Paganiniego bez przerwy naradzali się. Bywały dni, gdy Nicolo czuł się ulubieńcem i opiekunem rodziny,

a zdarzały się dni, gdy ojciec rzucał się na niego z krzykiem i wyzwiskami, a matka ze łzami głębokiej rozpaczyny błagała go o sto czy dwieście franków na pokrycie niespodziewanego wydatku, który powstał wbrew woli starego Paganiniego.

Aczkolwiek Paganini nie zamierzał występować w Genui, zmuszony był dać koncert. Miał zamiar pobyć miesiąc z rodziną, a potem jeździć z koncertami po północnej Italii. Pociągał go Mediolan, Turyn i Wenecja. Wyobrażał sobie, jak znów zjawi się w Livorno i Lukce. W Genui chciał być tylko synem swej matki, tylko bratem swych siostr, zwykłym Nicolem Paganinim.

Gdy jednak skrzypek oddał w końcu wszystkie posiadane pieniądze, popadł w dawną zależność od ojca. Stary zgodził się dawać mu na osobiste wydatki nie więcej niż po dwadzieścia franków dziennie i Paganini poczuł nagle, że skąpstwo ojca graniczy z obłędem.

Pierwsze próby porozumienia się z władzami w sprawie koncertu nie powiodły się. Czynniki kościelne Genui sprzeciwiły się temu, aby krnąbrny syn Kościoła, oskarżony przez własnego ojca, występował na publicznym koncercie. Nie był to wyraźny zakaz, lecz tego rodzaju dezaprobata, która wystarczała cywilnym władzom Genui.

Po długich staraniach Paganini otrzymał dziwne zawiadomienie: biskup zezwolił mu, w drodze wyjątku i w nagrodę za wzięcie udziału w koncercie kościelnym na cel dobroczynny, wystąpić w świątyni z koncertem świeckiej muzyki. Lecz gdy miał już wykorzystać to zezwolenie, wyszły na jaw nowe, nieoczekiwane przeszkody.

W Genui, w przeciwieństwie do całego szeregu innych miast włoskich, powołana została do życia Wyższa Rada Muzyczna, której prezesem mianowano signora Noviego, tego samego Noviego, z którym Paganini uczył się razem u Paera. Obecnie tytułowano go pierwszym skrzypkiem miasta Genui. Należało udać się do niego, na wszystkie bowiem urządzone w mieście koncerty, gwoli „czystości obyczajów i piękna sztuki”, trzeba było mieć sankcję Rady. Z początku wszystko szło jak najlepiej. Novi przyjął Paganiniego jak rodzzonego brata. Ujawszy serdecznym gestem za ramiona usadowił go w fotelu. Wypytał go szczegółowo o wszystkie smutne i radosne wydarzenia w życiu skrzypka Novi z uśmiechem zakomunikował mu o śmierci jednego z dawnych uczniów konserwatorium. Były ich kolega utonął w weneckiej lagunie, lecz Kościół święty nie uważa za możliwe wznosić za niego modłów, człowiek ten bowiem umarł nie okazawszy skruchy, za życia zaś utrzymywał stosunki z bezbożnym Korsykaninem.

Paganini z pewnym zniecierpliwieniem przerwał ten potok krasomówstwa i zaczął mówić o swym koncercie. Twarz Nowiego przybrała nagle oschły i oziębły wyraz.

– Czy wiesz, przyjacielu – odrzekł – że reguły nasze wymagają, abyś wprzód poddał się egzaminowi przed naszą Radą? Znam twój kunszt, lecz nie chciałbyś przecież jako obywatel miasta Genui pogwałcić jego staro-dawnych porządków, praw i reguł. Odzwyczałeś się od nas. Pomieszkaż z nami, nie urządzając na razie koncertów, stań się całkowicie naszym, a wtedy rozważymy twoją propozycję.

Paganini wstał:

– Egzaminować mnie jak chłopaka? Jak długo mam czekać?

Novi czule pogłaskał go po rękę.

– No i po cóż się tak zaraz denerwować. Czekać wypadnie całkiem niedługo. Co się tyczy egzaminu, to przecież jest to tylko czcza formalność... Ano, pomieszkaż z nami... rok lub dwa.

– Co?! – zawołał Paganini. – Kpisz sobie ze mnie!

– Uspokój się – odrzekł Novi. – Święty Kościół nie zabrania muzyki. Przeciwnie, nigdzie muzyka nie osiąga takiego szczytu doskonałości jak w religijnych utworach Palestriny, z których dumny jest Kościół katolicki. Niech ci będzie wiadomo, że wszyscy najlepsi muzycy po wsze czasy tworzyli kompozycje dla Kościoła. Skrzypek, który nie dla Kościoła nie komponuje, tym samym wyrzeka się jego błogosławionego wpływu. Będziesz, oczywiście, grał własne utwory, napisane w stylu kościelnej muzyki.

W tym momencie Novi przybrał surowy wyraz twarzy i podszedł do etażerki z mahoniem. Wziął stamtąd czerwony safianowy portfel i poszpera-wszy w nim wyjął gazetę austriacką, wydawaną w Lombardii. Gazetka komunikowała, że Paganini przegrał cały swój majątek w karty i sprzedał skrzypce, by spłacić dług karciany.

Po przeczytaniu tego Novi z goryczą i współczuciem kontynuował:

– Doskonale rozumiem, że po wszystkich tych wstrząsach długo nie możesz przyjść do siebie i dlatego mieszkasz w Genui. Babka twoja umarła z głodu, gdyż nie posyłałeś pieniędzy rodzinie. Stary ojciec głodował, stara matka lała po tobie łzy i modliła się do Boga, by przyjął cię z powrotem na łono świętego Kościoła. Chcesz uzyskać sławę znakomitego skrzypka i by dopiąć swego celu stosujesz nieuczciwe sposoby, ale pamiętaj – rzekł nagle groźnie podniesionym głosem Novi – widzę cię na wskroś. Prawda i tak zatriumfuje. Przypominam sobie twoje niepowodzenie, gdy po nocnych

hulankach nie mogłeś utrzymać skrzypiec w rękach i pękały ci struny. Pamiętasz – wtedy Paer powiedział, żeś nie zdał egzaminu. Powiedzmy, że był to przypadek. Lubię cię i nikomu o tym nie powiem,

Paganini czuł, jak mimo woli zaciskają mu się pięści... Ten łotr proponował mu swoje poparcie, żeby nakłonić go widocznie do jakiejś ugody. Novi proponował mu swoją brudną przyjaźń, ośmielał się wtrącać do jego spraw rodzinnych i sądzić go – nie było jednak innego wyjścia. Należało wychylić kielich do dna.

– Wiedz – rzekł Novi – że nie pochwalam surowego stosunku moich kolegów do ciebie. Radzili oni twojemu ojcu, by zwrócił się do trybunału najświętszej inkwizycji. Wszystko uczynię, by przemoc niechęć moich kolegów, którzy nie życzą sobie, byś występował na estradach. Lecz to oni – nie chcę cię obrażać – to oni wysuwają przeciw tobie oskarżenia i powinieś obronić się, zanim poruszę tę sprawę.

Paganini czuł, że Novi przygotowuje się do mocnego uderzenia i tylko igra z nim, odsuwając decydującą chwilę. Lecz mylił się. Novi istotnie był zmieszany i rzeczywiście bał się wypowiedzieć słowa, które wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Powinieneś się oczyścić z zarzutów, instrument, na którym grasz, musisz pokazać Radzie Muzycznej. – Po tych słowach Novi poczuł ulgę i rechotliwie się roześmiał.

Wtedy Paganini zdał sobie sprawę, jak trudno mu zapanować nad sobą. Po każdym słowie Nowiego wściekłość skrzypka wzrastała. A tamten sądził, że Paganini nie jest niebezpieczny, jeśli po pierwszych słowach nie przeszedł do czynów.

– Mówią o tobie okropne rzeczy – dodał Novi i znów zamilkł. – Lecz oczywiście nie wierzę tym pogłoskom, jesteś moim starym przyjacielem.

Paganini czuł się zmiażdżony i spokojnie skierował się ku wyjściu. Novi stwierdził, że Paganini uznał się za pokonanego i pragnie umknąć ostatnim obelgom.

– Mówią o tobie – rzekł pośpiesznie – żeś zrobił smyczek Tourte`a półtora raza dłuższy i że na piękny staroświecki instrument signora Guarneriego naciągnąłeś wiolonczelowe struny. Sądzę, oczywiście, że wyrzucisz je i będziesz posługiwał się smyczkiem normalnej długości. Lecz ponieważ mówią o tobie, że twoje skrzypce są zapisane formułami magicznymi i zaklęciami, zanim więc wystąpisz na estradzie, musimy je obejrzeć.

– Czemu?! – zawołał z oburzeniem Paganini. – Wolno naciągać takie

struny, jakie zechcę. Francuzi przekształcili klawesyn w fortepian, ze starego instrumentu zrobili nowy, tysiąc razy dźwięczniejszy i piękniejszy!

– Francuzi? – zbladłszy nagle, zapytał Novi. – Powiadasz, Francuzi?! Mówisz o ludziach, którzy ścięli głowę swemu królowi? W tym pokoju masz czelność wymawiać to słowo? Czy wiesz, co robią Francuzi?... Czy wiesz, że dzieci umierają na ospę, że niegodziwcy ci zaszczepili łuskę ospy cielęciu i potem ospą cielęcą zarażają dziesiątki tysięcy dzieci?! Czy wiesz, że zaszczepiając cielęcą ospę dzieciom, zaszczepiają jednocześnie tworowi bożemu, człowiekowi, cielęce myśli?

– Udajesz! – zawołał Paganini. – Wypowiadasz dziwie, świadcząc o nieuctwie słowa. Przecież wiesz chyba, że w ten sposób ratują oni dzieci od czarnej ospy. Dzieci, którym zaszczepiono ospę cielęcą, nie umierają i na zawsze stają się odporne na tę chorobę.

– To jest niezgodne z regułami Kościoła! – Novi z oburzeniem zatupał nogami. Oczy jego były już pełne nieukrywanej nienawiści. – Wiedz, że my i Kościół zabroniliśmy wszystkim ludziom we Włoszech szczepić ospę.

Paganini odwrócił się i bez słowa wyszedł.

Gazeta genueńska zakomunikowała o zniknięciu skrzypka Paganiniego.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy signor Antonio czynił wszystko, aby odnaleźć syna, lecz poszukiwania okazały się daremne. Nigdzie nie znaleziono jego śladów. Żandarzni austriaccy i szpiedrzy policji papieskiej zaczęli przetrząsać domy gry w Livorno.

Rozdział siedemnasty

Droga ku szczytom

Siostra Bonapartego, księżna Eliza Bacciochi, powierzyła Paganiniemu stanowisko dyrygenta w swej orkiestrze w Lukce. Ustupując nowym wymogom życia, Paganini po raz pierwszy zgodził się ograniczyć nieco swoją niezależność. Dawało mu to jakąś pozycję w świecie, zwalniało od zbytecznych pytań i na pewien czas porządkowało jego życie, zbyt nasycone niepokojem.

W Genui Paganini rozpoczął wielką pracę i skończył ją w Lukce. Choć jest to dziwne, ale wszystkie jego nowe utwory zostały napisane na skrzypce z akompaniamentem gitary. Z zapałem i w napięciu skomponował jeden po drugim sześć kwartetów na skrzypce, altówkę, gitarę i wiolonczelę.

Mali lukkańscy muzykanci, ulicznicy, którzy urządzali festyny i wykonywali na gitarach zamawiane utwory, przychodzili do niego z prośbą, by dał im jakieś nuty. Paganini przychylił się do ich prośb i szybko pisał niewielkie kompozycje na gitarę, nie odmawiając nikomu.

W ten sposób z Lukki do różnych włoskich miast trafiały niezliczone drobne utwory skomponowane na gitarę. Sprzedawano je, drukowano, kolportowano, wulgaryzowano i zmieniano na swój sposób. Wreszcie z kompozytorskich tych igraszek powstała wielka i skomplikowana literatura muzyczna, nie mająca przeważnie nic wspólnego z twórczością Paganiniego. Większość tych utworów psuła opinię Paganiniemu, lecz skrzypek tak małą uwagę zwracał na złośliwą krytykę swoich kompozycji, że nigdy nie prostował pogłosek związanych z tym lub innym jego utworem. Najbiedniejsi muzycy Lukki twierdzili, że w krytycznych dniach otrzymywali od Paganiniego w formie zapomogi kartki papieru nutowego, upstrzone szkicami kompozycji na gitarę, a kartki te nieraz ratowały im całą rodzinę. Pracując w Lukce i nadal gorliwie studiując wykonywane przez siebie z wirtuozerią *modulazione* Locatello, Paganini nie zaniedbywał gitary. Nawet osiągnąwszy doskonałość w grze na skrzypcach, gdy nie przygotowywał się już do koncertów i zaniechał gry w domu, biorąc smyczek do ręki dopiero przed wyjściem na estradę, nawet i wówczas grał na gitarze dla rozrywki.

A więc złamał daną sobie samemu w młodości przysięgę. Stał się nadwornym skrzypkiem, jeśli można nazwać dworem niewielką świętą siostry francuskiego cesarza, poprzestającej na razie na skromnym tytule włoskiej księżny. Sam książę Bacciochi pobierał u niego lekcje gry na skrzypcach. W ten sposób stał się Paganini częstym gościem książęcego pałacu i wraz z drugim nauczycielem, profesorem Gallim, cieszył się stałymi względami rodziny, która zajmowała w Lukce przodujące stanowisko.

Rozmówiona w muzyce młodzież Lukki bardzo chętnie podjęła się zorganizowania wielkiej orkiestry w tym mieście. Przyłączyli się do niej Francuzi, którzy pozostali po odejściu z miasta kawalerskiej orkiestry generała Masseny. Wiadomość, że Paganini będzie dyrygował orkiestrą, przyjęto z zachwytem.

Gdy Paganini wszedł do wysoko sklepionej sali, przylegającej do sceny lukkańskiego teatru, wielki tłum młodzieży w podartych mundurach, szarych i czarnych surdutach głośno i wesoło rozmawiał i artysta z rozkoszą wsłuchiwał się w gwar zmieszanych ludzkich głosów i w zgiełk niezgodnie strojonych instrumentów. Zauważono go nie od razu. Czekano nań i znano z widzenia, a jednak musiał dojść do pulpitu, aby głosy nagle ucichły, a wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu.

Paganini usiadł na wielkim bębnie i ten pierwszy jego ruch, świadczący o tym, że pragnie przede wszystkim porozmawiać z orkiestrą po przyjacielsku, ot tak, po prostu, od razu przychylnie usposobił do niego całą salę. Udekorowane ściany, przejścia pomiędzy krzesłami zatarasowane ekranami, belkami, rekwizytami teatralnymi, ludzi stojących przy instrumentach lub też w swobodnych pozach w rozmowie z sąsiadami – wszystko to ogarnął nowy dyrygent jednym bystrym spojrzeniem.

Paganini nie odznaczał się krasomówstwem, mówił cicho, niewyraźnie cedząc słowa. Członkowie orkiestry podeszli do nieco bliżej całą gromadą. Po krótkich powitalnych słowach Paganiniego rozległy się oklaski jego orkiestry.

Paganini podniósł rękę.

– Musicie przyrzec mi, że będziecie ze mną zupełnie szczerzy i że będziecie się całkowicie zgadzać ze mną w rozwiązywaniu problemów muzycznych. Musicie pamiętać, że muzyka nie znosi pobłażania i że mierność w muzyce jest niedopuszczalna.

Ktoś zawołał:

– Przecież nie wszyscy mogą być równi Paganiniemu!

Paganini z żywością odwrócił się do mówiącego i po chwili namysłu rzekł:

– To pomyłka, nie ma w muzyce imion ani rzeczy drugorzędnych. Wszyscy jesteście artystami. Niechże orkiestra nasza odznaczy się mistrzostwem doprowadzonym do szczytu.

Kronikarze ówczesnego włoskiego życia muzycznego mówią, że nie było na świecie orkiestry bardziej zgodnej i bardziej zgranej niż orkiestra lukkańska owego czasu. Życie muzyczne Lukki stało się niezwykle intensywne. Paganini występował jako dyrygent lukkańskiego teatru na wszystkich przedstawieniach operowych, grał w pałacu, a co piętnaście dni dawał wielkie koncerty.

Pierwsze półrocze pobytu Paganiniego w Lukce upamiętnione zostało dwoma wydarzeniami.

Paganini dobrze wiedział, że zainteresowanie, którym obdarza go księżna, zawdzięcza jakiemuś nieznanemu przyjacielowi. Pewnego razu ujrzał tego przyjaciela. Była to dawna Armida. Od razu ją poznał, aczkolwiek piękność jej niezwykle rozkwitła. Usiadła w pierwszym rzędzie. Widząc, jak rozmawia szeptem z księżną, Paganini zrozumiał, że są to serdeczne przyjaciółki, nie skrępowane dworską etykietą. Podczas ántraktu chciał koniecznie zobaczyć się z kobietą, która przyczyniła się do jego uratowania. Paganini nie odczuwał żadnego podniecenia. Ze zdziwieniem przejrzał się w lustrze, gdy podczas antraktu wszedł do garderoby i zdjawszy rękawiczki, stanął przy małym stoliku. Poprawił załot i odrzuciwszy do tyłu spadające mu na czoło włosy, wziął parę nowych rękawiczek i wyszedł. Udał się na widownię, przeszedł między rzędami, lecz w pierwszym rzędzie nie było ani księżnej, ani jej przyjaciółki. Księżna pod pretekstem bólu głowy odjechała, nie doczekawszy końca opery.

Czarodziejka, której tak długo nie widział, znów się zjawiała. Paganini pomyślał, że zbyt rzadko wspominał owe szczęśliwe chwile, które z nią spędził. Lukka była obecnie dla niego innym miastem.

Drugim ważnym wydarzeniem w życiu Paganiniego w tym czasie było ukazanie się gazety austriackiej, która spowodowała moc plotek i pogłosek. Z początku gazeta trafiła w Lukce do rąk duchowieństwa, a następnie również i do muzyków. Paganini zaczął dostrzegać, że ludzie mierzą go ciekawymi i uważnymi spojrzeniami. Nieraz spoglądając na tego lub owego spośród swych przyjaciół, spostrzegł nagle, że człowiek uważnie patrzący na niego stara się przytłumić niespokojny płomyk ciekawości w oczach. Niemało minęło czasu, zanim Paganini zrozumiał, o co chodzi.

Wszystkie gazety w północnych Włoszech pełne były wiadomości nadesłanych przez korespondenta wiedeńskiego, że w Italii zjawił się znakomity skrzypek, który jest w stanie zadziwić cały świat, skrzypek, jakiego ludzkość jeszcze nie widziała. Skrzypek ten – to Paganini, niebezpieczny przestępca, który uciekł z galer i dotąd nie został ujęty przez władze, mimo że ciąży na nim zbrodnia przeciw sumieniu, religii, a nawet przeciw ludzkim prawom, gdyż zamordował swoją żonę.

Nikt nie zwracał się po wyjaśnienia do samego skrzypka. Nie niepokojono Paganiniego dokuczliwymi pytaniami. Tylko księżna stała się nieco bardziej oschła i surowa w stosunku do niego. Książę, jak zawsze źle grający na skrzypcach, nadal pilnie się uczył.

Znajomą drogą górską powóz lukkańskiego *vetturino*wiózł Paganiniego w te strony, gdzie upływały godziny szczęśliwej niewoli u Armidy. Gdy zastukał do wrót, odpowiedział mu ostry głos. Paganini ujrzał nowego ogrodnika, zgarbionego, brodatego starca o gniewnym, przesywającym spojrzeniu. Stary oświadczył, że signora dawno tu już nie mieszka. Wskazał ręką na zabite gwoździami drzwi, na zielone okiennice i żaluzje. Dom, w którym upływały tak szczęśliwe dni, teraz istotnie był nie zamieszkiwany.

Znaczyło to, że Armida przeniosła się do miasta. Lecz czemuż nie spotkał jej ani razu po owym dniu, gdy ujrzał ją w lukkańskim teatrze?

Wróciwszy do Lukki Paganini znalazł w swym pokoju list napisany znajomym charakterem pisma: „Niech Pan nie usiłuje zobaczyć się ze mną. Kocham pana jak dawniej, lecz nie powinniśmy się wcale widywać”. Była to odpowiedź na jego próbę odwiedzenia jej w zamku?

Wieczorem po koncercie znów ujrzał swoją przyjaciółkę w pierwszym rzędzie krzeseł. Została po pierwszym koncercie skrzypcowym, pomimo że księżna wstała i wyszła. Księżna Bacciochi niezwykle nerwowo reagowała na muzykę. Bardzo chętnie słuchała muzyki Cimarosy i Mozarta w wykonaniu orkiestry pod dyrekcją Paganiniego, lecz nie mając najmniejszej chęci obrazić znakomitego skrzypka twierdziła, że tylko niektórych utworów może słuchać w jego wykonaniu. Mówiła szczerze i Paganini do tego stopnia wierzył w jej szczerść, że między nimi zadzierzgnął się ciepły, przyjacielski stosunek, aczkolwiek publiczność dworska gotowa była szeptać pomiędzy sobą, że księżna już mniej gorąco odnosi się do talentu pierwszego skrzypka orkiestry lukkańskiej.

Paganini spełnił życzenie swej przyjaciółki. Nie usiłował spotkać się z nią.

Minęły dwa tygodnie. Myśl o tej kobiecie nie opuszczała go i wracała coraz częściej, z coraz większą mocą. By uwolnić się od męczącego uczucia, Paganini zrobił to, co zwykle czynił w krytycznych chwilach swego życia. Zaczął uczucia swe wcielać w muzykę. Szybko naszkicował dialog muzyczny i zagrał go na dwóch strunach na następnym koncercie. Utworowi temu dał tytuł *Wenus i Adonis*. Z wielkim kompozycyjnym umiarem znalazł wyraz muzyczny dla odtworzenia szczęścia i smutku miłości w formie rozmowy dwóch strun.

Olśnieni słuchacze żądali powtórzenia. Paganini odmówił. Podszedł blisko do proscenium, kłaniał się opuszczając skrzypce prawie do kobierca i wpatrywał się w twarz kobiety siedzącej przed nim w odległości dziesięciu kroków. Jeszcze podczas gry dostrzegał z zachwytem, jak uśmiech stopnio-

wo zniknął z jej warg i jak się rozszerzyły jej oczy. Widział każde drgnienie jej twarzy.

Księżna nie doznawała bynajmniej uczucia zazdrości. Odczuwała lekki dreszcz oburzenia na widok tak fantastycznej, wyrafinowanej brzydoty, jaką natura obdarzyła wielkiego skrzypka. Lecz obraził ją nietaktowny gest Paganiniego, który ośmielił się w jej obecności okazać tyle zainteresowania dla jakiejś damy na widowni, choćby dama ta była jej serdeczną przyjaciółką. Gdy nazajutrz Paganini przybył na lekcję, której miał udzielić księciu, księżna nie mogła się pohamować. Odpowiedziawszy niedbałym skinieniem głowy na dworski ukłon skrzypka, powiedziała mu:

– Pan prześcignął siebie samego, grając na dwóch strunach. Mówią, że nauczył się pan tej sztuki w więzieniu.

– Wasza wysokość, nigdy nie byłem w więzieniu – odparł Paganini.

– Lecz sądzę, że takiemu genialnemu muzykowi jak Paganini w zupełności wystarczyłaby jedna struna.

Krew uderzyła mu do głowy. Legenda o jednej strunie doszła widocznie do pałacu Bacciochich. Skrzypek podjął wyzwanie.

– Życzenie waszej wysokości będzie spełnione na następnym wieczorze.

– Może pan się nie śpieszyć – rzekła księżna. – Wyjeżdżam. Lecz po powrocie pragnę usłyszeć grę Paganiniego na jednej strunie.

15 sierpnia obchodzono uroczyste dzień urodzin cesarza Francji.

Z rana księżna otrzymała pakiet z poczty cesarskiej. Było to oficjalne nadanie jej tytułu księżnej tokańskiej i rozkaz rodzonego brata, Napoleona I, by opuściła Lukkę i przeniosła się do Florencji. Tego samego ranka Paganini otrzymał pakiet z koroną książęcą na kopercie.

Była to nominacja na kapitana gwardii księżnej tokańskiej.

Do wieczora lukkański krawiec wojskowy zdążył go odziać w mundur wyszywany złotem i oto o jedenastej godzinie w nocy, po oficjalnej uroczystości na cześć urodzin cesarza Francuzów, który przekroczył trzydziestą czwartą jesień swego życia, wyszedł na estradę chudy człowiek w mundurze ze złotymi pszczołami na wyłogach i kołnierzu, z ogromną czapą czarnych włosów i kościstymi długimi rękami, kanciastymi w przegubach jak gałęzie drzew. Trzymał w rękach skrzypce, na które była naciągnięta tylko jedna struna.

Heroicznej sonaty *Napoleon*, wzniosłej i zwycięskiej, wysłuchała publiczność z zapartym tchem. Słuchaczom zdawało się, że słyszą głosy wielu skrzypiec, gdy Paganini przeciągał smyczkiem tylko po jednej, basowej, wiolonczelowej strunie.

Tego wieczora nie było ani jednego zwolennika starej władzy, ani jednej pobożnej katoliczki w Lukce, którzy nie mówiliby jednogłośnie, z przerażeniem i oburzeniem o diabelskim kuszeniu mieszkańców Lukki i o tym, że ten czarny kapitan gwardii, grający na jednej strunie, to sam diabeł, wcielony w adiutanta księżnej po to, by wabić ludzkość niesłychaną pokusą, tak samo, jak czyni to ten, który wie dzie zwyczajnie wojska, szumi sztandarami i przemarszem milionowych armii udeptuje pola Europy.

Księżna oklaskiwała go. Podarła rękawiczkę i rzuciła ją na podłogę, nadal klaszcząc obnażoną dłonią. Małżonek jej pochylił się, by podnieść rękawiczkę, i usłyszał szept pełen oburzenia:

– Wyrzucić mi natychmiast za drzwi tego lokaja. Posłałam mu nominację na kapitana gwardii tylko dlatego, by okazać mu swoją łaskawość, a on zdążył już wdziać mundur. Ten parweniusz nie zna etykiety.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl, po powtórnym ukazaniu się Paganiniego na scenie, rozległ się okrzyk:

– Maestro, zdejmn pan lokajską liberię!

Paganini z lekka się zachwiał. Zahaczywszy smyczkiem o pulpit, upuścił nuty, które upadły na salę przed krzesłami pierwszego rzędu. Następną kompozycję Paganini grał bez nut, lecz znów nieostrożny ruch podczas gry, pada pulpit i sycząc gasną świece. Alé cóż to za cud? – skrzypce natychmiast odtwarzają te dźwięki z takim czarodziejstwem, że wszystkie ruchy Paganiniego wydają się z góry przemyślane i wykonane zgodnie z powziętym zamiarem. Przerażona i oczarowana publiczność stłumiła swe oburzenie. Sala zwyciężona była sztuką skrzypka i pogodziła się z jego wybrykiem.

Po zakończeniu programu księżna w dalszym ciągu klaskała w dłonie. Adiutant jej wbiegł na estradę, podszedł do Paganiniego i powiedział:

– Jej wysokość każe panu natychmiast opuścić salę, przebrać się w czarny cywilny frak i wrócić.

Paganini, odrzuciwszy głowę do tyłu, dumnie odpowiedział:

– Mam nominację, mam prawo noszenia tego munduru.

Pułkownik gwardii, zwracając się do niego, nie tytułował go kapitanem. To również rozwścieczało Paganiniego. Śmiał się z siebie, lecz rzucając wyzwanie losowi i zuchwale patrząc w oczy pułkownikowi rzekł:

– Jak pan śmie nie tytułować mnie kapitanem?

Paganini polecił młodemu muzykowi z orkiestry, by pilnował jego skrzypiec; zszedłszy z estrady, wielkimi krokami przemierzał salę i, ujmując to jednego, to drugiego ze swych przyjaciół pod rękę, skinieniem głowy

odpowiadał na ukłony i oklaski. Szczupły, z wystającymi łopatkami i ostrymi ramionami, szedł rytmicznym, kołyszącym się krokiem, rzucając jak gdyby wyzwanie księżnej, która starała się ukryć zdenerwowanie pod pozorem rozmowy z otaczającymi ją damami.

Jedna z dam dworu podniosła rękę do góry. Francuski oficer, stojący obok księżnej, uroczyście powiedział:

– Jego cesarska mość Napoleon w dniu swych urodzin mianuje księżnę Bacciochi wielką księżną wielkiego księstwa tokańskiego. Jej wysokość będzie miała siedzibę swą w mieście Florencji.

Orkiestra zagłuszyła ostatnie słowa. Głośne wiwaty rozległy się na sali. Paganini poczuł w okolicy ucha lekkie muśnięcie i obejrzał się. Dama dworu drwiąco i figlarnie szepnęła mu:

– Signor Paganini, jej wysokość kazała panu niezwłocznie opuścić salę.

Paganini nisko się uklonił i wyciągnął do damy dworu rękę. Ujawszy jej lewą dłoń, ujął jednocześnie prawą i przywarłszy do nich ustami, długo je tak trzymał.

Zaczął się bal. Księżna tokańska z oburzeniem patrzyła na Paganiniego tańczącego w trzeciej parze z damą dworu, lecz nie zdradziła się żadnym szorstkim gestem, bojąc się poniżyć swą godność.

Podczas całego wieczoru Paganini był ogromnie wesół. Do księżnej nie podszedł ani razu. Gdy według dworskiego ceremoniału księżna miała złożyć gościom pożegnalny ukłon i oddalić się, Paganini na kilka minut przedtem znikł z sali.

Po upływie trzech godzin drogą wiodącą na północ toczyła się karetą.

„Szkoda, że nie ma Harrisa – myślał Paganini – nie ma się z kim w drodze pośmiać”

Aby nie być poznanym, Paganini otulał się w swój podróżny płaszcz i wciskał jak najgłębiej w kąt karety, lecz wysiłki te okazały się daremne: na stacji Brescia do podróżnych przyłączył się Luigi Tarisio, który od razu poznał Paganiniego i zdradził jego incognito wszystkim ośmiu pasażerom pocztowej karety.

Signor Tarisio robił wrażenie doświadczonego podróżnika, który urodził się i spędza życie w karecie pocztowej. Płaskie, lakierowane skrzynie, obdrapane i zniszczone, z ciężkimi kłódkami, wypełniały cały dach karety. Strój podróżny signora Tarisia uzupełniał pistolet za pasem, flacha z winem zawieszona na rzemieniu, wielki szal w kratę i szeroki kapelusz. Trudno było się zorientować, czy to Jean Bart, czy też korsarz z epoki Króla Słońce

albo też włoski handlarz skrzypiec, jakim w istocie był signor Luigi Tarisio. Tarisio odbywał sześćdziesiątą piątą podróż z Włoch do Francji. Celem jego podróży był Paryż. Ten uprzejmy człowiek, mówiący cichym głosem, okazał się bardzo miłym towarzyszem podróży. Znał on imiona wszystkich *vetturino*, wiedział, jak się nazywa każdy koń, kiedy i w jakiej kuźni naprawiano karety – nie mówiąc już o tym, że z pamięci mógł wyliczyć miasta, stacje, wsie i imiona świętych – patronów tej lub owej miejscowości. Wystarczyło, by usłyszał dzwon jakiegoś kościoła, a zaraz mówił, jak ten kościół się nazywa.

Tarisio objeżdżał włoskie klasztory, zawierał znajomości z dyrygentami orkiestr w miastach, kapelmistrzami, kierownikami kościelnych chórów po wsiach, siolach i miasteczkach, oglądał i skupywał pozostałe po zlikwidowanych klasztorach ruchomości, a ponieważ wszędzie miał agentów i przyjaciół, więc w terminie oznaczonym wynoszono mu na stacje pocztowe rzeczy, którymi się interesował. Tu na miejscu, w oczekiwaniu na zmianę koni, targował się ze sprzedawcą. Od razu można było zauważyć, że ma bystre oko, zręczne ręce i zdrowie człowieka stale przebywającego na powietrzu. Miał jasnoniebieskie oczy, używał zgrabnych, wyuczonych zwrotów człowieka, któremu zależy na tym, aby ze wszystkimi żyć w przyjaźni, i dzięki temu potrafił kupować skrzypce za bezcen.

Czy to w dzień, czy w nocy signor Tarisio podczas przesiadek czy zmiany koni zawsze sam przynosił wszystkie swoje manatki, sam przykrywał przetłuszczonym płótnem dach karety i zawiązywał na węzeł końce jutowych powrozów. W miejscowościach, gdzie czepiający się byle czego celnicy oglądali bagaże podróżnych, wychodził z pocztowej karety.

„W Italii granice celne są prawie na każdym kroku” – mawiali wtedy francuscy oficerowie. W każdym razie nawet najmniejsze państewko w tym kraju, stanowiące obecnie własność bezrobotnych książąt Europy, koniecznie musiało mieć swój urząd celny. I signor Tarisio doskonale znał imię, nazwisko i koligacje każdego celnika.

Jeśli duże *fiaski* czerwonego i białego *cinzano* miały trafić do granicznego urzędu celnego transpańskiejszej żandarmerii, to właściciel wołał po prostu stłuc butlę lub wypić ją wespół z przypadkowymi towarzyszami podróży w dylizansie. Nie bez powodu winiarze toskańscy wylali tysiące beczek najlepszego *chianti*: handel z sąsiadami był niemożliwy, wypić zaś tak ogromnej ilości wina ludność toskańska nie była w stanie. Waśniące się między sobą małe państewka, księstwa i hrabstwa odgradzone były od siebie szczecina bagnetów żandarmerii, na wszystkim ciążył austriacki

system paszportowy, jednak wszystko to okazywało się zbyt słabe, gdy przez granicę przejeżdżał dylizans signora Tarisio.

Uczciwy handlowiec nie tylko umiał sam sprytnie przejeżdżać ze swoimi skrzypcami, ale przewoził też dobrych przyjaciół, którzy czasami przemycali poza granicę księstwa tokańskiego rzeczy podejrzane. Najniebezpieczniejszym ładunkiem były woreczki z prywatną korespondencją, trafiające do rąk konspiratorów urzędów pocztowych. Tysiąc lub dwa zapieczętowanych listów mogły spowodować skazanie takiego podróżnego na śmierć w głębokiej studni mantuńskiej lub też w tajnej celi dalekiego morawskiego zamku Spielberg.

Doświadczeni podróżni wiedzieli, że w dylizansie wynajętym przez signora Tarisio można spokojnie jechać. Było rzeczą zastanawiającą, że władze austriackie nie wpisały handlarza skrzypiec na listy urzędów celnych; być może dlatego, że jedyny na całą Italię impresario europejskich orkiestr, oper i nadwornych kapeli, signor Tarisio, nie wpadł jeszcze w oko austriackiej żandarmerii. A może przyświecała mu jakaś szczęśliwa gwiazda. Tak czy inaczej, signor Tarisio bez przeszkód przejeżdżał przez wszystkie urzędy celne. Celnicy byli zadowoleni już chociażby z tego, że za skrzypce, nie będące towarem zabronionym, signor Tarisio płacił przy przejeździe granicy o wiele więcej, aniżeli płacili za marne kwaśne wino kupcy włoscy, przejeżdżający przez mostek na ucztę weselną do sąsiada za rzeką.

Signor Tarisio kupował w Tyrolu skrzypce dawnych niemieckich mistrzów i obecnie Tyrol był głównym jego etapem w drodze do Paryża. Bardzo gadatliwy signor Tarisio opowiadał towarzyszom podróży o życiu Paryża. Opowiadał o Kreutzerze, o niezwykłym człowieku – panu Baillot:

– Jest to władca współczesnej sztuki gry na skrzypcach. To człowiek, który posiadał wszystkie tajemnice tego instrumentu.

– Baillot? – zapytał Paganini. – Mówiono mi, że w Paryżu znajduje się najlepsza w świecie kolekcja skrzypiec i że Baillot rozpoczął muzyczną karierę jako nadworny skrzypek Ludwika XVI, króla francuskiego, którego potem stracono. Obecnie jest on pierwszym nadwornym skrzypkiem cesarza Napoleona.

Tarisio kiwał głową.

– Kolekcja skrzypiec znikła – rzekł. – I gdyby nie dobra wola obecnego cesarza Francji, który udał rewolucjonistę, będąc w istocie posłusznym narzędziem boskiej Opatrzności, to oczywiście wielka sztuka Francji zginęłaby.

Tarisio mówił płynnie, używając zaokrąglonych, ładnych zwrotów. Paganini z ciekawością i zainteresowaniem słuchał jego mowy i obserwował ruchy tego człowieka.

Na odcinku między Pizą a Florencją, gdy zmęczenie od wstrząsów na górskich drogach dało się we znaki, podróżnym zachciało się spać. Signor Tarisio przymknął oczy, lecz po chwili, przyzwyczajony widocznie do powstrzymywania się od snu we dnie, ocknął się. Paganini spostrzegł, jak uważnie wyjrzał przez górne okienko dylizansu, jak spojrzął w twarz siedzącemu w tyle forysiovi, a potem, jakby uspokoiwszy się, wyjął książkę w skórzanej oprawie, ze złotymi brzegami i miedzianymi klamerkami. Paganini przeczytał tytuł ozdobiony cynobrem i złotem. Była to *Księga Sybilli o przemianach ziemi, uzupełniona Cygenowymi wiadomościami o mających nastąpić wielkich zmianach na ziemskim globie*.

„Ten signor – pomyślał Paganini – nie jest takim sobie zwykłym człowiekiem, za jakiego chciałby uchodzić!”

I rzeczywiście, podtrzymując rozmowę z signorem Tarisio, Paganini przekonał się, że to nie jest zwykły impresario. Signor Tarisio wiązał wszystkie wydarzenia historii europejskiej ze zmianami zachodzącymi pod powierzchnią kuli ziemskiej oraz z ruchem planet i gwiazdnych konstelacji. Zauważywszy, że Paganini interesuje się jego lekturą, oznaczył paznokciem stronę i wręczył mu książkę.

– Proszę zwrócić, signor, uwagę na to – mówił – że w ciągu ostatnich trzech stuleci wielkie powodzie nawiedziły Rzym, Tyber wylał i zniszczył na swej drodze wszystkie domostwa. Dalej proszę wziąć pod uwagę, że w roku 1772 deszcz lał w ciągu całych pięciu miesięcy bez jednodominutowej choćby przerwy. A zwłaszcza proszę zwrócić uwagę na to, że w naszych apenińskich krajach wszelkie wstrząsy polityczne poprzedzane są wielkimi trzęsieniami ziemi. Jeśli wczoraj był pan na szczycie, to jutro może się pan znaleźć w przepaści. Przecież nawet powierzchnie gór i mórz ulegają zmianom. Jedne stają się wyższe, drugie niższe. Dno morza nagle podnosi się do wysokości wielkich gór, a morskie potwory wyłaniają się z woli Boga i stają się widzialne. Wprawdzie potwory te umierają, lecz dusze ich wcielają się we władców. Oto dlatego w miejscowościach osuszonych, a pochodzących z dna morskiego rządzą najbardziej tyrańscy i zbrodniczy władcy. Są oni jakby następcami wysokogórskiej ludności, która w duszy swej wyhodowała diabelską pychę i zapomniała o pokorze należnej miłosierdziu boskiemu. Proszę sobie przypomnieć, że dwadzieścia lat temu w całej Italii, od Sycylii do Istrii, a nawet do Triestu, ginęły całe miasta, a podczas trzęsienia ziemi

walące się domy zabiły setki mieszkańców. Zginęła Mesyna; z tego wielkiego i pięknego miasta nic nie pozostało – wszystko zginęło w ciągu sześciu minut. Z trzechset siedemdziesięciu pięciu miast i wsi Kalabrii zginęło trzysta dwadzieścia, przy czym sto trzydzieści osiedli zapadło się zwyczajnie pod ziemię. Cóż mamy do powiedzenia my, ludzie prości, których porywają wichury historii i którzy znikają bezpowrotnie, gdy obalane są całe państwa i miasta, gdy giną królowie, a miernoty wypływają na powierzchnię! Nienadaremnie mówi Pismo święte: „Silni runą z tronów, a pokorni będą wywyższeni”

„Nie wygląda na to, by signor Bonaparte był pokorny” – pomyślał Paganini.

Podjeżdżano do bram Florencji. Zapadał wieczór, łagodne tony dzwońców rozlewały się po dolinie. Wózki na ogromnych kołach, skrzypiąc i kołysząc się, sunęły po zakurzonej drodze.

Naraz uwagę Paganiniego przykuł głośny dźwięk trąbki jadącej za nimi karety.

Mały, wytworny powóz angielskiego typu, zaprzężony w czwórkę koni, przegonił niezgrabną karetkę pocztową i jakby umyślnie tuż przed rogatką, znajdującą się w dole na zboczu górskim, zatrzymał się w poprzek drogi, tarasując przejazd. Manewr ten od razu wzbudził w Paganinim podejrzenie, że jest to pościg. Istotnie, kareta pocztowa musiała się zatrzymać. Paganini otulił się płaszczem, nasunął kapelusz do samych brwi i poprosił signora Tarisia, by, jeśli się będą pytali o signora Paganiniego, powiedział, że takiego nie ma. Lecz cała ta przezorność okazała się daremna.

Signora Belgiojoso potrafiła tak poprowadzić atak, że opór był niemożliwy. Aby się nie ośmieszyć, trzeba było zrzucić płaszcz i zdjąć kapelusz.

Signora oświadczyła, że jej wysokość księżna toskańska gotowa jest przebaczyć signorowi Paganiniemu i nigdy nie wspominać o jego zuchwałym postępowaniu, lecz...

Na widok damy, która łamiąc etykietę wyszła z karety i podeszła do dylizansu, Paganini musiał wysiąść, by się przed nią wytłumaczyć. Czuł się ogromnie zażenowany. Signora była kobietą mądrą, rozumiała trudną sytuację, w jakiej znalazł się Paganini, i śmiała się z niego dźwięcznym i bezlitosnym śmiechem. Paganini wpadł w jej ton, kpiąc z samego siebie. Jednakże przekonał się, że z kobietą tą nie można być szczerym, dlatego też oświadczył, że niewątpliwie wróci, lecz musi przyjść do siebie po przestraszeniu spowodowanym wybuchem tak nieoczekiwanego gniewu księżnej. Paganini na chwilę zamilkł, by przekonać się, jaki efekt wywarły jego słowa.

Widząc nieufne spojrzenie signory, przemówił miękko i przypochlebnie:

– Służyć jej wysokości jest dla mnie, oczywiście, największym szczęściem, jakiego można dostąpić na ziemi. Lecz wpierv wystąpię we Florencji na dziesięciu koncertach, a potem wrócę. Musi się pani z tym zgodzić, że potrzeba na to jakiegoś czasu, abym mógł okupić moje przewinienie wobec jej wysokości.

Słowa signora Tarisia o przemianach na kuli ziemskiej, o podnoszeniu się i opuszczaniu morskiego dna i górskich szczytów nie wychodziły Paganiniemu z głowy. Powrót do Lukki bynajmniej go nie nęcił. Lecz z drugiej strony wielka księżna bez wątpienia w najbliższym czasie przybędzie do Florencji. I nagle olśniła Paganiniego świetna myśl. Rzekł do wysłanniczki księżnej:

– Proszę zakomunikować jej wysokości, że jako pokorny sługa oczekuję przybycia księżnej do Florencji.

Paganini wyjął notes i kopertę.

Wyrwał kartkę, skreślił kilka słów i nie zapieczętowawszy koperty wręczył list signorze. Pokój był zawarty.

Kareta pocztowa znów ruszyła w dalszą drogę. Signor Tarisio słodko ziewnął w przewidywaniu cichego i spokojnego odpoczynku w hotelu.

List, który signora Belgiojoso przeczytała z ostrożności, wprawił ją we wściekłość. Paganini pisał: „Uszczęśliwia mnie możność słuzenia Jej Wysokości do grobowej deski, ale czuję się do takiego stopnia wstrząśnięty tym, co zaszło, że czas konieczny, aby wszystko poszło w niepamięć, określam co najmniej na osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat. W ciągu tego czasu nie będzie mi dane wielkie szczęście widzenia Jej Wysokości”. Signora Belgiojoso natychmiast kartkę tę zniszczyła. Wiedziała, że Paganini dotrzyma swej obietnicy, że Florencja będzie dla niego przypadkowym miejscem zmiany koni i że świeżo upieczona wielka księżna nigdy już nie zobaczy swego dyrygenta. „Słowika nie należy trzymać w klatce – pomyślała signora Belgiojoso. – Szkoda, a była to przecież prawdziwa ozdoba naszego miasta. Co stanie się z biedną...” Przypomniała sobie przyjaciółkę Paganiniego, o której tajemnym romansie ze sławnym skrzypkiem nagle mówić zaczęła cała Lukka.

Paganini nie wiedział, w jakim kierunku udać się z Florencji. Po długich wahaniach postanowił ruszyć na północ. W karecie ledwie mógł zwalczyć ogarniające go znużenie, budził się i znów zapadał w drzemkę.

Obudziwszy się późną nocą przed małym nadbrzeżnym hotelikiem,

usłyszał szum morza i świst morskiego wiatru, wpadającego przez otwarte okno.

Księżyc i gwiazdy oświetlały siwe grzbiety fal.

I oto następny jasny obraz: przed nim stoją zupełnie nieznanymi ludzie, jeden trzyma ręcznik zmoczony w occie, drugi widocznie bada puls.

– No, jak tam, czy lepiej panu? – słyszy Paganini głos pochylonego nad nim człowieka. – Nic groźnego, lecz potrzebny jest panu jak największy spokój, ma pan gorączkę na tle nerwowym.

– Kim pan jest? – zapytał Paganini. – Gdzie się znajdujemy?

– Jestem lekarzem i takim samym podróżnym jak pan. Znajdujemy się w „Hotelu Czterech Wiatrów”, dylizans odchodzi za dziesięć godzin. Niech się pan postara do tego czasu nabrać sił.

Szklanka mocnego wina pomogła Paganiniemu wypełnić zalecenie lekarza. Po godzinie był już zupełnie zdrow.

Przyglądając się rudowłosemu towarzyszowi lekarza Paganini coraz bardziej upewniał się, że widział już gdzieś tego człowieka. Lecz widocznie zaszły jakieś zmiany w powierzchowności nieznanego. Towarzysze podróży nie byli ciekawi, nie usposabiało to więc i Paganiniego do indagacji. W rozmowie nie zwracali się do siebie po imieniu. Mówili zaś o rzeczach, które widocznie ogromnie interesowały obu – o lyońskim zjeździe notablów, który nazywali to zjazdem notablów, to znowu lyońską konsultacją; o tym, że Italia znów poczuła na sobie całe brzemień kłamstwa Bonapartego, tego grabieżcy francuskiej wolności, który obecnie dąży do wprowadzenia w Italię niewolnictwa; o mianowaniu Eugeniusza Beauharnais, pasierba Napoleona, wicekrólem Italii.

Mówili tak, jak gdyby Paganiniego nie było w pokoju. Wszystko wskazywało na to, że ci dwaj ludzie zjechali tu z różnych stron i śpieszą zakomunikować sobie nawzajem wiadomości, które udało im się zebrać.

O świcie rozległ się dźwięk pocztowej trąbki i mediolański dylizans, zakurzony i brudny, wtoczył się na podwórze.

Gdy nieznanymi dowiedzieli się, że Paganini postanowił jechać do Mediolanu, wyrazili zadowolenie, że „największy skrzypek świata”, jak go nazwali, będzie ich towarzyszem podróży.

Paganini zapowiedział koncert w Mediolanie. Po raz drugi żałował, że nie ma Harrisa, który tak umiejętnie pomagał mu w tych sprawach.

Na dwa dni przed koncertem znów spotkał się z przypadkowymi towarzyszami podróży. Zaprosili go, by udał się z nimi do wsi Binasio.

Wyjechali z Mediolanu konno, w Binasio zostawili konie u ogromnego czarnobrodęgo wieśniaka o fizjonomii zbója i poszli pieszo małą ścieżką, prowadzącą do pobliskiej wsi.

Paganini dowiedział się wreszcie, jak się nazywa rudy olbrzym. Był to stary przyjaciel jego nauczyciela Ferdynanda Paera, Ugo Foscolo. Lekarz zaś okazał się znakomitym mediolańskim doktorem, Giuseppe Pascarellim.

Na dźwięk dzwonu w lesie zebrało się kilka osób. Odrzucili wielki kamień, znaleźli dół. Na dnie dołu rozgrzebali świeże, widocznie niedawno wrzucone tu liście. Podnieśli żelazne drzwi. Zapalono woskową świecę, okręconą spiralnie wokół metalowej laski. (Paganini po raz pierwszy ujrzał tego rodzaju staroświecki przyrząd do oświetlania.) W podziemiu dziesiątki takich lasek leżało na półce wraz z niewielkimi kłoszykami z siatki drucianej, które chroniły płomień od przypadkowych podmuchów wiatru i od zetknięcia z łatwo zapalającymi się przedmiotami – firankami, portierami, ozdabiającymi, ku zdumieniu Paganiniego, niezwykłą podziemną siedzibę tych ludzi.

Znaczek, ofiarowany niegdyś Paganiniemu przez signora Francesca Gnecco, nabrał nagle nowej wartości. Według reguły tajnego bractwa znaczek ten, zaofiarowany przez brata wyższego stopnia, po upływie pewnego czasu dawał jego posiadaczowi prawo przekroczenia jednego szczebla wtajemniczenia.

Więc to są ci bracia leśni, więc to jest ta zadziwiająca organizacja. Oto, dokąd prowadzą opowiadania o podziemnym Rzymie, o studniach i dachach, o tajemniczych przejściach, o leśnych siedzibach na przykładu Morgana, o wąwozach Kalabrii, o sycylijskich pieczarach, zalewanych morskim przypływem i absolutnie niedostępnych, o znikaniu u brzegów podejrzanych łódek, które były ścigane przez szybkobieżne łodzie Anglików, austriackie czółna policyjne i stateczki papięskich żandarmów.

Gałązkę białej akacji, leżącą na stole w na wpół ciemnym korytarzu między dwoma rozgałęzieniami podziemnego przejścia, wręczono jednemu z obecnych. Paganini dowiedział się, że wręczenie gałązki białej akacji jest u karbonariuszy wyrazem szczególnego zaufania. Brat karbonariusz, otrzymujący taki dowód wyróżnienia, związany był poufnym zleceniem i pozostawał pod specjalnym nadzorem bractwa. Znak białej akacji polecał mu zgładzenie w umówionym czasie ukoronowanego tyrana. Od chwili gdy dotknął ręką gałązki białej akacji, człowiek ten nie należał już do siebie i tracił możliwość porzucenia bractwa karbonariuszy. W ogóle, przestąpiwszy próg wąskich drzwi chatki węglarzy, niepodobna już było wyjść

stamtąd. Życie człowieka, który wstępował do tego bractwa, stawało się niezwykle barwne, jeśli znajdował tu swe powołanie. Lecz, jak mawiał starszy z wenerabli: „Łatwo jest podnieść, ale ciężko nieść”. Utrata ładunku była zgubą tragarza.

Kardynał Rafa wyciął w pień trzynaście tysięcy karbonariuszy, tysiące republikanów z południowych miast osadzono w więzieniach, gdzie kapłani troskliwie przyspieszali śmiertelną godzinę uwięzionych.

– Kodeks Napoleona z dniem pierwszego stycznia przetłumaczony został na język włoski i stosuje się go jako podstawowe, obowiązujące prawo w naszej Italii. Delegacja posłów mediolańskich, wybrana przez lokaja Bonapartego, Salicettiego, wyjechała do Paryża na uroczystość wieńczenia oszusta korsykańskiego koroną Italii. W skład tej delegacji wchodził człowiek, który początkowo pozostawał na służbie austriackiej, szpieg i ukryty jezuita, niejaki Novi. Człowiek ten zabrał ze sobą protokół ze spisami nowych organizacji łóż masońskich w Italii. Novi domagał się, by rząd wziął pod swoją kontrolę tajne stowarzyszenia, i, nie niszcząc organizacji karbonariuszy, postawił na czele każdej tajnej organizacji, każdego tajnego włoskiego stowarzyszenia osoby znajdujące się na służbie jego cesarskiej mości. Osobom tym należy umożliwić organizowanie nowych masońskich łóż i zapewnić szeroki rozwój tajnych organizacji celem wyłapania wahającej się włoskiej młodzieży oraz celem zorientowania się w istotnych jej nastrojach, by w porę przeciąć mogące powstać spiski.

Rozmówca przerwał. Wszyscy spojrzeli po sobie: wieść była niepokojąca. O Novim, kanoniku katedry genueńskiej, który przeniósł się do Mediolanu, mówiono, że jest zakonspirowanym jezuitą, który opowiedział się jednak za władzą francuską.

– Jakże to możliwe – odezwał się ktoś – by człowiek należący do zakonu jezuitów przedkładał takie pismo cesarzowi Francuzów? A zresztą, czy Napoleon przyjąłby jakiegoś tam kanonika z Genui?

– Przyjmie – rzekł sprawozdawca. – Do tego właśnie zdążam. Proszę przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że główni nasi wrogowie, jezuita, od dawna już stosują bardziej wyrafinowane sposoby tajnego zjednoczenia ludzi.

– Nie, Pascarelli, nie – ostro odparł młody głos. – Nasza organizacja jest o wiele starsza. Twórcy jej pochodzą...

– Wiem – przerwał doktor Pascarelli. – Nie interesują mnie dziecinne

bajdy, lecz chodzi mi o poważną sprawę. Chcę powiedzieć, że w owym czasie, gdy kupcy francuscy rozpoczęli handel z Chinami za pośrednictwem Lewantu, misjonarze francuscy zabrali się do nawracania na katolicyzm najmożniejszych Chińczyków. W tym celu Kościół katolicki zezwolił na zachowanie wielu starożytnych obrzędów chińskich. Jak wam wiadomo, spowiednik Ludwika XIV, ojciec Michel Letellier, był autorem znanej książki o kulcie Konfucjusza. Zaliczył tego filozofa chińskiego w poczet świętych Kościoła katolickiego i w ten sposób uratował sytuację w miastach, w które jezuiti głęboko wbili swe szpony. Proszę sobie przypomnieć, jak ludzie ci drukowali w naszych drukarniach portrety Ignacego Loyoli i wizerunki arcykapłana rzymskiego. Obydwa portrety są tak wykonane, jak gdyby rysowali je Chińczycy. Papież i założyciel zakonu mają skośne oczy i długie, obwisłe wąsy. Teraz po konkordacie może się okazać, że Napoleon będzie zaliczony w poczet świętych i przedstawiony jako uczeń, a nawet rodzony brat Ignacego Loyoli. Uważam, że sytuacja jest poważna.

W tym czasie we Włoszech we wszystkich warstwach ludności było już około trzystu tysięcy karbonariuszy. Wiadomość o planie powziętym przez jezuitów bardzo zaniepokoiła tych, którzy słuchali sprawozdania doktora Pascarellego. Ośmiu ludzi, którzy się tu zebrali, zastanawiało się już z niepokojem, że ktoś może zgłosić się do nich pod maską dobrego przyjaciela i zwolennika karbonaryzmu. Wprawdzie nie nastąpiła jeszcze taka chwila, kiedy ludzie zbierający się dla spraw rewolucji będą sobie bacznie patrzeć w oczy, podejrzewając się nawzajem o zdradę, lecz jezuiti osiągnęli wielki sukces już przez to samo, że puścili pogłoskę o możliwości zdrady w organizacji. To stwarzało panikę i nie bacząc na żelazną wolę tego lub owego spiskowca niepokój ten był zbyt dużym dodatkiem do brzemienia jego obowiązków rewolucyjnych.

Jednym z tych ośmiu ludzi był skrzypek Nicolo Paganini. Cóż miał do roboty w tym dziwnym stowarzyszeniu? Co ma wspólnego jego sztuka ze sztuką walki rewolucyjnej? Lecz oto signorowie Buratti i Confalonieri wystąpili z propozycją, która świadczyła, że wszystko w dostatecznym stopniu było przemyślane i rozważone. Zwrócili się do wenerabla, signora Pascarelli, informując go, że signor Foscolo niedługo już zabawi w Italii, że po upływie roku wypadnie mu spędzić szereg lat w Szwajcarii. Być może nawet, że losy zapędzą go aż na Wyspy Brytyjskie, gdzie udzieli pomocy bankierowi włoskiemu, członkowi stowarzyszenia, by mógł nawiązać kontakt z braćmi z Półwyspu Apenińskiego. Stracą zatem człowieka, który

odznaczał się największą ruchliwością i którego podróże były tak pożyteczne. Któż z pozostałych może teraz przenosić się z miasta do miasta nie budząc podejrzeń? Przed kim stoją otworem drzwi pałaców i zamożnych domów? Któż będzie mógł otwarcie występować przed masą ludzi i dobrać sobie trzech-czterech towarzyszy, aby ci pod pozorem, że są członkami delegacji miejskiej, łatwo mogli zadzierzgnąć kontakty z grupą któregośkolwiek miasta włoskiego. Oczywiście skrzypek o znakomitym nazwisku, którego zawód wymaga przenoszenia się z miasta do miasta oraz otwartych wystąpień i współżycia z mnóstwem ludzi spośród różnych stanów. Ponieważ sam zechciał połączyć dwie sztuki w jedną, a wielką swą sztukę muzyczną poświęcił narodowi włoskiemu, musimy więc dać mu nasze braterskie poruczenie w odpowiedzi na braterską jego przysięgę. Gdy zajdzie potrzeba, signor Paganini może wystąpić pod obcym nazwiskiem. Tam, gdzie nie znają go jako skrzypka, będzie miał możliwość ewentualnie nie być signorem Paganinim.

Rozdział osiemnasty

Podwójne życie

Od czasu mediolańskiego spotkania minął rok. W całej Italii rozbrzmiewało nazwisko znakomitego skrzypka. W Rzymie każdy koncert powiększał liczbę gorących wielbicieli jego talentu.

I należy oddać sprawiedliwość karbonariuszom, że nikt spośród tysięcy ludzi, składających Paganiniemu jako skrzypkowi hołd zachwytu i nie wtajemniczonych w podwójne jego życie, nie podejrzewał, że często można było widzieć tego człowieka, jak skrada się wieczorami ku wzgórzom Pincio, do miejsca, gdzie odbywały się konspiracyjne spotkania nowych przyjaciół skrzypka.

Pewnego razu wracał z zebrania. Przemówienia towarzyszy dźwięczały mu jeszcze w uszach, myśli ich podniecały i wzburzały jego umysł.

Cicho dogasał dzień. Nad miastem płonąła zorza. Był to jeden z owych szczególnych wieczorów rzymskich, różowopurpurowy i błękitnawy, gdy

unoszący się nad miastem najdrobniejszy pył wieczorny złoci się w ukośnych promieniach słońca. Paganini patrzył w tę stronę, gdzie w błękitnawej mgielce wznosi się Kapitol. Na dalekim placyku ujrzał czerwonych dragonów na białych koniach i błękitnych huzarów w złotych kaskach. Czerwone, błękitne, zielone i żółte plamy płynęły skroś mgłę rzymskiego wieczoru, jak gdyby były namalowane najdelikatniejszymi akwarelowymi farbami. Przejrzyste, lekkie, widmowe jak rośliny wodne, te kolorowe, rozpyływające się plamy poruszały się i znikały. Paganini lubił, wspiawszy się na szczyt stromej góry, spoglądać na ruiny starożytnego Rzymu. Trzy kolumny na Forum, ruiny domów pałacowych, dalej wielki łuk triumfalny, obok łuku sosna i wyłoczone wieczornym słońcem ciężkie zarysy Koloseum. Gdzieś bardzo daleko, za stosem kamieni, do których przylepiły się domki biedoty rzymskiej, błękitniały Góry Sabińskie. Rzym – słowo to zawsze budziło dreszcz podniecenia w duszy Paganiniego, a teraz rozmowa z przyjaciółmi i pełne głębokiej treści słowa młodego karbonariusza Rossettiego napełniły jego duszę nowym natchnieniem.

Szedł patrząc na dachy domów i śledząc lot gołębi w wysokim i czystym niebie. Słowa Rossettiego o tym, że karbonariusze stworzyli sojusz nowych argonautów, że czeka ich wielka i niebezpieczna droga, zanim zdobędą złote runo ludzkiego szczęścia i wolności Italii, rodziły w nim cały szereg obrazów.

Confalonieri i zapalczywy, prostoliniorny Conobianco wydawali mu się geniuszami nowej epoki. Zdawało mu się, że jest Orfeuszem na pokładzie tajemniczego okrętu Argo. Wizja słonecznej złotej Kolchidy, nowej wolnej Italii, dawała im natchnienie do walki. Confalonieri był Jazonem. Italia musi za pomocą zwycięstw wyrwać Napoleonowi smocze zęby. Nowy Jazon posieje je w całej Italii; i jak w dalekiej Kolchidzie argonautów z zasianych w ziemi zębów smoka rodzili się wojownicy, tak i dziś powstaną nowe szeregi bojowników walczących o szczęście Italii.

Na trawie lśniła wieczorna rosa i nagle Paganini poczuł przykrą wilgoć, którą było przesycone powietrze. Połysk rosy wydał mu się połyskiem stalowych kopii. Stalowa szczecina szybko okrywała pole, potem ukazały się kaski i hełmy, za nimi wynurzyły się spod ziemi głowy i ramiona i oto od stóp do głów uzbrojeni ludzie, z mieczami, tarczami i kopiami, ruszyli; podnieśli przy tym taki szczęk oręża, że od grzmotu ich kroków zajęczała i krzyknęła ziemia.

„Nowe stulecie rodziło się z krwi i żelaza” – pisał Ugo Foscolo. Nadciągała epoka wielkich walk.

Obok grobowca Cecylii Metelli Paganini zawrócił i poszedł w stronę zarośli. Pochyliwszy się tupnął nogą i powoli zaczął odwalać płytę kamienną. Czarnowłosa, zaspany człowiek zapytał go o umówione hasło i znów zatarasował wejście.

Znużony wrażeniami dnia, Paganini położył się na wypchanym słomą sienniku i zapalił staroświecką lampkę oliwną. Z niszy, ozdobionej wizerunkiem dobrego pasterza z owcą na ramionach, wyjął kartkę papieru do nut. Tej nocy skończył suitę karbonarską *Posiew Jazona*.

W Rzymie podczas karnawału arcydzieło to było wykonane jeden tylko raz. Wtedy po raz pierwszy Paganini zrozumiał, że osiągnął doskonałość. Dotąd każdy jego występ był jednym ze szczebli gigantycznej drabiny. I oto nareszcie stanął na szczycie – bardzo trudna droga jest wreszcie poza nim. Przyszłość wyobrażał sobie teraz Paganini jako życie człowieka, który wznosił się wysoko ponad przeciętny poziom. Na koncertach czuł się jak składający ofiarę kapłan, który zgłębił, że w religii nie ma dla niego tajemnic.

W muzyce całego świata nie było trudności, z którymi nie dałby sobie rady. Gra nabrała dla niego podwójnego sensu, jaki ma to słowo w języku dzieci i języku dorosłych, z tą tylko różnicą, że mimo iż rozkoszował się grą jako wielką sztuką, którą mógł przekazać publiczności, i mimo że była dla niego lekką i szczęśliwą igraszką, zaczęła go gnębić nie znana mu dotychczas troska. Trzeba było liczyć się z utratą sił życiowych. Występy nie nużyły go, lecz po prostu zaczął obliczać sumę energii traconej na każdym koncercie. Schodził z estrady nie odczuwając znużenia, lecz już bez radosnego podniecenia, które towarzyszyło mu zawsze na koncertach w Lukce.

Ostatni koncert w Rzymie był dla skrzypka nowym triumfem. Odbył się w piątek, w dniu, w którym Kościół katolicki zabrania jakichkolwiek występów koncertowych. Ludzie, którzy mieli wpływ na dworze papieskim, obdarzali Paganiniego taką życzliwością, że jakkolwiek wydawało się to dziwne, zezwolono mu na występ i koncert się odbył. Okazało się, że wystarczyła zwykła prośba Paganiniego, który oświadczył, iż następnego dnia musi wyjechać.

Przed koncertem zebrali się u niego przyjaciele, którzy towarzyszyli mu zwykle w drodze z hotelu na salę koncertową. Jeden z przyjaciół rzymskich mówił mu, że czas już zabrać się do stworzenia wielkiej opery, w której skrzypce miałyby takie samo znaczenie, jakie ma ludzki głos, i że pierwszą taką operę powinien Paganini napisać niewątpliwie w Rzymie. Paganini zdziwił się: czemu w Rzymie?

– Opera, którą kompozytor pisze na zamówienie jakiegoś miasta, powinna być napisana w tym właśnie mieście – oświadczył rozmówca. – Niech pan przypomni sobie wielkiego Cimarosę: komponował zawsze operę w tym mieście, w którym ją wystawiano.

– Tak, lecz zamierzam wyjechać – rzekł Paganini – i bardzo wątpię, czy kiedykolwiek zabiorę się do komponowania opery.

Rozmówca wręczył Paganiniemu kilka kartek papieru nutowego. Paganini ze zdumieniem patrzył na tego człowieka.

Przy kandelabrze stali dwaj inni goście i małymi łykami popijali kawę. Paganini spojrział na wręczony mu papier i szybko przykrył stronicę. Znajomy szepnął mu:

– Po zamówienie zgłoszę się na pierwszym koncercie pańskim we Florencji, niech pan go nie zgubi.

Po czym, jak gdyby nigdy nic, kontynuował rozmowę o Cimarosie. Mówił, że całkowicie potwierdzają się wiadomości o otruciu wielkiego muzyka.

Twórca opery *Potajemne małżeństwo* należał do stowarzyszenia karbonariuszy i w roku 1798 wznicił powstanie przeciwko królowi Neapolu w imię wolności Italii. Liczył sobie prawie pięćdziesiąt lat, gdy rozpoczął działalność pogromcy królów. Schwymano go i osadzono w więzieniu. Niewątpliwie zostałby stracony, gdyby nie zachwiało się w tym czasie stanowisko króla Ferdynanda. Bojąc się złej famy król postanowił uwolnić Cimarosę. Zanim sprawę jego rozpatrzono, Cimarosa uciekł do Rosji. Pobyt w kraju, gdzie nie można wyjść na ulicę bez futra, był dlań bardzo ciężki. Cimarosa wrócił do Włoch. Królowa Karolina za nic w świecie nie chciała wpuścić Cimarosy do swoich weneckich włości i użyła zdradzieckiego środka. Cztery krople trucizny weneckiej przerwały życie wielkiego muzyka w Wenecji w roku 1801.

– Więc to prawda?! – zawołał Paganini.

– Prawda. Wszyscy najlepsi ludzie Italii wzięli udział w naszym ruchu. Teraz nie ma ani jednego pułku, kompanii lub też szwadronu, w którym nie mielibyśmy swoich zwolenników.

W tym momencie podszedł do nich młody skrzypek Paisiello. Rozmówca Paganiniego umilkł. Paganini przygotował nuty, wziął skrzypce i udał się razem z towarzyszącymi na salę koncertową. Odnosił całkowity sukces. Kłaniając się publiczności, Paganini z przerażeniem ujrzał, jak dwaj żandarmi papiescy weszli na widownię i ujęli człowieka, który towarzyszył

mu w drodze na koncert. Paganini chylił się w ukłonie, nie wypuszczając z rąk zeszytów do pisania nut, zwiniętych w trąbkę.

Gdy wrócił do domu, ujrzał odźwiernego, który stał przed drzwiami hotelu. Odźwierny obracając szybko dużym kluczem uderzał nim w dłoń. Klucz potraçał o kostki, lecz zdawało się, że człowiek ten nie odczuwa bólu. Nie odrywając oczu od Paganiniego przesywał go spojrzeniem.

W pokoju panował nieład. Ktoś tu grzebał, ktoś przetrząsał wszystko od góry do dołu i na próżno starał się ukryć ślady swej wizyty, usiłując ustawić rzeczy z powrotem na miejscach. Była późna noc. Paganini doznał nagle uczucia strachu. Zapalił świece, szczelnie zamknął drzwi, otworzył brudny zeszyt do pisania nut i przeczytał na jednej stronie, którą wręczono mu niby zamawiając u niego kompozycję, spis szpiegów papieskich, wysłanych na robotę do went karbonarskich. Dokument ten w zupełności wystarczał, by Paganini mógł znaleźć się na zamku Świętego Anioła.

Należało uciekać, lecz nocna ucieczka mogła wzbudzić podejrzenie policji. Zapanowawszy więc nad sobą, Paganini postanowił spokojnie czekać do rana. Jednakże położył się w ubraniu. Nad ranem rozległo się pukanie. Paganini zerwał się. Łóżko skrzypnęło i było już za późno udawać śpiącego. Rzucił szybkie spojrzenie na okno. Okiennice były zamknięte z zewnątrz. Pukanie do drzwi ponowiło się. Paganini wstał, podszedł bezgłośnie do drzwi i z mocno bijącym sercem stanął przy nich. „Tak skończyła się moja kariera muzyczna” – pomyślał. Wziął laskę, z którą się nigdy nie rozstawał, obrócił rączkę jej w lewą stronę i wyjął cienki, długi, czworograniasty sztylet. „Szkoda, że trzeba będzie zostawić skrzypce Guarneriego!” Postanowił otworzyć drzwi, szybkim ciosem sztyletu utorować sobie drogę, po czym uciec. Nie wiedział jeszcze, dokąd uciekać, lecz uprzytomnił sobie, że jeśli zdąży dobiec do Schodów Hiszpańskich, to dzwonnik Trinita dei Monti niewątpliwie ukryje go z początku w ogrodzie, potem zaś w jakimś innym miejscu. Wszystko to przyszło mu na myśl w ciągu sekundy. Nagle rozległ się dźwięczny i mocny głos:

– Signor, konie już czekają.

Nieznajomy przyjaciel zatroszczył się o rychły wyjazd Paganiniego. Głośno ziewając Paganini powiedział:

– Jeszcze się nie wyspałem.

Ukrywając szybkim ruchem sztylet, otworzył drzwi. Nieznajomy człowiek zaproponował, że pomoże mu wynieść rzeczy. „To chyba areszt – pomyślał Paganini. – Niewątpliwie jest to szpieg”.

Skrzypce i zeszyt do nut pozostały w rękach Paganiniego. Resztę rzeczy

wziął nieproszony przewodnik. Po wyjściu Paganini ujrzał małą kolaszkę, zaprzęzoną w parę krzepkich koników.

– Jak to, jedziemy we dwóch? – zapytał Paganini.

– Tak, signor. Mam taki rozkaz.

Zaspany właściciel hotelu otrzymawszy pieniądze życzył Paganiniemu pomyślnej drogi i nie tracąc zbędnych słów wrócił do hotelu.

Przybyli szczęśliwie do Florencji. Rozstając się z Paganinim towarzysz podróży dał mu swój adres i rzekł, że może mu towarzyszyć dalej na północ, ponieważ signor chyba krótko zabawi we Florencji.

Wielka księżna toskańska była u szczytu władzy, lecz Paganini popełnił nowy nietakt: nie zjawił się na dworze i dawnym zwyczajem po prostu zakomunikował władzom, że zamierza urządzić koncert w mieście. Ku wielkiemu jego zdumieniu propozycję przyjęto bez entuzjazmu, mimo że we Florencji Paganini zazwyczaj miał wielkie powodzenie. Oświadczone mu, iż może liczyć na pozwolenie pod warunkiem, że pozostanie na służbie jej wysokości. Paganini kategorycznie odmówił. Wtedy dano mu do zrozumienia, że w kraju podległym jej wysokości nie może wystąpić z koncertem.

Gdy Paganini spotkał się z przyjaciółmi i usłyszał florenckie nowiny, zdumiony był postępami armii napoleońskiej. Do Rzymu nie docierały żadne wiadomości, zabroniono tu nawet wydawać gazety. W mieście do tego stopnia drżano ze strachu przed papieżem i cesarzem Francuzów, że trudno było pojąć, gdzie kończy się jedna władza, a gdzie zaczyna druga.

– Sytuacja moja była tym gorsza, że nie uznawałem ani jednej, ani drugiej władzy – mówił Paganini do przyjaciół. – Jednak trudno mi wyrzec się koncertu we Florencji – rzekł w końcu, odpowiadając raczej własnym myśłom. Lecz myśli te zostały zrozumiane przez starego malarza florenckiego Michatellego, który podszedł do Paganiniego i powiedział:

– Mogę panu pomóc i bez tego koncertu. Proszę mnie bez obawy odwiedzić.

– Jak mam to zrobić?

– Niech pan przyjdzie do mnie wieczorem i wystąpi z małym koncertem.

Paganini zdążył odegrać tylko sonatę *Napoleon*. Pod oknami Michatellego zebrał się ogromny tłum i po chwili przyszedł kapitan gwardii, jakby umyślnie ubrany tak samo, jak swego czasu niebacznie ubrał się Paganini, w ów nieszczęsny wieczór, gdy wzbudził gniew księżnej Bacciochi. Kapitan kazał signorowi Paganiniemu zaprzestać gry w państwie jej wysokości.

Gdy Paganini żegnał się z Michatellim, zatrzymano go przy drzwiach. Syn Michatellego, oficer armii napoleońskiej, który po odniesionych ranach leczył się we Florencji, podszedł do skrzypka i cicho powiedział:

– Czy wiadomo panu, że miesiąc temu signor Francesco Gnecco został otruty w Wenecji?

– Jak to otruty? – Paganini poczuł zawrót głowy i musiał uchwycić się drzwi, by nie upaść.

– Tak, podejrzewają, że śmierć nastąpiła na skutek otrucia.

– Niechże pan opowie, jak to się stało! – zawołał Paganini.

Lecz w tej chwili rozpoznał w słudze signora Michatellego towarzysza drogi, który wywiózł go z Rzymu. Z natręctwem, które zaczęło budzić w Paganinim obawy, zuch ten podszedł do niego i rzekł:

– Signor, pańskie rzeczy są już załadowane, oto pański płaszcz, niech pan go włoży, bo będzie zimno.

– Nie mam zamiaru wyjeżdżać.

– Trzeba jechać, signor – ostro odparł młodzieniec.

Paganini szybko pożegnał się z młodym oficerem.

Wyjechali na północ drogą wiodącą do Parmy. Lecz w Bolonii musieli zmienić kierunek. Jakieś nieudane spotkanie ogromnie zdenerwowało jego przewodnika. Młody człowiek, któremu na imię było Lodovico, zawzięcie udawał, że naprawia koło powozu. Dopiero o zmierzchu wyjechali w stronę Ferrary nie trzymając się wyznaczonej z góry godziny.

Niedaleko Pogo Renatino o świcie Lodovico zatrzymał konie. Zszedł z kozła, zgasił świece w latarniach, zdjął kopeć, wytarł szklą i w półmroku płosząc drzemiące ptaki, podróżni ruszyli w dalszą drogę. Paganini nie spał całą noc. Niewymowny smutek ogarnął go na wieść o śmierci Gnecco. Tak powitał 1810 rok.

W Ferrarze Lodovico znalazł świetną miejscę dla postoju. Lecz przy przenoszeniu rzeczy okazało się, że podczas gdy Lodovico przygotowywał pokój, złodzieje, skorzystawszy z chwilowej nieobecności Paganiniego przy powozie, ukradli kuferek i sakiewkę; pozostały mu tylko skrzypce.

Paganini wywnioskował z tego, że złodzieje mało znają się na muzyce.

– O, może nawet zbyt dobrze się znają – zaoponował Lodovico. – Skrzypce pana pomogłyby łatwo wpaść na trop bandy.

Po tym zdarzeniu zdecydowano wystąpić z koncertem w Ferrarze.

Salę koncertową miasta Ferrary chętnie oddano do dyspozycji signorowi Paganiniemu. Nazwisko jego niejednokrotnie było na ustach muzyków Ferrary i pełnomocników austriackiego rządu. Komendant miasta Ferrary, który przypuszczał, że Paganini to nazwisko znakomitego doktora, leczącego papieża, szybko sprostował swoją omyłkę, mówiąc, że nazwisko skrzypka signora Paganiniego jest mu znane jako nazwisko wybitnego muzyka.

Sala istotnie świetnie nadawała się dla muzyka. Paganini cieszył się, że będzie miał możliwość w niej grać. Gdy oglądał urządzenie sali, nagle zjawił się impresario i oświadczył, że z polecenia komendanta miasta w koncercie weźmie udział signora Marcolini.

Na godzinę przed koncertem Paganini zajechał do śpiewaczki na repetycję. Przy pierwszych taktach stwierdził, że śpiewaczka fałszuje, chociaż ma dobry głos. Cztery razy Paganini zaczyna grać to samo i cztery razy przy tym samym takcie śpiewaczka myli się. Signora Marcolini, gestykułując jak przekupka ze spożywczego sklepiku, prosi Paganiniego, by jeszcze raz zaczął od nowa. Paganini cierpliwie zaczyna od początku. Za piątym razem przeszkoda została pokonana. Nareszcie próba jest skończona.

Zmęczony, lecz uspokojony Paganini odjeżdża.

Przed samym koncertem doręczają mu jednak liścik od signory Marcolini. Signora pisze, iż „w żadnym wypadku dziś nie wystąpi”, przy czym Paganini dowiaduje się, że signora Marcolini jest kochanką komendanta miasta i że nadaremne byłoby sprzeciwiać się jej kaprynowi.

Sala jest już wypełniona publicznością. Od niecierpliwego tupania kurz unosi się w górę i przesłania światło wielkiego żyrandola.

Za radą Lodovica Paganini wsiada do powozu i mknie do signory Pallerini. Paganini prosi wielką mistrzynię baletu, obdarzoną pięknym głosem, by wystąpiła na dzisiejszym koncercie. Pallerini zgadza się. Podczas gdy Paganini czeka w powozie pod jej oknem, balerina przebiera się, spoglądając od czasu do czasu poprzez firankę na jego zgarbioną ptasią postać i na głowę w wielkim kapeluszu, poruszającą się niczym głowa drapieżnego ptaka. Zdejmuje z siebie suknię na co dzień i rozebrana przeciąga się przed lustrem zachwycając się swym nagim ciałem. Ze swawolnym i kpiącym uśmiechem myśli o Paganinim, ubranym, opatulonym, czekającym na nią przed bramą. Ubrawszy się wychodzi do niego.

W drodze odurza Paganiniego nagły przyływ wesołości na myśl o tym, jak signora Marcolini będzie ukarana za swój kaprys. Ścisną rękę signorze Pallerini, ta odpowiada uściskiem dłoni, po czym następuje pocałunek.

Signora Pallerini, artystka baletu, jest do głębi wzruszona. Znakomity skrzypek, mówiący tak barwnie, z taką niezwykłą żywością, mający tak diabelskie oczy, podoba się jej. Myśli o tym, jak łatwo się on zapala, i z radością czuje, jak pulsuje w jej żyłach gorąca neapolitańska krew. I tylko zatrzymanie się powozu przed salą koncertową ratuje Paganiniego.

Signora z przerażeniem czuje, że koncert już jej nie obchodzi. Śpiewa matowym, ospałym głosem – nie fałszuje, ale śpiewa tak, jakby się zamieniła w słuchacza zachwyconego niepowtarzalnymi dźwiękami skrzypiec wielkiego artysty. Spogląda na Paganiniego, widzi to obce spojrzenie muzyka, oczy sfinksa i czarodzieja, i nagle pada zemdlona. Rozlega się gwizdanie i śmiech. Cała sala gwałtownie wyraża swe oburzenie.

Impresario podchodzi do Paganiniego podtrzymującego zemdloną dziewczynę i szepce mu do ucha, iż komendant i władze miejskie są bardzo niezadowolone, że signor Paganini tak niegrzecznie zachował się wobec śpiewaczki Marcolini i że należało odwołać koncert, jeśli najlepsza śpiewaczka miasta nie chciała wziąć w nim udziału.

– Niech mi pan powie, jaki jest wpływ kasowy? – niedelikatnie przerywa mu Paganini.

Gdy podano mu sumę i obliczył, że pieniądze te w zupełności wystarczą mu aż do Wenecji, Paganini kiwa głową:

– Niech pan natychmiast przyniesie mi pieniądze, w przeciwnym razie jutro zaskarżę pana do sądu.

Słowa te mają magiczny wpływ. Impresario podnosi ręce i głośno oświadcza:

– Koncert będzie się odbywał w dalszym ciągu.

Paganini prowadzi signorę Pallerini do pokoju, daje jej do powąchania sól orzeźwiająca, przyniesioną przez litościwego lekarza z sali, głaszcze ją po włosach, pochyla się nad nią tak nisko, że czuje ona jego gorący oddech, i mówi jej na ucho:

– Niech się pani uspokoi, mamy jeszcze wiele czasu, a zanim nastanie noc, proszę popatrzeć na to, co się tu zaraz stanie.

Złapawszy leżącą na stole batutę dyrygencką Paganini z wściekłością wali w oparcie fotela tak długo, że w końcu przerażony impresario przybiega na hałas.

– Gdzie są pieniądze?

– Oto one, signor. Proszę pokwitować.

Paganini szybko zgniótnszy plik banknotów chowa je do kieszeni, bierze skrzypek i najspokojniej w świecie wychodzi na estradę. Podnosi smyczek,

lecz nagle odwraca się plecami do publiczności i, zwracając się do signory Pallerini, mówi:

– Proszę, niech pani podejdzie i będzie świadkiem.

Następnie oświadcza publiczności:

– Przecież nie zawsze można się smucić, czasem trzeba sobie również pozwolić na żart.

Popłynęła dziwaczna rzeka dźwięków, których nikt z początku nie mógł zrozumieć. Potem publiczność usłyszała skrzypienie kół wózka wozivody i plusk wody lejącej się z beczki, następnie krzyki poganiaczy mułów i ryk osła, po czym pianie koguta, głośno zwołującego kury, dziki skowyt psa, któremu koń nadepnął na łapę, i miauczenie kotów, które zwały się na dachu w bitwie wiosennej. Oszołomieni ferrarczycy słuchali tej szalonej kompozycji. Tu i ówdzie rozlegał się chichot, a pierwsze rzędy krzesel wybuchały niepowstrzymanym śmiechem.

Lecz nagle smyczek wzbił się w powietrze i ostatnie dźwięki zamarły gdzieś pod sklepieniem sufitu ozdobionego płaskorzeźbami. Tylko syczenie płonących świec przerywało głęboką ciszę. Kilka kroków naprzód – tak pochyliwszy się nad widownią, że słycać było jego świszczący oddech, Paganini niemal że nad głowami pierwszego rzędu krzesel podrzuca smyczek do góry, przeciąga nim po kwincie, a następnie od razu przechodzi z kwinty na bas. Publiczność słyszy wyraźnie obraźliwy okrzyk skrzypiec: „chichan!”, brzmiały jak ludzki głos, pełen namiętnej pogardy. Powtórzył się dwa razy, następnie jeszcze trzy razy – żywy, prawdziwy krzyk, ten sam obraźliwy okrzyk, który na wszystkich drogach Italii przesładuje ferrarczyców. „Chi-chan” oznacza „matołek”, „kogut” – jest to stare przezwisko tępych, niskoczołych ferrarskich idiotów, dusigroszów i kretynów, umięających tylko liczyć pieniądze, na wpół zbydlęconych, na wpół ludzkich, których interesuje tylko zysk, jadło, pijaństwo i kolejna spowiedź u opasłego kapłana. Tak pisali wnikliwi obserwatorzy z „Przeglądu Brytyjskiego”.

Paganini jeszcze stał trzymając smyczek w powietrzu, gdy nagle zawył huragan, wszyscy zerwali się z miejsc, okrzyki oburzenia, połamane krzesła, laski, afisze, kapelusze – wszystko poleciało na scenę. Wychodząc powolnym krokiem Paganini zatrzymał się obok portierni oddzielającej scenę od garderoby i smyczek znów zaskowyczał to samo obraźliwe przezwisko.

Sala długo jeszcze huczała.

Nad ranem Pallerini, znużona i szczęśliwa, po raz ostatni przycisnęła Paganiniego do swej piersi. A o czwartej godzinie Paganini wyjechał na północ.

Tułaczka Orfeusza

Paganini z wielkim powodzeniem koncertował w Mediolanie. Sześć pierwszych koncertów przyciągnęło do tego miasta podróżujących po Italii skrzypków wiedeńskich. Przywieźli oni wiadomość o tym, że Ferdynand Paer udał się do Paryża w ślad za cesarzem Francuzów Napoleonem i objął tam stanowisko dyrektora teatru włoskiego. W Mediolanie nastąpiło nowe spotkanie. Rolla, uzdrowiony i jak gdyby odmłodzony, grał w teatrze mediolańskim „La Scala” i dyrygował orkiestrą. Miał stanowisko na dworze wicekróla Eugeniusza: był nadwornym solistą. Rolla przyjął Paganiniego okazując żywą radość, że nadzieje, jakie w nim pokładał, nie zawiodły go. Starzec patrzył na młodego Paganiniego jak na cud, jak na największy skarb świata.

W owe dni tematem rozmów mieszczan mediolańskich była wiadomość o zawieszeniu działalności wszystkich went karbonariuszy na nieokreślony termin aż do nowego zwołania. Ośrodek ruchu przesunął się gdzieś na południe, wenta najwyższa przestała istnieć. Wydano rozkaz, by rozwiązać łożę prowincjonalne.

Obecność Francuzów w Mediolanie skierowała życie miasta w inne łożysko. Nie było już mowy o ucisku religijnym, lecz dawała się odczuć silna, despotyczna władza Bonapartego.

Między Paryżem a Mediolanem kursowała poczta francuska i Paganini z zainteresowaniem śledził życie muzyczne francuskiej stolicy. Włosi Viotti i Cherubini wraz z Francuzem Baillot przeszczepiali muzykę włoską na francuski grunt. To, co niegdyś Leonard, fryzjer Marii Antoniny, przedsięwziął dla celów handlowych, przystępując do angażowania włoskich śpiewaków i muzyków, obecnie dzięki kapitałom włożonym przez Feydeau de Brou rozwinęło się w szerszym zakresie. Teatr Feydeau przekształcił się w arenę, na której współzawodniczyli najlepsi włoscy śpiewacy i muzycy. Paganini zamierzał wyjechać do stolicy Francji, lecz przez ostrożność ograniczył się na razie tylko do marzeń.

Życie w Mediolanie spodobało się Paganiniemu i postanowił zatrzymać się przez dłuższy czas w tym mieście. Nie odczuwał tu owej złośliwości losu, która dręczyła go w Livorno, w Lukce i Florencji. Występował nie budząc wrogości. Koncerty nie przynosiły mu bajecznych dochodów, ale nie

powodowały również przykrych niespodzianek. Pasini podarował mu skrzypce Stradivariususa, Tarisio, który znów przyjechał do Mediolanu, sprzedał mu skrzypce Amatiego. Paganini stał się szczęśliwym posiadaczem trojga skrzypiec największych mistrzów Cremony. Oprócz tego nabył jeszcze dwie altówki, małe dziecinne skrzypce wykonane przez Stradivariususa – i na tym poprzestał.

Rzeźbiarz Bartolini wykuł w marmurze popiersie skrzypka. Popiersie było wystawione w jednej z sal galerii Bréra. Publiczność, ujrawszy popiersie jego po raz pierwszy, wyrzekła słowa, które nieraz potem zastępowały Paganiniemu nazwisko: „Czarodziej południa”. Czarodziej po swjemu zareagował na to przezwisko. Skomponował taniec czarownicy, który wobec wielotysięcznego tłumu wykonał w teatrze „La Scala”. Fantastyczny sukces zawdzięczał w dużym stopniu magicznemu i czarodziejskiemu charakterowi tej muzyki: najbardziej bowiem odpowiadał nastrojowi słuchaczy.

Zagubione dusze pragnęły rzeczy niezwykłych i wystrzegały się zderzenia z rzeczywistością, odtwarzając jej obrazy językiem zaklęć pradawnych, językiem magii i odrodzonych wierzeń w czary.

Był to czas, gdy król Neapolu Joachim Murat wysłał ostatnie trzydzieści pięć tysięcy młodzieńców neapolitańskich na północ. W białych spodniach łosiowych, w białych mundurach i w ciemnoamarantowych płaszczach młodzi kawalerzyści armii Murata ruszyli na Moskwę ze szwagrem króla Napoleona.

Wewnątrz swego królestwa Murat rozpoczął systematyczne prześladowanie organizacji młodzieży włoskiej. Tajna organizacja istniejąca na dworze rzymskiego arcykapłana posłała swych szpiegów do went karbonarskich, a Murat, różnymi obietnicami uzyskawszy zaufanie karbonariuszy, otrzymał dokładne dane o ich składzie osobowym. W roku 1811 miał listy nazwisk Zamierzał bezwzględnie wyrwać serce karbonaryzmowi południowemu i szukał Conobianca; innych miał zlikwidować na północy księżę Eugeniusz.

W ten sposób czciciele wolności włoskiej zostali wzięci w dwa ognie. Conobianco uchodził coraz dalej na południe, w lasy Apulii i góry Kalabrii, dopóki nie znalazł schronienia u proboszcza, którego polecili mu rzekomi przyjaciele; został tam ujęty i zabity wystrzałem z pistoletu w głowę. Lecz Murat niedługo triumfował jako zwycięzca, a księżę Eugeniusz niedługo utrzymał się na tronie. Letycja Bonaparte miała rację, gdy oszczędzała każde prześcieradło, powłoczkę i chusteczkę do nosa i nawet od praczki

starala się zawsze odebrać bieliznę jak najprędzej. „Cóż będę robiła z moimi dziećmi i wnukami, gdy wszystkich tych królów przepędzą z tronów?” – mówiła ta szczerą i prostą kobietą korsykańską, która okazała się matką większości królów i książąt Europy.

Wyjechawszy z Mediolanu do Turynu, Paganini miał zaszczyt odwiedzić księżną Paulinę Borghese. Tu spotkał się z zakonspirowanym jezuitą, księciem Borghese, i jego synem, młodym piękniśm, od niedawna mężem Pauliny Bonaparte, siostry Napoleona, dla której, jak mówią, cesarz Francuzów żywił zgoła nie braterskie uczucia. Los Pauliny Bonaparte był bardzo dziwny. Cierpiąc z powodu grzesznej skłonności rodzonego brata, wyszła za mąż za francuskiego generała, który udzielił Bonapartemu pomocy w owych ciężkich dniach, gdy Bonaparte – podówczas jeszcze młody generał – musiał rozpędzić Radę Pięciuset i ogłosić żelazną dyktaturę, kiedy to po powrocie z wyprawy egipskiej do Paryża kolejno przedzierzał się z komendanta miasta Paryża w członka Dyrektoriatu, potem w pierwszego konsula i wreszcie w cesarza. Leclerc, małżonek Pauliny Bonaparte, został odkomenderowany na dalekie Wyspy Antylskie dla stłumienia powstania czarnego konsula, wodza Murzynów z Haiti, Toussaint l'Ouverture'a. Tam też zginął ze swym korpusem ekspedycyjnym. Murzyńska stolica spalona została przez samych Murzynów. Paulina Bonaparte wróciła, a nie chcąc pozostać w Paryżu, zamieszkała w Turynie i wyszła za mąż za młodego, pięknego księcia Borghese. Dla Włochów była ona teraz żywym przypomnieniem niepowodzeń ekspedycji Bonapartego.

Na ziejających żarem wyspach oceanicznych zginął korpus ekspedycyjny Leclerca, obecnie nadchodziły głuche wieści o tym, że w śniegach Rosji ginie armia ekspedycyjna samego cesarza. I tak jak na wyspach Murzyni spalili swoją stolicę, tak i tutaj Rosjanie spalili swoją Moskwę. Wieści te były uporczywe i choć nie znajdowały potwierdzenia, Paganini dostrzegał niepokój i smutek na twarzy drugiej siostry Bonapartego spotkanej na drodze swego życia. Jednakże o wiele bardziej przyciągała uwagę Paganiniego inna twarz kobieca. Razem z Paganinim występowała śpiewaczka Antonia Bianchi i Paganini zdał sobie sprawę, że nie może oderwać oczu od tej pięknej kobiety.

Gdy koncert skończył się, Paganini zaprosił śpiewaczkę na wspólne koncerty do Mediolanu. Antonia po krótkim namyśle zgodziła się. Obliczwszy pozostały czas, rzekła po prostu:

– Mój kontrakt kończy się za miesiąc. Po upływie miesiąca proszę mnie oczekiwać w Mediolanie.

Z Mediolanu do Turynu poczta szła kieszonkowo. Paganiniego dręczyło nie znane mu dotychczas zniecierpliwienie. Nigdy nie było jeszcze wypadku, by tak długo czekał na listy.

W tym czasie rozwija on gorączkową działalność. Aczkolwiek stowarzyszenia i związki są zabronione, z inicjatywy Paganiniego organizuje się koło muzyczne „Orfeusz Mediolański”.

Lecz na świecie zachodzą rzeczy bardzo dziwne. Francuska policja nie zwraca uwagi na koło muzyczne, zajęta jest zgoła inną sprawą. Księżę Eugeniusz Beauharnais zabronił dostarczania jakichkolwiek gazet z północy.

Razu pewnego zupełnie przypadkowo Paganini trafił na pocztę: za każdym razem, gdy był niedaleko, nogi niosły go w tym kierunku. Taki już jest człowiek, że zajdzie czasem zupełnie nie tam, dokąd ma iść. Zapytał znów urzędnika pocztowego o listy z Turynu. Z Turynu listów nie było, ale okazało się, że czeka na niego list z Anglii. Zdziwiający! Od kogo? Pisał George Harris. Udawał się z Londynu do Hanoweru, aby objąć tam stanowisko attaché; prosił, by mu szczegółowo doniesiono, czy signor Paganini zgodziłby się na tournée po Europie i czy nie mógłby czarodziej południa, o którym trąbią wszystkie gazety stolic europejskich, spotkać się z nim. Do listu dołączona była gazeta angielska. Paganini nie umiał czytać po angielsku, lecz zrozumiał dwa słowa: upadek Napoleona.

O, jakże cieszyli się Anglicy, z jaką nienawiścią do Bonapartego podawali wiadomości o całkowitym upadku potęgi francuskiej! Z jaką lubością opisywali haniebną ucieczkę Napoleona do Paryża i powtarzali wstrętne słowa, które wyrzekł w pałacu przy dobrze napalonym kominku. Postawivszy but na kracie, cesarz Francuzów powiedział: „A jednak jest to lepsze od moskiewskiego mrozu”. Anglia odżyła na wieść o klęsce. Francuskie niebezpieczeństwo już nie istniało. Anglia, która zadała cios potędze francuskiej na morzu, mogła teraz nie martwić się o sytuację na lądzie.

Widocznie nie tylko Paganini otrzymał tę wiadomość. Krążyła już po całym Mediolanie. Ludzie szeptali po kątach i szybko starali się rozejść. Na ulicach znać było ożywienie. Lecz największe ożywienie wiadomość ta wywołała w pałacu biskupa, w kancelariach klasztornych i na ulicy, gdzie mieścił się zlikwidowany klasztor Św. Małgorzaty. Nie dziś, to jutro oczekiwano tam powrotu żandarmskich rządów gubernatora jego apostołskiej mości cesarza Franciszka. W każdym słowie Harrisa kryły się tysiączne aluzje. „Rzeczywiście, gdzie jest teraz papież?” – zastanawiał się Paganini.

Ostatnio Ojciec Święty został wywieziony do Savony. Pozostawiono go

samego bez doradców, zmuszając, by podpisywał encykliki, bulle i orędzia zalecające absolutne posłuszeństwo władzom francuskim na całym terytorium, na którym znajdowali się wierni synowie Kościoła katolickiego. Z pełnym zniecierpliwieniem pośpiechem, który spotęgował tylko niemoc cielesną najświętszego Ojca, przewieziono go do Fontainebleau, i tam został zawarty konkordat, który faktycznie czynił z arcykapłana rzymskiego posłuszne narzędzie cesarza Francuzów. Oto czemu wszystkie organizacje jezuickie, wszyscy przedstawiciele zlikwidowanego zakonu Jezusa cieszyli się, słysząc o złych przygodach głowy Kościoła. Gardzono nimi. Prowadzili nędzne życie, nie mając ani władzy, ani majątku, ani też kongregacji i klasztorów. Lecz pomimo to tajna ich organizacja istniała i wkrótce mógł nadejść dzień odwetu. Przed obliczem przerażonego, zajętego cichym zbijaniem pieniędzy mieszczaucha sprytnie postawili widmo terroru; przed obywatelami włoskimi stawiali widmo gilotyny i gorliwie przypominali Włochom o ściętej głowie króla. Lecz wszystko to nie pomogło. Bonaparte zawiódł ich nadzieje, gdyż sam został cesarzem i nigdzie nie zamierzał wprowadzać rządów republikańskich. Teraz wybiła godzina odwetu.

Upadek Bonapartego oznaczał wskrzeszenie zakonu Jezusa. Wkrótce, 24 maja 1814 roku, papież znów znalazł się w Rzymie. Na uroczystym nabożeństwie arcykapłan rzymski obwieścił, że zawiniłby przed Bogiem i popełniłby wobec Niego wielką zbrodnię, gdyby w tym niebezpiecznym dla wspólnoty chrześcijańskiej czasie wzgardził pomocą, którą niesie mu Opatrzność, gdyby usadowiony w łodzi św. Piotra, kołysanej stałymi burzami, nie zechciał skorzystać z pomocy silnego i doświadczonego wioślarza.

W tym czasie silni i doświadczeni wioślarze, w liczbie trzystu pięćdziesięciu ośmiu, wygnani zostali z Rosji. Byli to najbardziej zahartowani w życiowych walkach jezuici, na czele których stał generał zakonu Tadeusz Brzozowski. Przybyli do Rzymu i od razu przystąpili do działania. Na polecenie generała zakonu zabrali się do odbudowy zrujnowanych gospodarstw, do odkopywania ukrytych beczek ze złotem. Opracowywali plany zmierzające do opanowania szkół i do uzyskania całkowitego wpływu na wychowanie dzieci we wszystkich państwach europejskich i otwarcie zaczęli ujawniać swoją ukrytą dotychczas potęgę. Z energią, nagromadzoną w jezuickim podziemiu, zdecydowali uderzyć w pozostałe szczątki władzy napoleońskiej w Italii i jednocześnie zburzyć przy tym wszystkie ogniska, gdzie tylko mogły zrodzić się rozruchy karbonarskie.

Paganini znał tylko te nowiny, które przynosiły gazety. Od czasu do czasu ukazywały się w nich krótkie i suche komunikaty. Jeden z nich zawiadamiał mieszkańców Mediolanu o przybyciu Napoleona jako gubernatora na wyspę Elbę. Drugi komunikat bardziej zaniepokoił Paganiniego: donoszono w nim o restytucji zakonu jezuitów. Przy czym Paganini w żaden sposób nie mógł przypuszczać, że wśród opinii dotyczącej wpływu nauki i sztuki na przywiązanie ludności włoskiej do Kościoła znajdzie się także sąd o jego osobie.

Kanonik Novi najpoważniej w świecie dowodził po pierwsze, że nazwisko „Paganini” pochodzi od słowa *paganus* – poganin, to jest człowiek oddający hołd fałszywym bogom; po drugie, pod przysięgą zapewniał, że prawdziwy Paganini zginął w więzieniu, a występujący obecnie na koncertach w Mediolanie człowiek jest zbiegłym galernikiem, którego wszystkie ruchy zdradzają długotrwałe zmęczenie spowodowane tym, że nogi jego były zakute w żelazne kajdany. Pokazywał portret zbiega, mówił o tym, że wyspa, na której człowiek ten po ucieczce z galer znalazł swe pierwsze schronienie – była miejscem pobytu jednego z potężnych, obdarzonych wielką władzą pełnomocników piekła i pod przysięgą zapewniał, że Paganini w zamian za odzyskaną wolność sprzedał diabłu duszę.

Ojcowie jezuiti zamknęli wszystkie francuskie szkoły w Italii. Wszystkie stowarzyszenia w ten czy w inny sposób mające związek z francuską młodzieżą i z francuską sztuką, były rozwiązane, a uzupełniając poprzednio wprowadzony zakaz szczepienia ospy, jezuiti pod groźbą więzienia zabronili w miastach takich innowacji, jak na przykład oświetlenie gazowe w Rzymie, które niezwłocznie zostało przez nich zniszczone.

Królem rzymskim mianowano małego syna Bonapartego; zawieziono go do Austrii i trzymano przy dworze wiedeńskim jak w więzieniu. Córce austriackiego cesarza, Marii Luizie, obecnie niepokieszonej słomianej wdowie po Bonapartem, przydano jako szambelana generała Neipperga, któremu ojciec Marii Luizy osobiście nakazał, by spełniał wszystkie życzenia jego owdowiałej córki, nawet i takie, o których nie wypadało jej mówić.

Były cesarz, przebywając na Elbie, wkrótce przestał otrzymywać listy od swej małżonki. Jeszcze raz nastąpiła burzliwa próba, która zakończyła się bitwą pod Waterloo. Jeszcze raz Joachim Murat, który stał się zwykłym wieśniakiem, próbował wylądować z rozbójniczej Korsyki na brzegu Zatoki Neapolitańskiej.

Kardynał Borghese napisał do Murata list, w którym donosił mu, że tron

restytuowanego we Francji Ludwika XVIII, Burbona, zachwiał się i że przyjaciele czekają na Murata.

Na brzegu oczekiwał już Murata angielski sąd wojenny i przedstawiciele Kościoła. Sąd był krótki. Były król Neapolu na brzegu neapolitańskim sam dał rozkaz żołnierzom, by strzelali. Zastrzelono go i pochowano bez honorów wojskowych.

Gwałtownym przemianom historycznym w Italii towarzyszył chrzęst ludzkich kości, gdy Paganini postanowił wyjechać z Mediolanu na południe, by dogonić Antonię Bianchi, która wbrew obietnicy nie przyjechała.

Paganini udał się w kierunku Bolonii, gdyż jego przyjaciele z teatru, w którym rok temu występowała signora Antonia, powiedzieli, że młoda piękność zamierza właśnie wyjechać do Bolonii. W miastach łatwo było tak wielkim artystom spotkać się i odnaleźć.

Stary Pantillio, baryton, od dawna już grający komiczne role w operach, obrzucał Paganiniego przenikliwym spojrzeniem. Owoce, kielichy z niedopitym winem, porozrzucane rzeczy – wszystko to świadczyło o niepokoju nieco większym, aniżeli należało okazywać przed wyjazdem.

Starzec wziął skrzypka na stronę i rzekł:

– Pan widocznie jest ciężko ranny. Proszę mieć się na baczności, przyjacielu mój! Gdy będzie pan w Neapolu, proszę zwrócić uwagę na śpiące marmurowe bóstwo w jednym z południowych pokoi muzeum książęcego. Czy głos pańskiej signory... pańskiej madonny – skorygował Pantillio – nie mówi panu o tym, że ma ona wszystkie cechy tego dwupłciowego bóstwa?

Paganini roześmiał się z wysiłkiem. Spojrzał w oczy staremu. Ten nie żartował. Przez całą drogę do Bolonii Paganini myślał o jego słowach. Dziwne uczucie towarzyszyło tym myślom: nie był to wstręt ani strach, lecz dziwna ciekawość.

W Bolonii signory Bianchi nie było. Drugim niepowodzeniem, które spotkało Paganiniego, było to, że znów przepadł mu prawie cały bagaż. Na szczęście oprócz skrzypiec Guarneriego, które i tym razem ocalały, cała jego kolekcja skrzypiec została w Mediolanie u signora Rolli. Tam też pozostawiony był na przechowanie pierwszy szkic statutu przyszłego „Związku Orfeuszów”. Żeby podreperować finanse, trzeba było koniecznie koncertować w Bolonii. Nadarzyła się świetna okazja. Bardzo młody kompozytor, piękny i wytworny młodzieniec, z manier swych z lekka przypominający Francuza, a być może, świadomie naśladowający Francu-

zów, Gioacchino Rossini, urodzony w Pesaro, razem z nim wystąpił na koncercie.

Paganini miał już wtedy trzydzieści dwa lata, Rossini zaś dwadzieścia dwa, gdy spotkali się po raz pierwszy na estradzie koncertowej tego szczęśliwego miasta włoskiego, ponad wszystko ceniącego sobie wesołość. Przed koncertem w trakcie czytania weneckich gazet rozpoczęły ożywioną rozmowę.

– Ach, Carpani! – zawołał Paganini. – Czy znacie tego osła, mianującego się poetą cesarskim w Mediolanie, czciciela Austriaków i papieża, nędznego wierszokletę, kompozytora oper, których nikt nigdy nie będzie wystawiał?

Obydwaj, zarówno Rossini, jak i Paganini, z rozkoszą wczytywali się w artykuł Carpaniego, w którym autor wiódł spór z jakimś Francuzem na temat biografii kompozytora Haydna, zmarłego sześć lat temu. Carpani oświadczył: „To ja byłem przy chorym Haydnie, a nie ten bezczelny Francuz”.

– Kimże jest ten bezczelny Francuz? – spytał Paganini.

– Jakiś Louis Alexandre César Bombet. Ciekawe imię. Jest ono zabawnym połączeniem imion przedstawiciela dynastii Burbonów, cesarza rzymskiego i Aleksandra Macedońskiego. Widocznie chrzestny ojciec i matka pana Bombeta odznaczali się zdecydowanymi poglądami monarchistycznymi.

W małym pokoju zebrali się aktorzy bolońscy, muzycy i melomani. Był wśród nich Francuz o pożółkłej twarzy, oficer armii napoleońskiej, pan Henri Beyle, lub jak nazywano go w Mediolanie, signor Arrigo Beyle. Przyjaźnił się z Rossinim, uwielbiał muzykę i oczywiście stanął po stronie Carpaniego. Lekko i dowcipnie dowiódł, że pan Bombet okradł skromnego lokaja gubernatora austriackiego.

– Ale pan tak mówi, jak gdyby chciał obronić złodzieja – rzekł Paganini.

Signor Beyle wzruszył ramionami. Rozmowa przeszła na inny temat. Tylko signor Beyle wiedział, że signor Louis Alexandre César Bombet i on to jedna i ta sama osoba. Jedyne signor Beyle, wypoczywający w Mediolanie, Bolonii i Wenecji po okropnościach pochodu moskiewskiego i przeprawy berezyńskiej, wiedział o tym, że książka o Józefie Haydnie i muzyce wiedeńskiej jest płodem jego pióra i jednocześnie pierwszym jego utworem literackim, a jeśli chodzi o dane biograficzne, to w całości były one przez niego przepisane z książki Carpaniego. Oto czemu z udaną wielkodusznością

cią bronił on signora Carpaniego w obecności dwóch muzyków, którym znacznie więcej podobała się biografia Haydna napisana przez pana Bombeta.

W czasie gdy zbierała się orkiestra, signor Beyle zszedł na parter. Wyjął notatnik z najdelikatniejszego, błękitnego barcelońskiego papieru i obok myśli o obszarze śródziemnomorskim, który uważał za kolebkę świata, zanotował swój sąd o Rossinim. „Jakież to zadziwiający muzyk ten Rossini... Być może, będzie on nowym Cimarosą” – pisał Beyle-Stendhal.

Koncert cieszył się wielkim powodzeniem. Bolończycy byli wytrawnymi znawcami muzyki i dzień ten pozostał w ich pamięci jako niezapomniana uroczystość.

Kilka wieczorów minęło na przyjacielskich rozmowach i spacerach. Artystka Gerardi, wypowiadając sąd o muzyce Rossiniego, twierdziła, że w najpiękniejszych partiach lirycznych sprzeniewierza się on prawidłom ortografii muzycznej. Signor Beyle zwrócił uwagę, że kiedy hrabiemu Rivarolowi usiłowano dowieść, że Wolter grzeszy brakiem znajomości ortografii, Rivarol odpowiedział: „Tym gorzej dla ortografii”.

– Wszyscy jesteście jakobinami – mówiła Gerardi zwracając się do Rossiniego, Beyle’a i Paganiniego – zepsuła was rewolucja.

Słowa te pozostały bez odpowiedzi. Każdy myślał o tym na swój sposób. Najmniej uważał się za rewolucjonistę Rossini. Paganini drgnął i wspomniął o *silanum* – o wieloletnim milczeniu organizacji konspiracyjnych.

Minął tydzień. Paganini mógł wyruszyć w dalszą podróż. W Bolonii trudno było zasięgnąć informacji niezbędnych dla odnalezienia ucieki-nierki.

Nagle po bolońskich koncertach ogarnęło Paganiniego dziwne znużenie. Zmienił całkowicie planowaną marszrutę i po tygodniu wysiadł na wybrzeżu w Wenecji.

Mżył deszcz, domy były spowite w lekką mgłę, pałace z różowego i błękitnego marmuru zlewały się w białawe plamy. Płytką, ciemną laguną, pleśń na fundamencie, zapach wodorostów i cuchnącej wody – wszystko to nieprzyjemnie zdziwiło Paganiniego, zaledwie wielka czarna gondola dopłynęła do hotelu „Luna”. Stary żebrak w łachmanach zatrzymał gondolę przy pomocy haka i natychmiast zażądał pieniędzy. Człowiek w skórzanym fartuchu wniósł rzeczy do nie opalonego numeru. Na ścianach widniały plamy wilgoci, otynkowanie wyłączonego sufitu było zniszczone, okno stłuczone, ogromną zasłonę wiszącą nad łóżkiem pokrywał kurz i pajęczyna.

Płaskie brzegi, na nich – nie zamieszkałe domy, które przeżyły swój czas, skąpa roślinność, podobna raczej do plam wodorostów na kamiennych fundamentach kryjących się pod wodą. Twarze robotnic huty szklanej, blade jak wosk, wyglądały jak twarze mumii.

Pierwszego dnia opanowało go uczucie nieznośnego ciężaru na duszy, znużenie i pragnienie spokoju. Pierwotny zamiar natychmiastowego wyjazdu na południe, by ujrzeć słońce, ustąpił miejsca tajemnej i podstępnej chęci, by najzwyczajniej odpocząć nie zwracając na nic uwagi: okryć się, zasnąć, wypiwszy wprzód *fiaskę* czerwonego wina. Gdy wyspał się, zapragnął ujrzeć Wenecję w świetle słońca. Deszcz ustał. Skroś białe obłoki wyzierało słońce, srebrne jak staroświeckie zwierciadło. W sennych kanałach odbijały się pałace, dziwne świątynie i słoczone na brzegu gmachy, balustrady i schody opuszczające się w zielononiebieską głębinę.

Pierwszy bezcelowy spacer trwał niesłuchanie długo. Cztery razy mijając most Fontego Paganini wyszedł nań po raz piąty w poszukiwaniu powrotnej drogi. Ani jednego przechodnia, martwa cisza. Lecz mimo to już nazajutrz Paganini odczuł, jaką moc przyciągania ma w sobie to miasto. Moc tę odczuł jeszcze silniej, gdy po raz pierwszy koncertował na wielkich salach signora Palfiego, słabo oświetlonych kandelabrami i równomiernie jarzących się światłem odbitym w setkach luster, w białej porcelanowej posadzce i w srebrnych ornamentach alabastrowego sufitu.

W Wenecji Paganini spędził rok. Po roku tym, podobnym do snu, powoli i nie bez bólu wracał do rzeczywistości. Ogarnęła go dziwna pasja: w Bibliotece Świętego Marka z rozkoszą czytał poemat mitologiczny Palefata: *Podanie o niezwykłych wydarzeniach*. Olśniły go przeczytane po raz pierwszy *Metamorfozy* Owidiusza; przeradzanie się żywych istot w nowe formy, umieranie tego, co żyje, ożywianie tego, co martwe, porwało jego fantazję w dziedzinę osobliwego odczuwania rzeczywistości. Wieczorna mgła wenecka przypominała kształty i zarysy miast, a kamienna Wenecja topniała nad wodami niczym obłoki i stawała się wizją. Muzyka zastępyła w dziwnych rytmach, barokowa architektura wenecka, najdziwniejsza gra stylów architektonicznych zeszłego stulecia – wszystko to kojarzyło się w fantazji skrzypka z przedziwnym utworem Owidiusza.

Stopniowo zaczął odczuwać Wenecję jako królestwo cieni, a woda w jego wyobraźni przekształcała się w wodę zapomnienia.

Mit o metamorfozach zmuszał myśli Paganiniego do krążenia nad jakąś krawędzią fantastyki, tam gdzie przeradza się ona w obłąd. Przyłapywał się

na dziwnej grze wyobraźni, kiedy znikła różnica pomiędzy głosem strun skrzypcowych a głosem signory Antonii, kiedy skrzypce przeistaczały się w kobietę, a kobieta – w skrzypce. I on sam, założyciel „Związku Orfeuszy” w Mediolanie, w cóż się przemienił w tym królestwie cieniów? W człowieka, który poświęcił swą duszę poszukiwaniom Eurydyki w Hadesie.

Rozdział dwudziesty

W poszukiwaniu Eurydyki

Jako punkt wyjściowy w poszukiwaniu utraconego szczęścia Paganini, jak doświadczony strateg i wódz, obrał sobie Turyn. Na czwarty dzień po wyjeździe z Wenecji wszystkie tajemnice i mgliste obrazy znikły. Szukał zupełnie realnej Antonii Bianchi i przeklinał siebie za to, że cały rok stracił w Wenecji. Zdrowie jego polepszyło się i czuł się znakomicie. W Turynie wystąpił z szeregiem wspaniałych koncertów.

Znów przyjaciele Antonii Bianchi mówili o jej wyjeździe do Bolonii.

Znów Bolonia i znów, jak wtedy, spotkanie z Rossinim. Rossini skomponował pełną słodkich melodii operę *Armide*, skończył *Kopciuszkę*, *Matilda di Chabran* będzie wystawiona w Rzymie. Paganini wybiera się z Rossinim do Wiecznego Miasta.

Oto już czekają na nich powozy, oto w małej kawiarni bolońskiej wypili ostatnią filiżankę kawy przed podróżą. I nagle dwaj wąsaci żandarmi kładą ręce na ramiona Paganiniego i bezceremonialnie nakładają mu kajdany na ręce. Bywalcy kawiarniani w jednej chwili rozbiegają się, a przez okna zagląдают gapie. Paganini, oniemiały z przerażenia, przechodzi od wściekłości do zdumienia i od zdumienia do wściekłości. Ulica pełna jest ludzi. Żandarmi pokazują Rossiniemu portret i znaki szczególne. Z galer uciekł przestępca – oto on.

– Kłamiecie, łajdacy! – krzyczy Rossini. – To nie żaden galernik. To wielki skrzypek Paganini, chluba naszej ojczyzny.

– Mówi pan „ojczyzna” – przerywa muzykowi oficer żandarmerii – wasza „ojczyzna” to monarchia jego cesarskiej mości cesarza Francyzka.

– Nasza ojczyzna to Italia! – woła Rossini i bije pięścią w stół.

Po chwili wszystko się ucisza. Przychodzi podesta, nieporozumienie się wyjaśnia. Signor Paganini odzyskuje wolność, żandarmi przepraszają go.

– Lecz jakże on jest podobny do tego galernika! – mówią do siebie kelnerzy w kawiarni. – To przecież jedna i ta sama twarz.

Kiwając głowami spojrzeli po sobie właściciele kawiarni i jego żona.

W Rzymie Paganini z zapałem wziął udział w wystawieniu *Kopciuszka*. Niezwykła słodycz, pełnia i harmonijność pieniających się i iskrzących dźwięków Rossiniego do tego stopnia zachwyciły Paganiniego, że pewnego razu, objawszy mocno młodego przyjaciela, ze śmiechem opowiedział mu swoje dzieje. Są to również dzieje *Kopciuszka*, opowieść o niekochanym przez rodzinę synu, o chłopcu, który utorował sobie drogę do sławy.

O wiele trudniej było z wystawieniem w Rzymie *Cyrulika sewińskiego*. Beaumarchais był uznany w swoim czasie, lecz popełnił nieostrożność, wyśmiawszy przedstawicieli zakonu Jezusowego. Jeśli za czasów ostatniego króla Beaumarchais o mało co nie trafił do więzienia, gdy spowiednik Ludwika XVI wyprosił podczas gry w karty u króla nakaz aresztowania tego pisarza, to obecnie w Rzymie niewiele brakowało, a zdarzyłaby się podobna historia z człowiekiem, który miał czelność napisać muzykę na temat *Cyrulika sewińskiego*. Zdawało się, że jakiś tajny rozkaz zmobilizował wszystkich księży Rzymu.

Zaczęło się od tego, że malarz wylał na odświętny surdut Rossiniego wiadro: żółtej farby. Przed podniesieniem kurtyny Paganini dostarczył swemu przyjacielowi śmieszny wigoniowy garnitur, który wisiał na kompozytorze jak na kiju. Mijały minuty, orkiestra była w komplecie. Rossini zakasywał zbyt długie rękawy, a Paganini patrzył tymczasem z przerażeniem na przepelniony parter teatru „Argentina”. Zdawało się, że teatr pełen jest księży. Zdawało się, że cała zwarta falanga księży i mnichów rusza do ataku na nieszczęsnego, nie spodziewającego się napadu kompozytora.

Garcia, śpiewający partię Almawiwy, lekkomyślnie pił wino wprost z butelki. Samboni, w roli Figara, nie mógł znaleźć swej mandoliny. Oto Rossini zjawia się w teatrze; ukazanie się jego z początku nie przyciąga uwagi publiczności, lecz gdy wchodzi po stopniach podium jak na szafot, ogólny śmiech widowni wita zeszepeconą przez ubiór postać kompozytora. Podniósłszy rękę, Rossini zaprasza orkiestrę do rozpoczęcia gry. Publiczność milknie, dźwięki wypełniają salę. Lecz oto pod oknami Rozyny

pojawia się Garcia, orkiestra cichnie. Almawiwa zaczyna śpiewać, lecz po pierwszym akordzie pękają wszystkie struny gitary wydając żalony, szarpiący uszy dźwięk. Po chwilowym milczeniu rozlega się na parterze ochrypty śmiech i krzyki. Ironiczne oklaski mieszają się z wyzwiskami. Wreszcie czyjaś litościwa ręka podaje spoza kulis skonsternowanemu Garcii drugą gitarę. W następnym akcie taka sama historia powtarza się z mandoliną signora Sambonięgo. Ta sama ręka podaje mu drugą mandolinę.

Podczas antraktu Paganiniemu ledwo udaje się namówić na wpół żywego Rossiniego, by wziął się w garść i doprowadził przedstawienie do końca. Następny akt zaczyna się bez przeszkód. Rossini opanował się i całkowicie pochłonięty jest natchnioną pracą dyrygenta. Następuje moment, w którym szpetny mnich don Basilio ma zaśpiewać arię o plotce. Śpiewak cofa się w kąt sceny, nie zauważywszy, że podstępne ręce przeciągnęły cienki sznurek na wysokości jego kolan. Potyka się i pada uderzywszy nosem o klawesyn. Krew leje się strumieniem po białym kołnierzu. Nieszczęsny aktor wyciera twarz połą długiego habitu. Parter szaleje. Duchowni rzymscy, jak kapłani w cyrku Nerona, wydają groźny okrzyk. Weseli ulicznicy z gwizdem i wrzaskiem nagle wpadają do teatru. Pokrwawiony mnich chwiejąc się schodzi ze sceny, a autor przerwanej opery, w przerażeniu zeskoczywszy z podium, jak szalony ucieka do domu. Orkiestra rozchodzi się. Opaci, klerycy, kanonicy i śpiewacy kościelni z zadowolonymi minami wychodzą z teatru. Zemścili się na Rossinim.

Mija kilka dni. Paganini siedzi u przyjaciela. Rossiniemu nie chce się wierzyć, że dyrekcja „Argentyny” z uporem wystawia codziennie *Cyrulika sewilskiego*, że opera przynosi pełną kasę. Z obwiązaną głową leży w swoim pokoju.

Pewnego razu o północy obudził Rossiniego dochodzący z ulicy hałas. Hałas ten coraz bardziej przybliżał się do okien jego pokoju. Przerażony muzyk uniósł głowę i zawołał Paganiniego. Skrzypek nie odezwał się. Rossini z przerażeniem usłyszał, jak hałasujący tłum wykrzykuje jego nazwisko: „Rossini, Rossini!” Muzyk szybko ubrał się i otworzył drzwi do pokoju przyjaciela. Paganiniego nie było, łóżko było zaścielone. Rossini wrócił do swego pokoju i schował się pod kanapę. „To są księża – pomyślał – zaraz będą mnie bić”. W tym momencie dały się słyszeć kroki na schodach. Oto już stukają do drzwi. Oto już wesole, jowialne głosy żądają, by otworzył. Rossini milczy. Wysunął głowę spod kanapy i z przerażeniem patrzył na drzwi. Słabę drzwi chwieją się pod ciosami potężnych pięści.

i nagle z kwadratowego otworu przy samej podłodze, wyciętego dla kota, wysuwa się groźny rudy łeb i tubalny głos woła:

– Rossini, obudź się! Triumfatorze, obudź się!

Oczy mówiącego zatrzymały się nagle na głowie Rossiniego, wyzierającej spod kanapy. Rudy człowiek odskakuje od drzwi. Rozlega się wybuch śmiechu. Rossini wyłazi szybko spod kanapy, strząsa z siebie kurz i z miną zaspanego człowieka otwiera drzwi. Wychodzi na korytarz. Tłum w jednej chwili się ucisza. Z tłumu wychodzi czterech ludzi i jeden z nich w imieniu wszystkich wygłasza powitalne przemówienie winszując Rossiniemu niezwykłego sukcesu *Cyrulika sewińskiego*. Rossini zapanował nad sobą. Skłonił się ze spokojną godnością. Lecz tłum nieoczekiwanych przyjaciół miał swój program działania. Przyszli z teatru natychmiast po przedstawieniu. Napełnili ulicę światłem płonących pochodni. Chwycili Rossiniego i ponieśli go na rękach do *trattorii* zabawnie nazywającej się „Est, Est, Est”. Rzymska uczta ku czci Rossiniego trwała trzy dni.

Gdy fetowanie się skończyło, Paganini mógł z lekkim sercem pozostawić przyjaciela w Rzymie.

Przed wyjazdem Paganiniego Rossini w milczeniu pokazał mu gazetę.

W Wenecji Paganini dał jeden ze swych lepszych koncertów. Stary, czcigodny skrzypek Spohr bawił wówczas w Wenecji. W gazecie wydrukowany był jego artykuł, poświęcony Paganiniemu.

– Tak, byłem u Spohra – odparł Paganini na pytanie Rossiniego – spędziłem u niego cały ranek. Wydało mi się to naturalne, że powinienem nawiązać stosunki z muzykami. Byłem u niego po wyjeździe do Triestu. Zapraǳiałem odpocząć od wrażeń weneckich i od owej aury, która usypiała mnie przez cały czas mojego pobytu w tym mieście.

Paganini przeczytał:

„Dziś wczesnym rankiem odwiedził mnie Paganini i w ten sposób nareszcie miałem możność poznać tego legendarnego człowieka, o którym od czasu, jak przejechałem granicę Italii, opowiadano mi niesłychane rzeczy. Zachwyca się nim cała Italia. Mimo że tego rodzaju koncerty u nas w Europie nie przyciągają zbyt wiele publiczności, okazuje się jednak, że Paganiniego słuchają bardzo chętnie i nawet tuzin jego koncertów daje pełną kasę. Informowałem się dokładnie, czym właściwie taki skrzypek jak Paganini mógł oczarować publiczność, i stale otrzymywałem odpowiedzi świadczące o tym, że ludzie ci zupełnie nie znają się na muzyce. Zaczynają od zachwytów. Nazywają go nie inaczej tylko magiem, czarodziejem, twórcą dźwięków, których jakoby nigdy przedtem nikt nie dobywał ze

skrzypiec. Oto są słowa szerokiej publiczności o grze Paganiniego. Posiadający zaś muzyczne wykształcenie specjaliści, aczkolwiek przyznają, że skrzypek ten ma zwinne ręce, twierdzą jednocześnie, że właśnie to, czym chce on zadziwić publiczność, poniża go, sprowadzając signora Paganiniego do poziomu zwykłego szarlatana, i w żadnym wypadku nie kompensuje jego wad, a mianowicie: braku wielkiego, szerokiego tonu i muzycznie rozwiniętej intuicji podczas wykonywania kantylemy. Wszystko to przypomina cuda starego niemieckiego, prowincjonalnego sztukmistrza Schellera. Nieuprzejmym i ordynarnym zachowaniem Paganini spowodował, że wielu spośród miejscowych melomanów stało się jego osobistymi wrogami, i właśnie ci, po tym, jak zagrałem im coś niecoś w swoim mieszkaniu, przy każdej sposobności podnoszą mnie pod niebiosa, by zrobić przykrość temu samochwałowi Paganiniemu. Jest to niesłuszne, gdyż w żadnym wypadku nie można porównywać mnie z Paganinim. Prócz tego szkodzi mi to, ponieważ wszyscy entuzjastyczni wielbiciel Paganiniego stają się moimi wrogami. Ludzie niezyczliwi Paganiniemu umieścili w gazecie notatkę o tym, jakoby wskrzesił we Włoszech czarującą, niezrównaną, klasyczną grę starej szkoły, którą w odróżnieniu od Paganiniego kultywowali rzeczywiście prawdziwi skrzypkowie włoscy: Pugnani, Tartini, Corelli i inni. Notatka ta, zamieszczona w dzisiejszej gazecie bez mojej wiedzy, przyniesie mi więcej szkody niż korzyści, weneccjanie bowiem i szeroka publiczność, niestety, mają niezłomne przekonanie, że nikt nie może współzawodniczyć z Paganinim”.

Paganini opuścił gazetę.

– Ale przecież Spohr ani razu nie słyszał mojej gry, gdyż nie był na ani jednym moim koncercie!

– A tyś był na jego koncertach? – zapytał Rossini.

– Nie – odparł Paganini – niemiecka znakomitość muzyczna po przyjeździe do Wenecji nie dała ani jednego koncertu.

– Nie wiesz czemu? – spytał Rossini.

Paganini wzruszył ramionami.

– Tak – rzekł Rossini – masz zupełnie szczerą minę, lecz wiesz, co mnie boli? Zagroziłeś drogę Spohrowi, który nie o wiele jest od ciebie starszy. Razem z tobą nie wolno mu było wystąpić w Wenecji. Bez ciebie uwieńczono by go laurami i obdarzono oklaskami, lecz przy tobie nie mógł nawet ukazać się na estradzie. Maestro, pan nie wie, do jakiego stopnia talent pański, krocząc po naszej grzesznej ziemi, spala wszystko na swej drodze.

– Co za słowa! – rzekł Paganini. – To dziwne, bo mówiono mi o Spohrze

jako o człowieku uczciwym. Odznaczał się co prawda niemiecką pychą, lecz to wystąpienie w gazecie jest postępkami nieuczciwym i świadczącym o bezsilności. Dobrze, że nie czytałem gazet weneckich, byłem pogrążony w lekturze heroicznych historyków i mitografów. Czytałem poetów łacińskich. Wiesz co, przyszło mi nagle na myśl, że zapomniałem powiedzieć ci o pojawieniu się niezwykłego poety. Jest nim lord angielski, który podróżywał po Wschodzie.

– Byron? – przerwał mu Rossini. – Słyszałem o nim. Mieszka obecnie w Mediolanie.

Nagle twarz Paganiniego spoważniała.

– Niepokoi mnie wypadek w Bolonii – rzekł – przecież istotnie jest to mój portret.

Rossini drgnął i spojrzął uważnie w oczy przyjacielowi. Przypomniał sobie wszystko, co słyszał o utajonym życiu Paganiniego. Skrzypka nazywano człowiekiem o podwójnym życiu. Mówiono o nim, że jest niebezpiecznym karbonariuszem i wrogiem Kościoła. Rossini ufał zawsze tylko swym wrażeniom, ale życie jest przecież pełne niespodzianek.

Wkrótce Paganini spotkał się z nowym przejawem otwartej niechęci. Gdy znów przybył do Mediolanu i został obrany prezesem „Związku Orfeuszy”, skrzypek francuski Lafont wyraził życzenie, by przyjęto go na członka związku. Zawarli znajomość. Skrzypek francuski uwielbiał Kreutzera i już podczas pierwszej rozmowy każde jego słowo pełne było zachwytu dla tego muzyka.

– Którego Kreutzera pan lubi? – zapytał Paganini. – Przecież jest ich dwóch.

– Zupełnie słusznie – dwóch rodzonych braci, Rudolf i August. Obydwaj urodzili się w Wersalu, a obecnie mieszkają w Paryżu. Moim nauczycielem jest skrzypek August Kreutzer, a czczonym przeze mnie kompozytorem jest Rudolf Kreutzer, ten sam, któremu Beethoven poświęcił swoją sonatę skrzypcową.

Paganini skinął głową.

Wkrótce w gazetach mediolańskich ukazała się anonimowa notatka, stwierdzająca, że skrzypek francuski jest większym artystą niż przewodniczący „Związku Orfeuszy”. „Pierwsze dźwięki skrzypiec pana Lafonta niewątpliwie przepędzą jak nocnego nietoperza tego lemura ze skrzypcami, który zaraził wszystkie nasze miasta obłądnym czarem” – pisał autor notatki.

– Co pan na to powie? – zapytał Lafont spotkawszy się z Paganinim.

– Gotów jestem przyjąć wyzwanie. Lecz proszę mi powiedzieć, który z pańskich przyjaciół napisał tę notatkę?

Paganini spochmurniał, twarz mu posmutniała. Zatrzymał Lafonta:

– Pan tak ujmuje tę sprawę, że zaczynam podejrzewać pańskich przyjaciół... A więc co będziemy grali, jeśli wystąpimy razem na koncercie?

– Zagramy sonatę, którą grał Kreutzer ze znakomitym Rode.

Nie zwlekając z przygotowaniem wyznaczili występ za tydzień.

Paganini prowadził się lekkomyślnie. Wyjeżdżał za miasto, by słuchać na wsi *Echa Simonetty*, obserwował tam czarnowłosego, z lekka kulejącego człowieka o niezwykle pięknej twarzy i wielkich czarnych oczach, który pasjonował się dziwną rozrywką. Lokaj przynosił mu na srebrnej tacy pistolet, a pan jego strzelał w powietrze. Tysiąckrotne echo powtarzało wystrzały.

– Angielski lord bawi się – rzekł pewnego razu jakiś nieznajomy i skinął w stronę, w którą patrzył Paganini. – To lord Byron.

Inaczej spędzał czas pan Lafont. Gdzież podziiała się francuska niefrasobliwość, którą zawsze odznaczał się ten wyjątkowy skrzypek i człowiek cieszący się wszędzie wielkim powodzeniem! Zasięgał informacji u służby, posyłał do hotelu kelnera Austriaka, który dowiadywał się, ile godzin dziennie gra signor Paganini. Paganini wcale nie ćwiczył. Można z pewnością powiedzieć, że miejscowi lekarze mediolańscy skonstatowali u signora Paganiniego bardzo dziwny objaw gorączki nerwowej. Każdy występ sprawiał mu ból fizyczny. W domu nie brał on nigdy skrzypiec do rąk. Lafont zaczął się obawiać.

Lecz oto nareszcie nastał dzień koncertu.

Zjechali się najznakomitsi kronikarze gazet europejskich, antreprenerzy teatrów wiedeńskich, komisjonerzy muzyczni, żerujący na cudzym talencie, i kilku ciekawych pasożytów, dla których jednakową cenę mają niepowodzenia i sukcesy geniusza, byleby mogli się pożywić okruchami z jego stołu, byleby mogli spitrasić sześćdziesiąt wierszy kroniki i bezczelnie rozwiązawszy krawat, z butną miną pogadać o tym, że geniusz nie okazał się na wysokości zadania, i chociażby na chwilę poczuć, że górują nad Paganinim.

Z ciężkim sercem wszedł Paganini do pokoju artystów.

Wesoły, cudaczny skrzypek z długimi włosami, ubrany w szary półsurdut, szare pasiaste pończochy i szare pantofle, w czerwonych spodniach i co najdziwaczniejsze z Orderem Legii Honorowej w klapie, podszedł do rywala ze słowami powitania.

Pierwszy grał Paganini. Zapomniał o współzawodnictwie, grając, jak

zwykle, z ogromnym napięciem sił i z tą zewnętrzną lekkością, która zadziwiła i czarowała słuchaczy. Grał elegijną, pełną prostoty, kompozycję Corellego. Fakt, że Paganini wybrał na ten koncert rzecz tak łatwą, sprawił słuchaczy w zdumienie graniczące z obojętnością. Wyszedł Lafont. Paganini słucha go z zachwytem. Głębia i subtelność jego gry coraz bardziej zyskują sobie sympatię słuchaczy. Sala rozbrzmiewa oklaskami, publiczność, wrogo usposobiona do Paganiniego, szaleje. Sala wyteżyła słuch, publiczność całymi rzędami wstaje z miejsc. Następny utwór grany przez Paganiniego wywołuje żywą reakcję jego włoskich wielbicieli; dołączają się do nich przyjezdni wiedeńscy. Ostrej i szyderczej muzyce towarzyszy burza oklasków jednej partii i wybuch oburzenia drugiej. Sala przeistacza się w pole bitwy. Rozlegają się głosy: „Paganini poddaje się!”

W drugiej części pełen temperamentu Francuz zaczyna górować nad włoskim skrzypkiem nieoczekiwaną wirtuozerią. W trzecim numerze programu Francuz już prawie triumfuje, lecz przychodzi kolej na czwarty, piąty i oto wreszcie szósty – sonatę Kreutzera. Co stało się z Lafontem? Gra ospale, publiczność nie czuje prawie jego gry, ogólny śmiech rozlega się na galerii. Lecz oto wychodzi Paganini i gra tę samą sonatę.

Następuje tak niesamowita cisza, że każdy słyszy bicie swego serca. Serce przeszkadza słuchać skrzypka, ręce przyciskają się do piersi, dech zapiera i nagle po fermacie cała sala pojmuje ten zręczny manewr gimnastyka, boksera, gladiatora, który przed nastaniem decydującej chwili ustąpił przeciwnikowi wszystkich pozycji, a im silniejsze było pierwotne wrażenie porażki Paganiniego, tym jaskrawiej ujawniła się całkowita jego przewaga. Paganini stał bez słowa, szeroko rozłożywszy ręce, trzymając w lewej skrzypce i smyczek; gestem tym wyrażał jakby poddanie się osądowi wszystkich słuchaczy.

Stary rzymski zwyczaj opuszczania w dół kciuka z okrzykiem „precz” nagle znalazł nowe zastosowanie w tym turnieju. Do czystego upojenia wielką i wzniosłą sztuką dołączył się nagle patriotyzm włoski. Zapominając o kurtuazji obywatele włoscy krzyczeli: „Niech żyje Italia! Niech żyje Paganini! Niech żyją pierwsze skrzypce świata! *Eviva maestro insuperato!*”

Obecny na koncercie oficer austriacki nachmurzył się. Macha ręką biletowowi, przywołuje oddział policji austriackiej i wskazuje na łożę, w której siedzi monsignor Lodovico Breme, signor Federigo Confalonieri, a obok nich jego mały sekretarz Silvio Pellico i poeta Monti. To stamtąd rozległ się okrzyk: „Niech żyje Italia!”

Scena zmienia się szybko. Obaj – Francuz i Włoch – wielkimi krokami zbliżają się do siebie z wyciągniętymi ramionami. Francuz wyciąga rękę do Paganiniego. Przeciwnicy obejmują się i pod rękę wychodzą na proscenium. Trudno teraz pojąć, do kogo odnoszą się owacje. Po dziesiątym wyjściu na proscenium kurtyna opada.

Impresario krąży koło Paganiniego, który udaje się z estrady do pokoju artystów, i próbuje mu coś szepnąć. Paganini nawet go nie spostrzega, potem rzuca pogardliwie „nie” i znika.

Francuz otrzymuje podwójne honorarium, zapewniające mu roczną podróż po Europie.

Poszukiwania Eurydyki okazały się bezskuteczne. Nie było jej ani w Turynie, ani w Mediolanie, ani w Bolonii. Minął miesiąc. Dwaj przechodnie na ulicy w Mediolanie przypadkowo wspomnieli w rozmowie nazwisko Bianchi i Florencję. Mówili może o signorze Federigo Bianchi albo o signorze Albertynie Bianchi lub też o rzeźniku florenckim na Via Ricasoli, grubym i rumianym signorze Bianchi. Paganini ich nie pytał. Z rana udał się do Florencji.

Owego dnia koncertował tam polski skrzypek Lipiński. Obaj skrzypkowie po przyjacielskim spotkaniu urządzili dwa wspólne koncerty, po czym Paganini namówił Lipińskiego, by pojechał z nim do Piacenzy i Genui.

Rozmawiając o muzyce i o tym, co budziło wówczas zainteresowanie w świecie muzycznym, nieraz wracali do sporu, który powstał w Paryżu i podniecił wszystkich muzyków europejskich. Chodziło o spór między dwoma mistrzami muzyki – odznaczającym się głębią myśli Gluckiem, twórcą *Orfeusza*, a „lekkim melodystą”, Piccinim. Paganini nie rozumiał sporu. „Hołd dla pięknego dźwięku i hołd dla idei muzycznej” do tego stopnia w jego wykonaniu uzupełniały się nawzajem, że tak samo rozumiał muzykę Picciniego, jak i Glucka. Były to „sensowne” utwory. Lecz bezsensowny i śmieszny wydawał się spór gluckistów i piccinistów. Określenia te uważał za terminy komiczne, nadające się do opery buffo.

Okręt afrykański przywiózł do Neapolu cholera.

– Szatan przysłała nam tych podróżnych – krzyczał właściciel domu, w którym mieszkał Paganini, i mimo zapewnień znakomitego skrzypka, że nie można go uważać za podróżnika morskiego, gdyż przyjechał z Rzymu dylizansem, gospodarz był nieubłagany. Paganini postanowił nie poddawać się. Wtedy gospodarz, starszy syn gospodarza, młodszy syn, córka i gospodyni, uzbrojeni od stóp do głów w oręż kuchenny, stanęli w drzwiach pokoju Paganiniego. Wynieśli na ulicę jego łóżko, położyli na nim niewielki

dobytkek, a na samym wierzchu znakomite skrzypce Guarneriego. Zaczął się padać deszcz. Paganini wybiegł z pokoju, okrył swój skarb i musiał pozostać na ulicy, jako że wzgórze strategicznie zajął przeciwnik. Drżąc pod zimnym, nagłym deszczem jesiennym, bezradny jak dziecko, stał na ulicy dopóki Lipiński, który przyszedł do niego w odwiedziny, nie dał mu schronienia w swoim mieszkaniu.

Paganini zachorował. Podczas choroby dowiedział się o okropnych wydarzeniach, które miały miejsce na północy. W Turynie wybuchło powstanie, podobnie jak rok temu w Neapolu. Mówiono o tym szeptem, dokładnych więc informacji Paganini nie miał.

Gdy rozstawszy się ze swym polskim przyjacielem przyjechał do Mediolanu, przeraził się tym, co zastał. Zakończone klęską powstania karbonariuszy, które wybuchały w rozmaitych terminach i bez uzgodnienia działań organizacji północnych i południowych, doprowadziły do licznych aresztowań. Aresztowany przez karbonariuszy król Neapolu, zwolniony po złożonej przysiędze, że będzie wierny narodowi, teraz przy pomocy połączonych korpusów wojsk cudzoziemskich znów zawładnął tronem. Wskutek łatwości wodzów karbonariuszy szybko stłumione zostały powstania w Turynie i Mediolanie.

Signor Federigo Confalonieri, Silvio Pellico, Maroncelli wraz z tysiącami innych obywateli zostali przez władze austriackie osadzeni w więzieniu.

Na ruch karbonariuszy Kościół odpowiedział zorganizowaniem oddziałów kalderariuszy-kotlarzy. Agenci jezuicy zwerbowali na pomoc Kościołowi zwykłych bandytów grasujących po drogach oraz drobnych i wielkich złodziei.

Otrzymawszy błogosławieństwo Ojca Świętego oddziały kalderariuszy zabrały się do roboty. Przedwstępna praca polegała na zdobywaniu informacji. Na placach stawiano urny, do których wrzucano spisy podejrzanych. Ksiądz stojący tuż koło urny na miejscu rozgrzeszał donosiciela. Spisy były odczytywane w największej tajemnicy, a po pewnym czasie ludzie podejrzani o należenie do stowarzyszenia karbonariuszy znikali.

Przemierzywszy kołami własnej karety, którą w końcu musiał nabyć, całą Italię, Paganini znów zatrzymał się w Mediolanie. Tu Rolla doręczył mu list, który czekał na niego. Rozdzierając pośpiesznie kopertę, Paganini poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

Nad ranem mknął na południe i przez całą drogę odczytywał słowa listu, które nim wstrząsnęły.

„Czyżby to była miłość? Czy ona mnie naprawdę kocha?” – zapytywał siebie z drzeniem. Nie zastanawiał się już, czy sam ją kocha.

Z mocno bijącym sercem zbliża się do małego domku, stojącego obok Schodów Hiszpańskich. Na szczycie w świetle księżycy lśni kościół Trinita dei Monti, wędrowna orkiestra gra na kobzach, dziewczyna w białej sukni i młodzieniec w błękitnym surducie i w niebieskim kapeluszu całują się mocno, rozstając się na rogu zaułka. Paganini stuka do drzwi. Stuka po raz drugi. Rozlega się niezadowolony, mrukliwy głos:

– Kto tam?

Paganini pyta, czy może zobaczyć się z signorą Bianchi. Drzwi z lekka się otwierają.

– Signora Bianchi wyjechała już trzy dni temu.

– Co?

Starucha zatrzaskuje mu drzwi przed nosem. Paganini kładzie na ziemi małe zawiniątko, stanowiące jego bagaż, i zupełnie wyczerpany siada na nim, ukrywając twarz w dłoniach. Brama skrzypi, starucha wychodzi i zbliża latarnię do jego twarzy.

– Jak się pan nazywa?

Otrzymałszy odpowiedź, wręcza Paganiniemu uperfumowaną różową kopertę. Paganini daje jej lira, na twarzy staruchy zjawia się coś w rodzaju uśmiechu. Paganini prosi, by mu poświęciła, i czyta list, trzymając go w drżącej ręce. Signora Bianchi wyznacza mu schadzkę w Neapolu. Liścik brzmi krótko: „Czekam w Neapolu. W hotelu «Słońce»”.

Od rana znów gonitwa, pod wieczór drugiego dnia – w świetle księżycy – jest u celu. Wpuszczają go do domu, proszą, by zaczekał. Signory Bianchi w hotelu nie ma, jest w oddzielnej oficynie, zamieszkaną przez gospodarza. Powiedziano mu, że się zaraz dowiedzą. Paganini siedzi w pokoju o jakimś nieokreślonym wyglądzie i umeblowaniu. Serce bije mu, obliczając ostatnie sekundy rozłąki, jak gdyby chciało przyspieszyć bieg czasu. I nagle do pokoju wlatuje młoda dziewczyna w białej sukni, wesoła i śmiejąca się, podśpiewując w takt walca: „Paganini, Paganini, Paganini!”

– Dziwaku! – dziewczyna zrobiła przed nim jeszcze jeden piruet i klasnęła w dłonie przed samym jego nosem: – Na próżno pan czeka, ptaszyna pofrunęła dziś rano do Palermo.

Oto na zakręcie drogi wielki afisz z portretem Paganiniego. Napis: „Nowy Orfeusz, nieprześcigniony mistrz – *maestro insuperato*”. „Przecież to zeszłoroczny afisz” – myśli Paganini. Ale nie, to afisz koncertu, który odbył się trzy dni temu.

- Co takiego?! – Paganini chce zatrzymać stangreta i kiwa głową.
- Tak! Tak! – woła on. – Dobrze, że pan wraca.
- Jak to, a więc tamten pojechał na północ?
- Kto taki?

Niepokój ogarnia Paganiniego. Ktoś grał podszywając się pod jego nazwisko. Któż to taki, co to za dziwny samozwaniec?

Im bliżej Palermo, tym jest goręcej. Złość czyni serce okrutnym, gdy zmiana koni trwa dwie, trzy godziny i wreszcie osiemnaście godzin. Oto cała noc daremnego oczekiwania i oto morze. Oto południe Italii, oto agawy wysokości ludzkiego wzrostu.

Pasterze w olbrzymich kapeluszach, ze strzelbami na ramieniu, objeżdżają stada. Ponure brązowe twarze. Pióra we włosach. Ludzie o garbatych nosach i orlim wzroku, ruchliwi i kształtni. Kapłani podobni do zbójów i zbóje podobni do księży. Oto na koźle siada specjalny konwojent z muszkietem. Za tego konwojenta dopłacić trzeba piętnaście lirów, jest to przymusowa straż. „Jeśli nie wziąć, będzie gorzej” – zakomunikował Paganinemu jakiś człowiek w hotelu. I oto wreszcie krótka podróż po morzu. Bezwietrzna pogoda i wielkie, zielone fale.

Palermo. Dalej uciekać nie ma dokąd, dalej jest morze i brzeg Afryki. Dalej – Tunis, Algier i piaski pustyni. „Jeśli ucieka ona od siebie samej – myśli Paganini – będzie to trwać przez całe życie. A jeżeli ode mnie?”

Jak ostrze przesywające mózg błyska myśl, raczej – wspomnienie, ściślej – obraz. Prostokątny kamień jak nągrobek, a na nim w małym pokoju muzeum neapolitańskiego leży biały, marmurowy, wyciągnięty na całą długość hermafrodyta.

Sycylijczycy są wielkimi amatorami muzyki. Na koncerty do teatru w Palermo uczęszczali przeważnie marynarze, oficerowie austriaccy i przypadkowi podróżni. Rodzina Abd ar-Rahmana, ojciec i czterech synów, zajmowała stale krzesła w pierwszym rzędzie.

Afiszę zapowiadające muzyczno-wokalne występy Antonii Bianchi i Nicola Paganiniego pojawiały się coraz rzadziej. Signora Antonia była zazdrosna o sławę muzyczną. Po trzecim koncercie zaczęły się kłótnie. Małżonka uważała, że skrzypek powinien tylko akompaniować śpiewacze. Paganini śmiał się, dowodząc jej, że w ich stosunkach w ogóle nie może być

mowy o akompaniamencie, gdyż oboje wykonują samodzielne partie. Lecz potem chętnie ustępował.

Jakiś niezwykły blask oczu i nowy rumieniec rozkwitły na policzkach Antonii rzuciły mu się wkrótce w oczy i zrozumiał, o co chodzi. Antonia to potwierdziła. Na wsi koło Pestum, w górach, mieszkała jej ciotka. Kobiecie w poważnym stanie niezbędna jest pomoc kobieca.

Stara, mrukliwa, garbatonosa o twarzy Sybilli, z wyraźnymi oznakami płynącej w jej żyłach greckiej krwi, ciotka Antonii zaprzyjaźniła się z Paganinim. Podobał się jej człowiek mający tak cięty język, podobało jej się, że z niecierpliwością oczekuje dziecka, że jest bogaty i niezależny, i bardzo rychło zdążyła się pokłócić ze swą siostrzenicą przez to stałe i nadmierne chwalenie signora Paganiniego. Jedna sprzeczka, i to z bardzo błahego powodu, tylko raz zmaćla jej stosunki z nowym członkiem rodziny. Ciotka dziwiła się, że signora Antonia wcale nie grymasi: kobieta ciężarna powinna być kapryśna. Paganini prosił staruchę, by nie sugerowała Antonii takich niebezpiecznych myśli.

Jednakże sugestia podziałała, signora Antonia postanowiła kaprysić.

Pierwsza kłótnia wybuchła w związku z wiadomością, że na północy Italii zginęło wielu przyjaciół Paganiniego. Kłótnia trwała dwa dni, małżonkowie nie rozmawiali z sobą. Signora Bianchi nagle z oburzeniem zaczęła potępiać współczucie małżonka dla powstańców. Kategorycznie oświadczyła, że „własnymi rękami udusiłaby każdego karbonariusza”.

W Palermo signor Paganini zżył się z małym kółkiem znajomych. Wśród kilku rybackich chałup niedaleko od miasta lubił szukać wypoczynku. Tam, jak mówił, otrzymuje największą nagrodę za grę na skrzypcach, gdy setki sycylijskich rybaków zjeżdżają się i ustawiają w półkole w małej zatoce, by go słuchać. Były to koncerty na otwartym powietrzu w ciche, bezwietrzne wieczory, gdy kolorowe żagle łódek wracających z połowu płoną jaskrawymi plamami w promieniach zachodu.

23 lipca 1825 roku przyszedł na świat Achillino Paganini. Ze wszystkiego, co wiemy o życiu skrzypka, tylko ta data jest absolutnie pewna. Nawet co do ustalenia daty narodzin Nicola Paganiniego biografowie nie są zgodni. Panegiryczny życiorys, napisany przez wielbiciela wielkiego skrzypka, Schottky'ego, własne listy muzyka oraz późniejsze badania i dokumenty w małym tylko stopniu umożliwiają ustalenie dokładnej chronologii jego dzieł i życia. Lecz data urodzenia dziecka zgadza się absolutnie wszędzie: miało to miejsce 23 lipca 1825 roku.

Eurydyka przeobrażona

Po pierwszym uśmiechu, jaki zjawił się na ustach dziecka, Paganini popadł w ekstatyczny, nieomal że modlitewny stan. Zdawało się, że cały świat gdzieś się oddala, a życie ześrodkowało się w tych błękitnych oczach. Zaślepienie Paganiniego było tak wielkie, że nie widział zupełnie niezadowolonej żony, uskarżającej się na to, że ma nadszarpnięty głos. Nie spostrzegął zazdrości kobiety, której dziecko ukradło czułość męża.

Jeszcze na długo przed urodzeniem się Achillina signora Antonia marzyła o podróży na północ i koncertach w Europie. A teraz skazana była na wysłuchiwanie zachwyków męża nad życiem w Palermo, opowieści o tym, jak to w dzieciństwie zaziębził się wśród śniegów i jezior alpejskich, w zimnym klimacie Cremony, i że od tego czasu nie może się ogrzać, że potrzebny mu jest żar sycylijskiego słońca.

Paganini rozkoszował się spokojem życia w Palermo. Zdawało mu się, że znów pogrąża się w sen podobny do tego, jaki prześnił niegdyś w Lukce.

Lecz zamiast Armidy była Eurydyka przemieniająca się stopniowo w Medeę i szybka ta przemiana dała Paganiniemu możliwość dostrzec, jak na zgrubiałej od opalenizny twarzy małżonki kładą się cienie dojrzałości i jak między policzkami a górną wargą zarysowują się cienkie zmarszczki, mogące przekształcić gniewną głowę Medei w głowę Megery.

Wieczorami Paganini wynosił syna na brzeg morza. Dzieci rybaków przybiegały pokazując mu złociste i jaskrawozielone rybki, cudaczne wodorosty i gwiazdy morskie. Achillino wyciągał rączki, lecz zaledwie kwiatek morski poruszył płatkami, chłopczyk natychmiast cofał rączki z wesołym przestraczem i wybuchał dźwięcznym, dziecinnym śmiechem. Achillino miał już czwarty rok, gdy beczynne życie zaczęło nudzić nadmiernie otyłą signorę Antonię. Zaczęła jej dokuczać jednostajność wrażeń. Listy, które otrzymywał Paganini z północy od nie znanych Antonii przyjaciół, już przychodziły rzadziej i Paganini stawał się coraz posępniejszy, gdy zaczynała ona rozmowę o podróży na północ. Stosunki między nimi pogorszyły się do tego stopnia, że jedynie obawa przed rozwodem i utratą dziecka skłoniła Paganiniego do ustępstw.

Była to chwila przełomu. Poczujesz nagle przyplływ wielkiego twórczego

natchnienia Paganini w ciągu jednego dnia przygotował się do wyjazdu i ruszył na północ, załadowawszy na okręt karete i konie, poza tym zabrał ze sobą ciotkę, niankę, pieska ciotki i cztery zielone kanarki. Kanarki te były ulubionymi zabawkami małego Achillina.

W górach Kalabrii spotkała ich przykrość, która codziennie czyhała na Paganiniego. Paganini nie wyszedł z karety, gdy przeciągała procesja. Nie przeżegnał się, nie okazał należytego szacunku dla Kościoła. Z rozkazu księdza żandarm wiejski zatrzymał karete. Konie rzuciły się na bok, dziecko obudziło się, ptaki zaszczebotały w klatkach i zaszczekał piesek: Płacz obudzonego dziecka wyprowadził Paganiniego z równowagi.

– Czego chce ten klecha? – zapytał głośno.

Żandarm zażądał okazania dokumentów, odnotował nazwiska podróżnych i ze złowieszcym milczeniem zwrócił Paganiniemu dokumenty.

Wieczorem przyjechali do Neapolu.

Kiedy wjechali do miasta, w urzędzie celnym stary siwowłosy celnik zdziwił się:

– Signor, w ciągu jednego tygodnia pan odmłodniał!!! – Paganini spojrział na niego zdumionymi oczami. Celnik, kłaniając się, cofnął się z zażenowaniem, nie chcąc odwracać się plecami do wielkiego skrzypka.

Odźwierny hotelu „Słońce” na ulicy Konstantynopolskiej otwierając bramę podróżnym zawołał:

– *Maestro, eccellenzia*, jakże pan odmłodniał.

„Ci neapolitańczycy oszaleli” – pomyślał Paganini.

Lecz oto w ogólnej jadalni wisi ogromny afisz, zapowiadający, że wielki skrzypek Paganini, który dopiero co przyjechał z Salerno, zamierza dać koncert. Paganini chwytając talerz, rzuca go na podłogę, zrywa obrus i krzyczy:

– Cóż się to dzieje w waszym Neapolu!

Zdenerwowany właściciel hotelu przybiega do jadalni:

– Czym mogę służyć signorowi? O co chodzi, signor?

Signor pokazuje mu afisz wiszący na ścianie.

– Tak, tak – mówi gospodarz z taką miną, jak gdyby swoją wiadomością zamierzał bardzo ucieszyć Paganiniego. – Został aresztowany, aresztowany trzy dni temu. Okazał się buchalterem z Salerno, który grał na miejskich weselach w Amalfi, Atrani i Ravello.

Paganini wali pięścią w stół:

– W Lacavie, w Salerno, w Neapolu i Pesto, żeby was wszystkich diabli

wzięli... – i dodaje kilka dawno już zapomnianych wyrazów ze słownika schroniska.

Pierwszy koncert przyniósł nową niespodziankę. Paganini nie poznawał starych neapolitańczyków, którzy byli niegdyś takimi wielbicielami jego sztuki. Część publiczności jak dawniej gorąco go oklaskiwała, lecz Paganini zauważył, że pierwsze cztery rzędy krzesel i kilka grup na sali trwało w upartym, ciężkim milczeniu.

Wysoki człowiek w czarnym surducie, o jadowitym i świdrującym spojrzeniu, siedział w pierwszym rzędzie i przez cały czas wzrok jego błędził gdzieś obok Paganiniego.

Dochód był wielki. Następnego dnia od rana Paganini i Antonia zaczęli składać wizyty wszystkim przedstawicielom władzy neapolitańskiej i muzykom. Przeważnie jednak zastawali drzwi zamknięte. Małoż to powodów bywa na tym świecie! Paganini z początku odniósł się do tego spokojnie. Lecz gdy karetą jego po raz szósty musiała odjechać sprzed zamkniętych drzwi, spojrzał na Antonię i oświadczył, że ma już dość tych bezowocnych prób.

Antonia nie była na obiedzie, gdyż odwiedziły ją dwie przyjaciółki, aktorki z baletu neapolitańskiego. Gdy odeszły, Antonia powiedziała, że w obyczajach Neapolu zaszły wielkie zmiany i że należałoby jak najprędzej opuścić to miasto. Surowe kary, stosowane przez Burbonów po powrocie z wygnania, przytłumiły wesołość miasta.

– Pamiętaj, signor – mówiła Antonia – że jest to miasto, w którym karbonariusze – plemię Antychrysta – uwili sobie gniazdo. Muzycy Neapolu są przekonani, że utrzymujesz stosunki z nieczystą siłą i tylko moce diabelskie dały ci twoją straszną potęgę. Tak, signor Paganini, proszę mi powiedzieć, jako że jestem towarzyszką pańskiego życia, jakie struny są naciągnięte na pańskie skrzypce?

– O signora! Jedno jest pewne, że struny te dźwięczą inaczej niż głos pani, który stracił swą dźwięczność.

Dostał ataku duszności. Paganini, człowiek o statych przekonaniach, z którego serca miłość dla sztuki wyparła wszystkie inne uczucia, ujrzał nagle, jakim potwornym nonsensem są owe odgłosy barbarzyńskiego średniowiecza i tortur inkwizycji, małostkowa podłość ludzka i zabobony Kościoła. Dusił go bezsilna wściekłość wobec głupoty ludzkiej.

Matka jego pięknego dziecka, jego żona, patrzyła na niego cichymi, spokojnymi oczami. Zdawało się, że zrozumiała mękę, która rozdziwiła jego świadomość i oszołomiła go na chwilę. Skinęła mu głową, cudowne jej zręsy

opuściły się, brwi Medei zsunęły się, na twarzy zjawiał się wyraz smutku i zadumy. Cichym, jasnym, przenikającym do dna duszy spojrzeniem odpowiada mu jego Eurydyka.

– Jeśli tak pójdzie dalej – rzekła – skończą się nasze dochody, a koncerty nie przyniosą nam ani jednego bajocca.

Paganini nie słuchał.

Wczesnym rankiem, zostawiwszy dziecko i męża, Antonia ruszyła kareta pocztową do Rzymu. Wszędzie, gdziekolwiek mogła trafić dzięki swym dawnym stosunkom z administracyjnymi i duchownymi dostojnikami stolicy apostołskiej, przygotowywała grunt dla przyjazdu męża.

Po przybyciu do Rzymu Paganini ujrzał w pokoju hotelowym swego przyjaciela Rossiniego. Padli sobie w ramiona. Wypuszczając Paganiniego z objęć, Rossini powiedział, że dyrygent zachorował, toteż przychodzi do przyjaciela z prośbą, by zgodził się dyrygować orkiestrą. Jakież tu mogą być wątpliwości! Zgoda. Paganini przyjmuje propozycję. Przyjaciele siadają. W tej chwili przybiega chłopiec i doręcza Rossiniemu list.

– Biedny Bello – mówi Rossini – umarł. Sam los posyła pana na jego miejsce.

– Kiedy odbędzie się próba? – pyta Paganini.

– Po zachodzie słońca – odpowiada ze zdziwieniem Rossini. – Tak... Ale jaki dziś mamy dzień?

– Dziś jest piątek.

Twarz Rossiniego posępnieje.

– Piątek? A więc muszę stracić jeszcze jeden dzień. Straciłem już cały tydzień przez chorobę Bella. Kiedyż będę mógł wystawić operę?

Brzęk ostróg i wesołe głosy za drzwiami. Roześmiana, ożywiona signora Antonia wchodzi po schodach. Wąsaty oficer austriacki żegna się z nią na podeście schodów. Drzwi są otwarte. Paganini wszystko widzi. Signora Antonia uśmiecha się, oficer całuje ją w jedną rękę, potem w drugą, w prawą, w lewą, następnie znów w prawą. „Kiedyż to się skończy?” – myśli Paganini. Rossini milczy. Signora Antonia wchodzi do pokoju, za nią idzie dwóch księży w sutannach koloru lila i w brązowych habitach przepasanych sznurkami, a za nimi młodzieniec w wojskowym mundurze i starzec w czarnym ubraniu. Wszyscy wchodzi do pokoju tuż za signorą. Ona zaś, podchwytyjąc ostatnie słowa, mówi:

– Cóż z tego, że dzisiaj piątek, signor Rossini? Uzyskał pan zezwolenie na próbę. Właśnie dziś z rana udałam się z Trastevere do monsignora kardynała-szefa policji i ten pozwolił panu urządzać próby w piątki. I nawet

tobie – podeszła do Paganiniego i ujęła go za podbródek – zezwolił na koncerty.

Trzy dni trwają repetycje. Rossini jest ogromnie kontent. Orkiestra, z początku oburzona, że Paganini czepia się byle czego, przeistoczyła się w końcu w oswojony, posłuszny zwierzyniec. Jednakże ten Bello... „Powiadają, że wrodzona muzykalność jest właściwością Włochów. Skąd więc u nich te barbarzyńskie dźwięki?” – zadawał sobie pytanie Paganini.

Mijają jeszcze dwa dni i Paganini nie może poznać orkiestry. Ludzie, którzy każde poruszenie jego brwi uważali za osobistą obrazę, zaczęli nagle z wytężoną uwagą wpatrywać się mu w twarz. Stało się dla nich rozkoszą patrzeć, jak wygląda się ta twarz, którą znużenie dawno już porało zmarszczkami. „Ecco! – wołał Paganini. – *Bravissimo!*” I ci obcy sobie nawzajem ludzie, przypadkowym zrzędzeniem losu złączeni przy pulpicie skrzypka, o którym krążyły rozmaite mgliste pogłoski, zapalali się nagle namiętym pragnieniem sztuki pojętej jako czyn bohaterski, jako wielkie dzieło życia. Posłuszni berłu z kości słoniowej, które trzymał w rękach ten dziwny człowiek, wszyscy czuli się wielkimi artystami, wirtuozami.

Nastąpił dzień publicznego wykonania opery Rossiniego. Autor, signor Joachim, jak nazywali go austriaccy oficerowie, siedział błady za kulisami w przeznaczonym dla niego pokoju. Na stole przed nim stała szklanka oranżady z lodem i leżała książka w czerwonej oprawie. Paganini spóźnił się.

Gdy wszedł, Rossini złapał go za rękaw surduta i pociągnął do stołu. Pokazał mu książkę, na której widniał napis: „*Don de l'auteur*” – „Od autora”. Umyślnie otworzył na czterysta pięćdziesiątej stronicy. Było to „*Życie Rossiniego*” napisane przez pana Stendhala, a wydrukowane w Paryżu przy ulicy Boutoir w roku 1824.

– Czy pamiętasz go? Czy widziałeś go w Bolonii? Jest to najbardziej awanturniczy oficer szóstego pułku dragonów. A ulica Boutoir, wiesz, że mieszka tam największy kpiarz – poeta francuski Béranger, wspólnie z autorem *Marsylianki* Rouget de Lisle'em. Rouget de Lisle jest sparaliżowany i żyje teraz w wielkiej nędzy. Byłem na tej ulicy i dostałem tę książkę.

Paganini czytał wiersze poświęcone mu przez pana Stendhala. Czytał o tym, że jest pierwszym skrzypkiem Italii, a być może największym od czasu istnienia ludzkości, że osiągnął ten swój zdumiewający talent nie drogą cierpliwych ćwiczeń w murach jakiegoś konserwatorium, lecz na skutek tego, że jak mówią, błędy miłości zaprowadziły go na długie lata do

więzienia. Izolowany, porzucony przez ludzi, w więzieniu, które skończyć się mogło szafotem, miał możliwość zajmować się jednym – grą na skrzypcach, i oto tam nauczył się tłumaczyć mowę swej duszy na dźwięk skrzypiec. Długie wieczory w więzieniu zapewniły mu możliwość całkowitego opanowania tego nowego, nieludzkiego języka. Nie dość słyszeć Paganiniego na koncertach, na których jak Herkules rzuca w proch usiłujących rywalizować z nim skrzypków północnych krajów. Trzeba posłuchać, jak gra swoje *capriccio* w natchnieniu dochodzącym niemal do jakiegoś opętania. Określając charakter tych *capriccio*, autor dodawał, że są ogromnie trudne, wprost niewykonalne, i że w porównaniu z nimi najtrudniejsze koncerty są niczym.

Paganini chciał odłożyć książkę na stół, lecz upuścił ją na podłogę, kartki zgniotły się, a najgorsze było to, że naciągając białą rękawiczkę nastąpił nogą na czyściutką okładkę.

Młodym i szybkim krokiem wyszedł do orkiestry i wbiegł na podium. Był błady. Krótkie i suche uderzenie pałeczką o pulpit, chwila napięcia i sala rozbrzmiewa najbardziej słodkimi dźwiękami, jakie dotąd słyszała Italia – dźwiękami nowej opery Rossiniego.

W przerwie po pierwszym akcie mały, wąsaty oficer, dzwoniąc wielkimi, nie na swój wzrost ostrogami, wszedł do pokoju, gdzie Paganini siedział z autorem opery. Obaj milczeli i milczenie było tak ciężkie, że młody człowiek w wojskowym mundurze zatrzymał się w drzwiach, nie decydując się na przestąpienie progu. Pierwszy zauważył go Rossini. Nagle błysnęła mu zabawna myśl: „Oto zaraz chrząknie i pogładzi prawą ręką wąsy”. I gdy rzeczywiście oficer jakby pod wpływem sugestii tak właśnie zrobił, Rossini nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Paganini podniósł głowę.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał i wstał.

Oficer zaszalutował. „Chwała Jezusowi – pomyślał Paganini – niechże cię diabli wezmą, a więc to nie jest jeszcze areszt!” Wielki pakiet wyjęty ze skórzanej torby był przeznaczony dla Paganiniego. Czerwone pieczęcie z laku w pięciu miejscach plamiły kopertę. Jedwabny sznurek zwisał z jednego rogu. Oficer z ukłonem wręczył pakiet Paganiniemu i zwinnym ruchem rozsłuszony zasłonę, wyszedł. Paganini ujrzał na korytarzu tłumnie zebranych ludzi. Machinalnie szarpnął za sznurek. Pakiet otworzył się. Edykt z tiarą i skrzyżowanymi kluczami głosił, że Ojciec Święty, namiestnik Chrystusa, błogosławi służbę anielską raba kurii apostołskiej i wiernego syna Kościoła Nicola Paganiniego i mianuje go kawalerem Orderu Złotej Ostrogi, które to odznaczenie przy niniejszym dołącza się. Wstęga i ład-

ne cacko jubilerskie leżały na dłoni Paganiniego. Jak dziecko, które znalazło muszlę na brzegu morskim, patrzył i zupełnie nie rozumiał, o co tu chodzi.

Wyniesiony na rękach na proscenium, z brylantami i złotem na rozwartej dłoni, Paganini ze zdziwieniem kłaniał się publiczności. Kłaniał się nisko, garbiąc się we dwoje, i przyciskał rękę do serca na znak zupełnego zdumienia z powodu zaszczytu, jakim go obdarzył arcykapłan rzymski, i na świadectwo tego, że uniżenie prosi mieszkańców Rzymu o wybaczenie mu jego ogromnego, przytłaczającego talentu. Prosił ludzi, by wybaczyli mu jego genialność, prosił publiczność zgromadzoną na widowni wielkiego teatru, by mu wybaczyła nieprzebraną potęgę jego talentu. Łotrów i żandarmów, złodziei i urzędników, fryzjerów, rajfurów i bankierów rzymskich prosił o przebaczenie za to, że jest nieskończenie od nich wyższy i szlachetniejszy, za to, że co chwila spała swoje życie w ogniu wielkiej i nigdy nie gasnącej sztuki. Prosił o przebaczenie za to, że nigdy nie stanie się ani łotrem, ani złodziejem, ani szarym urzędniczyną nędznej księżej kancelarii, a siedzący w pierwszym rzędzie prałaci i kardynał życzliwie uśmiechali się, klaszcząc w pulchne dłonie marnemu skrzypkowi, obdarowanemu przez Jego Świątobliwość. Widzieli oni niewolniczą służalczość tego skrzypka i nie pojmowali, że ten niezrozumiały i tylko tym przestępstwem grzeszący geniusz prosi o przebaczenie za swój nieokielznany talent, myśląc tylko o tym, jak śpi mały jasnooki człowieczek z uśmiechem mądrym jak sama natura, z wesołymi chłopięcymi policzkami, istota, której życie całkowicie zależy od jej ojca.

Lecz okłaski potężniały. Tłum huczał i wył. Paganini zaczął coraz silniej odczuwać swoją wyższość nad wszystkimi tymi ludźmi. To znane mu uczucie upajało go. Stara genueńska krew odważnych żeglarzy dumnie pulsowała mu w skroniach. Potem ogarnęła go straszliwa litość nad tym ogromnym tłumem.

Z ciężkim uczuciem osamotnienia wsiał do karety. Na wprost niego siedziała Antonia, zarumieniona jej twarz, zbyt czerwone wargi i błyszczące oczy świadczyły o tym, że najzupełniej jest zadowolona z efektu przez nią spowodowanego. Czekwała, aż małżonek wypowie choć jedno słowo. Powinien był wyrazić jej swoją wdzięczność w najgorętszych słowach. Lecz Paganini ze znużenia skłonił głowę na ramię i przez roztargnienie upuścił pakiet z pieczęcią papieską. Jaskrawoczerwony lak zatrzeszczał pod czarnym lakierowanym pantoflem.

Signora Antonia podniosła oczy na męża. Oburzona tak pogardliwym

stosunkiem do łask Ojca Świętego, Antonia przeraźliwie krzyknęła i spoliczkowała Paganiniego. Stangret nie obejrzał się, karetą potoczyła się gwałtownie, spłoszone konie pomknęły. Paganini opadł na poduszki przymknąwszy oczy. Małżonkowie nie zamienili ze sobą ani słowa do następnego dnia.

Nad ranem, wyjąwszy „Ponchon”, Paganini przycisnął instrument do słabego ramienia Achillina. Dziecko chętnie wzięło smyczek. Umiejętnie już naśladowało ojca i machinalnie naciskało struny cienkimi palcami, dobywając płaczące, śmieszne dziecinne dźwięki.

– On jest moim rywalem – śmiejąc się, zawołał Paganini. – Daję słowo honoru, że jest moim rywalem! W każdym razie gra lepiej niż ja. Mój ty rycerzu Złotej Ostrogi – mówił krążąc z małym Paganinim po pokoju – Jego Świątobliwość obdarzyła trzy osoby tą wysoką nagrodą: Mozarta, Glucka i mnie. O mój skarbie, o ileż jesteś więcej wart od swego ojca!

Signora Antonia weszła do pokoju. Nie zamienili ze sobą ani słowa po wczorajszym zajściu.

Paganini spokojnie i bez krzty zaciekawienia patrzył na małżonkę. Postanowił puścić w niepamięć wczorajszy wybuch bynajmniej nie z powodu egoistycznego wyrachowania, lecz po prostu przez wzgląd na Antonię.

Lecz Antonia nic nie zapomniała, pamiętała każdy szczegół, a jeśli milczała to tylko dlatego, że nie ufała własnej elokwencji. Oprócz tego, jako wierna córka Kościoła, uważała, że najmniejszy sprzeciw przykazaniom religii jest okropnym grzechem i nie trzeba przekonywać za pomocą dowodów logicznych człowieka występującego przeciwko namiestnikowi Chrystusa i jego powiernikom. Hamowało ją w głównej mierze to, że wykonanie planu, który sobie nakreśliła, zależało nie tylko od niej samej. Prawie nie wątpiła, że Paganini nie zgodzi się pojechać wieczorem z wizytą do monsignora kardynała-szeffa policji.

Gdy nareszcie ruszyła do ataku, Paganini wbrew jej przewidywaniom nie sprzeciwiał się. Po prostu nie zrozumiał i siedząc w karecie martwił się jedynie z tego powodu, że Achillino zasypiając trzy razy zakasłał. Poza tym gniewał się, że nikt mu nie przypomniiał, by wziął ze sobą skrzypce.

Na wieczorze u prałata podszedł do Paganiniego mały człowiek w pudrowanej peruce, obwieszony gwiazdami, orderami i przystrojony we wstęgi. Interesował się grą znakomitego skrzypka, pytał go więc o arkana i sekrety jego sztuki. Skądś przyniesiono skrzypce. Był to tani wyrób pozbawionego talentu majstra, dostawcy instrumentów dla wirtuozów grających na wese-

lach. Lecz oto dotknął tych skrzypiec smyczek Paganiniego i tak zaśpiewały, jak nie śpiewały jeszcze nigdy w rękach człowieka.

Gdy Paganini opuścił smyczek, mały człowieczek w orderach rzekł łaskawie:

– Niech pan przyjedzie do nas do Wiednia. Proszę wszędzie mówić, że jest pan zaproszony przez księcia Portalla. W dzisiejszej Europie ma pan drogę wszędzie otwartą. Władza jest całkowicie ugruntowana według przykazań Chrystusa i prymasa rzymskiego. Był pan u mnie w Rzymie, proszę więc być pewnym, że stoją przed panem otworem wszystkie drogi na północ od Alp.

W drodze powrotnej, gdy Antonia z niepokojem zagadnęła go o spotkanych ludzi i o wrażenia, Paganini przypomniał sobie nagle, że miał rozmawiać z signorem principe Metternichem.

– Ale nie było go – tłumacząc się rzekł Paganini.

– Jak to nie było?! – zawołała signora i policzki jej zapłonęły rumieńcem gniewu. Oczy z wściekłością przeszywały nieszczęsnego małżonka. – Książę Metternich stał przed tobą i łaskawie z tobą rozmawiał, a tyś grał na jakichś ohydnych skrzypcach.

– Czyżby książę Metternich? – rzekł ponuro Paganini. – To był przecież książę Portalla.

– No tak, książę Portalla jest właśnie księciem Metternichem.

Rozmowę przerwał brzęk tłuczonego szkła. Zaprzężony w parę koni powóz o jednym dyszlu wpadł na skrzyżowaniu dróg na ich karetę. Po krzykach, hałasie, wymyślaniach stangretów, interwencji policjantów i zupełnie nieoczekiwanej dla Paganiniego indagacji, którą przeprowadził młody człowiek w czarnym ubraniu, wszyscy znów zajęli swoje miejsca.

W tym czasie, gdy ułożywszy na małej kanapie znużone ciało, Paganini zasypiał, pełen myśli o czekającej go podróży po Europie, zaszły wydarzenia, których nie mógł przewidzieć i które miały dla niego niemałe znaczenie.

Zimne, okrutne spojrzenie zatrzymało się na protokole, przyniesionym do dwieście czterdziestego dziewiątego pokoju Watykanu.

Wnętrze tego pokoju zasługuje na uwagę: małe białe łóżko, bardzo wąskie, nad łóżkiem – krzyż z czarnego drzewa z wizerunkiem Ukrzyżowanego, wyrzeźbionym z kości słoniowej; tapety zdarte, podłoga usłana matami indyjskimi; dwa krzesła, drewniany nie nakryty stół, porcelanowy

czerpaczek i szklana miska z kryształowo czystą wodą. Na stole pióro, kałamarz, trochę niebieskiego papieru z godłem kongregacji, a obok – małe, jasnoniebieskie kartki z pieczęcią generała zakonu jezuitów. Nieco dalej, przy oknie – schowek, drzwiczki jego są otwarte.

Ręka, która zaczęła pisać adres na dużej, niebieskiej kopercie, nie dokończyła pierwszego słowa. Na długich palcach tej żółtej, przezroczystej jak wosk ręki nie było żadnych pierścieni. Przy stole siedział człowiek dzierzący wielką władzę głowy zakonu jezuitów.

Po śmierci Tadeusza Brzozowskiego w roku 1820 następcą jego został Alojzy Fortis. W tym czasie generał zakonu wyjechał i zastępował go młody Holender Piter Roothaan. Powściągliwy, jak na swój wiek zbyt spokojny, człowiek ten swoją beznamiętnością, niezwykle surowością wobec siebie samego i pogardą dla słabości ludzkich uzyskał wielki szacunek zakonu. Jasny, analityczny umysł pozwalał mu podejmować trafne i ściśle decyzje zarówno w sprawach dnia powszedniego, jak i zagadnieniach związanych z gigantycznym planem pracy zakonu we wszystkich pięciu częściach świata.

Wiadomość o wypadku z karetą Paganiniego signor Roothaan otrzymał pośrednio. Zbiry donosiły o wypadkach mających miejsce w Rzymie signorowi kardynałowi-szefowi policji.

– Czy nieostrożny stangret został aresztowany? – zapytał Roothaan.

– Nie – odparł informujący go jezuita – przecież on w ciemności, niechcący...

Roothaan skinął ręką i informator zamilkł.

– A więc signor Paganini dojechał szczęśliwie z żoną i teraz odpoczywa?

Jezuita kiwnął głową.

– Czy wiadomo, że stangret stłukł szybę w karecie człowieka, którego obdarza swą łaskawością Ojciec święty i którego ksiądz Metternich zaprasza do Wiednia?

– Wiadomo.

– Cóż mówi stangret?

Informator rozłożył ręce.

Roothaan odłożył papiery na bok.

– Nagła łaskawość austriackiego ministra jest rzeczą całkiem zrozumiałą, nikogo ona do niczego nie zobowiązuje – rzekł cicho Roothaan. – Nagroda udzielona przez Ojca Świętego – jest to nieostrożność, która nie powinna się powtórzyć. Ile lat ma syn signora Paganiniego? – Otrzymałszy

odpowiedź Roothaan zamyślił się, po czym powiedział jakby do siebie samego: – Należy postarać się o to, by nad wychowaniem syna signora Paganiniego mieli pieczę doświadczeni ludzie.

Przed wyjazdem z Rzymu zdziwiła Paganiniego oschłość, z jaką zachowywał się w stosunku do niego Rossini. Ostatnio ze wszystkich ust Rossini słyszał wciąż entuzjastyczne, a czasem nawet przesadne pochwały pod adresem Paganiniego – i choć opera była pióra Rossiniego, wiele ludzi, jak gdyby umyślnie, w obecności Rossiniego podkreślało swój zachwyt dla dyrygenta. Niektórzy mówili nawet wprost, że opera znacznie zyskała na tym, że orkiestrą dyryguje tak doświadczony muzyk jak Paganini. Wreszcie Rossini zastanowił się: jeśli tak uparcie mówią o Paganinim, a niemal wszyscy mówią to samo, to znaczy, że istnieje jakaś podstawa do takiego sądu.

Paganini nic nie wiedział o tych rozmowach.

Signora Antonia zaopatrzyła się w tuzin polecających listów. Sława uskrzydlała Paganiniego. Marzył mu się Paryż, Paganini słyszał, że Fernando Paër, wielki maestro, jak go teraz tytułowano, stał się władcą marzeń francuskich muzyków.

Lecz jak trafić do Francji, gdy podróż jest tak utrudniona przez skomplikowany system paszportowy, który wprowadzili Austriacy.

Jakiego włoskiego państwa jest pan obywatelem, signor Paganini? Pan jest obywatelem włoskim, lecz Włochy to tylko geograficzne pojęcie. Na Półwyspie Apenińskim znajduje się co najmniej dwadzieścia państw. Jeśli obecnie wypuszczono pana z Palermo przez Rzym na północ, to powinien pan być wdzięczny swej małżonce. Niech się pan wystrzega każdego kroku. Brzęk każdego talara i każdego dukata, który trafi do pańskiej kieszeni, będą słyszeli w tym gabinecie, skąd śledzą pana uważne oczy, które znajdują go nawet wtedy, gdy trafi pan przypadkiem na kraniec świata. Dochody pańskie budzą zainteresowanie, signor Paganini. Powinien pan zostawić wielki spadek, a syn pański musi stać się wiernym synem Kościoła.

A więc zezwolono panu wyjechać na północ, monsignore, rycerzu Złotej Ostrogi, zezwolono, mimo że pan nie jest taktowny: nie domyśla się pan, że powinien napisać hymn kościelny oraz grać w kościele! Boski głos pańskiej małżonki pomógł panu w tym wypadku, a łaskawa życzliwość jego wysokości księcia Portalla Metternicha i księcia Kaunitza zapewni panu honorowe przyjęcie w mieście jego apostolskiej mości cesarza Franciszka. Lecz niech pan wystrzega się nieostrożnych kroków. Proszę zaprzestać lektury niebezpiecznych książek i wyrzucić z głowy niebezpieczne myśli o tym, że geniusz

muzyczny czyni z pana obywatela wszechświata. Na terytorium Lombardii i Wenecji jest pan tylko poddanym jego cesarskiej mości, w Rzymie jest pan oprócz tego pod nadzorem kardynała-szefa policji.

Pośród najbliższych przyjaciół Paganiniego ocalał tylko Pino. Zostawwszy mu prawie cały swój dobytek – książki, nuty i listy, Paganini wyjechał na północ.

Koncerty w Trieście, Wenecji, Florencji, Perugii i Bolonii połączone były z wielką krzątaniną.

Tydzień spędzili małżonkowie na brzegu Como. Północne jeziora włoskie były ulubionym miejscem Antonii. Po raz pierwszy dowiedział się Paganini, że żona jego tu się urodziła.

Lecz oto zmiana sytuacji. Załatwione są już paszporty i rozpoczyna się męcząca droga górską przez Krainę, Karyntię i Styrię. Oto minęli Semmering. W dali, na szczytach skał, wznoszą się ruiny zamków rycerskich.

Po nocach stangreci nucili stare pieśni słowiańskie. Jeden z nich, Lorenzino, na w pół szeptem opowiadał na postojach, że często wychodzą tu z mogił nieboszczycy żywiący się ludzką krwią. Rozwijał chustkę jedwabną, prymitywnie wyszywaną w wielkie krzyże i klucze papieskie. Wyjmując z plecionego koszyka główkę czosnku oświadczał, że czosnek jest najlepszym środkiem przeciw wampirom.

Opowieści te wywarły na Paganinim wielkie wrażenie, a zwłaszcza opowieść o dziecku porwanym przez wampiry. Po nocach nie mógł zmrzyć oka trwożnie wpatrując się w mrok i strzegąc śpiącego Achillina.

Rozdział dwudziesty drugi

W drodze do Wiednia

Gazety obwieściły przyjazd wielkiego skrzypka. Przed bramą jednego z hoteli wiedeńskich, przed którym Paganini się zatrzymał, rzuciło mu się w oczy dziwne ogłoszenie:

„Skazany na śmierć i zwolniony z więzienia wielki skrzypek włoski Nicolò von Paganini wkrótce przyjedzie do Wiednia i wystąpi z koncertami.

Jego Świątobliwość wybaczyła mu liczne przestępstwa i morderstwa.

Śpieszcie się! Wstęp kosztuje dukata. Początek o dwunastej godzinie w nocy. Wielki Teatr Wiedeński”.

Rozwścieczony Paganini kazał jechać dalej, ale przy wejściu do następnego hotelu ujrzał takie samo ogłoszenie. Antonia wzruszyła ramionami i bąkała coś o nieudanym impresario. Była zmieszana. Artysta milczał. Rozumiał, że na nowym gruncie Antonia straciła pewność siebie. Sukcesy w Italii przewróciły jej w głowie. Poczuwszy się głową rodziny nabrała zbytnej pewności siebie, wskutek czego przeholowała i widocznie wpadła w ręce jakiegoś impresaria-szarlatana. Nie można już było nic naprawić. Na wszystkich ulicach wisiały portrety Paganiniego, przedstawiające go w więzieniu za kratami: ze smutną młodą twarzą siedzi na słomie i gra przed krucyfiksem, jak gdyby modląc się o przebaczenie.

Gdy późnym wieczorem przyszedł służący i zapytał o dokumenty, Paganini, waląc pięściami w stół, zażądał, by zawołano właściciela hotelu i oficera policji.

Obaj nie rozumieli, czego chce od nich przyjezdny artysta. Gdy Paganini zażądał, by zerwano afisze, które go hańbią i robią mu sławę mordercy i zbrodniarza, oficer rozłożył ręce i powiedział, że skoro przyjezdny signor Italiano jest niezadowolony z władz wiedeńskich, to może złożyć zażalenie panu Siedlenickiemu, ministrowi policji.

Po odejściu tych dwóch uprzejmych ludzi Paganini postanowił przeprowadzić poważną rozmowę z Antonią. Lecz nie zastał jej w pokoju. Paganini czekał. Zasnął w fotelu. Obudził się w nocy. Signory Antonii nie było. Przyszła nad ranem, oświadczając, że nocowała u koleżanki, z którą niegdyś śpiewała w Wenecji. Paganini udał, że puszcza to wyjaśnienie mimo uszu.

– Lecz zdaje się, żeś wcale nie spał? – zapytała Antonia. – Proszę się położyć.

Paganini odparł spokojnie:

– Ja odchodzę, ale przedtem raczy mi pani obiecać, że przestanie wtrącać się do organizowania moich koncertów.

Wtedy nastąpiła dziwna metamorfoza Eurydyki. Cały jej mitologiczny czar nagle prysnął. Przed Paganinim stała otyła przekupka, okrągłooka, rozwścieczona, z czerwonymi plamami na policzkach. Ujawszy się pod boki miotła na męża stek ulicznych wyzwisk i to uczucie osamotnienia, które ogarnęło Paganiniego od chwili pierwszej kłótni małżeńskiej, naraz przytłoczyło go, przeistaczając się w uczucie wstrętu. Podnosząc coraz bardziej głos

Antonia z zaciśniętymi pięściami nacierała na męża. Paganini, założywszy ręce do tyłu, w milczeniu czekał, co z tego będzie. Nagle obudził się chłopiec i z płaczem wyciągnął rączki do matki. Odpowiedzią był mocny policzek.

– Wszyscy mi mówią – wrzeszczała kobieta – że pan jest bezbożnikiem, mówiono mi, że pan jest karbonariuszem, powiedziano mi, iż pan nie spełnił żądania księdza, który zaproponował, by pańskie skrzypce zanurzyć w wodzie święconej na dowód, iż niesłusznie oskarżają pana, że są poświęcone diabłu. Pan jest wrogiem Kościoła Chrystusowego!

– Dobrze sobie! – zawołał Paganini. – Czy po to boski Guarneri robił te skrzypce, by wasze klechy moczyły je w wodzie? Chcąc zniszczyć mnie jako muzyka, ta banda świętoszków zdolna jest do wszelkiej podłości. Tak, istotnie, paktuję z diabłem, tak, rzeczywiście, jestem w rękach nieczystej siły, lecz ta brudna moc – to klechy, a diabłem jest pani, signora!

Wtedy jednym skokiem signora Antonia znalazła się przy ścianie. Zerwała z niej futerał i kurczowo chwyciła skrzypce.

Achillino patrzył szeroko otwartymi oczami; wyrwany z dziecięcego snu, nie poznając matki, krzyknął i wypadł z łóżeczka. Paganini skoczył do niego, uczynił jakiś nieokreślony ruch, jakby zastanawiając się, gdzie bardziej niezbędna jest jego pomoc. Podbiegł do dziecka i stwierdził, że chłopczyk ma zwichnięty staw biodrowy.

Signory Antonii nie ma w domu i signora Nicola również. Skrzypce z zerwanymi strunami leżą na podłodze. Niańka nie ma odwagi podnieść ich i odłożyć. Pokój jest pusty.

Dopiero w południe wraca signor Nicolo, niosąc dziecko na rękach. Dziecko śpi. Urszulanka, siostra miłosierdzia, siada przy jego łóżeczku. Paganini z przymkniętymi oczami drzemie w fotelu.

Jak gdyby dzięki kaprysowi losu Wiedeń w tym roku był miejscem zjazdu największych muzyków Europy. W ten sposób występ Paganiniego w Wiedniu zapewniał mu sławę we wszystkich miastach Europy. Odgłosy prasy wiedeńskiej łącznie z listami europejskich skrzypków i kompozytorów stały się znane nie tylko całemu ówczesnemu światu muzycznemu, lecz zajęły również wszystkie szpalty gazet poświęcone krytyce muzycznej, jak potok pomknęły korytem ogólnoeuropejskiej prasy i wkrótce nazwisko Paganiniego było na ustach wszystkich.

Wiedeński artysta Mayseder był chyba jedynym, najwierniejszym przy-

jacielem Paganiniego i z niekłamaną szczerością oceniał włoskiego skrzypka. Już w Wiedniu wyszła na jaw tendencja owładnięcia skrzypkiem jako przyciągającą siłą, czymś w rodzaju magnesu, który zapewnia przedsiębiorcy kolosalne zyski. Oficjalną, inspirowaną przez koła rządowe notatkę znalazł Paganini na łamach „Teatralnej Gazety” z dnia 25 marca:

„Przybycie sławnego genueńskiego skrzypka Nicola Paganiniego do naszego miasta jest najciekawszym wydarzeniem w świecie muzycznym. Podejmując pierwsze *tournee* poza granice swej ojczyzny, Paganini przede wszystkim odwiedził naszą znakomitą stolicę. Wiedeń – to miasto sztuki – z należyтым uznaniem dla talentu włoskiego skrzypka odpowie na względy, jakimi obdarza on naszą stolicę”.

W tym czasie Paganini kończył swoją wielką kompozycję, którą nazwał *La Mancanza delle corde*. Była to muzyka znikających strun, jakaś dziwna mieszanina tematów muzycznych zawartych w tak skomplikowanej formie, że po śmierci Paganiniego utwór ten nie mógł już być przez nikogo wykonany. Introdukcja tej fantastycznie trudnej rzeczy napisana była na cztery struny. Następnie wariacje niepostrzeżenie przechodziły w lekki polonez, grany na dwóch strunach. Wreszcie czwarta część składała się z *adagio* na jednej strunie. Paganini kontent był z tej nowej rzeczy.

– Gdyby można było napisać rondo i zagrać je zupełnie bez strun, byłoby to najczystszy wcieleniem dźwięków brzmiących w mej duszy – mówił Paganini.

Pierwsze wrażenie, jakie Paganini wywarł w Wiedniu swą grą, było tak wielkie, że ludzie zupełnie nie mogli zrozumieć tego niepojętego zjawiska natury. Pierwsze koncerty wiedeńskie były uwieńczone triumfem.

„Kronika Sztuki i Literatury” pisała, że Paganiniego z nikim absolutnie nie można porównać, bo jest to zjawisko niepowtarzalne. W „Myśli Muzycznej” pisano, że „w swoich *adagio* artysta przeradza się jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: czarodziej techniki muzycznej ustępuje miejsca natchnionemu pieśniarzowi, odznaczającemu się niezwykłą prostotą i majestatyczną czystością wykonania”. Pisano o dźwiękach i akordach, które sprawiają wrażenie dźwięku dziesięciu skrzypiec, a nawet całej orkiestry smyczkowej. Wspomniano o niezwykłym brzmieniu czterogłosowego układu, gdy na tle motywu muzycznego rozlega się jednocześnie dwugłosowe *pizzicato* i robi wrażenie kompletnej magii, tak że oszałała publiczność podnosi się z miejsc i zaczyna szukać za plecami Paganiniego tych muzyków z orkiestry, których gra współdźwięczy na wielu skrzypcach z motywem przewodnim.

Gdy Paganini wychodził z teatru i szukał wzrokiem swej karety, spotykał tysiące oczu z ciekawością w niego wpatrzonych. Były to chwile, gdy pragnął zwykłego ludzkiego współczucia. Oto dziewczyna w czarnej aksamitnej sukni obrzuca go ciekawym spojrzeniem. Dopiero co oklaskiwała go, dopiero co podnosiła chustkę do policzków, po których płynęły łzy niepojętego zachwytu i oczarowania. Nie odrywając wzroku patrzy na skrzypka i wystarczyło, że Paganini spojrział na nią swymi zmęczonymi, nieskończenie smutnymi oczami, by odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym pogardy i nienawiści.

W spojrzeniu tym było wszystko – i wulgarna pospolitość wiedeńskiej arystokratycznej modniśki, i przyziemne uczucie przeciętnego człowieka, który zawsze boi się i nienawidzi tego, kto nawet nieznacznie nad nim góruje, i podejrzliwość dobrze wychowanej katoliczki, do której doszły jakieś niejasne pogłoski.

– Fale małego Dunaju są tu brudne – mawiał Paganini.

Charakterystyczny jest spór, jaki powstał między przedstawicielami wiedeńskiej arystokracji muzycznej. Pan Spohr uważał z początku za możliwe w ogóle nie zwracać żadnej uwagi na signora Paganiniego, potem zaś zaczął wyrażać opinię, która miała unicestwić i zgubić Paganiniego w oczach publiczności. Lecz zaszło małe nieporozumienie: poszczególne wypowiedzi nie były uzgodnione, toteż gdy wrogowie Paganiniego wystąpili z inicjatywy Spohra na łamach prasy, rozbieżność ich zdań bardzo im zaszkodziła.

Zasadnicze zamierzenie było takie: dowieść, że tylko publiczność o przyziemnym guście może zachwycać się Paganinim i że signor Paganini nie tylko nie jest muzykiem wysokiej klasy, ale przypomina raczej pospolitych cyrkowych sztukmistrzów, szarlatanów gry na skrzypcach. „Jest to przekształcenie czystej sztuki w przypadkowe ćwiczenia chciwca, jakim jest, według nas, ten włoski parweniusz. Nic nie pozostało z wielkiej i potężnej sztuki, wszystko zniweczył smyczek tego dzikusza z grzechotkami”.

Z drugiej strony Spohr, nie zgłębiwszy tych wypowiedzi, wystąpił z zupełnie innym zdaniem. Pisał:

„Pod portretem Paganiniego widnieje napis – «niedościgniony». Lecz to, czemu zawdzięcza ten epitet, jest szeregiem już przestarzałych efektów. Paganini nie wniósł nic nowego do wielkiej sztuki gry na skrzypcach. Nasz ziomek Scheller zachwycał nasze babki jeżdżąc po prowincjonalnych miastach Niemiec. Tanie te jarmarczne cudeńka polegały na tym, że

skrzypek grał zdjąwszy uprzednio ze skrzypiec trzy struny lub też wykonywał *pizzicato* lewą ręką, bez pomocy prawej – jednym słowem były to nienaturalne i niestosowne sztuczki. Cóż w tym dobrego, jeśli Paganini zmusza skrzypce, by śpiewały głosem fagotu, i jeśli potrafi za pomocą skrzypiec oddać płacz starej baby! Prowincjuszki w naszej ojczyźnie mówiły: «Jeden Bóg jest na niebie, jeden Scheller na ziemi»”.

Recenzja Spohra wywarła wielkie wrażenie. Lecz gazety wiedeńskie słusznie pytały: „Któż więc ma rację? Jedni krytycy mówią, że Paganini nie wniósł nic nowego, drudzy twierdzą, że obalił wszystko, co stare, że gra jego jest tak nowa, iż muzycy starej szkoły nie są w stanie jej pojąć”.

Jeśli zajrzemy do pamiętnika Spohra, przeczytamy tam, co następuje:

„Dziś rano Paganini wstąpił do mnie, by powiedzieć mi mnóstwo przyjemnych rzeczy na temat mej gry i mego koncertu. Z kolei poprosiłem go również, by coś zagrał, gdyż nigdy dotychczas nie słyszałem gry Paganiniego. Byli u mnie wówczas moi uczniowie, którzy również poparli moją prośbę, lecz Paganini kategorycznie odmówił powołując się na to, że podczas upadku nadwierzzył rękę. Tak więc odjeżdżam nie zdoławszy usłyszeć gry tego maga i czarodzieja”.

– Święty Kościół miewa niegodnych siebie synów. Jednym z takich synów jest ten, kto wprowadził w błąd kapitułę rzymskiej kurii apostolskiej i kapitułę Orderu Złotej Ostrogi. Ten poszukiwacz nagród otrzymał wielką sumę od signory Bianchi, która stała się nieszczęśliwą ofiarą złodzieja Paganiniego. Urodziła mu syna. Dziecko dotychczas jeszcze nic nie wie o obrzędach świętego Kościoła i dlatego grozi mu piekło. Teraz Nicolo Paganini, ten sługa diabła, wypędził żonę z domu w nagrodę za wielką troskę o jego sukcesy. Oto czemu prosiłbym o zameldowanie mnie jego wysokości, bym mógł zapobiec wielkiemu grzechowi, który może mieć miejsce dzięki omyłce władz świeckich. Paganini nie jest synem Kościoła, gra jego nie jest błogosławiona.

Mówił to mnich w gabinecie sekretarza kanclerza państwa.

– Skąd wielebnemu ojcu o tym wszystkim wiadomo? – zapytał sekretarz.

Jezuita zrobił pokorną minę i rzekł:

– Niechże słyszą ci, co mają uszy.

Położył dużą, niebieską kopertę na stole przed sekretarzem i szeleszcząc jedwabną podszewką habitu, szybko skierował się do drzwi.

Niebieska koperta to rzecz bardzo niebezpieczna. W takich kopertach jezuiti przesyłają krótkie zawiadomienia o wykluczeniu z zakonu. „Czy mnisi ci nie mają zbyt długich uszu?” – pomyślał sekretarz i jął przerzucać pergaminowe kartki, notatki i listy w niebieskiej safianowej tece zawierającej dokumenty sprawozdawcze. Niebieski pakiet był zaadresowany na imię małego, tłusciutkiego mnicha – spowiednika kanclerza państwa. Sposób doręczenia świadczył, że zdarzenie to jest wyjątkowej wagi. Sekretarz jego wysokości otrzymał niebieską kopertę dla spowiednika jego wysokości: widocznie oburzenie zakonu było tak wielkie, że uważano za nieodzowne o sprawie tej niezwłocznie donieść jego wysokości.

Kurier z cesarskim pakietem wszedł bez meldunku. Sekretarz przyjął pakiet, uściśnął dłoń młodemu szlachcicowi i zapytał, kto czeka w drugiej poczekalni.

– Ekscelencjo – odrzekł kurier – siedzi tam czarny człowiek z wielką czapą włosów, o twarzy Woltera. Nigdy nie widziałem tak ciekawej brzydoty. Jeśli interesant ten nie będzie panu potrzebny, niech pan go pośle do ogrodu zoologicznego w Schoenbrunnie. Książę Reichstadtu nudzi się – może na widok tego brzydala na ustach jego pojawi się uśmiech.

Było w zwyczaju austriackiej czeladzi dworskiej przez tego rodzaju żarty okazywać pogardę dla syna Napoleona I, wnuka cesarza Franciszka, przebywającego w honorowej niewoli u Austriaków.

– Nie wiem jeszcze, o kim pan mówi – powiedział sekretarz Metternicha. – Proszę poprosić do mnie tego człowieka.

Po chwili Paganini znalazł się w gabinecie. Był żółty, oczy jego płonęły złym ogniem. Oschłym, szorstkim tonem zwrócił się do sekretarza:

– Kiedy mógłbym zobaczyć się z jego wysokością?

– Zdaje się, że widzę przed sobą wielkiego Paganiniego? – zapytał sekretarz.

Skrzypek bez słowa pochylił głowę.

– Jego wysokość – oświadczył sekretarz – polecił mi wezwać pana i wykonać wszystko, co pan raczy mi rozkazać.

Górnolotne słowa, zawierające odmowę na prośbę o audiencję, wypowiedziane w czystym włoskim języku, były tak wyrafinowane, że Paganini nie zauważył tej odmowy. Od razu uchwycił się możliwością wypowiedzenia wszystkich nagromadzonych uczuć.

– Ekscelencjo – rzekł – przyjechałem do Wiednia jako przestępca zwolniony z więzienia. Poza tym pogłoski te uzupełnione są całym stekiem bzdur, które drukują tutejsze gazety. Nie zdecyduję się wystąpić na estradach cesarskiego miasta.

– Tak, tak – powiedział sekretarz przerywając mu i pociągnął za jedwabny sznurek.

Wszedł jakiś człowiek, sekretarz pochylił się nad stołem i szybko napisał parę słów.

– Proszę natychmiast doręczyć ministrowi policji celem wydania niezwłocznego zarządzenia w mieście. Taki jest rozkaz jego książęcej mości.

Człowiek wszedł. Sekretarz z najbardziej czarującym uśmiechem zwrócił się do Paganiniego i tłumiąc lekką ironię, zapytał:

– Czy to wszystko, o co chciał pan prosić jego wysokość?

– O nic nie chciałem prosić, ja żądam, by...

Sekretarz znów mu przerwał:

– Lecz nie może pan przecież winić kogokolwiek z rządu jego cesarskiej mości za to, że gazety korzystają z okazji, by zarobić na sensacjach, ani też za to, że afisze są nietaktowne. Polecę cenzorowi, by skrupulatnie przeglądał notatki i artykuły dotyczące pana, panie Paganini. Damy polecenie, by cenzor puszczał do gazet tylko to, co będzie panu dogadzało. Oprócz tego ma pan zapewnioną możliwość szerokiego korzystania z najlepszych sal naszego małego miasta dla swych koncertów.

Paganini zapomniał nagle o wszystkim, o czym chciał powiedzieć. Przed nim stał wymuskany człowiek, chłodny, wytworny, czarnooki, o ostrej twarzy, gładko wygolony, z wspaniale ukarbowanymi włosami i upudrowanymi policzkami. Patrzył na Paganiniego tak jasnym i chłodnym spojrzeniem, z taką lodowatą przychylnością i mrozącą uprzejmością w oczach, że Paganini czuł się jak chłopak, który trafił do rąk pozbawionego serca dozorczy więziennego. Wściekły na siebie samego, złożył niezgrabny ukłon i odwróciwszy się, obcym głosem rzekł słowa, które nie wiadomo skąd przyniosła mu ślina na język:

– Bardzo mi pochlebia przychylność jego wysokości.

– Tak, tak – sekretarz pokiwał głową. – Wiemy, gdzie się pan zatrzymał, będzie pan powiadomiony, gdy jego wysokość zapragnie posłuchać pańskiej gry.

Po trzech dniach cały Wiedeń był upstrzony afiszami z napisem: „Nie-zrównany, wielki skrzypek o światowej sławie”. Na wielkich plakatach Paganini był przedstawiony jako upomadowany piękniś z Orderem Złotej

Ostrogi. Przed afiszami i przy kasach zbierały się tłumy. Lokaje, urzędnicy, pokojówki, usłudźni kawalerowie, kupujący bilety dla swoich dam, oficerowie, którzy dzwoniąc ostrogami rozpychali tłum, by bez kolejki dojść do kasy, słudzy wyskakujący pośpiesznie z ozdobionych herbami karet, żeby kupić bilety w pierwszych rzędach krzesel, pokojówki hrabin wiedeńskich, spekulanci – wszystko to hałasowało, skowyczało i krzyczało przed wejściem do teatru. Maszyna sławy pracowała całą parą.

Gazety poranne doniosły po koncercie, że publiczność wiele się spodziewała; spodziewała się, że czarująca gra przyniesie jej nie znane dotychczas przeżycia, lecz cudowna rzeczywistość przeszła wszystkie jej oczekiwania. Na brzegach Dunaju nigdy nie rozbrzmiewała słodsza muzyka. W księgarniach wisiały portrety Paganiniego z wierszami Owidiusza o Orfeuszu. Do wierszy poety, który zmarł nad brzegami Dunaju, były dołączone dytamy o nowym Orfeuszu, który zjawiał się w okolicy górnego biegu tej starożytnej rzeki.

Achillino wydobrzał. Nad ranem, unikając ludzi, Paganini chodził po sklepach z zabawkami. Całymi godzinami siedział przy łóżeczku syna słuchając jego szczebiotu i opowiadając mu stare bajki włoskie.

Do obiadu spędzał czas w absolutnej samotności.

Czytał i pisał. Po skomponowaniu *La Mancanza delle corde* wcale nie brał do rąk skrzypiec. Grał tylko na estradzie sali koncertowej. Jedyńm człowiekiem, który miał do niego w każdej chwili dostęp, był skrzypek Mayseder, syn starego rabina wiedeńskiego. Po pierwszych oficjalnych słowach nagle jak gdyby przełamały się lody. Wyczuwszy w tonie młodzieńca gorącą szczerość, Paganini nieoczekiwanie wyciągnął do niego rękę i ucałował go. Ten niewłaściwy mu sentymentalny gest dobrze został zrozumiany przez mądrego i z lekka sceptycznego Maysedera. Od owego dnia Paganini nie czuł się już samotny w Wiedniu. Mayseder, człowiek przenikliwy i dobrze znający życie wiedeńskie, szybko zaczął się orientować we wszystkich wydarzeniach towarzyszących pobytowi Paganiniego w Wiedniu i jemu zawdzięcza Paganini, że nie zginął w tym mieście. Mayseder wyrwał Paganiniego z odrętwienia, w które pogrążyły go plotki wiedeńskiej prasy. Nie narzucając się, lecz w sposób łagodny i spokojny Mayseder zabierał Paganiniego z synkiem na przejażdżkę do Florisdorfu. Tam wałęsali się po ulicach i razem udawali się po zakupy.

Pewnego razu kupowali rękawiczki.

– To skóra żyrafy – zauważył Paganini zwracając się do sprzedawczyni, która zaproponowała im coś niesłychanie cętkowanego.

– Nie, proszę pana – odparła kupcowa – to są najmodniejsze rękawiczki: nazywają się „Paganini”.

– Biedny skrzypek! – zawołał nie poznany kupujący.

– On wcale nie jest biedny – odrzekła kupcowa wesóło szczerząc zęby. – Mówią, że za wielkie pieniądze kupił sobie w Rzymie Order Złotej Ostrogi.

Mayseder i Paganini, wychodząc ze sklepu, roześmieli się.

Mayseder mówił:

– Iluż osłów zraniła pańska Złota Ostroga. Jednakże pan przyciąga kupujących.

Pokazał mu wystawę innego sklepu galanteryjnego, gdzie leżały rękawiczki i krawaty à la Paganini.

Paganini włóczył się po ulicach nie poznawany dzięki temu, że portrety nie dawały żadnego wyobrażenia o jego powierzchowności. Mayseder zatrzymywał skrzypka przed wystawami sklepów gastronomicznych. Olbrzymie popiersie z czerwonej masy cukrowej z napisem nakreślonym niebieskim atramentem: „Niezrównany skrzypek Paganini”; w innym miejscu – potężna głowa cukru, uwieńczona popiersiem Paganiniego; w trzecim – duży na całą wystawę portret skrzypka, zrobiony z kolorowych jedwabnych chustek. Mayseder pokpiwał sobie z przyjaciela i pewnego razu, aby naprawić zło, przyprowadził do niego rzeźbiarza i grawera Langa. Podczas krótkiej rozmowy, póki Paganini bawił się ze swoim małym synkiem, Lang zrobił kilka szkiców z profilu. Udało mu się bodajże najlepiej ze wszystkich uchwycić podobieństwo.

Szkicując profil skrzypka Lang mówił:

– Dziś byłem świadkiem, jak konsumowano w mleczarni pańskie popiersie z masła. A wieczorem w klubie gwardzistów oficerowie, grając w bilard, wynaleźli nowe wyjątkowe uderzenie i nazwali je uderzeniem Paganiniego. To mi dopiero sława. Cóż panu więcej potrzeba w życiu?

Paganini spochmurniał. W tym czasie najwięcej myślał o losie Achillina. Po raz pierwszy poczuł, że powinien zdobyć niezależność dla siebie i dla syna, a tę mogły mu dać tylko duże dochody. Pragnął porzucić to przekłęté miasto i pojechać do Paryża. Marzył o tym mieście: tam jest signor Paer, tam przeniósł się teraz Rossini, tam jest prawdziwe muzyczne życie, tam są skrzypkowie Baillot, Kreutzer i Lafont.

Minął tydzień. Paganini otrzymał od Langa medal z brązu z napisem: „Przeminą dźwięki, lecz nie przeminie sława”. Na odwrotnej stronie

wygrawerowano kilka taktów jego ulubionej melodii i napis: „Nicolo Paganiniemu, Wiedeń 1828”.

Tegoż dnia kurier dworski przywiózł Paganiniemu do domu futerał i pakiet. W futerales znajdował się medal ze złota, a pakiet zawierał nominację Paganiniego na solistę kapeli cesarskiej. Wszystko to bardzo mu pochlebiło. Począwszy od tego dnia pobyt w Wiedniu upływał w niebezpiecznej dla artysty atmosferze spokoju, który powoduje, że prawdziwy geniusz ma się na baczności, a człowiek o średnim talencie traci głowę.

Spokój ten jednak nie był długotrwały. Wróciwszy pewnego razu ze spaceru z Achillińem, Paganini znalazł na stole dużą różową kopertę. Nieznany przyjaciel znów zjawił się na widowni. Pisał z Berlina i uprzedzał Paganiniego, że sława jego jest nietrwała, że „postępowanie jego z żoną” znane jest w kołach muzycznych. „To już nie pierwsza ofiara pańskiej chciwości i zachłanności – pisano w liście – a ponieważ Pan Bóg nie zostawia bez odwetu ciężkiego przestępstwa, popełnionego potajemnie, wszystko, co utajone, stanie się jawne. W rękach naszych znajdują się niezbite dowody, świadczące o tym, że był pan wenerablem wenty karbonarskiej i że po raz pierwszy wzbogacił się pan korzystając z pieniędzy złożonych w kasie politycznych zbójów i złodziei. Wiadomo nam, że sam pan był skazany na śmierć. Wiadomo nam też, że z pięcioma oddanymi sobie rycerzami gościńca ograbiał pan podróżnych. Szukano pana w Bolonii; udało się panu wykręcić powołując się na przypadkowe podobieństwo. Lecz teraz podamy to do wiadomości wiedeńskiej policji kryminalnej, aby się przygotowała do aresztowania bandyty ukrywającego się pod maską skrzypka”.

Wróg szedł z otwartą przyłbicą i uprzedzał listem.

Paganini wezwał Maysedera.

– Przecież nie pójdzie pan z tym listem do policji – uśmiechając się rzekł tamten. – Niech pan go podrze i wyrzuci.

Jednakże wkrótce potem w wieczornych gazetach ukazały się notatki zawierające słowa podobne do iskier przelatujących po loncie. „Widocznie gdzieś stoi beczka z prochem i wkrótce nastąpi wybuch” – pomyślał Paganini.

Gazeta katolicka, nie wymieniając nazwiska Paganiniego, zamieściła w małej kronice notatkę o tym, jak to pięcioletni pobyt w więzieniu wpłynął korzystnie na rozwój techniki gry na skrzypcach, i o tym, że niektóre akordy skrzypcowe świadczą o niezwykłym smutku wielkiego grzesznika, który stracił spokój ducha. Demoniczne dźwięki, wypieszczone

w samotni więziennej – to zabawa bardzo niebezpieczna dla tych, którzy zażywają tej trucizny.

Dwadzieścia siedem dni ostrzeliwano go takimi notatkami i anonimowymi listami. Były to drobne uklucia, lecz doszło w końcu do tego, że służba hotelowa nie chciała sprzątać pokoju bezbożnika signora Paganiniego.

Nareszcie, przypomniawszy sobie radę sekretarza Metternicha, Paganini udał się do głównego wiedeńskiego urzędu cenzury. Skrzypiące drewniane schody, brudne i zakurzone, z pajęczyną w kątach, zaprowadziły go do małego, na wpół ciemnego pokoju, z którego trafił wprost do kancelarii straszego cenzora wiedeńskiego, kontrolującego wszystkie gazety, jakie ukazywały się w mieście. Ku wielkiemu zdumieniu Paganiniego przywitał go dobroduszny, stary mnich.

– Cóż na to poradzę, że mam głupiego pomocnika! – rzekł z uśmiechem do oburzonego skrzypka. – Sam, oczywiście, nie wierzę wszystkim tym bredniom, które codziennie muszę czytać o panu, czcigodny signor Paganini. Lecz młodzi ludzie, którzy w tym roku ukończyli seminaria, pełni są szczególnej miłości do Kościoła Chrystusowego. Powinien pan być dla nich bardziej pobłażliwy. Gdyby pański syn, pragnąc uradować ojca, coś tam przeskrobał, przecież nie ukarałby go pan chyba za to? Tak samo i ja nie mogę poskromić gorącej miłości wiernych dzieci świętego Kościoła. Lecz radzę panu zrobić jedno: proszę napisać do teatralnej gazety sprostowanie dotyczące wszystkich krążących o panu pogłosek, a jeśli redakcja nie zechce go umieścić, to ja rozkażę wydrukować pański artykuł. Na tym wszystko się skończy. Pan chyba nie otrul żony ani nie zamordował kochanki. Nie wierzę w to.

Zrównoważony i przymilny głos starego mnicha, uprzejmość i jakiś szczególny spokój, który tchnął z jego słów, przekonały Paganiniego. Wróciwszy do domu chodził kilka godzin po pokoju. Odwołał kolejny koncert usprawiedliwiając się chorobą i cały wieczór pisał. Koślawe wiersze stawały dęba, pióro odmawiało posłuszeństwa. Wstręt przeszkadzał mu ustawiać słowa, jak należy. Zamazane, pokreślone i podarte kartki leżały na stole, na podłodze i na parapecie okna. Wreszcie zadzwonił. Długi, płaczący dzwonek rozległ się na korytarzu. Nikt nie odpowiadał. Pociągnął jeszcze raz za sznurek. Na próżno. Rozwścieczony szarpnął wreszcie tak mocno za sznurek, że gdzieś w dalekim końcu korytarza na podłodze brzęknął oderwany dzwonek. Zaspany służący zjawił się w pokoju i milcząco stanął w drzwiach. Paganini zapieczętował kopertę i zaadresował ją.

– Proszę to odnieść.

– Co też pan mówi, signor! – zawołał zdumiony służący. – Któż przyjmie ode mnie list pana o czwartej nad ranem. Poza tym o tej porze niebezpiecznie jest chodzić po mieście.

Paganini otrząsnął się i spojrzął na zegarek. Okazało się, że tych kilka krótkich i z wysiłkiem napisanych zdań kosztowało go prawie dwanaście godzin.

Kazał słuzącemu odejść i położył się spać w ubraniu.

Po dwóch dniach ukazał się w gazetach następujący list, wydrukowany wielkimi czcionkami:

„Paganini śpieszy wyrazić swą wdzięczność autorowi artykułu umieszczonego w «Gazecie Teatralnej» z dnia piątego bieżącego miesiąca. Lecz dziękując za pochlebną ocenę jego ostatnich koncertów, które odbyły się w obecności wykształconej i ze wszech miar zasługującej na poważanie społeczności miasta Wiednia, Paganini sądzi, że niektóre zdania i zwroty zamieszczone w artykule nie tylko wydają się zbyt czyste, ale ze względu na to, że zawierają napomknienia o szkalujących go plotkach, rozpowszechnianych wśród rozmaitych warstw ludności Wiednia, jak również wśród mieszkańców innych miast Europy, wymagają z jego strony całkowitego i kategorycznego zaprzeczenia tak formalnego, jak i rzeczowego. Paganini pozwala sobie zapewnić społeczeństwo miasta Wiednia, gwoli obrony swego dobrego imienia i honoru, jak również celem stwierdzenia obiektywnej prawdy, niezbędnej dla ludzi, że nigdy i nigdzie przez żaden rząd, władzę i w ogóle przez żadnych ludzi ani przez jakiegokolwiek społeczne lub prywatne organizacje z żadnego powodu nie był zmuszony do prowadzenia życia więźnia lub też człowieka trzymanego w izolacji. Nie miał ani razu potrzeby prowadzenia życia odmiennego od tego, jakie przystoi uczciwemu człowiekowi i surowemu wykonawcy praw obywatelskiego i ludzkiego współżycia. Może to być potwierdzone przez dowolne władze, pod których opieką Paganini przebywał w tym lub owym czasie, zachowując wszędzie swoją wolność, honor, godność swej rodziny i dążąc przede wszystkim do udoskonalenia wzniosłej sztuki, tej sztuki, której służąc zawdzięcza wielki zaszczyt występowania wobec wytrawnych znawców poważnej muzyki, jakimi są dla niego łaskawi słuchacze miasta Wiednia”.

Pod tą notatką w gazecie jeszcze większym drukiem figurował podpis: „Nicolo Paganini”.

Zanim ten sklecony z największym wysiłkiem list ukazał się, Paganini czekał dwa dni. Straszne zdenerwowanie opanowało go, gdy zamiast listu

przeczytał coś zupełnie nieoczekiwanego. Obwiedziony żalobną ramką, krótki komunikat donosił:

„Dziś w południe w Tiergartenie zmarł na udar serca największy skrzypek świata Nicolo Paganini, który nie zniósł ujawnienia okropnych szczegółów jego biografii”.

Paganini czytał ten komunikat razem z Maysederem. Ukazał się on bezpośrednio po odwiedzeniu redakcji przez samego nieboszczyka Paganiniego. Co prawda, w wydaniu wieczornym, specjalnie poświęconym sprawie śmierci Paganiniego, umieszczono sprostowanie, w następnym zaś porannym wydaniu „Gazety Teatralnej” ukazał się jego list, lecz Paganini przeżywał to wszystko, co w takich wypadkach przeżywa człowiek, który stał się ofiarą urągowiska. Przychodzili do niego nieznani ludzie. Ze trzy razy musiał otwierać drzwi i odpowiadać na pytanie, komu zlecono załatwienie pogrzebu i jaki jest porządek składania wieńców. Żadne anonimowe listy, żadne plotki gazetowe tak nie zaszkodziły Paganiniemu jak to gorące zapewnienie o swej niewinności. Pokazało ono nagle publiczności wiedeńskiej zdemaskowanego Paganiniego, Paganiniego urażonego plotkami, Paganiniego wystraszonego, Paganiniego, który wpadł w sieci obmowy i podejrzeń.

„Ogłoszenie o śmierci Paganiniego okazało się tylko przedwczesne” – donosiła mała gazetka wychodząca w Berlinie, która przedrukowała list Paganiniego. Gazetka poddała krytycznej analizie każde zdanie. Całkowite zaprzeczenie jakiegokolwiek bądź winy było nowym przestępstwem Paganiniego. Ton jego listu był niedopuszczalny. Paganini zwyczajnie wykręcał się od usprawiedliwienia, nie obalając punkt po punkcie tych poważnych oskarżeń, jakie na niego rzucano.

Mayseder w rozmowie z przyjacielem robił mu wyrzuty:

– Dlaczego pan nie poradził się mnie? Znam wiedeńskich skrzypków, znam muzyków Berlina, wiem, jakie honoraria od wiersza pobierają dziennikarze wiedeńscy. Czy pan istotnie myśli, że potrzebna im jest jakaś prawda? Dla zarobku cenią sobie ponad wszystko brudną potwarz. Nienaganny Paganini, nie przynoszący zysku gazecie, nic nie jest wart, nawet jeśli jest genialnym skrzypkiem. Paganini – właściciel spelunki, rozpustnik, łotr, który zarząnął swoją kochankę, jest dla nich tysiąc razy droższy. Pan tego nie rozumie? Czy pan doprawdy sądzi, że któregoś z tych ludzi interesuje pan jako żywa indywidualność i że wzruszają ich pańskie prawdziwe cierpienia? Czy pan myśli, że któremukolwiek z tych recenzentów muzycznych Wiednia zależy na tym, aby pana wybielić? Czy sądzi pan, że szlachetne dążenie

pana do okazania wielkoduszności i wdzięczności Spohrowi będzie należy-
cie komentowane?

Paganini milczał patrząc gdzieś w bok, lecz na wspomnienie Spohra
szybko odwrócił głowę.

– Co panu wiadomo o mojej wizycie u Spohra? – zapytał Maysedera.

– Wiem, jaki jest stosunek Spohra do pana – odrzekł młody skrzypek. –
Jestem uczniem Spohra. Spohr był u zenitu sławy w tych latach, gdy na
północy po raz pierwszy usłyszano nazwisko Paganiniego. Mała notatka
gazetowa nie mogła przestraszyć Spohra. Jestem głęboko przekonany, że
on pana słyszał, i to go przestraszyło. Musi pan mieć na względzie, że
gwiazda Spohra blednie, gra źle, roztył się, stał się wstrętny z tą swoją
papieską bezgrzesznością; zbrzydła mu rola Jehowy muzycznego. Otacza
się młodymi uczniami, którym rozdaje patenty na geniuszów pod warun-
kiem, że będą paną szczuli. Czemu Spohr odwrócił się do mnie plecami?
Matka moja umierała w tym dniu, kiedy piętnaście osób, gorących wielbi-
cieli swego profesora, uczniów Spohra, miało wziąć udział w uroczystości
złożenia mu hołdu. Moja nieobecność komentowana była w odpowiedni
sposób. Napisałem do profesora list, w którym wyjaśniłem mu przyczynę
swej nieobecności. Powtórzono mi jego słowa: powiedział, że wszyscy
ludzie miewają matki i że śmierć – to zwykle przeznaczenie człowieka. Było
tū, widocznie, jakieś niedopowiedziane „ale”. Starzec uważał, że dla
złożenia mu hołdu należy przyjąć porzucając nawet łożo umierającej matki.
Od tego dnia nie widziałem go. Musi pan zrozumieć, że dla tego człowieka
cenne jest każde pańskie potknięcie się i aby panu zaszkodzić, gotów jest
oddać ostatnie pieniądze... Zresztą ma pan też przyjaciół – zakończył
Mayseder i pokazał Paganiniemu poemat w dwunastu pieśniach, napisany
przez poetę Castellego.

Poemat nosił tytuł *Paganiniada*. W górnolotnych zdaniach Castelli
śpiewał chwałę geniuszowi skrzypiec. Martwe i suche jak dźwięki kasta-
nietów trzeszczały i stukotały rymy. Paganini przeczytał pierwszy wiersz
i rzucił poemat na stół.

– A oto jeszcze – rzekł Mayseder – również poemat w dwunastu
pieśniach Fryderyka Augusta Kannego.

Paganini poprosił o pozostawienie mu obu utworów.

– Nie, stanowczo, życie staje się nie do zniesienia! – rzekł Paganini
kończąc swoje rozważania i wstał.

Mayseder nie dawał za wygraną. Z miękkiej, skórzanej teczki do nut
wyciągnął paczkę numerów francuskiej gazety „Przegląd Muzyczny”.

– O, Paryżu! – zawołał Paganini. – O, Francjo! Oto dokąd dążę całą duszą.

– Czy aby nie za wcześnie? – zapytał Mayseder.

Paganini zaczerwienił się i odwrócił.

– Chcę powiedzieć – szybko sprostował Mayseder – że przy pańskim niezahartowanym, wrażliwym usposobieniu Paryż może okazać się niebezpieczny. – Następnie ująwszy Paganiniego za rękę wyjaśnił: – Geniusz i talent wymagają twardej skorupy, która mogłaby je ochronić od zmian pogody. Nic nie miałbym przeciwko pańskiemu wyjazdowi do Paryża, gdyby nie pana list z usprawiedliwieniami. W Wiedniu przyczyni on panu jeszcze niemało kłopotów, w Paryżu zaś będzie powodem pańskiej zguby, jeśli ukaże się na łamach prasy paryskiej po pierwszym pańskim koncercie.

– Nie – powiedział Paganini. – Nauczyłem się rozumieć ludzi i wiem teraz, co to jest maszyna sławy. Niech mi pan zostawi gazety.

Mayseder odszedł. Paganini usadowił się wygodnie w fotelu i jął czytać numer za numerem. Niejaki Fétis pisze sprawozdanie o jego koncertach. Obywa się bez wykrzykników. Nie używa owych słów pochwały, za którymi kryje się zupełne niezrozumienie muzyki. Krótko i sucho opisane są po kolei wszystkie koncerty Paganiniego. Oto koncert w Reducie z dnia 23 marca. Oto opis własnych utworów Paganiniego, rozbiór tematu sonaty wojennej, granej na czwartej strunie. W konsekwentnej kolejności autor podaje, że następny numer programu zastąpiony został wariacjami na temat *Kopciuszka* Rossiniego. Oto po prostu wzmianka, że członkowie orkiestry przyłączyli się do owacji publiczności. Oto notatka, że 11 maja na koncercie Paganiniego byli obecni wszyscy członkowie rodziny cesarskiej. Oto opis koncertów w apartamentach Metternicha; dalej recenzja o koncercie Rodego, zagrany przez Paganiniego. „Ten Fétis zna się na muzyce” – myśli Paganini.

Lecz oto wzmianki o Maysederze. Człowiek ten przyniósł numery „Przeglądu Muzycznego” z recenzjami Fétisa, nie zważając na to, że zwyczajem wszystkich recenzentów Fétis nie mógł obejść się bez porównań. Dlaczego poniżał Maysedera? Jak źle pisze o nim! A jednak w dowód swej bezinteresownej przyjaźni Mayseder przyniósł mu te wycinki i całe artykuły. A oto subtelna drwina Fétisa, która dowodzi, że ma ostry umysł i rozumie stan rzeczy. „Jak to się stało – pisze Fétis – że publiczność wiedeńska uważała za możliwe zdetronizować przedmiot swych ostatnich zachwytów? Paganini zmusił Wiedeń, by zapomniał o olbrzymiej

żyrafie przysłanej przez paszę egipskiego w prezencie cesarzowi austriackiemu”.

Paganini odetchnął z ulgą. Życie przygotowało atak, należało odpowiedzieć na wyzwanie i Paganini postanowił odpowiedzieć całkowitą rezygnacją ze wszystkich ambicji.

Mnich cenzor, urzędujący w głównej cenzurze miasta Wiednia, stanął nagle przed oczyma Paganiniego w postaci don Basilia Rossiniego, oszczercy z *Cyrulika sewilskiego*. Paganini roześmiał się. „Czy może być dla mnie niejasne, czemu Kościół katolicki wrogo odnosi się do mojej sztuki? Zagadnienie to należy ująć inaczej. Kościół katolicki pyta, czemu jestem w stosunku do niego obojętny. Italia wyrosła z pieluszek i ciemne zabobony z fałszywymi cudami nic nie mogą już jej dać. Lecz wielka sztuka, muzyka wnosząca w sprawy świata porządek i ład, oto co może zrodzić w duszy człowieka nową harmonię, nowe odczuwanie świata. Muzyka wyzwająca duszę od wszystkiego, co trzyma człowieka we wczorajszym dniu, nie może być uznana przez Kościół. A więc niezbędny jest ostateczny wniosek: Kościół to wróg człowieka”.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pogrzebany za życia

Jednego z tych dni, kiedy wiedeńskie gazety zajęły się już poszukiwaniem nowej żyrafy i pełne były opisów przygód jakiejś zaginionej bogatej jedynaczki – jednego z ostatnich dni sierpnia na stacji pocztowej w pobliżu Prateru wysiadł człowiek, który niczym szczególnym się nie odznaczał; człowiek w ubraniu ni to kancelisty pracującego u notariusza, ni to subiekta sklepu galanteryjnego. Jednakże człowiek ten o nieokreślonym wyglądzie potrafił dać nauczkę doróżkarczowi żądającemu zbyt wysokiej opłaty. Doróżkarz, potargowawszy się chwilę, wpuścił do powozu tego niczym nie odznaczającego się człowieka i zawiózł go przed dom, gdzie mieszkał kanonik katedry Świętego Stefana. Tutaj niczym nie odznaczający się człowiek musiał cierpliwie czekać, gospodarza nie było w domu. Po dwóch

godzinach rozległo się stukanie do drzwi. Stara służąca, która nie spuszczała oczu z gościa, pobiegła je otworzyć. Wszedł stary człowiek w brudnym, wyswiechtanym ubraniu. Na widok gościa coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jego twarzy, potem wyjąwszy tabakierkę człowiek ten wpakował sobie po dwie okazałe porcje tabaki do każdej dziurki nosa i rzekł:

– A więc co sprowadza cię, mój synu, do miasta jego apostolskiej mości? Czy wzywa cię coś ważnego? Jak się ma przepiękna Genua, najwspanialsze miasto na świecie! – Potem, jak gdyby zwracając się do siebie samego, starzec dodał: – Na starość odczuwamy nie tyle brzemień lat, co pragnienie, by spocząć w ziemi, która nas wykarmiła.

– Ojciec mój, spotykaliśmy się w ciężkich latach: proszę sobie przypomnieć, jak to francuski rząd barona Marbota rozkazał powiesić wielebnego ojca, a mnie kazano ciągnąć sznur. Było to w czasie, gdy kamraci tego bezbożnika Bonapartego...

Ojciec Paweł podniósł lewą rękę i, przerywając mówiącemu, przeżegnał się.

Przyjezdny podjął:

– Generał Massena jak tygrys rzucił się na równinę i opanował naszą kochaną Genuę.

– Pamiętam, pamiętam, synku – przerwał mu znów ojciec Paweł. – Doskonale wiem, że gdyby nie twój spryt, nie udało by mi się ocaleć. Powiedz, jakie nowe dowody mojej wdzięczności są ci potrzebne? Możeś ty...

– Tak, wielebny ojciec, zawiniłem, i to bardzo zawiniłem. Popełniłem grzech. Stoi przed ojcem złodziej.

Oczy kapłana zapłonęły, lubił mieć do czynienia z przestępcami i w ogóle z ludźmi, którzy przekroczyli granice przyjętej moralności. Dusza w rozterce szuka pogodzenia się ze światem i boi się ludzi. Oto gdzie doświadczony sługa Kościoła może znaleźć prawdziwą ofiarę skrucy i, korzystając z chwili, uczynić z człowieka fanatyka, który całkowicie poświęci się służbie dla Kościoła. Nie ma nic gorszego niż człowiek uczciwy i pewny siebie: jest spokojny i obojętny i niepotrzebna mu jest ojcowska pomoc świętego Kościoła. Lecz rozmyślania te nagle urwały się, starzec spochmurniał.

– Jakąż to świątynię – zapytał – jakież to klasztorne skarbiec ośmieliła się znieważać twa świętokradzka ręka? Nie masz za to przebaczenia ani tutaj, ani w wieczności! Wiedz, nieszczęsny, że co cesarskie, należy się cesarzowi, a co boskie – Bogu. Święty Tomasz z Akwinu w swym boskim traktacie

powiada: „Cesarz, który ściąga podatki na rzecz Kościoła i daje dziesięcinę, jest cesarzem bogobojnym”. Jakżeś śmiało sięgnąć po srebro i złoto Kościoła Chrystusowego? Zdradzę, zdradzę cię.

– Niech mi ojciec wielebny wybaczy, nie ruszałem ani kościelnego, ani klasztornego dobra. Obrabowałem tylko zmarłą staruchę, nikomu niepotrzebną, podrobiwszy jej podpis.

Stary kanonik od razu się uspokoił:

– Od tego należało zacząć, mój synu. A więc uciekłeś. Pod jakimż nazwiskiem, synu mój, przybywasz do nas, na brzeg Dunaju?

Novi podał mu paszport, okazały dokument, ozdobiony wszystkimi należytymi pieczęciami i wizowany zielonym stemplem austriackiej żandarmerii granicznej. Starzec złożył z powrotem tę wielką płachtę i zwrócił ją swemu wychowankowi:

– Ano cóż, witaj! Ja, grzeszny sługa Chrystusowy, przebaczam i zezwalam. Kto dał ci paszport?

– Markiz Pombal, brat naszego straszliwego wroga, wroga zakonu Jezusa – powiedział Novi.

– Aha, aha – starzec pokiwał głową. – Gdzież to i kiedy widziałeś markiza?

– Spotkałem go przypadkowo, ojciec wielebny, w Genui na wybrzeżu i to on mnie zawołał.

– Jakże był ubrany markiz Pombal?

– Był w uniformie oficera marynarki, a ponieważ dawno markiza nie widziałem, wziąłem go za człowieka świeckiego.

– Nie jesteś przecież młodzikiem – rzekł surowo starzec i podeszłszy do umieszczonej w ścianie szafki wyjął z szuflady drukowany cyrkularz. – Przeczytaj sobie to poufne pismo generała naszego zakonu.

Novi przeczytał:

„Drodzy bracia, nie mogę w dostatecznym stopniu wyrazić wam swego żalu i goryczy, jaką jestem przepelniony na wieść o decyzji powziętej przeciwko zakonowi Jezusa przez parlament i króla. Jeśli król i parlament z nastaniem nowego stulecia zmuszą nas wbrew naszej woli do zlikwidowania naszego legalnego stowarzyszenia, nie pozwólcie na to, nawet gdyby trzeba było poświęcić szaty naszego świętego ojca Ignacego; ponieważ wdziękając nawet świecką odzież, możemy pozostać zjednoczonym świętym stowarzyszeniem Jezusa. Cisza następuje po burzy. Musimy się skazać na długie lata wyrzeczeń, aby połączyć się z nastaniem ciszy. Postarajcie się

zjednoczyć mocniej aniżeli w latach legalnego związku. Pamiętajcie, że nie ma władzy, która może zniweczyć śluby naszego zakonu. Cierpcie i z ciepłością ukorzcie się przed Wszechmogącym. Zakon Jezusa oby istniał na wieki. Mam pieczę nad wami, stoję na czele waszego pokornego stada i skazany jestem na przyjmowanie ciosów przeznaczonych dla was wszystkich. Ze łzami udzielam wam błogosławieństwa na to, byście przenikali wszędzie i zawsze do wszystkich związków i stowarzyszeń świeckich w każdej postaci i przebraniu, ze wszystkimi formułami jawnych słów, zachowując tajemną formułę zakonu Jezusa”.

Noviemu nie był znany ten poufny cyrkularz. Przeczytał go i wzruszył się do łez.

– Tobie również wypadnie tak czynić – powiedział kanonik. – Masz przed sobą dwie drogi. Możemy wysłać cię do dyspozycji ojca Pawłowicza do morawskiego więzienia, gdzie spowiada on karbonariuszy. Tam pobłażliwość świeckich władz doprowadziła do tego, że osłabła dyscyplina dozoru-jących, a wzmocnił się upór uwięzionych. Tam karbonariusze: Confalonieri, Maroncelli, Pellico i ze dwudziestu innych, o nie mniej szkodliwych umysłach, zatruwają myśli i uczucia chrześcijańskiej ludności wszystkich stolic.

– Tylko nie tam! – zawołał Novi. – Tylko nie tam, ojczyźnie wielbny! Tam zbyt dobrze mnie znają! Byłem współuczestnikiem przesłuchania karbonariuszy w mediolańskiej Santa Margerita.

– A więc czego byś chciał? – zapytał starzec.

– Gdy wjeżdżałem do miasta, widziałem afisze. Wróg Kościoła świętego, skrzypek i karbonariusz Paganini gra w Wiedniu. Mam dokładne dane, które zebrałem, rozpytując wiernych synów Kościoła w Genui i Mediolanie. Przywoziłem je z sobą. Aby zbić majątek, przeklęty ten człowiek zaprzedał diabłu duszę. W Lukce kochał się w pewnej bogatej kobiecie. Zabił ją z zazdrości i w stanie obłąkania schwymano go prawie nagiego na drodze wiodącej do Livorno. Został zasądzony i skazany na galery. Proszę się przyjrzeć, jak on wlecze swoje krzywe nogi po podłodze. Stara się ukryć słabość nóg, które przez wiele lat były zakute w ciężkie kajdany. Pewnego razu odwiedził Paganiniego diabeł i zawarł z nim potworny pakt: Paganini sprzedał swą duszę za milion dukatów.

– Tak, tak – odezwał się starzec. – Mów dalej, słucham.

Novi poczuł, że wychowawca jego jeszcze bardziej zainteresował się opowiadaniem o Paganinim, gdy usłyszał słowo „milion”.

Ciągnął więc dalej swą niesamowitą opowieść.

– Cóżeś robił ostatnio? – przerwał mu wreszcie tamten.
– Spełniałem różne polecenia markiza Pombala w Rzymie.
– Aha, słyszałem, służyłeś u niego za stangreta.
– Tak, wielbny ojciec – odrzekł Novi.
– No więc, co jeszcze powiesz o tym skrzypku?
– Markiz Pombal otrzymał z Rzymu polecenie zwrócenia na niego uwagi.

– Tak, tak – znów zamamrotał starzec. – No i cóż, zwróciłeś uwagę? He? I myślisz, że generał zakonu pobłogosławi twą gorliwość?

Novi milczał. -

Starzec wyjął z szafki mały safianowy woreczek, wyciągnął stamtąd mikroskopijnej wielkości notes i, poprawiwszy okulary, uważnie przerzucił kilka stroniczek. „Ano cóż, od dnia dzisiejszego polecę bractwu, by dowiadywano się dokładnie o wszystkie pieniężne sprawy tego muzyka. Potrącenia są w naszych rękach. Trudniejsza jest sprawa z tajemnicą bankową. Ale i to jest do pokonania”.

Starzec szybko obmyślał, jakimi kanałami powinna jutro popłynąć fala jego rozkazów. Urzędnicy bankowi, rachmistrze, dziennikarze – zbierający dane o honorariach, wszyscy byli w jego rękach.

– Nie będzie wiózł ze sobą gotówki – jakby potwierdzając własną myśl, rzekł starzec. – Kto z twych pomocników... – starzec zająknął się. – Nie, damy ci naszego. Jest taki śpiewak kapeli cesarskiej, Urbani. Poślemy go jako widmo towarzyszące Paganiniemu, będzie to jego karbonarski cień, jego sobowtór.

– W promieniach jasnego światła pierzchnie mrok otaczający Paganiniego – rzekł Novi. – Paganini to brudny demon o kozich nogach, kroczący z fletnią helleńskiego diabła po miastach Europy. Proszę z niego zdjąć surdut i spodnie, a przekonamy się, że to nie człowiek; wystarczy ostrzyć mu włosy, by znaleźć rogi, a gdy zdejmemy z niego buty, to ujrzemy rozdwojone kopyta.

Starzec spojrział na natchnionego oszczercę swymi przezroczytymi turkusowymi oczami.

– Tyś sam to wszystko widział? Tak, tak – przytaknął nie czekając na odpowiedź Nowiego. – Wielbny ojciec Puchalski, stojący na czele urzędu cenzury, opowiadał mi o tym skrzypku.

Oczy jego tak drwiąco i tak wymownie spojrzały na rozmówcę, że ten zająknął się i urwał.

– Czemu milczysz? – powiedział starzec – może nie jest ci wiadome, że Ojciec Święty i prymas Kościoła rzymskiego przychylny jest twemu skrzypkowi, twemu diabłu o koźlich nogach, twemu galernikowi! Może chcesz się dowiedzieć, kim on jest? To kawaler papieskiego Orderu Złotej Ostrogi, oto kim jest, a ty – jesteś szczeniakiem i ośmielasz się...

– Mój Boże, nie wiedziałem, nie wiedziałem, że Ojciec Święty...

– A! Nie wiedziałeś! – zapiał nagle starzec kogucim głosem. – A więc mówię ci, byś wiedział: niezły z ciebie chłop, lecz jeśli i podczas burzy będziesz twardy jak bryła lodu, to gdy powieje ciepły wiatr, możesz się roztopić. Jeśli z twej winy choć jeden włos spadnie z głowy kawalera Orderu Złotej Ostrogi, wielkiego muzyka kapeli cesarskiej signora Nicola Paganiniego, raba bożego i wiernego syna Kościoła Chrystusowego, to nie tylko spadną ci z głowy włosy, lecz i głowa stoczy się z twych ramion. Zrozumiałeś?

Novi zbladł, czuł, że odzież jego stała się nagle mokra od potu, drżały mu ręce i kolana, patrzył na straszego starca i dobrze znając regułę zakonu, czuł już, jak ręka tamtego sięga po niebieską kopertę. Lecz nie widząc niebieskiej koperty upadł do reszty na duchu. To znaczy, że grozi mu nie zwykle wykluczenie z zakonu, lecz zaledwie wyjdzie z tego dobrze ogrzanego pokoju, zostanie schwytyany na ulicy i osadzony w więzieniu, jako człowiek, który podrobił podpis i otrzymał cudzy spadek. A po miesiącu zgnieje w jakiejś studni więziennej jak zwykły zbrodniarz, który wykroczył przeciw prawu świeckiemu. Nowiego ogarnęło przerażenie. W tej chwili nienawidził Paganiniego jeszcze bardziej niż godzinę temu.

Starzec patrzył na niego, lecz zdawało się, że go nie widzi. Od dawna wiedział, co spotkało Paganiniego w Parmie. Wszystkie rękopisy skrzypka i wszystkie jego nuty, które znajdowały się na przechowaniu w Parmie, zostały skradzione. Signor Pino, generał legionu cisalpińskiego i karbonariusz, dziesięć dni temu nagle zmarł. Z rozkazu ministra policji, hrabiego Siedlenickiego, mieszkanie generała Pino w Mediolanie zostało opieczętowane. Wśród jego papierów znaleziono nuty, listy i pamiętniki signora Paganiniego. Wszystkie nici wiążące zmarłego nagle generała z signorem Paganinim są obecnie w rękach policji wiedeńskiej. Starzec wiedział, że jedenaście went karbonarskich przerzuciło swą działalność z Italii do Francji, lecz wiedział także o tym, że król Karol X z każdym dniem coraz bardziej ulegał wpływowi zakonu Jezusa i że nie dziś, to jutro Francja stanie się miejscem, skąd zacznie się całkowite odrodzenie władzy Kościoła w Europie.

Jeśli ojciec La Chaise, spowiednik Ludwika XIV, schodząc do grobu, uprzedzał króla o konieczności wzięcia sobie spowiednika jezuitę, to tego króla o nic nie trzeba prosić, gdyż sam gotów jest uczynić zadość wszystkiemu, co trzeba. Jeśli tam niezbędne było przypomnienie ojca La Chaise'a, że nie ręczy za bezpieczeństwo króla w wypadku, gdyby najjaśniejszy pan wziął sobie innego spowiednika, to ten król sam dobrze wie, że walka z zakonem jest niepodobieństwem.

Nastąpił rok decydującej walki. Czy należy lekceważyć możliwość nagromadzenia wielkiego bogactwa w rękach człowieka, którego jedynym spadkobiercą jest słabowite dziecko? Jeśli Paganini stanie się niesłychanie bogatym synem Kościoła, bogactwo to będzie już bogactwem Kościoła.

Istnieją dwie możliwości: albo skrzypek zginie, albo też będzie opiewał chwałę Pańską.

– A więc – rzekł starzec zwracając się do Noviego – odtąd drogę człowiekowi temu wskazywać będzie ręka Wszechmocnego za pośrednictwem naszego świętego zakonu Jezusa. Polecam ci to wzniosłe i zbożne zadanie, lecz uprzedzam cię, mój synu, że w dniu, w którym miałbyś zboczyć z tej drogi i zacząć działać na własną rękę, wydany będziesz władzom świeckim jak zwykły złodziej i zasłużysz sobie na karę śmierci. Obecnie rękojmią twoją jest nazwisko markiza Pombala. Lecz abym mógł cię darzyć zaufaniem i nadal, powiedz mi natychmiast, wymień mi tylko jedno imię.

– O kim wielebny ojciec mówi? – na wpół żywy Novi aż powstał z przerażenia. – Czy chce ojciec wielebny powiedzieć, że naszym prawdziwym władcą nie jest papież, lecz ten, którego, dzięki jego potędze, fama nazywa „czarnym papieżem”?!.

Starzec nie patrzył na Noviego, zdawało się, że nawet go nie słucha. Oparłszy się o stół, położył głowę na dloni. Powiadomiony był, że akurat tego dnia, kiedy przyjechał Novi, w Rzymie zaszły zmiany. Uważał za niezbędne doprowadzić rozmówcę do stanu panicznego strachu, a potem, ogłuszony nagłym uderzeniem, dowiedzieć się od niego, w jakim stopniu jest wtajemniczony. Lecz chytry Novi sam zbyt dobrze znał metody zakonu. Wypowiedziawszy ostatnie słowa, urwał i nie wymienił nazwiska. Przypadkowo w dylizansie zdążającym na północ doszła go, jak szelest wiatru, wiadomość: generał zakonu jezuitów ojciec Alojzy Fortis nie żyje. Umarł dziwną śmiercią, a miejsce jego zajął inny, ten, którego istotnie nazywano „czarnym papieżem”, ten, który w tajemnicy przewodził Kościołowi.

Milczenie starego kanonika nie wróżyło nic dobrego. Novi był zmiążdżony. Ledwo poruszając wargami i czując, że język odmawia mu posłuszeństwa, kontynuował zdanie:

– ...generał zakonu Jezusa, kardynał Roothaan.

Lecz starzec jak gdyby nie słyszał, pokasłał i nagle powiedział:

– Tak, tak – będziemy uważali naszą umowę za zawartą. A więc w imieniu generała naszego najświętszego zakonu ja, sługa sług Pańskich, polecam ci, synu mój, byś nieugięcie i bezwzględnie, we dnie i w nocy bacznie, czujnie i surowo obserwował drogi wymienionego przez nas sługi bożego.

Następnie przeszedł do spraw o charakterze praktycznym. Przystaniając dłonią ziewające usta starzec wyjaśnił Noviemu, że będzie miał czterech familiarów w różnych miastach. Zostaną przygotowane dla niego cztery pergaminy – dwa na małe zapisy i dwa na duże.

– Uczynisz tak, jak przyjęte jest w naszym stowarzyszeniu – mówił starzec. – Zapisy na Kościół oznaczysz na górnym arkuszu w małych sumach, a na kopii poświadczonej przez familiarów w dużych. Zapisy dla krewnych oznaczysz na oryginale w dużych sumach, na kopii – w małych. Jeśli uda się, że testator podpisze, weźmiesz wszystkie cztery dokumenty, a dwa górne arkusze przekażesz familiarom celem zniszczenia. Czy mówię zrozumiale? – zapytał Nowiego starzec z obraźliwym powątpiewaniem w głosie.

Novi odparł z zapalem:

– Zrozumiale, ojcze, zrozumiale.

– Rozumiesz, dopóki mówię z tobą tutaj. Lecz uważaj, by umysłu twego nie przyćmiło następne dziesięć lat tułaczki.

Novi bezgłośnie wstał z fotela. Był błady, uklęknął i modlitewnie złożył ręce.

– Uważaj, byś pewnego pięknego ranka, obudzwszy się, nie otrzymał niebieskiej koperty zawierającej straszny wyrok.

– Tylko nie to, wielbny ojcze, tylko nie to! – błagał Novi.

– Nie, synu mój, właśnie to! – rzekł stary jezuita i położył rękę na głowie klęczącego mnicha.

Novi podniósł się.

Nazajutrz rano dowiedział się, że wielki artysta wyjechał do Pragi. „Jakie to szczęście, że nie do Paryża” – pomyślał Novi i z ulgą odetchnął.

Na kilka dni przed wyjazdem Paganiniego z Wiednia wystawiono

w teatrze operetkę pod tytułem *Pseudowirtuoz*. Meisel napisał wierszyki, zjadliwe kuplety, zawierające obelżywe dla Paganiniego słowa. W kupletach tych nazywał Paganiniego „solistą”, bo grał tylko na jednej strunie *sol*. Aktor, grający rolę pseudowirtuoza, był dość dobrze ucharakteryzowany. Wykonywał niesłychanie nudne i nużące pasaże na skrzypcach, które piłował drewnianą piłą. Zamiast skrzypiec podsuwano mu pod brodę olbrzymi kontrabas, podtrzymywany przez dwóch traczy w skórzanych fartuchach. Wesoła muzyka przyciągnęła do teatru wiedeńskiego ogromne tłumy.

Lekarz wojskowy Marenzeller skonstatował u Paganiniego wszystkie objawy nadmiernego przemęczenia. Paganini stał się ogromnie nerwowy. Aby się uspokoić, wyjechał na odpoczynek do Karlsbadu, oświadczając przedstawicielom prasy wiedeńskiej, iż zamierza dać koncert w Pradze. Ponieważ następnego tygodnia Praga nie ujrzała Paganiniego, w gazetach ukazały się początkowo wiadomości o jego zupełnym zniknięciu, potem o ciężkiej chorobie i wreszcie gazety praskie umieściły nekrolog o jego śmierci. Po śmierci zaczęto głośno mówić o Paganinim takie rzeczy, na jakie nie wazono by się za jego życia. Zjawiła się signora Bianchi. Redakcja wielkiego pisma praskiego otrzymała od niej telegram, z prośbą o zakomunikowanie, gdzie zmarł jej małżonek i w czyich rękach znajduje się jej syn.

Nie wiadomo, co na to odpowiedziała gazeta praska, lecz w tym samym czasie można było zobaczyć, jak Paganini pełen życia i zdrowia jechał jedną z górskich dróg Austrii z małym Achillinem, niańką oraz signorem Urbani, niedawno spotkanym Włochem, który okazywał niezwykle oddanie i bezinteresowną chęć służenia signorowi Paganiniemu.

Minął jeszcze tydzień. Gazety, donoszące o koncertach Paganiniego, wychodziły w podwójnym i potrójnym nakładzie. Zmartwychwstały Paganini zaciekawiał o wiele bardziej. Lecz jeśli ktoś szczerze ubolewał nad tym, że Paganini nie leży w grobie, to właśnie konserwatorium praskie, z całej duszy nienawidzące muzyków wiedeńskich. Sława, którą zdobył sobie skrzypek w Wiedniu, była dostatecznym powodem do tego, by w Pradze zapanowało oburzenie. Jednakże zacięte ataki praskich recenzentów, którzy rozpoczęli kampanię przeciwko Paganiniemu, nie przeszkodziły publiczności tłumnie przybywać na koncerty podobnie jak w Wiedniu.

Znaleźli się w Pradze prawdziwi przyjaciele i wielbiciele Paganiniego. Młody Max Julius Schottky nieodstępnie towarzyszył Paganiniemu. Zdawało się, że sprawia mu przyjemność oddychanie tym samym, co on,

powietrzem. Rozpieszczał małego Achillina, zamęczał Urbaniego rozpytywaniem, przynosił Paganiniemu gazety i pliki pism i dzielił się z nim swymi rozważaniami na temat ataków krytyki. Nie osiągnąwszy sukcesów w muzyce, Schottky chciał zabłysnąć w literaturze. Swoje bezinteresowne uwielbienie dla wielkiego skrzypka wyrażał w panegirykach i zapragnął jeszcze za życia wnieść Paganiniemu pomnik, a przy tym uwieńczyć sławą swoje nazwisko.

Gdy Schottky zbyt już zanudzał Paganiniego, ten wyjmował dwa lub trzy listy anonimowe i czytał je na głos. Paganiniego bawił naiwny przestach tego przeciętnego umysłu. Z drugiej strony cieszyło go spotkanie z Schottkym, człowiekiem przychylnie do niego usposobionym. Wprawdzie były wypadki, gdy skromność przeszkadzała mu mówić o przygodach miłosnych, o wrogości jeszcze nieostygłej, o swych sukcesach i o ludzkiej nienawiści – lecz Paganini sam przyznawał, że sprawiało mu czasem przyjemność wyglądanie tych zmarszczek czasu, podnoszenie kurtyny przeszłości i rozsuwanie zasłony pamięci.

Schottky dążył do ustalenia dokładnej chronologii zdarzeń. Paganini płatał lata, dni, daty. Dokładnie mógł przypomnieć sobie światło jutrzeńki, blask obłoków nad morzem, mógł sobie przypomnieć dźwięk dzwonów na stromym zakręcie drogi górskiej, lecz nie pamiętał ani dat, ani miesięcy. Owe dane Schottky uzupełniał sam. Sumienny biograf coraz uporczywiej nacierał na Paganiniego, starając się dotrzeć do tych lat, o których Paganini w ogóle nie chciał mówić.

Siedział przy nim człowiek objuczony laurami i florenami, jak pisały o nim gazety praskie, bogacz o niesłychanej fortunie, o którym krążyły w Pradze legendy, bogacz, który wyznaczał tak wysokie ceny za swe koncerty, że ludzie wyrzekali się innych rozrywek na cały rok, by tylko posłuchać go w ciągu jednego wieczoru – człowiek ten nie chciał opowiadać o nędzy, o szturchańcach ojca, o ciężkiej i wytrwałej pracy. Schottky należał do tych, którzy nie wierzyli, że można występować bez stałych ćwiczeń przed koncertami, a tymczasem Paganini nic nie czytał, nic nie robił, nie dotykał skrzypiec, nie zaglądał do nut – brał do rąk instrument dopiero wtedy, gdy wychodził na estradę. Schottky był zdumiony. Ale nie tylko tego nie mógł pojąć. Oto czemu wiele zapisków o Paganinim, które znajdujemy w biografii pisanej za jego życia, a oddanej do druku w roku 1829, przypomina szkic niezbyt wiarygodny, a ponadto bardzo zniekształcony przez czas.

Doświadczony lekarz

Urbaniemu polecono wezwać lekarza. Z nastaniem jesieni Paganini bardzo się przeziębził w Pradze i leżał w łóżku. Po upływie dwóch godzin młody człowiek o ostrych rysach twarzy zastukał do pokoju skrzypka. Po męczącej procedurze badania niezwykle zainteresował się tym, jak signor Paganini spędza czas. Ze zdziwieniem dowiedział się, że skrzypek nigdy nie chodzi do spowiedzi i nigdy nie przystępuje do komunii świętej. Pokiwał głową i rzekł:

– To może być przyczyną wielu chorób. Boli pana gardło, ma pan w przelyku białe naloty, to niedobrze.

Wyjął flaszeczkę z silnie pachnącym płynem, pędzelek i wypędzłował tym płynem Paganiniemu gardło. Nastęstwem tego było ciężkie omdlenie chorego. Całą noc chory się miotał, oblewał potem i majaczył.

Następnego dnia rozboleły go szczęki, spuchł policzek, zabołały uszy. Gazety doniosły publiczności o chorobie signora Paganiniego. Afisze były przekreślone jaskrawo niebieskim pasem, z napisem: „Odwołane”.

Majaczenie powtórzyło się. Paganini wstawał, dzwonił na służącego, zdawało mu się, że Achillino wypada przez okno. Pociągał za sznurek, roleta unosiła się w górę, jaśniał przed nim praski dzień, a jemu się zdawało, że wciąż jeszcze trwa męcząca, duszna noc. Uczucie strasznego osamotnienia i obawa o dziecko opanowały duszę Paganiniego.

Schottky dopytywał się, kto leczy signora Paganiniego. Lecz w takich właśnie momentach signor Urbani znikał z pokoju.

Pewnego razu, gdy Schottky siedział przy łóżku chorego, rozległy się kroki na schodach.

– Oto wreszcie idzie lekarz – powiedział Paganini.

Młody profesor wstał. Drzwi szybko zatrzasnęły się, wszedł Urbani.

– Zdawało mi się, że to doktor.

– Nie, signor, to poczta.

Szybko sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął zmiętoszony list, który już trzy dni tam leżał. Paganini nie zwrócił uwagi na to, że stempel na odwrocie koperty niezgrabnie rozlewał się pod świeżym klejem. Pisał Harris proponując spotkanie w Berlinie. Porzucił służbę dyplomatyczną i pragnał

przedsięwziąć podróż po Europie. Powołując się na dawną znajomość, proponował, by Paganini wziął go na towarzysza podróży.

– Jakie to szczęście! – zawołał Paganini. – Napiszę do niego... Ale zdawało mi się, że jest tu doktor.

– Nie, skądże – Urbani zrobił przeczący ruch głową.

Ból zębów przeszkodził Paganiniemu w napisaniu listu. Trzy dni nie był w stanie przyjmować pokarmu. Nie mogąc już wytrzymać, Paganini posłał w nocy po lekarza.

Zjawił się wypomadowany, uperfumowany młody człowiek: kolega jego wyjechał za miasto do chorej węgierskiej hrabiny. Lekarz zbadał chorego i wylapisował mu gardło. Następnie wysmarował dziąsła i wyrwał chory ząb. Paganini dostał zawrotu głowy. Zupełnie wyraźnie usłyszał obok siebie rozmowę prowadzoną po łacinie. Ktoś powiedział: „*Claude januam*”, i odpowiedź: „*Clausa est*”. Kto to mówił, Paganini nie pamiętał: w tym momencie stracił przytomność.

Nad ranem nowy lekarz, Melancholer, przysłany przez fakultet medyczny, ustalił, że Paganiniemu usunięto z dolnej szczęki osiem zębów, a z górnej – dwa.

– Kto dokonał na panu tej potwornej operacji? – zapytał Melancholer.

Język odmawiał Paganiniemu posłuszeństwa. Melancholer wzruszył ramionami.

– On ma paraliż krtani. Czy nie miał pan francuskiej choroby? – spytał obcesowo.

Paganini pokręcił głową. Melancholer znów wylapisował mu gardło, smutnie wzruszył ramionami i wyszedł.

Paganini leżał trzydzieści siedem dni. Ciężkie i posępne dni wlokły się jeden za drugim. W stanie półprzytomnym, prawie w malignie, spędzał dni i noce. Schottky we wszystkim dogadzał choremu, którego męczył niepokój o dziecko. Setki najróżnorodniejszych zabawek poustawiane były w sąsiednim dużym pokoju, rozbrzmiewającym klaskaniem w dłonie i śmiechem dziecka. W chwilach ulgi, przybierając beztroską i wesołą minę, Paganini przywoływał dziecko na krótką rozmowę. Nie będąc w stanie wymówić więcej niż pięć lub sześć słów, pisał Schottky'emu, w jaki sposób Achilliño ma spędzić następny dzień. Był potem tak wyczerpany, że ołówek wypadł mu ze zdrętwiałych palców i zamykał oczy. Chwilami zdawało się, że życie jego się kończy. Z rana przychodził Achillino i patrzył na niego wielkimi, szeroko otwartymi oczami.

Po upływie miesiąca przyszły godziny zbawiennego, uzdrawiającego snu.

Ustał ucisk w piersi i gardle, a głowa zaczęła się uwalniać od strasznego uczucia, że jest opleciona lepka, lecz nieuchwytną pajęczyną, wciskającą się do oczu, ust i uszu. Pajęczynę tę palce Paganiniego nieświadomie usiłowały zdjąć. Było to męczące szukanie cienkich nici, wślizgujących się w uszy, potem zdawało się, że nici te wiszą na palcach i trzeba je strząsnąć, lecz oplątywały one wargi, oczy, trafiały do ust, między zęby, a oddychać było coraz trudniej.

W godzinach, kiedy zapadał w sen, rozlegały się nagle dźwięczne krzyki i góra zabawek padając rozsypywała się po podłodze. Paganini budził się, zdawało mu się, że wieża pizańska wali się, rażona gromem. Wbiegał mały człowieczek w białym, srebrem haftowanym ubranku. Czerwony węgierski pas ozdabiał aksamitną kurtkę. Czako z pióropuszem okrywało jasnowłosą główkę, błękitne oczy skrzyły się. Achillino wyjmował szabelkę i atakując ojca, ranil go w pierś. Paganini, zapominając o bólu, uśmiechał się. Po upływie trzydziestu pięciu dni odzyskał głos. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie wyszeptał, lecz powiedział pełnym głosem: „Aniele mój, widzisz, już jestem ranny”. Chłopczyk, słysząc ten głos i widząc ojca leżącego z zamkniętymi oczami, skoczył mu na pierś, usiadł okrakiem i jął otwierać mu powieki.

Nastąpił styczeń 1829 roku. Paganini już wstał i chodził po pokoju. Zapisywał olbrzymie arkusze papieru nutowego, lecz potem opanowywało go uczucie nieodpartego smutku. Przeżywał niezrozumiały dla siebie samego stan istoty stojącej na pograniczu życia i śmierci.

Wreszcie przyjechał Harris. Troskliwie wypytawszy praskich lekarzy o wszystko, co się dało, starannie zataił przerażenie, jakie wzbudziły w nim rodzące się podejrzenia.

Harris nie tracił czasu nadaremnie. Przywiózł cały plik gazet, pism poświęconych muzyce i biuletynów. Ze śmiechem pokazywał Paganiniemu wycinki z gazet, systematycznie drukujących dane o dochodach Paganiniego.

– Będzie pan wkrótce najbogatszym człowiekiem w Europie – mówił Harris – lecz wie pan, zabawna historia: w Hamburgu, Lipsku i Berlinie nuty z pańskim portretem sprzedawane są bajecznie drogo. Wydawcy powołują się na to, że grawerowanie pańskich haczyków – tych najkrótszych nutek z melizmami i jeszcze z jakimiś niebywałymi znakami, kosztuje niesłychanie dużo pieniędzy.

„Coś tutaj nie jest w porządku – pisał Paganini na deszczulce z kości słoniowej. – Sprzedałem wariacje na temat *Mojżesza* Rossiniego, przygoto-

wałem, lecz nie zdążyłem sprzedać nowego wydania Locatellogo, sprzedałem *Barcarollę* i dwadzieścia cztery *capriccia*". Nastąpiło długie wyliczanie tego, co zostało skomponowane, lecz nie sprzedane.

– Co pan mówi! – zawołał Harris. – Widziałem pańskie *Czary paduańskie*, sonaty *concertante*, *Dwa cuda*, dwadzieścia pięć menuetów, *Wiosnę Napoleona* i widziałem pańskie *Czarownice*.

Paganini uniósł się na łożku, z przestachem patrząc na Harrisa.

– Skąd się to wzięło? Wszystkie te rzeczy pozostawiłem przecież u mego przyjaciela generała Pino.

– Niech pan pozwoli, generał Pino... generał Pino dawno umarł.

– Jak to dawno umarł, co pan mówi?

– Generał Pino umarł kilka miesięcy temu.

– Mój Boże! Moje nuty, moje listy, moje pamiętniki, moje dokumenty! – zawołał Paganini.

Harris zrozumiał, że popełnił wielki błąd.

Począwszy od tego dnia niepokój nie opuszczał Paganiniego.

– Czyżby wszystko to miało być wykradzione?! – przerywając niekiedy rozmowę, wołał Paganini.

– Niech się pan uspokoi – mówił Harris – to niemożliwe.

Za pośrednictwem konsulatów angielskich w stolicach Europy Harris zebrał wszystkie kompozycje wydane pod nazwiskiem Paganiniego. Wkrótce wielki skrzypek przekonał się, że okradziony jest przez europejskie wydawnictwa. Wszystko, co pozostało w Italii, rozwiał wiatr po europejskich stolicach. Lecz Harris bardzo szybko naprawił stan rzeczy. Dwadzieścia tysięcy florenów otrzymał Paganini nie wyjeżdżając z Pragi. Urbani jeździł po miastach, zbierał pieniądze, przywoził książeczki czekowe i, stosownie do wskazówek Harrisa, umieszczał w bankach znaczne sumy otrzymywane od wydawców.

Z Pragi najbliżej było na południe, a skrzypkowi chciało się za wszelką cenę ruszyć przez Alpy i ujrzeć Wenecję na zielonej lagunie! Lecz Harris stanowczo zaproteutował:

– Tylko nie teraz. Pański pobyt w Pradze nie wzbudza we mnie żadnych obaw, w Italii zaś w ciągu ostatnich miesięcy ucierpiało wielu z pańskich przyjaciół. Gleba ojczysta będzie obecnie żywić pana trującymi sokami.

– Ileż to czasu będzie trwało?

– Nie wiem – powiedział Harris i chytrze zmarszczył czoło. – Sądzę, że kilka lat.

Trudno było zrozumieć, czy mówi żartobliwie, czy też poważnie. Lecz Paganini postanowił posłuchać rad Harrisa: ratowały go nieraz w trudnych chwilach życia.

Pierwszy koncert dał w Dreźnie. Gazety saskie pisały nie tyle o muzyce, ile o tym, że Paganini uzyskał tysiąc dwieście talarów dochodu, do tego łaskawy uśmiech królowej i wysadzaną brylantami złotą tabakierkę z portretem króla.

W Lipsku koncert niespodziewanie odwołano. Gazety narobiły zbyt wiele hałasu o kolosalnych honorariach Paganiniego. Całe miasto naelektryzowane było plotkami o jego niesłychanym bogactwie.

Lipsk przyjął Paganiniego wrogo. Magistrat wywierał jakiś dziwny nacisk na program koncertu. Dyrektor lipskiej szkoły muzycznej postawił warunek, by w koncercie wzięła udział dama jego serca. Propozycja była zrobiona w sposób ordynarny, bez obsłonek. Paganini rozłożył ręce i poprosił Harrisa o zakomunikowanie, że nie może gwarantować udziału we wszystkich swych koncertach w Europie kochankom i utrzymankom polecanym przez burmistrzów pod groźbą, że miasto go nieprzychylnie przyjmie, polecanym przez dyrektorów teatrów pod groźbą, że nie udzieli mu lokalu, polecanym przez redaktorów gazet pod groźbą, że będą zamieszczać o nim oszczercze artykuły i obelżywe recenzje. Harris usiłował złagodzić ostry ton tej odpowiedzi, lecz Paganini w żaden sposób nie dał się przekonać. A że Harris upierał się, Paganini zrobił wszystko, by jeszcze bardziej zaostrić sytuację. Napisał list do administratora lipskiego teatru, używając takich zwrotów, które niechybnie wywołać musiały poważną awanturę.

W rezultacie normalny skład orkiestry nagle został podwojony i rozpoczęte próby trzeba było przerwać z powodu wyjątkowej nieudolności nowych członków orkiestry. Starszuskowie grający w restauracjach i traktierniach, skrzypkowie muzykujący na weselach, organiści, którzy byli już od dawna na emeryturze, a pracowali jako zamiatacze w katolickich urzędach, dobosze i muzykanci wojskowi grający w orkiestrze policyjnej – wszystko to skierowane zostało przeciw Paganiniemu, by ogłuszyć go zaraz na pierwszej próbie ohydny zgrzytem, piskiem i skowytym. Wykaz wynagrodzeń dla tego nowego zespołu przypominał wykaz kontrybucji wojennej. Paganini polecił Harrisowi zmniejszyć skład orkiestry. Wtedy połowa orkiestry – stały zespół teatru lipskiego – odmówiła wzięcia udziału w koncercie.

Znów straciwszy głos na próbie, Paganini musiał wczuć lekarza.

W obecności Harrisa doktor, niemiecki chirurg, pokiwał głową i oświadczył signorowi Paganiniemu, że leczył go widocznie jakiś szarlatan. Krtań przeżarta jest wrzodami przypominającymi francuską chorobę.

– Lecz to nie jest to – rzekł Niemiec. – W każdym razie stan jest bardzo poważny. Kto pana leczył?

Paganini nie mógł dać odpowiedzi na to pytanie. Chciano zapytać Urbaniego, lecz nie było go w domu.

– Mogę pana wyleczyć – rzekł doktor i spojrzał znacząco na Harrisa.

Paganini wyszedł do sąsiedniego pokoju. Doktor wymienił kolosalną sumę, na którą Harris się nie zgodził. Po odejściu lekarza Harris namówił Paganiniego, by zaczął się leczyć w Berlinie.

Czwartego marca zapomniawszy o przygodzie w Lipsku i o atakach berlińskich gazet, oburzonych chciwością skrzypka, który nie dał ani jednego koncertu w Lipsku – Paganini wystąpił z koncertem w teatrze berlińskim.

Koncert ten narobił wiele hałasu. Do Berlina przyjechał Schottky. Udał się do swego przyjaciela Ludwika Rellstaba i obaj umieścili szereg tak udanych artykułów w „Vossische Zeitung”, że pierwszy występ Paganiniego był uwieczony wielkim triumfem. Nawet Spohr zaszczylił koncert swoją obecnością i siedział w pierwszym rzędzie krzesła gryząc wargi.

Rellstab pisał, że Paganini dokonał czegoś nieprawdopodobnego, że przestąpił granicę możliwości danych człowiekowi przez naturę. Zwycięstwa tego rodzaju drogo są okupione przez człowieka. Skrzypek sprawia wrażenie istoty nie z tego świata. Trudno pojąć, czy to anioł, czy też demon, który wcielił się w zwykłą powłokę ludzką, tylko że ta powłoka nosi na sobie piętno niewiarygodnej pracy, którą skrzypek włożył w swoją sztukę. Ślady okropnego znużenia leżały na twarzy Paganiniego. Nie ma skrzypka, który by choć trochę przypominał z powierzchowności Paganiniego, i nie ma muzyka, który zdołałby przemienić drewno w tak uduchowiony instrument, jakim stają się skrzypce w rękach tego geniusza. Ten autor *Czarownic* sam jest czarownikiem. Czyż nie przekroczył granic pojęć ludzkich, które wydawały się na zawsze ustalone przez naturę? I czy jest jakaś miara dla określenia mocy tego geniusza?

Mówiły o tym wiersze Karola Holteia, krzyczały o tym berlińskie gazety.

Powódź wiosenna zniszczyła wiele pruskich wsi i osad. Setki tysięcy ludzi było zrujnowanych. Szóstego i dwudziestego dziewiątego kwietnia przy ogromnym napływie publiczności odbyły się koncerty po cenach niesłycha-

nie wygórowanych. Publiczność berlińska odpowiedziała na to wybuchem oburzenia, lecz jak dawniej tłumy biły się u wejścia na salę. Przewracano przegródki i turnikiety. Gazety wyły z oburzenia. Nazywano Paganiniego Harpagonem, wstrętnym skąpcem, chciwym i ohydny włoskim smokiem.

Wesołek berlińskiej publiczności, parodysta i kupiecista Safier, dwukrotnie zwracał się do Paganiniego z prośbą o bezpłatny bilet. Ponieważ towarzyszyła temu pogroźka, że jeśli Paganini mu odmówi, zostanie przez Safiera publicznie wyśmiany, Harris dał mu odmowną odpowiedź w myśl bezwzględного żądania Paganiniego, by wysoko trzymać sztandar odwagi i godności. I oto ukazała się notatka pod tytułem: „Paganini, dwa talary i ja”. Safier napisał zjadliwy artykuł o chciwości Paganiniego, w którym zalecał, by wielki skrzypek wziął z niego przykład.

„Być może, obaj w równej mierze staramy się pozyskać względy publiczności berlińskiej. Paganini na jednej *Saite*, a ja – na kilku *Seiten*...” Śmakując grę słów „struna” i „strona” Safier nie wiedział tylko o jednym – że dochód z obu koncertów, na które wstęp był tak drogi, został z polecenia Paganiniego oddany przez Harrisa komitetowi pomocy ofiarom powodzi.

Kassel, Frankfurt, wielkie i małe miasta Rzeszy Niemieckiej również usłyszały Paganiniego.

Spohr pisał w roku 1830:

„Paganini niedawno wystąpił z dwoma koncertami w teatrze w Kassel. Słuchałem jego gry na tych koncertach z wyjątkową uwagą. Lewa jego ręka pracuje z nienaganną dokładnością i budzi we mnie uczucie prawdziwego zachwyty. Lecz w kompozycjach jego, w jego stylu, dopatruję się dziwnej mieszaniny wyraźnego geniuszu z dziecinną naiwnością i brakiem gustu, wobec czego ogólne wrażenie, jakie wywarła na mnie gra Paganiniego, było raczej niezadowolające.

Dwukrotnie spotkałem się z nim na obiadach w Wilhelmshofie, wydał mi się człowiekiem wyjątkowo wesołym, towarzyskim, mającym cięty język. Siedzieliśmy obok siebie”.

W tym samym czasie w innych niemieckich gazetach ukazała się notatka Guhra, który pisał, że „Paganini, ten wstrętny człowiek o niemożliwym charakterze, jest w najwyższym stopniu przykry w obcowaniu. Należy przypuszczać, że zrujnowane zdrowie jest przyczyną jego wiecznie złego humoru”.

Urbani z uporem zaufanego służącego, rywalizującego o względy swego pana z nowym faworytem, nalegał, by koniecznie pojechano do Paryża. Harris przyniósł wycinki z paryskich gazet, w których zamieszczono już portret Paganiniego – zwykle bajdy o zabójstwach, o skrzypcach przegranych w karty, o uwięzieniu i przewożeniu bandzie włoskich zbójców. Jeden z dziennikarzy donosił, że Paganini przebywa w Paryżu incognito – „przygląda się i węsz”, lecz że dziennikarzowi temu udało się uzyskać rozmowę z Paganinim. Przytaczał treść tej rozmowy, a tuż obok widniały podobizny Paganiniego, signory Bianchi i małego Achillina. Portret Paganiniego był taki, jaki zwykle widywało się tego roku w gazetach korzystających z tej samej łąszy. Lecz signora Bianchi okazała się niestychaną pięknoscią: w gazecie umieszczono po prostu jakąś starowłoską grawiurę przedstawiającą Madonnę.

Co się tyczy Achillina, to widocznie reporter skorzystał z dagerotypu jakiegoś cyrkowego buldoga, wunderkinda o atletycznych mięśniach i wystających, azjatyckich kościach policzkowych. „Za wcześnie na Paryż” – chciał powiedzieć Paganini. Lecz jakoś nie przeszło mu to przez gardło. Harris z niepokojem spojrział na przyjaciela. Ze ściśniętej krtani Paganiniego wydobywały się ochryple, syczące dźwięki. Nerwowo chwycił tabliczkę ze stoniowej kości i napisał ołówkiem: „Nie pojedę do Paryża”.

Wziął ze stołu monetę, był to stary saski dukat. Na jednej jego stronie widniał wizerunek Augusta Saskiego z herbem, na drugiej zaś palmy na brzegu morskim i kłęczący Murzyn, trzymający w wysokim podniesionych rękach półmisek ze skarbami południowych krajów. Paganini napisał na tabliczce: „Jeśli król saski uderzy twarzą o podłogę, to Murzyn wskaże nam drogę na wschód. Jeśli król saski pokaże nam swoje oblicze, pojedziemy na zachód”. I podrzucił monetę wysoko w górę. Złoty dukat z brzękiem spadł na kamienną podłogę.

– Murzyn! – zawołał Harris.

Z rana zaczęli przygotowywać się do wyjazdu do Warszawy.

Listy i pasażerowie

Kolej żelazna jeszcze nie istniała. Najlepiej zorganizowany ruch karek pocztowych zaprowadzony był przez pana Laffitte'a we Francji. Tysiące karek rozsyłały we wszystkich kierunkach jego stacje pocztowe i pan Laffitte rokrocznie osiągał jedenaście milionów franków czystego zysku. Staruszkowie Bonafous i Caliar musieli ustąpić mu z drogi. Pan Laffitte posiadał w Paryżu bank. Oddziały tego banku znajdowały się w stolicach państw europejskich, a w tej liczbie i w Warszawie. Potajemnie skupując akcje messengerów i eilwagenów, pan Laffitte rozgałęził agenturę swoją od Paryża do granic imperium rosyjskiego. Był on w Paryżu wpływową osobistością i gdyby nie dziwny kierunek polityki Karola X, zostałby oczywiście członkiem rządu, i to bardziej wpływowym niż którykolwiek z zasiadającej tam szlachty. Przynajmniej tego zdania byli francuscy towarzysze podróży Paganiniego w karecie pocztowej jadącej drogą na Kalisz.

Paganini znów podróżował kareką pocztową. We Frankfurcie nad Menem pozostał Harris, Achillino i cały ruchomy majątek wielkiego skrzypka.

W Warszawie miały się odbyć poważne koncerty. Car rosyjski, zmiażdżwszy swych wrogów i zbombardowawszy plac Senacki, na którym zebrali się zbuntowani oficerowie i żołnierze, udał się do Warszawy, by uwięzić głowę koroną królów polskich i ukrywszy w sercu nienawiść, złożyć przysięgę na polską konstytucję.

W Warszawie oczekiwano wielkich uroczystości i Paganini postanowił właśnie tutaj wystąpić z kilku galowymi utworami, które skomponował w patetycznym stylu.

W karecie znajdowały się worki skórzane z wielkimi kłódkami, pieczęciami z laku i stalowymi łańcuchami. Była to poczta międzynarodowa. Tym niebieskim eilwagenem, toczącym się ku granicy rosyjskiej, jechał skrzypek Nicolo Paganini, a u góry, na siatce, w skórzanym worku spokojnie leżał sobie gruby wielki pakiet z szarego papieru, zaadresowany do tego człowieka, pod którego inwigilacją miał się znajdować Paganini w Warszawie. W pakiecie leżały arkusze zapisane ładnym charakterem pisma.

„Wielebny O. Ksawery Korzeniowski, Warszawa.

Wasza Wielbność, donoszę Mu tylko to, co pamiętam i co miałem okazję niedawno usłyszeć. Śpieszę się i dlatego piszę bezładnie.

Mademoiselle Marthe wróciła do Paryża dopiero wtedy, kiedy w Reims hrabia d'Artois uwieńczył głowę koroną Francji i został królem Karolem X. Tego dnia mademoiselle Marthe ukończyła osiemdziesiąt dziewięć lat. Zmieniła się niewiele: choć z pięknej niegdyś kobiety stała się staruszką, zachowała żywe spojrzenie. Zrosnięte czarne brwi nie posiwiały, oczy miała jak dawniej okrągłe, wielkie, czarne i pełne wyrazu. Zachowała nawet świeżą cerę. Niewielkie zmarszczki pojawiły się tylko koło oczu. Garbaty nos przydawał jej jeszcze bardziej podobieństwa do pokójowo usposobionego, zadowolonego ptaka. Zatrzymała się u kuzynki w Małym Picpusie, lecz potem przeniosła się do Tuileries i zajęła pokój należący niegdyś do damy dworu – jej matki. Lata spędzone na wygnaniu ani trochę jej nie zachwiały. Zawsze słynęła z niezwyklej dobroci i łagodności. Jej pobożność stała się bezgraniczna.

W świecie księcia Condégo oraz przy dworze księcia brunszwickiego cieszyła się bezspornym autorytetem i mogła w każdej chwili jednym prostym i krótkim słowem zmienić decyzję dworu. Nie było wypadku, by wykorzystała to dla celów osobistych. Karmiła wdowy i sieroty, sama zaś głodowała. Ofiary terroru jakobińskiego zawsze mogły u niej znaleźć pomoc i opiekę. Straconego króla uważała za świętego i z przyzwolenia ojca Lacordaire'a wznosiła do niego modły jak do anioła stojącego blisko tronu Wszechmogącego.

Dwukrotnie ciężko chorowała. Pierwszy raz po odwiedzeniu swych mniszek mieszkających w pobliżu Brunszwiku; wychodząc z karety prze-moczyła nogi, przeleżała sześć tygodni w gorączce i malignie, a mającyla w głównej mierze o porzuconym klasztorze bernardynek. Drugi raz śnieg spotkał ją w drodze; jak zwykle była źle ubrana. Płuca jej napełniły się krwią i o mało nie umarła. Ponadto pościła i spowiadała się. Lecz i tu okazała nieugięty charakter. Oświadczyła spowiednikowi, że wszechmocny Bóg do tej pory nie będzie sobie życzył jej śmierci, dopóki ona znów nie doprowadzi do porządku spraw dotyczących jej klasztoru.

Istotnie wyzdrowiała, lecz nie zważając na namowy przyjaciół i czcicieli, nie chciała za panowania króla Ludwika pojechać do Paryża. Zgadzała się na powrót tylko pod warunkiem, że zostaną wysiedleni ci wszyscy, którzy na mocy prawa rewolucji zajęli jej klasztor. Zażądała zwrotu całego majątku pobernardyńskiego, ponieważ w spisach rzymskiej kurii apostolskiej w dalszym ciągu figurowała jako przeorysza klasztoru wizytek.

Cóż mam powiedzieć Waszej Wielebności, który w swej szwajcarskiej zapadłej dziurze sam poznał zmienność losu. Niech Wasza Wielebność nie gniewa się za świecki ton mego listu, który posyłam Mu do Warszawy. Tak przywykłem myśleć o Nim jak o dowódcy szwadronu, o swym przełożonym, że nie mogę przestrzegać kościelnych zwrotów francuskiej mowy. Następnym razem będę pisał po łacinie, a wtedy pewien jestem, że ton mego listu spodoba się Waszej Wielebności. Łacina nie usposabia do gadulstwa, a nasza mowa francuska, która, jak wszystko na świecie, ucierpiała przez jakobinizm, obecnie zaśmiecona jest plebejskimi zwrotami i słowami pijanych majstrów. Świat przekręcił się do góry dnem. Wasza Wielebność, trzydzieści lat temu za nic w świecie nie napisałbym takiego zdania. Obecnie piszę je śmiało, a i wiele innych słów wymawiam bez obawy.

Dalekowzrocność mademoiselle Marthe, jej nieugięta postawa i uczciwość stały się wkrótce przedmiotem ogólnego zachwytu. Wszyscy, którzy do niedawna radzili jej wybrać się do Paryża, przyjechać do Saint-Cloud i osobiście prosić króla, przekonali się, że ma ona rację zrzekłszy się tego przywileju. Ludwik XVIII rozkazał temu wstrętnemu intrygantowi i liberałowi Monlosier odpowiedzieć na list mademoiselle Marthe całkowitą odmową. «Zresztą – dodał Monlosier od siebie – sprawę pani można włączyć do porządku obrad kolejnej sesji Izby Deputowanych».

Może sobie Wasza Wielebność wyobrazić, jak wielkie było oburzenie mademoiselle Marthe. Widziałem ją akurat w tym momencie, kiedy po przeczytaniu listu siedziała w fotelu. Czarny różaniec i list trzymała w ręce opuszczonej na poręcz fotela, prawą rękę, w której trzymała chustkę, przyciskała do serca. Oczy jej były czarne jak studnia bez dna, płonął w nich ogień bezgranicznego smutku i oburzenia na intrygi diabła, oburzenia, które nie ujawniało się ani w słowach, ani w gestach, a to dlatego, że święty Bernard uczy potulności i pokory.

Jakżeśmy byli ślepi, a jakże ona była przewidująca. Dziewięć lat czekała na chwilę, gdy wreszcie światło przeniknie do duszy króla, lecz, jak Waszej Wielebności obecnie wiadomo, chwila taka nie nastąpiła. Nie na próżno mówi Lacordaire, że kara boska osiąga człowieka jawnie i skrycie. Król zaczął rozkładać się za życia. Paznokcie odpadały mu od ciała, skóra złaziła jak brudna rękawiczka, powieki pękały i rozpadały się nozdrza. Była to straszna kara. za lekceważenie Kościoła. Mademoiselle Marthe sądziła inaczej. Szkoda jej było króla i modliła się za niego. Lecz słowa «Izba Deputowanych» sprawiały jej fizyczny ból. Żegnała się za każdym razem, gdy je słyszała. Było to dawno. Lecz w roku 1825 co dzień zjawiali się u niej

kurierzy z Pawilonu Marsan. Ożyła, zapłonęło w niej ciche światło i z tej wieczornej lampki biła jakaś słoneczna energia młodości. Jak Wasza Wielbność widzi, zacząłem używać zupełnie świeckiego języka. «Energia słoneczna» – to słowo niedawno wymyślone przez naszych akademików jest bezsensowne i głupie. Jaką bowiem energię może mieć słońce oprócz boskiej? Bez błogosławieństwa boskiego słońce natychmiast przestanie świecić.

Ale proszę Waszą Wielbność wybaczyć mi, kontynuuję oto swą opowieść o tej niezwykłej kobiecie, lecz – jak to się zwykle zdarza ludziom, którzy mają słabą pamięć – dopiero teraz przypomniałem sobie, że nic nie opowiedziałem o latach dzieciństwa ani też o młodości mademoiselle Marthe.

Siostrzenica księżnej d’Abrantès, kuzynka baronowej Gerard, hrabianka Décardon od dzieciństwa odznaczała się zrównoważonym i spokojnym charakterem. Ojca jej, ministra rezydenta, los rzucał do różnych krajów i miast. Dlatego dobrze go nie pamiętała. Dzieciństwo spędziła w pobliżu Chartreuse de Grenoble, gdzie mieszkała w klasztornej internacie. Należy jej oddać sprawiedliwość, że nigdy nie czytała zakazanych ksiązek, i sądzę, że tylko ze słyszenia wiedziała o Wolterze i Holbachu. Przypuszczam nawet (bez obawy piszę to, ponieważ Wasza Wielbność nie zdradzi mnie przed liberałami), że nic nie czytała oprócz Pisma świętego oraz ksiąg napisanych dla zbawienia duszy.

Znamienną cechą charakteru mademoiselle Marthe jest jej zupełna obojętność wobec naszej płci. Nie była ani razu zakochana, a na wszystkie starania o jej rękę odpowiadała łagodną, lecz kategoryczną odmową.

Mając lat dziewiętnaście przyjęła pierwsze święcenia. Ukończywszy lat dwadzieścia cztery, po ucieczce rumianolicej i wesołej Françoise, kochanki arcybiskupa Paryża, zarządzającej klasztorem bernardynek, została przeoryszą i była nią aż dotąd. Ona jedna z pierwszych wypowiedziała myśl, że rewolucja i terror jakobinów nie są zwyczajnymi przypadkami, lecz są objawem boskiego odwetu za liberalizm szlachty francuskiej i za jej brak zainteresowania dla spraw Kościoła.

Rewolucję przyjęła z pokorą synogarlicy i spokojem mędrca. Mocno wierzyła w jej zbawienne skutki, choć z całej duszy ubolewała nad losem stanu, który niegdyś był tak miły Bogu, a obecnie ściągnął na się sprawiedliwy Jego gniew.

Mademoiselle Marthe miała w wielkiej cenie szlachecką krew. Uważała,

że rycerskość i szlachetność są to cechy obowiązujące do wielkich czynów w imię religii. Mówiła, że szlachectwo jest pierwszym stopniem religijnego wtajemniczenia. Uznawała, że człowiek prosty może być miły Bogu, nie darmo bowiem Syn Boży powołał rybaków na apostołów. Lecz wypadki takie są ogromnie rzadkie, ponieważ pospólstwo jest zaledwie stopniem, po którym szlachcic wspina się w górę. Nikt nie pamięta wypadku, by kiedykolwiek wymówiła nazwisko Bonapartego lub w jakikolwiek sposób zareagowała na jego istnienie. W burzliwych latach wojen postępowała tak, jak gdyby Napoleon zupełnie nie istniał, i tylko ledwo dostrzegalny ruch ręką, jakim czyniła znak krzyża, świadczył, iż usłyszała, że to straszne imię zostało wymówione.

W liście do nieboszczyka króla dawała mu mądrą radę, by zabronił wspominać w szkołach o wszystkich wydarzeniach mających związek z rewolucją, ponieważ głęboko wierzyła w to, że słowa, nawet tak lekkie jak podmuch wiatru, są pokryte błoną i niezwłocznie przybierają postać cielesną, a raczej – rodzą tysiące demonów. Ma co do tego oczywiście rację.

Mały szczegół jej życia z roku 1793. Król nie był jeszcze stracony. Mademoiselle Marthe co dzień wznosiła za niego modły, które, niestety, nie zostały wysłuchane. W te pełne trwogi dni przeistoczyła się w jakąś bezcielesną istotę; ukrywając się przed Sekcją, razem ze swym bratem porzuciła Saint-Germain i zamieszkała w pobliżu bramy Saint-Antoine u piekarza: cały wolny czas poświęcała trosce o małą siostrzenicę. (Antoinette jest obecnie piękną dziewczyną, narzeczoną wicehrabiego Crousol.)

Kierownik Sekcji Leblanc pewnej nocy wdarł się z oddziałem i wykrył ich miejsce pobytu. Rewizja nie dała żadnego rezultatu, lecz trzeba było widzieć ten istic anielski spokój, z jakim zachowała się mademoiselle Marthe. Nie powiedziała komisarzowi ani jednego obraźliwego słowa, nie zważając na to, że ludzie ci w grubych buciorach, stukając kolbami, stawiali nogi na krzesłach i włązili na półki, zdzierając ze ścian święte wizerunki. Nie znam człowieka bardziej pokornego i bardziej potulnego. W chwili gdy komisarz zapytał: «A gdzie są wasze brylantowe ozdoby, gdzie jest wasze rodzinne złoto?» – odparła z uśmiechem, że rzeczy te mało ją interesują. I tylko mała Antoinette, z uśmiechem patrząc na ciotkę, rzekła: «Ciociu, czyś zapomniała, że są one w kącie pod podłogą?» i sama rączką przywołała dobrych wujaszków do pokoju, gdzie ojciec jej pod podłogą ukrył cały majątek. Mademoiselle Marthe cichutko głaskała Antoinette po głowie,

gdy siostrzenica, zachwycona swą domyślnością, pokazywała miejsce, gdzie ojciec jej ukrył złoto i brylanty.

Gdy Leblanc i narodowi gwardziści odeszli, mademoiselle Marthe ujęła brata za rękę i cichutko szepnęła mu, by nie mówił córce ani słowa. Antoinette miała to szczęśliwe przeświadczenie, że swą maleńką pamięcią pomogła pozbawionej pamięci ciotce. Mała zasnęła ze złożonymi na krzyż rękami, a mademoiselle Marthe cicho nucila jej jakąś piosenkę. Był to dzień, w którym rodzina została doszczętnie zrujnowana. Pozostały pieniądze wywiezione do Brunszwiku, lecz o otrzymaniu ich nie można było nawet marzyć. Należało przygotować się do emigracji.

Mademoiselle Marthe wyjechała w karecie pocztowej następnego dnia po straceniu króla. Odznaczała się tak nieugiętym duchem i była tak silna, że brat jej nie mógł ukryć podziwu dla niej. Oboje w chłopskich ubraniach, z wiejskimi koszykami, w asyście starego Antoine'a, byłego marszałka dworu, szczęśliwie dotarli do Verdun. Tam nastąpiła scena pełna grozy. Hrabia Decardon, ożywiony nadzieją rychłego końca jakobinizmu, wyjechał na ich spotkanie. Zuchwały starzec, który stracił majątek na sformowanie niemieckiego oddziału, rzucił się w objęcia syna w brudnej karczmie przed wyjazdem z Verdun. Obaj zostali rozpoznani jako osoby jadące pod cudzymi nazwiskami i tu na miejscu kapitan straży pogranicznej wraz z szewcem w czerwonym kołpaku przesłuchał ich.

Mademoiselle Marthe, zachowując nadal spokój, zajęła się małą Antoinette. Ojciec i syn udawali, że się nawzajem nie znają, lecz było już za późno. Ojciec zaczął się załamywać. Był już bliski zdradzenia się, kim jest. Oczami błagał syna, by uczynił to samo. Młody Decardon nie wytrzymał i padając na kolana, zawołał: «Milcz, mój ojcze, w twoich rękach ocalenie Francji», po czym wyprowadzono obu na brudne podwórze, przeznaczone dla koni, postawiono ich obok kupy gnoju i zastrzelono z pistoletu.

W tym momencie mademoiselle Marthe, będąca w drugim pokoju, słysząc wystrzał i wiedząc, co się święci, przekonywała małą Antoinette, że ojciec wyjechał razem z dziadkiem i że w dalszą drogę pojedą we dwie. O niej zapomniano. Antoine zaprowadził je po cichu do wiejskiego proboszcza, skąd po upływie doby przeszły granicę. Mademoiselle Marthe nie zachorowała. Nogi jej krwawiły, suknia podarła się, włosy zmierzwiły, lecz w oczach nadal jaśniała niezwykła łagodność i pokora. Mała Antoinette spała na jej rękach, gdy jechały w powozie proboszcza z Kassel drogą na Brunszwik. W ten sposób uratowała się od terroru.

W czasie podróży hrabia Henri Choiseul, wicehrabia de Bourdonnaie

i hrabia Laval głośno mówili o tym, że szlachta francuska zawiniła wobec Boga i ludzi. Na to mademoiselle Marthe łagodnie odezwała się, że o gnębionych i niewinnie cierpiących w ten sposób mówić nie należy, że znacznie bardziej szkoda jej nie tych, którzy są gnębieni, lecz tych, którzy korzystają z chwilowej władzy na ziemi, by gnębić innych, a tym samym beznadziejnie pokazują się na piekielne męki. Uważała, że tysiące demonów unosi się nad Paryżem, że kolor przelanej krwi zabarwił kołpaki frygijskie i że w krwawym oceanie nazywanym rewolucją o wiele lepiej jest utonąć aniżeli pływać po powierzchni.

Patrzono na nią jak na świętą, nie sprzeciwiano się jej i zwracano się do niej po rady. W Brunszwiku obecna była na wszystkich nabożeństwach przy wymarszu oddziałów cudzoziemskich na francuską granicę. Mówiła, że Chrystus kroczy na czele szwadronu, że niewidzialni aniołowie bronią dowódców kompanii, poruczników i pułkowników oddziałów idących przeciwko jakobinom. Były wypadki, gdy łagodnymi słowami przekonywała i prosiła żołnierzy, by oddawali życie za swych oficerów, perswadowała za pomocą słów prostych i pouczających, że chłopów rodzi się dziesiątki tysięcy, podczas gdy Bóg obdarza francuską ziemię jedynie kroplami szlachetnej krwi ich dowódców. Tysiące żołnierzy powinno z radością umierać za jednego oficera. Żadne ludzkie prawo, żadna *Deklaracja praw* nie zastąpi chłopom litościwego serca i ojcowskiej opieki seniora. Dziecinna pokora wobec ojca jest powinnością każdego chłopca.

Słowa manifestu księcia Brunszwiku o spaleniu i zniszczeniu Paryża brzmiały dla niej jak Pismo święte.

– Ogień oczyszcza wszystko – mówiła. – Gdy nastąpi koniec świata, wtedy ogień niebieski spali ziemię. Świat się kończy, a przede wszystkim kończy się Paryż.

Uważała za swój obowiązek co dzień przeczytać jeden rozdział *Apokalipsy* i choć z zastrzeżeniem traktowała egzaltowane i chore siostry prorokujące w klasztorze, to jednak nie uważała za stosowne zaprzeczać, jeśli ktokolwiek twierdził, że dopełnia się czas wyznaczony przez apostoła Jana.

Teraz, Wasza Wielbność, opowiem o ostatnim miesiącu jej życia. Z nieugiętym uporem ubiegała się o decyzję króla i nasz dobry Karol X nie mógł odmówić mademoiselle Marthe, lecz jak Waszej Wielbności wiadomo, wszystkie kwestie związane z rozkwitem Kościoła natrafiały na jakies nieoczekiwane przeszkody. Mnóstwo intrygantów zatruwało życie najlepszym sługom oblubienicy Chrystusa. Wiadomość o dymisji ministra Polignaca jak piorun spadła na mademoiselle Marthe.

Miliard w złocie, rozdzielony między szlachtę, która ucierpiała z powodu rewolucji, uczynił mademoiselle Marthe znów posiadaczką wielkiej fortuny. Zużytkowała ją, udzielając pomocy rodzinom, które najbardziej ucierpiałały podczas terroru jakobińskiego. Życie jej można by nazwać szczęśliwym, gdyby nie ustawiczna troska o to, że główny cel jej życia jest jeszcze daleko.

Ze smutkiem przechodziła obok klasztoru, w którym nie słychać było cichych głosów mniszek, gdzie nie rozlegały się jeszcze dźwięki starych organów roboty Junona, gdzie jako nauki wchodzące w zakres instytutu pedagogicznego (proszę pomyśleć, Wasza Wielebność, co za nonsens!) wykładano czcze świeckie przedmioty i gdzie rozlegały się krzyki uczniów, zuchwałe i skłócone głosy młodzieży zdeprawowanej przez ducha rewolucji. Co niedziela po mszy mademoiselle Marthe kazała stangretowi wieźć się ku żelaznym wrotom, przez które widać było kasztanowy gaj z portalem świątyni klasztornej. Patrzyła na gigantyczną rozetę i kolorowe witraże bocznych wieżyczek; powstrzymując silne bicie chorego serca i roniąc ciche łzy smutku, modliła się, by spełniły się jej nie ziszczone nadzieje.

Król, stojąc z nisko pochyloną głową przed siedzącą na taborecie mademoiselle Marthe, mówił jej, że oddałby połowę życia, aby móc przyspieszyć zwrot klasztoru, że zrobi wszystko, aby przerwać tę komedię władzy królewskiej; pokazywał jej patenty rozdawane świetnym kawalerom pochodzącym z najstarożytniejszych i najbardziej rycerskich rodów i mówił, że minie jeszcze rok – a w armii jego nie zostanie ani jeden z czarcich wychowanków Bonapartego (mademoiselle Marthe żegnała się na 'dźwięk tego nazwiska). Skarżył się na to, że częstokroć nie może mianować nawet naczelnika poczty prowincjonalnej, że zbyt często ministrowie zamiast spełniać wolę króla ulegają zachciankom deputowanych.

Mademoiselle Marthe doznawszy łaskawego przyjęcia króla siadała do powozu z siostrą Sulpicją, wszędzie jej towarzyszącą po śmierci Urszuli, patrzyła na nieznanomy, obcy jej teraz Paryż, jechała do przyjaciółki z lat dziecinnych, dożywającej swojego wieku w ciszy klasztoru klarysek, zachwycała się kwietnikami, alejami i ścieżkami pięknego, szlachtetnego przybytku. Na werandzie małego mieszczkańskiego domku, wychodzącego na brzeg Sekwany, żegnała zmęczonymi i smutnymi oczami zachodzące słońce, liczyła godziny i minuty, dzielące ją od bezsennej nocy.

Spała coraz mniej. Pokojówki rozbierały ją i kładły do łóżka. Kandelabr z czterema świecami palił się całą noc. Sulpicja objaśniała świece, poprawia-

ła poduszki, podczas gdy mademoiselle Marthe z otwartymi oczami, w szorstkiej lnianej koszuli, ściskając różaniec w poźótkiej ręce, leżała prawie nieruchomo i czekała, aż staroświecki zegar ochryple i jękliwie obwieści nadejście świtu; wówczas wstawała i jechała do pobliskiego kościoła. Tam, siadając na starym miejscu Decardonów, w opustoszałej i samotnej świątyni witała ranek.

Potem rozpoczął się jej dzień. Spalający ją ogień wewnętrzny nie gasł ani na chwilę. Skóra na jej twarzy marszczyła się i pod oczami tworzyła fałdy, usta wyschły, małe uszy stały się przezroczyście jak wosk, lecz cienkie, suche i kształtne palce, które niegdyś tak wspaniale dawały sobie radę z klawesynem, jak dawniej, szybko, w takt modlitwy przebierały wielkie, okrągłe paciorki różańca. Doznawała uczucia lekarza, który widzi ulicę oczyszczoną od trupów, lecz wie, że powietrze jeszcze jest przesycone zarazkami dżumy. Mademoiselle Marthe bała się Paryża i nie rozumiała nowych ludzi. Chwilami zdawało się jej, że Bóg na zawsze porzucił miłą Francję, że winnice przynoszą mniejszy plon, że stada gorzej się rozmnażają, że kwitnące wsie zamierają, a szlachta, osiadła na starych zamkach, czuje beznadziejny smutek.

Komu zatem jest dobrze, kto teraz żyje? Kogo Bóg obdarza teraz swoją łaską? Kto czuje na sobie niewyczerpane Jego miłosierdzie?

Hrabia Joseph de Maistre jest doskonałym świeckim obrońcą Kościoła. Spędziła z nim kilka godzin bezpośrednio po przyjeździe do Paryża. Sulpicja opowiadała o wieściach, jakie krążą o tym człowieku. Hrabia Joseph de Maistre jest obrońcą starej teokracji, obrońcą świeckiej władzy papieża i obrońcą urzędu kata ucinającego głowę rewolucji. To on drżącym od upojenia głosem mówił o tym białym aniele podnoszącym stalową siekiere nad łbem smoka na szafocie. Lecz oto niejaki Louvel, który zabił następcę tronu Francji, młodego księcia Berry, kładzie się na szafot i nie biały anioł, lecz najzwyczajniejszy, zawsze nietrzeźwy, wesoły Simon naciska guzik gilotyny. Do kosza pada potargana głowa Louvela, zwykłego stolara paryskiego, niczym nie przypominającego smoka. Terror trwa. Rewolucja nie jest pokonana. Czego chcą ci ludzie, tak chętnie poświęcający życie?

Pan Joseph de Maistre absolutnie nie przypadł do gustu mademoiselle Marthe. Mówił o Kościele, o władzy arcykapłana rzymskiego takimi słowami, jakie można było usłyszeć tylko w klubie jakobinów. Mówił o bezbożnej nauce, jak człowiek, który całe życie spędził w laboratorium. Gdzież tu pokora umysłu, gdzie prostota serca? Obrońca świętego Kościoła

używa języka heretyckiego filozofa. Żegnając się z panem Josephem de Maistre, który z szacunkiem pochyliwszy głowę wstał z krzesła, mademoiselle powiedziała mu: «Obrał pan niebezpieczną drogę, hrabio. Mówił pan o Kościele językiem Woltera. To pisarz, któregom sama nie czytała, ale który może panu pozazdrościć. Oto co przyniosły nam nowe czasy!»

Odtąd przestała przyjmować hrabiego. W tych dniach, bardzo niedawno, zdarzył się wypadek, który jeszcze bardziej zasmucił mademoiselle Marthe. Siostra Sulpicja, która ostatnimi czasy coraz częściej wychodziła z domu, zakomunikowała jej, że pięćset tysięcy franków łapówki dla burżuazyjnych deputowanych w zupełności wystarczy na to, by klasztor bernardynek został restytuowany w ramach dawnych posiadłości. Mademoiselle Marthe z oburzeniem odrzuciła ten plan. Wiedziała, co robi. Król na ostatniej audiencji powiedział jej, że Izba Deputowanych długo się nie utrzyma, że Francja wygnana, Francja niebiańska, Francja widziana przez niego w Reims w dniu, w którym arcybiskup Paryża pędzlem ze znakiem krzyża nakreślił na czole królewskim taki sam krzyż, namaściwszy go mirrą ze świętego naczynia, przechowywanego przez dziesięć wieków w Reims – że ta Francja wkrótce znów zstąpi na ziemię.

«Proszę pamiętać, droga siostró – mówił on – to królestwo doświadczyło niemało nieszczęść. Jestem Karolem X, lecz proszę sobie przypomnieć, że kobieta tak święta jak pani, Joanna z Lotaryngii, przywiodła Karola VII na koronację do Reims. Mnie również, jak i Karolowi VII, towarzyszyły widzenia, a gdy arcybiskup wziął naczynie ze świętą mirrą, dziesięć wieków temu przyniesioną z niebios przez gołębicę, by namaścić poganina Klodwiga, nagle poczułem, że i ja byłem poganinem, który zwątpił o łasce bożej, i wtedy miałem widzenie świętej Francji. Przestałem się martwić. Zbliżywszy się do portalu katedry ujrzałem dziesięć tysięcy ludzi cierpiących na skrofuty, którzy czekali, bym ich uzdrowił. Zrozumiałem, jaką wielką moc kryje w sobie łaska».

Mademoiselle Marthe smutno pokiwała głową i rzekła:

«Ziemia Francji stała się skrofuliczna: kominy, fabryki i huty wznoszące się do nieba na urągowisko Bogu wydzielają gryzącą woń jak ropiejące strupy. Gnieźdzą się tam i płodzą robaki zamiast ludzi. Toczą one piękność wsi i szczęście naszych miast, toczą też tron waszej królewskiej mości».

Dobrze rozumiem zainteresowanie Waszej Wielebności dla niezwyklej mademoiselle Marthe. Pyta Wasza Wielebność, co się stało, że nagle umarła? Śmierć jej nastąpiła z błędnego powodu i jak to często bywa,

z ludzkiego punktu widzenia w zupełnie nieodpowiedniej chwili, aczkolwiek rzecz to oczywista, że boskie drogi są niezbadane. Przeprowadziwszy naszą świętą mademoiselle Marthe drogą doświadczeń, oczyściwszy ją jak złoto w ogniu cierpień, nie dał jej Pan Bóg dotrzeć do celu. Proszę sobie wyobrazić, że akurat osiemnaście dni temu po wielu latach rozłąki przyjechała Antoinette – kwitnąca, piękna dziewczyna, która zadziwiła mademoiselle Marthe swą niefrasobliwością. Bogata spadkobierczyni, śmiało rozporządzająca swoim majątkiem, oświadczyła ciotce, że wychodzi za mąż za wicehrabiego Crousola, który kupił największą lyońską fabrykę. Mademoiselle Marthe drgnęła na dźwięk słowa «fabryka» i lakonicznie powiedziała, że szlachcic nie może być właścicielem fabryki, że ziemia, obdarzona łaską płodności, dana przez Boga szlachetnemu seniorowi, jest jedynym rodzajem własności godnym szlachcica i że radziłaby siostrzenicy, by zastanowiła się, zanim zgodzi się na to małżeństwo.

Mademoiselle Antoinette była wesola, szczebiotała jak ptaszek i obrażając uczucia mademoiselle Marthe nuciła w ogrodzie piosenki o jakichś figlarnych pastuszkach. Potem siostra Sulpicja zakomunikowała mademoiselle Marthe prośbę wicehrabiego, by raczyła go przyjąć. Wicehrabia Crousol nie został przyjęty przez mademoiselle Marthe, lecz odbył półgodzinną rozmowę z siostrą Sulpicją.

Po wyjeździe Antoinette, wieczorem, mademoiselle Marthe poczuła się niedobrze. Oddychała z trudem i cichuteńko umarła ze słabości. Opłatek, pozostawiony jej niegdyś przez ojca Lacordaire'a, z trudem podniosła do stygnących ust, by przyjąć ostatnią komunię. Zakasłała i opuściwszy głowę wypłuła Boże Ciało. Nazajutrz rano gazety doniosły, że nawet najbardziej liberalni deputowani głosowali w Izbie za zwrotem posiadłości klasztoru bernardynów poprzedniej przeoryszy. Gazeta «Quotidien» umieściła portret mademoiselle Marthe i nazwała ją «gwiazdą miłosierdzia boskiego, wschodzącą znów nad Francją».

Niestety! – nasza łagodna mademoiselle Marthe leżała na swym klasztornym łóżu. Siostra Sulpicja umyła jej dziewicze ciało. Bóg nie dał jej ostatniej radości i ostatniego rozczarowania. Przedstawiciel starego szlacheckiego rodu, zrujnowany wicehrabia Crousol, który stał się fabrykantem lyońskim za pieniądze otrzymane ze złotego miliarda emigrantów, popełnił czyn równie nierozważny, jak nieszlachetny. Przekupił liberalnych *bourgeois*, zasiadających w Izbie, i bynajmniej nie łaska boża, lecz łapówka w wysokości pięciuset tysięcy franków sprawiła, że głosowali oni za zwrotem posiadłości klasztornych. Pieniądze wydano nadaremnie. Made-

moiselle Marthe i tak nie pobłogosławiłaby małżeństwa pana Crousol z Antoinette. Jak rycerz krzyżowiec umarłaby u bram tak długo oczekiwanej Jerozolimy. Grób Pański byłby pohańbiony dotknięciem bluźnierczej ręki, jeśli byłby kupiony za pieniądze *bourgeois*.

Wczoraj byłem na weselu. Antoinette była szczęśliwa i beztraska. Młody wicehrabia miał na sobie surduty. Gruby, złoty łańcuch wisiał na jego kamizelce. Czterej bogacze lyońscy siedzieli wraz z innymi gośćmi przy stole. Pan wicehrabia trącał się z nimi kieliszkiem, usiłując naśladować ich sposób bycia. Przyznam, że surduty, kamizelki i toasty lyońskich producentów jedwabiu były mi bardzo nie w smak.

Oto odpowiedź na pytania, które Waszą Wielbność interesowały. Zdaje się, że list mój jest zbyt długi. Proszę mi wybaczyć! Teraz oczekuję z kolei listu od Waszej Wielbności. Bardzo niepokoją mnie wiadomości nadchodzące z Polski. Proszę, by Wasza Wielbność podzielił się ze mną z taką samą skrupulatnością, jak ja to uczyniłem w moim liście, swoimi wrażeniami starego paryżanina, który brał udział w kampanii hiszpańskiej przy boku Jego pokornego sługi i uniżonego nowicjusza Filiberta de Gouche”.

Paganini wracał z Warszawy. Nie wiedział sam, co się z nim stało. Znow nastąpił okres zupełnego wyczerpania sił, znow stracił głos. Po raz pierwszy stało się to owego dnia, gdy występował z Lipińskim na koncercie.

Przed występem wypił szklanekę chłodzącego napoju, od którego dziwnie zaczęła mu pulsować krew w skroniach i poczuł drapanie w gardle. Młody polski pianista Szopen, z niemyim zachwytem słuchający gry wielkiego skrzypka, po pierwszej części koncertu wszedł pod rękę z Lipińskim do pokoju artystów i ujrzał Paganiniego na wpół leżącego w fotelu, z zamkniętymi oczami. Podszedł i zapytał, czy nie może w czymś być mu pomocny. Paganini spojrzał na niego i na Lipińskiego, który odwrócił się z nienawiścią. Paganini chciał podziękować Szopenowi, lecz zamiast słów podziękowania rozległo się zaledwie kilka ochrypłych dźwięków. Czerwone plamy zażenowania i zdziwienia zakwitły na policzkach Szopena.

Również i w drugiej części koncertu Lipiński doznał porażki. Chociaż tu i ówdzie słyhać było okrzyki: „Niech żyje Lipiński!” – cała sala oklaskiwała Paganiniego.

Gazety na wszelki sposób rozdmuchiwały antagonizm dwóch skrzypków, którzy niegdys występowali w Turynie jak przyjaciele.

Dyrektor konserwatorium warszawskiego Elsner urządził 19 lipca ban-

kiet na cześć Paganiniego. Muzycy warszawscy podarowali Paganiniemu na pamiątkę złotą szkatułkę z napisem: „Kawalerowi Paganiniemu polscy czciciele jego talentu”.

Nazajutrz Paganini poczuł się gorzej. Przyszło mu do głowy, że to za sprawą Lipińskiego nie jest w stanie grać na koncercie, lecz zdrowie jego do tego stopnia pogorszyło się, że nawet na tej myśli nie mógł się skupić. By osłabić wrażenie, jakie wywierała gra Paganiniego, wystarczyłyby minimalne środki. Czyżby Lipiński zdobył się na zbrodnię i postanowił go otruć?

Stan Paganiniego był bardzo ciężki. Gdy generał Zieliński odwiedził skrzypka w hotelu „Luksemburg” zapraszając go do Petersburga i Moskwy, Paganini kategorycznie odmówił. Niepokój o Achillina i obawa o stan zdrowia zmusiły go do rychłego wyjazdu z Warszawy. „W herbie Waszego miasta jest syrena, pisał Paganini na białej tabliczce, Wasze miasto oczarowało mnie, lecz obiecałem, że wrócę w oznaczonym terminie”.

Znów karetą pocztową i znów, jak w drodze do Warszawy, na siatce leży worek skórzany ze stalowymi łańcuchami i z wielkimi zwisającymi z deszczulek pieczęciami z laku. Wraz z innymi listami jedzie gruby pakiet błękitnego papieru, z pieczęciami i herbami. Zawiera on odpowiedź księdza Ksawerego Korzeniowskiego.

„Wielce Szanowny, Wielebny Bracie!

Jestem Mu bardzo wdzięczny za szczegółowe informacje dotyczące śmierci mademoiselle Marthe. Nie na próżno losy zanosły mnie do kraju moich ojców. Trzy pokolenia Korzeniowskich wychowały się we Francji na łonie zakonu Jezusa i tylko ostatni odprysk, ja, sierota wobec Boga i ludzi (mówię o tym bez narzekania), znów znalazłem się na ziemi ojców moich. Ale niestety, nie czuję już wcale owego zapału patriotycznego, jakim przepojeni są moi krewni, którzy pomimo związku krwi są mi dziś obcy i Kościołowi Chrystusowemu często nieprzyjaźni.

Mój *socius* diakon Koszerski udzielił mi szeregu wiadomości, które posyłam Bratu, ponieważ wkrótce będą Mu bardzo potrzebne. Polska, Litwa i Petersburg do niedawna jeszcze były ośrodkami, w których najlepiej i najswobodniej rozwijał działalność nasz zakon. Teraz, niestety, nastały inne czasy. Niegdyś Katarzyna Wielka w odpowiedzi na *breve* papieskie z roku 1773 nie zezwoliła na zniesienie zakonu jezuitów w swym państwie. Oto czemu święta nasza instytucja mogła istnieć w Rosji bez żadnych przeszkód. Jej cesarska moc nie tylko nie uległa błędom Rzymu, lecz raczyła dać zezwolenie na otwarcie nowicjatów naszego zakonu.

W ten sposób wszystko dobrze szło do roku 1815, kiedy wasz ostrożny i nazbyt świecki – Wielebny Brat ma co do tego zupełną słuszość – hrabia Joseph de Maistre zaczął werbować na służbę do zakonu stare, utytułowane księżne: Golicynę, Roztopczynę, Tołstojową itd. Czyż można było działać tak niezręcznie!

Dziewięć lat temu Aleksander I kazał zesłać przedstawiciela naszego zakonu. Wiele wody upłynęło w ciągu tych dziewięciu lat. Gdyby zakon nasz istniał, to w Petersburgu nie wybuchłoby przed samym pałacem powstanie pułków szlacheckich ani przekłęci przez Boga karbonariusze nie uwiliby sobie gniazda na Północy. Obecny car ledwo daje sobie radę z wewnętrzną polityką. Cóż go teraz obchodzimy? Do otwartej roboty w Polsce nie możemy się jednak zabrać. Oto czemu całą moją nadzieję pokładam we Francji. Ponieważ nadaję ten list zwykłą pocztą, proszę mieć na uwadze, że piszę tak otwarcie jedynie dlatego, iż jestem pewien, że Wielebny Brat natychmiast list ten zniszczy.

Oto jak wygląda bieg wypadków. W roku 1825 w Petersburgu na placu Senackim zginęli ostatni karbonariusze. Obecnie przy wydajnej naszej pomocy rozpoczęły się oblawy zdążające do zlikwidowania ostatnich gniazd masońskich w Polsce. Wczoraj dzięki naszym posunięciom taktycznym zbuntowane pułki zesłane zostały na Syberię. Ponieważ w Polsce istnieją przekłete rządy konstytucyjne, obecny car Mikołaj I przed swoją koronacją, która odbyła się pomyślnie w maju bieżącego roku, musiał zwrócić się do polskiego sądu sejmowego. Sąd ten nie zadowolił cara, a zresztą prawdopodobnie nie zadowoliliby nikogo. Ja, który jestem z pochodzenia Polakiem, uważam, że car rosyjski ma więcej racji niż wszyscy buntownicy polscy, niż ci księża, którzy nie chcą znaleźć wspólnego języka z rządem rosyjskim, stają po stronie szatańskich buntowników. Ponieważ car rosyjski w dużym stopniu przyczynia się do ugruntowania wpływu Kościoła rzymskiego, więc zakon nasz w takim samym stopniu podtrzyma carat. Jego cesarska mość przybył do Warszawy z żoną, z bratem Michałem i następcą tronu Aleksandrem. W sali senatorskiej na zamku po zakończeniu uroczystości koronacji na króla polskiego car Mikołaj złożył przysięgę na wierność konstytucji polskiej, następnie wyszedł do oficerów polskich i przedstawił im jedenastoletniego następcę tronu, wielkiego księcia Aleksandra, jako ich kolegę pułkowego. Mały następcę tronu ubrany był w mundur polskiego pułku strzelców; szybko i źle mówił po polsku. Sam byłem świadkiem tych uroczystości. Członkowie sejmu polskiego złożyli na ręce króla Mikołaja petycję o skasowanie krępujących punktów konstytucji. Król Mikołaj

oświadczył, że uważa obowiązujący w Polsce kodeks Napoleona za prawo szatańskie. Rzekł otwarcie: prawo Bonapartego oparte jest na rewolucji i ono właśnie zaprowadziło króla francuskiego pod nóż gilotyny.

Tak wyglądały sprawy. Król polski Mikołaj I wyjechał z Warszawy, żegnany chłodno, a nawet wrogo przez większość szlachty polskiej. Komunikuję Bratu, że młody profesor Wincenty Smogłowski dążył do zjednoczenia państw słowiańskich z Polską na czele. Zorganizował on związek młodzieży, który planował aresztowanie Mikołaja I podczas uroczystości koronacyjnych w Warszawie. Smogłowski jest obecnie zesłany, jak wielu innych spiskowców. Niektórzy z tych zesłańców uciekli i jadą do Paryża. Następnym razem podam Bratu ich spis.

Komunikuję Mu o tym wszystkim z tej racji, iż jestem ściśle poinformowany, że w Paryżu, wbrew pesymistycznym przypuszczeniom Brata, szykuje się prawdziwe odrodzenie Europy. Nasz pobożny król Karol X, ukoronowany w Reims, jak mi wiadomo, przygotowuje się do odrodzenia Europy. Niezadługo święty Kościół katolicki dzięki modłom kardynała Roothaana wzniesie ołtarz zwycięski wszędzie, gdzie jeszcze wczoraj wiły gniazda rewolucyjna bezbożność i jakobinizm. Byleby tylko Bóg zlitował się nad markizem Polignakiem, zesłanym obecnie z honorami do Londynu; byleby tylko Bóg dał królowi Karolowi X siły do ostatecznego wprowadzenia kary śmierci dla bluźnierców, do wydania zarządzenia o przywróceniu własności, o organizacji nowych kolegów oraz zarządzenia powierzającego nam całkowitą pieczę nad wychowaniem młodego pokolenia Francuzów.

List Brata o zgonie mademoiselle Marthe tchnie głębokim smutkiem, który jest bardzo ludzki. Jednakże radziłbym Bratu zwracać więcej uwagi na wynik walki niż na odczucia osobiste.

Dwory wiedeński i francuski mają wspólne cele. Proszę zwrócić uwagę na następującą okoliczność. W Paryżu i Lyonie istnieją jadowite gniazda, w których jakobinizm i karbonaryzm na nowo wykuwają gwoździe dla powtórnego ukrzyżowania Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Oto czemu nasz święty, potężny zakon dzieli się we Francji na dwie sekcje: paryską i lyońską. Na wschodzie dzielimy się również na sekcje: wileńską i warszawską. Zwracam uwagę Brata na to, że w Polsce daje się obecnie zauważyć poruszenie umysłów, które rozgrzesza wszystkie krańcowe czyny patriotyczne. Polska podzielona jest na trzy części i porównuje się ją do rozpiętego Chrystusa. Wskrzeszenie Polski jest uważane za sprawę religijną i wszystko to zamracza umysły nie tylko młodzieży, lecz i większości dobrej starej szlachty, przedstawicieli rdzennej polskiej arystokracji. Wszystkie te roz-

ważania, fakty i plany podałem do wiadomości tylko w tym celu, by Brat wiedział, jakie są tutejsze nastroje, i by mógł zawczasu zakomunikować mi o tym, jak i kiedy powinien nastąpić przewrót francuski, który przywróci Europie czasy Ludwika Świątego.

Bardzo cenne wydały mi się ostatnie zdania Jego listu. Proszę wziąć pod uwagę, że Polska z nadzieją spogląda na Francję, że tylko król francuski jest w stanie wskrzesić w Polsce ową niezachwianą władzę autorytetu kościelnego, która była dla cierpiącej ludzkości epoką największego szczęścia. Proszę Drogiego Brata, by pamiętał, że rządy i systemy się zmieniają, a Kościół jest wieczny.

Teraz jeszcze jedna mała sprawa. Do Warszawy przyjechał z koncertami niejaki Paganini. Donosiłem już Bratu o tym, że dwudziestoletni szlachcic z Warszawy, Fryderyk Szopen, wybiera się do Babilonu francuskiego. Zatruty przez muzyka Żywnego, opętany przez żydowskiego diabła, wspinały ten młodzieniec z jednej strony jest prawdziwym synem Kościoła, z drugiej zaś jest obdarzony szatańskim talentem współczesnego stulecia i smutkiem wynikającym ze świadomości, że szczęście na ziemi jest nieosiągalne. Kiedy pan Szopen przybędzie do Paryża, proszę zwrócić na niego uwagę i polecić go pieczy dobrego spowiednika. Bardzo możliwe, że uda mi się zatrzymać go w Polsce, o ile tylko wola Boża nie zmieni królów w Europie w ciągu najbliższych sześciu miesięcy i nie przeszkodzi Karolowi X w urzeczywistnieniu jego wielkiego planu – przywrócenia rozdartej przez jakobinizm ludzkości czasów Ludwika Świątego.

Widziałem tych dwóch ludzi razem – pana Szopena i włoskiego skrzypka Paganiniego. Przypadkowo słyszałem ich rozmowę. Jakże się różnią ich dążenia muzyczne od majestatycznej prostoty i miłej Bogu muzyki naszych organów! Zaczyna panować duch bezbożnej muzyki, a pokusa szatańska dzwięczy w instrumentach muzycznych zarówno pana Szopena, jak i pana Paganiniego. Obaj są opętani przez ducha dzisiejszego stulecia. Książę ciemności rozwiera nad nimi swe skrzydła. Sam widziałem, jak pobożne kobiety, wracając z tych bluźnierczych koncertów, traciły właściwą im prostotę wiary i pełne były grzesznych podniet.

Wszystko to skłania mnie do poważnych rozmyślań. Usiłowałem prze-móc wrażenia, jakich doznałem, słuchając muzyki tego strasznego skrzypka. Wysunąłem przeciw niemu naszego przedstawiciela, członka naszego zakonu, skrzypka Lipińskiego. Czy to z powodu choroby, czy też z innej przyczyny Lipiński grał ospale, a ziemisty kolor jego cery świadczył o tym, że jest chory. I dlatego masoni i Żyd Elsner, zajmujący dzięki intrygom

jakobinów stanowisko dyrektora konserwatorium warszawskiego, 19 czerwca ofiarowali «kawalerowi Paganiniemu» złotą tabakierkę z jakimś wzruszającym napisem i bluźnierczym znakiem.

Mam wiadomości, że wszystko już było załatwione, by Paganini mógł wyjechać do Moskwy i Petersburga, lecz odmówił, pomimo że propozycje były bardzo korzystne. Doniesiono mi, że pan Paganini wybiera się do Paryża. Proszę nie spuszczać oka z tej niebezpiecznej gadziny. Do Paryża wzywają go nie na próżno. Lecz wydaje mi się, że jest on dostatecznie przebiegły i nie pojedzie do miasta, w którym będziecie mogli zgotować mu ostateczną klęskę, skoro dojdzie do skutku plan Pawilonu Marsan, ojców wielebnych patronujących Francji i świętego króla Karola X.

Mam wiadomości o niektórych zamiarach tego człowieka. List ten przywiezie Bratu młody sympatyk naszego zakonu, kanonik Novi, który przedstawił świetne rekomendacje z Wiednia. Z początku list ten prześlę Noviemu, a potem on lepiej niż ja opowie Bratu, kim jest ten skrzypek. Novi i Paganini pochodzą z Genui. Jak Bratu wiadomo, port ten słynął z tego, że ludzie skazani w Genui na galery nigdy już nie wracali na ląd. Jednakże Novi twierdzi, a ja mu wierzę, że pan Paganini skazany był na galery, że dotąd ma na karku ślad po żelaznym łańcuchu i że pewnej straszliwej nocy ten galernik sprzedał diabłu duszę. W ten sposób, jak Brat widzi, ziomek, dobrze znający diabelskie pochodzenie Paganiniego, świadczy przeciw niemu.

Niebezpieczny ten galernik po powrocie do naszej świętej katolickiej rodziny wniósł okropną rozterkę w dusze i sugeruje ludziom obłądne myśli przeciągając smyczkiem po skrzypcach zaczarowanych przez diabła. Muzyka jego jest tysiąc razy gorsza niż setki jakobińskich kazań. Słyszałem, że szatański duch zapanował też w Paryżu, gdzie kilku młodych literatów o szalonych głowach podniosło sztandar tak zwanego romantyzmu. Proszę pamiętać, że to, co dziś nazywa się romantyzmem, jutro będzie nazywało się rewolucją. Takie jest nie tylko moje zdanie, ale i całej kapituły. Jeśli Brat czytał ostatnią sygnaturę, to chyba wie, że takie jest zdanie przewodniczącego, ojca Roothaana. Novi otrzymał rozkaz śledzenia każdego kroku skrzypka. On też doręczy Bratu mój list i mam nadzieję, że Brat zrobi wszystko, co jest konieczne, by w waszym nowym Babilonie, zanim przemieni się on w stolicę Kościoła powszechnego, wpływ diabelskich skrzypiec został zwalczony znakiem krzyża, miecza i halabardy arcykapłana.

Proszę przyjąć młodego i wiernego sługę naszego zakonu – Noviego,

wysłuchać go i zaopiekować się nim. Zechce Brat umożliwić mu pełne wykonanie wszystkiego, co zostało mu zleczone w Rzymie.

Ksiądz Ksawery Korzeniowski, sługa boży, koadiutor św. zakonu Jezusa”.

Rozdział dwudziesty szósty

Na brzegu wielkiej rzeki

W podróży do Wrocławia towarzyszyli mistrzowi Urbani i Harris.

We Wrocławiu znów zaczęli nawiązywać stosunki zadzierzgnięte niegdyś we Włoszech.

W Neapolu przebywa pewien przyjaciel Paganiniego, poznany niegdyś w teatrze, Onorio de Vito. Urbani doręcza list i prosi signora Paganiniego, by mu odpowiedział: „To przecież stary włoski przyjaciel i wielbiciel pańskiego talentu, maestro.” Znów zaczyna się korespondencja z Italią. Listy przelatują przez kilka granic. Koperty adresuje Urbani: signor Paganini ma brzydki charakter pisma.

Signor Onorio zbiera w Neapolu przyjaciół. Listy signora Paganiniego są czytane za kulisami teatru „Argentina”. Rzecz w tym, że zwykły skrzypek włoski staje się chlubą swej ojczyzny, cesarze i królowie zapraszają go, by grał na ich uroczystościach i koronacjach.

Signor Novi otrzymuje odpis tego listu. Jego nienawiść do Paganiniego wzrasta, w miarę jak rośnie sława skrzypka. Lecz Nowiego śledzi signor Urbani. Signorowi Urbani polecono, by strzegł signora Paganiniego przed Novim jak przed dżumą. Signor Urbani nie wie, kim jest signor Novi. Signor Novi natomiast świetnie wie, kim jest Urbani. Po pobycie Nowiego w stolicy Habsburgów signor Novi zaledwie dwa razy widział się z Urbanim. Istnieje jakaś osoba trzecia, kierująca zamiarami i drogami obu tych ludzi. Lecz również ta trzecia osoba jest wykonawczynią czyjeś woli. Na signora Novi włożono wielkie i skomplikowane zadanie. Lecz nastraszo go. Otrzymał surowy rozkaz oszczędzania Paganiniego, gdy tymczasem chciałby po prostu poderznąć mu gardło. Signor Novi, odznaczający się miernymi

zdolnościami, jest wcieleniem organicznej nienawiści, jaką czuje człowiek pozbawiony talentu do geniusza. Urbanemu polecono w odpowiedniej chwili za wszelką cenę przerwać podróż Paganiniego po Europie. Lecz chwila ta jeszcze nie nastąpiła i tradycyjna jezuicka dyscyplina nie pozwala Urbanemu zrobić ani jednego samodzielnego posunięcia.

Gdy Paganiniego dręczyła tęsknota za przyjaciółmi pozostawionymi w Italii, gdy myślał o ludziach walczących o jej wolność, których osadzono w więzieniu, coraz częściej zwracał się do uprzejmego, stale uśmiechającego się Urbaniego. Paganini tęsknił za ojczyzną, a Urbani znał każdą rodzinę w Genui, każdy dom w Wenecji, każdego przyjaciela signora Paganiniego w Neapolu; znał wszystkie dziewczyny, które maestro całował w Mediolanie; jednocześnie, jak prawdziwy żołnierz, zaufany rodziny dowódcy, strzegł również Achillina od wszelkich niespodzianek losu. Paganini żył się z Urbanim, przywykł do wspólnej podróży z Harrisem, z Urbanim, Achillinem i starą niańką.

Bardzo dawno temu, jeszcze w Genui, przyszedł do Paganiniego utalentowany chłopiec Kamil Sivori. W ciągu trzech dni Paganini poprawił błędy w grze małego skrzypka. Doszło do jego uszu, że Kamil Sivori dotychczas zachowuje we wdzięcznej pamięci pierwsze lekcje udzielone mu przez Paganiniego.

Z Wrocławia podróżnym towarzyszy wiolonczelista Gaetano Giandelli. Porzucił on Italię, gdzie ojciec jego, karbonariusz, zginął w więzieniu; uczył się grać na wiolonczeli w Wiedniu, teraz zaś rozpoczął wędrówkę w ślad za swym ukochanym maestro i żyjąc z dnia na dzień, głodny, zmęczony, przychodzi do Paganiniego po wskazówki. Trivelli, weneccjanin, rozpytuje o młodego Gaetano. Paganini odpowiada mu znów za pośrednictwem signora Urbaniego, że odbyli wielką podróż – w przeciągu trzech miesięcy objechali dwadzieścia miast. Darmstadt i Lipsk (który tym razem musiał złożyć oręż), Mannheim, Halle, Magdeburg, Erfurt, Gota, Halberstadt, Dessau, Weimar, Würzburg, Rudolfstadt, Koburg, Bamberg, Augsburg, Norymberga, Ratyzbona, Stuttgart, Düsseldorf i oto nareszcie Frankfurt, Frankfurt – na długo.

Młody Giandelli nie pomyślał o tym, by powiedzieć Paganiniemu o swej nędzy. Urbani daje mu niekiedy trochę pieniędzy, lecz jeśli miejsce w karcie pocztowej było opłacane z sakiewki Urbaniego, który dopisywał ten wydatek do pozostałych kosztów podróży maestro, to we Frankfurcie Giandelli nie może sobie pozwolić na zamieszkiwanie w hotelu całymi miesiącami. Tymczasem signor Paganini wyraźnie powiedział, że nie po-

zwoli Giandellemu wystąpić na koncercie, zanim tamten nie ukończy trzymiesięcznej pracy. Nie ma wyjścia, Giandelli; rumieniąc się jak panienka, opowiada o tym wszystkim Harrisowi. Harris słucha nieuważnie. Czy słyszał? Tak, słyszał, ponieważ daje następującą odpowiedź:

- Dochód z pierwszego koncertu we Frankfurcie maestro ofiaruje panu.
- Jak to, przecież go o to nie prosiłem!
- Tak, ale o tym już pomyślano – odpowiada Harris. – Lokal jest już wynajęty.

Harris pokazuje notes, w którym Paganini napisał własnoręcznie: „We Frankfurcie proszę nie zapomnieć: dochód z pierwszego koncertu oddać Giandellemu”.

Minął miesiąc, Giandelli jest bogaczem. Osiem tysięcy florenów zapewni mu dwa lata życia.

Znów trzy tygodnie choroby. Znów Paganini leży w łóżku.

W dniu, w którym publiczność Frankfurtu oczekuje kolejnego, obiecanego wreszcie koncertu, Fräulein Weisshaupt, czcigodna dama w czepku, przyprowadza do łóżka ojca małego człowieczka, kroczącego pewnie i poważnie. Oczy małego, gdy spogląda na ojca, miotają wesołe strzały.

– Stukłem, stukłem! – powtarza z wyrazem największego zachwytu, jak gdyby wykonał bardzo trudną pracę.

Paganini zwraca się do guwernantki z niemym zapytaniem. Nie wie ona, jak zareaguje ojciec na postępek syna. Malec podszedłszy w ogrodzie z łopatką w rękę do wazonu stukł go i z zachwytem powiedział jej o tym jak o wielkim sukcesie. Potem ojciec pisze. Kreśli jakieś delikatne wzory – widocznie nie umie pisać, jak należy. Kreśli haczyki, kółka – najlepiej jest po prostu umoczyć palec w kałamarzu i poprowadzić nim po papierze, będzie od razu gęsto, dobrze i ładnie. I Paganini nie zdążył się opamiętać, a już wszystkie jego listy, leżące na biurku, zamazane są atramentem, ważniejsze zaś dokumenty, afisze i programy upstrzone kleksami. Chłopiec zanosi się od śmiechu i upiera się, że ma rację, mówi, że ojciec nic nie umie. „W ten sposób prędzej można dopiąć celu” – chce jakby powiedzieć ten wesoły i łobuzerski głosik. Fräulein Weisshaupt jest zgorzonna nie tyle zachowaniem chłopca, ile tym, że ojciec całkowicie zgadza się z synem. Jest to zmowa dwóch mężczyzn, dużego i małego, przeciwko dobrym obyczajom, które powinny panować w domu.

Lecz signor Paganini zostaje surowo ukarany; zbliża się godzina koncertu, a on nie może znaleźć ani jednej potrzebnej mu części ubrania. Wreszcie

spod poduszki wyłazi jedna pończocha, spodnie schowane są za szafą; wyciąga je stamtąd z wielkim trudem za pomocą laski Harrisa. Są zakurzone, zmiętoszone, nie można ich włożyć. Koncert już się powinien rozpocząć, już należy wyjść na estradę, a poszukiwania części garderoby trwają nadal ze zmiennym szczęściem.

Mały Achillino sam jest zaniepokojony, wyciąga rączęta i składa modlitewnie dłonie, usiłując przypomnieć sobie, gdzie schował rzeczy. Pomaga ojcu z takim zatroskaniem, że Paganini, pokładając się ze śmiechu, dostaje ataku kaszlu i pada na fotel.

Solidna publiczność starego Frankfurtu zdziwiona jest brakiem taktu signora Paganiniego. Po całogodzinnym spóźnieniu zjawia się wreszcie, wyjątkowo tego dnia rumiany i ożywiony. Koncert udaje się wspaniale: Paganini gra Mozarta i koncert skrzypcowy Rodego. Publiczność zapomina o zniecierpliwieniu: nikt nie odszedł, teraz wszyscy zgodziliby się czekać nawet do rana.

Jakiż piękny jest Frankfurt! Dla tego miasta można sobie pozwolić na pewną fantazję. I Paganini, po wykonaniu zapowiedzianego programu, w odpowiedzi na długotrwałe oklaski znów wychodzi na estradę i gra zaskakujący publiczność utwór. Po raz pierwszy spotkał się z całkowitym zrozumieniem i, głęboko wzruszony, poczuł, że sala jest godna jego. Frankfurt odznaczał się wyjątkową kulturą muzyczną. Dla ludzi zapewniających salę pobyt Paganiniego w ich mieście był wielkim szczęściem. Był to niejako słup miłowy w ich życiu. Jakieś niezwykle napięcie udzielające się artyście sprawiało, że odczuwał ten nastrój sali. I oto między muzykiem a słuchaczami zadzierzgnęła się nieuchwytna, lecz mocna więź, dzięki której wszystkie odczucia stają się jakby jednym wspólnym przeżyciem. Nie widział pojedynczych osób, lecz mnóstwo iskrzących się oczu; nie ogarniał wzrokiem, lecz raczej odczuwał wzniosłe napięcie malujące się na twarzach wszystkich tych ludzi. Zapragnął uczynić dla nich coś, co uczyniłby dla siebie samego. Zagrał im krótką neapolitańską piosenkę, którą słyszał na brzegu morza siedząc z Achillinem na kamieniu. Piosenka ta – *Oh, Mamma*, to piosenka, którą najlepiej śpiewał mały Achillino, gdy z założonymi do tyłu rękoma przechadzał się po pokojach, sądząc, że nikt go nie obserwuje. Achillino śpiewał ją tylko dla siebie. Paganini zagrał ją dla innych. Potem poczuł, że wznosi się w górę, i ocknął się na ramionach orkiestry, która zapełniła estradę. Cała orkiestra, porzuciwszy instrumenty, pobięła ku niemu. Zaniesiono go na rękach do karety.

W ciągu tego roku Paganini zaledwie jeden raz wyjechał z Frankfurtu.

Był w Bawarii: zaprosiła go tam dama, która przysłała mu zwykły list na ciemnoniebieskiej kartce papieru, ozdobionej bawarską koroną.

Przyjechał z impresario, organizującym jego koncerty w Niemczech, panem Guriolem. Lejtnant Guriol uprzedził w krótkich słowach redakcję gazet monachijskich o przyjeździe Paganiniego. W umiarkowanym tonie młody lejtnant dokładnie informował stolicę Bawarii o tym, że na signora Paganiniego rzucane są niesłuszne i dziwne podejrzenia: ani w jego zachowaniu, ani też w sposobie gry nie ma nic nikczemnego lub mającego demoniczny charakter. Przeciwnie, Paganini jest nie tylko wielkim muzykiem, lecz i człowiekiem wielkiego serca, dającym przykład najbardziej wzniosłego humanizmu.

Koncert na zamku królewskim w Tegernsee, dokąd zjechali po łowach przedstawiciele młodzieży wojskowej i gdzie spotkali się z monachijskimi miłośnikami sztuki – malarzami, muzykami, poetami oraz kustoszami drogiej sercu Bawarczyka monachijskiej galerii obrazów – upamiętnił się następującym wydarzeniem.

Olbrzymie okna pałacu były otwarte. Czekając na zaproszenie do wejścia na estradę, Paganini usłyszał od strony lasu i jeziora podniecone głosy, krzyki i hałas. Potem ujrzał, jak do królowej podbiegł marszałek dworu. „Królowa każe wpuścić!” – usłyszał słowa marszałka dworu, z którymi ten zwrócił się do wysokiego człowieka w tyrolskim kapeluszu i zielonej kurtce.

W chwili gdy Paganini wyszedł na estradę, olbrzymia sala była pełna wystrojonej publiczności, rozmowy ucichły – i oto ciszę tę przerwały głośnie kroki sześciuset rosnących ludzi – chłopów, rybaków i myśliwych. Podniecenie ich trwało od samego rana, co dzień słyszeli o przyjeździe skrzypka. Wędrował niemal po wszystkich niemieckich drogach, widzieli go, jak przejeżdżał po wielkich szlakach Bawarii. Wieści o tym człowieku poruszyły ich i oto zażądali od królowej, by zezwoliła im ujrzeć i usłyszeć ten cud. Stali przed drzwiami olbrzymiej sali i Paganini widział przez otwarte okna, że brzeg jeziora i skraj lasu zaległy tłumy ludzi.

27 listopada Paganini wyjechał z Monachium. Jakieś niespokojne wieści nadchodziły z Polski. We Frankfurcie w pałacu generała Zielińskiego, Polaka, który stał się niemieckim obszarnikiem, znów spotkał jasnowłosego człowieka o szarobłękitnych oczach. Przypomniał sobie, że widział go już w Warszawie.

Był to pianista polski Fryderyk Szopen. Jechał teraz do Paryża.

Harris ze zdziwieniem przeczytał zapomniane na stole notatki.

„Często udawało mi się czarować grą moich słuchaczy, lecz pomimo to jestem zażenowany i niezadowolony z samego siebie, żadne bowiem oklaski nie mogą mnie oszukać. I jeśli publiczność z zachwytem słucha mojej gry, to sam jestem z niej bardziej niż kiedykolwiek niezadowolony. Gdybym odzyskał dawny głos, co byłoby świadectwem zdrowia, wtedy mógłbym głośno wyrazić niezadowolenie z siebie tym, którzy mnie słuchają. To, co dzieje się ze mną, jest straszne. Nie można dać nawet nazwy temu, co uczyniono, żebym stracił ludzki głos. Po każdym koncercie opadam z sił, a niekiedy po godzinnej grze tracę przytomność na przeciąg całej doby. Każdy koncert zabiera mi rok życia, a jednak – niechże natura będzie dla mnie hojna! – sztuce swej gotów jestem poświęcić życie i zdrowie. Lecz do stolicy stolic przybędę dopiero wówczas, gdy zrealizuję swój zamiar”.

„To znaczy, że do Paryża nie tak prędko pojedziemy” – pomyślał Harris.

Jednakże z Frankfurtu wkrótce wyjechali. Znowu trzy karety w tumanach pyłu toczą się po drodze i coraz bliższa staje się granica Francji.

Gazety frankfurckie zamieściły krótką notatkę: „Niedawno rozeszła się pogłoska, że Paganini przyjedzie do Paryża. Wszyscy miłośnicy muzyki, wnioskując z gazet francuskich, oczekiwali go z niecierpliwością, lecz Paganini sprawił im zawód i nagle pojechał do Holandii”.

„Mówią, że Paganini bardzo lubi pieniądze i dlatego nie doszło do porozumienia – komunikował paryski «Przegląd Muzyczny». – Można mu łatwo wybaczyć tę chciwość, otrzymaliśmy bowiem nieoczekiwaną wiadomość, że skrzypek zbiera pieniądze dla swego czteroletniego syna, którego obdarza niezwykle tkliwą miłością”.

Urbani zanotował:

„Kiedy dziecko zachorowało, maestro szalał. Zdawało się, że nie wytrzyma tego niepokoju. Płacił lekarzom bajońskie honoraria, niewiele brakowało, żeby dziecku zmarnował całkowicie zdrowie, gdyż wyzyskiwali go chciwi szarlatani, umyślnie przedłużający chorobę.

Signor Paganini ani razu nie wezwał księdza, ani razu nie wspomniął imienia bożego, a popadłszy w rozpacz, nie myślał o modlitwie”.

„We Frankfurcie, gdzie signorino przebywał bez ojca, pokojówka Greta zaziębiła dziecko. Kiedy po powrocie signor Paganini dowiedział się o jego chorobie, wbiegł na schody z takim wyrazem twarzy, że obawiałem się o jego rozum. Okazało się, że o chorobie Achillina dowiedział się jeszcze w Akwizgranie. Porzucił wtedy salę koncertową, zamęczył dwanaście koni i tak stukał do drzwi, że złamał klamkę i stłukł szkło. Ujrzał swego aniołka

wśród koronkowych poduszek i różowych kołderek. Fräulein Weisshaupt zaczęła uspokajać maestra: choroba już minęła. Signor Paganini nie mógł się uspokoić. Powiedział do Fräulein Weisshaupt: «Signora, wasz wielki Goethe, będąc ministrem księstwa Weimaru, podpisał wyrok śmierci na dziewczynę, która nie dopilnowała swego dziecka. Sam książę wahał się, czy to konieczne, by dziewczyna położyła głowę na szafot. W tym momencie przyjechał z polowania, w myśliwskim ubraniu, pan Goethe, który przeczytał sentencję wyroku śmierci i skreślił pod nim: *Auch ich*. Dziewczynie ścięto głowę. A więc mówię do pani: *Auch ich, Fräulein*». I bardzo brutalnym gestem dał do zrozumienia, że zamierza ściąć jej głowę”.

Urbani i Harris z każdym dniem coraz mniej rozumieli się nawzajem. Harrisowi wydawało się, że signor Paganini więcej ma zaufania do Urbaniego. „To jest zrozumiałe – myślał Harris – gdyż jest on Włochem, a być może karbonariuszem”.

Gazety podawały ostatnie wiadomości o przyjeździe króla Neapolu do Paryża. Plotki, które szeptało sobie na ucho, dochodziły do Harrisa. Ze śmiechem opowiadał on Paganiniemu, że w Paryżu na obiedzie wydanym przez księcia Filipa Orleańskiego na cześć króla Neapolu i małżonki jeden z gości powiedział dowcip, który obiegł całe miasto: „Oto prawdziwy wieczór neapolitański!” „Czemu?” – zapytał Karol X. „Ponieważ tańczymy na wulkanie”.

Paganini nic nie odpowiedział.

Na koncerty Paganini wybierał najmniejsze miasta niemieckie. Harris gubił się w domysłach. Zazdrośnie spoglądał na Urbaniego – wszystko wskazywało na to, że Urbani zna marszrutę następnego dnia. Przychodziły, jakieś listy przywożone przez przypadkowych ludzi. Paganini zupełnie zaprzestał korespondencji za pośrednictwem poczty. Do Harrisa docierały pogłoski, że wznowiła się działalność went karbonarskich w Italii, lecz jednocześnie teraz już otwarcie mówiono o całkowitym przekazaniu władzy jezuitom w Rzymie i wszędzie, gdziekolwiek docierała władza arcykapłana rzymskiego. Wszyscy mieli na ustach straszliwe nazwisko „czarnego papieża” Roothaana.

W Akwizgranie signor Paganini zatrzymał się w prywatnym domu i kazał napalić w kominku. Harris widział, jak maestro, trzymając na kolanach skórzane pudełko, wrzucał do kominka pliki kopert i listów.

Turyń i Genua były obecnie gniazdem najstraszliwszych ludzi. W Genui znajdowała się główna kwatery jezuitów. Z tych dwóch miast szły potężne

rozgałęzienia na całą Italię. Najbardziej niebezpieczna była organizacja „mnichów hołdujących nieuctwu”, która propagowała zamykanie szkół, palenie książek i uśmiercanie najniebezpieczniejszych uczonych, głoszących hasła wolnej nauki.

Paganini wiedział, że całkowicie potwierdzały się pogłoski o torturowaniu za pomocą rozpalonego żelaza, za pomocą koła i o publicznych egzekucjach przez ćwiartowanie.

Wiktor Emanuel I zagaił zebranie inżynierów włoskich propozycją wysadzenia w powietrze wspaniałego mostu przerzuconego przez rzekę Pad, z tego względu, że most ten został zbudowany przez Napoleona. Paganini przestał pisać do Genui.

Fontana Pino, który uciekł po śmierci ojca, potajemnie wyjechał z Italii na północ. Paganini miał z nim długą rozmowę w małym hotelu. Pino udawał się do Paryża; udało mu się tam przewieźć cały swój majątek. Pino opowiadał, że w Genui obok placu Nowego zbierają się liczni szpicle, otaczają plac, otwarcie debatują nad robotą, która czeka ich w ciągu bieżącego dnia, i rozchodzą się grupami. Tajna policja utrzymuje domy publiczne i spelunki gry. Za przywiezienie z zagranicy gazet lub książek winowajców skazuje się najmniej na pięć lat galery, a jeżeli natrafiają na francuską książkę antyreligijną lub antymonarchistyczną, sprawa kończy się karą śmierci. Pokój, w którym uczył się niegdyś gry na skrzypcach Nicolo Paganini, signor Antonio odnajął szpiegowi austriackiemu.

W trakcie tego opowiadania mały Achillino zawołał:

– Szczur, szczur! – i pokazując ojcu poruszające się frędzle portiery złapał lichtarz i uderzył we frędzle. Rozległ się krzyk; spoza portiery kulejąc wyskoczył Urbani.

– Co pan tu robi? – zawołał Paganini.

– Iskry lecą z kominka, a tu jest dymnik – spokojnie odparł Urbani grożąc palcem małemu Achillinowi.

Tego dnia Harris odniósł zwycięstwo. Po wyjściu Pino Paganini obejrzał dymnik. Wszystko zgadzało się z tym, co mówił Urbani: leciały iskry, a dym napełniał pokój. Lecz czemu Urbani wybrał chwilę, gdy mowa była o Genui i rodzinnym domu?

Nastaly dni dręczącej niepewności. Paganini nie występował z koncertami. Nagle przestali go odwiedzać przyjaciele i urwała się korespondencja. W ciągu czterech dni nie ukazywały się gazety i nagle – krótki komunikat donoszący, że trzy tygodnie temu król Karol X wyjechał z Paryża w niewiadomym kierunku, a książę Orleański Ludwik Filip został regentem. Kto go

wyznaczył? Co się stało we Francji? Dopiero po kilku dniach nadeszły bardziej konkretne wiadomości. W lipcowych dniach Paryż najeżył się barykadami. Panowanie Karola X skończyło się.

– Wielebni ojcowie przeliczyli się – rzekł Paganini. – Zamiast władzy absolutnej króla i księdza powitał ich ogień artyleryjski i barykady. Teraz pomyślimy o wyjeździe do Francji.

Lecz na razie nie można było jeszcze o tym myśleć. Granica była zamknięta.

Paganini odpoczywał. Ems, znów Frankfurt, następnie Baden i znów Frankfurt. Zdrowie nagle się polepszyło. W uzdrowiskach łatwo można zobaczyć się z rodakami. W obecności ludzi spotkanie z wrogiem jest mniej niebezpieczne.

We Frankfurcie – list od Fontana Pino: „Należy jechać do Paryża, aby rozproszyć pogłoski. Signor Ferdynand Paer został przyjęty przez króla”. Paer miał w Paryżu wielkie wpływy. Był inspektorem instytucji muzycznych Francji i nadwornym kompozytorem. Nowy władca Ludwik Filip Orleański, który nosił już miano króla, przyjął signora Ferdynanda bardzo dobrze. Lecz signor Paer ma jak najgorsze wiadomości o skrzypku Paganinim. Człowiek, który przegrał skrzypce w karty, nie ma prawa wziąć ich do rąk powtórnie. Postępek ten zasługuje na pogardę. Do listu Fontany dołączony był wycinek z „Przeglądu Muzycznego”, w którym była mowa o tym, że signor Paganini, podróżując po miastach niemieckich, przygotowuje na występy w Paryżu opracowanie pewnego tematu muzycznego Spohra. Spohr protestuje, gdyż nigdy nie upoważniał signora Paganiniego do wykorzystywania jego tematu. Jeżeli signor Paganini zajmuje się złodziejstwem, to przeciw kradzieży istnieją odpowiednie paragrafy prawne.

„Ładne spotkanie czeka mnie w Paryżu – pomyślał Paganini. – Lecz co zrobić ze starym Paerem? Trzeba go wyprowadzić z błędu, w przeciwnym razie lepiej już nie jechać do Paryża”. Przypomniał sobie, że Szopen miał polecający list do Paera.

We Frankfurcie zawarta została dziwna znajomość. Doktor Koreff. Wizytówka nadwornego lekarza jego królewskiej mości króla Prus. Przyjaciel niedawno zmarłego, nieudanego kompozytora Amadeusza Hoffmanna. Mówią, że Hoffmann, autor *Braci Serapionowych*, w postaci jednego z gawędziarzy, imieniem Wincenty, przedstawił Koreffa. W fantastycznych nowelach tego pisarza figuruje także rodak Paganiniego, hrabia Cosio, o którym mówiono, że w barbarzyński sposób zniszczył skrzypce. Przedstawił go Hoffmann w postaci radcy Krespla.

– O, jakże niepodobny! – powiedział Paganini.

Usiłował odtworzyć prawdziwy wizerunek starego Cosio, lecz Koreff zdradzał „zupelną obojętność dla prawdy”.

Paganini, który chciał zwrócić się do tego sławnego, lecz cudacznego lekarza po poradę, zrezygnował z pierwotnego zamiaru. Tym bardziej że zdrowie jego znacznie się poprawiło.

Nadeszły wiadomości, że rewolucja we Francji odbiła się niespodziewanym echem na Wschodzie. Polskę ogarnęło powstanie przeciwko Mikołajowi I. Paskiewicz szturmuje do wrót Warszawy. Coraz niespokojniej jest i w innych krajach. W Belgii – powstanie. I wreszcie – ostatnie pogłoski, nadeszły w tajemnicy z Italii: w Parmie, Modenie i Bolonii – wzmożony ruch karbonariuszy.

Wszyscy z nadzieją spoglądają na Francję, która wskreszyła młodość stulecia. Francja, oczywiście, pomoże Polakom, Francja, oczywiście, pomoże Belgom, Francja, oczywiście, pośpieszy z pomocą ludom Italii. Lecz na trybunę Izby Deputowanych wchodzi surowy i ponury bankier paryski, minister Ludwika Filipa; oświadcza on, że krew Francji należy tylko do Francji. Francja nie ma zamiaru wtrącać się do rewolucyjnych poczynań innych narodów.

Zmroziło to ogromnie zapał.

„Czy powinienem jechać do Francji?” – zastanawiał się Paganini.

Rozdział dwudziesty siódmy

Uczeń i nauczyciel

– A więc zaprzeczasz wszystkiemu, co o tobie mówią? – pytał akademik, dyrygent królewskiego zespołu kameralnego, monsieur Ferdinand Paer.

Przechadzał się po pokoju, a przed nim, odrzuciwszy długie czarne kędziory na oparcie fotela, siedział zmęczony i blady Paganini.

Paer był w ciemnofioletowym domowym stroju, na którym lśnił śnieżnobiały kołnierz, biały atlasowy krawat, mankiety z olbrzymimi ametystami

i platynowa szpilka z drogim kamieniem. Znów te jasnyniebieskie oczy i wrażenie, że w żyłach tego człowieka zamiast krwi płynie roztopiony jasny metal, ruchomy, lecz ciężki i zimny. Ale twarz – to już twarz starca.

– Przyczyniłeś mi wiele zmartwień, miałem dwoiste wrażenie za każdym razem, gdy dochodziły mnie wieści o tobie. Zdawało mi się, że istniejesz na świecie w dwóch postaciach. Paganini – geniusz muzyczny, Paganini – ratujący młodego Giandellego i przychodzący z pomocą dziesiątkom tysięcy rodzin, które ucierpiały na skutek powodzi – i Paganini, który wypędza nieszczęśliwą żonę zimową porą w mroźną noc na ulicę. Zbyt często umierałeś. Gazety donosiły o tobie takie nieprawdopodobne rzeczy, okoliczności towarzyszące twej śmierci były tak ohydne, że wreszcie przestałem opłakiwać twój przedwczesny zgon. Nie rozumiem, skąd się wzięło tyle nienawiści. Mówią o tobie, że przejąłeś się tureckim stylem muzyki. To już zupełna bzdura. Mówią o tobie, że kaleczysz wspaniałe wyroby dawnych lutników, mówią o tobie – lecz Pino temu zaprzeczył – że pogrążyłeś się w najohydniejszej rozpuście i przegrałeś wspaniałe skrzypce Guarneriego. Ano, wyjaśnijmy te wszystkie dziwne sprawy, a potem proponuję, byśmy poszli do teatru posłuchać śpiewaczki Malibran.

Paganini przymknął sinawe powieki. Dopiero godzinę temu przyjechał do Paryża.

Dzień przedtem był w Lyonie. Z przerażeniem myślał o robotniczych dzielnicach tego okropnego miasta, gdzie dymią kominy nie znanych w Italii olbrzymich gmachów z maszynami i parowymi kotłami. Ludzie, dziesiątki tysięcy ludzi znużonych, chudych, w podartych czarnych i granatowych bluzach, wychodzą tłumnie z bram pilnowanych przez konną policję.

Cóż to za kraj? Cóż to za miasto? Co to – więzienie czy też miejsce kaźni, gdzie jedni przedstawiciele rodzaju ludzkiego znęcają się nad innymi?

Żadne miasto Niemiec ani Italii nie podniecało do takiego stopnia wyobraźni Paganiniego. Wieczorem – świecące latarnie gazowe. Ludzie tak dążą do światła, jak gdyby nie mogli się nim nasycić. Niepokojące to światło zupełnie niepodobne jest do cichego, drżącego, żółtawego światła spermacetu ani do płomyka lampki oliwnej lub kaganka. Ludzie dążą wściekle naprzód, coraz bardziej potęgując dźwięk, podwyższając kamerton, przyspieszając ruch na drogach i zwiększając jasność światła wieczornego.

Jadąc ulicami Paryża, Paganini z okna karety chciwie wpatrywał się w tłum. Młodzi ludzie w kolorowych kamizelkach; zwolennicy wygnanego króla, noszący jako oznakę albo zielony kwiatek w klapie, albo zieloną

kamizelkę, albo też jaskrawozielony kapelusz; młodzież akademicka w cudacznych strojach; kobiety przebrane za paziów; wąsaty człowiek przejeżdża w powozie, publiczność wściekle go oklaskuje, krzyczy, wymachuje rękoma, rzuca kwiaty pod powóz. „To polski generał – mówi stangret. – Paryż przepada za Polakami”.

Zmęczony tymi wszystkimi wrażeniami, Paganini ospale słucha pouczeń starego profesora.

– Jakie są źródła tej wrogości. Mówią o tobie jako o człowieku niesłuchanie bogatym. Zupełnie zrozumiała jest zawiść tych, którym zamknęłaś drogę do wzbogacenia się, jak również nienawiść tych, których zaćmiłaś swym talentem. Lecz czyś się zbytnio nie pysznił swym niesłuchanym powodzeniem przed przeciętnymi ludźmi? Weź pod uwagę, że nie można kłócić się z tym ogromnym, wielogłowym mieszczuchem, który uważa cię za swoją własność. Wszystko to można wytłumaczyć, wszystko jest zrozumiałe i wszystko da się naprawić. Niepokoi mnie co innego, niepokoi mnie Paganini – twór plotki. Miej na uwadze: nie ma takiej podłości i brudu, których by nie przypisywano tobie. Zaraz ci pokażę – Paer skinął ręką w stronę szafy – obraz więziennych murów, które słuchały pierwszych dźwięków twojej gry. Nie będę wspominał o bzdurach, jakie wypisują dziennikarze francuscy. Jules Janin, człowiek, który ucierpiał przez jezuitów, obecnie, nastraszony do najwyższego stopnia, porównuje twoją muzykę do demona miotającej się rozpaczy. Czy nie masz czasem sobowtóra, a może istnieje przestępca, który rzeczywiście przywłaszczył sobie twoje nazwisko? To jakiś snujący się cień Ahaswera, który nigdzie nie może znaleźć sobie przytułku. Powiedz – przecież możesz być ze mną szczery; chcę zająć się twoimi sprawami, chcę ci zapewnić powodzenie w Paryżu, to wcale niełatwe! Znajdujesz się obecnie w bardzo trudnym stadium wspinańcia się na szczyty, możesz spaść i więcej nie wstać. Powiedz, co zaszło między tobą a tym dziwnym człowiekiem Spohrem? Sekretarz jego przebywa w Paryżu. Jeśli istotnie korzystasz z melodii Spohra i przerabiasz jego koncert skrzypcowy, po pierwszym występie będziesz miał proces sądowy, na który zbiegnie się cały Paryż, okazując dla tego skandalu znacznie więcej zainteresowania aniżeli dla twój gry. Czy nie masz czasem ukrytego wroga, czyś nie obraził przypadkiem jakiegoś potężnego władcy, nie kłócił się z Kościołem? Pomyśl o tym wszystkim, zanim będziesz zabiegał o możliwość występowania w Paryżu. Po rozbiciu karbonariuszy w Italii wielu uciekinierów przeniosło się do Paryża, z nimi i tu się rozprawiają. Teraz gdy dziesiątki tysięcy młodzieży włoskiej, zdradzonej w czasie procesu, zginęły,

a powstanie karbonariuszy zostało zdławione, zabrano się do porachunków ze szpiegami. Wystarczy przypadkowa potwarz, żeby człowiek zginął z nieznanej ręki.

Paganini wyjął z kieszeni surduta krótki list Fontany Pino i pokazał go Paerowi.

– Tak – powiedział po przeczytaniu Paer. – Jeśli piszą ci do Frankfurtu, że ktoś w Paryżu występuje pod nazwiskiem Paganiniego, przebywającego tu incognito, to może się okazać, iż człowiek ten narobił tyle złego, że zanim rozpoczniesz występy, należałoby ustalić twoją sytuację. Te fantastyczne brechty, o których pisze twój przyjaciel, nie wróżą nic dobrego i słusznie uczynił, że przyspieszył twój wyjazd do Paryża.

Obaj udali się do jadalni. Zastali tam signorę Riccardi, która się wcale nie zestarzała. Czyniła Paganiniemu wyrzuty, że nie zabrał z sobą na obiad małego Achillina. Lecz Paer oświadczył, że to może lepiej, gdyż chce porwać Paganiniego na cały wieczór.

– Wieczorem Włosi grają *Otella*, śpiewa Malibran i choć moja małżonka nie lubi, gdy chwale cudze głosy, to jednak muszę ci powiedzieć, że Malibran i Pasta – to największe artystki świata. Malibran włada trzyoktawowym rejestrem i nie ma takiej nuty, w której nie zabrzmiałby w całej pełni czar jej głosu. Lecz pamiętaj, że z góry skazany jesteś na niepowodzenie, gdybyś chciał ubiegać się o jej względy! Obecnie z całą namiętnością Hiszpanki przeżywa okres zakochania w skrzypku Bériot. Oto kto jest twoim rywalem. Bériot – to nieprześcigniony talent, a oprócz Bériota jest w Paryżu Lafont, z którym, jak mówią, niegdyś koncertowałaś. Jest tu również jej brat, Aleksander Malibran. Są to pierwszorzędni skrzypkowie, którym zepsujesz humor zaraz na pierwszym koncercie. Nie mówię już o Baillot i nie mówię o Cherubinim. Na twoje szczęście umarł Kreutzer. Czy wiesz o jego zgonie?

Paganini kiwnął głową.

– Pamiętaj więc, że gdyby tu był jeszcze Kreutzer i Rode, to lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś wcale nie przyjeżdżał do Paryża.

Paer badawczo patrzył na Paganiniego. Paganini z niewzruszonym spokojem robił sobie tartynkę i milczał.

– Zdaje się, że wraz z panem przyjechał George Harris? – zapytała Riccardi.

– Tak jest – odparł Paganini.

– Czy to autor komedii i anegdota?

Paganini się roześmiał:

– Dobrze, że go tu nie ma. Bardzo nie lubi, gdy mu się przypomina jego literackie niepowodzenia, chociaż komedie jego wystawiano w Kassel i Hanowerze.

– Kto ci go polecił? – zapytał Paer obcesowo.

– Poznałem go u konsula angielskiego w Livorno.

– Aha, pamiętam, pamiętam – rzekł Paer. – A kto ci jeszcze towarzyszy?

– Urbani, nasz rodak.

Paer zamilkł: nazwisko to nic mu nie mówiło.

A Paganini nagle zamyślił się, nieoczekiwanie przypomniawszy sobie epizod z portiera. „Czego on chciał? – zastanawiał się Paganini. – I czemu jest taki ponury w ostatnich dniach?”

Cień na twarzy Paganiniego nie uszedł uwagi signory Riccardi. Zmieniwszy temat rozmowy, usiłowała przywrócić dobry nastrój. Rozmowa zesłała na teatr i Paganini wymówił nazwisko Rossiniego. Wystarczyło to, by twarz Paera nagle posmutniała. Signora Riccardi rzuciła przelotne spojrzenie na męża i znów szybko skierowała rozmowę na inne tory, by odwrócić uwagę rozmówców od tego tematu. Paganini poczuł, że popełnił jakąś niezręczność.

Gdy odeszli od stołu, pozostało jeszcze około dwóch godzin do wyjazdu na przedstawienie w operze. Paganini i Paer przeszli znów do małego saloniku. Paer zdjął z półki jakąś broszurę i wręczył ją Paganiniemu.

– Oto odpowiedź na twoje pytanie o Rossiniego – rzekł.

Paganini przerzucił kilka stron. Była to ohydna, pełna oszczerstw książeczka, która mówiła o wrogości dwóch wielkich muzyków. Widocznie Paer i Rossini wzajemnie się nie znosili. Trudno było osądzić, kto miał rację w tej nieoczekiwanej kłótni, lecz było jasne, co jest jej powodem. Po przyjeździe Rossiniego do Paryża zupełnie prawie przestano wystawiać opery Paera. Rossini zdobył Paryż. Arie z *Cyrulika sewilskiego* śpiewali nawet ulicznicy. Niewzruszony autorytet signora Ferdynanda Paera po raz pierwszy został zachwiany. Ktoś wykorzystał to, zaczął szeptać o wzmagającej się między nimi nienawiści i to, co nie miało jeszcze żadnego kształtu, stało się wkrótce rzeczywistością. Paer podejrzewał, że autorem broszury jest Rossini; Rossini natomiast uważał, że na taką ohydną obmowę mogli się zdobyć tylko przyjaciele Paera. Obaj muzycy zaprzeczali, jakoby mieli przyłożyć rękę do wydania tej książki. Oceniając ją muzyczny świat Paryża dzielił się na dwa obozy: jedni używali zawartych w niej insynuacji przeciwko Rossiniemu, drudzy – przeciwko Paerowi.

Paganini położył książkę na stole i rzekł:

– A więc, drogi profesorze, jakie są źródła tej wrogości? Jest pan bogaty, zajmuje pan wybitne stanowisko, zazdroszczą panu oczywiście muzycy pozbawieni talentu i chcą pokłócić pana z młodym moim przyjacielem Rossinim. – I naśladować Paera, dodał: – Czy nie klócił się pan czasem z władzami, czy nie ma pan przypadkiem utajonych wrogów? Widzi pan, drogi maestro, że nie mając na sumieniu żadnej winy, może pan również znaleźć się w podobnej sytuacji, w jakiej ja jestem bez przerwy.

– No, ale dosyć już o mojej osobie – powiedział Paer. – Oczywiście nie zamierzasz w Paryżu tracić na próżno czasu, będziesz chyba koncertował. Czy wiesz, zresztą nie mam potrzeby cię przekonywać, że źródła światowej sławy znajdują się w Paryżu i jeśli Paryż cię nie uzna, to twój powrót do Europy nie będzie już taką triumfalną wyprawą zdobywcy, która zaprowadziła cię aż tutaj. Weź pod uwagę, że łatwiej ci będzie po prostu porzucić Paryż nie dając tu ani jednego koncertu. W dostatecznej mierze zaintrygowałeś już paryżan plotkami i twym rzekomym pobytem tutaj incognito. Sam widziałem dziennikarzy, którzy chwalili się, że z tobą rozmawiali, kiedy nawet nie miałeś jeszcze zamiaru jechać do Paryża. Zastanów się, z czym wystąpisz? Coś czytał? Co znasz? Co sobą obecnie przedstawiasz? Może należałoby, póki jeszcze czas, zrezygnować z występów. Dawno nie słuchałem twej gry, a mówię obecnie z tobą opierając się tylko na pogłoskach. Zrozum, że masz we mnie najlepszego przyjaciela.

– Widzę przed sobą człowieka zmęczonego – rzekł Paganini.

Paer spochmurniał.

– Myślisz widocznie, że przesadzam mówiąc o znaczeniu twojego pobytu w Paryżu. Przyjmij więc do wiadomości, że zeszły rok upamiętnił się niesłychanym skandalem w związku z wystawieniem sztuki młodego pisarza Victora Hugo – *Hernani*. Przedstawienie zostało odwołane. Towarzyszące temu okoliczności były tego rodzaju, że autorowi nic innego nie pozostawało, jak się zastrzelić. Uratowała go młodzież i przypadek, a kilka tanich idei rzuconych publiczności przez autora poprawiło jego sytuację. Pospolita kłótnię zawistnych ludzi prasa potraktowała jako filozoficzny spór między przedstawicielami romantyzmu i klasycyzmu. Młodzi ludzie w strojach konkwestadorów, kobiety poprzebierane za paziów średniowiecznych, idiooci w czerwonych kamizelkach, o twarzach buldogów, trzymający w rękach ogromne sękaty laski, zapełnili teatr i o mały włos nie wszczerli bójki. Zgódź się ze mną, że jest to mało podobne do składania hołdów sztuce. Jeśli pierwsze przedstawienia miały niesłychane powodzenie, ponieważ młodzież, narażając prawdopodobnie autora na wielkie koszty, zajmowała całe

rzędy – to następnym przedstawieniom *Hernaniego* towarzyszyło gwizdanie i sykanie, scenę obrzucano ogryzkami jabłek, resztkami jedzenia, podartym obuwem i diabli wiedzą czym jeszcze. W Paryżu wszystko zależy od kaprysu reporterów. Musisz mi powiedzieć szczerze i otwarcie: czym się tłumaczy, żeś został zaatakowany przez gazety europejskie? Skąd się wzięła ta wielka ilość nieprawdopodobnych opowieści, czyniących z ciebie straszidło w pojęciu każdego przyzwoitego domu i każdego cnotliwego mieszczucha francuskiego? Weź pod uwagę, że w Paryżu taka fama może urosnąć do fantastycznych rozmiarów, a to, co byłoby tylko wyolbrzymioną sensacją w Niemczech, Austrii i Italii, może spowodować niespodziewane skutki w Paryżu.

– Drogi maestro – rzekł Paganini – nie mam wrogów. Wszystko, co o mnie piszą, nie ma żadnego związku z żywym Paganinim. W każdym razie nie znam ludzi, o których myślałbym z obawą. Jak można odebrać mi to, czemu poświęciłem całe życie, gdy czuję się skrzypkiem w pełni sił? Będąc obdarzony tak wielkim talentem, po cóż miałbym się bać kogoś oprócz samego siebie? Mówi pan, że mi zazdroszczą, lecz ja nie czuję do ludzi wrogości, nie mam ochoty się mścić, o nikim nie myślę z nienawiścią i nie miałem w ciągu całego swego życia wypadku, by złe myśli o kimś długo mnie nurtowały. Powiem panu więcej – cieszy mnie przejaw każdego talentu, cieszy mnie wszelki piękny odruch duszy ludzkiej, nie widzę dla siebie żadnej ujmy w tym, że zjawi się skrzypek dorównujący mi potęgą swego natchnienia: wtedy praca moja stanie się łatwiejsza, gdyż każdy koncert zabiera mi rok życia. Przyjdzie wtedy z pomocą ktoś inny, ulży mi w tym spalaniu się, które nosi nazwę służenia sztuce.

Paer z szeroko otwartymi oczami słuchał tych nieoczekiwanych słów. W chwili tej przebiegał myślą lata, jakie dzieliły go od czasów Parmy, od czasów gdy przez sześć miesięcy przebywało tam słabowite dziecko – syn genueńskiego maklera. Przewijały się przed nim lata i miesiące spędzone w Wenecji. Stał się znanym i doznał szczęścia domowego ogniska. Potem – Wiedeń i Drezno. W Dreźnie – nieoczekiwane powodzenie. Wieczorem w wielkiej pałacowej sali otworzyły się drzwi i wszedł, założywszy rękę za klapę, postukując serdecznym palcem po gwieździe Legii Honorowej, człowiek małego wzrostu, o żółtawej twarzy, błysnął w jego stronę szarymi, stalowymi oczami. Po koncercie człowiek ten, otoczony generałami, podpisując papiery i nie spojrzawszy na muzyka, zaproponował mu, by pojechał z nim do Paryża. Następnie – lata sławy i powodzenia w stolicy Francuzów. Teatr włoski, zawiść rodaków o miernych talentach, całkowite zwycięstwo

nad nimi. Potem – upadek Bonapartego. Restauracja Burbonów. Ucieczka Ludwika XVIII z Paryża. Nowe sto dni Bonapartego. Następnie król Karol X i długotrwały triumf księży, mnichów i szlachty, dążących do przywrócenia dawnej świetności.

Bardzo wtedy ciężko było Ferdynandowi Paerowi. Król Karol gardził wszystkim, co włoskie. Następnie – zaledwie pół roku temu – barykady, armatnie wystrzały oraz głośne i wyraźne żądania republiki, które współdźwięczały z dawnymi włoskimi hasłami wolnościowymi. Przewijały się znajome twarze i znajome nazwiska, nie wiadomo skąd zjawili się przyjaciele, przed którymi, jak przed dżumą, starał się w tych czasach ukryć signor Paer. A w ciągu tych lat – potworne, złośliwe pogłoski o Nicolo Paganinim, wszystko i wszystkich na drodze swej pokonującym muzyku.

Urobił sobie o nim pojęcie, jako o człowieku pyszałkowatym, wyjątkowo przykrym, który dla pieniędzy postawił życie na kartę. Skrzypek, który przegrał w karty skrzypce; nie może być uważany za artystę. Skrzypek, który wymienił wzniosłą sztukę na pieniądze, który sprzedał swój talent na giełdzie przypadkowego powodzenia, nie może liczyć na to, że stary Ferdynand Paer dobrze go przyjmie. I oto teraz człowiek ten, którego wszędzie poprzedzała nieodłączna plotka, siedzi przed nim już od wielu godzin i Paerowi wciąż mało rozmowy z nim. Ten czarny potwór o ziemistej twarzy zaskarbia go sobie swymi zadziwiającymi słowami i myślami, tak kolidującymi z wizerunkiem Paganiniego, który stworzyły gazety. Ostatnie słowa skrzypka dowodzą wielkości jego duszy i tak są niepodobne do tego wszystkiego, co słyszał signor Ferdynand od otaczających go artystów, że należałoby przedtem dobrze się zastanowić, zanim kategorycznie odradzi się Paganiniemu występować w Paryżu.

– A więc zaprzeczasz, jakobyś miał wrogów. Cóż chciałbyś robić?

– Chciałbym często się z panem widywać, maestro.

– No cóż! – powiedział signor Ferdynand. – Dziś pójdziemy razem do teatru. A teraz, czy nie zechciałbyś coś zagrać?

Paganini zaprzeczył ruchem głowy.

– Będę grał na koncercie.

Paer nachmurzył się. „Czy to nie zbytnia zarozumiałość?” – pomyślał, ale postanowił zbyć to milczeniem.

– Muszę zaaklimatyzować się w Paryżu – powiedział Paganini. – To miasto mnie zdumiewa, przytłacza olbrzymimi rozmiarami ulic i placów. Nie rozumiem, na co zdadzą się tak szerokie ulice i takie olbrzymie puste przestrzenie. Widziałem latarnie gazowe. To fantastyczne białe oświetlenie

świadczy o namiętnej potrzebie Francuzów nurzania się nocą w potokach światła. Gdy zaaklimatyzuję się w tym mieście, to może zechce mi pan pomóc w urządzaniu koncertów, może zechce pan poznać mnie z ludźmi, którzy będą w stanie zagwarantować mnie i Harrisowi wynajęcie lokalu i najbardziej celowy rozkład koncertów.

- A wybór programu?
- O tym sam zadecyduję.
- Jesteś zarozumiała.

Paganini nie zwrócił uwagi na te słowa.

– Co mówią w Paryżu o obecnym królu, maestro?

– Cóż mogą mówić o obecnym królu! Po pierwsze dokonał tego, że majątek Orleańskiej rodziny przekazał do Londynu na imię swych dzieci. Książę Burboński, jedyny Burbon pozostający w Paryżu – staruszek nie wychodzący już z domu – zapisał w testamencie majątek swój księciu d’Aumale, starszemu synowi Ludwika Filipa. Jakkolwiek jest to bardzo dziwne, starzec powiesił się we własnej sypialni bezpośrednio po spisaniu testamentu. Cóż mam ci powiedzieć poza tym? Ludwika Filipa posadzili na tronie paryscy bankierzy. W odpowiedzi na głosy żądające republiki Lafayette polecił go zbuntowanemu Paryżowi jako najlepszą z republik. Ja, oczywiście, mówię z tobą tak, jak nie mówiłbym z nikim innym. Weź pod uwagę, że po przykrych zająsciach w Bolonii, Modenie i Parmie stosunek do wszystkich Włochów jest w Paryżu nieufny. Twój Fontana Pino... lepiej byłoby, gdybyś się z nim wcale nie widywał! Oprócz tego – w tym miejscu Paer zniżył głos – wiedz, że jestem wiernym sługą króla. Zwracało się do mnie wiele ludzi. Włoscy uciekinierzy, którzy cieszyli się we Francji poparciem, obecnie skupili się w Lyonie i Marsylii. Chcieli wyjechać do Italii, lecz nie puszczono ich i oddano pod nadzór francuskiej policji.

Paer jeszcze bardziej zniżył głos.

– Wojska austriackie rozstrzelują obecnie mieszkańców Modeny, Parmy i Bolonii. Wojska austriackie wkroczyły do Rumunii i krążą pogłoski, że bratanek Napoleona Ludwik Bonaparte zamieszany jest we włoskie sprawy. Miej się na baczności w Paryżu, zwłaszcza z rodakami. Nie wiedząc sam w jaki sposób, możesz ściągnąć na siebie wiele nieszczęść.

W teatrze Paganini z zachwytem słuchał *Otella*. Desdemona całkowicie przykuła uwagę Paganiniego. Głos hiszpańskiej śpiewaczki, jej niezwykle temperament i wytworność pozwoliły Paganiniemu na kilka błogich godzin zapomnieć o przestrożach Paera.

Po przerwie, wróciwszy na swoje miejsce, Paganini i Paer stali się

przedmiotem żywego zainteresowania sąsiadów. Po drugim akcie podszedł do Paera młody, wysoki, smukły człowiek, z wąsami kawalerzysty, o postawie wojskowej. Był to skrzypek Bériot. Nie ukrywał, że podszedł do signora Ferdynanda tylko w tym celu, by ten przedstawił go panu Paganiniemu.

Prawdziwie francuski gest, swoboda i niewymuszona postawa światowca spodobały się Paganiniemu. Z kilku zdań Bériota zrozumiał, że Paryż, w odróżnieniu od ojczyzny Spohra, gdzie ludzie myślą dość ciężko, posiada zdolność bezinteresownej i należytej oceny artysty. Podzielił się tym spostrzeżeniem ze swym profesorem. Paer spojrzął na niego i nic nie powiedział. Nie miał jeszcze dostatecznych podstaw do tego, by tak lub inaczej wytłumaczyć gest Bériota. Francuska kurtuazja najlepszego skrzypka Paryża miała świadczyć o serdeczności gospodarza, który wita włoskiego gościa, lecz w równej mierze mogła być aluzją do tego, że muzycy paryscy bynajmniej nie są zaniepokojeni przyjazdem Paganiniego, gdyż są zbyt pewni siebie, żeby obawiać się jego przybycia. Te odcienie szybko uchwycił nauczyciel Paganiniego. I to, co skrzypek włoski przyjął za dobrą monetę, jego nauczycielowi wydało się bardzo poważną przestrogą.

13 lutego 1820 roku książe Berry – siostrzeniec króla Ludwika XVIII i jedyny następca francuskiego tronu – wyszedł z teatru. Stolarz Louvel podszedł do niego i poderżnął mu gardło zwykłym kuchennym nożem.

14 lutego 1831 roku resztki arystokracji paryskiej, ludzie przechowujący jak świętość białe lilie burbońskiego herbu, zebrali się w biały dzień w arystokratycznym kościele Saint-Germain-l'Auxerrois. Całe przedmieście Saint-Germain było pełne karet i powozów. Odprawiano uroczystą mszę żałobną za duszę księcia Berry. Był to protest dzielnicy Saint-Germain przeciw nowym porządkom, przeciw mieszczaństwu stojącemu u steru władzy i przeciw setkom tysięcy Louvelów ostrzących noże kuchenne na królów.

Po mszy żałobnej uwieńczyli kwiatami wizerunek księcia de Bordeaux. Wieść o tym jak iskra elektryczna przeleciała po ulicach Paryża. Po skończonej mszy zebrały się przy kościele tysiączne rzesze. Tłum zatarasował drogę i oto któryś z rozwścieczonych paryżan chwyta pierwszego lepszego księdza i rzuca do rzeki. Szybko umykają karety i lekkie powozy uwożące hrabiny, księżne i wicehrabiów. Lud wdziera się do kościoła, burzy ołtarz w Saint-Germain-l'Auxerrois, rozbija na kawałki figury świętych, kraje nożem obrazy i wyrzuca przez okno monstrancję. Tłum zdejmuje ze ścian kościoła krzyże. Dom kanonika i mieszkanie kongregacji jezuitów

spotyka taki sam los. Wszystko jest połamane, zdemolowane, szyby wybite, ramy okienne strzaskane, podłogi i sufity spalone.

Lud szalał cały dzień. Olbrzymie tłumy przeciągały obok otoczonego przez policję i wojsko Palais-Royal. Nie ruszano króla, szukano „księży i Burbonów”. Potem tłum skierował się w stronę pałacu arcybiskupa i podczas gdy jedni burzyli kościół przyległy do pałacu, inni rozbili oddział gwardii narodowej; wdarli się do pałacu, zerwali kamienne krzyże, zniszczyli meble i obrazy. Z ogromnej ilości krucyfiksów, znajdujących się w różnych pokojach, ułożono na posadzce stos i zapalono go. A w tym czasie obok pałacu arcybiskupa zaturkotała karetą, z której wyjrzała zdziwiona, demoniczna twarz w aureoli czarnych kędziorów. Ziemiste policzki, sinawe powieki, twarz w odcieniach koloru siarki i siarczaniu miedzi. Sine powieki uniosły się, jak skrzydła nocnego ptaka, ku czarnym brwiom, a w wielkich oczach zapłonęła złośliwa satysfakcja. Demon wjechał do Paryża. Demonem tym był Nicolo Paganini.

O tej godzinie, minawszy roгатkę, wjechał w ulicę d'Enfer i zamieszkał tam ze swym diabelskim famulusem, angielskim psem, George'em Harri-sem, będącym niewątpliwie wcieleniem diabła, który kupił duszę włoskiego skrzypka.

O wydarzeniach tego dnia pomocnikowi prefekta policji składał doniesienie niepozorny człowiek w długim czarnym surducie. Miało to miejsce w godzinach, gdy signorowie Paganini i Paer spokojnie słuchali opery *Otello*.

Policja nie spała całą noc. Prerażeni przedstawiciele duchowieństwa nie wiedzieli, gdzie szukać obrony. Dawna policja karlistowska utrzymywała ścisłą łączność z jezuitami, lecz zakon doskonale znał potęgę bankierów paryskich. Dokładnie znane mu były majątki wszystkich spadkobierców najbogatszych kupieckich domów Paryża. I wiedział też, że po pierwszym upojeniu zwycięstwem nastąpi wytrzeźwienie i Kościół przez swe najbardziej tajne organizacje znów stanie się niezbędnym pomocnikiem władzy, a z pomocnika przedzierzgnie się w prawdziwego kierownika francuskiej polityki.

Oschłym i monotonnym głosem agent tajnej policji zdawał sprawozdanie ze swych obserwacji podprefektowi Paryża. Podlegając podwójnej władzy, w chwilach wielkiego zmęczenia płątał on obserwacje wydziału intelektualnego i policji obyczajowej ze sprawozdaniami politycznymi oraz sprawoz-

daniami kryminalnymi zwykłej agentury policyjnej. Lecz wiedział, że pan podprefekt sam ubiega się o nagrodę zakonu Jezusa, i niezbyt dbał o rozgraniczenie tych danych, które winien był zakomunikować podprefektowi policji, od tych, jakimi interesował się koadiutor zakonu jezuitów.

– Co jeszcze poza tym? – zapytał prefekt.

– W kawiarni „Emblemat” młodzi ludzie prowadzili spory literackie. Młody człowiek mówił o prawach szarego człowieka.

– Więc cóż z tego? Po co przysłuchiwać się temu, co mówi jakiś tam gaduła?

– Wołał, że ludzie pozbawieni talentu winni się zjednoczyć.

Podprefekt ziewnął:

– Co obchodzą policję te zwariowane gołowasy, które cierpią na sekretne choroby i zbierają się w kawiarniach.

– Wykrzykiwał coś bardzo ciekawego.

– Kto wykrzykiwał? – zapytał podprefekt.

– Ano, Murger. Krzyczał: „Domagam się, by szary człowiek miał prawo pluć w twarz geniuszowi!”

– Doprawdy. To już jest interesujące! No i co dalej.

– Zaprosiłem go do współpracy.

– Po co?

– Będzie nam potrzebny.

– Czy to romantyk?

– To zero. Lecz człowiek, który krzyczy: „Domagam się, by szary człowiek miał prawo pluć w twarz geniuszowi! Niech żyje prawo lotra i masturbanta!” – może dla nas dużo zrobić. Dałem mu pieniądze.

– Jak powiedziałeś? Jak brzmi jego nazwisko?

– Zapisałem go i wziąłem od niego dokumenty. Nazywa się Murger.

– Ach tak! Agent cara rosyjskiego. Kto był jeszcze?

– Był Nodier.

– Literat? Cóż on mówił?

– Wygłosił mowę przeciwko latarniom gazowym.

Podprefekt ożywił się na dobre. Sen pierzchnął mu z powiek. Usadowił się wygodniej w fotelu.

– To ogromnie ciekawe. Obecna młodzież akademicka Sorbony i fakultetu medycznego to błoto, w którym lęgną się żmije i żaby. Tyle z nimi zawracania głowy: to pilnuj teatru, w którym tłuką się pałkami po pyskach, to wymalują sobie nawzajem fizjonomie pędzlami z pracowni pana Delac-

roix, to znów pokłóca się z dziwkami na bulwarze Włoskim i podrą im kiecki. Trzymaj ich pan pod obserwacją, trzymaj! Pan minister ma rację mówiąc: „Dziś są to romantycy, a jutro – rewolucjoniści”. Lecz za młodego Murgera ja ręczę. Niechże sobie służy i nam, i petersburskiemu niedźwiedziowi – pieniądze nie cuchną!

– Tak – rzekł agent. – Pan minister twierdzi: „Od socjalizmu Francję może uratować tylko katechizm”.

– Wydaje mi się, że stajesz się filozofem! – rzekł podprefekt. – Cenię waszą agenturę. Murger to rybka, z której można ugotować zupę! A cóż mówił Nodier?

– Nodier powtórzył swoje przemówienie o latarniach gazowych ustawionych na Nowy Rok w dzielnicy Vivien i na ulicy de la Paix. Nodier krzychał, że od trujących gazów umierają drzewa, a obrazy w kawiarniach czernieją od trującego niewidzialnego czadu, który wydziela się z tych przeklętych, oślepiających oczy lamp. Karety wpadają do dołów wykopanych na środku jezdni, gdyż latarnie gazowe oślepiają konie.

Podprefekt pogrzebał w teczce i wyjął duży niebieski zeszyt.

– To jest wariat – rzekł podprefekt – złożył rządowi memoriał, w którym domaga się, by zabroniono używania wodoru.

Przerzucił strony zeszytu. Agent wyraźnie ujrzał podpis: „Nodier”.

Autor *Sbogara* pisał, że pożary paryskie, cholera, bunty i dziesięć plag egipskich wynikają z wodoru leżącego trujące swe światło na ulice Paryża.

O czwartej nad ranem tenże agent otrzymał instrukcje od koadiutora zakonu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Odbicie dwóch zwierciadeł

A więc Paganini przyjechał do Paryża i od razu dostał się pod nadzór policji. Różnice między polityczną a kryminalną policją nie były jeszcze dokładnie ustalone, lecz już wyraźnie zarysowała się wzajemna ich wrogość. Coco Lacour, który w roku 1827 zastąpił paryskiego Vidocq'a, był jednak,

jak go przewano, starym kieszonkowym rycerzem. Pracując w ten sposób, że werbował do policji drobnych przestępców po to, by złapać wielkich, budził nienawiść w panu Gisquet, który chciał robotę polityczną policji oprzeć na nowych metodach. Lecz Gisquet doznał porażki, ponieważ w dziedzinie tajnego nadzoru policyjnego rząd Ludwika Filipa poszedł po starej, utorowanej już ścieżce, zakładając spelunki i organizując komórki prowokatorów wśród młodzieży.

Coco Lacour był spadkobiercą tego właśnie Vidocq'a, który w roku 1817, zgodnie z duchem rządów przywróconej na tron dynastii Burbonów, zaproponował prefektowi policji d'Anglesowi zorganizowanie na własne ryzyko brygady detektywów, z tym, by brygada ta działała wyłącznie pod kontrolą Vidocq'a. A ponieważ sam należał do bandy wielkich złodziei, pierwsze kroki Vidocq'a zostały uwieńczone wielkim powodzeniem. Vidocq, nasyciwszy się karierą wielkiego złodzieja, rozkoszował się karierą ulaskawionego galernika, wymierzającego sprawiedliwość dawnym swym towarzyszom. Cocco Lacour, podobnie jak on, zorganizował brygadę *mobile* i od tego rozpoczął swą pracę. Gisquet protestował, lecz musiał ulec. Ponadto, jako prefekt policji, Gisquet zorganizował w ministerstwie spraw wewnętrznych laboratorium, w którym preparował niebezpieczne trucizny polityczne. Wyszli stąd pseudopolityczni działacze, organizatorzy tajnych stowarzyszeń i zjednoczeń o najcudacznieszych nazwach i najsakrajniejszych programach. To zapewniało zarobek policji. Kosztowało to tanio i zapoczątkowało epokę sukcesów wywiadu politycznego.

Istniało również i drugie zwierciadło, odbijające w sobie tajny Paryż i tajną Francję. Zwierciadło to dawało czystsze i wyraźniejsze odbicia. Starzy doświadczeni weneccy zwierciadlnicy szlifowali to wspaniałe szkło i powlekali je amalgamatem.

W roku 1829 Roothaan został generałem zakonu. Ten surowy, chłodny, bardzo zrównoważony Holender z błyskawiczną szybkością umiał wtrącać się do polityki i zadawać tak nieoczekiwane ciosy, że wprawiał w zdumienie najmądrzejszych dyplomatów Europy.

Jezuici w świeckich ubraniach pracowali w urzędach pocztowych. Nazwiska ich można było spotkać nawet w spisach czarnego gabinetu.

W roku 1829, gdy Karol X obrał drogę otwartej reakcji, minister Villèle ogłosił tak zwaną *Czarną księgę*. Rząd Ludwika Filipa zakomunikował o likwidacji czarnego gabinetu i oświadczył, że *Czarna księga* opublikowana przez Villèle'a, była zwykłą kaczką. Rewolucja lipcowa miała rzekomo zlikwidować czarny gabinet, lecz faktycznie przeniesiono go tylko do

innego gmachu. Również i tam znajdowały się duplikaty pieczęci, duplikaty blankietów, lak w różnych kolorach i koperty wszystkich ministerstw, pieczęcie herbowe szlachty francuskiej i dewizy banków francuskich. Manipulacje były przeprowadzane tak świetnie, że list przychodził do adresata w kopercie zupełnie nienaruszonej.

W roku 1831 w sądzie paryskim toczyła się sprawa markizy Lavallière, która wyszła za mąż za poważnego profesora Sorbony. Dowiedziała się ona, że profesor jest jednym z szefów czarnego gabinetu, i zażądała rozwodu. Mimo że sprawa została rozstrzygnięta na jej korzyść, ani arcybiskup paryski, ani też konsystorz rzymski nie zatwierdzili rozwodu. Legalne istnienie zakonu jezuitów zostało wykorzystane tylko dla zorganizowania szkół i dla zarządzania majątkiem zakonu, lecz siła realna jezuitów, bogactwo i tajne sprężyny tego wielkiego, wszędzie przenikającego mechanizmu nie tylko nie były znane szerszej publiczności, lecz również nie były dostępne dla członków zakonu niższego stopnia.

Kiedy karbonaryzm włoski wyruszył do walki z zakonem, musiał przejąć od jezuitów ich żelazną dyscyplinę, by osiągnąć chociaż jakie takie powodzenie w walce z tym tajnym i strasznym wrogiem. Jezuityzm był rakiem na organizmie Europy. Wszędzie rozpościwał on swoje najcięższe macki i rozgałęzienia, które posiadały zdolność pęcznienia i rozrastania się w zupełnie samodzielne organizacje w tych wypadkach, gdy działalność Rzymu była paraliżowana. Drugie to zwierciadło, odbijające w sobie tajne życie Paryża, odbijało również i działalność tajnej policji Ludwika Filipa, lecz ono samo mimo usiłowań władzy cywilnej pozostawało poza sferą obserwacji rządu.

Paganini znajdował się w Paryżu pod specjalną obserwacją. Jednego dnia na ulicy d'Enfer zjawił się kurier ministerialny. Wiedzieli o tym podprefekt i pan Gisquet. Innego dnia przyszli lekarze, muzycy, literaci, malarze i poeci. Oto karetą pana Laffitte'a, byłego ministra, właściciela wszystkich dyliżansów Francji i największego banku europejskiego. Po co przyjechał do skrzypka? O, rozmowa była najbliższa: pan Laffitte pragnął posłuchać gry skrzypka w swym pałacu. Przejeżdżał obok, chciał zabrać na przejażdżkę cudne dziecko, synka signora Nicola, w otwartym śwym powozie do Passy lub Lasku Bulońskiego: wspaniałe powietrze wiosenne bardzo dobrze wpłynie na dziecko.

Kopyta pary pięknych arabczyków z egretami i uprzężą ze skóry rosyjskiej głośno zatętniły po drewnianym bruku. Signor Paganini, mały Achillino i pan Laffitte siedzieli w landzie. Laffitte otwarcie oświadczył, że

porzucił ministerstwo dlatego, iż czuje wstręt do polityki zagranicznej nowego rządu. Aczkolwiek bardzo szanuje króla, musi jednakże przyznać, że król Ludwik Filip znajduje się w rękach jakichś ciemnych osobników.

– A ja jestem zwolennikiem barykad – rzekł z powagą Laffitte. – Byłem rzecznikiem interwencji w sprawy pańskiej wspaniałej ojczyzny. Dawno już czas uwolnić Italię od barbarzyńców.

Spacer skończył się. Paganini nie chciał odwiedzić pana Laffitte'a. Sekretarz pana Laffitte'a, ściskając rękę Harrisowi, rzekł przypochlebnie, że wszystkie dochody, wszystkie kapitały signora Paganiniego, całe lawiny złota paryskiego, które popłyną do skrzyпка, signor może skierować do banku Laffitte'a, ponieważ tylko ten bank zapewnia najkorzystniejszy procent.

Wieczorem, gdy Harris rozmawiał z signorem Paganinim na ten temat, ten sam agent, który informował podprefekta, stał w innym miejscu, przy innym stole. Na ulicy szyl: „Rejent Braccolini”. Mały, duszny pokój z biurkiem, cały w tytoniowym dymie. Są tutaj tylko dwaj interesanci i kancelista, który rozmawia jednocześnie z obydwojma. Lecz w głębi korytarza za trzema pokojami ukryta jest izba, bardzo skromnie urządzone: stół, wąskie łóżko, miska, dzbanek z wodą i wielki krucyfik nad łóżkiem. Tu starzec o przenikliwym spojrzeniu, siedząc na jedynym krześle, słucha informacji agenta o przyjeździe Paganiniego w owym straszliwym dniu burzenia świątyn paryskich i pałacu arcybiskupa. Obok siwego starca stoi Novi z wyrazem złości i rozczarowania na twarzy. Przyjście agenta przerwało długi spór.

Starzec nie ma nic do zarzucenia Paganiniemu. Opowiadanie agenta nie robi na nim żadnego wrażenia. Ale szuka bodaj że najmniejszego potwierdzenia tego, o czym z takim niepokojem mówi Novi.

W jakim celu Novi przyjechał do Paryża? Nie wolno pytać, jakie pełnomocnictwa ma Novi, leżą one przed oczami: jest to zaświadczenie pisemne, że polecono mu, by powiększył dochody zakonu uzyskując testamenty osób, których spis Novi zna na pamięć. Starzec świetnie orientuje się we wszystkich sprawach dotyczących przyjazdu Paganiniego. Interesuje go co innego: kiedy Novi zdążył zobaczyć się z tym agentem. Patrzy więc przenikliwie na Noviego, gdyż boi się popełnić błąd.

Agent donosi o nowej działalności tak zwanej czarnej brygady. Nie wiadomo, kto dał możliwość kupowania starych dworów, zamków i porzuconych szlacheckich pałacyków w Paryżu francuskim handlarzom towarami

żelaznymi, antykwariuszom, tapeciarzom i tapicerom, którzy z niesłychaną szybkością zabrali się do rujnowania zabudowań. Należy zbadać, kto stoi na czele i kto finansuje tę akcję.

– Co można by zrobić dla ciebie? – pyta starzec zwracając się do Noviego. – Oto mam przed sobą oznaczone na mapie wszystkie podróże twego skrzypka. Mówisz, że wszystkie one mają związek z robotą karbonariuszy, uparcie twierdzisz, że Fontana Pino to karbonariusz. Lecz w jaki sposób Paganini wykorzystał tę znajomość? Sądząc przynajmniej z kopii listów, badał on po prostu grunt w Paryżu – poza tym nic. W każdym razie mam nadzieję, że Paryż przyniesie mu dużo złota. Majątek jego powiększy się, a my mamy sporo lat przed sobą, by skierować to złoto do skarbcza zakonu. Mamy zawsze możliwość działania metodą zastraszenia, nie zadając ostatecznego ciosu. Możemy zmusić człowieka, by żył o chlebie cierpienia i o wodzie strachu. Paryscy lekarze są do naszej dyspozycji. Georges Benoit Feaudère, najlepszy lekarz sądowy Paryża, zawsze spełni to, co mu rozkażemy. Doktorzy Rostand, Cruveilhier i Lasegue – to wielcy lekarze dusz...

– Tak – przerywa Novi. – Lecz dopóki Urbani jest przy tym przeklętym Paganinim, praca nasza skazana jest na niepowodzenie.

Oczy starca nagle pociemniały i stały się nieprzeniknione. Machnął ręką nie dając odpowiedzi.

– Ludźmi łatwiej jest rządzić za pomocą występku i namiętności aniżeli za pomocą cnót – mówi starzec. – Zaszczepiając społeczeństwu małe wady, możemy wyleczyć je z wielkich. Jakiej namiętności ulega twój skrzypek?

– To jest demon, którego pożerają wszelkie namiętności i wszelkie występki.

Starzec pokiwał głową.

– Mówisz jak młodzieniec, a wypadaloby, byś mówił jak dojrzały mężczyzna. Jesteś doświadczonym synem Kościoła. Co powinniśmy zrobić, by wpłynąć na Paganiniego? Gdyby to był oficer armii królewskiej, to moglibyśmy rozpowszechnić wiadomości, które by splamiły jego honor wojskowy. Gdyby to był kapłan, moglibyśmy oskarżyć go o herezję. Lecz ponieważ mamy do czynienia po prostu ze skrzypkiem, artystą, cóż możemy przedsięwziąć przeciwko takiemu człowiekowi?

– O! – zawołał Novi. – Co możemy zrobić? Możemy śmiertelnie obrazić go w prasie. Możemy utrudnić mu występy, możemy pognać jego ducha do takiego stopnia, że smyczek będzie wypadać mu z ręki. Możemy zapłacić

niewielką sumę paryskim gazetom i pismom, by głośno krzyczały na cały Paryż, że źródła twórczości Paganiniego wyczerpały się. Można pisać artykuły, które umyślnie będą go obrażać brutalną ignorancją. Możemy polecić redakcji, by wydała specjalny numer pisma, do którego dumnie i zakute łby napiszą biografię Paganiniego, w którym umieszczą jego niedorzeczne portrety, rysunki ciemnic, w których był więziony, i portrety jego kochanek. Tym sprawimy, że zaleje go żółć. Prędzej wybacza się recenzentowi jego głupotę aniżeli mistrzowi przewagę jego geniuszu. Niechże ojciec wielebny zrozumie, że tylko w ten sposób możemy położyć kres jego robocie w Paryżu.

Starzec wstał.

– Znów, synu mój, skręcasz na poprzednią drogę – powiedział. – Mocą upoważnienia danego mi przez zakon rozkazuję ci, byś odrzucił wszelką myśl wyrządzenia krzywdy Paganiniemu. Nie zamierzamy przerywać jego działalności w Paryżu i nie będziemy też z Paganiniego robić osoby, która specjalnie interesowałaby zakon. Otrzymałeś wyraźny rozkaz, by wykorzystać wszelkie możliwe, a przyjęte przez Kościół sposoby celem nawrócenia Paganiniego oraz celem obrócenia jego wielkiego bogactwa w bogactwo zakonu. Idź z Bogiem!

Po przedstawieniu *Otella* Paganini przez cały następny dzień rozważał słowa swego nauczyciela. Malibran ołśniła go. Opera wzruszyła go do głębi będąc świadectwem wysokiego poziomu kultury muzycznej Paryża.

W teatrze widział Rossiniego, który z daleka mu się uklonił, lecz nie podszedł, ponieważ Paganini siedział obok Paera.

Paganini przerzucił stronicę małego notesu. Były tam notatki: odnalazł adres Lafonta, posłać zaproszenie signorze Damoreau. Następnie zapisane były szczegóły podane przez Paera. Laura Cyntia Damoreau, żona Montalanta, lat trzydzieści, śpiewa pod nazwiskiem Cinti. Zapytać Rossiniego. Auber napisał dla niej operę *Czarne domino*.

W chwili gdy Paganini zabrał się do pisania listu do signory Cinti z propozycją wspólnych koncertów, zastukano do drzwi. Wszedł Urbani z posłańcem paryskiego konserwatorium. Liść od Paera. „Dziś wieczorem jego królewska mość pragnie posłuchać ciebie w Palais Royal. Od tego rozpoczniemy zdobywanie Paryża. Jestem ciebie pewien”.

„Drogi signor Ferdynand – pomyślał Paganini – nie darmo uważałem cię nie tylko za nauczyciela, ale i za wspaniałego człowieka”. Jednak zaprasza-

no go do pałacu królewskiego. Jakże on tam może wejść, gdy Italia znów walczy o wolność. Decyzję powziął błyskawicznie. Kilka wierszy splezających z linii powiadomiło signora Ferdynanda Paera, że nagle niedyspozycja nie pozwala Paganiniemu przyjąć zaproszenia króla.

Gazety, które uprzednio pełne były wykrzykników stawianych obok nazwiska Paganiniego, naraz stały się bardziej powściągliwe. Po upływie jednego dnia ukazały się w nich zjadliwe wzmianki o niezwykłej zarozumiałości Włocha.

Paer przechadzał się po pokoju i mówił:

- Nie rękę za twoje powodzenie. Uważałeś za stosowne zaraz po przyjeździe do Paryża obrazić króla. To pierwsze, coś uczynił.

Na twarzy starego skrzypka, która zachowała jeszcze dawną piękność, pojawiły się drobne, starcze zmarszczki. Oczy jego wydawały się szklane, gdy wymawiał te gorzkie zdania.

Czy mógł Paganini zdradzić nauczycielowi wszystkie swe myśli? Lecz Paer jak gdyby odgadł je.

- Możesz dlatego nie poszedł, że Ludwik Filip odmówił pomocy naszej ojczyźnie? - zapytał szeptem, jakoś dziecinnie pochyliwszy się do ucha Paganiniego. I jak gdyby odpowiadając samemu sobie, wyprostował się i dodał: - No tak, ale czytałem sprawozdanie z tych rozjazdów po Bawarii. Grałeś przecież u królowej bawarskiej na zamku Tegernsee.

Paganini milczał.

- Mówię ci zupełnie szczerze, że byłem chory - odezwał się wreszcie.

„Ludwik Filip - pomyślał Paganini - to przecież powtórzenie zdrady carignańskiego psa”. Czuł się bardziej niż kiedykolwiek Włochem.

- Ale posłuchaj - kontynuował Paer - mówiłem z Habeneckiem, to nasz dyrygent. Warto, byś dzisiaj jeszcze obejrzał paryskie sale i wypróbował, gdzie skrzypce brzmią najlepiej.

Sześć dni zeszło na poszukiwaniach. Lecz nie o to chodziło, czy sale są dobre, czy złe.

Za każdym razem, gdy Paganini, zmęczony, wysiadał z powozu i wchodził do pokoju swego nauczyciela, odbywała się rozmowa mniej więcej takiej treści.

Paer podnosząc oczy pytał:

- No i jak tam?

- Nie znalazłem. Objechaliśmy z Harrisem cały Paryż. W jednej sali urządzają bal studenci medycyny i kokoty, tańce mają trwać trzy doby,

przygrywać im będzie czternaście orkiestr, w drugiej koncertuje światowej sławy pianista Plasco.

– Jaki Plasco? – Paer rozłożył ręce. – Nie znam takiego.

– W trzeciej sali mag indyjski będzie pokazywał sztukę wskrzeszania martwego psa; w czwartej ma się odbyć posiedzenie towarzystwa „Przywracania straconej młodości”; w piątej – saintsimoniści urządzają zebranie z wykładem jakiegoś Entantina; w szóstej – daje swój koncert nieporównany, genialny, znakomity skrzypek Afrodito, który skądś przyjechał, aby zadziwić wszystkich paryżan.

Paer znów wali pięścią w stół:

– Cóż to za brednie? Skąd się wziął ten Afrodito?

Paganini ciągnie dalej:

– Vignole ma wykład, na którym głosi, że jest światowym geniuszem dramaturgii. Sable czyta swoją nową powieść z życia Vidocq'a.

– Diabli wiedzą, co to wszystko znaczy! – krzyczy Paer.

– Duclos ma wykład, w którym dowodzi głupoty i braku talentu Szekspira.

– No, z tym to można byłoby się jeszcze zgodzić – mówi Paer. – Duclos, którego nikt nie zna, jest oczywiście bardziej utalentowany od Szekspira. Lecz kiedy się to wszystko skończy? Czyż wynajął jakiś lokal?

Paganini stoi z rękoma założonymi do tyłu.

– Drogi profesorze, nie powiedział mi pan o tym, że w Paryżu roi się od muzycznych geniuszów, utaił pan przede mną, jak wielu zjechało się tu genialnych skrzypków!

Nastąpił dzień 7 marca. Kurier, którego Paer posłał z wiadomością, że pan Veron, mianowany dyrygentem Wielkiej Opery, oddaje teatr do dyspozycji Paganiniemu na dzień 9 marca, stukał do drzwi bardzo długo. Nikt się nie odzywał. Była już druga po południu. Schodząc ze schodów kurier spotkał chłopczyka i siwego mężczyznę ze spiczastą bródką. Za nimi szedł wysoki czarnowłosy Włoch i starsza pani. Zauważywszy, że kurier odchodzi od drzwi Paganiniego, zatrzymali go.

– Jak to, nie mógł się pan dostukać?

Harris, Urbani i starsza pani spojrzeli po sobie.

– Czy państwo idą do signora Paganiniego? – zapytał kurier.

Harris sięgnął do kieszeni po klucze, szybko otworzył drzwi i wszedł.

– Czyżby już wyjechał? Rano leżał w łóżku i prosił, by go nie budzono.

Gdy uchylono drzwi pokoju signora, ujrzano go leżącego przy biurku.

Głowa niezgrabnie opierała się o ścianę, szyja zgięta była omalże pod kątem prostym w stosunku do tułowia. Skrzypce leżały obok.

Achillino z krzykiem rzucił się do pokoju. Fräulein Weisshaupt klasnęła w dłonie, Urbani zacisnął zęby.

– Doktora, natychmiast doktora! – zawołał Harris.

Urbani pędem zbiegł ze schodów.

Kurier położył list i rzekł ze współczuciem:

– Natychmiast zawiadomię o tym pana Paera i razem przywieziemy lekarza.

Jeden po drugim przybywali lekarze, ale żaden nie konstatował śmierci. Stan był dziwny, niepodobny ani do letargu, ani do sztucznie spowodowanego snu, lecz nie była to śmierć. W pokoju czuło się jakiś ohydny słodkawy zapach, który przyprawiał o zawrót głowy, i pierwszą rzeczą, jaką uczynił Urbani – było otwarcie okna.

Nacieranie, lód, rozgrzewanie – nic nie pomagało. – Rozchyliwszy nożem zęby chorego, młody lekarz Jean Cruveilhier wlał mu do ust kilka kropel jakiegoś płynu. Minęły trzy minuty. Paganini otworzył oczy. Cruveilhier zawołał na stronę Urbaniego i długo o coś go pytał. Gdy Paganini przemówił słabym głosem i zaraz na wstępie poprosił o jedzenie, doktor szybko podszedł do niego, zbadał puls i rzekł:

– No, teraz jest pan poza wszelkim niebezpieczeństwem, odjeżdżam.

Harris delikatnie zapytał lekarza, jakie honorarium pragnąłby otrzymać. Cruveilhier uczynił przeczący ruch głową i rzekł:

– Za honorarium dziękuję. Proszę jedynie o to, by panowie do czasu zbadania przeze mnie tego dziwnego wypadku nie podawali go do publicznej wiadomości. Oprócz tego byłbym ogromnie wdzięczny, gdybym otrzymał na pamiątkę poduszeczkę od skrzypiec signora. Szczęśliwy jestem, że udało mi się uratować tę chlubę sztuki muzycznej.

Żądanie było banalne i nikomu nie wydawało się dziwne. Harris wzruszył ramionami. Skrzypek chętnie uczynił zadość prośbie lekarza-dziwaka.

Paganini nie mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo. Nic nie potrafił opowiedzieć. Mówił tylko, że pogrążał się w sen słysząc dookoła siebie jakieś dziwne dźwięki dzwonu. Słyszał własne *requiem* i składał sobie samemu kondolencje z powodu przedwczesnej swej śmierci.

To ironiczne zdanie świadczyło o tym, że wszelkie niebezpieczeństwo istotnie minęło.

Późną nocą doktor Cruveilhier siedział u starego jezuity. Trzymał w rękach poduszeczkę z czarnego aksamitu i mówił:

– Tylko ja jeden w całym Paryżu mogę powiedzieć, o co tu chodzi. Włamanie nie udało się z powodu zwykłego przypadku. Wszyscy wrócili akurat o tej godzinie, gdy agenci mieli otworzyć drzwi dobranym kluczem.

– Co?! – przerwał mu starzec.

– Zaraz powiem – odrzekł doktor Cruveilhier. – Wiem na pewno, że Paganiniego chciano obrabować i że kradzież tę inspirowały policyjne władze Paryża.

– W jakim celu?

– Cel nie jest mi znany. Wiem tylko, że dwa miesiące temu lekarz Souberain po raz pierwszy w więzieniu policyjnym przeprowadził doświadczenie z tą substancją, która bez bólu i bez specjalnej szkody dla organizmu usypia człowieka aż do zupełnej utraty pamięci, świadomości i wrażliwości. Środek ten, wynaleziony przez doktora Souberaina, nazywa się chloroformem. Byłem obecny przy olśniewających doświadczeniach mego kolegi. Trzyma się je na razie w tajemnicy. Wynalazek ten ma ogromną przyszłość, gdyż ogromnie ułatwia zadania chirurgii. Oprócz policji i mnie nikt nie wie, że doktor Souberain posiada sekret wyrobienia tego usypiającego środka. Chloroform, którym zwilżono poduszczkę, skradziony został przez policjanta.

– Ale udało się panu skrzypka uratować?

– Tak jest.

Doktor z dumą skinął głową.

– Drogi, którymi kroczy policja, są bardzo dziwne – powiedział stary jezuita. – W każdym razie wątpliwe jest, by szło tu o pieniądze. Czy signorowi Paganiniemu coś zginęło?

– Tak, signor Harris był u mnie dzisiaj i powiedział, że skradziono sto dwadzieścia tysięcy franków.

– W takim razie nas to nie dotyczy. Zrobiła to policja i policja znajdzie winnych. Dyscyplina zakonu zabrania panu mówić o tym komukolwiek. Jeszcze jedno pytanie: mówi pan, że drzwi były zamknięte, gdy signor zemdlął. Czy są takie godziny, gdy w mieszkaniu signora Paganiniego nikogo nie ma?

– Sekretarz jego mówi, że to się nie zdarza – odrzekł doktor.

– Aha! Proszę pana o absolutne milczenie.

9 marca w olbrzymiej sali Wielkiej Opery odbył się koncert Paganiniego. „Był to niezapomniany wieczór” – pisali Francuzi. Najlepsza sala stolicy

świata była przepefniona. Koncertu oczekiwano z niecierpliwością, w ciągu ostatnich dni o nim tylko mówiono. Tego zadziwiającego roku Paryż zwabiał wszystkich, których okrywała sława – począwszy od sławy zdobytej na polach bitew, a kończąc na sławie budowniczych pałaców; począwszy od poetów i muzyków całego świata, a kończąc na wodzach kohorty bohaterów, na uchodźcach z podziemia karbonarskiego i uczestnikach tytanicznych wypraw armii jakobińskich.

I Paganini, komponując nowy utwór, który chciał poświęcić temu miastu, wiedział, że musi włożyć w jego dźwięki całą moc swego geniuszu, całą potęgę swego ducha. Winien olśnić salę blaskiem swego mistrzostwa. Powinien dać temu miastu więcej aniżeli jakimkolwiek innemu. Powinien sprawić, by serce świata na kilka chwil zamarło.

Lecz oto teraz zapomniał o wszystkim. Krzywy, zgięty, podobny do mały gipsowej, odkopanej wśród ruin Pompei, rozrzuca po sali tysiące dzwoneczków srebrnych, złotych, z brązu i ze stali. Po sali jakby wiatr przeszedł. Dla jednych był to wiatr w dzwonach starej katedry, wicher, który wpadł w spirale starej dzwonnicy, wiatr jakiegoś nowego powstania, który dostał się pod strop kościoła i zbudził drzemiące tam ptaki. Ptaki ocknęły się, zatrzepotały skrzydłami; zaspane, czepiając się brzegów dzwoneczków i dzwonów, zawadzają o nie ogonami, pazurkami i piórami. Natykając się w ciemności dziobami na ornamenty budzą śpiące w spokoju dzwony. Budzi się dzwonnica. Na trwogę tę odzywa się wielowiekowy śpiew brązu i w odpowiedzi rozlegają się dźwięki alarmu. A innym wydaje się, że słyszą wybuch beczek z prochem pod murami pałaców. Drżą barykady frondy. Lecz inni znów widzą tylko lekkoskrzydłe motyle, lecące na migający płomień świecy.

Oto skrzypce rozszczepiają się na dwoje, oto słychać dwa instrumenty, a każdy rozpryskuje się na dziesięć małych skrzypiec. Oto jest ich już dwadzieścia, już sto, oto śpiewa tysiąc skrzypiec. No tak, oczywiście, są to po prostu chińskie bożki porcelanowe i amory ze strzałami i porcelanowymi skrzydełkami, spadające z brzękiem na podłogę. Pasterze i pastuszki, strojni w jedwab, w białych pudrowanych perukach tańcząc menuety Rameau i Lully'ego potracają nieostrożnie te porcelanowe cacka, które spadają z półeczek. Taniec przerywa okrzyk przerażenia. Spoza jedwabnych portier wylażą czarne krety z milionami swych dzieci. Rozdzierają jedwabne zasłony. Napadowi temu towarzyszy dziki skowyt i łkania, rozlega się trzask, pękają szyby, padają latarnie uliczne, rozwierają się mury zamku i zimny wiatr zmiata go z oblicza ziemi. Potężna, zwycięska

kantylena, pieśń wojenna zbuntowanego ludu, tak dobrze znana temu ludowi, przebija się nagle skroś modulacje skrzypiec. Potem następuje smutne *adagio*. Wielu ludziom muzyka ta przypomina Byrona, wielu przywodzi ona na pamięć strofy niedawno zmarłego poety:

Jak często widział zorzy wschód promiennej
Wśród pinii smukłych, prostych i kosmatych,
Pośród okolic uroczej Rawenny,
Gdzie ongi szumiał falami Adriatyk
I skąd ostatnich cesarów opora
Grozila światu jak wieczysta zhora,
Las, przez Drydena i przez Bokacjusza
Śpiewany, jakże mnie do głębi wzrusza...
Tu gaje w błogie grają się uśpienie
I tylko cykad głosy uchem łowię,
Rzy koń mój wierny i płosząc milczenie,
Sączą się dźwięki dzwonów skroś listowie.
Szczęśliwe mojej wyobraźni stwory
Lecą tu do mnie wśród wieczornej pory:
Myśliwy – widmo i ptaki widmowe,
I zwiewne wieszczki mknące przez dąbrowę.

Po cichej kantylenie wpada nagle nowa burza dźwięków.

Na sali był Franciszek Liszt. Sam potem mówił, że ów dzień, kiedy usłyszał grę Paganiniego, zmienił całe jego życie. Wyszedł z teatru bardziej dojrzały, męźniejszy. Nazajutrz sam miał wystąpić. Lecz okazało się, że jeszcze wczoraj nie rozumiał ani życia, ani sztuki. Dziś był to już nowy człowiek. Żyć w nędzy, w opuszczeniu, a jeśli trzeba – być zupełnie niezrozumianym, ale żyć tylko dla sztuki, nie pozwalając sobie na żadne występy, zanim doskonałość techniczna nie zapewni pełni wcielenia dojrzałych pomysłów! Niech sobie inni wynoszą na targowisko estrady i na rynek teatru swoją tanią zdobycz, niech sobie inni kupują za te koncerty marne względy i komfortowe życie – Liszt jednak nie wystąpi dopóty, dopóki fortepian nie będzie mu tak posłuszny, jak skrzypce temu szalonemu skrzypkowi, który poświęcił swe życie i spala nerwy i serce.

Dla Liszta był to ogień, w którym spalił całą swą przeszłość muzyczną.

Obok niego siedział człowiek z innej gliny. Był to trzeźwy, analityczny Ludwik Börne. Dusił się podczas antraktu i nie mógł mówić. Miał skórzaną oprawę notatnika i kurczowo trzymając ołówek w ręce, notował:

„Są to diabelskie czary. Nigdy dotąd nie widziałem ani nie doświadcza-

łem nic podobnego. Słuchacze jego są opętani jakimś obłędem. Inaczej trudno sobie to wszystko wytłumaczyć. Kiedy on gra, zapiera dech, a bicie serca odwraca uwagę człowieka. Własne serce drażni i staje się nieznośne. Własne życie się kończy, gdy zaczynają rozbrzmiewać te dźwięki”.

Wieczorem wróciwszy do domu Börne notował dalej:

„Jeszcze przed koncertem, zaledwie Paganini ukazał się na scenie, powitano go burzą oklasków. I trzeba było widzieć, jak pełne zażenowania były ruchy tego nieubłaganego wroga wszelkiej sztuki tanecznej. Paganini chwiał się jak pijany, potykał się, niezgrabnie zawadzał jedną nogą o drugą. Ręce to wznosił ku niebu, to znów opuszczał do ziemi, po czym prostował się i błagał ziemię i niebo, jak gdyby prosząc je o pomoc w ciężkiej chwili. Potem zamierał z rozpostartymi rękoma, jak gdyby ukrzyżowawszy siebie samego”.

Gdy czarodziej ten leżał w łóżku, zupełnie złamany, niezdolny wykrztusić ani jednego słowa, a mały Achillino cichutko głaskał jego rękę, odgłosy jego sławy rozbrzmiewały na całym świecie. Cały świat usłyszał o postanowieniu Akademii Królewskiej, która obrała Paganiniego na swego członka. Paganini zdobył Paryż.

„Człowiek ten za życia stał się legendą – pisał «Przegląd Paryski». – Ze wszystkich stron rozlegają się głosy zachwytu. Doprowadzają one do rozpaczki tych, którym Paganini odebrał miejsce, jakie zajmowali, i ludziom tym pozostał jedynie mechaniczny sposób usunięcia wielkiego skrzypka ze świata. Lecz i to nie wróci im sławy, ponieważ ludzkość poznała bezkres osiągnąć geniusza włoskiego.

Paganini to nie tylko skrzypek, który opanował wszystkie arkana instrumentu, to wielki artysta w pełnym znaczeniu tego słowa, wielki artysta, dla którego skrzypce są przede wszystkim środkiem do wyrażania własnego geniuszu. Jest to twórca i wynalazca, jest to odkrywca nowych, nieznanych światów. Czuje się olbrzymią pracą, włożoną przez wolę ludzką w przeciężenie trudności opanowania skrzypiec.

Paganini jest w świecie sztuki zjawiskiem jedynym, które ma szczególne, jemu tylko przeznaczone zadania, i niech rywale jego pocieszą się starym powiedzeniem, że nie każdemu jest sądzone urodzić się z pięknnością Apollina. Analiza techniki Paganiniego świadczy o wspaniale rozwiniętych palcach, kiści i przegubach rąk. Są to ręce lecące jak błyskawice po instrumencie, który trzyma się sam, jakby zawisł w powietrzu albo jak gdyby był dalszym ciągiem wielkiego serca. Instrument ten przemawia

żywym ludzkim językiem, tak jak gdyby szczególnie ten język był dla wszystkich zrozumiały, lecz mówić nim może jedynie wielki artysta.

Wszystko, co widziała i słyszała Wielka Opera paryska na koncertach Paganiniego, przerasta wyobraźnię ludzką i najlepszym porównaniem dla smyczka i skrzypiec Paganiniego będzie porównanie do różdżki czarodziej-skiej, która poddaje cały świat woli człowieka.

Żałujemy wszystkich, którzy nie słyszeli tego koncertu. Czy tak często spotyka się w życiu geniuszów, że nie należy biec na ich spotkanie, by choć na jedną chwilę być świadkiem ich pojawienia się. Czy życie nasze jest tak bogate, że można odmówić sobie patrzenia w owe przebliski rozświetlające przyszłość i w owe znaki wieczności, które jak ptak, co przyleciał z niezna-nych krajów, dają nam nagle odczuć i zrozumieć, jak dziwny i nieznan świat rzeczy przyszłych żyje w naszej teraźniejszości!

Paganini jest niezwykle prosty, jest tak prosty jak wszyscy wielcy lu-dzie”.

Paryż został pokonany. Od owego dnia koncerty Paganiniego były triumfalnym pochodem.

Fétis pisał:

„Skrzypce w rękach Paganiniego – to żywa istota, a sam skrzypek – to organizm specjalnie stworzony dla cudów niepowtarzalnej i jedynej gry, organizm zrosnięty ze skrzypcami. Wzlot natchnionej fantazji kojarzy się u Paganiniego z najsubtelniejszą wiedzą muzyczną i z opanowaniem wszystkich tajemnic technicznych instrumentu. Charakterystyczną właści-wością Paganiniego jest nieugięta wola, tylko ona może zmusić człowieka, by poświęcił swe życie dla wielkiego celu, by pokonał potworne, nieludzkie przeszkody. Jest to niespotykany w naszym stuleciu przykład, gdy oblicze-nia mechaniczne kojarzą się z genialnym natchnieniem, a spalanie się na ołtarzu wielkiej sztuki idzie w parze z sukcesami, które opłacają to unicestwianie własnej fizycznej osobowości tym, że osiąga się przez nie wielki, godny podziwu cel”.

Po trzecim koncercie Paganiniego Castil-Blaze orzekł: „Paganini jest uczonym. Kompozycje jego są tak samo ważne jak odkrycie nowych światów i lądów. Są one płodem myśli muzycznej i wiedzy, która wydaje się nadludzką”.

27 marca Paganini dawał koncert pożegnalny. Na koncercie tym na prośbę Paganiniego śpiewała Cyntia Damoreau. Bériot cały dzień spędził z Paganinim, jak uczeń z nauczycielem. Paryż muzyczny w osobach Cyntii

Damoreau, Malibran, Bériota i Pasty otaczał swego wielkiego gościa troskliwą opieką.

Lecz nie znikło również inne tajemnicze otoczenie signora Nicola Paganiniego.

Sumy honorariów paryskich liczone na dziesiątki tysięcy. Harris zrobił wszystko, by pieniądze te nie zostały rozkradzione. Mimo że signor Paganini odczuł kradzież bardzo dotkliwie, kazał Harrisowi przewieźć do swego mieszkania czterdzieści tysięcy franków, wbrew radom Harrisa, który usilnie nalegał, by pieniądze przekazać do banku Laffitte'a. Zdaniem Harrisa signor Paganini dziwnie się zachowywał. W ciągu tych dni za wszelką cenę unikał poważnych rozmów i ani razu nawet nie zapytał o powód niezwykłego zatroskania Harrisa. Minął już tydzień, odkąd zniknął Urbani. Paganini nie zauważył tego. Signor Harris był zaniepokojony i nie wiedział, czy należy zwrócić się do policji.

W nocy, po pożegnalnym koncercie, wrócił Fontana Pino. Długo rozmawiał z signorem Paganinim, debatując widocznie nad jakimiś „sprawami włoskimi”.

„Nie wypada, oczywiście, tak robić” – myślał Harris, lecz szpara, która pozostała między drzwiami a futryną, przepuszczała potoki gazowego światła, a w tych promieniach krążył pył. Promienie padały na wysokie lustro stojące w hallu. Postawił je w tym starym pałacyku w bardzo odległych czasach dawny właściciel. Było to dobre lustro weneckie w srebrnej ramie, z małymi amorkami wyrzeźbionymi u góry. „Typowo barokowe amorki” – pomyślał Harris, który uważał się za znawcę sztuki włoskiej.

Było to, oczywiście, niewłaściwe: należało zamknąć drzwi, lecz oczy zdawały się jak gdyby przykute do lustra. Signor Paganini wyjął wielki plik banknotów i mieszek napełniony złotem. Signor Fontana Pino kładzie to wszystko do skórzanego worka podróżnego, następnie rozlegają się ciche słowa:

– A więc, w imię świętej sprawy wyzwolenia Italii, żegnaj.

Harris nie zorientował się, kto wypowiedział te słowa. Nie poznał głosu Fontany, który niekiedy syczy i chrypi, jak to się zdarza również z głosem signora Paganiniego.

Fontana Pino odjechał. Skrzypek wybiera się do Anglii. Starania o wyrobienie paszportu wstrzymują wyjazd na trzy dni.

O chlebie cierpienia i o wodzie strachu

Zachowanie się Paganiniego sprawiło Harrisa w wielkie zdumienie. Gdzież to możliwe, by z jego zdrowiem tyle czasu spędzać w spelunkach Paryża w rodzaju tej dorożkarskiej knajpy lub brudnego „Café Tabakoff”. Do kawiarni tej zaciągnęły go śpiewaczki Schroeder-Devrient i Cytia Damoreau, chcąc pokazać signorowi Paganiniemu rosyjski kącik Paryża. O pani Schroeder-Devrient opowiadają okropne rzeczy. Erotyczne swe przygody opisuje ona w książce z takimi szczegółami, że nikt nie może jej wydrukować. Trudno pojąć, jak można spędzać czas z taką kobietą! Lecz signor Paganini stał się ponury i niesłychanie drażliwy. Wracając z „Café Tabakoff” był wściekły.

– Pan jest rozdrażniony – powiedział Harris – może mi pan powie, z jakiego powodu, i co należy uczynić, żeby zapobiec przykrościom, jakie panu grożą.

– Niepokoi mnie jedna okoliczność związana z losem mych przyjaciół – wycedził przez zęby Paganini i spojrzał na Harrisa.

Harris, nie patrząc na niego, wodził po biurku roztargnionym wzrokiem; zauważył dużą czarną kopertę z trupią główką. Usiłował niepostrzeżenie zbliżyć się do biurka i w porę usunąć ten nowy straszak brukowy, by Paganini go nie dostrzegł. Lecz było już za późno. Paganini szybko rzucił okiem w kierunku, w którym patrzył Harris. Podbiegł do biurka. Harris błagalnie spojrzał na niego i przykrył list dłonią.

– Niech pan nie czyta, na Boga, niech pan nie czyta!

Lecz Paganini rozdierał już kopertę.

Harris z niepokojem patrzył, jak Paganini, zaszepiony, biegnie oczami po wierszach listu i potem nagle rozpina kołnierz.

– Fontana! – krzyczy Paganini ochryłym głosem, kaszląc i plując różową śliną. Krew wystąpiła mu na usta. – Fontana... Nędznik! Gdzie jest Achillino, Achillino?!

– Ciszej, maestro, pański chłopiec śpi, przed chwilą byłem u niego.

– Jakież to szczęście! – ledwo zdołał wymówić Paganini. Na ustach jego zakwitł żaloszny uśmiech, wyglądał na człowieka zupełnie załamanego.

– Niech sobie robią, co im się podoba, byleby zostawili mi mojego chłopca. Niech robią ze mną, co chcą.

Harris pochylił się nad stołem i spojrział błagalnie na Paganiniego.

– Niech się pan uspokoi, niech pan to uczyni chociażby dla dziecka i pozwoli mi przeczytać list.

Zaledwie Harris przeczytał pierwsze słowa listu, litery zatańczyły mu przed oczami. Czytał, co następuje:

„Zdecydowałem się na tę szaleńczą ucieczkę, ponieważ wydaje mi się, że Pan podejrzewa mnie o kradzież. Nie znoszę podejrzeń. Pan uważa, że brałem udział w kradzieży dokonanej w Pańskim mieszkaniu. Oto dowód: signor Fontana Pino skradł Panu pieniądze. Ujęto go i osadzono w Sainte-Pelagie. Jutro zostanie przewieziony do więzienia Laforce. Jestem bardzo zadowolony, że zdemaskowałem złodzieja. Opowiada on o Panu różne brednie. Uzyskałem prawo odczytywania protokołów policyjnych”.

Na czole Harrisa napięły się żyły. Tego ciosu Paganini prawdopodobnie nie wytrzyma. Lecz czemu zaczął mówić o Achillino? Harris czytał dalej:

„Fontana zamierzał porwać pańskiego syna, lecz pokrzyżowałem jego zamiary i za to muszę cierpieć w milczeniu i znosić Pańskie podejrzliwe spojrzenia. Wróć do Pana w tym dniu, gdy w gazecie porannej ukaże się ogłoszenie, że poszukuje Pan skrzypiec Stradivariusa, oznaczonych numerem siedemset siedemdziesiąt siedem. Jestem gotów służyć Panu do ostatniej kropli krwi i wszystko uczynię, by signorowi Achillino nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Oszkalowany przed Panem, wierny sługa Pański – Fedo Urbani”.

– Proszę natychmiast jechać do redakcji i dać ogłoszenie! – syczał Paganini nad uchem Harrisa. Harris nigdy nie widział go jeszcze w stanie takiego zdenerwowania. – Fontana! – powtórzył Paganini. – „Najlepszy przyjaciel” Fontana, obrońca wolności Italii.

Urbani siedział przed starym siwowłosym koadiutorem, trzymając w ręku numer gazety porannej. Na ostatniej stronie wielkimi literami wydrukowane było ogłoszenie signora Paganiniego, że chce nabyć skrzypce Stradivariusa oznaczone numerem siedemset siedemdziesiątym siódmym.

Signor Novi, jak dawniej, sprzeczał się ze starym koadiutorem zakonu. Ale tym razem udało się Noviemu zaszczerpić w duszy starca wielkie zwątpienie. Niewiele brakowało, by zamiary jego uwieńczone zostały całkowitym triumfem.

– Zawsze byłem zdania, synu mój, że w tym wypadku przemawia przez ciebie tylko nienawiść osobista – uczucie niegodne braci zakonu Jezusa. I w dużej mierze dlatego, że sprawiedliwe twoje oburzenie spowodowane jest uczuciem osobistym, jestem skłonny stanowczo namówić cię, byś poniechał tej sprawy, lecz – dodał zwracając się do Urbaniego – postanowiliśmy zakończyć tę historię z Paganinim. Bardzo długo byliśmy cierpliwi, lecz twoja wiadomość, że bezczelny konspirator i niebezpieczny buntownik, Fontana Pino, otrzymał od tego szaleńca czterdzieści tysięcy franków na walkę z władzą i Kościołem, przekonuje nas o konieczności zadania ostatecznego ciosu. Policja skorzystała z pieniędzy Paganiniego. Słyszałem, że signora Antonia Bianchi została kochanką pana Gisquet, prefekta. Potrzebne jej są pieniądze, policja pomogła jej przenieść mieszki ze złotem z sypialni małżonka. To ich sprawa, lecz nie można dalej tolerować, by pieniądze wpływały zamiast do rąk naszego świętego zakonu, do grzesznych rąk jego wrogów. Idź, synu mój, znów wstąp na służbę do Paganiniego i czyń tak, jak ci kazaliśmy, Fontana jutro będzie zabity. Powiedz signorowi Paganiniemu, że nie okazał on skruchy przed straceniem i rząd Francji zgładził tego przestępcę za buntownicze zbrodnie i plany, niezależnie od kradzieży, której dokonał u signora Paganiniego. Po czym będziesz towarzyszył signorowi Paganiniemu do Londynu, zawiadamiając nas o wszystkim za pomocą niezbędnych sygnałów i informacji.

Droga na północ była bardzo ciężka. „Maestro jest zupełnie załamany” – myślał Harris. Widział, jak Paganini kurczowo obejmował Urbaniego, całował go w ramię i ścisnął mu dłoń. Urbani ani na chwilę nie pozostawiał signora samego. Długo opowiadał mu o okropnościach, które groziły mu w drodze, i o tym, jak je zwalczał. I za każdym razem kończył tak samo.

– Maestro, musi pan pogodzić się z Kościołem. Jezuici gniewają się na pana i mogą panu bardzo zaszkodzić. Niech się pan z nimi pojedna, chociażby dla pozorów: niech pan obdziela ich datkami i uczęszcza na msze.

Propozycje te coraz bardziej drażniły Paganiniego.

– A właśnie teraz mniej niż kiedykolwiek jestem skłonny do pogodzenia się z klechami! – mówił gniewnie.

Gdy Paganini pozostawał sam, wznosił ręce do góry, zaciskał pięści i wołał:

– Nędznicy, nędznicy!

Nagle zaczął okazywać jakąś wściekłą, umyślnie podkreślaną cyniczną

chciwość pieniędzy. Odrzucił wszystkie względy taktyczne, o których mówił mu Harris. Harris udawał, że na wszystko się zgadza, lecz postępował tak, jak uważał za właściwe. A po koncercie Paganini, jak to na przykład miało miejsce w Boulogne, wcale nie interesował się uzyskanym dochodem.

W ruchach Paganiniego uwidoczniła się jakaś nerwowość, zrozumiał nagle cały ogrom ludzkiej wrogości i zawiści. Korzystał z tego Urbani i stale dolewał oliwy do ognia. Nieoczekiwanie wtrącał jakieś słówko i Paganini płonął z wściekłości. Skutkiem tych ataków bezsilnego gniewu Paganini znowu zaczął tracić głos. Znowu używał tabliczki ze słoniowej kości.

Nagle powziął zamiar napisania odpowiedzi Spohrowi, który obrzucając Paganiniego stekiem wyzwisk napisał list do impresaria Laporte'a. Laporte zawarł właśnie umowę z Paganinim i był na tyle nietaktowny, że doręczył ten list Paganiniemu.

Spohr pisał: „Wszystko, co jest najlepszego na świecie, ma związek z chrześcijaństwem. Najwybitniejsi muzycy naszego stulecia komponują hymny kościelne. Nie ma ani jednego kompozytora klasycznego, który nie napisałby oratorium albo mszy. *Requiem* Mozarta, oratorium Bacha, msze Händla świadczą o tym, że Pan Bóg nie opuszcza Europy i że cała nasza kultura buduje się na pierwiastkach miłości chrześcijańskiej i miłosierdzia. Lecz oto zjawił się skrzypek, który zbacza z tej drogi. Całym swoim zachowaniem, nienasyconą chciwością i upojną trucizną pokus ziemskich Paganini sieje zamęt na naszej planecie i oddaje ludzi we władanie piekła. Paganini zabija Dzieciątka Jezus”.

Z wielkim trudem udało się Harrisowi namówić Paganiniego, by nie odpowiadał Spohrowi.

Paganini zobowiązał się wystąpić w Londynie na sześciu koncertach w Teatrze Królewskim. Pierwszy koncert miał się odbyć 21 maja, lecz po rozmowie z Urbanim Paganini poczuł się źle. Głębokie omdlenie, a następnie osłabienie graniczące z utratą pulsu spowodowało, że koncert został odwołany.

Tygodnik „Harmonia” opublikował nagle wiadomości zebrane z prasy europejskiej o niezwyklej chciwości Paganiniego i artykuł ten przedrukowały gazety we wszystkich prawie miastach angielskich. Notatka umieszczona w paryskim „Przeglądzie Muzycznym” nie poprawiła sprawy. „Angielskie gazety przedstawiają Paganiniego jako impertynenta i zuchwalca” – pisał korespondent angielski francuskiego „Przeglądu”. Gazeta dodawała od siebie: „Chodzi o to, że Laporte, chciwy i chytry impresario opery

włoskiej w Londynie, podwoił ceny nawet na tanie miejsca, których według tradycji angielskiej w ogóle się nie podwyższa”.

Pierwszy występ odbył się dopiero 3 lipca. Anglicy tłumnie szli na koncert Paganiniego. Gra jego odznaczała się jeszcze większą doskonałością. Była jeszcze subtelniejsza i czystsza, a technika jeszcze bardziej godna podziwu, jeszcze dźwięczniej wyrażała niebywałą różnorodność talentu skrzypka. Jakieś straszliwe załamanie dało się jednak zauważyć w jego nastroju.

Przed jednym z koncertów, gdy Paganini w towarzystwie skrzypka angielskiego George’a Smirtha ukazał się na estradzie i zamierzał zagrać pierwszy numer programu, ktoś zawołał z galerii:

– Cóż, jesteśmy gotowi!

– Co to ma znaczyć! – z głośnym zapytaniem zwrócił się Paganini do Smirtha, tupnąwszy nogą.

Paganini opuścił skrzypce prawie do podłogi i zszedł z estrady. Publiczność była ogromnie zmieszana. Kilku przedstawicieli arystokracji londyńskiej podeszło do Paganiniego, prosząc go, by rozpoczął koncert. Paganini odmówił. Głośno przy wszystkich powiedział do Smirtha:

– Proszę zwrócić pieniądze, koncert się nie odbędzie.

Smirth, błąd, z trzęsącymi się wargami, błagał Paganiniego, by nie psuł świętego wrażenia, jakie wywarł na publiczności londyńskiej, by wyszedł na estradę i zagrał. W końcu Paganini zgodził się. W tejże chwili rozległ się głos:

– Drogi sir Paganini, golnij pan szklaneczkę whisky i zacznij pan od nowa!

Paganini odwrócił się, odłożył skrzypce i powiedział:

– Nie, nie mogę grać.

Lecz po pięciu minutach bez jakiegokolwiek próśby wyszedł na estradę i gdy tylko ucichła burza owacji, wziął pierwszy akord.

U lorda Hollanda odbył się koncert w ścisłym gronie dobranych osób ze sfer literackich i arystokratycznych. Paganini chętnie przyjął zaproszenie. Tabliczka z kości słoniowej cała była usiana pytaniami o zmarłego Byrona. Nerwy Paganiniego były widocznie bardzo napięte. Lord Holland, nieprzywykły do gwałtownego wyrażania uczuć, czuł się zażenowany ujrzawszy łzy w oczach Paganiniego podczas rozmowy o Byronie. Tak jak kiedyś, słuchając muzyki Beethovena, Paganini na myśl o śmierci największego muzyka świata nie mógł powstrzymać się od łez, tak i teraz słuchając

opowieści o Byronie, odwracał się i przyciskał chusteczkę do oczu. Lord Holland uważał to za afektację.

Pod wpływem napięcia twórczego nastrój Paganiniego stał się równiejszy. Wróciła jego lekka ironia. Był o wiele spokojniejszy. Tylko stan fizyczny skrzypka budził obawy w Harrisie.

Przyjechali do Bristolu i jak niegdyś w Wiedniu, Paganini otrzymał nagle cios zza węgła! Ulice Bristolu upstrzone były wielkimi afiszami:

„Obywatele, z uczuciem niewymownej odrazy anonsumę rozpoczęcie koncertów niejakiego signora Paganiniego w naszym mieście. Czemuż to w roku nieszczęść i doświadczeń, które zesłał nam los, mamy słuchać tego czarta? W roku gdy cholera kosi ludzi w Europie, któż będzie na tyle bezwstydnym, że zamiast udzielić pomocy nieszczęśliwym pójdzie na koncert? Czyż nie ten właśnie skrzypek, cudzoziemiec, przywiózł do Anglii tę straszną chorobę tylko po to, by pompować z miast Wielkiej Brytanii pieniądze, które mogłyby pomóc nieszczęśliwym? Nie popełniajcie haniebnego błędu i nie chodźcie na koncerty tego muzyka-potwora, który przybył z obcych krajów po to, by z właściwą mu chciwością wyzyskiwać naiwność Johna Bulla”. Następował podpis: „Filadelfus”.

Koncert odbył się, lecz afisze spełniły swoje zadanie. Dni powszednie Paganiniego pełne były głębokiej depresji.

Harris zdziwił się bardzo, gdy po powrocie do Londynu znalazł pięć egzemplarzy tego afisza na stole w pokoju Urbaniego.

– Po co to panu? – zapytał Urbaniego.

– Przyda się. Należy znaleźć tego łotra.

Harris pokiwał głową.

W Londynie – nowy powód do zdenerwowania. Po powrocie z podróży do Irlandii i Szkocji Paganini pisał do signora Paera:

„Występowałem publicznie co najmniej trzydzieści razy. Zdawało mi się, że ciekawość Anglików dla mojej powierzchowności powinna być zaspokojona. Jednak, mimo że Anglicy posiadają wielką ilość moich portretów, nie zadowolają się tym. Nie mogę wyjść z domu, w którym mieszkam (na szczęście nie jest to hotel), by nie towarzyszył mi tłum ludzi. W hotelu było to wprost okropne! Nie mogłem pokazać się na korytarzu. Ale tu na ulicach – jeszcze gorzej. Całe tłumy chodzą za mną, otaczają mnie, zagradzają mi drogę i krążą dokoła mojej osoby, jak gdybym był jakimś słupem. Nie mając mnie widocznie za żywego i nie odnosząc się do mnie jak do człowieka, obmacują mnie, jak gdyby pragnęli przekonać się, czy składam się z mięsa i kości, zwracają się do mnie z niedorzecznymi pytaniami

w języku, którego nie rozumiem. I to nie tylko prosty lud angielski. Pozwalają sobie na to również ludzie, którzy należą prawdopodobnie do wyższych sfer”.

Paganini po raz pierwszy poczuł się ogromnie osamotniony. Istotnie unikał hoteli. Skorzystawszy z zaproszenia jednego z przyjaciół Laporte’a, zamieszkał u pana Watsona na Carlonstreet. Tam czuł się zupełnie spokojny i dopiero po dłuższym czasie musiał grubo zapłacić za tę pobłażliwość losu.

Dziwne kontrasty jego charakteru najbardziej ujawniły się w ciągu miesięcy pobytu w Londynie. To zgadza się na udzielanie lekcji w arystokratycznych domach i gorliwie, długo pracuje ze swymi uczniami, wykazując podczas tych zajęć cały swój nieoczekiwanie ujawniony talent pedagogiczny, to znów pisze zuchwałą odpowiedź na propozycję króla Jerzego IV, by zagrał w pałacu.

Jego królewska mość proponuje Paganiniemu niewielką sumę pieniędzy i zaprasza go na wieczór do Windsoru. Paganini odpisuje, że jego królewska mość może kupić sobie bilet w jakimkolwiek rzędzie parteru opery londyńskiej, gdyż będzie to kosztowało jego królewską mość znacznie taniej.

Zachowanie to doprowadza pana Watsona do rozpacz. Nikt jeszcze nie osmieleł się tak obrazić króla jak ten zarozumiały skrzypek.

Nastał czas wyjazdu z Anglii. Paganini znów jedzie do Paryża. Trzy dni minęły na przygotowaniach, trzy dni słyszy Paganini w sąsiednich pokojach płacz dziewczyny. Miss Watson chowa się niekiedy przed skrzypkiem, co oznacza, że bardzo pokłóciła się z ojcem i boi się pokazać czerwony jak wiśnia policzek. Nie wychodzi nawet, by pożegnać się z signorem Paganinim. Konie szczęśliwie przywożą Paganiniego, Achillina, Harrisa, Urbaniego i Fräulein Weisshaupt na przystań w Dover. Nagle znika Urbani, po czym wraca trzymając pod rękę płaczącą kobietę. Odejmuje ona chusteczkę od oczu i podbiega do Paganiniego.

– Ratuj mnie, sir! – woła kobieta uczepliwszy się go obydwoma rękami.

– Tak, maestro – mówi Urbani – kupowałem bilety i ujrzałem tę dziewczynę. Jeszcze w Londynie prosiła mnie, bym jej pomógł.

– O co chodzi? – pyta Paganini.

Dziewczyna przyznaje się, że porzuciła rodzinę, bo współzycie z nią stało się niemożliwe i że dawno już prosiła Urbaniego o udzielenie jej pomocy. Pan Urbani był tak dobry, że obiecał polecić ją jako nauczycielkę języka angielskiego we Francji. Paganini ze znużoną miną wzrusza ramionami.

W nadmorskiej Boulogne trzy dni mieszkają w hotelu.

Paganini źle się czuje. Jest przeziębiony i tak boli go głowa, że nie może otworzyć oczu. Urbani namawia go, by zgodził się przyjąć do pomocy w gospodarstwie miss Watson, lecz nim Paganini zdążył dać jakąś odpowiedź, wpada do pokoju rozwścieczony ojciec z komisarzem policji. Wybucho dzika awantura. Paganini, z trudem podnosząc powieki, wygłasza kazanie o konieczności troskliwego obchodzenia się z dziećmi.

– Nie pozwolilibym sobie ruszyć Achillina nawet palcem, a pan bije dziewczynę, którą czas już wydać za mąż.

– Łotr! – krzyczy Watson. – Rabuś! Bandyta! Proszę go zaaresztować! – wrzeszczy zwracając się do komisarza.

Policja spisuje protokół. Urbani nagle znika.

Protokół stwierdza, że jeszcze w Londynie signor Paganini obiecał rodzicom miss Watson cztery tysiące gwinei, a samej miss Watson – brylantowy diadem i pierścionek z diamentem, które zostały już kupione i znajdują się w walizce signora Paganiniego.

Zmieszany Paganini nie wie, co począć. Otwiera walizkę, pokazując, że nie ma w niej żadnych kobiecych ozdób ani podarunków. Lecz policja chętnie idzie na rękę angielskiemu obywatelowi i 26 czerwca 1834 roku gazeta bulońska donosi:

„Znakomity Paganini, tak przez nas ceniony i chwalony jako artysta, jest człowiekiem w najwyższym stopniu zdeprawowanym najrozmaitszymi haniebnymi przygodami, jakie miał w swoim życiu. Zawarł on w Londynie z niejakim panem Watsonem umowę, na podstawie której pan Watson umożliwił signorowi Paganiniemu spokojny i wygodny pobyt w Londynie. Paganini nie zadowolił się tym. Opuszczając Londyn nie tylko nie zapłacił panu Watsonowi umówionej kwoty, lecz uwiódł mu córkę i porwawszy potajemnie dziewczynę, znikł z nią z Londynu”.

Urbani przyniósł gazetę skrzypkowi i teraz nawet Harris poradził napisać sprostowanie. Paganini pisał w bulońskiej „Annotateur”:

„Szanowny Panie! Oskarżył mnie Pan o porwanie szesnastoletniej dziewczyny. Honor mój jest splamiony. Obecnie musi Pan sobie zadać trud, by dojść prawdy.

Donoszę Panu, że pan Watson, który występuje jako mój oszczerca, ożenił się po raz drugi i macocha tej młodej osoby, o której porwanie Pan mnie posądza, nie tylko sama okrutnie obchodziła się z miss Watson, lecz zmusiła także ojca, by prześladował córkę niesłusznymi pretensjami. Nie wtrącałem się do tych spraw rodzinnych.

Pieniądże, które pan Watson po prostu ode mnie pożyczył po każdym koncercie, jak się później okazało, uważane były przez niego za komorne, a wyszło to na jaw w chwili mego wyjazdu. Zignorowałem i to.

Komunikuję Panu, że stosunki między panem Watsonem a miss Wels, która zastąpiła mu pierwszą żonę, świadczą o istnieniu jakichś tajemnych więzi łączących ich z osobami znajdującymi się w więzieniu i to wpływało ogromnie deprymująco na córkę pana Watsona, która, nawiasem mówiąc, ma nie szesnaście, lecz osiemnaście lat. Wytworzyła się w domu pana Watsona atmosfera całkowicie amoralna, zupełnie niepodobna do rodzinnej. Nie miałbym podstaw do pisania o tym, gdybym nie był zmuszony bronić obecnie reputacji jego córki, dziewczyny, której nic innego nie pozostało jak uciec z rodzinnego domu. Czy honor pozwoliłby mi odmówić pomocy dziewczynie, którą spotkałem zupełnie przypadkowo już prawie na pokładzie statku? Prosiła mnie o pomoc z własnej woli, nigdy nie radziłem jej, by uciekła z domu, nie namawiałem, by jechała ze mną. Lecz niejednokrotnie proponowałem panu Watsonowi wszelką pomoc, by mógł córce zapewnić samodzielność, jeśli już jest takim ciężarem dla niego i dla jego nowej towarzyszkii życia. Czyniłem to otwarcie, nie umawiając się z miss Watson”.

Paganini powtórzył błąd popełniony już niegdyś w Wiedniu: następne numery gazet europejskich w ciągu dwóch miesięcy przedrukowywały, komentując po swojemu i zniekształcając, „sprawozdanie” Paganiniego, jak nazwano w gazetach jego list. „Annotateur” zaś wydrukował obszerne zaprzeczenie skierowane przeciwko oświadczeniu Paganiniego:

„Odpowiadamy panu Paganiniemu, że pomimo wielkiej zręczności, jaką przejawiał przy zestawieniu faktów gwoli swej obrony, nie jest on w stanie nic więcej przytoczyć, jak tylko to, że dziewczyna ma osiemnaście, a nie szesnaście lat, i że zgodziła się pójść z nim nie z ojcowskiego domu, ale przyłączyła się w drodze.

Fakt pozostaje faktem. We wszystkich państwach na całym świecie istnieją prawa broniące cnoty i młodości od zakusów tych, którzy z racji swego społecznego stanowiska, nie będąc ani religijni, ani po chrześcijańsku uczciwi, czyhają na cnotę dziewczyny i zbliżają się do niej z rzekomo pedagogicznymi zamiarami, choć sami odznaczają się moralnym wyuzdaniem. Należy podkreślić z oburzeniem, że podobna «opieka» jest zwykłym nadużyciem, mającym na celu zdobycie obiektu tej opieki.

Pan Paganini, ten amoralny cudzoziemiec, który wdarł się do rodziny Watsonów, z bezwstydem i bezczelnością ośmielił się odegrać rolę ojca, gdy

w istocie, ze względu na jego rozwiązły tryb życia należałoby wobec niego samego zastosować środki poprawcze.

Proszę zwrócić uwagę na argument, który Paganini przytacza na swą obronę: nie mógł on rzekomo przypuszczać, że miss Watson opuści Londyn z własnej woli, gdy w naszym posiadaniu są dowody, że jego agent, nazwiskiem Urbani, przed wejściem na statek poszukiwał córki sir Watsona, by zakomunikować jej godzinę odjazdu, i uparcie wołał, by weszła na pokład. Ostatecznie wydaje się nam, że lepiej byłoby dla pana Paganiniego, gdyby przemilczał to wszystko i nie występował z tak nieszczęśliwymi argumentami w swojej obronie”.

Wyjazd do Paryża trzeba było odłożyć, lecz próba skierowania sprawy przeciwko Paganiniemu na drogę sądową spaliła na panewce dzięki dość dziwnemu zbiegowi okoliczności.

Nagle zniknął Urbani. Harris z wściekłością i uporem przeprowadził śledztwo, by rozwikłać tajemnicę tej przygody. I oto zrozumiał cały sens postępowania tego człowieka. Pan Watson i Urbani źle się umówili. Harris przechwycił ich korespondencję i wręczył ją Paganiniemu. Paganini mógł z niej wyraźnie odtworzyć cały przebieg wypadków. I zawzięte targi między Urbanim a Watsonem, któremu zapłonęły oczy na widok kolosalnych honorariów Paganiniego, i cała poprzednia robota Urbaniego – wszystko to ujawniło nagle skrzypkowi, że padł ofiarą wielkiego szantażu. Zobaczył wyteżoną pracę Harrisa, skromną, prowadzoną z dnia na dzień bez hałasu i bez krzątaniny na pokaz.

Pan Watson wspólnie z signorem Urbanim opracował plan wyłudzenia pieniędzy od Paganiniego. Umówili się, że Urbani nakłoni młodą dziewczynę, mającą z natury awanturnicze usposobienie, a poza tym skrzywdzoną przez okrutną macochę, by uciekła z rodzinnego domu i odegrała rolę ofiary rzucającej się w objęcia podróżującemu skrzypkowi. Rola ta przypadła jej do gustu, a Urbani, działając rzekomo w imieniu Paganiniego, tak zapewnił ją o łatwości ucieczki, że dziewczyna, umówiwszy się z nim, przyjechała do portu w Dover i dopiero tutaj, gdy liczba świadków była wystarczająca, Urbani zainscenizował ucieczkę z Paganinim.

Watson, uprzedzony zawczasu przez Urbaniego, wynajął agentów i jednocześnie z Paganinim przyjechał do Dover. Tutaj jednak zaczęły się między nim a Urbanim nieporozumienia: Urbani działał tak, by dokoła nazwiska skrzypka wywołać wielki skandal, który doprowadziłby w końcu Paganiniego do więzienia. Watson miał skromniejsze zamiary: nie obchodził go los signora Paganiniego, chciał jedynie uszczknąć jak największą

sumę pieniędzy, córkę zabrać z powrotem do Londynu i rozpocząć beztrojskie życie. Ten łatwy sposób zdobycia pieniędzy wydawał mu się bardziej celowy aniżeli długie zwracanie sobie głowy sądowymi procesami w Boulogne i Paryżu, gdzie należałoby wydawać pieniądze na hotel i na inne potrzeby życiowe.

Harris okazał w policji bulońskiej dokumenty demaskujące Watsona i ten musiał razem z córką niezwłocznie wrócić do Londynu. Plan owej organizacji, która poleciła Urbanemu zadać „decydujący cios”, spalił na panewce. Urbani musiał natychmiast zniknąć Paganinemu z oczu.

Po tej historii rozpoczęły się wędrówki Paganiniego z jednego hotelu do drugiego. Wysoce moralni goście hotelowi wszędzie domagali się jego usunięcia. Ten stan rzeczy trwał tak długo, aż nareszcie sprawa została umorzona. Uzyskawszy pozwolenie na wyjazd Paganini niezwłocznie wyjechał do Paryża.

W ciągu niespełna godziny po zatrzymaniu koni na ulicy d'Enfer był już u Ferdynanda Paera.

Bardzo postarzały przez ten czas Paer przywitał swego ucznia nader serdecznie.

Gdy rozpytał Paganiniego o to, co się dzieje w Anglii, i opowiedział mu z kolei o wzrastających rozruchach w miastach francuskich, o wydarzeniach w Lyonie, w Grenoble i w Paryżu, stary nauczyciel Paganiniego przeszedł na temat, który go najbardziej interesował.

Pokazał Paganinemu artykuł młodego kompozytora Berlioza.

– Cóż on ma przeciwko tobie? Popatrz, oto notatka w „Europie Literackiej”. Któż to jest ta miss Smithson?

– Miss Smithson? Nie wiem.

– Jednak oskarżają cię, że została przez ciebie nędzarka.

– Po raz pierwszy o tym słyszę – rzekł Paganini. – Z Berliozem rozmawiałem tylko raz – dodał i nagle spochmurniał. – Przychodził do mnie radzić się w sprawie partii altowej w utworze *Maria Stuart*. Powiedziałem, że partia ta mi się nie podoba, i poradziłem mu przerobić całość.

Paer skinął głową:

– Zrobił to. Ale wróćmy do pani Smithson. Więc twierdzisz, że niczego jej nie odmawiałeś?

– Nikt się do mnie nie zwracał.

– Berlioz oskarża cię, żeś jej odmówił, gdy cię poprosiła, byś zagrał niewielką arię w dniu jej benefisu.

– W takim razie – rzekł Paganini wzruszając ramionami – oskarżać mnie mogą wszyscy artyści całego świata, na których benefisie nie grałem.

Paer roześmiał się.

– Berlioz ożenił się – rzekł – i choć jest to bardzo dziwne, w dniu ślubu skomponował znakomity marsz człowieka idącego na szafot. *Marię Stuart* przerobił, obecnie utwór ten nosi tytuł *Harold w Italii*. Mocno podejrzewam, że twój zachwyty dla Byrona zaraził Berliozą.

– Nie wiem, jak dalece udzieli mu się ta zaraza – z rozżaleniem odezwał się Paganini – lecz widzę, że obecnie Berlioz zajął w stosunku do mnie wrogą pozycję. Wie pan co, panie profesorze – rzekł wstając – dawniej nie odczuwałem w takim stopniu ukłuc z życia. Dziś bardziej niż kiedykolwiek pragnąłbym ujrzeć rodzinne miasto. Paryż mnie zmęczył. Życie mija z tak niebываłą szybkością, że ani się spostrzegłem, jak straciłem siły fizyczne. Wie pan, jak dziwnie spędzam czas? Prawie ciągle muszę leżeć. Harris radzi mi, bym zwołał w Paryżu konsylium lekarzy. Najważniejsze jest to, że wszystkie zamiary powzięte z miłości do człowieka są komentowane jako egoistyczne. W każdym uczynku, który spełniam dla dobra ludzi, widzą oni zły zamiar. I czuję, że stoję na progu dnia, gdy zacznę czynić ludziom zło, by odczuwali to jako dobro.

– Wciąż jeszcze zachowałeś zdolność do ironizowania – uśmiechnął się Paer. – Nawiasem mówiąc, mogę ci powinszować, masz naśladowców i wielbicieli. Liszt intensywnie pracuje nad przeróbką twoich kompozycji skrzypcowych na fortepian. Schumann robi to samo. Bardzo to dziwne, lecz listę twoich wielbicieli otwierają pianiści: skrzypce po tobie milkną. Słuchałem gry Liszta z najwyższą rozkoszą. Twój wpływ na tego człowieka jest ogromny.

Dwa koncerty, na których Paganini wystąpił w Paryżu, nie znalazły oddźwięku w prasie paryskiej.

– Cóż to jest? Czy to zmowa milczenia? – pytał Paer.

15 września pan Jules Janin napisał obszerny felieton do „Journal de Débats”. Cały artykuł przesiąknięty był osobistą niechęcią i odznaczał się bardzo uszczypliwym tonem. Jules Janin oburzał się z powodu nadmiernej chciwości i skąpstwa wielkiego skrzypka.

Te ataki dziennikarza zaskoczyły Paganiniego, tym bardziej że na krótko przedtem cały dochód z dwóch koncertów Paganini przeznaczył dla komitetu niesienia pomocy najbiedniejszej ludności Paryża i dla okolic, które

ucierpiał od powodzi. Przemilczanie bezpłatnych koncertów i wściekle ataki Julesa Janina zainteresowały Paganiniego znacznie więcej niż najpochlebniejsze recenzje. Razem z Harrisem udali się do redakcji.

Zakurzone, pełne dymu tytoniowego pokoje, brudne schody, wielka ilość stołów i niezwykła ciasnota panująca w tej fabryce sądów literackich i politycznych plotek – oto pierwsze wrażenie Paganiniego.

Jules Janin siedział na wysokim krześle przy dużym biurku, na którym w nieładzie leżały odbitki i rękopisy. Nożyce, słoik z klejem i pędzelek, pliki gazet na stołach, podłoga zaśmiecona skrawkami papieru; jako kuchmistrz tej kuchni, pan Jules Janin wnosił tu romantyczny nieład. Widocznie w jego charakterze niedbalstwo studenta Sorbony łączyło się z przyzwyczajeniami starego kawalera, jakkolwiek w otoczeniu redakcyjnym Jules Janin nie sprawiał bynajmniej wrażenia kawalera. Przeciwnie, siedział na swoim krześle jak dumny *chanteclair* w posłusznym mu kurniku.

Harris rzucił ostre spojrzenie w kąt, w którym trzy ładniutkie buzie nachylały się nad czymś listem. Dziewoje wydawały zabawne okrzyki mniej więcej tego rodzaju: „Ten dureń sądzi, że go wydrukują! Co za idiota! Waży się dementować!”

Ukazanie się Paganiniego i Harrisa nie powstrzymało potoku okrzyków. Lecz oto *chanteclair*, siedzący na grzędzie, zauważył pojawienie się obcych osób.

– Giszaj, dziewczynki! – zawołał.

Prostując zdrętwiałe nogi, Jules Janin wstał i wyciągnął rękę do Paganiniego z taką miną, jak gdyby ujrzał starego przyjaciela. Nie grał komedii, od razu poznał Paganiniego i podkreślał, że wcale nie jest zdziwiony, że oczekuje zaprzeczeń i chętnie pójdzie na rękę skrzypkowi.

Rozmowa była krótka. Pan Janin dwukrotnie zasępił się, gdy padło słowo „szantaż”. Paganini mówił ozięble, oświadczając, że zamierza wrócić do Genui i że dwa razy już koncertował nie biorąc za te występy ani jednego franka.

Szybko zapisując w okrągłych zdaniach słowa Paganiniego wprawnym piórem dziennikarza, Jules Janin pokazał Paganiniemu to, co napisał. Paganini kiwnął głową. Rozejm został jak gdyby zawarty i gdy po wyjściu skrzypka i jego sekretarza rozległ się ptasi szczebiot w kurniku redaktora, dziewczęta, urabiające opinię publiczną i regulujące humor tego pochłoniętego swym majestatem dziennikarza, niemało były zdziwione krótkim i kategorycznym rozkazem: „Wydrukować w następnym numerze list

Paganiniego”. Ustne komentarze Janina były niezbyt pochlebne dla skrzypka.

Wertując ostatnią pocztę Jules Janin westchnął:

– Wielka mi rzecz, że ten Skapen i Harpagon wystąpił na dwóch koncertach na rzecz francuskich nędzarzy, gdy nasz korespondent włoski donosi, że pan Paganini kupił za pośrednictwem pana Aliani willę Gajona koło Parmy. Pan Paganini będzie mieszkał we własnej willi, urządzonej z istic książęcym przepychem. Może sobie pozwolić na rzucenie kości francuskiemu psu.

Istotnie, Harris namówił Paganiniego, by rozpoczął pertraktacje w sprawie kupna jakiegoś mieszkania i by na dłuższy czas pożegnał się z tułaczym życiem. Hotele, traktierne i stacje pocztowe coraz bardziej pogarszały zdrowie skrzypka. Harris z przerażeniem spostrzegł, że Paganini potwornie chudnie. Najciaśniejsze nawet ubrania wisiały na nim jak worki, rękawy kołysały się jak na kijach, każdy kołnierz był za luźny.

Godne było podziwu, że im bardziej zanikały siły fizyczne Paganiniego, tym subtelniejsza i piękniejsza stawała się jego gra. Gdy skrzypek zamykał oczy, trudno go było odróżnić od nieboszczyka leżącego w trumnie, od robotnika zmarłego w fabryce gazu w Paryżu, od weneckiego szklarza zatrutego rtęcią, od wydymacza szkła, który zniszczył płuca w ogromnych hutach szklanych na wyspie Murano w czasie wyrobu fantastycznych kolorowych szyb w najlepszej na świecie wytwórni szkła. Ale gdy oczy te otwierały się, płonął w nich spokojny ogień ogromnego, twórczego napięcia i energii. Żadnego żalu z powodu utraconego zdrowia nie odczuwał ten artysta. Coraz intensywniej wypełniał swoje dni. I często Harris widział, jak w nocy w białym, długim odzieniu, które jeszcze bardziej podkreślało jego podobieństwo do widma, Paganini brał skrzypce, smyczek bezdźwięcznie ślizgał się po strunach, zwinne palce biegły jak białe myszy po drewnianym mostku między kłatkami. Potem, przytrzymując skrzypce podbródkiem, brał ołówek i nawlekał najdelikatniejsze nuty na wąskie linie zeszytu. Ze skomplikowanych tych hieroglifów wyrastał nowy utwór geniusza.

Pewnego ranka Harris odnotował w swym zeszycie:

„Gdy siedziałem i pisałem, Paganini zaczął grać pierwsze wstępne takty boskiego koncertu skrzypcowego Beethovena. Nie byłem wtedy w stanie napisać listu, który polecił mi ułożyć. Odłożyłem pióro. Wówczas Paganini zapytał, czy wiem, co gra. Odpowiedziałem, że wiem. Na to odparł: «Zagram panu cały ten koncert, zanim rozstaniemy się w tym życiu».

Wydawało mi się, że zapomniał o swojej obietnicy. Jednakże pewnego dnia odwiedzili go dwaj młodzi pianiści, uczniowie jego profesora. Nagle na znak dany przez Paganiniego jeden z nich usiadł przy fortepianie i zaczął grać. Cały zamieniłem się w słuch poznawszy koncert skrzypcowy Beethovena. Nigdy nie zapomnę uśmiechu na bladej, znużonej twarzy Paganiniego, której każdy rys świadczył o niezmiernym bólu, przepętniającym jego istotę. Paganini cierpiał fizyczne męczarnie. Grał koncert Beethovena i grał go tak, że dusza rozdzierała się na części. A ludzie, którzy słuchali tej gry, nie wiedzieli, czy znajdują się na ziemi i czy ich życie powszednie trwa nadal. Zaledwie skończył grę, zanim ktokolwiek zdołał oprzytomnieć, ukrył się w swym pokoju sypialnym nie pożegnawszy się z nikim z obecnych. Każdy koncert zabierał mu rok życia. Żaden lekarz nie mógł stwierdzić, na czym polegała choroba Paganiniego”.

Rozdział trzydziesty

Spalenie marności

28 lipca 1835 roku Genua zrozumiała naraz, że jest ojczystym miastem skrzypka o światowej sławie. Genua, która za czasów dzieciństwa Paganiniego okazała mu tyle okrutnego lekceważenia, zapragnęła teraz gwałtownie zdobyć sławę miasta, które dało światu wielkiego skrzypka. Punktem honoru magistratu i ojców miasta było urządzenie wspaniałego przyjęcia dla Paganiniego, który miał tutaj przyjechać z północnej Europy. Markiz Gancarlo di Negro – z pobudek bardziej bezinteresownych – specjalnie wybudował „raj na ziemi”, by wspaniałą ucztą uświetnić przybycie *maestro insuperato*. Wszystko, czym kraj ten obdarza przyroda, zgromadzone było w pawilonach i ogrodach di Negro.

Marmurowe popiersie ozdabia wejście do przepysznego ogrodu podzwrotnikowego. Uroczyste powitanie oczekuje Paganiniego na schodach strzeżonych przez fauny i nimfy. Skrzypek jakoś się nie zjawia; przygotował się do koncertu, lecz wciąż jeszcze nie wychodzi ze swego pokoju. Ogarnęły go wątpliwości i nie znane mu dotąd uczucie przygnębienia. Sześć lat spędził

poza Italią, w karecie, na salach koncertowych i w hotelach. Czy skończy się wreszcie owo tułacze życie teraz, gdy signor Paganini urządzi sobie z książę-
cym przepychem swoją nową siedzibę i gdy ojczyzna przyjmie go w swe objęcia?

Czy jest to jednak ojczyzna? Dawno przetrwione gorzkie wspomnienia. W ciągu sześciu lat wiele się zmieniło, fale czasu zmyły więź rodzinną. Umarła matka, ojciec trzykrotnie posyłał Harrisowi listy z pogroźkami, nie zadowolając się wysyłaną mu co miesiąc na utrzymanie sumą, która wystarczyłaby dla czterech ojców. Po śmierci matki synowa stała się obiektem jego starczych afektów. Syn zareagował na ten cios z całą pasją włoskiego temperamentu. Poszły w ruch noże. Przy głośnych okrzykach sąsiadów, w obecności zamartwych ze strachu wnucząt skrepowano starego sznurami i wygnano z własnego domu. Rodzina rozjechała się, stary umarł.

Najtrudniej było rozstać się z Harrisem. Jak długo i z jakim wysiłkiem wymawiali pocieszające i wesołe słowa, jak smutno układały się starcze zmarszczki na siwych nie golonych policzkach młodego jeszcze Harrisa. Lecz oto zabrzmiały ostatnie słowa pożegnania. Ostatni uścisk dłoni. Na drodze wzbil się kurz i Harris, zgarbiony, pieszo oddała się od paryskiej rogatki. Achillino jest w pewnych rękach. Tu, w Genui, austriacki porucznik ze świty Marii Ludwiki i jego syn cały czas asystują Paganiniemu. W Genui chłopca tego biorą za Achillina i to oszczędza Paganiniemu wiele trosk i obaw. Co dzień do pokoju w pałacu markiza di Negro, który zajmuje Paganini, przychodzą heliogramy. Depesza świetlna przynosi krótkie słowa, oznaczające, że chłopiec żyje i jest zdrow, że opieka jest pewna i że nikt oprócz jednego człowieka nie wie, gdzie się dziecko znajduje.

Księżna Maria Ludwika, wdowa po cesarzu Francji, straciła syna, lecz nie straciła wesołości i spokoju pulchnej Junony. Z Parmy przysłała skrzypkowi brylantową szpilkę i wielki złoty medalion, w którym znajdowały się splecione kosmyki włosów Napoleona Bonapartego, Marii Ludwiki oraz kosmyk jasnych włosów księcia Reichstadtu, jej zmarłego syna, nigdy nie panującego Napoleona II.

Wielka kareta, którą przyjechał bogaty signor Paganini z Londynu, trzykrotnie zbaczała z drogi wiodącej do willi Gajona. Trzykrotnie omijała drogę, która wiodła do jego stałej siedziby. Tak się złożyło, że willa Gajona, której budowa była prawie na ukończeniu, nie ujrzała swego właściciela. Oto droga obsadzona cyprysami, oto zieleń mirtów. Z daleka widać płaszczynę, tam zaczyna się pole, za polem las, a w lesie – stroma, górzysta

droga. Paganini był tam tylko raz jeden, w dzieciństwie. A obecnie dwukrotnie ominął zakręt, skąd wiedzie droga do jego własnego domu, zapominając po prostu o istnieniu willi Gajona; za trzecim razem uważnie oglądał każdą ścieżkę widoczną z okna karety i serce ścisnęło mu się na myśl, że być może, nigdy nie zobaczy tej siedziby, która miała położyć kres jego wędrówkom.

Zdrowie jego było silnie nadwerężone, lecz zachował całkowitą równowagę sił duchowych. Czuł całą potęgę swego talentu. Bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę z niezliczonych możliwości magicznego oddziaływania skrzypiec na ludzi i nie było takiej przeszkody, która mogłaby powstrzymać Paganiniego od osiągnięcia zawrotnych wyżyn sztuki.

Wrzody kłuły krtań jak igły, ból ten towarzyszył każdemu dźwiękowi skrzypiec, a im subtelniej i pełniej dobywał tonów, tym ból stawał się ostrzejszy. Lecz im bardziej zanikał głos, tym większa była wyrazistość gry tego człowieka. U ślepcy wysubtelnia się dotyk. Paganini, straciwszy głos, nauczył skrzypce wyrażać całą głębię swych myśli i uczuć.

Kroczył, witany oklaskami i okrzykami zakochanego w nim tłumu. Oto schodzi po schodkach. Oto jest w ogrodzie, oto – w altanie, na świeżym powietrzu, wśród setek i tysięcy słuchaczy.

Oto Paganini, witając się z publicznością, bierze smyczek i wyraźnie, jak nigdy dotąd, zjawiają się przed nim obrazy przeszłości. Grał na tematy Beethovena. Brzegi nigdy nie widzianych krajów i, być może, nie istniejących jeszcze planet, a ponad wszystkim – pełne groźby kołatanie losu do drzwi. Ta „pieśń losu”, jak czarne niebo wszechświata rozwierające się w gorące lipcowe popołudnie, jak głos śmierci, przerwała naraz nie kończącą się kantylenę i oto – dziwna, nie słyszana dotąd fermata. Ten bezkresny, nie cichnący, nieskończenie długi, wibrujący dźwięk, który mimo woli zmusza do wstrzymania oddechu tysiące słuchających go ludzi, z początku wydarł z ich piersi westchnienie niemego zachwyty, a potem wprowadził ich w stan męczącej udręki.

Nieludzko długie brzmienie tego ostatniego dźwięku, owej ciągnącej się bez przerwy ostatniej nuty działało przytłaczająco. Zdawało się, że dźwięk zaraz się urwie, osłabiony przez wściekły ruch smyczka. Lecz nieoczekiwanie zyskał nową moc i pchnął krew ludzką ku skroniom. Przeżnięci, zmieszani i znużeni słuchacze ze zdumieniem spoglądali po sobie, jak gdyby chcąc sprawdzić w swych oczach wrażenia, i przekonać się, czy we śnie, czy też na jawie trwa ten czarodziejski, usypiający dźwięk. Był to prawdziwy Beethoven, była to pieśń losu, lecz wyśpiewana przez skrzypka jeden

jedyny raz na świecie. Po raz pierwszy stworzył Paganini muzykę zniszczenia i niebytu i sam w niej usłyszał straszliwy oddech śmierci. Pieśń losu przemienia się w dzwony pogrzebowe, w grzechot kości i w twarde uderzenia grudek ziemi o wieko trumny.

Napięcie tłumu graniczyło z obłędem, gdy nagle bez żadnej przerwy, bez przejścia, rozległy się dźwięki dzwoneczków: w polu, wśród kwiatów, lekko, zwiewnie, lekkomyślnie w obłocznych, dymnych, różowawych, błękitnawych i zielonkawych szatach tańczą z tyrsami i girlandami wytworni pastuszkowie w kamizelkach i białych perukach i eleganckie pastuszki w maseczkach i z muszkami na twarzach. Jak miraż obłoków wieczornych, znika wizja, w której już nic nie pozostało z dźwięków Beethovenowskich, i nagle w szarej mgłę znów rozlega się głos struny basowej. Zbliża się zgiełk ulic wieczornych i spelunek biedoty, wyciągają się pomarszczone, kościste ręce, sprzedawcy napełniają rynek głośnymi okrzykami. Następnie rozlega się skrzypienie i potworny, szurzący pisk. Ktoś wbiega po drewnianych schodach do mansardy, lecz dopędzają go tysiące ohydnych, złośliwych stworów. Rozpoczyna się walka, wściekłe stwory wbijają kły w ciepłe, żywe ludzkie mięso. Dzikie dźwięki ustępują miejsca werblowi bębna. Cóż pozostało z Beethovena? Uroczysty majestat surowej muzyki ustępuje miejsca fantasmagorii Paganiniego. Straszliwe fale dźwięków porywają. Ludzie nie patrzą na siebie. A w górze – jasne niebo genueńskie z tysiącami gwiazd i gdzieś w dali słychać śpiew i plusk fal morskich. Nikt nie dostrzega czaru tej nocy, wszystkie spojrzenia skierowane są na czarny punkt – pośepną postać Paganiniego. Oto odrzuca głowę w lewo i jak kat, z całego rozmachu ścinający głowę, wbija smyczek w cztery struny, które posłuszne jego woli, wydają dźwięk dysharmonijny i straszny.

Lekarz w pokoju markiza trzyma Paganiniego za obydwie ręce. Skrzypek zasnął, lecz samego zostawić go nie można. Puls ledwo wyczuwalny, serce prawie nie bije. Była taka chwila, że wydawał się podobny do trupa i tylko lusterko przyłożone do ust pokryło się leciutką mgielką.

Przed murami pałacu kręci się mały człowieczek, który trzyma w ręku cztery pergaminowe arkusze z przygotowanym notarialnym tekstem, wydrukowanym według starodawnego wzoru. Oświadcza on, że signor Paganini kazał jeszcze z rana sporządzić testament i przynieść sobie do podpisu. Pokazuje też list signora Paganiniego, zaadresowany do notariusza w Genui. Polecenie wielkiego maestra zostało wykonane, a ponieważ urząd pracuje bez zarzutu, nie ma więc żadnych podstaw do zwłoki.

Nie wpuszczają go, lecz on twierdzi, że za chwilę ma przyjechać ktoś

wszecmocny i wszechpotężny, przed którym na oścież otwierają się drzwi wszystkich pałaców, i mały człowieczek wejdzie z nim razem. Wtedy signor Paganini podpisze się pod wyhołubionymi w sercu słowami ostatniej swej woli, które polecił wydrukować na pergaminowym zwoju po to, by wszyscy jego krewni byli zadowoleni, jeśli Bóg zechce zabrać jego duszę z tego padółu łez.

Mija pół godziny, nikt nie przyjeżdża; coś zatrzymało człowieka, na którego powołuje się mały kancelista. Mija godzina i człowieczek, otulony w czarny płaszcz, w towarzystwie markiza di Negro wsiada do karety i odjeżdża.

Nie kończące się zaułki i oto wreszcie ślepa uliczka, z której wydostać się można tylko przez przechodni dom. Jest to Passo di Gatta Mora. Tutaj niegdyś chłopak Nicolo wypraszał dodatkową porcję makaronu, tu głód i praca ponad siły wyczerpywały organizm, który po upływie wielu lat choroba zmusza do spłacenia długu. Wielki duch w małym mizernym ciele odniósł zwycięstwo i święcił triumf, lecz przyszła godzina zapłaty i trzeba się liczyć z najdrobniejszym wysiłkiem.

Oto dom, w którym umarła matka. Stąd uciekali w Alpy Szwajcarskie i tu dziecko, wyczerpane trudami podróży, uzbrojone w mały, koślawy smyczek, rozpoczynało zapasy z wielkimi, ciężkimi skrzypcami, walcząc z nimi po czternaście godzin na dobę bez snu i odpoczynku.

Czarna kareta toczy się po nocnych ulicach Genui, lecz Paganiniemu brak powietrza. Odsyła stangreta, wchodzi po marmurowych stopniach na plac i jak wówczas, gdy uciekł od ojca po pierwszej wariackiej wygranej w nocnej spelunce, wstępuje w serce jego potężne uczucie niezależności, wyzwolenia się od ludzi. Skradając się wzdłuż ścian Paganini mija dzielnicę. Nic nie słyhać, ulice są puste. „Tylko w ojczyźnie, tylko w miejscach opromienionych wspomnieniami dzieciństwa czuje człowiek swój bliski kres tak wyraźnie i tak bez pocieszenia” – myśli Paganini przysłuchując się swym krokom i cichemu pluskowi zbliżającego się ku niemu morza. W duszy Paganiniego obudziła się zazdrość wobec najprostszych ludzi, zamieszkujących ten błogosławiony brzeg. Przyśpieszył kroku idąc ku szemrzącym i beztroskim falom. Nie zauważył, jak mały człowieczek niczym szczur przemknął obok i szybko pobiegł na występ białego molo, ku latarni morskiej Darsena Reale.

Paganini zdjął płaszcz, rozpiął surdut, ściągnął krawat i rzucił go do morza. Pierś wystawił na słony wiatr i mocnym krokiem szedł na kamienne molo. Wąski rząd olbrzymich kamieni powstrzymywał po obu stronach

napór słonych bałwanów, krople opryskiwały pierścienie kotwicowe, przy-mocowane do pozieleniałych, zwietrzałych brył kamiennych. Paganini stapał po szorstkich kamieniach nie zważając na piętrzące się fale przypląwu. Słuchał śpiewu morza, wchłaniał świeże morskie powietrze z takim uczuciem, jak gdyby wracało do niego dzieciństwo. Nie widział, że człowiek, który poświęcił całe życie swej wściekłej, zwierzęcej nienawiści do niego, stoi na końcu mola, przy wysokiej kolumnie latarni morskiej i obserwuje go nie spuszczać zeń oka. Paganini nie widział tego człowieka, szedł wprost na niego, a Noviemu zdawało się, że Paganini nie tylko go widzi, lecz przykuwa go swymi czarnymi oczami do kamienia. Paganini nawet nie przypuszczał, że ktoś jeszcze może być na tym kamiennym molo. Novi zaś był pełen nienawiści i strachu. Naraz wydało mu się, że zbliża się jego ostatnia chwila i że ten, którego całe życie prześladował, zaraz do niego podejdzie i potężnymi palcami, silnymi jak stalowa sprężyna, chwyci go za gardło. Potworny strach ścisnął Noviemu krtań. Chciał krzyknąć, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa. Chciał rzucić się do nóg Paganiniego, lecz ręce i nogi były jak z ołowiu.

Śpiew fal, krzyki mew, które obudziły się i krążyły nad latarnią morską, wszystko to zbliżając się ogłuszało skrzypka upojonego widokiem i muzyką morza. Paganini nie widział, jak mała ludzka postać cofała się w przestraszu, by schować się za latarnię morską i, nie obliczywszy kroku, z jękiem podobnym do krzyku mewy nagle spadła z mola. Paganini doszedł do latarni morskiej i już kroczył z powrotem, nie podejrzewając, że w ciągu tych sekund urwało się ludzkie życie.

Rano Paganini czuł się dobrze.

Na piaszczystej mieliźnie pracował stary rybak, wychudzony, zmarszczony, garbatonosy, w skórzanym fartuchu, przepasany liną, na której chybotał się sprzęt rybacki. Mały jego synek głośno śpiewał pomagając ojcu. Złoty się przezroczyste wody zatoki uciszonej o wschodzie słońca, nad morzem unosiła się mgła poranna.

Paganini poznał chytrego Pascarellego ze schroniska, poznał tego towarzysza zabaw dziecińczych, poznał po braku lewego ucha i po wielkiej bliźnie nad lewą brwią. Lecz rybak nie poznał Paganiniego. Kilka razy spojrzął na człowieka siedzącego na kamieniu i pracował dalej z taką samą starannością i równomiernością ruchów jak w latach chłopięctwa, gdy puszczał papierowe stateczki po kałużach w Passo di Gatta Mora.

Schodząc na śniadanie do wielkiej jadalni pałacu di Negro, Paganini trafił w niewłaściwe drzwi. Scena, którą nagle ujrzał, sprawiła, że natychmiast je zatrzasnął. Około dziesięciu osób z ożywieniem rozmawiało w pokoju. Paganini usłyszał swoje nazwisko wypowiedziane ostrym i nieprzychylnym tonem. Poznał tę kobietę w szerokiej błękitnej sukni. Signora Antonia prawie się nie zmieniła – przynajmniej żadnych zmian nie zauważył w niej Paganini, gdy na sekundę spotkał się ze spojrzeniem tej damy.

Podczas śniadania markiz di Negro wydawał się zażenowany. Odrzuciwszy ostatni listek karczocho, Paganini spojrzał markizowi prosto w oczy i rzekł:

– A teraz niech pan mówi.

Di Negro mocno się zarumienił. Pokazał Paganiniemu plik francuskich gazet, które donosiły światu o nagłym zgonie signora Paganiniego na cholera w rodzinnym mieście Genui. Wśród gazet znajdowała się wielka brązowa koperta z mnóstwem stempli i znaczków pocztowych. List od Fräulein Weisshaupt i kilka słów napisanych wielkim dziecięcym charakterem pisma. Dziecko zachorowało z przestachu, obecnie czuje się lepiej.

Po godzinie kareta Paganiniego szalonym pędem mknęła na północ.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zstąpienie do Hadesu

Signor Ferdynand Paer choruje. Malibran, która swoim głosem oczarowała Anglię, nie wróciła z podróży po Wielkiej Brytanii. Podczas koncertu w Manchesterze, w chwili gdy kończyła arię, zachwiała się i bezgłośnie upadła na ręce akompaniującego jej Bériota. Śmierć nastąpiła lekko i momentalnie. Rossini wyjechał z Paryża na zawsze pożegnawszy się z muzyką.

Achillino jest zdrow i szczęśliwy jak nigdy. Pogłoski o śmierci ojca okazały się nieprawdziwe. Ale przewidująca signora Antonia zjawia się wszędzie tam, gdzie może umrzeć signor Paganini. Depcze mu po piętach

w oczekiwaniu jego śmierci. „O szczęśliwy cieniu! – myśli Paganini. – Być może długo przyjdzie ci wędrować po Hadesie”.

Ferdinand Paer robi mu wyrzut o nagłe zniknięcie, ucieczkę z Paryża, o to, że nie dawał o sobie żadnej wiadomości. Mówi, że życie jego chyli się ku wieczorowi.

Harrisa nie ma. Lecz jakże sumiennie spełnił ten bezinteresowny przyjaciel wszystkie swoje obowiązki sekretarza! Dzięki zaangażowaniu dobrego rachmistrza signor Paganini posiada obecnie grubą księgę i wielką safianową teczkę: podsumowany jest tam majątek Paganiniego, uitorowane są drogi, po których złoto będzie płynąć równym strumieniem, dokładnie wyznaczonymi bankowymi łożyskami. Laffitte i Rotszyld na wyścigi starają się przysłużyć wielkiemu skrzypkowi. Pan Rotszyld przeszedł nawet sam siebie. Przez pierwszego dyrektora swego paryskiego banku przysłał signorowi Paganiniemu szpilkę do krawata ozdobioną rubinami i brylantami.

Lecz wrogowie Paganiniego również ani na sekundę nie spuszczały go z oka.

Pewnego razu zjawilo się u signora Paganiniego dwóch panów – Tardif de Petitville i Rousseau-Demelotry, którzy zaproponowali mu, by wziął udział w zorganizowaniu pałacu muzyki w stolicy stolic. Będzie to właściwie dom muzyki, casa – po włosku dom. A więc nazywać się będzie „Casino”. Ma to być dom dla szerokiego kręgu ludzi, założony przez towarzystwo miłośników muzyki. W domu tym, jak w pałacu sztuki, znajdzie schronienie i literatura, i malarstwo, i muzyka, i choreografia, i architektura; słowem, będzie to instytucja o charakterze encyklopedycznym, ozdobiona nazwiskiem największego artysty świata, signora Paganiniego. Wszystko jest już przygotowane. Pan de Petitville kupił pałac „Jomar”. O, jest to piękna okolica koło Chaussée d’Antin. Posiadłość ta była niegdyś własnością pana Pierrego, finansisty z czasów rewolucji francuskiej.

– Dlatego tak chętnie wybraliśmy to miejsce – mówili ludzie o podwójnych nazwiskach, zwracając się do Paganiniego – że signor Pierrri był Włochem. Potem posiadłość ta należała do Arrighiego, księcia Padwy, i tam właśnie został założony pierwszy bank naszego patrona finansowego pana Laffitte’a. Zechce pan podpisać tylko ten statut i te małe papierki.

25 listopada 1837 roku paryżanie po raz pierwszy zebrali się w „Casino”. Berlioz w *Kronice paryskiej* na ostatniej stronie „Gazety Muzycznej” zamieścił złośliwy i pełen oburzenia artykuł z powodu nowej spekulacji signora Paganiniego.

„Osobisty udział znakomitego skrzypka w tym dziwnym «Casino» sprowadzi się do tego, że od czasu do czasu przejdzie się po ogrodzie, jeśli będzie ładna pogoda”.

Paganini wzruszył ramionami: „Czego chce ten człowiek? Zdaje się, że uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, by ulżyć jego losowi”.

Nigdy nie odmawiał Berliozowi żadnej porady muzycznej, odpowiadał na wszystkie jego listy, ale mimo to w kółku bliskich znajomych, gdy rozwiążność języka dochodziła do ostatecznych granic, kiedy sprawdzało się powiedzenie, że najgorszymi zdrajcami są przyjaciele, pan Berlioz stawał się okrutny w stosunku do wielbiciela Paganiniego, młodego Liszta, którego nienawdził i któremu zazdrościł zwłaszcza dlatego, że darzył go względami Paganini. Nazwisko to budziło w Berliozie jakiś zabobonny strach.

Berlioz miał możliwości po temu, by opowiadać o Paganinim znacznie więcej niż wielu jego kolegów muzyków. Pan Berlain, wielki finansista francuski, wydawca gazety „Journal de Débats”, który zaprosił do współpracy Julesa Janina, znał wszystkie plotki krążące o signorze Paganinim. Gazeta korzystała z usług wielu korespondentów, tak anonimowych, jak i podpisujących się własnym nazwiskiem. Codziennie poczta dostarczała ciekawych epizodów z życia signora Paganiniego. Redakcja posiadała nawet jakieś materiały, o istnieniu których nie miał pojęcia wielki skrzypek. A pana Berlaina obchodziło to bezpośrednio, gdyż opera *Esmeralda* wystawiona przez Berliozą według libretta pana Hugo i pana Fouchè nie była obca panu Berlainowi. Córka jego śpiewała w tej operze i jeśli Berlioz rozsiewał plotki o Paganinim, to paryżanie więcej jeszcze mieli podstaw do plotkowania o Berliozie i o jego stosunkach z córką pana Berlaina. Pan Berlioz był żonaty. Ożenek jego był wynikiem braku rozwagi i wyrachowania, gdyż wówczas nie znał jeszcze panny Berlain. A teraz pan Berlioz skazany był na nędzne życie i niejednokrotnie musiał zastanawiać się nad tym, jak uregulować rachunek pracze. Mimo woli musiał zostać korespondentem „Gazety Muzycznej”, jeść śniadania u Julesa Janina, obiady u pana Berlaina, wyrzekać się kolacji i zasypiać z pustym żołądkiem pograżając się po raz setny w lekturze pięknej powieści Balzaka *Jaszczur*. Jakże podobny jest egoistyczny Rafael do signora Paganiniego, posiadającego skrzypce o czarodziejskiej mocy, które jednak nie są w stanie przywrócić mu zdrowia.

I oto pewnego razu na poczcie został nadany pakiet z egzemplarzem *Jaszczura*.

Paganini czyta tragiczną opowieść o Rafaelu, biednym paryżaninie, który

pewnego razu, podobnie jak on sam, wszedł do ohydnej spelunki gry i postawił ostatnią monetę. Dziwne spotkanie w antykwaracie. Ten płat skóry, który rachuje godziny i dni, kurcząc się coraz bardziej po spełnieniu każdego życzenia Rafaela. Potem – ogromne bogactwo materialne, spełnienie wszystkich pragnień i szybkie dogasanie życia. Dzień po dniu, jak unoszone wiatrem kartki kalendarza, lecą godziny i minuty niszcząc życie, a przed oczami zmniejsza się powierzchnia wielkiej skóry wiszącej na ścianie. Oto jej dawny zarys, czerwona linia na białej ścianie i oto dzisiejszy jej rozmiar. Wielkofuska, połyskliwa, ozdobiona tajemniczym napisem w języku starożytnym, skóra ta jest symbolem reszty dni i godzin, które pozostały Rafaelowi. Berlioz wiedział, co czyni zadając ten cios. Osiągnął zamierzony cel. Paganini odczuł nagle całkowite podobieństwo losu Rafaela do własnego.

Wydarzenia, które miały miejsce po powrocie Paganiniego do Paryża, zadziwiają swoją zbieżnością.

Szef biura policyjnego, pan Simoné, główny sekretarz prefektury policji, pan Maleval, „Gazeta Muzyczna”, przedstawiciele duchowieństwa, prawnicy i lekarze paryscy, dziennikarze i recenzenci – wszyscy okazali się nagle wykonawcami jednego, celowo nakreślonego planu.

Harris mieszkający w Anglii otrzymał list, w którym donoszono mu o dziwnych podejrzeniach Paganiniego co do prowadzonych przez niego spraw finansowych skrzyпка. Harris napisał do Paganiniego z propozycją swych usług i z prośbą o zbadanie istoty sprawy. Paganini nie otrzymał tego listu. Harris sądził, że to, co pisano mu o Paganinim, jest prawdą, zamilkł, nie proponując powtórnie swych usług, i skromnie mieszkał w Brighton. Paganini dostał wkrótce wiadomość, że otrzyma do swej dyspozycji wielki statek oceaniczny, który zawiezie go do Nowego Świata. Zaczął szykować się do wyjazdu. Zbyt głośno mówił o swych przygotowaniach i ci, którym potrzebne było jego życie, znaleźli sposób, by przygotowania te sparaliżować.

Jeśli potrzebny był lekarz, zjawiał się specjalny lekarz, jeśli potrzebny był prawnik, zjawiał się specjalny prawnik, jeśli potrzebny był recenzent i przedstawiciel prasy, to znów była to ta sama kreatura tej samej prześladującej go woli, która przybierała postać lekarza lub prawnika.

Rok 1837 był rokiem decydującego ciosu, rokiem, który przyniósł Paganiniemu potępienie i zagładę. Utalentowany i wymowny adwokat NN na wszystkich salach i skrzyżowaniach ulic, wszędzie, gdziekolwiek musiał

być obecny z racji swego zawodu, rozповідаł o obłędzie Paganiniego. „Nie zadowolając się kolosalnym swym bogactwem Paganini zawarł spółkę z bandą spekulantów, giełdjarzy i podejrzanych macherów paryskich, którzy nie mając żadnych funduszy, założyli na pustkowiu «Casino»”.

Wszyscy powtarzali słowa doświadczonego adwokata i gdyby Paganini zwracał więcej uwagi na ludzkie plotki, gdyby czytał afisze paryskie i ogłoszenia w gazetach, przekonałby się, że „Casino” wcale nie jest tak bardzo niewinnym, dobroczynnym przedsięwzięciem. Jest to jego dochód, „Casino” jest dziećciem Paganiniego, „Casino” i Paganini – to jedno i to samo.

Ofiarowując sześćdziesiąt tysięcy franków na zorganizowanie domu sztuki Paganini uważał, że jest to z jego strony szeroki gest wdzięczności dla miasta stanowiącego centrum światowej kultury muzycznej. W tym czasie aferzyści roztrwonili pieniądze skrzypka, wykorzystując jego nazwisko zaciągnęli kolosalne długi, zaczęli robić interesy i od razu postawili Paganiniego wobec faktu takich poczynań, które groziły mu zupełną ruiną, a wcale nie odpowiadały jego zamierzeniom.

Mędrcy adwokatury paryskiej nie wtrącaли się do tych spraw, oczekując, że Paganini sam zwróci się do nich z prośbą o pomoc. Byli pośród nich ludzie liczący na jeszcze większą gmatwaninę, wskutek której Paganini będzie musiał otworzyć kiesę, jak należy. „Casino” coraz bardziej upodabniało się do puszek Pandory napełnionej nieszczęściami.

Pan Rousseau-Demelotry okazał się zwykłym wykonawcą woli i administratorem pana Tardif de Petitville’a. Pan Tardif wyjechał nagle z Paryża.

Signor Paganini obowiązany jest do codziennych koncertów w „Casino”, gdyż publiczność, której to obiecano, żąda tego. Nic ją nie obchodzi, że Paganini jest chory.

Wszystko to jest bardzo śmieszne. Zakrawa na jakiś żart, na który w końcu zwróci uwagę prawo francuskie i obroni wielkiego skrzypka, tak chętnie idącego Francuzom na rękę. Jest to jasne jak dzień. Paganini pisze list do głównego sekretarza prefektury, pana Malevala, i otrzymuje odpowiedź, że monsieur Paganini na próżno sądzi, iż prawo francuskie będzie bronić dzikiej spekulacji nieznanym osobników. Za urządzenia „Casina” Paganini obowiązany jest niezwłocznie zapłacić dwieście tysięcy franków, w przeciwnym razie grozi mu nie tylko sąd cywilny, lecz również ingerencja policji kryminalnej.

Sprawa w sądzie handlowym wyznaczona jest na dzień 7 marca i oto

okazało się, że Paganiniego skazano na zapłacenie wszystkich olbrzymich sum wymienionych w liście Malevala.

Paganini zwraca się do pana NN. Pan NN wzrusza ramionami i oświadcza, że sprawa jest trudna i bardzo skomplikowana. Pan NN jest bardzo wyrozumiały i mimo wszystko obiecuje pomoc signorowi Paganiniemu. I oto zaczyna pomagać. Codziennie przyjeżdża do signora Paganiniego i rozpoczyna swe opowiadania. Przywozi mu „Gazetę Sądową”. Czyta wszystko, co w niej podano o signorze Paganinim. Z punktu widzenia policji i sądu paryskiego signor Paganini to zwykły szantażysta. Założył dla zysku „Casino” i wyprowadził w pole szanowną publiczność jak stary doświadczony spekulant. Pan Paganini będzie miał sprawę w sądzie kryminalnej policji poprawczej.

– Zwolnienie pana od tak ciężkiej kary będzie drogo kosztowało – mówi NN. – Czy wiadomo panu, że Petitville uciekł z Paryża i zabrał wszystkie pieniądze „Casina”? Działał w porozumieniu z tym starym psem policyjnym, Flery. Temu Flery wytoczono proces. Niezadowolony z pana jest także pan Simoné, wniósł na pana skargę do ministra sprawiedliwości, również i sekretarz prefektury, pan Maleval, wniósł do ministra sprawiedliwości analogiczną skargę. Obaj, na dowód rzeczowy świadczący o pańskim szantażu, przedłożyli ministrowi akcje „Casina”, które pan im przysłał jako łapówkę.

Paganini patrzy szeroko otwartymi oczami, jak człowiek, przed którym rozwiera się przepaść. Lecz nagle ogarnia go wściekłość, tupie nogami, wypędza NN i postanawia sam zabrać się do sprawy.

16 marca ogłoszono wyrok we wszystkich paryskich gazetach. Signor Paganini, organizator „Casina”, obowiązany jest grać w nim co najmniej na dwóch koncertach tygodniowo, nie otrzymując za to żadnego honorarium. Każdy koncert może być zastąpiony sumą sześciu tysięcy franków odszkodowania. Dla zabezpieczenia powyższego na wszystkie fundusze „Casina” nakłada się specjalny areszt.

Nie ma już mowy o jakimkolwiek wyjeździe. Od Paganiniego wzięto pisemne zobowiązanie, że nie wyjedzie z Paryża.

Tak mija czas do sierpnia. Paganini miota się jak zwierz w klatce. Choroba jego komplikuje się, co wieczór trzęsie go febra, nocą nękają go koszmary, z gardła idzie krew.

Jacyś osobnicy na podstawie specjalnych przepustek policji eksploatują lokal „Casino”. W ostatnim tygodniu karnawału, we wtorek, niejaka San

Felice na podstawie sfalszowanego listu Paganiniego występowała na estradzie „Casina”. Następnie uciekła razem z kasjerem, zdefraudowawszy pozostałe w kasie pieniądze. Po tym fakcie pan NN, brat żony prefekta paryskiego Gisqueta, przedzierzga się z adwokata w powoda. Przesyła Paganiniemu pozew do sądu i żąda od niego ogromnej sumy za prowadzenie jego sprawy. Paganini odrzuca pomoc pana NN, lecz zostaje zasądzony na grzywnę, co zaspokaja pretensje NN. Paganini pisze list do ministra sprawiedliwości i sprawa zostaje skierowana celem rozpatrzenia do izby sądowej.

Pałac Sprawiedliwości to powolnie pracująca maszyna, gdzie giną sprawy i dokumenty. Podania Paganiniego znikają, jak gdyby pisane były na bryłkach lodu roztopiających się w słońcu, i tylko dzienniki Francji i Europy piszą o niepowodzeniach Paganiniego albo z obrażającym go współczuciem, albo też z przygnębiającą go złośliwością. Nie ma wielkiego skrzypka, jest człowiek pogrążony w odmęcie szantażu, znękany ciężką chorobą. Lekarze zaczęli się interesować signorem Paganinim.

Paganini usiłuje wyrwać się z paryskiego zaduchu. Napisał do Laporte'a a list, w którym wyraził chęć koncertowania w Londynie. Gazety angielskie anonsowały już dni i godziny koncertów. Paganini przygotowywał się do wyjazdu, lecz wyjazd nie nastąpił: Pałac Sprawiedliwości przypomniał sobie, że Paganini prosił o rozpatrzenie jego sprawy i przysłał signorowi Paganiniemu wezwanie, które spowodowało odłożenie wyjazdu do Londynu.

Tego dnia, w którym do Paryża nadeszła wiadomość, że londyńskie gazety donoszą o odwołaniu koncertów, Paganini otrzymał zawiadomienie: sprawa wyznaczona do rozpatrzenia w Pałacu Sprawiedliwości odroczone zostaje do grudnia. Paganini nie wiedział, co począć. Prawie zupełnie opadł z sił.

24 czerwca „Gazeta Muzyczna” ogłasza list signora Paganiniego, który, zdaniem redakcji, świadczy o zupełnym obłędzie signora Paganiniego. List ten uprzejmie podał do wiadomości signor Douglas Lovedey, którego córce Paganini udzielał lekcji gry na skrzypcach. Signor Paganini żąda od pana Douglasa Lovedeya dwudziestu sześciu tysięcy czterystu franków za udzielenie lekcji. Nowy wybuch oburzenia. Paganini staje się ofiarą nieznośnej nagonki w gazetach. Ludzie, którzy do niedawna jeszcze zachwycali się jego koncertami, wzruszają ramionami i mówią: „Co się stało z tym człowiekiem? Dwadzieścia sześć tysięcy franków za lekcje w ciągu niespełna miesiąca! On chyba oszalał!” I gdy znajdowali się dziwacy, którzy mówili,

że coś tutaj nie jest w porządku, inni kiwali mądrymi głowami, i rozlegały się głosy: „Nie znacie tego człowieka!”

Sześć tygodni Paganini bezskutecznie domaga się, by zamieszczono jego sprostowanie. Wreszcie okazane przez niego dowody są tak dobitne, a groźba zwrócenia się bezpośrednio do Ludwika Filipa tak skuteczna, że gazeta zmuszona jest wydrukować list pana Douglasa Lovedeya, poprzedzający list Paganiniego.

W liście tym Lovedey żądał, by za dziewięćdziesiąt dni zamieszkiwania w jego domu Paganini zapłacił czterdzieści tysięcy franków. Oprócz tego, ponieważ miss Lovedey w Londynie udzielała lekcji małemu Achillino – zaledwie dziesięć dni uczyła Achillina grać na fortepianie – pan Douglas Lovedey, grożąc sprawą sądową, żądał od signora Paganiniego po dwa tysiące franków za lekcję. List Douglasa Lovedeya napisany był w tonie kategorycznym i bezwzględnym. Paganini w terminie trzydniowym winien był zapłacić sześćdziesiąt tysięcy franków.

Podając ten list do publicznej wiadomości, Paganini oświadczył:

„Nie udzielałem lekcji jego córce. Odpowiedziałem sir Douglasowi Lovedeyowi, że fantazjować można, jak się komu żywnie podoba. Na przykład za to, że nie udzielałem lekcji jego córce, mogę zażądać dwudziestu sześciu tysięcy czterystu franków lub też jakiejś innej dowolnej sumy, jaka tylko przyjdzie mi do głowy. Nie poruszałem – pisze Paganini – innej kwestii. Pan Harris, mój przyjaciel i sekretarz, w odpowiednim czasie przerwał wizyty brata pana Lovedeya, którego sam pan Lovedey polecał jako najznakomitszego angielskiego lekarza. Nie wiem, czy pan ten posiada dyplom lekarski, lecz po pierwszych dawkach zaleconych przezeń lekarstw doznałem dziwnych objawów. Stan mego zdrowia pogorszył się znacznie. Harris wykrył całe to oszustwo. Znakomity lekarz zadziwił go żądaniem stufrankowego honorarium za codzienne odwiedzanie mnie w mieszkaniu pana Lovedeya nawet wówczas, gdy wizyty te ograniczały się do pytania: «Jak się pan miewa?» Zmuszony byłem wyprowadzić się od pana Lovedeya, przy czym Harris otrzymał od niego pokwitowanie stwierdzające całkowite uregulowanie należności”.

Paganini bał się od pewnego czasu zwracać do lekarzy w Paryżu. Będąc ciężko chory 16 grudnia 1837 roku słuchał koncertu Berlioza. To jest ten dziwny muzyk, który odnosi się z takim lekceważeniem do nazwiska Paganiniego! Okazuje się, że komponuje on wspaniałe rzeczy.

-- To cudowne! – mówi Paganini słuchając *Harolda w Italii*.

Nazajutrz rano Berlioz napisał do ojca list: „Paganini, ten wielki

i szlachetny artysta, wszedł do mnie i powiedział, że tym razem do głębi duszy wzruszony jest koncertem, który stawia mnie na równi z Beethovnem. W tej chwili zaszedł wypadek, który mną wstrząsnął. Pięć minut temu cudowny dwunastoletni chłopczyk Paganiniego, Achillino, doręczył mi list ojca zawierający czek na bank Rotszylda. Jestem więc posiadaczem dwudziestu tysięcy franków. Oto co pisze mi Paganini:

«Drogi mój przyjacielu!

Beethoven umarł i dopiero Berlioz wczoraj go wskrzesił. Doznawszy szczęścia słuchania boskich dźwięków pańskich utworów, proszę, by pozwolił mi Pan spłacić dług wobec geniusza: zechce Pan przyjąć ode mnie w dowód wdzięczności dwadzieścia tysięcy franków, które może pan otrzymać od barona Rotszylda.

Zawsze oddany Panu przyjaciel – Nicolo Paganini»”.

Nieoczekiwanie ukazała się nowa notatka w „Journal de Débats”:

„Nie ma w świecie nic bardziej okrutnego, bardziej niesprawiedliwego i bardziej surowego niż – do czego przyznaję się ze wstydem – artykuły moje, skierowane przeciwko Paganiniemu. Nie miałem zupełnie racji w głębi duszy zgadzając się z tą opinią publiczną, która wytworzyła się dokoła nazwiska Paganiniego. Jules Janin”.

W swej niejasnej wypowiedzi Janin ani słowem nie wspomina o istotnej przyczynie zaniechania przez niego nagonki na Paganiniego.

Brukowe gazety paryskie podniosły hałas z powodu zdarzenia po koncercie Berlioz'a. Bajka o dwudziestu tysiącach franków stała się przedmiotem najbardziej wesołych opowiadań o Paganinim. Mówiono, że Paganini dał Berliozowi nie swoje pieniądze, ale że mademoiselle Berlain rzekomo ubłagała skrzypka, w tajemnicy przed ojcem, wydawcą „Journal de Débats”, by doręczył Berliozowi jej serdeczny podarunek: tym tłumaczy się też notatka współpracownika dziennika pana Janina.

W liście do Ortigue'a Liszt potępił ten filantropijny gest. Inni znów po prostu dawali do zrozumienia, że Paganini dał Berliozowi kradzione pieniądze.

„Pieniądze, wygrane dzięki fałszywym kartom, nie mogą przynieść korzyści Berliozowi” – pisano w gazetce wychodzącej na bulwarze Włoskim.

Lecz Berlioz był uszczęśliwiony. Trzy lata ułatwionej pracy, swobody i szczęścia. Obecnie kończy *Romea i Julię*.

„Zastałem go samego w wielkiej sali – pisał Berlioz do siostry. – Wiesz, że on stracił głos? Bez pomocy jego synka Achillina nie można pojąć, co

Paganini chce powiedzieć. Gdy ujrzał mnie, w oczach jego pojawiły się łzy i czułem, że sam gotów jestem się rozplakać. Czy rozumiesz, Paganini płakał, ten dziki ludożerca i uwodziciel kobiet, obejmując mnie, płakał.

– Proszę nic nie mówić! Nie trzeba mi pańskich słów! Ja osobiście doznałem więcej radości niż pan! – mówił do mnie. – Pan przywrócił mi dawno już utracone odczuwanie prawdziwej muzyki. – Następnie otarłszy łzy, nagle ze śmiechem uderzył ręką w stół i bardzo szybko zaczął poruszać ustami. Potem spojrzął na mnie, z niesłychanym wyrazem cierpienia w oczach. Mały Achillino tłumaczył mi te bezdźwięczne słowa.

– Jestem szczęśliwy – mówił Paganini – osiągnąłem szczyt błogości. – Teraz żaden z tych nędzników atakujących pana w prasie nie ośmieli się powtórzyć swego oszczerstwa. Jestem autorytetem w dziedzinie muzyki i stwierdzam, że jest pan wielkim muzykiem”.

Berlioz naprawdę był wzruszony. Wzruszenie to przeszkadzało mu mówić. Perspektywa urzeczywistnienia wszystkich możliwości straconych przez kompozytora podczas dni głodu i nędzy sprawiła, że był jednocześnie zachwycony i oniemiały podczas rozmowy z Paganinim. Lecz oto minęła chwila zażenowania. Berlioz pyta Paganiniego o zdrowie, jest zrozpaczony, że widział skrzypka na estradzie w pełni zdrowia, w pełni sił twórczych, a teraz stoi przed nim zmęczony i wyczerpany do ostatnich granic człowiek, który bezinteresownie uczynił wielkie dobrodziejstwo, mimo że zdrowie jego tak jest nadwerżone, iż powinien myśleć jedynie o ratowaniu własnego życia.

Berlioz zaczął mówić o tajemnicy czarodziejstwa, która z taką pełnią odsłania się wielkiemu skrzypkowi. Paganini pokiwał głową. Achillino powtórzył słowa ojca:

– Moja tajemnica nie jest rezultatem przypadku, lecz owocem długiej i ciężkiej pracy. Niech pan zgłębia naturę swego instrumentu. Proszę zbliżyć się do niego z myślą, że nie poznał go pan całkowicie. Właściwości skrzypiec są o wiele bogatsze, niż sądzili moi poprzednicy.

– Mówią o panu jako o kapłanie Izydy – odpowiedział na to Berlioz.

– O nie – odparł Paganini – moje bóstwo ma prostsze imię: skrzypce.

Berlioz długo wahał się, czy powinien mówić o tym, o czym wiedział na skutek swoich kontaktów z paryskimi tygodnikami i gazetami. Chciał uprzedzić Paganiniego o nowych niebezpieczeństwach. Czuł się w obowiązku to uczynić i jednocześnie wydało mu się, że rozpocząć rozmowę o ciężkich i denerwujących sprawach podczas wizyty u człowieka, który

wyświadczył mu dobrodziejstwo, jest niemożliwe. Berlioz wahał się, był zażenowany, wreszcie niezgrabnie pożegnał się i wyszedł. Przecucie nadciągającej katastrofy, która prawie że nieuchronnie miała nastąpić tu oto w Paryżu, ogarnęło go natychmiast, zaledwie wyszedł na ulicę. Chciało mu się krzyżeć, wołać o ratunek dla Paganiniego. To, co działo się tu w tajemnicy i prowadziło jakimiś nieznanymi drogami do owego sztabu, który opracowuje nowe sposoby napaści na Paganiniego, wydało się Berliozowi potworne. Ale myśl o dobrobycie, szczęściu i niezależności upajała go. Jeszcze jedna minuta – i wszystkie myśli o Paganinim znikły. Czek na bank Rotszylda, błyszczące złote krążki; skromny, lecz wytworny wieczór w gronie dobranych ludzi, by uniknąć zbyt wielkiego hałasu – muzycy są zazdrośni... „Rzeczywiście, co mógłbym zrobić dla tego dziwnego człowieka?” – oto myśli i uczucia Berlioza.

Doktor Lallemand, polecony przez przyjaciół i wielbicieli, stwierdził pogorszenie stanu zdrowia chorego.

– Cały Paryż interesuje się pańskim zdrowiem – rzekł zwracając się do Paganiniego.

„O tak – myślał Paganini – wiem, że cały Paryż. Sprawa w pierwszej Izbie znów odroczone, znów grozi mi niebezpieczeństwo”. Patrzył na lekarza smutnymi, poważnymi oczami, a usta szeptały słowa nie mające nic wspólnego z jego zdrowiem.

Stopniowo z redakcji „Journal de Débats” i „Gazety Muzycznej” zaczęły wszędzie przenikać wiadomości o bardzo ciężkim stanie zdrowia Paganiniego.

Czterej najznakomitsi lekarze paryscy zostali wezwani na konsylium przez doktora Lallemanda. Po skrupulatnych oględzinach Paganiniego udali się na naradę do sąsiedniego pokoju.

Młody lekarz Lasegue orzekł, że Paganini cierpi na manię prześladowczą w ciężkiej formie. Stary czcigodny psychiatra Foville, autor dysertacji o manii wielkości, dowodził, że Paganini jest opętany przez *mania grandiosa*. Jedyne Jean Cruveilhier zwracał uwagę na symptomy zupełnego wyczerpania nerwowego i sięgając do źródeł biografii pacjenta, zadziwił czcigodnych kolegów wnikliwą znajomością dziecinnych lat i młodości Paganiniego.

– Byłem już u niego raz – mówił Cruveilhier – w dniu, gdy ktoś przeprowadzał na naszym pacjencie doświadczenie ze środkiem wynalezionym przez kolegę Souberaina.

– Jak? Co? – zapytał doktor Rostand poprawiając okulary.

– Tak – rzekł Cruveilhier – uśpiwszy gospodarza chloroformem bandyci wynieśli z jego mieszkania worek napełniony złotem.

– Lecz sądzę, że nie ucierpiał zbyttnio z tego powodu – rzekł Rostand solidaryzując się z pogłoskami o niezwykłym bogactwie Paganiniego, jakie krążyły po Paryżu.

Odezwał się doktor Lasegue:

– Cechą charakterystyczną tego człowieka jest wyjątkowa niechęć do wszelkiej recepcji. Uważam, że ten twór natury, zwany signorem Paganinim, posiada kolosalną siłę sprzeciwu wobec wszystkich zjawisk obcych jego naturze. Jest to natura obdarzona wyjątkową aktywnością twórczą. Uważam się za kompetentnego w dziedzinie muzyki i mam zaszczyt zakomunikować kolegom, że ani jeden utwór jakiegokolwiek kompozytora nie był zagrany przez Paganiniego bez absolutnej przeróbki, do tego stopnia jaskrawie odzwierciedlającej cechy charakterystyczne własnej indywidualności Paganiniego, że kompozytorzy, których utwory gra, mają pełną podstawę, by uważać się za obrażonych. Ten wewnętrzny opór wobec obcej twórczości i wulkaniczny ferment własnych uczuć i myśli łączą się w pacjencie z hipertrofią indywidualizmu, a wynikiem jego jest spalanie się systemu nerwowego we własnym ogniu. Po każdym nowym występie spalanie się to będzie szło *crescendo*.

– Uważam, że stan jego jest beznadziejny – dodał porywczo doktor Cruveilhier. – Wyczerpanie, jakie miało miejsce w dzieciństwie, i męcząca, nieludzka praca stały się podatnym gruntem dla tej choroby, która rozwinęła się teraz w gorączkowym tempie. Dla pana Paganiniego nie ma ratunku. Jest to gruźlica, która przerzuciła się z krtani na inne części organizmu; następstwem jej wkrótce będzie uszkodzenie wszystkich tkanek. Paganini podobny jest do ołowianego czajnika, który znalazł się przy biegunie północnym. Twardy, spoisty metal pod wpływem mrozu arktycznego przemienia się w proszek. Nie ma ratunku. Każdy nowy koncert odbierze mu pięć lat życia. Sądzę, że wystarczy dziesięć koncertów, by na jedenastym Paganini upuścił skrzypce i umarł.

– Czy ma on spadkobierców? – lekkomyślnie zapytał Lasegue.

Cruveilhier nic na to nie odpowiedział.

– Prawdopodobnie – rzucił w powietrze psychiatra Foville. – Mówią, że sprawy jego są bardzo zagmatwane. Doszły mnie słuchy, że pisał do Ministerstwa Sprawiedliwości, ale bezskutecznie. Minister Laffitte miał rację, gdy oświadczył, że panowie bankierzy będą teraz organizować władzę. Złota arystokracja, mająca przedstawicieli w naszym rządzie, nie

lubi, gdy ludzie z obcego obozu mają się takich środków, za pomocą których postanowił wzbogacić się Paganini. Wynajął on jakichś aferzystów, Petitville'a i Rousseau, i zamierzał, ukrywając się za ich nazwiskami, zabrać się w Paryżu do dochodowej spekulacji. Sprawa spaliła na panewce i Paganiniego oddano pod sąd. Gdyby obraził kogokolwiek publicznie, oczywiście przebaczone by mu, ale chęci wzbogacenia się w Paryżu, i to w ten sposób, nie wybaczą mu.

– Co pan mówi? – rzekł Cruveilhier. – Na cóż go skazano?

– Ależ zagadaliśmy się – zamiast odpowiedzi odezwał się Foville.

Cruveilhier nie rozpytywał dalej, gdyż wiedział o wiele więcej niż jego koledzy. Doktor Rostand wyjął z pugilaresu złożoną we czworo ładną kartkę papieru listowego, zajrzał do niej, znów złożył i schował.

– A więc skazujemy pacjenta na śmierć. Będę musiał zasmucić pana Laffitte'a, który pisze mi o konieczności udzielenia pomocy Paganiniemu.

Lekarze spojrzeli po sobie.

– Do kogo jest zaadresowany list pana Laffitte'a? – zapytał Cruveilhier.

Choć pytanie to było dość dziwne, Rostand odparł:

– Tak, ma pan rację: list był zaadresowany do Fakultetu, a nie do mnie osobiście.

Cruveilhier opuścił głowę.

– A więc – rzekł doktor Foville – wszyscy się wypowiedzieli prócz Lallemanda, który nas zwołał.

Lallemand, który stał przy oknie i nie powiedział dotąd ani słowa, rzekł:

– Fakultetowi ja złożę sprawozdanie, a nie doktor Rostand. Świat medyczny Paryża jest odpowiedzialny za życie skrzypka.

– O tak, oczywiście, oczywiście – odezwali się chórem wszyscy lekarze z najbardziej kwaśnymi uśmiechami.

– A więc od dnia dzisiejszego – kategoryczny zakaz jakichkolwiek występów na koncertach – rzekł Cruveilhier.

– Ależ, drodzy koledzy! – zawołał doktor Lallemand. – Jak można w stolicy Francji pozwolić... – Lallemand urwał nie mogąc znaleźć słów.

– Medycyna nie wdziera się do mieszkań prywatnych – gniewnie rzekł Foville. – Cóż mogą zrobić lekarze paryscy, gdy pacjent sam jest przyczyną swojej choroby, a sądownictwo Paryża stwarza atmosferę niezbyt dobrą dla naszego pacjenta!

Fraülein Weisshaupt na znak dany przez doktora Lallemanda przyniosła koperty z cienkimi papierkami czekowymi w każdej. Lekarze, hałaśliwie rozmawiając, wyszli. Pozostał tylko Lallemand, który usiadł przy łóżku

Paganiniego i zaczął go stanowczo namawiać, by poddał się diagnozie Fakultetu i porzucił skrzypce.

– Drogi przyjacielu, kochany maestro – mówił Lallemand – od tego dnia, kiedy skorzystałem z pańskiego zezwolenia, by rozłączyć pana z muzyką, skrzypce znajdują się u pańskiego przyjaciela Alianiego. Niech je pan u niego zostawi i pojedzie ze mną na południe. Zapewniam, że w ciągu niespełna roku pan zupełnie wyzdrowieje. Dokąd chciałby się pan udać?

– Muszę zapytać o to mego szefa – napisał Paganini na tabliczce.

Zawołano szefa. Wbiegł rozbawiony, wesoly i śmiejący się. Przyniósł paczkę listów, które wyrwał pani Weisshaupt. Rozrzuciwszy je po podłodze, podskakując, z zachwytem przyjął propozycję doktora Lallemanda, który zalecał, by udać się na południe Francji nad morze.

W chwili gdy mały Achillino skakał po posadzce przed ojcem, cztery niezwykle elegancko ubrane osoby czekały na dole przy bramie domu, w miejscu gdzie stangreci czterech powozów oparli się o słupy latarni gwarzyli na temat algierskiej wojny, powstania Arabów i o tym, że siostrzenica jednego ze stangretów, Fanchette'a sprytnie usidliła młodzieńca, fryzjera z ulicy Rivoli.

Lecz oto doktorzy w kolorowych cylindrach i wytwornych surdutach ukazali się na schodach. Stangreci podążyli do swych koni.

Grupa elegancko ubranych osób podeszła do lekarzy: Hugo, Lamartine, Musset i George Sand. Z wielkim niepokojem szukali oczami człowieka, do którego najłatwiej byłoby się zwrócić.

– Z kim mam zaszczyt? – zaczął doktor Cruveilhier, gdy Musset zbliżył się do niego. Potem szczerząc zęby w uśmiechu, całą swą istotą wyrażając uprzejmość, Cruveilhier wyciągnął rękę do George Sand i uklonił się Mussetowi.

– Co najwyżej żyć będzie jeszcze miesiąc lub dwa – rzekł Cruveilhier.

George Sand klasnęła w dłonie. W tym samym czasie zza węgła wyszedł człowiek średniego wzrostu, z długimi włosami i o żywych, błyszczących oczach: był to Liszt. O mało nie spóźnił się na umówioną godzinę.

Paer leżał na łożu śmierci. Wołał w malignie Paganiniego. W chwili gdy czuł się lepiej, przerzucał papiery, leżące na dużym biurku przy łóżku. Znalazł potrzebny mu dokument, włożył do grubej, szarej koperty, a po zapieczętowaniu jej potrząsnął dzwonkiem stojącym na biurku. Weszła signora Riccardi. Jeszcze raz zrobiła mężowi wymówkę, że nie pozwala

odsunąć biurka od łóżka, wzięła kopertę i wyszła. Paer przeczuwał swój zgon, nie czekając przeto na specjalne zezwolenie Paganiniego, odesłał do paryskiego konserwatorium dokument napisany przez jego ucznia w pierwszych dniach szczęśliwego pobytu w Paryżu. Wieczorem signor Ferdinand Paer rozstał się z życiem.

W konserwatorium do dokumentów dotyczących pobytu signora Paganiniego w Paryżu dołączono jego własne oświadczenie. Zaczynało się ono od prostych słów:

„Szanowni Panowie, przyjęcie, jakie raczyło mi zgotować społeczeństwo Francji, pozwala przypuszczać, że nie zawiodę tych nadziei, które pokładało we mnie przed moim przybyciem do Paryża.

Gdyby z racji mego powodzenia mogła we mnie powstać jakaś wątpliwość, to rozproszyłaby się ona przez to, że mury Paryża oblepione są moimi portretami, podobnymi i niepodobnymi do mnie. Lecz chodzi o to, że wysiłki portrecistów nie ograniczają się tylko do tego, by uchwycić moje podobieństwo. Dziś przechodząc przez bulwar Włoski, zobaczyłem litografię, na której znów, jak przed laty, przedstawiono mnie w więzieniu. «Nie ma co – pomyślałem – ludzie uważają, że mogą żerować na tym oskarżeniu, które już od lat piętnastu ciąży na mnie.»

Widocznie na temat mego pobytu w więzieniu istnieje wiele wersji nadających się jako materiał do przeróżnych ilustracji. Jedni na przykład opowiadają, że miałem rzekomo zastać u mej kochanki rywala i że zabiłem go, zadając mu cios z tyłu, w chwili gdy pozbawiony był możliwości obrony. Inni są natomiast zdania, że moja wściekła zazdrość skrupiła się na mojej kochance. Nie są zgodni tylko co do jednego – w jaki sposób uważałem za stosowne miłą tę kobietę wysłać na tamten świat: jedni zapewniają, że użyłem do tego sztyletu trójgraniastego, a inni – że wolałem truciznę. Co się tyczy mnie, to sądzę, że są ludzie, którzy nie mają skrupułów wymyślając i rozgłaszając o mnie tego rodzaju plotki. Ale cóż wobec tego mam rzec o rysownikach, którzy korzystają z prawa przedstawiania mnie na swych rysunkach według swego widzimisię.

Przytoczę dla przykładu zdarzenie, jakie miało miejsce piętnaście lat temu w Padwie. Koncertowałem tam i o ile zdołałem zauważyć, koncerty miały powodzenie. Nazajutrz po koncercie siedząc za *tables d'hote'em*, jak to było w moim zwyczaju, skromnie i starając się nie zwracać na siebie uwagi, byłem świadkiem rozmowy sąsiadów o moim koncercie. Jeden ze współbiesiadników nie szczędził pochwał, sąsiad jego był nie mniej pochlebnego zdania. «Kunszt Paganiniego wcale mnie nie zadziwia – nagle

wtrącił trzeci współbiedziak. – Sądzę, że jeśli spędził on osiem lat w więzieniu i przez ten czas nie odbierano mu skrzypiec, to cóż miał innego do roboty od rana do wieczora? Co się zaś tyczy osadzenia go w więzieniu, został skazany za to, że w najpodlejszy sposób zarzął mego przyjaciela, który rywalizował z nim o kobiety. Całe miasto było oburzone nikczemnością tej podłej zbrodni Paganiniego.»

Nikt nie przypuszczał, że wtrącę się do rozmowy. Po prostu zwróciłem się do tego spośród mówiących, który uważał, że jest osobą najlepiej poinformowaną co do moich przestępstw. Wtedy wszyscy siedzący przy stole naraz obrócili się ku mnie. Wyobraźcie sobie efekt i zdziwienie. Cała publiczność siedząca w hotelowej restauracji poznała we mnie notorycznego przestępcę i łotra. Opowiadający był zdetonowany. Okazało się, że zabity nie był wcale jego przyjacielem i że słyszał jedynie tę opowieść z trzecich, czwartych, piątych ust. Z zawstydzoną i żalną miną mówił, że, być może, wprowadzono go w błąd.

Szanowni Panowie! Widzicie, jak złośliwie można sobie igrać opinią artysty. Ludzie skłonni do lenistwa nie potrafią pojąć, że człowiek, który dąży do wielkiego celu, może wytrwałą pracą osiągnąć go we wszelkich warunkach, może długo i intensywnie pracować w tajemnicy po nocach, a nawet wtedy, gdy dla pozorów prowadzi rozmowę, gdy przemyka oczy lub też po prostu chodzi po ulicach. Dlatego też nierób i pasożyt żyjący na ciele społeczeństwa winien być zamknięty do pojedynczej celi, by zrozumiał twórczą samotność myśli człowieka, który wśród całego tego szumu miejskiego pozostaje sam na sam ze swym sumieniem twórczym.

W Wiedniu byłem świadkiem jeszcze dziwniejszego zdarzenia. Cóż to jest, Szanowni Panowie? Curiosum łatwowierności, podsycone przez entuzjizm dla mej gry, czy też jakaś złośliwość z premedytacją? W Wiedniu grałem wariacje na skrzypce pod tytułem *Czarownice*. Wywarły one niezwykle wrażenie. Lecz zobaczyłem młodego człowieka o bladej twarzy, z bródką, garbatym nosem, o oszalałym spojrzeniu, nienaturalnie podnieconego. Patrzył na mnie i głośno zapewniał sąsiadów, że ani trochę nie zadziwia go moja gra, gdyż zupełnie wyraźnie widzi za mymi plecami diabła we własnej osobie, kierującego ruchami mych rąk i pociągnięciami mego smyczka.

«Patrzcie – mówił ten młodzieniec – jakie uderzające podobieństwo do samego Paganiniego. Diabeł i Paganini to jedna i ta sama osoba, tylko że rozdwojona. To bliźnięta – jeden ubrany na czarno, drugi na czerwono. Spójrzcie Paganiniemu za plecy, a ujrzycie istotę w czerwonym odzie-

niu, z rogami, kozią bródką, z wystającą dolną wargą, uśmiechającą się i ochryple chichoczącą. Czerwony ogon uderza w pantofle signora Pagani-niego».

Szanowni Panowie! Po takim zdarzeniu nawet ja sam gotów jestem uwierzyć w prawdziwość tych słów. I stąd bierze się taka ogromna ilość ludzi, którzy tłumaczą tajemnicę mej sztuki tym, że mam konszachty z diabelską, nieczystą, złowrogą i piekielną siłą. Szanowni Panowie, oburzały mnie i do szału doprowadzały te ohydne historie. Usiłowałem dowieść, że są absurdalne i warte śmiechu. Moja biografia jest prosta i smutna. Szanowni Panowie! Od czternastego roku życia bez przerwy występuję publicznie. Pięć lat z rządu byłem dyrektorem i nadwornym kapelmistrzem w Lukce. Proszę do tego dodać, że w ciągu ośmiu długich lat wiele dni i wiele nocy siedziałem w pojedynczej celi więziennej za zabójstwo mojej kochanki i mego rywala – a zobaczycie, na podstawie zwykłego arytmetycznego wyliczenia, że rok mego przestępstwa, zabójstwa i zesłania na galery przypadł na czas, gdy miałem zaledwie siedem lat. Jako siedmioletni chłopak miałem już kochankę i zabiłem rywala.

W Wiedniu, w sławnym mieście sztuki, zmuszony byłem powoływać się na świadectwo posła mojej ojczyzny. Wystawił mi zaświadczenie stwierdzające, że on, poseł najjaśniejszej Italii, znał mnie dwadzieścia lat jako uczciwego i przyzwoitego człowieka, a ja osobiście w każdej chwili mogę dowieść, że rzucane na mnie oskarżenia są niczym innym jak bezczelnym oszczerstwem”.

Rozdział trzydziesty drugi

Oddech mistralu

Wiatr południowych miast Francji gwizdząc hula sobie po polach i nagle, wpadając w ulice małych miasteczek, wściekle szarpie wierzchołki drzew, zwija liście w kłębki i obala latarnie na miejskich placach. Wyrывa z korzeniami drzewa i wywraca kamienie. W wąwozach górskich, a nawet w małych krętych zaułkach i w okienkach mansard zaczyna nagle swój

śpiew podobny do głuchych i niskich dźwięków organów. Jest to „dobroczynne bóstwo Prowansji”, jak nazywają go południowcy. Dmie z północnego zachodu i zawsze przynosi ze sobą jasną pogodę. Łamiąc drzewa jak trzcinę, unosi w powietrze żwir i kamyki. Biada, jeśli człowiek trafi na ten pionowy słupek kamienny, posuwający się po drodze na podobieństwo mnicha. Ta niewielka trąba powietrzna, człekokształtna, powstająca nie wiedzieć skąd, odrzuca przechodniów w rowy przydrożne. Owce biegną i zbijają się w ciasny kłębek, zaledwie usłyszą świst mistralu.

Kareta Paganiniego jechała trzecia z rzędu, nie zważając na zakaz doktora Lallemanda, który chciał uchronić chorego od kurzu. Signor wyraził życzenie, by kareta Achillina koniecznie jechała pośrodku, tak aby przez cały czas mógł ją widzieć.

Lallemand pisał sprawozdanie dla swych starszych kolegów.

„Z Paganiniego pozostał tylko cień. Stracił całkowicie głos. Głosu już nie odzyska i jedynie płomienne oczy i niezręczne ruchy, do których przywykliśmy, umożliwiają nam porozumiewanie się z nim. Zgadza się grać w Marsylii kwartet Beethovena, gdy go o to proszą; nie zważając na mój zakaz sprowadził skrzypce Guarneriego i Stradivariusa od Alianiego. Ten agent jego sławy wysiadł z nim przed chwilą z karety. Rzecz w tym, że na Martynice wiele jest ofiar niespodziewanej katastrofy. Paganini zamierza dać w Marsylii koncert dobroczynny mimo mego zakazu”.

12 maja 1839 roku w Paryżu „Towarzystwo Pór Roku” przykuło uwagę Francji. Na ulicy Bourg l'Abbé oddział powstańców zawładnął magazynami broni, a przywódcy nawoływali paryżan do chwycenia za broń. Przy Pałacu Sprawiedliwości powstańców odparto, wtedy zbudowali barykadę na ulicy Grenelle, lecz pod wieczór strzelanina ustała. Barbès, Blanqui, Bernard i Guinbeau zostali aresztowani i rozpoczął się proces „Towarzystwa Pór Roku”. A na południu zaczął działać nowy związek karbonarski „Młoda Italia”.

W tych dniach, gdy Pałac Sprawiedliwości zaprzątnięty był ważniejszymi sprawami niż sprawa Paganiniego, nagle wyłonił się jeszcze jeden proces przeciwko skrzypkowi. Sprawa wskutek apelacji niespodziewanie przyjęła nowy obrót. W czasie nieobecności Paganiniego zaczęło się uzupełniające badanie wszystkich jego zbrodni i wyrok sądu pierwszej instancji został zatwierdzony.

Doktor Lallemand nie odważył się powiedzieć o tym Paganiniemu, bał się, że nagle zdenerwowanie może się skończyć śmiercią. Wyrok był następujący: oprócz uiszczenia jednorazowych kar, oprócz konfiskaty

majątku Paganiniego na pokrycie wszystkich pretensji powstałych w związku z urzędzeniem „Casina” Paganini zobowiązany był grą na skrzypcach, czyli koncertami bez honorariów, pokryć wszystkie pretensje niespodziewanie zjawiających się ofiar jego zachłanności. Na mocy wyroku sądu królewskiego „signor Nicolo Paganini obowiązany był grać w Paryżu w «Casino» nie mniej niż dwa razy w tygodniu, a pożądane byłoby, żeby grał codziennie”. Gdyby zaś zdarzyło mu się występ jakiś opuścić, to za każdy opuszczony z dwóch obowiązkowych w tygodniu koncertów winien Paganini zapłacić karę w wysokości sześciu tysięcy franków.

Lallemand czuł, że włosy stają mu dęba. Chwytał ołówek i zaczął liczyć. Zdawało mu się, że majaczy. Kilkakrotnie od nowa czytał ten wstrząsający dokument. Nie! W cyfrach nie było omyłki, błąd w jednym wierszu byłby poprawiony w następnym, lecz wszędzie figurowała cyfra sześciu tysięcy franków za każdy opuszczony dzień.

Lallemand oblicza na kartce papieru – trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, a więc sto dwadzieścia opuszczonych koncertów w roku pozbawia signora Paganiniego połowy jego majątku. W każdym razie, sądząc z danych, które są w posiadaniu Lallemanda, w ciągu jednego roku Achillino Paganini może stać się nędzarzem. Jeśli Paganini w ciągu dwóch lat nie będzie występował z koncertami, zostanie kompletnie zrujnowany. „Mówią, że majątek jego dochodzi do trzech milionów franków” – rozważa doktor Lallemand. Z wyroku wynika, że każdy dzień życia ojca rujnuje syna, gdyby bowiem Paganini dziś lub jutro umarł, to pretensje staną się nieważne. Każdy koncert – to trucizna dla ojca. Śmierć ojca sprawi, że spadek zostanie nietknięty. Jest to szatański plan. Ludzie ci chyba wiedzą, że kilka koncertów w obecnym stanie chorego wystarczy, by pożegnał się z życiem.

Rząd ma wiele kłopotów. Zajścia na ulicy Bourg l'Abbé świadczą o tym, że Francja żyje jak na wulkanie. Czy może ktokolwiek z rządu zajmować się takim głupstwem jak ratowanie z rąk oprawców największego skrzypka świata, który mieszka u pana Sergenta w Nicei?

Pan Sergent, u którego zamieszkał Paganini, nie zdradza chęci opowiadania o swej przeszłości. Był członkiem komitetu rewolucyjnego, dobrowolnie opuścił Francję w dniu, gdy gwiazda jej wolności upadła do stóp pierwszego konsula. Towarzysz życia Robespierre'a i Marata przebywał w Nicei w latach, gdy Charlota Robespierre wałęsała się na brzegu morza

z chuderlawym porucznikiem Bonaparte. Kto mógł wtedy przypuszczać, że porucznik ten zostanie cesarzem Francuzów! Obecnie starszek Sergent, w ciemnozielonym surducie, w czystej holenderskiej bieliźnie, spędza ostatnie lata życia na brzegu morza i odnajduje pokój panu Paganiniemu.

Lecz pod wieczór, gdy doktor Lallemand siada ze starszkiem na ławce, w ogrodzie, Sergent opowiada doktorowi historię marmurowego krzyża, stojącego na drugim krańcu przedmieścia. Papież Pius VI, jeniec Bonapartego, kilka dni spędził w Nicei po drodze do Savony. Nicea od niedawna z rozkazu Napoleona, przyłączona została do Francji. Rzeczka Var, dzieląca w tym miejscu obszar francuski od włoskiego, łączyła swe brzegi za pomocą małego mostku i oto papież zobaczył na drugim brzegu klęczącą kobietę. Wysiadł z karety i udał się na jej spotkanie. Tam, gdzie stoi marmurowy krzyż, miało miejsce wzruszające spotkanie rzymskiego arcykapłana z inną ofiarą despotyzmu Bonapartego, królową Etrurii, zesłaną tego roku do Nicei.

– 9 lutego 1814 roku – mówił Sergent – na północy grzmiały armaty. Bonaparte został obalony, a drugi już jeniec, papież Pius VII, wracał wolny do swej stolicy.

Marmurowy krzyż, postawiony przez służalczych mieszczan, napawał Sergenta głębokim wstrętem.

– Tutejsza ludność jest zabobonna – mówił do doktora Lallemanda. – Zresztą już od wielu lat dałem sobie słowo, że nigdy nie będę mówił o polityce.

W dniach, gdy doktor najbardziej był zaniepokojony wiadomościami z gazet o ponownym wszczęciu procesu sądowego i o skierowaniu sprawy dotyczącej „Casina” do sądu królewskiego, Paganini poczuł się nagle lepiej.

Czysty, wyraźny dźwięk słyhać było w ochrypłych słowach, gdy Paganini poruszał ustami, i choć Lallemand przekonany był, że jest to krótkotrwały przebłysk energii, zadziwiła go niesłychana odporność organizmu tego człowieka z ludu, tego prawdziwego genuieńczyka, chuderlawego, wysuszonego, z żyłami podobnymi do stalowych lin, człowieka, który przemierzył więcej kilometrów wielkiej drogi po Europie niż pokolenie generałów napoleońskich w czasie wypraw wojennych. Paganini lubił w tych dniach mówić o tym, że „można by wymierzyć co do jednego *palma* odległość od estrady do estrady, od miasta do miasta”. Całe życie spędził w karecie, w domach zajęzdných, w salach koncertowych, w przydrożnych oberżach,

w luksusowych hotelach, dokąd wnosił niewybredne nawyki człowieka przyzwyczajonego żyć o głodzie.

Korzystając z tego, że może mówić, Paganini dzielił się z doktorem Lallemandem swymi sądami o muzyce, mówił, że po wyzdrowieniu chciałby wybudować olbrzymie konserwatorium muzyczne dla całej Italii. Mówił o początkach nowej sztuki z ogromnym ożywieniem, z tak zrównoważoną mądrością w oczach, z tak jasnym umysłem, że Lallemand był już pewien zupełnego zwycięstwa organizmu nad chorobą.

Lallemand notował sądy Paganiniego o rytmie muzycznym: „Signor Paganini traktuje rytm jako prawo wewnętrzne zjawiska ruchu. Mówi, że czas jest formą ruchu materii i że wewnętrzne prawo ruchu wyraża się w czasie – częstym przeobrażaniem rytmu w dźwiękach. Muzyka jest ucieleśnionym rytmem. Jest to najsubtelniejsza forma ruchu materii, która najlepiej wyraża wewnętrzne prawo zjawiska ruchu”.

– Doszedłem do tego okrężnymi drogami – mówił Paganini – ślady tego znalazłem wszędzie. Istnieje sposób pokonania przestrzeni przez przyśpieszenie ruchu w czasie. Czyniłem to w tym celu, by wszędzie zasiać ziarna nowej muzyki. Dobro, prawda, piękno, ład duszy jednego człowieka znajdujące oddźwięk w uczuciach innych ludzi, cały świat stosunków międzyludzkich – wszystko to jest skończonym łańcuchem rytmicznym. Dobro i zło, prawda, piękno, rytm, harmonia, a potem bezład – to jest właśnie arytmia. Bezład wniesiony do rytmu historii rodzi burze, niepokój i dysharmonię w społeczeństwie ludzkim, podobnie jak kamerton nieprawidłowo nastrojony rozrzuca proszek likopodium na płycie. Rytm można znaleźć prawie wszędzie. Godne jest uwagi, jak natura rytmicznie powtarza zmianę pór roku.

Paganini urwał na tych słowach wypowiedzianych dość głośno. Drzwi z lekka otworzyły się i skrzypnąwszy ucichły. Pan Sergent wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Nie było tam nikogo.

– Nikogo nie ma – rzekł wróciwszy i usiadł w fotelu przy otwartym oknie.

Skoś trójkąt utworzony przez brzegi ciężkich, aksamitnych portier wdzierało się wesoło słoneczne południe z wszystkimi barwami i dźwiękami, z wiatrem morskim, świergotem ptaków, szumem spienionych fal rozbijających się o brzeg. Orzeźwiający cichy wiatr biegł po liściach, wprawiając w ruch gałęzie i kołysząc z lekka frędzle portiery.

Wielkie staroświeckie sale przylegają do pokoju chorego. Dokoła panuje

absolutna cisza. Skrzypce leżą na fotelu obitym aksamitem. Paganini z wyrazem znużenia na twarzy odrzuca głowę do tyłu.

– A zatem uważa pan, że dobro i miłosierdzie boże nie są absolutnymi pierwiastkami świata? A gdzie jest miejsce dla Kościoła?

Paganini pokiwał głową: zdawało się, że nie zrozumiał tych słów.

Jasnowłosy, błękitnooki chłopiec gra w serso w ogrodzie pod oknami skrzypka. Złoty krążek wlatuje przez okno i elastycznie odbijając się od portiery pada na kołdrę u nóg Paganiniego. Rozlega się pukanie do drzwi, ukazuje się przerażona twarz Fräulein Weisshaupt, oczy jej z wyrazem silnego napięcia patrzą na Paganiniego.

– Niechże pani wejdzie, proszę się nie bać, Fräulein! – mówi Paganini.

Staruszka milczy. Doktor Lallemand niezgrabnie wstaje i podchodzi do niej, po czym spokojnie obraca się twarzą do Paganiniego i mówi:

– Monsignor Antonio Galvani, biskup miasta Nicei, przysłał swego wikariusza. Pobożny ten kapłan mówi, że pan go zaprosił. Święty Kościół jest zaniepokojony pańską chorobą i pragnąc przynieść panu ulgę zwraca się z propozycją, by pan się wyspowiadał i przyjął święty sakrament. Jeśli pan to uczyni, grzechy będą mu odpuszczone.

Sergent wstaje. Paganini kiwa głową.

– Zrób pan to chociażby dla pozorów – podchodząc do łóżka mówi szeptem doktor.

– Dla pozorów tym bardziej tego nie zrobię – chrypi Paganini. W oczach jego płonie gniew, odrzuca głowę na poduszkę.

Lallemand jest bardzo zmieszany. Nagle przesywa go myśl o nieostrożności signora Paganiniego, który wyraźnie i głośno wypowiedział słowa: „rytm w zmianach pór roku”. Cały Paryż szalał, wszędzie szukają członków tajemniczego „Stowarzyszenia Pór Roku”. Co narobił ten chory, nie zdając sobie z tego sprawy! Myśl lekarza pracuje intensywnie. Doktor Lallemand nie jest w kontakcie z żadną organizacją prócz paryskiego Fakultetu. Ma on uczciwy zamiar pomóc choremu, nie zna okropności intryg, które oplątały Paganiniego, i na tym polega wyrafinowane posunięcie tych ludzi, którzy zabili człowieka i są przekonani, że nie zmartwychwstanie. Chcą mieć jako świadka śmierci człowieka niezainteresowanego i nie orientującego się w ich zamierzeniach. Doktora Lallemanda martwi upór Paganiniego. Jest on starym, doświadczonym lekarzem, w głębi duszy – absolutnym i zdecydowanym ateistą, lecz zna wszechmocną potęgę Kościoła na południu Francji.

Rybacy nadbrzeżnych siól i mieszczenie miasta Nicei, handlujący kozim

mlekiem, kwiatami, winem i winogronami, bardzo dobrze znają pana prefekta, a jeszcze lepiej znają agenta policji, który mieszka na ich ulicy. Świetnie znają monsignora biskupa Galvaniego, a jeszcze lepiej księdza tutejszego kościoła, lecz absolutnie nie znają i nie chcą znać gruzlika, który grał niegdyś na skrzypcach. Mają prawo nic nie wiedzieć o jeszcze jednym gruzliku, którego przywieziono na błogosławioną Riwierę; poznają go tylko w tym wypadku, o ile ksiądz i żandarm zwrócą im uwagę na tego ohydneho nędznika jako na wroga Kościoła, i wtedy wszystko, co można podnieść z bruku, polecą w szyby domu, w którym umiera Paganini.

– Cóż powiedzieć? – pyta z niepokojem doktor.

Paganini otworzył oczy. Ujrzał pełną niepokoju twarz starego człowieka, przypomniał sobie, że ksiądz czeka na odpowiedź, i głośno rzekł:

– Proszę powiedzieć, że jeszcze za wcześnie, że wcale jeszcze nie mam zamiaru umierać, jeśli już nic innego nie może pan powiedzieć.

– Niech mu pan coś da – szepnął Sergent do doktora Lallemanda.

Doktor spojrział bezradnie, nic nie rozumiejąc.

– Tak, tak – nagle połapał się i zaczął szukać szkatułki z pieniędzmi.

Znikła gdzieś. Zwrócono się do Fräulein Weisshaupt. Staruszka otworzyła drzwi swego pokoju i powiedziała:

– Zabrałam ją. Nowa służba za bardzo się nią interesowała. – Jednocześnie wprawna ręką mechanicznie odliczając pieniądze dla księdza i wręczając je doktorowi, Fräulein mówiła:

– Signor nigdy nie wie, ile ma pieniędzy. Gdy wychodzi z karety, zawsze pamięta o synku i skrzypcach, ale nigdy o szkatułce. W Pradze podczas wyjazdu za miasto przypadkowo zostaliśmy bez pieniędzy, no, bo widzi pan: signor, wetknąwszy szkatułkę gdzieś w karecie, pozostawił ją w stajni praskiej. Musieliśmy jechać z powrotem i szukać.

Lallemand wrócił. Bardzo był kontent z niezwyklej skromności księdza. Zdawało się, że człowiek ten nie żywi złego zamiaru; miał głupawą i naiwną minę.

Minęły trzy dni. Teraz już dwaj księża stali w hallu. Tego dnia Paganini czuł się gorzej, krew chlusnęła mu z gardła, nosa, a nawet z uszu. Żółte ręce chwyciły kołdrę i tracił przytomność. Doktor nic nie mówił choremu o natarczywości księży. Zachowanie ich było dość bezceremonialne. Jeden z nich głośno wycierał nos i pluł na dywan. Uczucie okropnego niepokoju ogarnęło małego Achillina. Chłopiec miał sińce pod oczami. Bezdłownie mówił, że ktoś nastraszył go w ogrodzie krzycząc o rychłej śmierci ojca.

– Czemu oni nazywają go przeklętym? – pytał Achillino lekarza.

O godzinie trzeciej po południu stan Paganiniego pogorszył się. Prawie nie odzyskiwał przytomności. Ciche jęki rozlegały się na przemian z głębokimi westchnieniami. W chwili odzyskania przytomności, usiłując wziąć skrzypce, Paganini przewrócił stół z karafką wody i spadł z łóżka. Nikt nie pośpieszył mu z pomocą, gdyż w tej chwili wysłannik prefekta policji kołatał drewnianym młotkiem w zewnętrzne drzwi. Policjant doręczył doktorowi Lallemandowi zawiadomienie o tym, że Paganiniemu wymierzono grzywnę w sumie pięćdziesięciu tysięcy franków za niezgłoszenie się do sądu królewskiego. Jednocześnie doręczono mu rozkaz władz miejscowych, by Paganini natychmiast zgłosił się do prefektury, skąd zostanie wysłany do Paryża, skazano go bowiem na dziesięć lat więzienia. Wyrok został zatwierdzony przez sąd królewski 4 stycznia 1840 roku.

– Ale przecież on jest chory, jest bardzo chory! – zawołał doktor Lallemand, ze zdziwieniem i oburzeniem patrząc na wysłannika prefekta.

Przedstawiciel policji wzruszył ramionami i wyszedł. Miętosząc w rękach papier doktor udał się do pokoju, w którym leżał Paganini. Było to 27 maja 1840 roku o czwartej godzinie po południu.

Gdy doktor wszedł do pokoju, Paganini już nie żył. Zawiadomienie sądu królewskiego Francji spóźniło się.

Lecz nie spóźniła się signora Bianchi. Wieczoręm przybyła do Nicei. Jakże niepokieszona była wdowa obejmując swego małego i miłego Achillina i oblewając jego głowę łzami! Prosiła signora pomocnika prefekta, by pozwolił jej zajrzeć na chwilę do testamentu.

Dwaj żandarmi i czterej urzędnicy policji strzegli wszystkich drzwi wejściowych domu, podczas gdy prefekt ciężkimi pieczęciami z laku pieczętował pakiety, korespondencję, nuty, dokumenty i szkatułki. Chciał opieczętować nawet kosz z bielizną dziecinną.

– Zmarł bezgłosy potwór – mówił ogrodnik, gdy tłum gapiów zebrał się przed bramą domu Paganiniego – umarł przeklęty diabeł. Nie chciał znać księży, umarł jak pies, bez spowiedzi. Trup jego hańbi nasze miasto.

Signora Antonia Bianchi daremnie błagała księdza, by oddał ostatnią posługę kochanemu nieboszczykowi mężowi. Ani jeden ksiądz się nie zgodził. Na wszystkich twarzach malowało się wielkie zdumienie. Signora była zaniepokojona.

Rankiem dnia następnego przybyli nieznanymi ludziami. Paryska „Gazeta Muzyczna” zamieściła depezę z dnia 27 maja 1840 roku:

„W Nicei zmarł znakomity skrzypek Paganini testując swe wielkie

nazwisko i olbrzymi majątek jednemu synowi, ładnemu czternastoletniemu chłopcu. Zabalsamowane ciało Paganiniego zostało wysłane do Genui, ojczyzny skrzypka. Mamy nadzieję, że i ta wiadomość, podobnie jak wszystkie poprzednie wiadomości o śmierci Paganiniego, zostanie szczęśliwie zdementowana”.

Notatka „Gazety Muzycznej” nie została zdementowana. Okazało się, że wszystko w niej zgodne było z prawdą prócz jednego szczegółu dotyczącego pochowania w Genui.

Rozdział trzydziesty trzeci

Tułaczka pośmiertna

– Przywiozłem ze sobą wszystko, co jest niezbędne – rzekł doktor po dwudniowej nieobecności.

Chude ciało Paganiniego leżało na twardym drewnianym łóżku. Obok stał okryty ceratą stół, na nim słoiki, menzurki i ciężka szklana szpryca. Doktor szybko zabrał się do operacji i prędko ją skończył. Wstrzykiwał do mięśni i pod skórę, do żył i arterii ciała Paganiniego środek doktora Gannala. Był to roztwór chlorku cynku. Po dwudziestogodzinnej pracy mięśnie nabrały naturalnej krągłości, skóra już nie zwisała i nie marszczyła się. Lallemand nie ruszył twarzy. Mięśnie na karku i włosy ukrywały miejsca, w które lekarz robił zastrzyki do głowy. Twarz była spokojna. Ciało Paganiniego nie groziło już rozkład. Stopniowo wysychając będzie się konserwować coraz lepiej.

Signora Bianchi dwukrotnie przyjeżdżała z hotelu. Stawała się coraz posępniejsza. Achillino do tego stopnia był przez kogoś nastraszone, że dostał ataku i przez dwie godziny bił nogami i głową o podłogę, na usta wystąpiła mu piana, a potem zasnął ciężkim, gorączkowym snem.

Signora zamówiła metalową trumnę, lecz jej dalsze starania nie odnosiły żadnego skutku. Dziwne, tajemnicze milczenie świadczyło o tym, że gdzieś prowadzona była jakaś robota, która całkowicie usprawiedliwiała zabiegi dokonane w sposób tak przewidujący przez doktora Lallemanda.

Dwie świece płonące w kątach sali dymiły, na wpół oświetlając pokój. Tak minęły trzy tygodnie, nim nareszcie tutejsi księża oświadczyli kategorycznie signorze, że ani nie przyjdą, ani też nie zmówią ostatniej modlitwy.

Chwytiliwe ręce trzymały Paganiniego na ziemi i nie pozwalały go w niej pochować. Po dwudniowych, daremnych prośbach signora złożyła zażalenie monsignorowi biskupowi miasta Nicei. Trzeciego dnia dopuszczono ją do rozmównicy miejscowego klasztoru i przez kratę z daleka ujrzała ona postawnego młodego człowieka o wyniosłej twarzy, który w ostrych słowach dał jej do zrozumienia, że Paganini umarł jako ateista i żył jak niegodziwiec, i nie tylko wzgardził błogosławieństwem świętego Kościoła, lecz również obraził go, odrzucając w sposób impertynencki pełną miłosierdzia i pobłażliwości propozycję pogodzenia się z Kościołem. Usłyszawszy to długie i zawile zdanie, wypowiedziane spoza krat jak zaklęcie dźwięcznym i ostrym tonem litanii średniowiecznej, signora Bianchi uprzytomniła sobie całą wagę tego, co zaszło.

Zrozumiała, ile miała racji, że porzuciła tego człowieka za życia. Ale testament!

Nareszcie testament został otwarty. Był sporządzony na długo jeszcze przed śmiercią i podpisany 27 kwietnia 1837 roku. Przed rozstaniem Harris zrobił wszystko, co było w jego mocy, dla zabezpieczenia majątku przyjaciela i uwielbianego maestra. Miliony franków ulokowanych w akcjach i obligacjach państwowej renty Anglii i Królestwa Obojga Sycylii na wiele lat zapewniły dobrobyt ulubieńcowi i spadkobiercy Paganiniego, Achillinowi. Lecz jakaś dama z Lukki miała otrzymać znaczną sumę dla tylko jej wiadomego specjalnego celu. Hasła, emblematy i certyfikaty dama ta przedstawi osobiście, nie wymieniając swego nazwiska. Są one dokładnie wymienione, narysowane i opisane w testamentcie.

„Matce mego dziecka – brzmiał dalszy ustęp testamentu – obowiązany pan jest zapewnić w moim imieniu dożywotnią rentę w sumie tysiąca dwustu franków. Markiz Lorenzo Parento, signorowie Gianbattista Giordani, Lazzaro Rebbizo i Pietro Torrilliani, genueńczycy – proszeni są na świadków i wykonawców ostatniej mej woli”.

„Dziwny człowiek z tego Paganiniego – pisał autor notatki zamieszczonej w «Gazecie Muzycznej». – Po to, by niedorzeczność jego życia była całkowita, doprowadził on do szczytu niedorzeczność swej śmierci. Co może być śmieszniejszego od tego testamentu. Można go uważać za testament obłąkańca albo dziwaka”.

Istotnie, powie czytelnik, czy nie jest dziwactwem zapewnienie dożywotniej renty kobiecie, która tyle złego zrobiła mężowi? Nie jestem dziwakiem signor Paganini, skoro w testamencie zapisuje w spadku osiem skrzypiec o światowej sławie nie tylko przyjaciółom, lecz również i wrogom? Proszę sobie przeczytać, kto otrzymał te cudowne instrumenty – Amatiego, Guarneriego i Stradivariusa. Oto nazwiska ośmiu skrzypków, którym Paganini zapisał w spadku swe skrzypce: Bériot, Ernst, Lipiński, Mayseder, Molique, Ole Bull, Vieuxtemps – i wreszcie Spohr. Tak, również Spohr stał się spadkobiercą wielkiego maestra, wielkiego ducha Paganiniego.

„Pozostała mi jedyna nadzieja – pisał Paganini do Ferdynanda Paera – że po mojej śmierci zostawią mnie w spokoju ci, którzy tak okrutnie mścili się na mnie za moje sukcesy. Mam nadzieję, że nie znącą mego spokoju i nie znieważą mego nazwiska, gdy będę leżał w ojczyściej ziemi”.

Signor Paganini omylił się. Oto leży obalony w proch. Doktor przed chwilą zdjął biały fartuch. Nieboszczyka ubrano i położono do cynkowej trumny napoiwszy go uprzednio straszonym napojem z chlorku cynkowego. Oto po turnieju światowym ten rycerz skrzypiec leży w trumnie. Wszyscy spodziewają się, że wreszcie otworzą się drzwi i wejdzie czarny rycerz, który zdejmie przyłbicę i powie:

– Tak, to ja walczyłem z tym człowiekiem przez całe życie.

Drzwi otworzyły się, lecz zamiast czarnego rycerza z opuszczoną przyłbicą, okrutnego i dumnego, zjawił się mały mnich ze zmiętoszonym kawałkiem papieru w ręce. Za nim weszli dwaj nieoczekiwani goście. Byli to mężowie sióstr Paganiniego. O jednej z nich Paganini wspominał za życia, o drugiej wiedział tylko ze słyszenia. Lecz w testamencie nie zapomniał wymienić jednej i drugiej. Zjawił się również i Andrea Paganini, który oświadczył, że jest najbliższym krewnym, aczkolwiek ani razu zmarły skrzypek o nim nie wspominał. Rodzina katolickich mieszczan rzuciła się na spadek po zmarłym skrzypku, by go rozszarpać.

Mnich o dobrotliwym, lecz niespokojnym spojrzeniu podobny był do przebranego zwierzęcia. Wzrok jego ślizgał się po pokoju, ale na nikim z obecnych nie mógł się zatrzymać. Widocznie o coś chciał zapytać i złożywszy ręce na brzuchu, szybko zaczął obracać palcem wokół palca. Obejrzawszy pokój ojculek zapytał, kto jest gospodarzem domu. Nie widząc gospodarza podszedł do drzwi z zagadkowo groźną miną. Otworzył je, rozchylił z lekka portierę i zasłony, a gdy zobaczył Achillina Paganiniego, skinął na niego palcem, by się zbliżył. Chłopiec wszedł i lekkim ruchem odchylił portierę; przytrzymując ją, patrzył szeroko otwartymi oczami na

mnicha. Mnich pokręcił się, po czym opuszczając pokój skoczył ku drzwiom-wyjściowym i znikł. Po chwili rozległy się jego dzikie okrzyki skierowane do tłumu. Pan Sergent blady, z trzęsącymi się wargami, wszedł do pokoju. Podszedł do Achillina Paganiniego i szeptem wymówił jakieś bardzo krótkie zdanie. Policzki Achillina zapłonęły. Poszedł w głąb mieszkania za panem Sergentem.

A tymczasem w bramie domu, gdzie mieszkał Paganini, odbywało się potworne widowisko. Mały mnich w brudnym odzieniu, stojąc na górnym stopniu schodów, krzyczał do tłoczącego się przed gankiem tłumu, że za tymi drzwiami leży straszny heretyk, który wyrzekł się opieki i pomocy świętego Kościoła. Ten czarnoksiężnik, ten czarownik żywił się mózgiem niemowląt, struny do swych skrzypiec zrobił z jelit żony, którą zamęczył i zabił. Mnich sypał kalumniami jak z rogu obfitości, wołał, że jeśli ten człowiek miał czelność wzgardzić pomocą świętego Kościoła, to nie tylko obraził tym swoje własne ciało po śmierci, lecz skazał także na przekleństwo dom, w którym się znajduje, miejscowość, gdzie zmarł, miasto, w którym mieszkał, i cmentarz, na którym ma być pochowany. Mówił niedługo, lecz tak dobitnie, że coraz bardziej powiększający się tłum wzburzony był do najwyższego stopnia.

Stary dom osaczony był ze wszystkich stron. Krewcy fryzjerzy, sklepikarze i biuraliści, kobiety lekkich obyczajów, sprzedawczynie oliwek i koziego mleka, chłopci uprawiający winnice – wszyscy wierni synowie i wierne córki Kościoła utworzyli łańcuch i otoczyli tym łańcuchem przeklęty dom, w którym spoczywał w cynkowej trumnie demon. Żądali, by wydano trupa i spalono go na stosie. Podniósłszy przydrożne kamienie, uzbroiwszy się w żerdzie, motyki, cegły, w co popadło, ruszyli do ostatniej siedziby wielkiego skrzypka grożąc obróceniem w perzynę domu, w którym leży jego przeklęte ciało.

Czcigodny pan Sergent nie zdążył się opamiętać, gdy w okna rzucono kamienie, a na dachu zjawili się zuchowaci, bitni chłopcy, właściciele sąsiednich gołębników. Łamali ramy okienne, tłukli szyby, oblegali dom, gdzie nie obciążona żadną winą garstka kości i zachlorowane mięśnie przypominały o tym, że umarł zaszczyty przez bankierów francuskich i przez Kościół rzymski największy skrzypek, jakiego kiedykolwiek widział świat – Nicolo Paganini.

– Gdzie jest ten potwór?! – wołano. – Pokażcie go nam.

– Zaraz go wam pokażemy! – rozległy się głosy na drugim krańcu ulicy.

Lecz w tym momencie tłum zatrzymał się na widok niebiańskiego

zjawiska. Młoda, piękna signora w różowej sukni, z dużą palmową gałązką w ręce stała przed tłumem na górnym stopniu schodów wiodących do domu.

– Ciszej! – rzekła kobieta i podnosząc głos dodała: – Jak widzicie, wzburzenie wasze jest bezpodstawne: żyję, macie więc dowód, że mój nieboszczyk mąż, wielki skrzypek Paganini, spoczywający w tym domu, nie zrobił strun skrzypcowych z jelit żony. Jestem żoną zmarłego skrzypka. Nie ma w tym mojej winy, że wskutek niedopatrzania otaczających go lekarzy nie mógł przyjąć ostatniego namaszczenia i połączyć się z Kościołem. Proszę was, żebyście się rozeszli i nie zakłócali spokoju szczątkom śpiącego w Bogu.

Tłum cofnął się. Kawalki dachówki leżące na trotuarze i odłamki szkła świadczyły o udanym początku akcji.

Pan Sergent czuł się nieswojo. Niesamowite pogłoski o magii i czarach krążyły po całym wybrzeżu. Trzeba było przedsięwziąć jakieś zaradcze kroki.

Pan Sergent mimo woli przypomniał sobie dawne czasy, gdy stał na warcie przy zwłokach zabitego Marata i pocieszał Simonę Evrard, dziecko przedmieścia paryskiego, która dzieliła trudy i bezsenne noce wielkiego Marata, przyjaciela ludu. Teraz zaś uważał za swój obowiązek bronić niepocieszonej wdowy zamężonego Paganiniego. Lecz wtedy siedemnastoletni gwardzista obywatel Sergent gotów był oddać swoją krew sekcjom rewolucyjnym, a obywatelka Evrard mogła liczyć na to, że gołowąs Sergent do ostatniej kropli krwi bronić będzie ciała Marata, jeśli już zdarzyło się takie nieszczęście, że arystokratka Charlottą Corday wbiła nóż w serce przyjaciela ludu.

Teraz zaś ten stary człowiek w ciemnozielonym surducie krążył po pokojach i nie wiedział, co ma począć. Dymią świece z obu stron trumny Paganiniego. Signora Bianchi jest niepocieszona. A chłopiec!... Ach, jakież to zadziwiający chłopiec! I jaka szkoda, że w tak młodym wieku spotkało go takie nieszczęście... Lecz pulchna signora Antonia Bianchi, z okrągłymi policzkami, ani trochę nie była podobna do Simony Evrard.

Nad ranem nowy tłum zebrał się przed bramą i gdy pan Sergent ukazał się w drzwiach, zuchwały seminarzysta celnie trafił go w oko kamieniem. Pan Sergent upadł, po pierwszym uderzeniu nastąpiło drugie, potem rzucił się na niego cały tłum i, po dziesięciu minutach pana Sergenta, pokrwawionego, zbitego, z połamanymi kośćmi, zabrano do szpitala.

Na szczęście następnego dnia zjawili się wykonawcy testamentu, wymie-

nieni przez testatora, i zaczęły się prawdziwe targi z duchowieństwem miasta Nicei.

W nocy do hotelu, gdzie mieszkała signora Bianchi, przyszli trzej nieznanymi ludziami i zaproponowali ze względu na niezwykle komplikacje, związane z pochowaniem signora Paganiniego, a w szczególności ze względu na to, że przypuszczalnie życie jej nieboszczyka męża było jej samej nieznane – by odwieźć signora do zacisznej i spokojnej miejscowości, leżącej w samym sercu francuskiego królestwa, i tam pochować go bez hałasu i szumu. A po dwóch, trzech tygodniach umilkną złe języki i nie trzeba będzie ponawiać smutnych rozmów.

Białolicy, chudy mężczyzna o niezwykle sympatycznej twarzy, czarująco spokojnej i jasnej, całkowicie ujął sobie signorę Bianchi.

– Cóż – rzekła – zgadzam się.

I jako doświadczona gospodyni zapytała przy tym:

– Nie wiem, jak i kogo za to wynagrodzić?

Lecz wtedy odezwał się dobroduszy i spokojny człowiek:

– Wie pani co, pochowam go u siebie, choć przyjdzie mi znieść męki, które przepowiadają nasze osoby duchowne. Lecz cóż robić, zgadzam się na to, byleby zapewnić byt swojej rodzinie.

– Zaczekajcie, panowie – rzekła signora i wyszła.

W sąsiednim pokoju hotelowym spał Achillino. W ciągu tych dni chłopak zmienił się nie do poznania, dojrzał ponad swój wiek i zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co odsłaniało przed nim życie. Po pierwszych atakach obłądzenia stał się melancholijny, cichym dzieckiem i całkowicie zrozumiał i ocenił potęgę Kościoła nakazującego absolutne posłuszeństwo wobec autorytetu nawet wtedy, gdy protestuje zdrowy rozsądek i cała istota człowieka.

Matka zbudziła go i przyprowadziła w dzieciennym szlafroku, w pantoflach na bosych nogach.

– Achillino – powiedziała signora Bianchi – oboje jesteśmy ofiarami ojcowskiego szaleństwa.

Achillino opuścił głowę. Milczał i czekał, co jeszcze powie ta kobieta.

– A więc – rzekła signora – ten oto człowiek – ostro podkreśliła to słowo, wskazując na rodzzonego syna – ten oto człowiek ma prawo rozporządzać pieniędzmi.

Achillino podniósł oczy na tego, do kogo skierowane były słowa matki. Signora Bianchi wyjaśniła:

– Chce on pochować ojca w tajemnicy w którejś z centralnych prowincji.

Mały Achillino spojrzał na tego człowieka.

– A więc pochowajcie. Choć ojciec w testamencie wyraził życzenie, by pochowano go w Genui. Nie wiedział widocznie, że będzie to takie trudne.

Signora Bianchi, zwracając się do syna, rzekła:

– Lecz trzeba będzie zapłacić.

– Ile?

Ołówek szybko coś nakreślił i signora przeczytała: dwa i pół. Była to tylko cyfra „dwa” i ułamek „pół”.

– Nie rozumiem – rzekła.

– Dwa i pół franka? – zapytał Achillino i cała jego dziecięca naiwność naraz ujawniła się w tym pytaniu.

Goście z ubolewaniem spojrzeli po sobie. Dziwny uśmiech przewiął się po ich twarzach. I tylko ten, co napisał liczbę, ochryple zachichotał.

– Dwa i pół tysiąca franków? – zapytała signora Paganini z nadzieją w oczach.

Znów milczenie.

Goście wstali.

– Signora i ty, młody signorze, dacie dwa i pół miliona franków – wszystko, co macie zapisane w testamencie. W przeciwnym razie biada wam i waszemu ojczulkowi...

Testament nie został zatwierdzony. Znów mieli z tym wiele kłopotów wykonawcy ostatniej woli signora Paganiniego, spokojni mieszczanie miasta Genui, oraz ci, którzy pragnęli bezinteresownie przyjść z pomocą – byli to markiz Sesol i hrabia de Maistre, uważający się za dostatecznie wpływowych przedstawicieli legitymistycznych partii na południu Francji. Sesol i de Maistre poradzili wykonawcom testamentu, wyznaczonym przez Paganiniego, by złożyli skargę do trybunału cywilnego miasta Nicei. Oskarżenie Paganiniego o czarnoksiężstwo, magię i czary w połowie XIX stulecia, zdaniem ich, przypominało dziki odgłos średniowiecznego zacofania. Lecz trybunał miasta Nicei w całej rozciągłości zatwierdził decyzję monsignora biskupa miasta Nicei, Antonia Galvaniego, i nawet karę rozszerzył.

Łańcuch opasał cały obszar Francji. Poufne instrukcje, protokoły i cirkularze zabraniały pochować zmarłego Paganiniego we wszystkich krajach, gdziekolwiek czczony jest krzyż Chrystusowy.

„Niech nie będzie pochowany w ziemi cmentarnej, miejskiej, prywatnej lub państwowej, dworskiej czy też chłopskiej, szlacheckiej i hrabiowskiej,

w lasach ani na polach, w winnicach, w sadach, u szlachty w majątkach ani u kupców w miastach, ani gdziekolwiek indziej, pod żadnym pozorem, a jeśli potajemnie miałyby to nastąpić, oby uzyskał wtedy odpuszczenie wszystkich grzechów ten wierny syn Kościoła, który wykopie to diabelskie ciało z ziemi, wyrzuci z mogiły i prochy rozwieje na wietrze”.

Prefekt policji i mały mnich ogłosili, że dom pana Sergenta winien być przekazany pod zarząd miasta. Przeprowadzono rewizję we wszystkich pokojach i póki pan Sergent znajdował się w szpitalu, pan prefekt miasta Nicei, ulegając masowym protestom ludności, wywłócił z trzaskiem trumnę ze zwłokami Paganinięgo i umieścił ją w głównym szpitalu. Lecz wierny syn Kościoła, lekarz naczelny, który nienawidził doktora Lallemanda i nie znalazł się na muzyce, a który drząc przede wszystkim o własną skórę, leczył chłopów wodą święconą, a mieszczan – olejem rycynowym, zażądał, by trumnę natychmiast wyniesiono ze szpitala, gdyż szpital zajmuje się uzdrawianiem chorych, a nie grzebaniem bezecnych nieboszczyków.

Droga na wschód po kamienistym nadbrzeżu była wyjątkowo ciężka. Ośmiu ludzi, a na przedzie chłopak z latarnią, Achillino, zmordowany, z pokaleczonymi kolanami, stanowili eskortę trumny.

Deszcz, pioruny, burza i przyptyw morski odprowadzały ciało Paganinięgo z Nicei na wschód.

Nastąpił szary, mglisty poranek. Gorące słońce nagrzewało powietrze. Oddychać było coraz trudniej, w górskich wąwozach trągarze zupełnie opadali z sił. Mały Paganini patrzył na morze, które jeszcze niedawno oglądały oczy jego ojca. Macocha, jak w duszy nazywał signorę Bianchi, rozmawiała w pobliżu z ładnym czarnowłosym grabarzem. Młodzieniec ten w czarnym cylindrze, w ubraniu ze srebrnymi galonami, strzelał do niej oczami i wskazywał jej wąwóz w pobliżu drogi. Noc spędzili w tym wąwozie.

Villa Franca, lazaret. Przy lazarecie – morga dla topielców, rybaków i dla tych, których zabili żandarmi papiescy lub zasłużeni bandyci z wielkich dróg. W lazarecie tym, wśród trupów złodziei, zbójów i prostytutek – cynowa trumna. Lecz nie można pozostawać tu dłużej niż dwa dni. Achillino sam pojechał do Polcevere koło Genui i prosił, by pozwolono pochować ojca na słynnym genueńskim cmentarzu, gdzie najładniejsze pomniki i marmurowe rzeźby ozdabiają groby znakomitych ludzi. W Polcevere w ogóle nikt nie wie, kim jest jakiś tam signor Paganini, lecz mieszkańcy nastraszeni są cholera i boją się wszystkiego, co ich zdaniem roznosi zarazę.

Chłopak odwiedza domy zamożnych mieszczan i miejscowe władze.

Wyniośle lub pobłaźliwie mierzą oni oczami młodocianego przybysza od stóp do głów.

– Paganini? Nie słyszeliśmy o takim.

Wreszcie za opłatą olbrzymiej sumy w gotówce zdołano uzyskać w piwnicy Villa Franca schronienie dla trumny signora Paganiniego. Długa podróż wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego. Ponure i ciężkie życie.

Signora Bianchi, widząc, że synek przeszkadza jej, nagle znikła z notariuszem z Polcevere, który wyparł z jej serca grabarza. Chłopak został sam. Obok niego kroczy wysoki człowiek, podobny do fryzjera, który przychodził do ojca na ulicę d'Enfer w Paryżu. Jest to signor Andrea Paganini; poklepuje Achillina po ramieniu i mówi:

– Poczekaj, jeszcze doczekamy szczęśliwych dni.

Na wybrzeżu od Marsylii do brzegów Hiszpanii i od Marsylii do Genui wypróbowano wszystkich sposobów przekupstwa.

W nocy na drodze do wybrzeża hiszpańskiego, prawie przy samej granicy hiszpańskiej, zjawia się brudny, wysoki człowiek ze zrośniętymi brwiami. Dowiaduje się on o tej okropnej podróży, podobnej do pielgrzymki Izabeli Kastyljskiej, matki Karola V, tułającej się za trumną męża i oczekującej jego zmartwychwstania.

W tym samym czasie na północy w jednej ze stolic ciemnooki i ponury człowiek, który prowadzi dalej dzieło genialnego Paganiniego, Franciszek Liszt, mówił:

– Nie, Paganini nie zmartwychwstanie!

Lecz zjawił się dziwny człowiek ze zrośniętymi brwiami i zaproponował chłopcu i jego towarzyszowi podróży trzydzieści tysięcy franków za to, by ciało signora zostało mu wydane.

– Rok nie minie – mówił on – a skrzypek ten znów zjawi się w Europie. Znam go, on zmartwychwstanie.

Achillino, zmarszczony, cherlawy, z podsinionymi oczami i żółtymi plamami na policzkach, pełen przerażenia, słuchał tego, co mówi ten dziwny człowiek.

Z rana jakiś nowy osobnik, który przyłączył się do żalobnego konduktu rodziny Paganiniego, wyjaśnił:

– Ten przemytnik to potwór, to po prostu Ahaswer, który się tu zjawił. To właściciel objazdowych gabinetów osobliwości. Dobrześ uczynił, żeś go nie posłuchał, gdyż transakcja ta wskrzesiłaby nie twego ojca, lecz gadanie o tym, że zmarły Paganini jest czarodziejem, który zatrzyma Europę i zaraża powietrze naszego kraju oddechem, od którego marniej są winnice.

Oto nareszcie brzeg morza, a za falami – wyspa. Marynarze przy ognisku na brzegu proponują, by uczestnicy konduktu zatrzymali się i spożyli z nimi ich ubogą wieszczę, składającą się z *frutti di mare*, z owoców morza. Achillino i Andrea przysiadają się do ogniska.

W nocy na rozkaz kapitana bezimiennego okrętu przewieziono trumnę Paganiniego na wyspę Saint-Fereol. Jeśli komu zdarzyło się zwiedzić ten zakątek Morza Śródziemnego, to lądując na małej, samotnej wyspie, widział chyba w grocie, jak gdyby umyślnie wyżłobionej nad morzem, miejsce, gdzie na łańcuchach wisiała trumna Paganiniego.

Władze dowiedziały się o tym, że Achillino pochował ojca na wyspie. Lecz młody Paganini czuwał. W ciągu tych lat młodzieniec, melancholijny i na w pół obłąkany, podróżował wszędzie.

Oto jak zeszło promienne chłopięctwo Achillina: roztrwonione zostało na czytaniu pergaminów i starych ksiąg, encyklik i bull, reguł kanonicznych, ksiąg w pergaminowych oprawach, starożytnych, starych i nowożytnych druków. W Rzymie Achillino spędza dni na studiowaniu paragrafów i punktów, rozdziałów i ustępów, przypisów i komentarzy, wniosków i argumentów, dowodzących jego prawa do pochowania ojca w ziemi.

Papiński marszałek dworu, Marchese, zaprasza go na obiad. Wykwintne wina, wspaniałe potrawy, muzyka, śpiew, tańce; czarujące dziewczęta, które gotowe są na wszystko i nic w zamian nie żądają – przychodzą, by niepokoić sen Achillina w Trastevere. Cicho szepcą mu do ucha, że Achillino jest głupi, Achillino – *stupido bambino*. Należy po prostu dobrze zapłacić Kościołowi, a ojciec będzie pochowany i syn zadowolony.

– Lecz jakże to: tak po prostu za pieniądze? – pyta Achillino.

Na to odpowiedzi nie ma.

Znów barka i żagle, i nocleg na pokładzie. Skąpe światło pochodni, tytoń i spirytus, rybie ości i pijane przekleństwa marynarzy.

Bordighera, San Remo, port Morris i wreszcie Savona.

– Tuła się po śmierci tak, jak arcykapłan rzymski tułał się za życia – mówi Andrea klepiąc Achillina Paganiniego po ramieniu i uderzając pięścią w trumnę wielkiego skrzypka.

Lecz signor Achillino Paganini obecnie jest posiadaczem kupionego przez się tytułu markiza, jest on – *eccellenza*; minęły lata, gdy można było z niego kpić – teraz jest jednym z najlepszych znawców kanonicznego prawa w całej Italii.

Kościół „Stecchata” w roku 1853 wznosi modły i udziela odpuszczenia grzechów okropnemu grzesznikowi. Milion sto tysięcy franków popłynęło.

Jeszcze trochę, a z Achillina będą wyciśnięte ostatnie soki.

Dojrzały mąż, nie pozbawiony dziwaczного, melancholijnego majestatu, markiz Achillo Paganini zwraca się do rzymskiego arcykapłana z prośbą o wyjaśnienie pozagrobowego losu ojca. I choć wydaje się to dziwne, arcykapłan rzymski, anulując wszystkie poprzednie postanowienia, żąda, by dwaj kanonicy, którzy wyjechali z Rzymu, określili, jak dalece ugrzązł w herezjach nieboszczyk ojciec, marny i nikczemny skrzypek: należy uczynić to dla syna, znakomitego Achillina Paganiniego, wiernego syna Kościoła, kanonika kaplicy „Stecchata” w Parmie, arcydiakona Kościoła.

– Jest to czcza forma – mówiono markizowi Achillo w Rzymie.

Lecz czcza ta forma przeciągnęła się na okres dwunastu lat. W okresie tym signora Paganiniego trzy czy nawet cztery razy chowano w ziemi i odgrzebywano z powrotem.

I w czasie gdy dwaj kanonicy objeżdżają wszystkie miasta, gdzie koncertował zmarły skrzypek, twarz signora Achilla zdążyła okryć się zmarszczkami.

Nastał rok 1876. Z grobowca w willi Polevri trumnę potajemnie przeniesiono do Parmy, gdzie po raz pierwszy postawiono ją w kamiennym grobowcu na cmentarzu. Lecz minęło jeszcze siedemnaście lat, nim papież pozwolił pochować ciało w ziemi.

Nastał rok 1896, kiedy to właściciel willi Gajona po raz pierwszy wjechał – w cynkowej trumnie – do swej posiadłości.

Siwowłosa, żółtolicy starzec, olbrzymiego wzrostu, z opuchniętymi powiekami i nasępienymi brwiami – kawaler Orderu Św. Jerzego, markiz Achillo Paganini stoi ze świecą wśród cyprysów. Za niewielkim ogrodzeniem wznosi się osiem kolumn. Nad architrawem widać lekką kopułę, na frontonie – wielki napis: „Nicolo Paganini”.

Signora Bianchi dawno jest pochowana na północy Francji.

Markiz Achillo Paganini czeka na przyjsię księdza. Obok niego węgierski skrzypek Ondricek gra szarpiając duszę melodię, poświęconą pamięci Paganiniego. Potem skrzypek odchodzi. Signor Achillo ogląda się bojaźliwie. Świeca wypaliła się już do połowy, a księdza wciąż nie ma. Czy i tym razem ktoś przeszkadza?

Lecz oto wreszcie przychodzi ten, w którego rękach spoczywają losy człowieka. Surowy, szorstki, o gwałtownych ruchach, pełen świadomości swej władzy nad istotą ludzką. Obrzędy pogrzebowe odprawiono według wszelkich przepisów świętego Kościoła.

Nagle przybiega signor Andrea Paganini:

– Ten łotr, genueńczyk, nie zgadza się na dwieście tysięcy lirów! Twierdzi, że te ordery, medale, szpilki, igły i spinki nie są mu aż tak potrzebne. Czego chcą od nas te łotry?

– Ciszej – przerywa mu Achillino Paganini. – I tak sprofanowaliście pamięć mego ojca.

Pochówek jest skończony. W wielkiej sali willi Gajona zbierają się goście. Minęło pięćdziesiąt sześć lat od śmierci ojca i markiz Achillo Paganini dzięki niesłychanemu uporowi dopiął celu – ojciec jego wreszcie pochowany jest w ziemi i zmieszal się z prochem swej ojczyzny. Oto siedzi ksiądz i mówi, że Bóg przebaczył obecnie duszy grzesznika, który się nie pokajał, i cieszy się on radością aniołów.

Markiz Achillo powoli przykłada chustkę do oczu, a gdy wysychają łzy wzruszenia, oblicza pozostałe pieniądze i z przerażeniem myśli o tym, jak drogo kosztuje pojednanie się z Kościołem katolickim i jak ciężkim brzemieniem kładą się na dzieci grzechy ojców.

1936 r.



Spis rzeczy

<i>Rozdział pierwszy</i>	
Miasto boga o dwóch obliczach	5
<i>Rozdział drugi</i>	
Legenda o narodzinach	7
<i>Rozdział trzeci</i>	
Nędza	7
<i>Rozdział czwarty</i>	
Wojna	11
<i>Rozdział piąty</i>	
Droga po ziemi	15
<i>Rozdział szósty</i>	
Cremona	19
<i>Rozdział siódmy</i>	
Hrabia Cosio	27
<i>Rozdział ósmy</i>	
Droga wśród gwiazd	34
<i>Rozdział dziewiąty</i>	
Chłopięctwo	45
<i>Rozdział dziesiąty</i>	
Karty, kości i skrzypce	55
<i>Rozdział jedenasty</i>	
Szczury	61
<i>Rozdział dwunasty</i>	
Lwia łapa odwróciła kartę	68
<i>Rozdział trzynasty</i>	
Carmen saeculare	72
<i>Rozdział czternasty</i>	
Za trzy franki	87
<i>Rozdział piętnasty</i>	
Tulipany i gitara	94
<i>Rozdział szesnasty</i>	
W krainie ojców	101
<i>Rozdział siedemnasty</i>	
Droga ku szczytom	113
<i>Rozdział osiemnasty</i>	
Podwójne życie	130
<i>Rozdział dziewiętnasty</i>	
Tułaczka Orfeusza	140

<i>Rozdział dwudziesty</i>	
W poszukiwaniu Eurydyki	150
<i>Rozdział dwudziesty pierwszy</i>	
Eurydyka przeobrażona	163
<i>Rozdział dwudziesty drugi</i>	
W drodze do Wiednia	174
<i>Rozdział dwudziesty trzeci</i>	
Pogrzebany za życia	190
<i>Rozdział dwudziesty czwarty</i>	
Doświadczony lekarz	200
<i>Rozdział dwudziesty piąty</i>	
Listy i pasażerowie	208
<i>Rozdział dwudziesty szósty</i>	
Na brzegu wielkiej rzeki	225
<i>Rozdział dwudziesty siódmy</i>	
Uczeń i nauczyciel	234
<i>Rozdział dwudziesty ósmy</i>	
Odbicie dwóch zwierciadeł	246
<i>Rozdział dwudziesty dziewiąty</i>	
O chlebie cierpienia i o wodzie strachu	261
<i>Rozdział trzydziesty</i>	
Spalenie marności	275
<i>Rozdział trzydziesty pierwszy</i>	
Zstąpienie do Hadesu	281
<i>Rozdział trzydziesty drugi</i>	
Oddech mistralu	297
<i>Rozdział trzydziesty trzeci</i>	
Tułaczka pośmiertna	305

*Anatolij
Winogradow*



*Potepienie
Paganiniego*

*Anatolij
Winogradow*

Potępienie Paganiniiego



Książka i Wiedza